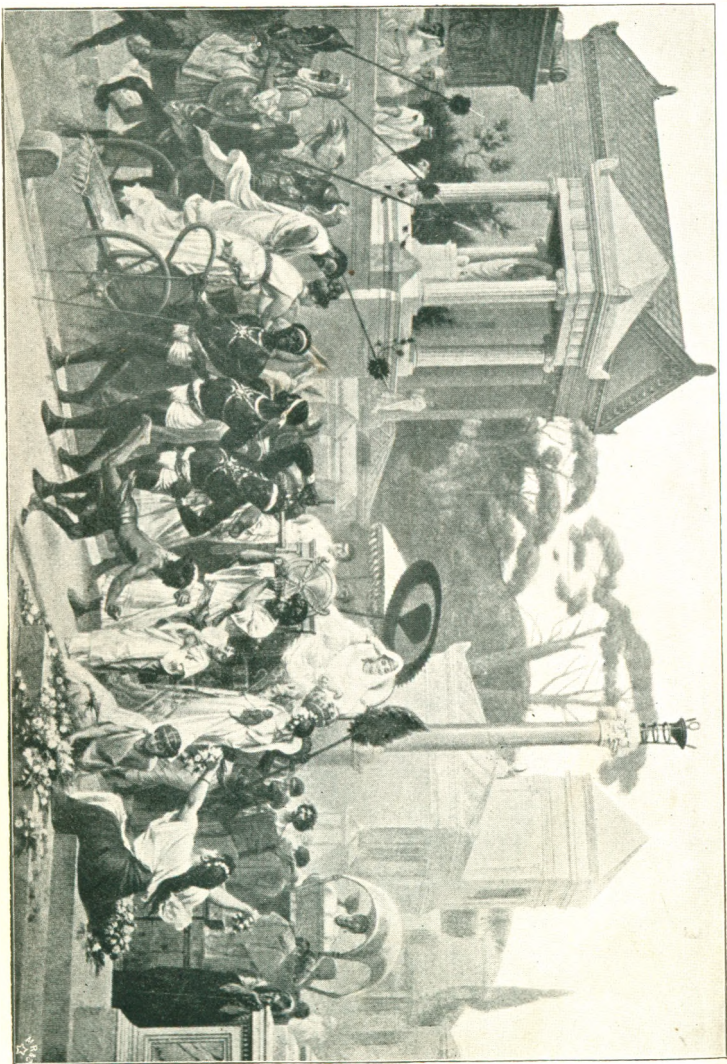


QUO VADIS

Uua

QUO VADIS





Pochód do Ancyum.

HENRYK SIENKIEWICZ

QUO VADIS

POWIEŚĆ Z CZASÓW NERONA

DLA DOJRZALSZEJ MŁODZIEŻY

UŁOŻYŁ I OBJAŚNIŁ

ROMUALD A. BOBIN

Z 10ma rycinami



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPOŁKA

1899



8994J

I.

Winicyusz.

Petroniusz ¹⁾ obudził się zaledwie koło południa i, jak zwykle, zmęczony bardzo. Poprzedniego dnia był na uczcie u Nerona, która przeciągnęła się do późna w noc. Od pewnego czasu zdrowie jego zaczęło się psuć. Sam mówił, że rankami budzi się jakby zdrętwiały i bez możności zebrania myśli. Ale poranna kąpiel i staranne wygniatanie ciała przez wprawionych do tego niewolników, przyspieszało stopniowo obieg krwi, rozbudzało go, cucilo, wracało mu siły, tak, że z oleotekium, to jest z ostatniego kąpielowego przedziału, wychodził jeszcze jakby wskrzeszony, z oczyma błyszczącemi dowcipem i wesołością, odmłodzon, pełen życia, wykwintny, tak niedościgniony, że sam Otho ²⁾ nie mógł się z nim porównać — i prawdziwy, jak go nazywano: „arbiter elegantiarum“ ³⁾.

Po owej więc uczcie, wstawszy późno, zażywał, jak zwykle kąpieli. Dwaj ogromni balneatorzy ⁴⁾ złożyli go

¹⁾ Petroniusz, zwany Arbiter, jest postacią historyczną. Główne rysy jego charakteru i ważniejsze zdarzenia z życia nakreślił autor podług Tacyty, który w ks. 16 Annalów o nim wspomina. Był on autorem powieści obyczajowej, z której urywki dochowały się do naszych czasów; między nimi „Uczta Trymalchiona“ jest wyborną satyrą na ówczesne społeczeństwo. ²⁾ Był później, przez 3 miesiące, cesarzem. ³⁾ Sędzia dobrego smaku. ⁴⁾ Służba kąpielowa.

właśnie na cyprysowej „mensie“¹⁾, pokrytej śnieżnym egipskim bysem — i dłońmi maczanemi w wonnej oliwie, poczęli nacierać jego kształtne ciało — on zaś z zamkniętymi oczyma czekał aż ciepło laconicum²⁾ i ciepło ich rąk przejdzie w niego i usunie zeń znużenie.

Lecz po pewnym czasie przemówił — i, otworzywszy oczy, jął rozpytywać o pogodę, a następnie o gemmy³⁾, które jubiler Idomen obiecał mu przysłać na dzień dzisiejszy do obejrzenia... Pokazało się, że pogoda jest piękna, połączona z lekkim powiewem od gór Albańskich, i że gemmy nie przyszły. Petroniusz znów przymknął oczy i wydał rozkaz, by przeniesiono go do tepidarium, gdy wtem, z poza kotary, wychylił się „nomenclator“⁴⁾, oznajmiając, że młody Markus Winicyusz, przybyły świeżo z Azji Mniejszej, przyszedł go odwiedzić.

Petroniusz kazał wpuścić gościa do tepidarium⁵⁾, dokąd i sam się przeniósł. Winicyusz był synem jego starszej siostry, która przed laty wyszła za Marka Winicyusza, męża konsularnego z czasów tyberyuszowych. Młody służył obecnie pod Korbulonem przeciw Partom i po ukończonej wojnie wracał do miasta. Petroniusz miał dla niego pewną słabość, graniczącą z przywiązaniem, albowiem Markus był pięknym i atletycznym młodzieńcem, a zarazem umiał zachowywać pewną estetyczną miarę w zepsuciu, co Petroniusz cenil nad wszystko.

— Pozdrowienie Petroniuszowi — rzekł młody człowiek, wchodząc sprężystym krokiem do tepidarium; — niech wszyscy bogowie darzą cię pomyślnością, a zwłaszcza Asklepios⁶⁾ i Kipryda⁷⁾, albowiem pod ich podwójną opieką, nic złego spotkać cię nie może.

— Witaj w Rzymie i niech ci odpoczynek będzie słodki po wojnie — odrzekł Petroniusz, wyciągając rękę

1) Stół. 2) Kąpiel parowa. 3) Rzeźba wklęsła, służąca do ozdoby. 4) Niewolnik, który anonsował przybyłych. 5) Komnata dla transpiracyi za pośrednictwem ogrzanego powietrza. 6) Bożek zdrowia. 7) Afrodyta, u Rzymian Wenus.

z pomiędzy fałd miękkiej tkaniny, w którą był obwinięty. — Co słyhać w Armenii, co słyhać od ściany partyjskiej?

Winicyusz począł opowiadać o wojnie, lecz gdy Petroniusz przymknął powieki, młody człowiek, widząc jego znużoną i nieco wychudłą twarz, zmienił przedmiot rozmowy i jął wypytywać go z pewną troskliwością o zdrowie.

Petroniusz otworzył znów oczy.

Zdrowie!... Nie. On nie czuł się zdrów. Winicyusz oddał go oto pod opiekę Asklepiosa i Kiprydy. Ale on, Petroniusz, nie wierzy w Asklepiosa.

— Posłałem wprawdzie dwa lata temu do Epidaurus trzy tuziny żywych paszkotów i kubek złota, ale wiesz dlaczego: oto powiedziałem sobie: pomoże, nie pomoże, ale nie zaszkodzi. Jeśli ludzie składają jeszcze na świecie ofiary bogom, to jednak myślę, że wszyscy rozumują tak, jak ja. Wszyscy! z wyjątkiem może mulników, którzy zajmują się podróznym przy porta Kapena¹⁾. Prócz Asklepiosa miałem także do czynienia i z Asklepiadami, gdym zeszłego roku chorował. Wiedziałem, że to oszuści, ale również mówiłem sobie: co mi to szkodzi! Świat stoi na oszustwie, a życie jest złudzeniem. Dusza jest także złudzeniem. Trzeba mieć jednak tyle rozumu, by umieć rozróżnić złudzenia rozkoszne od przykrych. W mojem hypocaustum²⁾ każę palić cedrowem drzewem, posypywanem ambłą, bo wolę w życiu zapachy od zaduchów. Co do Kiprydy, to dobra bogini! Przypuszczam, że i ty także poniesiesz teraz prędzej czy później białe gołębie na jej ołtarz.

— Tak jest — rzekł Winicyusz. — Nie dosięgnęły mnie strzały Partów, ale trafił mnie grot Amora... najnie spodzianiej, o kilka stadyów od bramy miasta.

— Opowiesz mi to wolnym czasem — rzekł Petroniusz.

¹⁾ Brama południowa na Via Appia. ²⁾ Izba podziemna napełniona gorącym powietrzem.

— Właśnie przyszedłem zasięgnąć twej rady — odpowiedział Markus.

Lecz w tej chwili weszli niewolnicy, którzy zajęli się Petroniuszem, Markus zaś, zrzuciwszy tunikę, wstąpił do wanny z letnią wodą, albowiem Petroniusz zaprosił go do kąpieli.

— Ach, nie pytam nawet, czy masz wzajemność — odrzekł Petroniusz, spoglądając na młode, jakby wykute z marmuru, ciało Winicyusza. Gdyby Lizypp¹⁾ był cię widział, zdołałbyś teraz bramę wiodącą do Palatynu²⁾, jako posąg Herkulesa w młodzieńczym wieku.

Młody człowiek uśmiechnął się z zadowoleniem i począł nurzać się w wannie, wychlustywając przytem obficie ciepłą wodę na mozajkę, przedstawiającą Herę w chwili, gdy prosi Sen o uspienie Zeusa. Petroniusz patrzył na niego zadowolonym okiem artysty.

Lecz gdy skończył i oddał się z kolei epilatorom, wszedł „lector“ z puszką brązową na brzuchu i zwojami papieru w puszcze.

— Czy chcesz posłuchać? — spytał Petroniusz.

— Jeśli to twój utwór, chętnie! — odpowiedział Winicyusz — ale jeśli nie, wolę rozmawiać. Poeci łapią dziś ludzi na wszystkich rogach ulic.

— A jakże. Nie przejdiesz koło żadnej bazyliki³⁾, koło termów⁴⁾, koło biblioteki lub księgarni, żebyś nie ujrzał poety gestykującego, jak małpa. Ale to teraz takie czasy. Cezar pisuje wiersze, więc wszyscy idą w jego ślady. Nie wolno tylko pisywać wierszy lepszych od Cezara i z tego powodu boję się trochę o Lukana⁵⁾... Ale ja pisuję prozą, którą jednak nie częstuję ani samego sie-

¹⁾ Rzeźbiarz grecki, żyjący w IV wieku przed Chr. On jeden miał prawo rzeźbić portrety Aleksandra W. ²⁾ Wzgórze, na którym stał pałac Cezara. ³⁾ Gmach, w którym odbywały się sądy. ⁴⁾ Łazienie. ⁵⁾ M. A. Lucanus, autor eposu p. t. Pharsalia.

bie, ani innych. To, co lektor miał czytać, to są „codicilli“¹⁾, tego biednego Fabrycyusza Wejenta.

— Dlaczego „biednego“?

— Bo mu powiedziano, żeby zabawił się w Odysa i nie wracał do domowych pieleszy, aż do nowego rozporządzenia. Ta Odyssea o tyle mu będzie lżejszą, niż Odysseuszowi, że żona jego nie jest Penelopą. Nie potrzebuję ci zresztą mówić, że postąpiono głupio. Ale tu nikt inaczey rzeczy nie bierze, jak po wierzchu. To dość licha i nudna książka, którą zaczęto namiętnie czytać dopiero wówczas, gdy autor został wygnany. Czy ty słyszałeś historję Ruffinusa?

— Nie.

— To przejdźmy do frigidarium²⁾, gdzie wychłodziemy i gdzie ci ją opowiem.

Przeszli do frigidarium, na środku którego była fontanna, zabarwiona na kolor jasno-różowy i roznosząca woń fiołków. Tam siadłszy w niszach, wysłanych jedwabiem, poczęli się ochładzać. Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Petroniusz zapytał:

— Powiedz mi, czy ty nie pisujesz wierszy?

— Nie. Nie złożyłem nigdy całego heksametru.

— A nie grywasz na lutni i nie śpiewasz?

— Nie.

— A nie powozisz?

— Ścigałem się swego czasu w Antyochii, ale bez powodzenia.

— Tedy jestem o ciebie spokojny. A do jakiego stronnictwa należysz w hipodromie?

— Do Zielonych³⁾.

— Tedy jestem zupełnie spokojny, zwłaszcza, że posiadasz wprawdzie duży majątek, ale nie jesteś tak bogaty,

¹⁾ Tabliczki, związane na jednej krawędzi. podobne do naszych książek. ²⁾ Pokój dla kąpeli zimnych. ³⁾ Stronnictwo cyrkowe, do którego należał Nero.

jak Pallas albo Seneka ¹⁾). Bo widzisz, u nas teraz dobrze jest pisać wiersze, śpiewać przy lutni, deklamować i ścigać się w cyrku, ale jeszcze lepiej, a zwłaszcza bezpieczniej jest nie pisywać wierszy, nie grać, nie śpiewać i nie ścigać się w cyrku. Najlepiej zaś jest umieć podziwiać, gdy co czyni Miedzianobrody ²⁾). Ale, ale, miałeś mi opowiedzieć o grotach Amora.

Winicyusz podniósłszy żywo głowę, rzekł:

— Wybiwszy rękę pod miastem, spędziłem kilkanaście dni w domu Aulusa Plaucyusza. Zdarzyło się, że Plaucyusz nadszedł w chwili wypadku i widząc, że cierpię bardzo, zabrał mnie do siebie, tam zaś niewolnik jego, lekarz Meryon, przyprowadził mnie do zdrowia. O tem właśnie chciałem z tobą mówić.

— Dlaczego? Czy nie zakochałeś się wypadkiem w Pomponii?

— Nie w Pomponii — eheu! — rzekł Winicyusz.

— Zatem w kim?

Gdybym ja sam wiedział w kim? Ale ja nie wiem nawet dobrze, jak jej imię: Ligia czy Kallina? Nazywają ją w domu Ligią, gdyż pochodzi z narodu Ligów, a ma swoje barbarzyńskie imię: Kallina. Dziwny to dom tych Plaucyuszów. Rojno w nim, a eicho, jak w gajach w Subiacum ³⁾). Przez kilkanaście dni nie wiedziałem, że mieszka w nim bóstwo. Aż raz o świcie zobaczyłem ją myjącą się w ogrodowej fontannie. I przysięgam ci na tę pianę, z której powstała Afrodyta, że promienie zorzy przechodziły na wylot przez jej ciało. Myślałem, że gdy słońce zejdzie, ona rozplynie mi się w świetle, jak rozplływa się jutrzienka. Od tej pory widziałem ją dwukrotnie i od tej pory również nie wiem co spokój, nie wiem co inne pragnienia, nie chcę wiedzieć, co może mi dać miasto, nie chcę ko-

¹⁾ Filozof i poeta dramatyczny, nauczyciel Nerona. ²⁾ Ahenobarbus; tak nazywano Nerona dla jego rudego zarostu. ³⁾ Miejsco-
wość, niedaleko Rzymu. sławna z pięknych widoków.

biet, nie chcę złota, nie chcę korynckiej miedzi, ani burztynu, ani perłowca, ani wina, ani uczt, tylko chcę Ligii. Mówię ci szczerze, Petroniuszu, że tęsknię za nią, po całych dniach i nocach.

— Jeśli to niewolnica, to ją odkup.

— Ona nie jest niewolnicą.

— Czemże jest? Wyzwolenicą Plaucyusza?

— Nie będąc nigdy niewolnicą, nie mogła być wyzwolona.

— Więc?

— Nie wiem: córką królewską, lub czemś podobnem.

— Zaciekawiasz mnie, Winicyuszu.

— Lecz jeśli zechcesz mnie posłuchać, zaraz zaspokoję twoją ciekawość. Historia nie jest zbyt długa. Ty może osobiście znałeś Wanniusza, króla Swewów, który, wypędzony z kraju, długi czas przesiadywał tu w Rzymie, a nawet wslawił się szczęśliwą grą w kości i dobrem powożeniem. Cezar Druzus wprowadził go znów na tron. Wanniusz, który był w istocie rzeczy tegim człowiekiem, rządził z początku dobrze i prowadził szczęśliwe wojny, później jednak począł nadto łupić ze skóry nie tylko sąsiadów, ale i własnych Swewów. Wówczas Wangio i Sido, dwaj jego siostrzeńcy, a synowie Wibiliusza, króla Hermandurów, postanowili zmusić go, by znów pojechał do Rzymu... próbować szczęścia w kości.

— Pamiętam, to Klaudyuszowe, niedawne czasy.

— Tak! Wybuchła wojna. Wanniusz wezwał na pomoc Jazygów, jego zaś mili siostrzeńcy Ligów, którzy, zasłyszawszy o bogactwach Wanniusza i zwabieni nadzieją łupów, przybyli w takiej liczbie, iż sam cesarz Klaudyusz począł obawiać się o spokój granicy. Klaudyusz nie chciał mieszać się w wojny barbarzyńców, napisał jednak do Ateliusza Histera, który dowodził legią naddunajską, by zwracał pilne oko na przebieg wojny i nie pozwolił zamącić naszego pokoju. Hister zażądał wówczas od Ligów, by przyrzekli, iż nie przekroczą granicy, na co nie tylko

zgodzili się, ale dali zakładników, między którymi znajdowała się żona i córka ich wodza... Wiadomo ci, że barbarzyńcy wyciągają na wojny z żonami i dziećmi... Otóż moja Ligia jest córką owego wodza.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Mówił mi to sam Aulus Plaucyusz. Ligowie nie przekroczyli istotnie wówczas granicy, ale barbarzyńcy przychodzą jak burza i uciekają jak burza. Tak znikli i Ligowie, razem ze swymi turzymi rogami na głowach. Zbili wanniuszowych Swewów i Jazygów, ale król ich poległ, zaczęli odeszli z łupami, a zakładniczki zostały w rękę Histera. Matka wkrótce umarła, dziecko zaś Hister, nie wiedząc co z niem robić, odesłał do rządcy całej Germanii, Pomponiusza. Ów, po ukończeniu wojny z Kattami, wrócił do Rzymu, gdzie Klaudyusz, jak wiesz, pozwolił mu odprawić tryumf. Dziewczyna szła wówczas za wozem zwycięzcy, ale po skończonej uroczystości, ponieważ zakładniczki nie można było uważać za branke, z kolei i Pomponiusz nie wiedział co z nią zrobić, a wreszcie oddał ją swej siostrze, Pomponii Grecynie, żonie Plaucyusza. W tym domu, gdzie wszystko, począwszy od panów, a skończywszy na drobiu w kurniku, jest cnotliwe, wyrosła na dziewicę, niestety, tak cnotliwą, jak sama Grecyna, a tak piękną, że nawet Poppea¹⁾ wyglądałaby przy niej, jak jesienna figa przy jabłku hesperyjskiem.

— I co?

— I powtarzam ci, że od chwili, gdy widziałem, jak promienie przechodziły przy fontannie nawskróś przez jej ciało, zakochałem się bez pamięci.

— Jest więc tak przezroczyista jak młoda sardynka?

— Nie żartuj Petroniuszu, a jeśli cię ludzi swoboda, z jaką ja sam o mojej miłości mówię, wiedz o tem, że jaskrawa suknia częstokroć głębokie rany pokrywa. Muszę ci powiedzieć, że wracając z Azyi, przespaliśmy jedną noc

¹⁾ Żona Nerona.

w świątyni Mopsusa ¹⁾, aby mieć sen wróżebny. Otóż we śnie pojawił mi się sam Mopsus i zapowiedział, że w życiu mojem nastąpi wielka przemiana przez miłość.

— Słyszałem, jak Pliniusz mówił, że nie wierzy w bogów, ale wierzy w sny i być może, że ma słuszość.

— Ach, Petroniuszu! Łatwiej na świecie o filozofię, niż o dobrą radę.

— Powiedz mi, czego ty właściwie chcesz?

— Chcę mieć Ligię. Gdyby była niewolnicą, dałbym za nią Aulusowi sto dziewcząt z nogami pobielonemi wapnem ²⁾. Chcę ją mieć w domu moim dopóty, dopóki głowa moja nie będzie tak białą, jak szczyt Soracte w zimie.

— Ona nie jest niewolnicą, ale ostatecznie należy do „familii“ ³⁾ Plaucyusza, a ponieważ jest dzieckiem opuszczonem, może być uważana jako „alumna“ ⁴⁾. Plaucyusz mógłby ci ją odstąpić, gdyby chciał.

— To chyba nie znasz Pomponii Grecyny. Zresztą oboje przywiązali się do niej, jak do własnego dziecka.

— Pomponię znam. Istny cyprys. Gdyby nie była żoną Aulusa, możnaby ją wynajmować jako płaczkę. Od śmierci Julii nie zrzuciła ciemnej stoli i wogóle wygląda, jakby za życia jeszcze chodziła po łące, porosłej asfodelami ⁵⁾. Jest przytem „univira“, a więc między naszymi cztero i pięciokrotnemi rozwódkami jest zarazem Fenixem...⁶⁾ Ale!... czy słyszałeś, że Fenix jakoby naprawdę wylągl się teraz w górnym Egipcie, co mu się zdarza nie częściej, jak raz na pięćset lat?

— Petroniuszu! Petroniuszu! o Fenixie pogadamy kiedyindziej.

— Cóż ja ci powiem, mój Marku. Znam Aula Plaucy-

¹⁾ Grecki wróżbita z czasów wyprawy Argonautów. ²⁾ Na znak, że je pierwszy raz wystawiono na sprzedaż. ³⁾ Niewolnicy należący do jednego pana, stanowili razem „familję“. ⁴⁾ Wychowanka. ⁵⁾ Kwiaty rosnące na polach elizejskich. ⁶⁾ Ptak bajeczny, który miał się odradzać z własnych popiołów.

sza, który, lubo nagania mój sposób życia, ma do mnie pewną słabość, a może nawet szanuje mnie więcej od innych, wie bowiem, że nie byłem nigdy donosicielem, jak naprzykład Domicyusz Afer, Tygellinus i cała zgraja przyjaciół Ahenobarba. Nie udając przytem stoika, krzywiłem się jednak nieraz na takie postęпки Nerona, na które Seneka i Burrhus ¹⁾ patrzyli przez szpary. Jeśli sądzisz, że mogę coś dla ciebie u Aulusa wyjednać, — jestem na twoje usługi.

— Sądzę, że możesz. Ty masz na niego wpływ, a przytem umysł twój posiada niewyczerpane sposoby. Gdybyś się rozejrzał w położeniu i pomówił z Plaucyuszem...

— Zbytne masz pojęcie o moim wpływie i o dowcipie, ale jeśli tylko o to chodzi, pomówię z Plaucyuszem, jak tylko przeniosą się do miasta.

— Oni wrócili dwa dni temu.

— W takim razie pójdźmy do triclinium ²⁾, gdzie czeka na nas śniadanie, a następnie, nabrawszy sił, każemy się zanieść do Plaucyusza.

— Zawsześ mi był miły — odrzekł na to z żywością Winicyusz — ale teraz każę chyba ustawić wśród moich larów twój posąg — ot, taki piękny, jak ten — i będę mu składał ofiary.

To rzekłszy, zwrócił się w stronę posągów, które zdobiły całą jedną ścianę wonnej świetlicy i wskazał ręką na posąg Petroniusza, przedstawiający go jako Hermesa, z posochem w dłoni.

Poczem dodał:

— Na światło Heliosa! jeśli „boski“ Alexander był do ciebie podobny, — nie dziwić się Helenie.

I w okrzyku tym było tyleż szczerości, ile pochlebstwa, Petroniusz bowiem, lubo starszy i mniej atletyczny, piękniejszy był nawet od Winicyusza.

¹⁾ Prefekt pretoryanów w początkach panowania Nerona. ²⁾ Jadalnia.

II.

Odwiedziny u Aulusów.

Po posiłku, który zwał się śniadaniem, a do którego dwaj towarzysze zasiedli wówczas, gdy zwykle śmiertelni byli już dawno po południowem prandium ¹⁾, Petroniusz zaproponował lekką drzemkę. Według niego pora była jeszcze za wczesna na odwiedziny. Są wprawdzie ludzie, którzy poczynają odwiedzać znajomych o wschodzie słońca, uważając w dodatku zwyczaj ten za stary, rzymski. Ale on, Petroniusz, uważa go za barbarzyński. Godziny popołudniowe są najwłaściwsze, nie wcześniej jednak, zanim słońce nie przejdzie w stronę świątyni Jowisza kapitolńskiego i nie pocznie patrzeć z ukosa na Forum. Jesienią bywa jeszcze gorąco i ludzie radzi śpią po jedzeniu. Tymczasem miło jest posłuchać szumu fontanny w atrium i po obowiązkowym tysiącu kroków, zdrzemnąć się w czerwonym świetle, precedzonym przez purpurowe, nawpół zaciągnięte velarium ²⁾.

Winicyusz uznał słusność jego słów i poczęli się przechadzać, rozmawiając w sposób niedbały o tem, co słychać na Palatynie i w mieście, a potrochu filozofując nad życiem. Poczem Petroniusz udał się do cubiculum ³⁾,

¹⁾ Obiad. ²⁾ Zasłona nad otworem w atrium. ³⁾ Sypialnia i pokój mały bez okien, wychodzący na atrium.

lecz nie spał długo. Po upływie pół godziny wyszedł i, kazawszy sobie przynieść werweny, począł ją wachać i nacierać sobie nią ręce i skronie.

— Nie uwierzysz — rzekł — jak to ożywia i otrzeźwia. Teraz jestem gotów.

Lektyka czekała już od dawna, więc wsiedli i kazali się ponieść na Vicus Patricius, do domu Aulusa.

Olbrzymi Murzyni ponieśli lektykę i ruszyli, poprzędzani przez niewolników, zwanych pedisequi. Petroniusz przez czas jakiś podnosił w milczeniu swe dłonie, pachnące werweną, ku nozdrzom i zdawał się nad czemś namyślać, po chwili zaś rzekł:

— Przychodzi mi do głowy, że jeśli twoja leśna boginka nie jest niewolnicą, tedy mogłaby porzucić dom Plaucyuszów, a przenieść się do twego.

Markus potrząsnął głową.

— Nie? — pytał Petroniusz. — W najgorszym razie sprawa oparłaby się o cezara, a możesz być pewny, że, choćby dzięki moim wpływom, nasz Miedzianobrody byłby po twojej stronie.

— Nie znasz Ligii! — odparł Winicyusz.

— To pozwólże się zapytać, czy ty ją znasz — inaczej, jak z widzenia? Mówiłżeś z nią? wyznałżeś jej swą miłość?

— Widziałem ją naprzód przy fontannie, a potem spotkałem ją dwukrotnie. Pamiętaj, że podczas pobytu w domu Aulusów mieszkałem w bocznej willi, przeznaczonej dla gości — i, mając wybitą rękę, nie mogłem zasiadać do wspólnego stołu. Dopiero w wigilię dnia, na który zapowiedziałem swój odjazd, spotkałem Ligię przy wieczerzy — i nie mogłem słowa do niej przemówić. Musiałem słuchać Aulusa i jego opowiadań o zwycięstwach, jakie odniósł w Brytanii. Drugi raz spotkałem ją koło ogrodowej cysterny, ze świeżo wyrwaną trzcina w rękę, którą zanurzała kiścią w wodzie i skrapiała rosnące wokół irysy. Spójrz na moje kolana. Na tarczę Herakla,

mówię ci, że nie drżały, gdy na nasze maniple ¹⁾ szły z wyciem chmury Partów, ale drżały przy owej cysternie. I, zmieszany, jak pacholę, które nosi jeszcze bullę ²⁾ na szyi, oczyma tylko zebrałem litości, długo nie mogąc słowa przemówić.

Petroniusz spojrział na niego jakby z pewną zazdrością, po chwili zaś spytał:

— I nie przemówiłeś do niej?

— Owszem. Oprzytomniawszy nieco, rzekłem, że wracam z Azyi, żem wybił rękę pod miastem i cierpiałem srodze, ale w chwili, gdy mi przychodzi porzucić ten dom gościnny, widzę, że cierpienie w nim więcej jest warte, niż gdzieindziej rozkosz, — choroba więcej, niż gdzieindziej zdrowie. Ona słuchała słów moich także zmieszana i ze schyloną głową, kreśląc coś trzcina na szafrannym piasku. Poczem podniosła oczy, raz jeszcze spojrziała na owe skreślone znaki, raz jeszcze na mnie, jakby chcąc o coś spytać — i nagle uciekła, jak hamadryada ³⁾ przed głupowatym faunem.

— Musi mieć piękne oczy.

— Jak morze, — i utonąłem w nich też jak w morzu. Wierz mi, że Archipelag mniej jest błękitny. Po chwili przybiegł mały Plaucyusz i począł o coś pytać. Ale ja nie rozumiałem, o co mu chodzi.

— A co skreśliła na piasku? Czy nie imię Amora, czy nie serce przeszyte jego grotem, lub nie coś podobnego? Jak można było nie spojrzeć na te znaki.

— Dawniej wdziałem togę ⁴⁾, niż myślisz — rzekł Winicyusz — i zanim nadbiegł mały Aulus, patrzyłem pilnie na te znaki. Wszakże wiem, że i w Grecyi i w Rzymie nieraz dziewczęta kreślą na piasku wyznania, których nie chcą wymówić ich usta... Ale zgadnij, co nakreśliła?

¹⁾ Oddział wojska liczący 200 ludzi. ²⁾ Futeralik, w którym mieścił się talizman przeciw urokom. ³⁾ Nimfa leśna. ⁴⁾ Ukończony 17 lat młodzieniec zrzucał togę bramowaną a wdziewał męską, gładką (virilis).

— Jeśli co innego, niż przypuszczałem, to nie zgadnę.

— Rybę.

— Jak powiadasz?

— Powiadam: rybę. Czy miało to znaczyć, że w żyłach jej zimna dotąd krew płynie? — nie wiem! Ale ty, zapewne potrafisz lepiej ten znak zrozumieć?

— Carissime? o taką rzecz spytaj Pliniusza. On się zna na rybach. Gdyby stary Apicyusz żył jeszcze, możeby ci także umiał coś o tem powiedzieć, albowiem zjadł w ciągu życia więcej ryb, niż może ich od razu pomieścić zatoka Neapolitańska.

Lecz dalsza rozmowa urwała się, wniesiono ich bowiem na rojne ulice, na których przeszkadzał jej gwar ludzki. Przez Vicus Apollinis skręcili na Forum Romanum, gdzie w dnie pogodne, przed zachodem słońca, gromadziły się tłumy próżniaczej ludności, by przechadzać się wśród kolumn, opowiadać nowiny i słuchać ich, widzieć przenoszone lektyki ze znakomitymi ludźmi, a wreszcie zaglądać do sklepów złotniczych, do księgarni, do sklepów, w których zmieniano monetę, do bławatnych, bronzowniczych i wszelkich innych, których pełno było w domach, obejmujących część rynku, położoną naprzeciw Kapitolu. Połowa Forum, leżąca tuż pod wiszarami zamku, pogrążona była już w cieniu, natomiast kolumny położonych wyżej świątyń złociły się w blasku i na błękicie. Leżące niżej rzucały wydłużone cienie na marmurowe płyty, — wszędzie zaś było ich tak pełno, że oczy gubiły się wśród nich jak w lesie. Zdawało się, że tym budowlom i kolumnom aż ciasno koło siebie. Piętrzyły się jedne nad drugimi, biegły w prawo i w lewo, wdzierały się na wzgórze, tuliły się do zamkowego muru lub jedne do drugich. W środku rynku i po brzegach płynęła rzeka ludzka: tłumy przechadzały się pod łukami bazyliki Juliusza Cezara, tłumy siedziały na schodach Kastora i Polluxa i kręciły się koło świątyni Westy, podobne na tem wielkiem marmurowem tle do różnokolorowych rojów motyli lub

żuków. Z góry, przez ogromne stopnie, od strony świątyni, poświęconej „Jovi optimo, maximo“, napływały nowe fale; przy Rostrach ¹⁾ słuchano jakich przygodnych mówców; tu i owdzie słychać było okrzyki przekupniów, sprzedających owoce, wino lub wodę, pomieszaną z figowym sokiem; oszustów, polecających cudowne lekarstwa, wróżbitów, odgadywaczy ukrytych skarbów, tłumaczów snów. Gdzieniedzie z gwarem rozmów i nawoływań mieszały się dźwięki sistry ²⁾; egipskiej sambuki lub greckich fleatów. Gdzieniedzie chorzy, pobożni lub stroskani, nieśli do świątyni ofiary. Wśród ludzi na kamiennych płytach, zbierały się chciwe na ofiarne ziarno, podobne do ruchomych, pstrych i ciemnych plam, stadka gołębi, to wzbijając się chwilowo z rozgłośnym szumem skrzydeł w górę, to znów zapadając na opróżnione przez tłum miejsca. Od czasu do czasu gromady ludzkie rozstępowały się przed lektykami, w których widać było wykwintne twarzy kobiece lub głowy senatorów i rycerzy, o rysach jakby zakrzepłych i wyniszczonych życiem. Różnojęzyczna ludność powtarzała w głos ich imiona z dodatkiem przydomków, szyderstw lub pochwał. Między bezładnymi grupami przeciskały się czasem postępujące miarowym krokiem oddziały żołnierzy lub wigilów, czuwających nad ulicznym porządkiem. Język grecki dawał się słyszeć naokół równie często, jak łaciński.

Petroniusz dobrze był znany przez te tłumy. O uszy Winicyusza obijało się ustawicznie: „Hic est!“ — „to on!“ — Lubiono go za hojność, a zwłaszcza popularność jego wzrosła od czasu, gdy dowiedziano się, że przemawiał przed Cezarem przeciw wyrokowi śmierci, wydanemu na całą „rodzinę“, to jest na wszystkich bez różnicy płci i wieku niewolników prefekta Pedaniusza Sekunda, za to, iż jeden z nich zabił tego okrutnika w chwili rozpaczki. Petroniusz powtarzał wprawdzie głośno, że mu to było

¹⁾ Mównice. ²⁾ Instrument w rodzaju grzechotki.

wszystko jedno, i że przemawiał do Cezara tylko prywatnie, jako arbiter elegantiarum, którego estetyczne uczucią oburzała owa barbarzyńska rzeź, godna jakichś Scytów, nie Rzymian. Niemniej lud, który wzburzył się z powodu tej rzezi, kochał od tej pory Petroniusza.

Lecz on o to nie dbał. Pamiętał, że ten lud kochał także i Brytanika¹⁾, którego Nero otruł i Agrypinę²⁾, którą kazał zamordować — i Oktawię, którą na Pandatarji uduszono, po uprzednim otwarciu jej żył w gorącej parze i Trazeasza³⁾, któremu każde jutro mogło przynieść wyrok śmierci. Miłość ludu mogła być uważana raczej za złą wróżbę, a sceptyczny Petroniusz był zarazem przesądny. Tłumem gardził podwójnie: i jako arystokrata i jako esteta. Ludzie pachnący prażonym bobem, który nosili w zanadrzu, a przytem wiecznie schrypnięci i spotnieli od gry w morę⁴⁾ po rogach ulic i perystylach, nie zasługiwali w jego oczach na miano ludzi.

Nie odpowiadając też wcale ani na oklaski, ani na posyłane tu i owdzie od ust pocałunki, opowiadał Markowi sprawę Pedaniusza, drwiąc przytem ze zmienności ulicznej hałastry, która, nazajutrz po groźnem wzburzeniu, oklaskiwała Nerona, przejeżdżającego do świątyni Jowisza Statora. Lecz przed księgarnią Awirnusa kazał się zatrzymać i, wysiadłszy, zakupił ozdobny rękopism, który oddał Winicyuszowi.

— To podarek dla ciebie — rzekł.

— Dzięki! — odrzekł Winicyusz. Poczem spojrzawszy na tytuł, zapytał:

— Satyricon? To coś nowego. Czyje to?

¹⁾ Syn Klaudyusza a brat Oktawii, pierwszej żony Nerona.

²⁾ Matka Nerona. ³⁾ Thrasea Paulus, jedyny z senatorów, który nie pochwalił Nerona za zabicie matki. ⁴⁾ Istnieje dotychczas,

a polega na tem, że siedzący naprzeciw siebie gracze równocześnie szybko otwierają złożone w pięść dłonie i zgadują głośno ilość palców wyciągniętych przez obu.

— Moje. Ale ja nie chcę iść śladem Ruffinusa, którego historię miałem ci opowiedzieć, ani też śladem Fabrycyusza Wejenta, dlatego nikt o tem nie wie, ty zaś nikomu nie mów.

— A mówieś, że nie piszesz wierszy — rzekł Winicyusz, zaglądając do środka — tu zaś widzę prozę, gęsto nimi przeplataną.

— Jak będziesz czytał, zwróć uwagę na ucztę Trymalehiona¹⁾. Co do wierszy — zbrzydły mi od czasu, jak Nero pisze epos. Witeliusz, widzisz, chcąc sobie ulżyć, używa pałeczki z kości słoniowej, którą zasuwa sobie w gardło; inni posługują się piórami flamingów, maczanymi w oliwie lub w odwarze macierzanki — ja zaś odczytuję poezye Nerona — i skutek jest natychmiastowy. Mogę je potem chwalić, jeśli nie z czystym sumieniem, to z czystym żołądkiem.

Niebawem znaleźli się przed mieszkaniem Aulusa. Młody i tęgi „ianitor“²⁾ otworzył im drzwi wiodące do ostium³⁾, nad któremi sroka, zamknięta w klatce, witała ich wrzaskliwie słowem: „salve!“⁴⁾.

Po drodze z drugiej sieni, zwanej ostium, do właściwego atrium⁴⁾, Winicyusz rzekł:

— Czyś zauważył, że odźwierny tu bez łańcuchów?

— To dziwny dom — odpowiedział półgłosem Petroniusz. — Pewno ci wiadomo, że Pomponię Grecynę podejrzewano o wyznawanie wschodniego zabobonu, polegającego na czci jakiegoś Chrestosa. Zdaje się, że przysłużyła się jej Kryspinilla, która nie może darować Pomponii, że jeden mąż wystarczył jej na całe życie. — Univira!... Łatwiej dziś w Rzymie o półmisek rydzów z Noricum. Sądono ją sądem domowym...

¹⁾ Satyra Petroniusza pod tym tytułem. ²⁾ Odźwierny. ³⁾ Przed-sionek. ⁴⁾ Salon w domu rzymskim, oświetlony z góry otworem, pod którym w podłodze był zbiornik wody deszczowej (impluvium).

— Masz słusznosc, że to dziwny dom. Później opowiem ci, com tu słyszał i widział.

Tymczasem znaleźli się w atrium. Przełożony nad nim niewolnik, zwany atriensis, wysłał nomenklatora, by oznajmił gości, jednocześnie zaś służba podsunęła im krzesła i stołeczki pod nogi. Petroniusz, który, wyobrażając sobie, że w tym surowym domu panuje wieczny smutek, nigdy w nim nie bywał, spoglądał naokół z pewnem zdziwieniem i jakby z poczuciem zawodu, albowiem atrium czyniło raczej wesołe wrażenie. Z góry, przez duży otwór, wpadał snop jasnego światła, łamiącego się w tysiące skier na wodotrysku. Kwadratowa sadzawka z fontanną w środku, przeznaczona do przyjmowania dżdżu, wpadającego w czasie niepogody przez górny otwór, a zwana impluvium, otoczona była anemonami i liliami. Szczególnie w liliach widocznie kochano się w domu, gdyż były ich całe kępy, i białych, i czerwonych, i wreszcie szafirowych irysów, których delikatne płatki były jakby posrebrzone od wodnego pyłu. Wśród mokrych mchów, w których ukryte były donice z liliami, i wśród pęków liści, widniały bronzowe posążki, przedstawiające dzieci i ptactwo wodne. W jednym rogu odlana również z bronzu łania, pochylała swą zaśniedziałą od wilgoci, zielonawą głowę ku wodzie, jakby się chciała napić. Podłoga atrium była z mozaiki; ściany, częścią wykładane czerwonym marmurem, częścią malowane w drzewa, ryby, ptaki i gryfy, nęciły oczy grą kolorów. Odrzwia do bocznych izb zdobne były żółwiowcem lub nawet kością słoniową; przy ścianach, między drzwiami, stały posągi przodków Aulusa. Wszędy znać było spokojny dostatek, daleki od zbytku, ale szlachetny i pewny siebie.

Petroniusz, który mieszkał nierównie okazalej i wykwintniej, nie mógł tu jednak znaleźć żadnej rzeczy, któraby razila jego smak — i właśnie zwrócił się z tą uwagą do Winicyusza, gdy wtem niewolnik „velarius“ odsunął

kotarę, dzielącą atrium od tablinum¹⁾, i w głębi domu ukazał się nadchodzący śpiesznie Aulus Plaucyusz.

Był to człowiek zbliżający się do wieczornych dni życia, z głową pobieloną szronem, ale ezerstwy, o twarzy energicznej, nieco za krótkiej, ale też nieco podobnej do głowy orła. Tym razem malowało się na niej pewne zdziwienie, a nawet niepokój, z powodu niespodziewanego przybycia Neronowego przyjaciela, towarzysza i zausznika.

Lecz Petroniusz był nadto światowcem i nadto bystrym człowiekiem, by tego nie zauważyć, zatem, po pierwszych powitaniach, oznajmił z całą wymową i swobodą, na jaką było go stać, że przychodzi podziękować za opiekę, jakiej w tym domu doznał syn jego siostry, i że jedynie wdzięczność jest powodem jego odwiedzin, do których zresztą ośmieliła go dawna z Aulusem znajomość.

Aulus zapewnił go ze swojej strony, iż miłym jest gościem, a co do wdzięczności, oświadczył, że sam się do niej poczuwa, chociaż zapewne Petroniusz nie domyśla się jej powodów.

Jakoż Petroniusz nie domyślał się ich rzeczywiście. Próżno, podniósłszy swe orzechowe oczy w górę, biedził się, by sobie przypomnieć najmniejszą usługę, oddaną Aulusowi lub komukolwiek. Nie przypomniał sobie żadnej, prócz tej chyba, którą zamierzał wyświadczyć Winicyuszowi. Mimowoli, mogło się wprawdzie coś podobnego zdarzyć, ale tylko mimowoli.

— Kocham i cenię bardzo Wespazyana²⁾ — odrzekł Aulus — któremu uratowałeś życie, gdy raz zdarzyło mu się nieszczęście usnąć przy słuchaniu wierszy Cezara.

— Zdarzyło mu się szczęście — odrzekł Petroniusz — bo ich nie słyszał, nie przeczę jednak, że mogło się ono skończyć nieszczęściem. Miedzianobrody chciał mu ko-

¹⁾ Sala otwarta, w tylnej stronie atrium, służyła panu za pracownię. ²⁾ Późniejszy cesarz.

niecznie posłać centuryona z przyjacielskiem zleceniem, by sobie otworzył żyły.

— Ty zaś, Petroniuszu, wyśmiałeś go.

— Tak jest, a raczej przeciwnie: powiedziałem mu, że, jeśli Orfeusz umiał pieśnią usypiać dzikie bestye, jego tryumf jest równy, skoro potrafił usnąć Wespazyana. Ahenobarbowi można przyganiać pod warunkiem, żeby w małej przyganie mieściło się wielkie pochlebstwo. Nasza miłościwa Augusta, Poppea, rozumie to doskonale.

— Niestety, takie to czasy — odrzekł Aulus. — Brak mi na przodzie dwóch zębów, które mi wybił kamień, rzucony ręką Brytona, i przez to mowa moja stała się świszczącą, a jednak najszcześniejsze chwile mego życia spędziłem w Brytanii...

— Bo zwycięskie — dorzucił Winicyusz.

Lecz Petroniusz, zląkwszy się, by stary wódz nie zaczął opowiadać o dawnych swych wojnach, zmienił przedmiot rozmowy. Oto w okolicy Praeneste wieśniacy znaleźli martwe wileze szczenię o dwu głowach, w czasie zaś onegdejszej burzy piorun oberwał narożnik w świątyni Luni, co było rzeczą, ze względu na spóźnioną jesień, niesłychaną. Niejaki też Kotta, który mu to opowiadał, dodawał zarazem, iż kapłani tejże świątyni przepowiadają z tego powodu upadek miasta, lub co najmniej ruinę wielkiego domu, która tylko nadzwyczajnymi ofiarami da się odwrócić.

Aulus, wysłuchawszy opowiadania, wyraził zdanie, że takich oznak nie można jednak lekceważyć. Że bogowie mogą być zgniewani przebraną miarą zbrodni, w tem nie masz nic dziwnego — a w takim razie ofiary błagalne są zupełnie na miejscu.

Na to Petroniusz rzekł:

— Twój dom, Plaucyuszu, nie jest zbyt wielki, choć mieszka w nim wielki człowiek; mój jest wprawdzie za duży na tak lichego właściciela, ale również mały. A jeśli chodzi o ruinę jakiegoś, tak wielkiego, jak naprzykład

„domus transitoria“¹⁾, to czy opłaci się nam składać ofiary, by tę ruinę odwrócić?

Plaucyusz nie odpowiedział na to pytanie, która to ostrożność dotknęła nawet nieco Petroniusza, albowiem, przy całym swym braku poczucia różnicy między złem a dobrem, nie był nigdy donosicielem, i można z nim było rozmawiać z zupełnem bezpieczeństwem. Zaczem zmienił znów rozmowę i począł wychwalać mieszkanie Plaucyuszowe, oraz dobry smak, panujący w domu.

— Stara to siedziba — odrzekł Plaucyusz — w której nie nie zmieniłem od czasu, jakem ją odziedziczył.

Po odsunięciu kotary, dzielącej atrium od tablinum, dom otwarty był na przestrzał, tak, że przez tablinum, przez następny perystyl i leżącą za nim salę, zwaną oecus, wzrok biegł aż do ogrodu, który widniał zdala, jak jasny obraz, ujęty w ciemną ramę. Wesole dziecinne śmiechy dolatywały stamtąd do atrium.

— Ach, wodzu — rzekł Petroniusz — pozwól nam posłuchać z blizka tego szczerego śmiechu, o który dziś tak trudno.

— Chętnie — odrzekł, powstając, Plaucyusz. — To mój mały Aulus i Ligia bawią się w piłki. Ale, co do śmiechu, mniemam, Petroniuszu, że całe życie schodzi ci na nim.

— Życie jest śmiechu warte, więc się śmieję — odpowiedział Petroniusz — tu jednak śmiech brzmi inaczej.

— Petroniusz — dodał Winicyusz — nie śmieje się zresztą po całych dniach, ale raczej po całych nocach.

Tak rozmawiając, przeszli przez długość domu i znaleźli się w ogrodzie, gdzie Ligia i mały Aulus bawili się piłkami, które niewolnicy, wyłącznie do tej zabawy przeznaczeni, zwani spheristae, zbierali z ziemi i podawali im

¹⁾ Pałac Nerona rozpościerał się na Palatynie, a zapomocą budynków przechodnich (domus transitoria) ciągnął się aż do Eskwilinu.

do rąk. Petroniusz rzucił szybkie, przelotne spojrzenie na Ligię, mały Aulus, ujrzawszy Winicyusza, przybiegł się z nim witać, ów zaś, przechodząc, schylił głowę przed piękną dziewczyną, która stała z piłką w ręku, z włosami nieco rozwianymi, trochę zdyszana i zarumieniona.

Lecz w ogrodowym triclinium, zacienionem przez bluszcze, winograd i kozie ziele, siedziała Pomponia Grecyna, poszli się więc z nią witać. Petroniusz nie mógł oprzeć się pewnemu podziwowi, jakim przejmowała go jej twarz smutna, ale pogodna, szlachetność jej postawy, ruchów, słów. Pomponia mąciła do tego stopnia jego pojęcie o kobietach, że ów zepsuty do szpiku kości i pewny siebie, jak nikt w całym Rzymie, człowiek, nie tylko od czuwał dla niej pewien rodzaj szacunku, ale nawet tracił poniekąd pewność siebie. I teraz oto, dziękując jej za opiekę nad Winicyuszem, wtrącał jakby mimowoli wyraz: „domina“, który nigdy nie przychodził mu na myśl, gdy naprzykład rozmawiał z Kalwią, Kryspinillą, ze Skrybonią, z Waleryą, Soliną i innymi niewiastami z wielkiego świata.— Po przywitaniu i złożeniu podzięków, począł też zaraz narzekać, że Pomponię widuje się tak rzadko, że jej nie można spotkać ni w cyrku, ni w amfiteatrze, na co odpowiedziała mu spokojnie, położywszy dłoń na dłoni męża:

— Starzejemy się i oboje lubimy coraz więcej domowe zacisze.

Petroniusz jął przeczyć temu, co mówiła o starości: „Ludzie starzeją się wprawdzie prędko, ale tacy, którzy żyją zgoła innym życiem, a oprócz tego są twarze, o których Saturn zdaje się zapominać“. — Petroniusz mówił to z pewną nawet szczerością, albowiem Pomponia Grecyna, jakkolwiek schodziła z południa życia, zachowała niezwykłą świeżość cery, a że głowę miała małą i twarz drobną, chwilami więc, mimo swej ciemnej sukni, mimo powagi i smutku, czyniła wrażenie kobiety zupełnie młodej.

Tymczasem mały Aulus, który podczas pobytu Winicyusza w domu zaprzyjaźnił się był z nim nadzwyczajnie,

zbliżywszy się, począł go zapraszać do gry w piłkę. Za chłopcem weszła do triclinium i Ligia. Pod franką bluszczów, ze świeatełkami, drgającemi na twarzy, wydała się teraz Petroniuszowi ładniejszą, niż na pierwszy rzut oka, a istotnie podobną do jakiejś nimfy. Że zaś nie przemówił do niej dotąd, więc podniósł się, pochylił przed nią głowę i, zamiast zwykłych wyrazów powitania, począł cytować słowa, któremi Odyss powitał Nauzykaę:

„Nie wiem, czyliś jest bóstwem, czy panną śmiertelną..
 „Lecz jeśliś jest mieszkanką ziemskiego padolu,
 „Błogosławiony ojciec z matką twą pospołu,
 „Błogosławieni bracia

Nawet Pomponii podobala się wykwinтна grzecność tego światowca. Co do Ligii, słuchała zmieszana i zapłoniąona, nie śmiać oczu podnieść. Lecz stopniowo w kątach jej ust począł drgać swawolny uśmiech, na twarzy znać było walkę między dziewczęcem zawstydzieniem, a chęcią odpowiedzi — i widocznie chęć ta przemogła, spojrzawszy bowiem nagle na Petroniusza, odpowiedziała mu słowami tejsze Nauzykai, cytując je jednym tchem i trochę jak wydawaną lekcję:

„Nie byle kto ty jesteś — i nie byle głowa!
 „

Poczem, zawróciwszy w miejscu, uciekła, jak ucieka spłoszony ptak.

Teraz na Petroniusza przyszła kolej zdziwienia — nie spodziewał się bowiem usłyszeć homerowego wiersza w ustach dziewczyny, o której barbarzyńskim pochodzeniu był przez Winicyusza uprzedzony. Spojrzał też pytającym wzrokiem na Pomponię, lecz ta nie mogła mu dać odpowiedzi, patrzyła bowiem w tej chwili, uśmiechając się, na dumę, jaka odbiła się w obliczu starego Aulusa.

On zaś nie umiał tej dumy ukryć. Naprzód, przywiązał się był do Ligii, jak do własnego dziecka, a powtóre,

mimo swych staro-rzymskich uprzedzeń, które kazały mu przeciw greczyźnie i jej rozpowszechnieniu piorunować, uważał ją za szczyt towarzyskiej oglady. Sam nie mógł się jej nigdy dobrze nauczyć, nad czem skrycie bolał, rad był więc teraz, że temu wytwornemu panu, a zarazem i literatowi, który gotów był uważać dom jego za barbarzyński, odpowiedziano w nim językiem i wierszem Homera.

— Jest w domu pedagogus, Grek — rzekł, zwracając się do Petroniusza — który uczy naszego chłopaka, a dziewczyna przysłuchuje się lekcjom. Pliszka to jeszcze, ale miła pliszka, do której nawykliśmy oboje.

Petroniusz patrzył teraz poprzez skręty bluszczów i kapryfolium na ogród i na bawiącą się trójkę. Winicyusz zrzucił togę i w tunice tylko podbił w górę piłkę, którą stojąca naprzeciw z wzniesionymi ramionami Ligia usiłowała schwytać. Dziewczyna na pierwszy rzut oka nie uczyniła wielkiego na Petroniuszu wrażenia. Wydała mu się zbyt szczupłą. Lecz od chwili, gdy w triclinium spojrział na nią bliżej, pomyślał sobie, że tak jednak mogłaby wyglądać jutrzeńka — i, jako znawca, zrozumiał, że jest w niej coś niezwykłego. Wszystko zauważył i wszystko ocenił: więc i twarz różową i przezroczą, i świeże usta, i niebieskie, jak lazur mórz, oczy, i alabastrową białość czoła, i bujność ciemnych włosów, przeświecających na skrętach odblaskiem bursztynu albo korynckiej miedzi — i lekką szyję, i „boską“ spadzistość ramion, i całą postać giętką, smukłą, młodą młodością maju i świeżo rozkwitłych kwiatów. Zbudził się w nim artysta i czciiciel piękności, który odczuł, że pod posągiem tej dziewczyny możnaby podpisać: „wiosna“. — Nagle przypomniał sobie Poppeę — i owa przesławna Poppea wydała mu się bezduszną woskową maską. W tej dziewczynie była nietylko wiosna — była i promienista „Psyche“, która przeświecała przez jej różane ciało, jak promyk prześwieca przez lampę.

— Winicyusz ma słuszość — pomyślał — poczem

zwrócił się do Pomponii Grecyny — i wskazawszy na ogród, rzekł:

— Rozumiem teraz, domina, że wobec takich dwojga, wolicie dom od uczt na Palatynie i cyrku.

— Tak — odpowiedziała, zwracając oczy w stronę małego Aulusa i Ligii.

A stary wódz począł opowiadać historię dziewczyny i to, co słyszał przed laty od Ateliusza Histera o siedzącym w mrokach północy narodzie Ligów.

Tamei zaś skończyli grać w piłkę i przez czas jakiś chodzili po piasku ogrodowym, odbijając na czarnem tle mirtów i cyprysów, jak trzy białe posągi. Ligia trzymała małego Aulusa za rękę. Pochodziwszy nieco, siedli na ławce przy „piscynie“, zajmującej środek ogrodu. Lecz po chwili Aulus zerwał się, by płoszyć ryby w przezroczej wodzie, Winicyusz zaś prowadził dalej rozmowę, zaczęta w czasie przechadzki:

— Tak jest — mówił niskim, drgającym głosem. — Zaledwem zrzucił pretekstę¹⁾, wysłano mnie do azyatyckich legii. Miastam nie zaznał — ani życia, ani miłości. Umieć na pamięć trochę Anakreonta i Horacyusza, ale nie potrafiłbym tak, jak Petroniusz, mówić wierszy wówczas, gdy rozum niemieje z podziwu i własnych słów znaleźć nie może. Chłopcem będąc, chodziłem do szkoły Muzoniusza, który mawiał nam, że szczęście polega na tem, by chcieć tego, czego chcą bogi — a zatem od naszej woli zależy. Ja jednak myślę, że jest inne, większe i droższe, które od woli nie zależy, bo je tylko miłość dać może. Szukają tego szczęścia sami bogowie, więc i ja, o Ligio, którym nie zaznał dotąd miłości, idąc w ich ślady, szukam także tej, któraby mi szczęście dać chciała...

A ona słuchała w niepokoju, w zdziwieniu i zarazem tak, jakby słuchała głosu greckiej fletni lub cytry. Zda-

¹⁾ Toga praetexta, używana przez chłopców, miała purpurową obwódkę. Taką togę nosili także niektórzy urzędnicy i kapłani.

wało się jej chwilami, że Winicyusz śpiewa jakąś pieśń dziwną, która sączy się w jej uszy, a zarazem przejmuje serce omdleniem, strachem i jakąś niepojętą radością... Zda- wało jej się też, że on mówi coś takiego, co w niej już było poprzednio, ale z czego nie umiała sobie zdać sprawy. Czuła, że on w niej coś budzi, co drzemało dotąd, i że w tej chwili, zamglony sen zmienia się w kształt coraz wyraźniejszy, bardziej upodobany i śliczny.

Tymczasem słońce przetoczyło się dawno za Tyber i stanęło nisko nad Janikulskiem wzgórzem. Na nieru- chome cyprysy padało czerwone światło — i całe powie- trze było niem przesycone. Ligia podniosła swoje błękitne, jakby rozbudzone ze snu, oczy na Winicyusza i nagle — w wieczornych odblaskach, pochylony nad nią, z prośbą drgającą w oczach, wydał się jej piękniejszy od wszyst- kich ludzi i od wszystkich greckich i rzymskich bogów, których posągi widywała na frontonach świątyń. On zaś objął zlekka palcami jej rękę powyżej kostki i pytał:

— Żali ty nie odgadujesz, Ligio, czemu ja mówię to tobie?...

— Nie! — odszeptwała tak cicho, że Winicyusz zale- dwie dosłyszał.

Lecz nie uwierzył jej — i byłby wprost do niej zwró- cił palące słowa, gdyby nie to, że na ścieżce, ujętej w ramy mirtów, ukazał się stary Aulus, który zbliżywszy się, rzekł:

— Słońce zachodzi, więc strzeżcie się wieczornego chłodu i nie żartujcie z Libityną¹⁾...

— Nie — odrzekł Winicyusz — nie wdziałem dotąd togi i nie poczułem chłodu.

— A oto już ledwie pół tarczy z za wzgórz wy- gląda — odpowiedział stary wojownik. — Bogdaj to słodki klimat Sycylii, gdzie wieczorami lud zbiera się na rynkach, aby chóralnym śpiewem żegnać zachodzącego Feba.

¹⁾ Bogini śmierci u Rzymian.

I zapomniawszy, że przed chwilą sam ostrzegał przed Libityną, począł opowiadać o Sycylii, gdzie miał swe posiadłości i duże gospodarstwo rolne, w którym się kochał. Wspomnił też, że nieraz przychodziło mu na myśl przenieść się do Sycylii i tam dokonać spokojnie życia. Dość ma zimowych szronów ten, komu zimy ubieliły już głowę. Jeszcze liść nie opada z drzew i nad miastem śmieje się niebo łaskawie, ale gdy winograd pożółknie, gdy śnieg spadnie w górach Albańskich, a bogowie nawiedzą przejmującym wichrem Kampanię, wówczas kto wie, czy z całym domem nie przeniesie się do swojej zacisznej wiejskiej sadyby.

— Miałżebyś chęć opuścić Rzym, Plaucyuszu? — spytał z nagłym niepokojem Winicyusz.

— Chęć tę mam dawno — odpowiedział Aulus — bo tam spokojniej i bezpieczniej.

I jął znów wychwalać swoje sady, stada, dom ukryty w zieleni i wzgórze, porośłe tymem i cząbrami, wśród których brzęczą roje pszczół. Lecz Winicyusz nie zważał na tę bukoliczną nutę — i, myśląc tylko o tem, że może utracić Ligię, spoglądał w stronę Petroniusza, jakby od niego jedynie wyglądał ratunku.

Tymczasem Petroniusz, siedząc przy Pomponii, lubował się widokiem zachodzącego słońca, ogrodu i stojących przy sadzawce ludzi. Białe ich ubrania na ciemnym tle mirtów świeciły złotem od wieczornych blasków. Na niebie zorza poczęła zabarwiać się purpurą, fioletem i mienić się nakształt opalu. Strop nieba stał się liliowy. Czarne sylwetki cyprysów uczyniły się jeszcze wyrazistsze, niż w dzień biały, zaś w ludziach, w drzewach i w całym ogrodzie zapanował spokój wieczorny.

Petroniusza uderzył ten spokój i uderzył go zwłaszcza w ludziach. W twarzy Pomponii, starego Aulusa, ich chłopca i Ligii — było coś, czego nie widywał w tych twarzach, które go codzień, a raczej co noc otaczały: było jakieś światło, jakieś ukojenie i jakaś pogoda, płynąca

wprost z takiego życia, jakim tu wszyscy żyli. I z pewnem zdziwieniem pomyślał, że jednak mogła istnieć piękność i słodycz, których on, wiecznie goniący za pięknoscia i słodyczą, nie zaznał. Myśli tej nie umiał ukryć w sobie i, zwróciwszy się do Pomponii, rzekł:

— Rozważam w duszy, jak odmienny jest wasz świat od tego świata, którym włada nasz Nero.

Ona zaś podniosła swoją drobną twarz ku zorzy wieczornej i odrzekła z prostotą:

— Nad światem włada nie Nero — ale Bóg.

Nastala chwila milczenia. W pobliżu triclinium dały się słyszeć w alei kroki starego wodza, Winicyusza, Ligii i małego Aula — lecz, nim nadeszli, Petroniusz spytał jeszcze:

— A więc ty wierzysz w bogi, Pomponio?

— Wierzę w Boga, który jest jeden, sprawiedliwy i wszechmocny — odpowiedziała żona Aula Plaucyusza.

III.

Posłaniec Cezara.

— Muszę pochwalić twój wybór — rzekł Petroniusz, w chwili, gdy znów znalazł się w lektyce sam na sam z Winicyuszem. — Istna „rózanopalca Jutrzenka“... I wiesz, co mi także przypomniała? — Wiosnę! — i to nie naszą w Italii, gdzie ledwie tu i owdzie jabłoń pokryje się kwiatem, a oliwniki szarzeją, jak szarzały, ale tę wiosnę, którą niegdyś widziałem w Helwecyi¹⁾, młodą, świeżą, jasnozieloną... Na tę bladą Selenę²⁾ — nie dziwię ci się, Marku — wiedz jednak, że Dyanę miłujesz, i że Aulus i Pomponia gotowi cię rozszarpać, jak niegdyś psy rozszarpały Akteona.

Winicyusz nie podnosząc głowy, przez chwilę milczał, poczem jął mówić przerywanym głosem:

— Pragnąłem jej poprzednio, a teraz pragnę jeszcze więcej. Chciałbym zabić Aulę i Pomponię, a ją porwać i zanieść na rękę do mego domu. Nie będę dziś spał. Rozkażę ćwiczyć którego z niewolników i będę słuchał jego jęków...

— Uspokój się — rzekł Petroniusz. — Masz zachcianki cieśli z Suburry³⁾.

¹⁾ Szwajcarya. ²⁾ Bogini księżycy. później stanowiła jedno pojęcie z Artemidą (Dyaną). ³⁾ Dzielnica Rzymu, w której mieszkała uboższa ludność.

— Wszystko mi jedno. Muszę ją mieć. Udałem się do ciebie po radę, lecz jeśli ty jej nie znajdziesz, znajdę ją sam... Aulus uważa Ligię za córkę, czemużbym ja miał patrzeć na nią, jak na niewolnicę? Więc skoro niema innej drogi, niechże oprzędzie drzwi mego domu, niech je namaści wilczym tłuszczem ¹⁾ i niechaj siedzie jako żona, przy mojem ognisku.

— Uspokój się, szalony potomku konsulów. Nie po to sprowadzamy barbarzyńców na sznurach za naszymi wozami, byśmy mieli zaślubiać ich córki. Strzeż się ostateczności. Wyczerpnij proste uczciwe sposoby i zostaw sobie i mnie czas do namysłu. Uspokój się... Pomyśl, że jeśli ona zechce opuścić Aulusów dla ciebie, oni nie mają prawa jej wstrzymać, wiedz zaś o tem, że nietylko sam gorejesz, bo i w niej Eros rozniecił płomień... Jam to widział, a mnie należy wierzyć... Miej cierpliwość. Na wszystko jest sposób, ale dziś i tak już za dużo myślałem, a to mnie nuży. Natomiast przyrzekam ci, że jutro pomyślę jeszcze o twojej miłości i chyba Petroniusz nie byłby Petroniuszem, gdyby jakiego środka nie znalazł.

* * *

Jakoż Petroniusz dotrzymał obietnicy.

Nazajutrz, spał wprawdzie cały dzień, ale wieczorem kazał się zanieść na Palatyn i miał z Neronem poufną rozmowę, skutkiem której, na trzeci dzień, przed domem Plaucyusza pojawił się centurion ²⁾ na czele kilkunastu pretoryańskich żołnierzy.

Czasy były niepewne i straszne. Posłańcy tego rodzaju byli zarazem najczęściej zwiastunami śmierci. To też z chwilą, w której centurion uderzył młotkiem we drzwi Aulusa, i gdy nadzorca atrium dał znać, iż w sieni znajdują się żołnierze, przerażenie zapanowało w całym domu.

¹⁾ Obrzędy przy zaślubinach u Rzymian. ²⁾ Oficer.

Rodzina wnet otoczyła starego wodza, nikt bowiem nie wątpił, że niebezpieczeństwo przedewszystkiem nad nim zawisło. Pomponia, objąwszy ramionami jego szyję, przytulila się do niego ze wszystkich sił, a zsiniałe jej usta poruszały się szybko, wymawiając jakieś ciche wyrazy; Ligia, z twarzą bladą, jak płótno, całowała jego rękę; mały Aulus czepiał się togi — z korytarzy, z pokoi leżących na piętrze i przeznaczonych dla służebnic, z czeladnej, z łaźni, ze sklepionych dolnych mieszkań, z całego domu poczęły się wysypywać roje niewolników i niewolnic. Dały się słyszeć okrzyki: „heu! heu, me miserum!“¹⁾, kobiety uderzyły w wielki płacz; niektóre poczęły już sobie drapać policzki, lub nakrywać głowy chustami.

Sam tylko stary wódz, przywykły od lat całych patrzeć śmierci prosto w oczy, pozostał spokojny i tylko jego krótka, orla twarz, stała się jakby z kamienia wycutą. Po chwili, uciszwszy wrzaski i rozkazawszy rozejść się służbie, rzekł:

— Puść mnie, Pomponio. Jeśli mi nadszedł kres, będziemy mieli czas się pożegnać.

I usunął ją zlekka — ona zaś rzekła:

— Bogdajby twój los był zarazem i moim — o Aulu!

Poczem, padłszy na kolana, poczęła się modlić z tą siłą, jaką jedynie bojaźń o drogą istotę dać może.

Aulus przeszedł do atrium, gdzie czekał nań centurion. Był to stary Kajusz Hasta, dawny jego podwładny i towarzysz z wojen brytańskich.

— Witaj, wodzu — rzekł. — Przynoszę ci rozkaz i pozdrowienie Cezara — a oto są tabliczki i znak, że w jego imieniu przychodzę.

— Wdzięcznym jest Cezarowi za pozdrowienie, a rozkaz wykonam — ódrzekł Aulus. — Witaj, Hasto i mów, z jakim zleceniem przychodzisz.

— Aulu Plaucyuszu — począł Hasta — Cezar do-

¹⁾ „Biada mnie nędznemu“!

wiedział się, iż w domu twoim przebywa córka króla Ligów, którą ów król, jeszcze za życia boskiego Klaudyusza, oddał w ręce Rzymian, jako rękojmię, że granice imperium nigdy nie zostaną przez Ligów naruszone. Boski Nero wdzięczny ci jest, o wodzu, za to, iżes jej przez lat tyle dawał gościnność u siebie, lecz, nie chcąc dłużej obarczać twego domu, jak również bacząc, iż dziewica, jako zakładniczka, winna zostawać pod opieką samego Cezara i senatu — rozkazuje ci ją wydać w moje ręce.

Aulus nadto był żołnierzem i nadto hartownym mężem, by wobec rozkazu pozwolić sobie na żal, na marne słowa lub skargi. Jednakże zmarszczka nagłego gniewu i bólu zjawiała mu się na czole. Przed takim zmarszczeniem brwi drżały niegdyś legie brytańskie — i nawet w tej chwili jeszcze na twarzy Hasty odbił się przestрах. Lecz obecnie, wobec rozkazu, Aulus Plaucyusz uczuł się bezbronnym. Przez czas jakiś patrzył na tabliczki, na znak, poczem, podniósłszy oczy na starego centuryona, rzekł już spokojnie:

— Zaczekaj, Hasto, w atrium, zanim zakładniczka zostanie ci wydana.

I po tych słowach przeszedł na drugi koniec domu do sali, zwanej oecus, gdzie Pomponia Grecyna, Ligia i mały Aulus czekali nań w niepokoju i trwodze.

— Nikomu nie grozi śmierć, ani wygnanie na dalekie wyspy — rzekł — a jednak poseł Cezara jest zwiastunem nieszczęścia. O ciebie chodzi, Ligio.

— O Ligię? — zawołała ze zdumieniem Pomponia.

— Tak jest! — odrzekł Aulus.

I zwróciwszy się do dziewczyny, począł mówić:

— Ligio, byłaś chowana w naszym domu, jak własne nasze dziecko, i oboje z Pomponią miłujemy cię, jak córkę. Ale wiesz o tem, że nie jesteś naszą córką. Jesteś zakładniczką, daną przez twój naród Rzymowi, i opieka nad tobą należy do Cezara. Otóż Cezar zabiera cię z naszego domu.

Wódz mówił spokojnie, ale jakimś dziwnym, niezwykłym głosem. Ligia słuchała słów jego, mrugając oczyma i jakby nie rozumiejąc, o co chodzi, policzki Pomponii pokryły się bladością; we drzwiach, wiodących z korytarza do oecus, poczęły się znów ukazywać przerażone twarze niewolnic.

— Wola Cezara musi być spełniona — rzekł Aulus.

— Aulu! — zawołała Pomponia, obejmując ramionami dziewczynę, jakby chciała jej bronić — lepiejby dla niej było umrzeć.

Ligia zaś, tuląc się do jej piersi, powtarzała: „matko! matko!“ nie mogąc zdobyć się wśród łkań na inne słowa.

Na twarzy Aulusa znów odbił się gniew i ból.

— Gdybym był sam na świecie — rzekł ponuro — nie oddałbym jej żywej — i krewni moi dziś jeszcze mogliby złożyć za nas ofiary „Jovi liberatori“... Lecz nie mam prawa gubić ciebie i naszego dziecka, które może szczęśliwszych dożyć czasów... Udam się dziś jeszcze do Cezara i będę go błagał, by rozkaz odmienił. Czy mnie wysłucha — nie wiem. Tymczasem bądź zdrowa, Ligio — i wiedz o tem, że i ja, i Pomponia błogosławiliśmy zawsze dzień, w którym zasiadłaś przy naszym ognisku.

To rzekłszy, położył jej rękę na głowie, ale choć starał się zachować spokój, jednakże w chwili, gdy Ligia zwróciła ku niemu oczy, zalane łzami, a potem, chwyciwszy jego rękę, poczęła ją do ust przyciskać, w głosie jego zadrgał żal głęboki, ojcowski.

— Żegnaj radości nasza i światło oczu naszych! — rzekł.

I prędko wyszedł z powrotem do atrium, by nie pozwolić opanować się niegodnemu Rzymianina i wodza wzruszeniu.

Tymczasem Pomponia zaprowadziwszy Ligię do cubiculum, poczęła ją uspokajać, pocieszać, dodawać jej otuchy i mówić słowa — brzmiące dziwnie w tym domu, w którym, tuż obok, w przyległej świetlicy, stało jeszcze

„lararium“¹⁾ i ognisko, na którem Aulus Plaucyusz, wierny dawnemu obyczajowi, poświęcał ofiary bogom domowym. Oto czas próby nadszedł. Niegdyś Wirginiusz przebił pierś własnej córki, by ją wyzwolić z rąk Appiusza; dawniej jeszcze Lukrecya dobrowolnie przypłaciła życiem hańbę. Dom Cezara jest jaskinią hańby, zła, zbrodni. — „Lecz my, Ligio, wiemy dlaczego — nie mamy prawa podnieść na siebie ręki!...“ Tak jest! — To prawo, pod którem obie żyją, jest inne, większe, świętsze, pozwala jednak bronić się od zła i hańby, choćby tę obronę życiem i męką przyszło przypłacić. Kto czysty wychodzi z przybytku zepsucia, tem większa jego zasługa. Ziemia jest takim przybytkiem, ale na szczęście życie jest jednym mgnieniem oka, a zmartwychwstaje się tylko z grobu, za którym nie władnie już Nero, lecz Miłosierdzie — i zamiast bólu jest radość, i zamiast łez wesele.

Poczem jąła mówić o sobie. Tak! Spokojna jest — ale i w jej piersiach nie brak ran bolesnych. Oto na oczach Aulusa leży jeszcze bielmo, jeszcze nie spłynął na niego zdrój światła. Nie wolno jej także wychowywać syna w Prawdzie. — Więc gdy pomyśli, że tak może być do kresu życia, i że nadejść może chwila rozłączenia się z nimi, stokroć większego i straszniejszego, niż to czasowe, nad którem obie teraz boją — nie umie nawet pojąć, jakim sposobem potrafi być bez nich, nawet w niebie, szczęśliwa. I wiele już nocy przepłakała, wiele spędziła na modlitwie, żebrząc o zmiłowanie i łaskę. Lecz swój ból ofiaruje Bogu — i czeka — i ufa. — A gdy teraz nowy spotyka ją cios, gdy rozkaz okrutnika zabiera jej drogą głowę — tę, którą Aulus nazwał światłem oczu, ufa jeszcze, wierząc, że jest moc nad Neronową większa — i Miłosierdzie od jego złości silniejsze.

I przycisnęła jeszcze silniej do piersi główkę dziew-

¹⁾ Domowa świątynia, gdzie stały posągi przodków (larów) i bogów domowych (penatów).

czynny, ta zaś osunęła się po chwili do jej kolan i ukrywszy oczy w fałdach jej peplum, pozostała tak przez długi czas w milczeniu, lecz, gdy się wreszcie podniosła, na twarzy jej widać już było nieco spokoju.

— Żal mi ciebie, matko, i ojca, i brata, ale wiem, że opór nie przydałby się na nic, a zgubił was wszystkich. Natomiast przyrzekam ci, że słów twoich nie zapomnę nigdy w domu Cezara.

Raz jeszcze zarzuciła jej ramiona na szyję, a potem, gdy obie wyszły do oecus, poczęła się żegnać z małym Plaucyuszem — ze staruszką Grekiem, który był ich nauczycielem, ze swoją szatną, która niegdyś niańczyła ją i ze wszystkimi niewolnikami.

Jeden z nich, wysoki i barczysty Ligijczyk, którego w domu zwano Urzus, a który w swoim czasie, razem z matką Ligii i z nią, przybył z inną ich służbą do obozu Rzymian, padł teraz do jej nóg, a następnie pochylił się do kolan Pomponii, mówiąc:

— O domina! pozwólcie mi iść z moją panią, abym jej służył i czuwał nad nią w domu Cezara.

— Nie naszym, lecz Ligii jesteś sługą — odrzekła Pomponia Grecyna — lecz zali cię dopuszczają do drzwi Cezara? i w jaki sposób potrafisz czuwać nad nią?

— Nie wiem, domina, wiem jeno, że żelazo kruszy się w moich rękach, jak drzewo...

Aulus Plaucyusz, który nadszedł na tę chwilę, dowiedziawszy się o co chodzi, nie tylko nie sprzeciwił się chęci Urzusa, ale oświadczył, że nie mają nawet prawa go zatrzymywać. Odsyłają Ligię, jako zakładniczkę, o którą upomina się Cezar — a zatem obowiązani są odesłać jej orszak — który przechodzi wraz z nią pod opiekę Cezara. Tu szepnął Pomponii, że pod pozorem orszaku, może jej dodać tyle niewolnic, ile uzna za stosowne — centuryon bowiem nie może odmówić ich przyjęcia.

Dla Ligii była w tem pewna pociecha, Pomponia zaś również była rada, że może ją otoczyć służbą swego wy-

boru. Jakoż, prócz Urzusa, wyznaczyła jej starą szatną, dwie Cypryjki biegle w czesaniu, i dwie kąpielowe dziewczki germańskie. Wybór jej padł wyłącznie na wyznawców nowej nauki, gdy zaś i Urzus wyznawał ją już od lat kilku, Pomponia mogła liczyć na wierność tej służby, a zarazem cieszyć się myślą, że ziarna Prawdy zostaną posiane w domu Cezara.

Napisała też kilka słów, polecając opiekę nad Ligią, wyzwolenicy Neronowej, Akte. Pomponia nie widywała jej wprawdzie na zebraniach wyznawców nowej nauki, słyszała jednak od nich, że Akte nie odmawia im nigdy usług, i że czytuje chciwie listy Pawła z Tarzu ¹⁾. Wiadomościem jej było zresztą, iż młoda wyzwolenica żyje w ciągłym smutku, że jest istotą odmienną od wszystkich domowniczek Nerona, i że wogóle jest dobrym duchem pałacu.

Hasta podjął się sam wręczyć list Akte. Uważając też za rzecz naturalną, że córka królewska musi mieć orszak swych sług, nie czynił najmniejszej trudności w zabranii ich do pałacu, dziwiąc się raczej małej ich liczbie. Prosił jednakże o pośpiech, z obawy, by nie był posądzonym o brak gorliwości w spełnianiu rozkazów. Godzina rozstania nadeszła. Oczy Pomponii i Ligii znów zapływały łzami; Aulus jeszcze raz złożył dłoń na jej głowie, i po chwili żołnierze, przeprowadzani krzykiem małego Aulusa, który, w obronie siostry, wygrażał swemi małemi pięściami centuryonowi — uprowadzili Ligię do domu Cezara.

Lecz stary wódz kazał gotować dla siebie lektykę, tymczasem zaś, zamknąwszy się z Pomponią w przyległej do oecus pinakotece ²⁾, rzekł jej:

— Słuchaj mnie, Pomponio. Udaję się do Cezara, choć sędzę, że napróżno, a jakkolwiek słowo Seneki nie już u niego nie znaczy, będę i u Seneki. Dziś więcej zna-

¹⁾ Św. Pawła, apostoła. ²⁾ Oecus, sala obszerna i ozdobna na końcu domu; pinakoteka — galeria obrazów.

czą Sofoniusz, Tygellinus, Petroniusz lub Watyniusz... Co do Cezara, może i nie słyszał on nigdy w życiu o narodzie Ligów, i jeśli zażądał wydania Ligii, jako zakładniczki, to dlatego, iż ktoś go do tego podmówił, łatwo zaś odgadnąć, kto mógł to uczynić.

A ona podniosła na niego nagle oczy:

— Petroniusz?...

— Tak jest.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem wódz mówił dalej:

— Oto, co jest wpuścić przez próg którego z tych ludzi bez czci i sumienia. Przeklęta niech będzie chwila, w której Winicyusz wszedł w nasz dom! On to sprowadził do nas Petroniusza.

I mowa jego, z gniewu, z bezsilnej wściekłości i z żalu za przybranem dzieckiem, stała się jeszcze bardziej świszcząca, niż zwykle. Czas jakiś zmagął się sam ze sobą i tylko zaciśnięte pięści świadczyły, jak ta wewnętrzna walka jest ciężka.

— Czcilem dotychczas bogów — rzekł — ale w tej chwili myślę, że nie masz ich nad światem, i że jest tylko jeden zły, szalony i potworny, którego imię Nero.

— Aulu — rzekła Pomponia. — Nero jest tylko garścią zgniętego prochu wobec Boga.

On zaś począł chodzić szerokimi krokami po mozaice pinakoteki. W życiu jego były wielkie czyny, ale nie było wielkich nieszczęść, więc nie był do nich przyzwyczajony. Stary żołnierz przywiązał się był do Ligii więcej, niż sam o tem wiedział i teraz nie umiał się pogodzić z myślą, iż ją stracił. Prócz tego czuł się upokorzony. Zaciężyła nad nim ręka, którą pogardzał, a jednocześnie czuł, że wobec jej siły, jego siła jest niczem.

Lecz, gdy wreszcie potłumił w sobie gniew, który mieszał mu myśli, rzekł:

— Sądzę, że Petroniusz nie odjął nam jej dla Cezara, nie chciałby bowiem narazić się Poppei. Więc albo

dla siebie, albo dla Winicyusza... Dziś jeszcze dowiem się o tem.

I po chwili lektyka unosiła go w stronę Palatynu, Pomponia zaś, zostawszy sama, poszła do małego Aula, który nie ustawał w płaczu za siostrą i w pogrózkach przeciw Cezarowi.

IV.

Zabiegi.

Aulus słusznie jednak domyślał się, że nie zostanie dopuszczony przed oblicze Nerona. Odpowiedziano mu, że Cezar zajęty jest śpiewem z lutnistą Terpnosem i że wogóle nie przyjmuje tych, których sam nie wezwał. Innemi słowy, znaczyło to, by Aulus nie próbował i na przyszłość widzieć się z nim.

Natomiast Seneka, jakkolwiek chory na gorączkę, przyjął starego wodza ze czcią mu przynależną, ale gdy wysłuchał, o co mu chodzi, uśmiechnął się gorzko i rzekł:

— Jedną ci tylko mogę oddać usługę, szlachetny Plaucyuszu, to jest: nie okazać nigdy Cezarowi, że serce moje odczuwa twój ból i że chciałbym ci dopomóc; gdyby bowiem Cezar powziął najmniejsze pod tym względem podejrzenie, wiedz o tem, że nie oddałby ci Ligii, choćby nie miał do tego żadnych innych powodów, jak tylko, by mi uczynić na złość.

Nie radził mu również udawać się do Tygellina, ni do Watyniusza, ni do Witeliusza. Może pieniędzmi możnaby z nimi coś wskórać, może także chcieliby uczynić na złość Petroniuszowi, którego wpływ starają się podkopać, lecz najprawdopodobniej zdradziliby przed Cezarem, jak dalece Ligia jest dla Plaucyuszów drogą, a wówczas Cezar tembardziejby jej nie oddał. Tu stary mędrzec po-

czał mówić z gryzącą ironią, którą zwracał przeciw sobie samemu: „Milczałeś, Plaucyuszu, milczałeś przez lata całe, a Cezar nie lubi tych, którzy milczą! Jakże ci było nie unosić się nad jego pięknoscią, cnotą, śpiewem, nad jego deklamacją, powożeniem i wierszami. Jakże ci było nie wysławiać śmierci Brytanika, nie powiedzieć mowy pochwalnej na cześć matkobójcy i nie złożyć życzeń z powodu uduszenia Oktawii. Brak ci przezorności, Aulu, którą my, żyjący szczęśliwie przy dworze, posiadamy w stopniu odpowiednim“.

Tak mówiąc, wziął kubek, który nosił u pasa, zacerpnął wody z fontanny impluvium, odświeżył spalone usta i mówił dalej:

— Ach, Nero ma wdzięczne serce. Kocha ciebie, boś służył Rzymowi i imię jego rozślawił na krańcach świata, i kocha mnie, bom mu był mistrzem w młodości. Dlatego, widzisz, wiem, że ta woda nie jest zatruta i piję ją spokojny. Wino w moim domu byłoby mniej pewne, ale, jeśliś spragniony, to napij się śmiało tej wody. Wodociągi prowadzą ją aż z gór Albańskich, i chcąc ją zatruc, trzebaby zatruc wszystkie fontanny w Rzymie. Jak widzisz, można być jeszcze na tym świecie bezpiecznym i mieć spokojną starość. Jestem chory wprawdzie, ale to raczej dusza choruje, nie ciało.

Była to prawda. Seneca brakło tej siły duszy, jaką posiadał naprzykład Kornutus lub Trazeasz, więc życie jego było szeregiem ustępstw, czynionych zbrodni.

Lecz wódz przerwał mu teraz zgryźliwe rozmyślenia.

— Szlachetny Anneuszu — rzekł — wiem, jak Cezar wypłacił ci się za opiekę, którą otoczyłeś jego młode lata. Lecz sprawcą porwania nam dziecka jest Petroniusz. Wskaż mi na niego sposoby, wskaż wpływy, jakim ulega i sam wreszcie użyj z nim całej wymowy, jaką cię stara przyjaźń dla mnie natchnąć zdoła.

— Petroniusz i ja — odpowiedział Seneka — jesteście ludzie z dwóch przeciwnych obozów. Sposobów na

niego nie wiem, wpływom niczyim nie podlega. Być może, że przy całym swem zepsuciu, więcej on jeszcze wart od tych łotrów, którymi Nero dziś się otacza. Ale dowodzić mu, że popełnił zły uczynek, jest to tylko czas tracić; Petroniusz dawno zatracił ten zmysł, który złe od dobrego odróżnia. Dowiedz mu, że jego postępek jest szpetny, wówczas zawstydzi się. Gdy się z nim zobaczę, powiem mu: czyn twój jest godny wyzwolenca. Jeśli to nie pomoże, nie nie pomoże.

— Dzięki i za to — odrzekł wódz.

Poczem kazał się nieść do Winicyusza, którego zastał fechtującego się z domowym lanistą¹⁾). Aulusa, na widok młodego człowieka, oddającego się spokojnie ćwiczeniom w chwili, gdy zamach na Ligię został spełniony, porwał straszliwy gniew, który też, zaledwie zasłona opadła za lanistą, wybuchnął potokiem gorzkich wyrzutów i obelg. Lecz Winicyusz, dowiedziawszy się, że Ligia została porwana, pobladł tak straszliwie, iż ani na chwilę, nawet Aulus, nie mógł go posądzać o współnictwo w zamachu. Czoło młodzieńca pokryło się kroplami potu; krew, która na chwilę uciekła do serca, napłynęła znów gorącą falą do twarzy, oczy poczęły sypać skrami, usta rzucać bezładne pytania. Zazdrość i wściekłość miotały nim naprzemian, jak wicher. Zdawało mu się, że Ligia, raz przestąpiwszy próg domu Cezara, jest dla niego stracona na zawsze, gdy zaś Aulus wymówił imię Petroniusza, podejrzenie, niby błyskawica, przeleciało przez myśl młodego żołnierza, że Petroniusz zadrwił z niego i że albo podarkiem Ligii chciał sobie zjednać nowe łaski Cezara, albo ją chciał zatrzymać dla siebie.

Zapamiętałość, dziedziczna w jego rodzie, unosiła go teraz, jak rozhukany koń i odejmowała mu przytomność.

— Wodzu — rzekł przerywanym głosem — wracaj do siebie i czekaj na mnie... Wiedz, że gdyby Petroniusz

¹⁾ Nauczyciel szermierki.

był ojcem moim, jeszczebym pomścił na nim krzywdę Ligii. Wracaj do siebie i czekaj mnie. Ni Petroniusz, ni Cezar mieć jej nie będą.

Poczem zwrócił zaciśnięte pięści ku woskowym maskom ¹⁾, stojącym w szatach w atrium, i wybuchnął:

— Na te maski śmiertelne! pierwszej zabiję ją i siebie.

To rzekłszy, zerwał się i rzuciwszy raz jeszcze Aulusowi słowo: „czekaj mnie!“, wybiegł jak szalony, z atrium i leciał do Petroniusza, roztrącając po drodze przechodniów.

Aulus zaś wrócił do domu z pewną otuchą. Sądził, że jeśli Petroniusz namówił Cezara do porwania Ligii dla oddania jej Winicyuszowi, to Winicyusz odprowadzi ją do ich domu. Wreszcie niemałą pociechą była mu myśl, że Ligia, jeśli nie zostanie uratowaną, to będzie pomszezona. Wierzył, że Winicyusz dokona wszystkiego, co przyrzekł. Widział jego wściekłość i znał zapaleczywość, wrodzoną całemu temu rodowi. On sam, choć miłował Ligię, jak rodzony ojciec, wolałby był ją zabić, niż oddać Cezarowi i gdyby nie wzgląd na syna, ostatniego potomka rodu, byłby niechybnie to uczynił. Aulus był żołnierzem, o stoikach zaledwie słyszał, ale charakterem nie był od nich daleki i do jego pojęć, do jego dumy, śmierć przypadała łatwiej i lepiej od hańby.

Wróciwszy do domu, uspokoił Pomponię, przelał w nią swą otuchę, i oboje poczęli oczekiwać wieści od Winicyusza. Chwilami, gdy w atrium odzywały się kroki którego z niewolników, sądzili, że to może Winicyusz odprowadza im kochane dziecko, i gotowi byli z głębi duszy pobłogosławić obojgu. Ale czas upływał i wieść żadna nie nadchodziła. Wieczorem dopiero ozwał się młotek przy bramie.

Po chwili, niewolnik wszedł i oddał Aulusowi list. Stary wódz, jakkolwiek lubił okazywać panowanie nad

¹⁾ Wizerunki przodków.

sobą, wziął go jednak nieco drżącą ręką i począł czytać tak skwapliwie, jakby chodziło o cały jego dom.

Nagle twarz mu zmierzchła, jak gdyby padł na nią cień od przelatującej chmury.

— Czytaj — rzekł, zwróciwszy się do Pomponii.

Pomponia wzięła list i czytała, co następuje:

„Markusz Winicyusz, pozdrowienie Aulowi Plaucyuszowi. Co się stało, stało się z woli Cezara, przed którą schylcie głowy, jako schylamy ja i Petroniusz“.

Poczem nastąpiło długie milczenie.

V.

Wyjaśnienia.

Petroniusz był w domu. Odźwierny nie śmiał zatrzymać Winicyusza, który wpadł do atrium, jak burza i dowiedziawszy się, że gospodarza należy szukać w bibliotece, tym samym pędem wpadł do biblioteki i zastawszy Petroniusza piszącego, wyrwał mu trzcinę z ręki, złamał ją, cisnął na ziemię, następnie wpił palce w jego ramiona i zbliżając twarz do jego twarzy, począł pytać chrapliwym głosem:

— Coś z nią uczynił? Gdzie ona jest?

Lecz nagle stała się rzecz zdumiewająca. Oto ów wysmukły i zniewieściały Petroniusz chwycił wpijającą mu się w ramię dłoń młodego atlety, zaczem chwycił drugą i trzymając je obie w swojej jednej z siłą żelaznych kleszczy, rzekł:

— Ja tylko zrana jestem niedołągą, a wieczorem odzyskuję dawną sprężystość. Spróbuj się wyrwać. Gimnastyki musiał cię uczyć tkacz, a obyczajów kowal.

Na twarzy jego nie znać było nawet gniewu, tylko w oczach mignął mu jakiś płowy odbłysek odwagi i energii. Po chwili, puścił ręce Winicyusza, który stał przed nim upokorzony, zawstydzony i wściekły.

— Stalową masz rękę — rzekł — ale na wszystkich bogów piekielnych przysięgam ci, że, jeśliś mnie

zdradził, wepchnę ci nóż w gardło, choćby w pokojach Cezara.

— Pogadajmy spokojnie — odpowiedział Petroniusz. — Stal mocniejsza jest, jak widzisz, od żelaza, więc, choć z twego jednego ramienia możnaby moich dwa uczynić, nie potrzebuję się ciebie bać. Natomiast boleję nad twem grubijaństwem, a gdyby niewdzięczność ludzka mogła mnie jeszcze dziwić, dziwiłbym się twej niewdzięczności.

— Gdzie jest Ligia?

— W domu Cezara.

— Petroniuszu!

— Uspokój się i siadaj. Prosiłem Cezara o dwie rzeczy, które mi przyrzekł: naprzód o wydobycie Ligii z domu Aulusów, a powtóre o oddanie jej tobie. Czy nie masz tam gdzie noża w fałdach togi? Może mnie pchniesz! Ale ja ci radzę poczekać parę dni, bo wziętoby cię do więzienia, a tymczasem Ligia nudziłaby się w twym domu.

Nastało milczenie. Winicyusz poglądał czas jakiś zdumionemi oczyma na Petroniusza, poczem rzekł:

— Przebacz mi. Miłuję ją i miłość miesza moje zmysły.

— Podziwiał mnie, Marku. Onegdaj rzekłem Cezarowi tak: mój siostrzeniec Winicyusz pokochał tak pewną chuderlawą dziewczynę, która hoduje się u Aulusów, że dom jego zmienił się w łaźnię parową od westchnień. Ty (powiadam) Cezarze, ani ja, którzy wiemy, co jest prawdziwa piękność, nie dalibyśmy za nią tysiąca sestercyi, ale to chłopak zawsze był głupi, jak trójnóg, a teraz zgłupiał do reszty.

— Petroniuszu!

— Jeśli nie rozumiesz, żem to powiedział chcąc zabezpieczyć Ligię, gotówem uwierzyć, żem powiedział prawdę. Wmówiłem w Miedzianobrodego, że taki esteta, jak on, nie może uważać takiej dziewczyny za piękność, i Nero, który dotąd nie śmie patrzeć inaczej, jak przez moje oczy, nie znajdzie w niej piękności, a nie znalazłszy, nie będzie

jej pożądał. Trzeba się było przed małpą zabezpieczyć i wziąć ją na sznur. Na Ligii pozna się teraz nie on, ale Poppea, i oczywiście postara się ją jak najprędzej z pałacu wyprawić. Ja zaś mówiłem dalej z niechcenia Miedzianej brodzie: „Weź Ligię i daj ją Winicyuszowi! Masz prawo to uczynić, bo jest zakładniczką, a gdy tak postąpisz, wyrządzisz krzywdę Aulusowi“. I zgodził się. Nie miał najmniejszego powodu nie zgodzić się, tembardziej, że dałem mu sposobność dokuczenia porządnym ludziom. Uczynią cię urzędowym stróżem zakładniczki i oddadzą ci w ręce ów skarb ligijski. Cezar dla zachowania pozorów, zatrzyma ją kilka dni w domu, a potem odeśle do twojej insuli, szczęśliwczel!

— Prawdąż to jest? Nicże jej tam nie grozi w domu Cezara?

— Gdyby tam miała stale zamieszkać, Poppea pogadałaby o niej z Lokustą¹⁾, ale przez kilka dni nic jej nie grozi. W pałacu Cezara jest dziesięć tysięcy ludzi. Być może, że jej Nero wcale nie zobaczy, tembardziej, że wszystko powierzył mi do tego stopnia, iż przed chwilą centuryon u mnie był z wiadomością, że odprowadził dziewczynę do pałacu i zdał ją w ręce Akte. To dobra dusza ta Akte, dlatego kazałem jej ją oddać. Pomponia Grecyna jest widocznie również tego zdania, bo do niej pisała. Jutro jest uczta u Nerona. Wymówiłem ci miejsce obok Ligii.

— Jesteś dobry, zacny i dziękuję ci z całej duszy. Pozwól mi tylko zadać ci jeszcze jedno pytanie. Czemu nie kazałeś odesłać Ligii wprost do mego domu?

— Bo Cezar chce zachować pozory. Będą o tem ludzie mówili w Rzymie, że zaś Ligię zabieramy, jako zakładniczkę, więc póki będą mówili, póty zostanie w pałacu Cezara. Potem odeślą ją ci po ciehu i będzie koniec. Miedzianobrody jest tchórzliwym psem. Wie, że władza

¹⁾ Znana trucicielka owego czasu.

jego jest bez granic, a jednak stara się upozorować każdy postępek. Czy ochłonałeś już do tego stopnia, abys mógł trochę pofilozofować? Mnie samemu nieraz przychodziło na myśl, dlaczego zbrodnia, choćby była potężna, jak Cezar i pewna, jak on, bezkarności, stara się zawsze o pozory prawa, sprawiedliwości i cnoty?... Na co jej ten trud? Ja uważam, że zamordować brata, matkę i żonę, jest rzeczą godną jakiegoś azyatyckiego królika, nie rzymskiego cezara; ale, gdyby mi się to przytrafiło, nie pisałbym usprawiedliwiających listów do senatu... Nero zaś pisze — Nero szuka pozorów, bo Nero jest tchórzem. Ale taki Tyberyusz nie był tchórzem, a jednak usprawiedliwiał każdy swój występek. Czemu tak jest? Co to za dziwny, mimowolny hołd, składany przez zło cnocie. I wiesz, co mi się zdaje? Oto, iż dzieje się tak dlatego, że występek jest szpetny, a cnota piękna. Ergo, prawdziwy esteta ¹⁾ jest temsamem cnotliwym człowiekiem. Ergo, ja jestem cnotliwym człowiekiem.

Leez Winicyusz, jako człowiek, którego rzeczywistość więcej obchodziła od wykładów o cnocie rzekł:

— Jutro zobaczę Ligię, a potem będę ją miał w domu moim codzień, ciągle i do śmierci.

— Ty będziesz miał Ligię, a ja będę miał na głowie Aulusa. Wezwie na mnie pomsty wszystkich podziemnych bogów. I gdyby przynajmniej bestya wzięła przedtem lekcję porządnej deklamacyi... Ale on będzie wymyślał tak, jak moim klientom wymyślał dawny mój odźwierny, którego zresztą wysłałem za to na wieś do ergastulum.

— Aulus był u mnie. Obiecałem mu przesłać wiadomość o Ligii.

— Napisz mu, że wola „boskiego“ Cezara jest najwyższym prawem. Jestem gotów prosić Miedzianobrodego,

¹⁾ Miłośnik piękna.

by go wezwał jutro na ucztę. Niechby cię zobaczył w trichlinium obok Ligii.

— Nie czyn tego — rzekł Winicyusz. — Mnie ich jednak żal, zwłaszcza Pomponii.

I zasiadł, by napisać ów list, który staremu wodzowi odebrał resztę nadziei.

VI.

Uczta na Palatynie.

Przed Akte, dawną kochanką Nerona, schylały się niegdyś najwyższe głowy w Rzymie. Lecz ona i wówczas nawet nie chciała się mieszać do spraw publicznych, i jeśli kiedykolwiek używała swego wpływu na młodego władcę, to chyba dla wyproszenia dla kogoś litości. Cicha i pokorna, zjednała sobie wdzięczność wielu, nikogo zaś nie uczyniła swym nieprzyjacielem. Nie potrafiła jej znienawidzić nawet Oktawia. Poppea miała ją tylko za cichą sługę, tak dalece nieszkodliwą, że nie domagała się nawet usunięcia jej z pałacu.

Ponieważ jednak Cezar kochał ją niegdyś i porzucił bez urazy, w spokojny, a nawet poniekąd przyjazny sposób, zachowano dla niej pewne względy. Nero, wyzwolewszy ją, dał jej w pałacu mieszkanie, a w niem osobne cubiculum i garsć ludzi ze służby. Zapraszano ją nawet czasem do stołu Cezara. Czyniono to może dlatego, że jej śliczna postać stanowiła prawdziwą ozdobę uczty. Zresztą Cezar w doborze towarzystwa oddawna już przestał się rachować z jakimikolwiek względami. Do stołu jego zasiadała najróżnorodniejsza mieszanina ludzi wszelkich stanów i powołań. Byli między nimi senatorowie, ale przeważnie tacy, którzy godzili się być zarazem błaznami. Byli patrycyusze starzy i młodzi, spragnieni rozkoszy,

zbytku i użycia. Bywali i wysocy urzędnicy i kapłani, którzy przy pełnych czarach sami radzi drwili z własnych bogów, obok nich zaś wszelkiego rodzaju hałastra, złożona ze śpiewaków, z mimów ¹⁾, muzyków, tancerzy i tancerek, z poetów, którzy deklamując wiersze, myśleli o sester-cyach ²⁾, jakie im za pochwałę wierszy cesarowych spaść mogą; z filozofów-głodomorów, odprowadzających chciwemi oczyma podawane potrawy, wreszcie ze słynnych woźniców, sztukmistrzów, cudotwórców, bajarzy, trefni-siów, wreszcie z przeróżnych, pasowanych przez modę lub głupotę na jednodniowe znakomitości, drapichrustów, między którymi nie brakło i takich, co długimi włosami pokrywali przekłute na znak niewolnictwa uszy.

Dnia tego i Ligia miała wziąć udział w podobnej uczcie. Strach, niepewność i odurzenie, niedziwne po nagłym przejściu, walczyły w niej z chęcią oporu. Bała się Cezara, bała się ludzi, bała się pałacu, którego gwar odejmował jej przytomność, bała się uczt, o których sromocie słyszała od Aulusa, od Pomponii Grecyny i ich przyjaciół. Wiedziała, że w tym pałacu grozi jej zguba, o której zresztą ostrzegła ją w chwili rozstania i Pomponia. Mając jednak duszę młodą, nieobytą z zepsuciem i wyznając wysoką naukę, wszczepioną jej przez przybraną matkę, przyrzekła bronić się od owej zguby: matce, sobie i zarazem temu Boskiemu nauczycielowi, w którego nietylko wierzyła, ale którego pokochała swem wół dziecinnem sercem za słodycz nauki, za gorycz śmierci i za chwałę zmartwychpowstania.

Była też pewna, że teraz już ni Aulus, ni Pomponia Grecyna nie będą odpowiadali za jej postęпки, zamyślała więc, czy nie lepiej będzie stawić opór i nie iść na ucztę. Z jednej strony strach i niepokój głośno gadały w jej duszy, z drugiej rodziła się w niej chęć okazania odwagi, wytrwałości, narażenia się na mękę i śmierć. Wszakże Bo-

¹⁾ Doktorów. ²⁾ Moneta srebrna wartości około 1/4 franka.

ski nauczyciel tak kazał. Wszakże sam dał przykład. Wszakże Pomponia opowiadała jej, że gorliwsi między wyznawcami pożądamy całą duszą takiej próby i modlą się o nią. I Ligię, gdy jeszcze była w domu Aulusów, opanowywała chwilami podobna żądza. Widziała się męczennicą, z ranami w rękach i stopach, białą, jak śniegi, piękną nadziemską pięknnością, niesioną przez równie białych aniołów w błękit, i podobnymi widzeniami lubowała się jej wyobraźnia. Było w tem dużo marzeń dziecinnych, ale było i nieco upodobania w samej sobie, które karciała Pomponia. Teraz zaś, gdy opór woli Cezara mógł pociągnąć za sobą jakąś okrutną karę i gdy widywane w marzeniach męczarnie mogły się stać rzeczywistością, do pięknych widzeń, do upodobań, dołączyła się jeszcze, pomieszana ze strachem, jakaś ciekawość, jak też ją skarżą i jaki rodzaj mąk dla niej obmyśla.

I tak wahała się jej wespół jeszcze dziecinna dusza na dwie strony. Lecz Akte, dowiedziawszy się o tych waha niach, spojrziała na nią z takim zdumieniem, jakby dziewczyna mówiła w gorączce. Okazać opór woli Cezara? Narazić się od pierwszej chwili na jego gniew? Na to trzeba chyba być dzieckiem, które nie wie, co mówi. Z własnych oto słów Ligii pokazuje się, że właściwie nie jest ona zakładniczką, ale dziewczyną zapomnianą przez swój naród. Nie broni jej żadne prawo narodów, a gdyby jej nawet bronilo, Cezar dość jest potężny, by je w chwili gniewu podeptać. Cezarowi spodobało się ją wziąć i odtąd nią rozporządza. Odtąd jest ona na jego woli, nad którą nie masz innej na świecie.

— Nie myśl nawet o tem, by sprzeciwić się Cezarowi. To byłoby szaleństwem. Wreszcie uspokój się. Znam dobrze ten dom i sądzę, że ze strony Cezara nic ci nie grozi. Gdyby Nero kazał cię porwać dla siebie, nie sprowadzaliby cię na Palatyn. Tu władza Poppea, a Nero, od czasu gdy mu powiła córkę, jest jeszcze bardziej pod jej władzą... Nie. Nero kazał wprowadzić, byś była na uczcie,

ale nie widział cię dotąd, nie zapytał o ciebie, więc mu o ciebie nie chodzi. Może odebrał cię Aulusowi i Pomponii tylko przez złość do nich... Do mnie Petroniusz pisał, bym miała nad tobą opiekę, a że pisała, jak wiesz, i Pomponia, więc chyba porozumieli się ze sobą. Może on to uczynił na jej prośbę. Jeśli tak jest, jeśli i on na prośbę Pomponii zaopiekuje się tobą, nic ci nie grozi i kto wie nawet, czy Nero za jego namową nie odesła cię do Aulusów. Nie wiem, czy Nero zbyt go kocha, ale wiem, że rzadko śmie być przeciwnego z nim zdania.

— Ach, Akte! — odpowiedziała Ligia — Petroniusz był u nas przedtem, niż mnie zabrali, i matka moja była przekonana, iż Nero zażądał wydania mnie z jego namowy.

— To byłoby źle — rzekła Akte.

Lecz, zamyśliwszy się przez chwilę, mówiła dalej:

— Może jednak Petroniusz wygadał się tylko przed Neronem przy jakiej wieczerzy, że widział u Aulusów zakładniczkę Ligiów, i Nero, który jest zazdrosny o swą władzę, zażądał cię tylko dlatego, że zakładnicy należą do Cezara. On zresztą nie lubi Aulusa i Pomponii... Nie! Nie zdaje mi się, by Petroniusz, gdyby cię chciał odebrać Aulusowi, chwycił się takiego sposobu... Nie wiem, czy Petroniusz jest lepszy od tych, którzy otaczają Cezara, ale jest inny... Może wreszcie, prócz niego, znajdziesz jeszcze kogo, ktoby się chciał wstawić za tobą. Czy u Aulusów nie poznałaś kogo z blizkich Cezara?

— Widywałam Wespazyana i Tytusa.

— Cezar ich nie lubi.

— I Senekę.

— Dość, by Seneka coś poradził, aby Nero postąpił inaczej.

Jasna twarz Ligii poczęła pokrywać się rumieńcem.

— I Winicyusza...

— Nie znam go.

— To krewny Petroniusza, który wrócił niedawno z Armenii...

— Czy myślisz, że Nero rad go widzi?

— Winicyusza lubią wszyscy.

— I chciałby się wstawić za tobą?

— Tak.

Akte uśmiechnęła się tkliwie i rzekła:

— To go pewnie na uczcie zobaczysz. Być na niej musisz, naprzód dlatego, że musisz... Tylko takie dziecko, jak ty, mogło pomyśleć inaczej. Powtóre, jeśli chcesz wrócić do domu Aulusów, znajdziesz sposobność proszenia Petroniusza i Winicyusza, by swoim wpływem wyjednali dla cię prawo powrotu. Gdyby tu byli, obaj powiedzieliby ci to, co ja: że szaleństwem i zgubą byłoby próbować oporu. Cezar mógłby wprawdzie nie dostrzedz twej nieobecności, lecz gdyby dostrzegł i pomyślał, że śmiałaś się sprzeciwić jego woli, nie byłoby już dla ciebie ratunku. Chodź, Ligio... Czy słyszysz ten gwar w domu? Słońce się zniża i goście już wkrótce zaczną przybywać.

— Masz słuszność, Akte — odpowiedziała Ligia — i pójdę za twoją radą.

Ile w tem postanowieniu było chęci zobaczenia Winicyusza i Petroniusza, ile kobiecej ciekawości, by raz w życiu ujrzeć taką ucztę, a na niej Cezara, dwór, słynną Poppeę i inne piękności, i cały ten niesłychany przepych, o którym cuda opowiadano w Rzymie, sama Ligia nie umiała sobie zapewne zdać sprawy. Lecz Akte swoją drogą miała słuszność i dziewczyna czuła to dobrze. Iść było trzeba, więc gdy konieczność i prosty rozum wsparły ukrytą pokusę, przestała się wahać.

Akte zaprowadziła ją wówczas do własnego unctorium¹⁾, by ją namaścić i ubrać, a jakkolwiek w domu Cezara nie brakło niewolnic i Akte miała ich sporo dla osobistej usługi, jednak przez współczucie dla dziewczyny,

¹⁾ Komnata toaletowa.

której niewinność i piękność chwyciły ją za serce, sama postanowiła ją ubrać. I zaraz pokazało się, że w młodej Greczynce, mimo jej smutku i mimo weczytywania się w listy Pawła z Tarzu, zostało wiele jeszcze dawnej duszy helleńskiej, do której piękność ciała przemawiała silniej, niż wszystko inne na świecie. Na widok jej kształtów, zarazem wiotkich i pełnych, utworzonych jakby z perłowej masy i róży, nie mogła wstrzymać okrzyku podziwienia, i odstąpiwszy kilka kroków, patrzyła z zachwytem na tę niezrównaną wiosenną postać.

— Ligio! — zawołała wreszcie — tyś stokroć piękniejsza od Poppei!

— Cudny musi być wasz kraj ligijski, gdzie takie się rodzą dziewczyny.

— Ja go nie pamiętam — odrzekła Ligia — Urzus tylko mi mówił, że u nas lasy, lasy i lasy.

— A w lasach kwiaty kwitną — mówiła Akte, maczając dłonie w wazie, pełnej werweny i zwilżając nią włosy Ligii.

Po ukończeniu zaś tej roboty, poczęła maścić leciuchno całe jej ciało wonnymi olejkami z Arabii, a następnie przyoblekała je w miękką złotej barwy tunikę bez rękawów, na którą miało przyjść śnieżne peplum. Lecz, że przedtem trzeba było uczesać włosy, więc tymczasem owinęła ją w rodzaj obszernej szaty, zwanej synthesis i, usadziwszy na krześle, oddała ją na chwilę w ręce niewolnic, by czuwać z daleka nad czesaniem. Dwie niewolnice poczęły nakładać jednocześnie na nóżki Ligii białe, haftowane purpurą trzewiki, przypasując je na krzyż złotymi taśmami do alabastrowych kostek. Gdy wreszcie czesanie było skończone, ułożono na niej peplum w prześliczne lekkie fałdy, poczem Akte, zapiąwszy jej perły na szyi i dotknąwszy włosów na skrętach złocistym pyłem, sama kazala się przybierać, wodząc przez cały czas zachwyconemi oczyma za Ligią.

Lecz wnet była gotowa, a gdy przed główną bramą

pierwsze dopiero zaczęły się ukazywać lektyki, weszły obie do bocznego kryptoportyku, z którego widać było główną bramę, wewnętrzne galerye i dziedziniec, otoczony kolumnadą z numidyjskiego marmuru.

Stopniowo coraz więcej ludzi przechodziło pod wyniosłym łukiem bramy, nad którą wspaniała kwadryga¹⁾ Lizyasa zdawała się unosić w powietrzu Apollina i Dyane. Oczy Ligii uderzył pyszny widok, o którym skromny dom Aulusa nie mógł jej dać najmniejszego pojęcia. Była to chwila zachodu słońca i ostatnie jego promienie padały na żółty numidyjski marmur kolumn, który w tych blaskach świecił jak złoto, i zarazem mienił się na różowo. Wśród kolumn, obok białych posągów Danaid i innych przedstawiających bogów lub bohaterów, przepływały tłumy ludzi, mężczyzn i kobiet, podobnych również do posągów, bo udrapowanych w togi, pepluny i stole, spływające z wdziękiem ku ziemi miękkimi fałdami, na których dogasały blaski zachodzącego słońca. Olbrzymi Herkules, z głową jeszcze w świetle, od piersi pograżon już w cieniu, rzuconym przez kolumnę, spoglądał z góry na ów tłum. Akte pokazywała Ligii senatorów w szeroko obramowanych togach, w barwnych tunikach i z półksiężycami na obuwiu, i rycerzy, i słynnych artystów, i rzymskie panie, przybrane w sposób rzymski, to grecki, to w fantastyczne wschodnie stroje, z włosami upiętymi w wieże, w piramidy, lub zaczesane na wzór posągów bogiń nisko przy głowie, a strojne w kwiaty. Wielu mężczyzn i wiele kobiet nazywała Akte po imieniu, dodając do imion krótkie i nieraz straszne historye, przejmujące Ligię strachem, podziwem, zdumieniem. Był to dla niej świat dziwny, którego pięknnością napawały się jej oczy, ale którego przeciwieństw nie umiał pojąć jej dziewczęcy rozum. W tych zorzach na niebie, w tych szeregach nieruchomych kolumn, ginących w głębi, i w tych ludziach,

¹⁾ Czwórka koni.

podobnych do posągów, był jakiś wielki spokój; zdawało się, że wśród owych prostolinijnych marmurów powinni żyć jacyś próżni trosk, ukojeni i szczęśliwi półbogowie, tymczasem cichy głos Akte odkrywał raz po raz coraz inną, straszną tajemnicę i tego pałacu i tych ludzi. Oto tam zdala widać kryptoportyk, na którego kolumnach i podłodze czerwienią się jeszcze krwawe plamy krwi, którą obluzgał białe marmury Kaligula, gdy padł pod nożem Kassjusza Cherei; tam zamordowano jego żonę; tam dziecko rozbito o kamienie; tam pod tem skrzydłem jest podziemie, w którym gryzł ręce z głodu młodszy Druzus¹⁾; tam otruto starszego, tam wił się z konwulsyi Klaudyusz, tam Germanik, wszędy te ściany słyszały jęki i chrapanie konających, a ci ludzie, którzy spieszą teraz na ucztę w togach, w barwnych tunikach, w kwiatach i klejnotach to może jutrzejsi skazańcy; może na niejednej twarzy uśmiech pokrywa strachy, niepokój, niepewność jutra; może gorączka, chciwość, zazdrość wżerają się w tej chwili w serca tych napozór beztroskich, uwieńczonych półbogów. Spłoszone myśli Ligii nie mogły nadażyć za słowami Akte, i gdy ów cudny świat przyciągał z coraz większą siłą jej oczy, serce ścisnęło się w niej przestraczem, a w duszy zerwała się nagle niewypowiedziana i niezmierna tęsknota za kochaną Pomponią Grecyną i za spokojnym domem Aulusów, w którym panowała miłość, nie zbrodnia.

Tymczasem napływały coraz nowe fale gości. Z za bramy dochodził gwar i okrzyki klientów, odprowadzających swych patronów. Dziedziniec i kolumnady zaroily się od mnóstwa cesarowych niewolników, niewolnic, małych pacholąt i pretoryańskich żołnierzy, utrzymujących straż w pałacu. Gdzieniegdzie, między białemi lub smagłemi twarzami, zaczerniała twarz Numida, w pierzastym hełmie i z wielkimi złocistemi kólkami w uszach. Niesiono lut-

¹⁾ Syn Germanika a brat Kaliguli.

nie, cytry, pęki sztucznie wyhodowanych mimo późnej jesieni kwiatów, lampy ręczne srebrne, złote i miedziane. Coraz głośniejszy szmer rozmów mieszał się z pluskiem fontanny, której różowe od wieczornych blasków warkocze, spadając z wysoka na marmury, rozbijały się na nich jakby z łkaniem.

Akte przestała opowiadać, lecz Ligia patrzyła ciągle, jakby wypatrując kogoś w tłumach. I nagle twarz jej pokryła się rumieńcem. Z pomiędzy kolumn wysunęli się Winicyusz i Petroniusz, piękni, spokojni, podobni w swoich togach do białych bogów. Ligii, gdy wśród obcych ludzi ujrzała te dwie znajome i przyjazne twarze, a zwłaszcza, gdy ujrzała Winicyusza, zdawało się, że wielki ciężar spadł jej z serca. Uczuła się mniej samotną. Ta niezmierna tęsknota za Pomponią i domem Aulusów, która zerwała się w niej przed chwilą, przestała nagle być dotkliwą.

Akte, wzięwszy teraz jej rękę, wiodła ją przez wewnętrzne pokoje do wielkiego tryklinium, w którym miała odbywać się uczta, a jej émiło się w oczach, szumiało od wewnętrznych wzruszeń w uszach i bicie serca tamowało jej oddech. Jak przez sen ujrzała tysiące lamp migocących i na stołach, i na ścianach, jak przez sen usłyszała okrzyk, którym witano Cezara, jak przez mgłę dojrzała jego samego. Okrzyk zgłuszył ją, blask olśnił, odurzyły wonie i, straciwszy resztę przytomności, zaledwie mogła rozemnać Akte, która, umieściwszy ją przy stole, sama zajęła miejsce obok.

Lecz po chwili, niski, znajomy głos ozwał się z drugiej strony:

— Bądź pozdrowiona najpiękniejsza z dziewic na ziemi i z gwiazd na niebie! Bądź pozdrowiona boska Kallino!

Ligia, oprzytomniawszy nieco, spojrzała: obok niej spoczywał ¹⁾ Winicyusz.

¹⁾ Rzymianie biesiadowali na wpół leżąc na sofach otaczających z trzech stron stół.

Był bez togi, albowiem wygoda i zwyczaj nakazywały zrzucić togi do uczyty. Ciało okrywała mu tylko szkarłatna tunika bez rękawów, wyszyta w srebrne palmy. Ramiona miał nagie, ozdobione obyczajem wschodnim dwoma szerokimi złotymi naramiennikami, upiętymi powyżej łokci, niżej, starannie oczyszczone z włosów, gładkie, lecz zbyt muskularne, prawdziwe ramiona żołnierza, stworzone do miecza i tarczy. Na głowie nosił wieniec z róż. Ze swemi zrosniętymi nad nosem brwiami, z przepysznyemi oczyma i smagłą cerą, był jakby uosobieniem młodości i siły. Ligii wydał się tak piękny, że jakkolwiek pierwsze jej odurzenie już przeszło, zaledwie zdołała odpowiedzieć:

— Bądź pozdrowiony, Marku..

Oprzytomniawszy, i czując, że w tym tłumie, i w tym domu jest on jedyną bliską jej istotą, poczęła mówić z nim i wypytywać go o wszystko, co było dla niej niezrozumiałem i co przejmowało ją strachem. Skąd wiedział, że ją znajdzie w domu Cezara i dlaczego ona tu jest? Dlaczego Cezar odebrał ją Pomponii? Ona się tu boi i chce do niej powrócić. Umarłaby z tęsknoty i niepokoju, gdyby nie nadzieja, że Petroniusz i on wstawią się za nią do Cezara.

Winicyusz tłumaczył jej, iż o jej porwaniu dowiedział się od samego Aulusa. Dlaczego ona tu jest, nie wie. Cezar nikomu nie zdaje sprawy ze swoich rozporządzeń i rozkazów.

Uspokoił ją, obiecał wyrwać z domu Cezara; obiecał, że jej nie opuści i że będzie jej służył. Prócz tego, przedtem, u Aulusów, rozmawiał z nią tylko ogólnie o miłości i o szczęściu, jakie ona dać może, teraz zaś mówił już wprost, że ją kocha, że mu jest najmilszą i najdroższą.

Lecz w tej chwili ozwał się głos Akte, która spoczywała z drugiej strony Ligii:

— Cezar patrzy na was.

Winicyusza porwał nagły gniew i na Cezara i na Akte. Oto słowa jej rozproszyły czar upojenia. Młodemu

człowiekowi nawet przyjazny głos wydalby się w takiej chwili natrętnym, sądził zaś, że Akte pragnie umyślnie przeszkodzić jego rozmowie z Ligią.

Więc, podniósłszy głowę i spojrzawszy na młodą wyzwoleńcę poprzez ramiona Ligii, rzekł ze złością:

— Mówią, że ci grozi ślepotą, więc jakże możesz go dojrzeć?

A ona odpowiedziała jakby ze smutkiem:

— Widzę go jednak... On także ma krótki wzrok, i patrzy na was przez szmaragd.

Wszystko, co czynił Nero, wzbudzało czujność, nawet w jego najbliższych, więc Winicyusz zaniepokoił się, ochłonął — i począł spoglądać nieznacznie w stronę Cezara. Ligia, która na początku uczyty, widziała go ze zmieszania, jak przez mgłę, a potem, pochłonięta przez obecność i rozmowę Winicyusza, nie patrzyła nań wcale, teraz zwróciła także ku niemu zarazem ciekawe i przestraszone oczy.

Akte mówiła prawdę. Cezar, pochylony nad stołem i zmrużywszy jedno oko, a trzymając palcami przy drugim okrągły wypolerowany szmaragd, którym stale się posługiwał, patrzył na nich. Na chwilę wzrok jego spotkał się z oczyma Ligii i serce dziewczyny ścisnęło się przerażeniem. Gdy, dzieckiem jeszcze, bywała w wiejskiej sycylijskiej posiadłości Aulusów, stara niewolnica egipska opowiadała jej o smokach, zamieszkujących czeluście gór, i otóż teraz wydało jej się, że nagle spojrzało na nią zielonawe oko takiego smoka. Dłonią chwyciła rękę Winicyusza, jak dziecko, które się boi, a do głowy poczęły jej się cisnąć bezładne i szybkie wrażenia: Więc to był on? ten straszny i wszechmocny? Nie widziała go dotąd nigdy, a myślała, że wygląda inaczej. Wyobrażała sobie jakieś okropne oblicze, ze skamieniałą w rysach złością; tymczasem ujrzała wielką, osadzoną na grubym karku głowę, straszną wprawdzie, ale niemal śmieszoną, albowiem podobną z daleka do głowy dziecka. Tunika ametystowej

barwy, zabronionej zwykłym śmiertelnikom, rzucała sinawy odblask na jego szeroką i krótką twarz. Włosy miał ciemne, utrefione modą, zaprowadzoną przez Othona, w cztery rzędy pukli. Brody nie nosił, gdyż przed niedawnym czasem poświęcił ją Jowiszowi, za co cały Rzym składał mu dziękczynienie, jakkolwiek po cichu szeptano sobie, iż poświęcił ją dlatego, że, jak wszyscy z jego rodziny, zarastał na czerwono. W jego silnie występującem nad brwiami czole, było jednak coś olimpijskiego. W ściągniętych brwiach znać było świadomość wszechmoccy; lecz pod tem czołem półboga mieściła się twarz małpy, pijaka i kome-dyanta, próżna, zalana mimo młodego wieku tłuszczem, a jednak chorobliwa i plugawa. Ligii wydał się złowrogim, lecz przedewszystkiem ohydny.

Po chwili położył szmaragd i przestał patrzeć na nią. Wówczas ujrzała jego wypukłe niebieskie oczy, mrużące się pod nadmiarem światła, szkliste, bez myśli, podobne do oczu umarłych.

On zaś, zwróciwszy się do Petroniusza, rzekł:

— Czy to jest owa zakładniczka, w której się kocha Winicyusz?

— To ona — odrzekł Petroniusz.

— Jak się nazywa jej naród?

— Ligowie.

— Winicyusz uważa ją za piękną?

— Przybierz w niewieście peplum spróchniały pień oliwny, a Winicyusz uzna go za piękny. Ale na twojem obliczu, o znawco niezrównany, czytam już wyrok na nią! Nie potrzebujesz go ogłaszać! Tak jest! za sucha! chuderlawa, istna makówka na cienkiej łądydze. Sama twarz nic nie znaczy. Jam dużo skorzystał przy tobie, ale tak pewnego rzutu oka nie mam jeszcze... I gotówem oto się założyć z Tuliuszem Senecyonem, że jakkolwiek przy uczcie, gdy wszyscy leżą, trudno o całej postaci wyrokować, ty jużes sobie powiedział: „za wążka w biodrach“.

— Za wążka w biodrach — odrzekł, przymykając oczy, Nero.

Na ustach Petroniusza pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech, zaś Tulusz Senecyo, który był zajęty aż do tej chwili rozmową z Westynusem, a raczej przedrwiwaniem snów, w które Westynus wierzył, zwrócił się do Petroniusza i, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi, rzekł.

— Mylisz się! — ja trzymam z Cezarem.

— Dobrze — odparł Petroniusz. — Dowodziłem właśnie, że masz szczyptę rozumu, Cezar zaś twierdzi, iż jesteś osłem bez domieszki.

— Habet! — rzekł Nero, śmiejąc się i zwracając w dół wielki palec ręki, jak to czyniło się w cyrkach na znak, że gladyator otrzymał cios i ma być dobity.

Uczta stawała się weselszą. Tłumy niewolników roznosiły coraz nowe dania; z wielkich waz, napełnionych śniegiem i okręconych bluszczem, wydobywano co chwila mniejsze kratery ¹⁾ z licznymi gatunkami win. Wszyscy pili obficie. Z pułapu na stół i na biesiadników spadały raz w raz róże.

Petroniusz począł jednak prosić Nerona, by nim goście się popiją, uszlachetnił ucztę swym śpiewem. Chór głosów poparł jego słowa, ale Nero się wzbraniał. Nie o samą odwagę chodzi, chociaż brak mu jej zawsze... Bogowie wiedzą, ile go kosztują wszelkie popisy... Nie uchyla się wprawdzie od nich, boć trzeba coś uczynić dla sztuki, i zresztą, jeśli Apollo obdarzył go pewnym głosem, to darów bożych nie godzi się marnować. Rozumie nawet, że jest to jego obowiązkiem względem państwa. Ale dziś jest naprawdę zachrypnięty. W nocy położył sobie ołowiane ciężarki na piersiach, ale i to nie pomogło... Myśli nawet jechać do Ancyum, by odetchnąć morskiem powietrzem.

Lecz Lukan począł go zaklinać w imię sztuki i ludz-

¹⁾ Naczynie do mieszania wina z wodą.

kości. Wszyscy wiedzą, że boski poeta i śpiewak ułożył nowy hymn do Wenus, wobec którego lukrecyuszowy jest skomleniem rocznego wilczęcia. Niechże ta uczta będzie prawdziwą ucztą. Władca, tak dobry, nie powinien zadawać takich mąk swym poddanym: „Nie bądź okrutnikiem, Cezarze!”

— Nie bądź okrutnikiem! — powtórzyli wszyscy siedzący bliżej.

Nero rozłożył ręce; na znak, że musi ustąpić. Wówczas wszystkie twarze ubrały się w wyraz wdzięczności, a wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Lecz on kazał jeszcze przedtem oznajmić Poppei, że będzie śpiewał, obecnym zaś oświadczył, że nie przyszła ona na ucztę, bo nie czuła się zdrową, ponieważ jednak żadne lekarstwo nie sprawia jej takiej ulgi, jak jego śpiew, przeto żałby mu było pozbawiać ją sposobności.

Jakoż Poppea nadeszła niebawem. Władala ona dotąd Neronem, jak poddanym, wiedziała jednak, że gdy chodziło o jego miłość własną, jako śpiewaka, woźnicy lub poety, niebezpiecznie byłoby ją zadrażnić. Weszła więc, piękna, jak bóstwo, przybrana równie jak Nero, w ametystowej barwy szatę i w naszyjnik z olbrzymich pereł, złupiony niegdyś na Masynissie, złotowłosa, słodka i, jakkolwiek po dwóch mężach rozwódka, z twarzą i wejrzaniem dziewicy.

Witano ją okrzykami i mianem „boskiej Augusty”. Ligia nigdy w życiu nie widziała nie równie pięknego i oczom własnym nie chciało jej się wierzyć, albowiem wiadomo jej było, że Poppea Sabina jest jedną z najniegodziwszych w świecie kobiet. Wiedziała od Pomponii, że ona doprowadziła Cezara do zamordowania matki i żony, znała ją z opowieści Aulusowych gości i służby; słyszała, że jej to posągi obalano po nocach w mieście; słyszała o napisach, których sprawców skazywano na najcięższe kary, a które jednak zjawiały się każdego rana na murach miasta. Tymczasem teraz, na widok tej osławionej Poppei,

uważanej przez wyznawców Chrystusa za wcielenie zła i zbrodni, wydało jej się, że tak mogli wyglądać aniołowie lub jakieś duchy niebiańskie. Po prostu nie umiała od niej oderwać oczu, a z ust mimowoli wyrwało się jej pytanie:

— Ach, Marku, czy to być może?...

On zaś, podniecony winem i jakby zniecierpliwiony, że tyle rzeczy rozpraszało jej uwagę i odrywało od niego i jego słów, mówił:

— Tak, ona piękna, aleś ty stokroć piękniejsza. Ty się nie znasz, inaczej zakochałabyś się w sobie, jak Narcyz... Ona się kąpie w mleku oślic¹⁾, a ciebie chyba Wenus wykąpała we własnym.

Ale w tej chwili nakazano ciszę, albowiem Cezar powstał. Śpiewak Dyodor podał mu lutnię, z rodzaju zwanych delta, drugi, Terpnos, który miał mu towarzyszyć w graniu, zbliżył się z instrumentem, zwanym nablium, Nero zaś, oparłszy delfę o stół, wznosił oczy w górę i przez chwilę w tryklinium zapanowała cisza, przerywana tylko szmerem, jaki wydawały spadające wciąż z pułapu róże.

Poczem jął śpiewać, a raczej mówić śpiewnie i rytmicznie, przy odgłosie dwóch lutni, swój hymn do Wenus. Ani głos, lubo nieco przyćmiony, ani wiersz, nie były złe, tak, że biedną Ligię znowu opanowały wyrzuty sumienia, albowiem hymn, jakkolwiek sławiący nieczystą pogańską Wenus, wydał się jej aż nadto piękny, a i sam Cezar, ze swoim wieńcem laurowym na czole i wzniesionemi oczyma, wspanialszym, daleko mniej straszny i mniej ohydny, niż na początku uczył.

Lecz biesiadnicy ozwali się grzmotem oklasków. Wołania: „o głosie niebiański!“ rozległy się naokół; niektóre z kobiet, podniósłszy dłonie w górę, pozostały tak, na znak zachwytu, nawet po skończeniu śpiewu; inne obcierały zażawione oczy; w całej sali zawrzało jak w ulu.

¹⁾ Historyczne.

Lecz Nero patrzył pilnie na Petroniusza, którego pochwały przedewszystkiem były mu zawsze pożądane, ów zaś rzekł:

— Jeśli chodzi o muzykę, Orfeusz musi być w tej chwili tak żółty z zazdrości, jak tu obecny Lukan, a co do wierszy, żałuję, że nie są gorsze, bo możebym znalazł wówczas odpowiednie na ich pochwałę słowa.

Lecz Lukan nie wziął mu za złe wzmianki o zazdrości, owszem, spojrział na niego z wdzięcznością i, udając zły humor, począł mruczeć:

— Przekłęte fatum, które kazało mi żyć współcześnie z takim poetą. Miałby człek miejsce w pamięci ludzkiej i na Parnasie, a tak, zgaśnie, jak gaśnie kaganek przy słońcu.

Petroniusz jednak, który miał pamięć zadziwiającą, począł powtarzać ustępy z hymnu, cytować pojedyncze wiersze, podnosić i rozbierać piękniejsze wyrażenia. Lukan, zapomniawszy niby o zazdrości wobec uroku poezyi, dołączył do jego słów swoje zachwyty. Na twarzy Nerona odbiła się rozkosz i bezdenna próżność, nietylko granicząca z głupotą, lecz zupełnie jej równa. Sam podsuwał im wiersze, które uważał za najpiękniejsze, a wreszcie jął pocieszać Lukana i mówić mu, by nie tracił odwagi, bo, jakkolwiek czem się kto urodzi, tem jest, jednakże cześć, jaką ludzie oddają Jowiszowi, nie wyłącza czci innych bogów.

Poczem wstał, by odprowadzić Poppeę, która będąc istotnie niezdrową, pragnęła odejść. Wszelako biesiadnikom, którzy pozostali, rozkazał zająć znów miejsca i zapowiedział, że wróci. Jakoż wrócił po chwili, by odurzać się dymem kadzideł i patrzeć na dalsze widowiska, jakie on sam, Petroniusz lub Tygellinus przygotowali na ucztę.

Niewolnicy przynosili jeszcze nowe dania i ustawicznie napełniali kruże winem, a przed stołem ustawionym w otwartą z jednej strony klamrę, zjawili się dwaj atleci, by dać gościom widok zapasów.

I wnet poczęli się zмагаć. Potężne, świecące od oliwy ciała, utworzyły jedną bryłę, kości ich chrzęściały w żelaznych ramionach, z zaciśniętych szczęk wydobywał się zgrzyt złowrogi. Chwilami słyhać było szybkie, głu-ch e uderzenia ich stóp o przytrząśniętą szafranem podłogę, to znów stawali nieruchomie, cichli i widzom wydawało się, że mają przed sobą grupę wykutą z kamienia. Oczy Rzymian z lubością śledziły grę straszliwie napiętych grzbietów, łyd i ramion. Lecz walka nie trwała zbyt długo, albowiem Kroto, mistrz i przełożony szkoły gladyatorów, nie-próżno uchodził za najsilniejszego w państwie człowieka. Przeciwnik jego począł oddychać coraz spieszniej, potem rzezić, potem twarz mu posiniała, wreszcie wyrzucił krew ustami i zwiśł.

Grzmot oklasków powitał koniec walki, zaś Kroto, oparłszy stopy na plecach przeciwnika, skrzyżował olbrzymie ramiona na piersiach i toczył oczyma tryumfatora po sali.

Weszli następnie udawacze zwierząt i ich głosów, kuglarze i błazny, lecz mało na nich patrzono, gdyż wino ćmiło już oczy patrzących. Uczta zmieniała się stopniowo w pijacką orgię. Muzyka zmieniała się w bezładny i dziki hałas cytr, lutni, cymbałów armeńskich, sistr egipskich, trąb i rogów, gdy zaś niektórzy z biesiadników pragnęli rozmawiać, poczęto krzyczeć na muzykantów, by poszli precz. Powietrze przesycone zapachem kwiatów, pełne woni olejków, którymi śliczne pacholęta przez czas uczty skrapiwały stopy biesiadników, przesycone szafranem i wy-ziewami ludzkimi, stało się duszne; lampy paliły się mdłym płomieniem, poprzekrzywiały się wieńce na czołach, twa-rze pobladły i pokryły się kroplami potu.

Petroniusz nie był pijany, ale Nero, który z początku pił ze względu na swój „niebieski“ głos mało, pod koniec wychylał czaszę po czaszy i upił się. Chciał nawet śpie-wać dalej swe wiersze, tym razem greckie, ale ich za-pomniał i przez omyłkę zaśpiewał piosnkę Anakreona.

Winicyusz niemniej był pijany od innych, a w dodatku budziła się w nim chęć do kłótni, co zdarzało mu się zawsze, ilekroć przebrał miarę. Jego czarniawa twarz stała się jeszcze bledszą i język plątał mu się już, gdy mówił głosem podniesionym już i rozkazującym:

— Cezar wziął cię od Aulusów, by cię darować mnie, rozumiesz! Jutro o zmroku przysię do ciebie, rozumiesz!... Cezar mi cię obiecał, nim cię wziął...

I objął ją, ale Akte poczęła jej bronić, a i ona sama broniła się ostatkiem sił, bo czuła, że ginie. Próżno jednak usiłowała obu rękoma zdjąć z siebie jego bezwłose ramię; próżno głosem, w którym drgał żal i strach, błagała go, by nie był takim, jak jest, i by miał nad nią litość. Przesycony winem oddech, oblewał ją coraz bliżej, a twarz jego znalazła się tuż koło jej twarzy.

Lecz w tejże chwili jakaś straszna siła odwinęła jego ramiona z jej szyi z taką łatwością, jakby to były ramiona dziecka, jego zaś odsunęła na bok, jak suchą gałązkę lub zwiędły liść. Co się stało? Winicyusz przetarł zdumione oczy i nagle ujrzał nad sobą olbrzymią postać Liga, zwanego Urzusem, którego poznał w domu Aulusów.

Lig stał spokojny i tylko patrzył na Winicyusza błękitnemi oczyma tak dziwnie, iż młodemu człowiekowi krew ścieła się w żyłach, poczem wziął na ręce swą królową i krokiem równym, cichym, wyszedł z tryklinium.

Akte w tej chwili wyszła za nim.

Winicyusz siedział przez mgnienie oka, jak skamieniały, poczem zerwał się i począł biedz ku wyjściu:

— Ligio! Ligio!...

Lecz zdumienie, wściekłość i wino podcięły mu nogi. Zatoczył się raz i drugi, poczem chwycił za nagie ramiona jednej z bachantek i począł pytać, mrugając oczyma:

— Co się stało?

A ona, wzięwszy krużę z winem, podała mu ją z uśmiechem w zamglonych oczach:

— Pij! — rzekła.

Winicyusz wypił i zwałił się z nóg.

Większa część gości leżała już pod stołem; inni chodzili chwiejnym krokiem po tryklinium, inni spali na sofach stołowych, chrapiąc lub oddając przez sen zbytek wina, a na pijanych konsulów i senatorów, na pijanych rycerzy, poetów, filozofów, na pijane tancerki i patrycyuszki, na cały ten świat, wszechwładny jeszcze, ale już bezduszny, uwieńczony i rozpasany, ale już gasnący, ze złotego niewodu, upiętego pod pułapem, kapaly i kapaly wciąż róże.

Na dworze poczęło świtać.

VII.

U r z u s .

Urzusa nikt nie zatrzymał, nikt nie zapytał nawet co czyni. Ci z gości, którzy nie leżeli pod stołem, nie pilnowali już swych miejsc, więc służba, widząc olbrzyma, niosącego na ręku biesiadniczkę, sądziła, że to jakiś niewolnik wynosi pijaną swoją panią. Zresztą Akte szła z nimi i obecność jej usuwała wszelkie podejrzenia.

W ten sposób wyszli z tryklinium do przyległej komnaty, a stamtąd na galeryę, wiodącą do mieszkania Akte.

Ligię opuściły siły tak dalece, że ciężyła, jak marta na ramieniu Urzusa. Ale, gdy oblało ją chłodne i czyste poranne powietrze, otworzyła oczy. Na świecie czyniło się coraz widniej. Po chwili, idąc kolumnadą, skręcili w boczny portyk, wychodzący nie na dziedziniec, ale na pałacowe ogrody, w których wierzchołki pinii i cyprysów rumieniły się już od zorzy porannej. W tej części gmachu było pusto, a odgłosy muzyki i wrzaski biesiadne dochodziły ich coraz niewyraźniej. Ligii wydało się, że wyrwano ją z piekła i wyniesiono na jasny świat boży. Było jednak coś poza tem ohydnem tryklinium. Było niebo, zorze, światło i cisza. Dziewczynę chwycił nagły płacz i tuląc się do ramienia olbrzyma, poczęła powtarzać ze łkaniem:

— Do domu, Urzusie! do domu, do Aulusów!...

— Pójdziemy! — odrzekł Urzus.

Tymczasem jednak znaleźli się w małym atrium, przynależnym do mieszkania Akte. Tam Urzus posadził Ligię na marmurowej ławce, opodal fontanny, Akte zaś poczęła ją uspokajać i zachęcać do spoczynku, upewniając, że chwilowo nic jej nie grozi, gdyż pijani biesiadnicy będą po uczcie spali do wieczora. Lecz Ligia przez długi czas nie chciała się uspokoić i przycisnąwszy rękoma skroń, powtarzała tylko, jak dziecko:

— Do domu, do Aulusów!...

Urzus był gotów. Przy bramach stoją wprawdzie pretoryanie, ale on i tak przejdzie. Żołnierze nie zatrzymują wychodzących. Przed łukiem mrowi się od lektyk. Ludzie poczną wychodzić całymi kupami. Nikt ich nie zatrzyma. Wyjdą razem z tłumem i pójdą prosto do domu. Zresztą, co mu tam! Jak królowna każe, tak musi być. Po co on tu jest.

A Ligia powtarzała:

— Tak, Urzusie, wyjdziemy.

Lecz Akte musiała mieć rozum za oboje. Wyjdą! tak! Nikt ich nie zatrzyma. Ale z domu Cezara uciekać nie wolno i kto to czyni, obraża jego majestat. Wyjdą, ale wieczorem centuryon na czele żołnierzy przyniesie wyrok śmierci Aulusowi, Pomponii Grecynie, Ligię zaś zabierze napowrót do pałacu i wówczas już nie będzie dla niej ratunku. Jeśli Aulusowie przyjmą ją pod swój dach, śmierć czeka ich napewno.

Ligii opadły ręce. Nie było rady. Musiała wybierać między zgubą Plaucyuszów, a własną. Idąc na ucztę, miała nadzieję, że Winicyusz i Petroniusz wyproszą ją od Cezara i oddadzą Pomponii, teraz zaś wiedziała, że to oni właśnie namówili Cezara, by ją odebrał Aulusom. Nie było rady. Cud chyba mógł ją wyrwać z tej przepaści. Cud i potęga Boża.

— Akte — rzekła z rozpaczą — czy słyszałaś, co

mówił Winicyusz, że mu Cezar mnie darował, i że dziś wieczór przyśle po mnie niewolników i zabierze mnie do swego domu?

— Słyszałam — rzekła Akte. — Zali Winicyusz jest ci tak nienawistny?

Lecz Ligia nie mogła odpowiedzieć, gdyż porwał ją znów płacz. Akte przygarnęła ją do piersi i poczęła uspokajać. Urzus oddychał ciężko i zaciskał olbrzymie pięści, albowiem, kochając z wiernością psa swą królowną, nie mógł znieść widoku jej łez. W jego ligijskiem, półdzikiem sercu, rodziła się chęć, by wrócić do sali, zdławić Winicyusza, a w razie potrzeby Cezara, bał się jednak zaofiarować z tem swej pani, nie będąc pewnym, czy taki postępek, który zrazu wydał mu się nader prostym, byłby odpowiednim do wyznawcy ukrzyżowanego Baranka.

A Akte, utuliwszy Ligię, poczęła znów pytać:

— Zali on ci tak nienawistny?

— Nie — rzekła Ligia — niewolno mi go nienawidzić, bo jestem chrześcijanką.

— Wiem, Ligio. Wiem także z listów Pawła z Tarcz, iż wam niewolno ni się pohańbić, ni bać się więcej śmierci, niż grzechu, ale powiedz mi, czy twoja nauka pozwala śmierć zadawać?

— Nie.

— Więc jakże możesz ściągać pomstę Cezara na dom Aulusów?

Nastąpiła chwila milczenia. Przepaść bez dna otworzyła się przed Ligią nanowo.

Zaś młoda wyzwolenica mówiła dalej:

— Pytam, bo mi cię żal, i żal dobrej Pomponii, i Aulusa, i ich dziecka. Ja dawno żyję w tym domu, i wiem, czem grozi gniew Cezara. Nie! Wy nie możecie stąd uciekać. Jedna ci droga zostaje: błagać Winicyusza, aby cię wrócił Pomponii.

Lecz Ligia obsunęła się na kolana, by błagać kogo

innego. Urzus ukląkł po chwili także i oboje poczęli się modlić, w domu Cezara, przy rannej zorzy.

Akte po raz pierwszy widziała taką modlitwę i nie mogła oczu oderwać od Ligii, która, zwrócona do niej profilem, ze wzniesioną głową i rękoma, patrzyła w niebo, jakby czekając stamtąd ratunku. Świt obrzucił światłem jej ciemne włosy i białe peplum, odbił się w źrenicach i cała w blasku, sama wyglądała jak światło. W jej pobladłej twarzy, w otwartych ustach, we wzniesionych rękach i oczach, znać było jakieś nadziemskie uniesienie. Przed dawną kochanką Nerona uchylił się jakby róg zasłony, kryjący świat zgoła inny, niż ów, do którego przywykła. Zdumiewała ją ta modlitwa, w tym domu zbrodni i sromoty. Przed chwilą wydawało się jej, że niema dla Ligii ratunku, teraz zaś poczęła wierzyć, że może stać się coś nadzwyczajnego, że przyjdzie jakiś ratunek, tak potężny, iż i sam Cezar oprzeć mu się nie zdoła, że z nieba zejną jakieś skrzydlate wojska w pomoc dziewczynie, albo, że słońce podściele pod nią promienie i pociągnie ją ku sobie. Słyszała już o wielu cudach między chrześcijanami, i myślała teraz, że widocznie wszystko to prawda, skoro Ligię tak się modli.

Ligię zaś podniosła się wreszcie z twarzą rczjaśnioną nadzieją, Urzus podniósł się także i przykucnąwszy obok ławki, patrzył w swą panią, czekając jej słów.

A jej oczy zaszły mgłą i po chwili dwie wielkie łzy poczęły się toczyć zwolna po jej policzkach.

— Niech Bóg błogosławi Pomponii i Aulusowi — rzekła. — Niewolno mi ściągać zguby na nich, więc nie zobaczę ich nigdy więcej.

Poczem, zwróciwszy się do Urzusa, poczęła mu mówić, iż on jeden zostaje jej teraz na świecie, że musi być teraz jej ojcem i opiekunem. Nie mogą szukać schronienia u Aulusów, albowiem ściągnęliby na nich gniew Cezara. Ale ona nie może pozostać także ni w domu Cezara, ni Winicyusza. Niechże więc Urzus ją weźmie, niech wypro-

wadzi z miasta, niech ukryje gdzieś, gdzie jej nie znajdzie ni Winicyusz, ni jego słudzy. Ona wszędzie pójdzie za nim, choćby za morza, choćby za góry, do barbarzyńców, gdzie nie słyszano rzymskiego imienia i gdzie władza Cezara nie sięga. Niech ją weźmie i ratuje, bo on jej jeden pozostał.

Lig był gotów i na znak posłuszeństwa, pochyliwszy się, objął jej nogi. Lecz na twarzy Akte, która spodziewała się cudu, odbiło się rozczarowanie. Tyleż tylko sprawiła ta modlitwa? Uciec z domu Cezara, jest to dopuścić się zbrodni obrazy majestatu, która musi być pomszczona, i gdyby nawet Ligia zdołała się ukryć, Cezar pomści się na Aulusach. Jeśli chce uciekać, niech ucieka z domu Winicyusza. Wówczas Cezar, który nie lubi zajmować się cudziemi sprawami, może nawet nie zechce pomagać Winicyuszowi w pościgu, a w każdym razie nie będzie zbrodni obrażonego majestatu.

Lecz Ligia tak właśnie myślała. Aulusowie nie będą nawet wiedzieli, gdzie ona jest, nawet Pomponia... Ucieknie jednak nie z domu Winicyusza, tylko z drogi. On oświadczył jej po pijanemu, iż wieczorem przyśle po nią swych niewolników. Mówił pewno prawdę, której nie byłby wyznał, gdyby był trzeźwym. Widocznie on sam, lub może obaj z Petroniuszem widzieli przed ucztą Cezara i wymogli na nim obietnicę, że ją nazajutrz wieczorem wyda. A jeśliby dziś zapomnieli, to przyślą po nią jutro. Ale Urzus ją uratuje. Przyjdzie, wyniesie ją z lektyki, jak wyniósł z tryklinium i pójdą w świat. Urzusowi nie potrafi się oprzeć nikt. Jemu nie oparłby się nawet ów straszny zapaśnik, który wczoraj zmagił się w tryklinium. Ale że Winicyusz może przysłać bardzo dużo niewolników, więc Urzus pójdzie zaraz do biskupa Linnusa¹⁾ o radę i pomoc. Biskup ulituje się nad nią, nie zostawi jej w rę-

¹⁾ Pierwszy po św. Piotrze papież; poniósł śmierć męczeńską w r. 18.

kach Winicyusza i każe chrześcijanom iść z Urzusem na jej ratunek. Odbiją ją i uprowadzą, a potem Urzus potrafi ją wywieść z miasta i ukryć gdzieś przed mocą rzymską.

I twarz jej poczęła się powlekać rumieńcem i śmiać. Otucha wstąpiła w nią nanowo, tak, jakby nadzieja ratunku zmieniła się już w rzeczywistość. Nagle rzuciła się na szyję Akte i przyłożywszy swe śliczne usta do jej policzka, poczęła szeptać:

— Ty nas nie zdradzisz, Akte, nieprawda?

— Na cień matki mojej — odpowiedziała wyzwolnica — nie zdradzę was, i prosz tylko swego Boga, by Urzus potrafił cię odebrać.

Ale niebieskie, dziecinne oczy olbrzyma świeciły szczęściem. Oto nie potrafił nic wymyśleć, choć łamał swą biedną głowę, ale taką rzecz, to on potrafi. I czy w dzień, czy w nocy, wszystko mu jedno!... Pójdzie do biskupa, bo biskup w niebie czyta, co trzeba, a czego nie trzeba. Ale chrześcijan toby i tak potrafił zebrać. Małoż to on ma znajomych i niewolników i gladyatorów i wolnych ludzi, i na Saburze i za mostami. Zebralby ich tysiąc, i dwa. I odbije swoją panią, a wyprowadzić ją z miasta także potrafi, i pójść z nią potrafi. Pójdą choćby na koniec świata, choćby tam, skąd są, gdzie i nie słyszał nikt o Rzymie.

Tu począł wpatrywać się przed siebie, jakby chciał dojrzeć jakieś rzeczy przeszłe i niezmiernie odległe, poczem jął mówić:

— Do boru? Hej, jaki bór, jaki bór!...

Lecz po chwili otrząśł się z widzeń:

Ot, pójdzie zaraz do biskupa, a wieczorem będzie już w jakie sto głów czatował na lektykę. I niechby ją prowadzili nietylko niewolnicy, ale nawet pretoryanie!! Już tam lepiej nikomu nie podsuwać się pod jego pięści, choćby w żelaznej zbroi... Bo czy to żelazo takie mocne! Jak godnie stuknąć w żelazo, to i głowa pod niem nie wytrzyma.

Lecz Ligia z wielką, a zarazem dziecinną powagą podniosła palec w górę:

— Urzusie! „nie zabijaj“ — rzekła.

Lig złożył swą podobną do maczugi rękę na tył głowy i począł, mruczając, pocierać kark z wielkiem zakłopotaniem: On przecie musi ją odebrać... „swoje światło“... Sama powiedziała, że teraz jego kolej... Będzie się starał, ile będzie mógł. Ale jakby się zdarzyło niechcący?... Przecie musi ją odebrać! No, jakby się zdarzyło, to już on tak będzie pokutował, tak Baranka Niewinnego przeproszał, że Baranek Ukrzyżowany zlituje się nad nim biednym... Onby przecie Baranka nie chciał obrazić, tylko że ręce ma takie ciężkie...

I wielkie rozczulenie odmalowało się na jego twarzy, lecz pragnąc je ukryć, pokłonił się i rzekł:

— To ja idę do świętego biskupa.

Akte zaś, objawszy szyję Ligii, zaczęła płakać... Raz jeszcze zrozumiała, że jest jakiś świat, w którym nawet w cierpieniu więcej jest szczęścia, niż we wszystkich zbytkach i rozkoszach domu Cezara, raz jeszcze uchyliły się przed nią jakieś drzwi na światło, lecz zarazem uczuła, że niegodna jest przejść przez te drzwi.

VIII.

Sabina Poppea.

Ligii żal było Pomponii Grecyny, którą kochała z całej duszy, i żal całego domu Aulusów, jednakże rozpacz jej minęła. Czuła nawet pewną słodycz w myśli, że oto dla swej Prawdy poświęca dostatek, wygodę i idzie na życie tułaczę i nieznane. Może było w tem trochę i dziecinnej ciekawości, jakim będzie to życie gdzieś w odległych krajach, wśród barbarzyńców i dzikich zwierząt, było wszelako jeszcze więcej głębszej i ufnej wiary, że postępując w ten sposób, czyni tak, jak nakazał „boski Mistrz“, i że odtąd On sam będzie czuwał nad nią, jak nad dzieckiem posłusznem i wiernem. A w takim razie cóż złego mogło ją spotkać? Przyjdą-li jakie cierpienia, to ona je zniesie w Jego imię. Przyjdzie-li śmierć niespodziana, to On ją zabierze i kiedyś, gdy umrze Pomponia, będą razem przez całą wieczność. Nieraz, jeszcze w domu Aulusów, trapiła swą dziecinną główkę, że ona, chrześcijanka, nic nie może uczynić dla tego Ukrzyżowanego, o którym z takim rozczuleniem wspominał Urzus. Lecz teraz, chwila nadeszła. Ligia czuła się prawie szczęśliwa i poczęła mówić o swoim szczęściu Akte, która jednak nie mogła jej zrozumieć. Chwilami odczuwała, że jest w tem słuszność, że może być nawet jakieś ogromne tajemnicze szczęście, ale jasno nie umiała zdać sobie z tego

sprawy, zwłaszcza, że Ligię czekało jeszcze przejście, które mogło się źle skończyć, i w którym mogła stracić wprost życie. Akte była bojaźliwą z natury i ze strachem myślała o tem, co ów wieczór może przynieść. Lecz o obawach swych nie chciała mówić Ligii, że zaś tymczasem uczynił się dzień jasny i słońce zajrzało do atrium, więc poczęła ją namawiać na spoczynek, potrzebny po bezsennej spędzonej nocy. Ligia nie stawiała oporu i obie weszły do kubikulum, które było obszerne i urządzone z przepychem. Tam położyły się jedna obok drugiej, lecz Akte, mimo zmęczenia, nie mogła zasnąć. Od dawna była smutna i nieszczęśliwa, lecz teraz począł ją chwytać jakiś niepokój, którego nie doznawała nigdy przedtem.

A Ligia spała spokojnie, jakby w domu, pod opieką Pomponii Grecyny. I spała dość długo. Południe przeszło już, gdy otworzyła swe błękitne oczy i poczęła spoglądać po kubikulum z wielkiem zdziwieniem.

Widocznie dziwiło ją, że nie jest w domu u Aulusów.

— To ty, Akte? — rzekła wreszcie, dojrawszy w mroku twarz Greczynki.

— Ja, Ligio.

— Czy to już wieczór?

— Nie, dziecko, ale południe już minęło.

— A Urzus nie wrócił?

— Urzus nie mówił, że wróci, tylko że wieczorem będzie czatował z chrześcijanami na lektykę.

— Prawda.

Poczem opuściły kubikulum i udały się do łaźni, gdzie Akte, wykąpawszy Ligię, zaprowadziła ją na śniadanie, a potem do ogrodów pałacowych, w których żadnego niebezpiecznego spotkania nie należało się obawiać, albowiem Cezar i jego przedniejsi dworzacy spali jeszcze. Ligia po raz pierwszy w życiu widziała te wspaniałe ogrody, pełne cyprysów, pinii, dębów, oliwek i mirtów, wśród których bielił się cały lud posągów, błyszczały spo-

kojne zwierciadła sadzawek, kwieciły się całe gaiki róż, zraszanych pyłem fontann, gdzie wejścia do czarownych grot obrastał bluszcz lub winograd, gdzie na wodach pływały srebrne łabędzie, a wśród posągów i drzew chodziły przyswojone gazy z pustyni Afryki i barwne ptactwo, sprowadzane ze wszystkich znanych krain świata.

Ogrody były puste; tu i owdzie tylko pracowali z łopatami w ręku niewolnicy, śpiewając półgłosem pieśni; inni, którym dano chwilę wypoczynku, siedzieli nad sadzawkami lub w cieniu dębów w drgających światłkach, utworzonych od promieni słońca, przedzierających się przez liście, inni nakoniec zraszali róże lub blade-lila kwiaty szafranu. Akte z Ligią chodziły dość długo, oglądając wszelkie cuda ogrodów i jakkolwiek Ligii brakło swobody myśli, była jednak jeszcze nadto dzieckiem, aby mogła oprzeć się zajęciu, ciekawości i podziwowi. Przychodziło jej nawet na myśl, że gdyby Cezar był dobry, to w takim pałacu i w takich ogrodach mógłby być bardzo szczęśliwy.

Lecz wreszcie, zmęczone nieco, siadły na ławce, ukrytej prawie całkiem w gąszczu cyprysów i poczęły rozmawiać o tem, co im najbardziej ciążyło na sercu, to jest o wieczornej ucieczce Ligii.

Rozmowę przerwał szelest zbliżających się kroków i zanim Akte miała czas zobaczyć, kto nadchodzi, przed ławką ukazała się Sabina Poppea z małym orszakiem niewolnic. Dwie z nich trzymały nad jej głową pęki strusich piór, osadzone na złotych prętach, którymi wachlowały ją lekko, a zarazem i zasłaniały przed pałacem jeszcze je-siennem słońcem, przed nią zaś czarna, jak heban, Etyopka, niosła na ręku dziecko, owinięte w purpurę ze złotą frendzlą. Akte i Ligia powstały, mniemając, że Poppea przejdzie obok ławki, nie zwróciwszy na nie uwagi, lecz ona zatrzymała się przed niemi i rzekła:

— Akte, dzwonki, któreś przyszyła na ikunkuli (lalec),

źle były przyszyte; dziecko oderwało jeden i poniosło do ust; szczęście, że Lilith zobaczyła dość wcześnie.

— Wybacz, boska — odpowiedziała Akte, krzyżując ręce na piersi i pochylając głowę.

Lecz Poppea poczęła patrzeć na Ligię.

— Co to za niewolnica? — spytała po chwili.

— To nie jest niewolnica, boska Augusto, ale wychowanka Pomponii Grecyny i córka króla Ligów, dana przez tegoż, jako zakładniczka, Rzymowi.

— I przyszła cię odwiedzić?

— Nie, Augusto. Od onegdaj mieszka w pałacu.

— Była wczoraj na ucztach?

— Była, Augusto.

— Z czyjego rozkazu?

— Z rozkazu Cezara...

Poppea poczęła jeszcze uważniej patrzeć na Ligię, która stała przed nią z głową pochyloną, to wznosząc z ciekawości swe promienne oczy, to nakrywając je znów powiekami. Nagle zmarszczka zjawiała się między brwiami Augusty. Zazdrosna o własną urodę i o władzę, żyła ona w ustawicznej trwodze, by kiedyś jakaś szczęśliwa współzawodniczka nie zgubiła jej tak, jak ona sama zgubiła Oktawię. Dlatego każda piękna twarz w pałacu wzbudzała w niej podejrzenie. Okiem znawczyni ogarnęła od razu wszystkie kształty Ligii, oceniła każdy szczegół jej twarzy, i złękła się. „To jest wprost nimfa“, rzekła sobie. „Ją urodziła Wenus“. I nagle przyszło jej do głowy to, co nie przychodziło jej nigdy dotąd, na widok żadnej piękności: że jest znacznie starsza! Zadrzała w niej zraniona miłość własna, chwycił ją niepokój, i różne obawy poczęły jej przesuwając się szybko przez głowę. „Może jej Nero nie widział, albo patrząc przez szmaragd, nie ocenił. Ale co może się zdarzyć, jeśli ją spotka w dzień, przy słońcu, taką cudną?... W dodatku nie jest niewolnicą! jest córką królewską, z barbarzyńców wprawdzie, ale córką królewską!... Bogowie nieśmiertelni! Ona równie piękna, jak ja



Lygia i Poppea.

a młodsza! I zmarszczka między brwiami stała się jeszcze większą, a oczy jej z pod złotych rzęs poczęły świecić zimnym blaskiem.

Lecz, zwróciwszy się do Ligii, poczęła pytać z pozornym spokojem:

— Mówiłaś z Cezarem?

— Nie, Augusto.

— Dlaczego wolisz tu być, niż u Aulusów?

— Ja nie wolę, pani. Petroniusz namówił Cezara, by mnie odebrał Pomponii, ale jam tu poniewoli, o, pani!...

— I chciałabyś wrócić do Pomponii?

Ostatnie pytanie Poppea zadała głosem miększym i łagodniejszym, więc w serce Ligii wstąpiła nagle nadzieja.

— Pani — rzekła, wyciągając ku niej rękę — Cezar obiecał oddać mnie, jak niewolnicę Winicyuszowi, ale ty się wstaw za mną i wróć mnie Pomponii.

— Więc Petroniusz namówił Cezara, by cię zabrał Aulusowi i oddał Winicyuszowi?

— Tak, pani. Winicyusz ma dziś jeszcze przysłać po mnie, lecz ty, dobra, ulituj się nade mną.

To rzekłszy, schyliła się i chwyciwszy za brzeg sukni Poppei, poczęła czekać na jej słowo z bijącym sercem. Poppea zaś patrzyła na nią przez chwilę z twarzą rozjaśnioną złym uśmiechem, poczem rzekła:

— Więc ci obiecuję, że dziś jeszcze zostaniesz niewolnicą Winicyusza.

I odeszła, jak widziadło piękne, ale złe. Do uszu Ligii i Akte doszedł tylko krzyk dziecka, które niewiadomo dlaczego zaczęło płakać.

Ligii oczy również wezbrały łzami, lecz po chwili wzięła rękę Akte i rzekła:

— Wróćmy. Pomocy stąd tylko czekać należy, skąd przyjść może.

I wróciły do atrium, którego nie opuszczały już do wieczora. Gdy się ściemniło i gdy niewolnicy wnieśli poczwórne kaganki o wielkich płomieniach, obie były bardzo

blade. Rozmowa ich rwała się co chwila. Obie nasłuchiwały wciąż, czy się kto nie zbliża. Ligia powtarzała ustawicznie, że jakkolwiek żał jej porzucać Akte, ale ponieważ Urzus musi tam już czekać w ciemnościach, więc wolałaby, żeby wszystko stało się dziś. Jednakże oddech jej uczynił się ze wzruszenia szybszy i głośniejszy. Akte gorączkowo zgarniała, jakie mogła, klejnoty i wiążąc je w róg peplum, zaklinała Ligię, by nie odrzucała tego daru i tego środka ucieczki. Chwilami zapadała głucha cisza, pełna złudzeń słuchu. Obydwom zdawało się, że słyszą to jakiś szept za kotarą, to daleki płacz dziecka, to szczekanie psów.

Nagle zasłona od przedsionka poruszyła się bez szelstu i wysoki, czarniawy człowiek z twarzą poznaczoną ospą, zjawił się, jak duch, w atrium. Ligia w jednej chwili poznała Atacyna, wyzwolenca Winicyuszowego, który przychodził do domu Aulusów.

Akte krzyknęła, lecz Atacynus skłonił się nisko i rzekł:

— Pozdrowienie boskiej Ligii od Marka Winicyusza, który czeka ją z uczcą w domu, przybranym w zieleń.

Usta dziewczyny pobielwały zupełnie.

— Idę — rzekła.

I zarzuciła na pożegnanie ręce na szyję Akte.

IX.

Porwanie.

A dom Winicyusza przybrany był istotnie w zieleń mirtową i bluszcze, z których poczyniono upięcia na ścianach i nad drzwiami. Kolumny okręcono zwojami winogrodu. W atrium, nad którego otworem rozciągnięto dla ochrony od nocnego chłodu wełnianą purpurową zasłonę, widno było, jak w dzień. Płonęły ośmio- i dwunasto-płomienne kaganki, mające kształt naczyń, drzew, zwierząt, ptaków, lub posągów trzymających lampy, napełnione wonną oliwą, wykutych z alabastru, z marmuru, ze złoczonej miedzi korynckiej, nie tak cudnych, jak ów sławny świecznik ze świątyni Appolina, którym posługiwał się Nero, ale pięknych i przez sławnych mistrzów rzeźbiorych. Niektóre poosłaniane były alexandryjskiem szkłem lub przeźroczeni tkaninami z nad Indu, barwy czerwonej, błękitnej, żółtej, fioletowej, tak, że całe atrium pełne było różnokolorowych promieni. Wszędy rozchodziła się woń nardu¹⁾, do której Winicyusz przywykł i którą polubił na Wschodzie. Głęb domu, w której snuły się żeńskie i męskie postacie niewolników, jaśniała także światłem.

Winicyusz szedł we wszystkim za słowami Petroniusza, który radził mu nie iść po Ligię, ale posłać Ata-

¹⁾ Olejek wyciskany z kwiatu narduczka indyjskiego.

cyna z uzyskanem od Cezara pozwoleniem, samemu zaś przyjąć ją w domu i przyjąć uprzejmie a nawet z oznakami czci. Serce biło mu niespokojnie pod wzorzystą szatą syryjskiego kapłana, w którą się przybrał na przyjęcie Ligii.

— Już powinni byli wyjść z pałacu — rzekł, jakby mówiąc sam do siebie.

— Powinni byli — odpowiedział Petroniusz. — Może ci tymczasem opowiedzieć ową historję o Rufinie, której nie pamiętam dlaczego nie skończyłem.

Lecz Winicyusza mało obchodziła historia Rufina. Myśl jego była przy Ligii i choć czuł, że piękniej było przyjąć ją w domu, niż iść w roli zbira do pałacu, żałował jednak chwilami, że nie poszedł, tylko dlatego, że mógłby wcześniej widzieć Ligię.

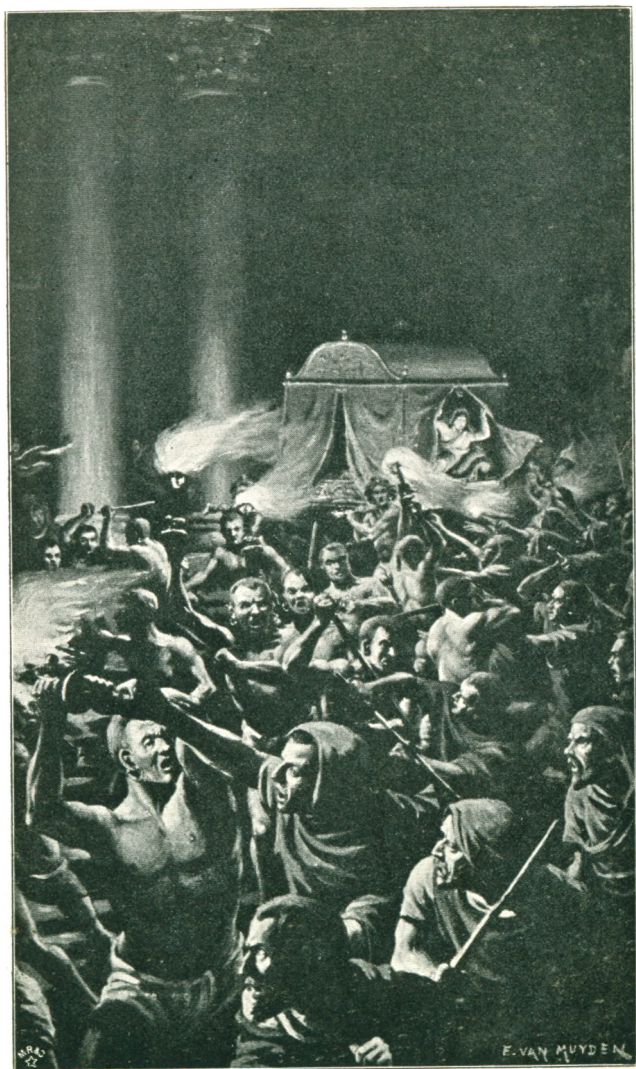
Tymczasem niewolnicy wnieśli trójnożne, zdobne głowami tryków, brązowe misy z węglami, na które poczęli sypać małe żdźbła myrry i nardu.

— Już skręcają ku Karynom — rzekł znów Winicyusz.

Oni zaś rzeczywiście skręcali ku Karynom. Niewolnicy, zwani lampadarii ¹⁾, szli na przedzie, inni, zwani pedisequi ²⁾, po obu bokach lektyki, Atacynus zaś tuż za nią, czuwając nad pochodem.

Lecz posuwali się zwolna, bo latarnie w mieście wcale nieoświetlonem, źle rozjaśniały drogę. Przytem ulice w pobliżu pałacu były puste, zaledwie gdzieniegdzie jakiś człowiek przesuwiał się z latarką, ale dalej niezwykle ożywione. Z każdego prawie zaułku wychodzili ludzie, po trzech, po czterech, wszyscy bez pochodni, wszyscy w ciemnych płaszczach. Niektórzy szli razem z pochodem, mieszając się z niewolnikami, inni w większych gromadach, zachodzili z naprzeciwnika. Niektórzy taczali się, jak pijani.

¹⁾ Niosący pochodnie. ²⁾ Towarzyszący swemu panu pieszo przy wyjściu z domu.



Porwanie Lygii.

Chwilami pochód stawał się tak trudny, że „lampadarii“ zaczęli wołać:

— Miejsce dla szlachetnego trybuna Marka Wini-
cyusza!

Ligia widziała przez rozsunięte franki te ciemne gromady i poczęła dygotać ze wzruszenia. Porywała ją naprzemian to nadzieja, to trwoga. „To on! to Urzus i chrześcijanie! To stanie się już zaraz“ — mówiła drżącymi ustami — „O Chryste pomagaj! o Chryste, ratuj!“

Ale i Atacynus, który z początku nie zważał na owo niezwykle ożywienie ulicy, począł się wreszcie niepokoić. Było w tem coś dziwnego. Lampadarii musieli coraz częściej wołać: „Miejsce dla lektyki szlachetnego trybuna!“ Z boków nieznani ludzie naciskali tak lektykę, że Atacynus kazał niewolnikom odganiać ich kijami.

Nagle krzyk uczynił się na przodzie pochodu, w jednej chwili pogasły wszystkie światła. Koło lektyki uczynił się tłok, zamieszanie i bitwa.

Atacynus zrozumiał: był to wprost napad.

I zrozumiawszy, struchlał. Wiadomem było wszystkim, że Cezar często dla zabawy rozbija w gronie Augustyanów¹⁾, i na Suburze, i w innych dzielnicach miasta. Wiadomem było, że czasem nawet przynosił z tych nocnych wycieczek guzy i sińce, lecz kto się bronił, szedł na śmierć, choćby był senatorem. Dom wigilów, których obowiązkiem było czuwać nad miastem, nie był zbyt odległy, ale straż udawała w podobnych wypadkach, że była głuchą i ślepą. Tymczasem koło lektyki wrzało; ludzie poczęli się zмагаć, bić, obalać i deptać. Atacynusowi błysnęła myśl, że przedewszystkiem należy ocalić Ligię i siebie, a resztę zostawić losowi. Jakoż, wyciągnąwszy ją z lektyki, porwał na ręce i usiłował się wymknąć w ciemności.

Lecz Ligia poczęła wołać:

¹⁾ Towarzysze Cezara.

Urzus! Urzus!

Była biało ubrana, więc łatwo było ją dojrzeć. Atacynus począł drugą wolną ręką narzucać na nią gwałtownie własny płaszcz, gdy naraz straszliwe cęgi chwyciły jego kark, a na głowę spadła mu, jak kamień, olbrzymia druzgocąca masa.

On zaś padł w jednej chwili, jak wół, uderzony obuchem przed ołtarzem Jowisza.

Niewolnicy leżeli po większej części na ziemi lub ratowali się, rozbijając się wśród grubych ciemności o zalomy murów. Na miejscu pozostała tylko podruzgotana w zamieszaniu lektyka. Urzus unosił Ligię ku Suburze, towarzysze jego dążyli za nim, rozpraszając się stopniowo po drodze.

Lecz niewolnicy zaczęli się zbierać przed domem Winicyusza i naradzać. Nie śmieli wejść. Po krótkiej naradzie wrócili na miejsce spotkania, na którym znaleźli kilka ciał martwych, a między niemi ciało Atacyna. Ten drgał jeszcze, lecz po chwilowej silniejszej konwulsyi, wyprężył się i pozostał nieruchomy.

Wówczas zabrali go i wróciwszy, zatrzymali się znów przed bramą. Trzeba było jednak oznajmić panu, co się stało.

— Gulo niech oznajmi — zaczęło szeptać kilka głosów — krew mu płynie, jak i nam, z twarzy, i pan go kocha. Gulowi bezpieczniej od innych.

A Germanin Gulo, stary niewolnik, który niegdyś wyniańczył Winicyusza, a odziedziczony był przez niego po matce, siostrze Petroniusza, rzekł:

— Ja oznajmię, ale pójdźmy wszyscy. Niech na mnie jednego nie spada jego gniew.

Winicyusz zaś począł się już niecierpliwić zupełnie. Petroniusz wyśmiewał go, lecz on chodził szybkim krokiem po atrium, powtarzając:

— Już powinni być!... Już powinni być!...

I chciał iść.

Lecz nagle w przedsionku dały się słyszeć kroki i do atrium wpadli hurmem niewolnicy, a stanąwszy szybko pod ścianą, podnieśli ręce w górę i poczęli powtarzać jęklivymi głosami:

— Aaaa!... aa!

Winicyusz skoczył ku nim:

— Gdzie Ligia? — zawołał straszonym, zmienionym głosem:

Aaaa!!!...

Wtem Gulo wysunął się naprzód ze swoją pokrzwioną twarzą, wołając z pośpiechem i żałością:

— Oto krew, panie! broniliśmy! Oto krew, panie! oto krew!...

Lecz nie zdołał dokończyć, gdyż Winicyusz chwycił brązowy świecznik i jednym uderzeniem strzaskał czerep niewolnika, poczem objąwszy się za głowę rękoma, wpił palce we włosy, powtarzając chrapliwie:

— *Me miserum! Me miserum!...*

Twarz mu posiniała, oczy uciekły pod czoło, piana wystąpiła na usta.

— Różeg!!! — ryknął wreszcie nieludzkim głosem.

— Panie! Aaaa!... ulituj się! — jężeli niewolnicy.

Lecz Petroniusz podniósł się z wyrazem niesmaku w twarzy.

— Jeśli zechcę patrzeć na mięso -- rzekł — każę odbić sklep rzeźnika na Karynach.

I wyszedł z atrium, w całym zaś domu, ubranym w zieleń bluszców i gotowym do uczty, rozległy się po chwili jęki i świst różeg, który trwał niemal do rana.

X.

Uroki.

Tej nocy Winicyusz nie kładł się wcale. W czas jakiś po odejściu Petroniusza, gdy jęki smaganych niewolników nie mogły ukoić ani jego bólu, ani wściekłości, zebrał gromadę innych sług i na ich czele, późną już nocą, wypadł na poszukiwanie Ligii. Zwiedził dzielnicę eskwilińską, potem Suburę i wszystkie przyległe zaułki. Poczem obszedłszy Kapitol, przez most Fabrycyusza przedostał się na wyspę, zaczem przebiegł część miasta zatybrzańską. Lecz była to gonitwa bez celu, gdyż sam nie miał nadziei odnalezienia Ligii i jeśli jej szukał, to głównie dlatego, by zapełnić czemkolwiek noc straszną. Jakoż wrócił do domu dopiero o świtaniu, gdyż już w mieście poczęły się zjawiać wozy i muły przekupniów jarzyn i gdy piekarnie otwierali już sklepy. Wróciwszy kazał uprzątnąć ciało Gula, którego nikt nie śmiał tknąć dotąd, następnie tych niewolników, którym odbito Ligię, kazał wysłać do więziskich ergastulów ¹⁾, co było karą straszniejszą niemal od śmierci, wreszcie, rzuciwszy się na wysłaną ławę w atrium, począł bezładnie rozmyślać, jakim sposobem odnajdzie i zabierze Ligię.

Wyrzec się jej, stracić ją, nie zobaczyć jej więcej,

¹⁾ Kazamaty podziemne, w których trzymano krnąbrnych niewolników.

wydawało mu się niepodobieństwem i na samą myśl o tem ogarniał go szal. Samowolna natura młodego żołnierza pierwszy raz w życiu trafiła na opór, na inną niezłomną wolę. Winicyusz wolałby raczej, żeby świat i miasto zapadły się w gruzy, niż, żeby on nie miał dopiąć tego, czego chciał. Zmuszał się ze wszystkich sił, by myśleć spokojnie o jej odzyskaniu, i nie mógł. Przez głowę przelatywały mu tysiączne środki i sposoby, ale jedno od drugich szaleńsze. Wreszcie błysnęła mu myśl, że nikt inny jej nie odbił, tylko Aulus, że w najgorszym razie Aulus musiał wiedzieć, gdzie ona się ukrywa.

I zerwał się, by biedz do domu Aulusów. Jeśli mu jej nie oddadzą, jeśli nie ulęknią się grózb, pójdzie do Cezara, oskarży starego wodza o nieposłuszeństwo i uzyska na niego wyrok śmierci, ale przedtem wydobędzie z nich wyznanie, gdzie jest Ligia. Lecz, jeśli ją oddadzą, nawet dobrowolnie, i tak się pomści. Przyjęli go wprawdzie w dom i pielęgnowali, ale to nie. Tą jedną krzywdą uwolnili go od wszelkiej wdzięczności. Tu mściwa i zawzięta jego dusza poczęła się lubować myślą o rozpaczycy Pomponii Grecyny, gdy staremu Aulusowi centuryon przyniesie wyrok śmierci. Był zaś niemal pewny, że go uzyska. Pomocze mu w tem Petroniusz. Zresztą i sam Cezar nie odmawia niczego swym towarzyszom augustyanom, chyba że mu nakazuje odmówić osobista niechęć.

I nagle serce zamarło w nim niemal pod wpływem strasznego przypuszczenia.

A nuż to sam Cezar odbił Ligię?

Wszyscy wiedzieli, że Cezar często szukał w nocnych rozbojach rozrywek wśród nudów. Nawet Petroniusz przyjmował udział w tych zabawach. Wprawdzie Nero ją miał u siebie na Palatynie i mógł otwarcie zatrzymać, lecz, jak słusznie mówił Petroniusz, Cezar nie miał odwagi w zbrodniach i, mogąc działać otwarcie, wolał zawsze działać tajemnie. Tym razem mogła go do tego skłonić i obawa przed Poppeą. Winicyuszowi przyszło teraz do głowy, że Aulu-

sowie możeby nie śmieli porywać przemocą dziewczyny, podarowanej mu przez Cezara. Ktoby zresztą śmiał? Czy może ów olbrzymi Lig z błękitnymi oczyma, który odważył się jednak wejść do tryklinium i wynieść ją z uczty na rękę? Ale gdzieżby się z nią schronił, dokądby ją mógł zaprowadzić? Nie! niewolnik nie zdobyłby się na to. Zatem, nie uczynił tego nikt inny, jak Cezar.

Na tę myśl, Winicyuszowi pociemniało w oczach i krople potu pokryły mu czoło. W takim razie Ligia była straconą na zawsze. Można ją było wyrwać z każdych innych rąk, lecz nie z takich. Teraz z większą, niż przedtem słusnością mógł powtarzać: *Vae misero mihi!* Lecz, jak poprzednio wydało mu się, że nie będzie mógł żyć, jeśli Ligii nie odzyska, tak obecnie, że nie będzie mógł umrzeć, póki jej nie pomści. Ta jedna myśl sprawiała mu niejaka ulgę. „Będę twoim Kasyuszem Chereą!“ — powtarzał sobie, myśląc o Neronie. Po chwili, chwyciwszy w ręce ziemi z waz kwiatowych, otaczających impluwium, wykonał straszną przysięgę Erebowi, Hekacie ¹⁾ i własnym domowym larom, że zemsty dokona.

I doznał istotnie ulgi. Miał przynajmniej dla czego żyć i czem zappełnić dnie i noc. Poczem zaniechawszy myśli udania się do Aulusów, kazał się nieść na Pałatyn. Broni jednak nie wziął. Stracił przytomność wogóle, lecz jak zwykle ludzie, pochlōnięci jedną myślą, zachował ją w tem, co się tyczyło zemsty. Nie chciał by mu spełzła przedwcześnie. Prócz tego pragnął przedewszystkiem zobaczyć Akte, sądził bowiem, że od niej może dowiedzieć się prawdy.

Utwierdziwszy się w tem, kazał niewolnikom przyspieszyć kroku, po drodze zaś rozmyślał bezładnie to o Ligii, to o zemście.

Przed łukiem zebrał całą przytomność i na widok straży pretoryańskiej pomyślał, że jeśli mu będą czynili

¹⁾ Erebus — podziemie, Hekate — bóstwo podziemne.

choćby najmniejsze trudności przy wejściu, to będzie dowód, że Ligia jest z woli Cezara w pałacu. Lecz pryncypilarny centuryon uśmiechnął się do niego przyjaźnie i, postąpiwszy kilka kroków, rzekł:

— Witaj, szlachetny trybunie. Jeśli pragniesz złożyć pokłon Cezarowi, na złą trafiłeś chwilę i nie wiem, czy będziesz mógł go zobaczyć.

— Co się stało? — spytał Winicyusz.

— Boska mała Augusta zachorowała niespodzianie od dnia wczorajszego. Cezar i Augusta Poppea są przy niej wraz z lekarzami, których z całego miasta wezwano.

Był to wypadek ważny. Cezar, gdy mu się urodziła ta córka, szalał po prostu ze szczęścia i przyjął ją: *extra humanum gaudium*¹⁾. Nero, który w niczem nie umiał zachować miary, bez miary również kochał to dziecko, Poppei zaś było ono także drogiem, choćby dlatego, że umaniało jej stanowisko i wpływ czyniło nieprzepartym.

Od zdrowia i życia małej Augusty mogły zależeć losy całego imperium, lecz Winicyusz tak był zajęty sobą, własną sprawą i własną miłością, że, nie zwróciwszy prawie uwagi na wiadomość centuryona, odrzekł:

— Chcę widzieć się tylko z Akte.

I przeszedł.

Lecz Akte zajęta była także przy dziecku i musiał czekać na nią długo. Nadeszła dopiero koło południa, z twarzą zmęczoną i bladą, która na widok Winicyusza pobladła jeszcze bardziej.

— Akte — zawołał, chwytając jej ręce, Winicyusz, i ciągnąc ją na środek atrium — gdzie jest Ligia?

— Chciałam się ciebie o to zapytać — odrzekła, patrząc mu z wyrzutem w oczy.

A on, jakkolwiek przyrzekał sobie, że wybada ją spokojnie, ścisnął znów dłońmi głowę i począł powtarzać, z twarzą ściągniętą przez ból i gniew:

¹⁾ Ponad miarę ludzkiej radości.

— Niema jej. Porwano mi ją w drodze!

Po chwili jednak opamiętał się i, zbliżywszy swą twarz do twarzy Akte, począł mówić przez zaciśnięte zęby:

— Akte... Jeśli ci życie mile, jeśli nie chcesz stać się przyczyną nieszczęść, których nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, powiedz mi prawdę: czy nie Cezar ją odbił?

— Cezar nie wychodził wczoraj z pałacu.

— Na cień matki twojej, na wszystkich bogów! czy niema jej w pałacu?

— Na cień matki mojej, Marku — niemasz jej w pałacu i nie Cezar ją odbił. Od wczoraj zachorowała mała Augusta i Nero nie oddała się od jej kołyski.

Winicyusz odetchnął. To, co wydawało mu się najstraszniejszym, przestało mu grozić.

— A więc — rzekł, siadając na ławie i zaciskając pięści — porwali ją Aulusowie i w takim razie biada im!

— Aulus Plaucyusz był tu dziś rano. Nie mógł się ze mną widzieć, gdyż byłam zajęta przy dziecku, ale wypytywał o Ligię Epafrodyta i innych ze służby cesarskiej, a potem oświadczył im, że przyjdzie jeszcze, aby się widzieć ze mną.

— Chciał odwrócić od siebie podejrzenia. Gdyby nie wiedział, co się stało z Ligią, byłby przyszedł szukać jej do mego domu.

— Zostawił mi kilka słów na tabliczce, z których zobaczysz, że, wiedząc, iż Ligia została zabrana z jego domu przez Cezara na twoje i Petroniusza żądanie, spodziewał się, iż zostanie tobie odesłana i dziś rano był w twoim domu, gdzie mu powiedziano, co się stało.

To rzekłszy, poszła do kubikulum i po chwili wróciła z tabliczką, którą jej zostawił Aulus.

Winicyusz przeczytał i zamilkł, Akte zaś zdawała się czytać myśli w jego posępnej twarzy, gdyż po chwili rzekła:

— Nie, Marku. Stało się to, czego chciała sama Ligia. Lecz Winicyusz nie przestał się burzyć:

Ligia, uciekając, sprzeciwiła się woli Cezara, więc on ubłaga go, by nakazał jej szukać w całym mieście i państwie, choćby przyszło do tego użyć wszystkich legii i przetrząsać kolejno każdy dom w imperium. Petroniusz poprzez jego prośbę i poszukiwania rozpoczną się od dziś dnia.

Na to Akte rzekła:

— Strzeż się, byś jej nie stracił na zawsze, wówczas dopiero, gdy ją z rozkazu Cezara odnajdą.

Winicyusz zmarszczył brwi:

— Co to znaczy? — spytał.

— Słuchaj mnie, Marku! Wczoraj byliśmy z Ligią w tutejszych ogrodach i spotkałyśmy Poppeę, a z nią małą Augustę, którą niosła Murzynka Lilith. Wieczorem dziecko zachorowało, a Lilith twierdzi, że zostało urzeczzone i że urzekła je ta cudzoziemka, którą spotkały w ogrodach. Jeśli dziecko wyzdrowieje, zapomną o tem, lecz w razie przeciwnym pierwsza Poppea oskarży Ligię o czary, a wówczas, gdziekolwiek ją odnajdą, nie będzie dla niej ratunku.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Winicyusz ozwał się:

— A może ją urzekła: i mnie urzekła.

— Lilith powtarza, że dziecko zaraz zapłakało, gdy je przeniosła koło nas. I prawda! zapłakało. Pewno wyniesiono je do ogrodów już chore. Marku, szukaj jej sam, gdzie chcesz, ale póki mała Augusta nie wyzdrowieje, nie mów o niej z Cezarem, bo ściągniesz na nią pomstę Poppei. Dość już jej oczy płakały przez ciebie, i niech wszyscy bogowie strzegą teraz jej biednej głowy.

— Ty ją kochasz Akte? — spytał posępnie Winicyusz.

A w oczach wyzwolenicy błysnęły łzy.

— Tak! pokochałam ją.

— Bo ci nie odplaciła nienawiścią, jak mnie.

Akte popatrzyła na niego przez chwilę jakby waha-

jąc się lub jakby pragnąc zbadać, czy mówił szczerze, potem odrzekła:

— Człowieku zapalczywy i ślepy: ona cię kochała.

Winicyusz zerwał się pod wpływem tych słów, jak opętany. „Nieprawda!“ Nienawidziła go. Skąd Akte może wiedzieć!? Czy po jednym dniu znajomości Ligia uczyniła jej wyznanie? Co to jest za miłość, która woli tułactwo, hańbę ubóstwa, niepewność jutra, a może i nędzną śmierć od uwieńczonego domu, w którym czeka z ucztą kochany! Lepiej mu takich rzeczy nie słyszeć, bo gotów oszaleć. Były chwile u Aulusów, że sam wierzył w blizkie szczęście, ale teraz wie, że go nienawidziła, nienawidzi i umrze z nienawiścią w sercu.

Lecz Akte, zwykle bojaźliwa i łagodna, wybuchnęła z kolei oburzeniem: Jakże to on starał się ją pozyskać? Zamiast pokłonić się o nią Aulusowi i Pomponii, odebrał dziecko podstępem rodzicom, i sprowadził ją do tego domu zbrodni i sromoty, pokalał jej niewinne oczy widokiem bezecnej uczty. Skądże wie, jakich ona bogów wyznaje i czy nie czystszych, nie lepszych, niż Wenus lub niż Izys, którą czezą Rzymianki? Nie! Ligia nie czyniła jej wyznań, ale mówiła jej, że ratunku wygląda od niego, od Winicyusza; miała nadzieję, że on wyprosi dla niej od Cezara powrót do domu i że wróci ją Pomponii. A mówiąc o tem, płonila się jak dziewczę, które kocha i ufa. I jej serce biło dla niego, ale on sam przestraszył ją, zraził, oburzył, i niechże teraz jej szuka z pomocą żołnierzy Cezara, ale niech wie, że, jeśli dziecko Poppei umrze, to na nią padnie podejrzenie, i zguba jej będzie nieuchronna.

Przez gniew i ból Winicyusza poczęło się przeciskać wzruszenie. Wiadomość, że Ligia kochała go, wstrząsnęła do głębi jego duszą. Przypomniał ją sobie w ogrodzie u Aulusów, gdy słuchała jego słów z rumieńcami na twarzy i z oczyma pełnemi światła. Wydalo mu się, że wówczas istotnie poczynała go kochać, i nagle ogarnęło go na tę myśl poczucie jakiegoś szczęścia. Pomyślał, że byłaby

oprzędła drzwi jego i namaściła je wilczym tłuszczem, a potem zasiadła, jako żona, na owczem runie, u jego ogniska. Oto usłyszałyby z jej ust sakramentalne: „gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja“ i byłaby na zawsze jego. Czemu on tak nie postąpił? Był przecie gotów. A teraz jej nie ma i może jej nie odnaleźć, a gdyby odnalazł, może ją zgubić, a gdyby nawet nie zgubił, nie zechcą go już ani Aulusowie, ani ona. Tu gniew począł mu znów podnosić włosy na głowie, lecz teraz zwrócił się już nie przeciw Aulusom lub Ligii, lecz przeciw Petroniuszowi. On był wszystkiemu winien. Gdyby nie on, Ligia nie potrzebowałaby się tulać, byłaby jego narzeczoną i żadne niebezpieczeństwo nie wisiałoby nad jej drogą głową. A teraz stało się i zapóźno naprawiać zło, które się naprawić nie da.

— Zapóźno!

I zdawało mu się, że otchłań otworzyła się przed jego nogami. Nie wiedział, co przedsięwziąć, jak postąpić, dokąd się udać. Akte powtórzyła, jak echo, słowo: „zapóźno“, które, w cudzych ustach, zabrzmiało mu, jak wyrok śmierci. Rozumiał tylko jedną rzecz, że trzeba mu znaleźć Ligię, bo inaczej stanie się z nim coś złego.

I, okręciwszy się machinalnie w tokę, chciał odejść, nie żegnając się nawet z Akte, gdy wtem zasłona, dzieląca przedsionek od atrium, uchyliła się i nagle ujrzał przed sobą żalobną postać Pomponii Grecyny.

Widocznie i ona dowiedziała się już o zniknięciu Ligii i, sądząc, że jej łatwiej będzie, niż Aulusowi widzieć się z Akte, przychodziła do niej po wiadomości.

Lecz, spostrzegłszy Winicyusza, zwróciła ku niemu swą drobną, bladą twarz i, po chwili, rzekła:

— Marku, niech Bóg ci przebaczy krzywdę, jaką wyrządziłeś nam i Ligii.

A on stał, z czołem spuszczonem, z poczuciem nie-szczęścia i winy, nie rozumiejąc, jaki Bóg miał i mógł mu

przebaczyć, ni dlaczego Pomponia mówiła o przebaczeniu, gdy powinna była mówić o zemście.

I wreszcie wyszedł z głową bezradną, pełną ciężkich myśli, ogromnej troski i zdumienia.

Na dziedzińcu i pod galeryą stały niespokojne gromady ludzi. Między pałacowymi niewolnikami widać było rycerzy i senatorów, którzy przybyli dowiedzieć się o zdrowie małej Augusty, a zarazem pokazać się w pałacu i złożyć dowód swej troskliwości, choćby wobec niewolników cezarykańskich. Wieść o chorobie „bogini“ rozeszła się widać szybko, bo w bramie ukazywały się coraz nowe postacie, a przez otwór łuku widać było całe tłumy. Niektórzy z przybywających, widząc, że Winicyusz wychodził z pałacu, zaczęli go o nowiny, lecz on, nie odpowiadając na pytania, szedł przed siebie, dopóki Petroniusz, który także przybył już po wiadomości, nie potrącił go omal piersią i nie zatrzymał.

Winicyusz byłby niechybnie zawrzał na jego widok i dopuścił się jakiego bezprawia w pałacu Cezara, gdyby nie to, że od Akte wyszedł, jak złamany, w takim wyczerpaniu i pogębieniu, że chwilowo opuściła go nawet wrodzona mu zapalczywość. Odsunął jednak Petroniusza i chciał przejść, lecz ów zatrzymał go prawie przemocą:

— Jak się ma boska? — spytał.

Ale owa przemoc rozdrażniła znów Winicyusza i wzburzyła go w jednej chwili.

— Niech piekło pochłonie ją i cały ten dom! — odpowiedział, ściskając zęby.

— Milez, nieszczęśliwy! — rzekł Petroniusz i, rozejrzawszy się naokół, dodał pośpiesznie:

— Chcesz wiedzieć coś o Ligii, to chodź ze mną. Nie! Tu nic nie powiem! Chodź ze mną, powiem ci moje domysły w lektyce.

I, otoczywszy ramieniem młodego człowieka, wyprowadził go co prędzej z pałacu.

Lecz o to mu głównie chodziło, gdyż nowin nie miał żadnych. Natomiast, będąc człowiekiem zaradnym i mając mimo wczorajszego oburzenia dużo współczucia dla Winicyusza, a wreszcie, poczuwając się poniekąd do odpowiedzialności za wszystko, co się stało, już był coś przedsięwziął i, gdy wsiedli do lektyki, rzekł:

— Przy wszystkich bramach kazałem czuwać moim niewolnikom, dawszy im dokładny opis dziewczyny i tego olbrzyma, który ją u Cezara wyniósł z uczty, niema bowiem wątpliwości, że to on ją odbił. Słuchaj mnie! Być może, że Aulusowie zechcą ją ukryć w której ze swych wiejskich posiadłości, a w takim razie będziemy wiedzieli, w którą stronę ją uprowadzą. Jeśli zaś przy bramach jej nie dostrzegą, to będzie dowód, że została w mieście i dziś jeszcze w mieście rozpoczniemy poszukiwania.

— Aulusowie nie wiedzą, gdzie ona jest — odrzekł Winicyusz.

— Masz-li pewność, że tak jest?

— Widziałem Pomponię. Oni szukają jej także.

— Wczoraj nie mogła z miasta wyjść, bo nocą bramy zamknięte. Dwóch z moich ludzi krąży koło każdej bramy. Jeden ma iść w ślad za Ligią i za olbrzymem, drugi wróci natychmiast, by dać znać. Jeśli jest w mieście, znajdziemy ją, bo owego Liga, choćby po wzroście i barkach, rozpoznać łatwo. Szczęśliwys, że nie porwał jej Cezar, mogę cię zaś upewnić, że nie, bo na Palatynie nie ma dla mnie tajemnic.

Lecz Winicyusz wybuchnął więcej jeszcze żalem, niż gniewem, i głosem, przerywanym przez wzruszenie, począł Petroniuszowi opowiadać, co słyszał od Akte i jakie nowe niebezpieczeństwa zawisły nad głową Ligii, tak straszne, że wobec nich, znalazłszy zbiegów, trzeba będzie ukrywać ją jak najstaranniej przed Poppeą. Poczem ją wyrzucać gorzko Petroniuszowi jego rady. Gdyby nie on, wszystkoby poszło inaczej. Ligia byłaby u Aulusów, a on, Winicyusz, mógłby ją widywać codziennie i byłby dziś szczęśliwszy

od Cezara. I, unosząc się w miarę opowiadania, poddawał się coraz bardziej wzruszeniu, aż wreszcie łzy żalu i wściekłości poczęły mu kapać z oczu.

* * *

Gdy wysiedli przed domem Petroniusza, przełożony nad atrium oświadczył im, że żaden z niewolników, wysłanych do bram, jeszcze nie wrócił. „Atriensis“ kazał im ponieść żywność i nowy rozkaz, by, pod groźbą chłosty, dawali pilne baczenie na wszystkich wychodzących z miasta.

— Widzisz — rzekł Petroniusz — niewątpliwie są dotąd w mieście, a w takim razie znajdziemy ich. Każ jednak i swoim ludziom czuwać przy bramach, tym mianowicie, którzy byli posłani po Ligię, bo ci łatwo ją rozpoznają.

— Kazałem ich zesłać do wiejskich ergastulów — rzekł Winicyusz — ale wnet rozkaz odwołam, niech idą do bram.

I, skreśliwszy kilka słów na powleczonej woskiem tabliczce, oddał ją Petroniuszowi, który polecił odesłać ją natychmiast do domu Winicyusza.

Poczem przeszli do wewnętrznego portyku i tam, zasiadłszy na marmurowej ławie, poczęli rozmawiać.

Złotowłosa Eunice i Iras podsunęły im pod nogi brązowe stołeczki, a następnie, przystawiwszy do ławki stolik, poczęły im lać wino do czasz, z cudnych wązkoszyjastych dzbanków.

— Czy masz między swymi ludźmi kogo, coby znalazł tego olbrzymiego Liga? — spytał Petroniusz.

— Znał go Atacynus i Gulo. Ale Atacynus legł wczoraj przy lektyce, a Gulo zabiłem ja.

— Szkoda mi go — rzekł Petroniusz. — On nosił na rękę nietylko ciebie, ale i mnie.

— Chciałem go nawet wyzwolić — odparł Wini-

cyusz — lecz mniejsza z tem. Mówmy o Ligii. Rzym, to morze...

— Perły poławiają się właśnie w morzu... Zapewne, nie znajdziemy jej dziś, lub jutro, jednakże znajdziemy niechybnie. Ty mnie obecnie obwiniasz, żem ci podał ten środek, ale środek sam w sobie był dobry, a stał się zły dopiero wówczas, gdy na złe się obrócił. Wszakżeś słyszał od samego Aulusa, że zamierza z całą rodziną przenieść się do Sycylii. W ten sposób, dziewczyna byłaby i tak daleko od ciebie.

— Byłbym za nimi pojechał — odrzekł Winicyusz — a w każdym razie byłaby bezpieczna, teraz zaś, jeśli tamto dziecko umrze, Poppea i sama uwierzy, i wmówi w Cezara, że to z winy Ligii.

— Tak jest. To mnie zaniepokoiło także. Ale ta mała kukła może jeszcze wyzdrowieć. Gdyby zaś miała umrzeć, znajdziemy i wówczas jakiś sposób.

Tu Petroniusz zamyslił się na chwilę, poczem rzekł:

— Poppea wyznaje jakoby religię Żydów i wierzy w złe duchy. Cezar jest przesądny... Jeśli rozpuścimy wieść, że Ligię porwały złe duchy, wieść znajdzie wiarę, zwłaszcza, że, gdy nie odbił jej ani Cezar, ani Aulus Plaucyusz, zniknęła w sposób istotnie tajemniczy. Lig, sam jeden, nie byłby tego dokazał. Musiałby mieć pomoc, a skądby niewolnik w ciągu jednego dnia mógł zebrać tylu ludzi?

— Niewolnicy wspierają się wzajem w całym Rzymie.

— Który krwawo to kiedykolwiek przypłaci. Tak! wspierają się, ale nie jedni przeciw drugim, a tu wiadomo było, że na twoich spadnie odpowiedzialność i kara. Gdy poddasz swoim myśl o złych duchach, potwierdzą natychmiast, że je na własne oczy widzieli, bo to ich wobec ciebie od razu uniewinni... Spytaj którego na próbę, czy nie widział, jak unosiły Ligię w powietrzu, a na egidę Zeusa zaprzysięgnie natychmiast, że tak było.

Winicyusz, który był także przesądny, spojrział na Petroniusza z nagłym, ogromnym niepokojem.

— Jeśli Urzus nie mógł mieć ludzi do pomocy i nie mógł sam jeden jej porwać, to kto ją porwał?

Lecz Petroniusz począł się śmiać.

— Widzisz — rzekł — uwierzą, skoro i ty już napół wierzysz. Taki jest nasz świat, który drwi z bogów. Uwierzą i nie będą jej szukali, a my tymczasem umieścimy ją gdzieś daleko od miasta, w jakiejś mojej lub twojej willi.

— Jednakże, kto mógł jej pomódz?

— Jej współwyznawcy — odpowiedział Petroniusz.

— Jacy? jakież ona czci bóstwo? Powinienbym o tem wiedzieć lepiej od ciebie.

— Każda niemal kobieta w Rzymie czci inne. Jest rzeczą niezawodną, że Pomponia wychowała ją w czci dla tego bóstwa, które sama wyznaje, jakie zaś wyznaje, nie wiem. Jedna jest rzecz pewna, że nikt nie widział jej, by w którejkolwiek z naszych świątyń ofiarowała naszym bogom. Oskarżano ją nawet, że jest chrześcijanką, ale to rzecz niepodobna. Sąd domowy oczyścił ją z tego zarzutu. O chrześcijanach mówią, że nie tylko czczą osłą głowę, ale są nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego i dopuszczają się najbezpieczniejszych zbrodni¹⁾. Zatem Pomponia nie może być chrześcijanką, gdyż cnota jej jest znaną, a nieprzyjaciółka rodzaju ludzkiego, nie obchodziłaby się tak z niewolnikami, jak ona się obchodzi.

— W żadnym domu nie obchodzą się z nimi, tak jak u Aulusów — przerwał Winicyusz.

— Więc widzisz. Pomponia wspomniała mi o jakimś bogu, który ma być jeden, wszechmocny i miłosierny. Gdzie pochowała wszystkich innych, to jej rzecz, dość, że ten jej Logos²⁾ nie byłby chyba bardzo wszechmocny,

¹⁾ Takie pogłoski rzeczywiście krążyły wówczas po Rzymie.

²⁾ Słowo — Bóg.

a raczej musiałby być bardzo marnym bogiem, gdyby miał tylko dwie czciicielki, to jest: Pomponię i Ligię, z dodatkiem ich Urzusa. Musi ich być więcej, tych wyznawców i ci dali pomoc Ligii.

— Ta wiara każe przebaczać — rzekł Winicyusz. — Spotkałem u Akte Pomponię, która powiedziała mi: „Niech ci Bóg przebaczy krzywdę, jaką wyrządziłeś Ligii i nam“.

— Ha! niechże ci przebaczy, a na znak przebaczenia niechaj ci wróci dziewczynę.

— Ofiarowałbym mu jutro hekatombę. Nie chcę ja-dła, ni kąpieli, ni snu. Wezmę ciemną lacernę¹⁾ i pójdę włóczyć się po mieście. Może ją w przebraniu znajdę. Gdybym choć Urzusa mógł zobaczyć!...

I wyszedł śpiesznie. Petroniusz zaś, widząc, że istotnie nie może usiedzieć na miejscu, nie próbował go wstrzymać.

Po posiłku kazał się zanieść do pałacu, a gdy wrócił, stawiał się przed nim Tejrezyasz, przełożony nad atryum.

— Czy wolno mi mówić o panie?

— Mów wszystko, co wiesz.

— Cała „familia“ mówi, panie, o ucieczce dziewicy, która miała zamieszkać w domu szlachetnego Winicyusza. Po twojem odejściu Eunice przyszła do mnie i powiedziała mi, iż zna człowieka, który potrafi ją odnaleźć.

— A! — rzekł Petroniusz. — Co to za człowiek?

— Nie znam go, panie, myślałem jednak, że powinienem ci to oznajmić.

— Dobrze. Niech ten człowiek czeka jutro w moim domu na przybycie trybuna, którego jutro poprosisz w moim imieniu, by rano mnie odwiedził.

„Atriensis“ skłonił się i wyszedł.

¹⁾ Rodzaj płaszcza.

XI.

Chilon Chilonides.

Nazajutrz Petroniusz kończył się zaledwie ubierać w unctorium, gdy nadszedł wezwany przez Tejrezyasza Winicyusz. Wiedział on już, że żadne nowiny od bram nie przyszły i wiadomość ta, zamiast go ucieszyć, jako dowód, że Ligia znajduje się w mieście, przygnębiła go jeszcze bardziej, albowiem począł przypuszczać, że Urzus mógł ją wyprowadzić z miasta natychmiast po porwaniu, a więc przedtem, zanim niewolnicy Petroniusza poczęli przy bramach strażować. Wprawdzie jesienią, gdy dni stawały się krótsze, zamykano je dość wcześnie, ale też i otwierano je dla wyjeżdżających, których liczba bywała znaczna. Za mury można się było wydostać i innymi sposobami, o których naprzykład niewolnicy, którzy chcieli zbiedz miasta, wiedzieli dobrze. Winicyusz wysłał wprawdzie swych ludzi i na wszystkie drogi, wiodące na prowincję, do wigilów w pomniejszych miastach, z ogłoszeniami o zbiegłej parze niewolników, z dokładnym opisem Urzusa i Ligii i z oznajmieniem nagrody za ich schwytanie. Było jednak rzeczą wątpliwą, czy ten pościg może ich dosięgnąć, a gdyby nawet dosięgnął, czy władze miejscowe będą się czuły w prawie zatrzymać ich na prywatne żądanie Winicyusza, nie poświadczone przez pretora. Owóż na podobne poświadczenie nie było czasu. Ze swej strony

Winicyusz przez cały wczorajszy dzień szukał Ligii w przebraniu niewolnika po wszystkich zaułkach miasta, nie zdołał jednak odnaleźć najmniejszego śladu, ni wskazówki. Widział wprawdzie ludzi Aulusowych, ale ci zdawali się także czegoś szukać, i to utwierdziło go tylko w mniemaniu, że nie Aulusowie ją odbili, i że nie wiedzą także, co się z nią stało.

Gdy więc Tejrezyasz oświadczył mu, że jest człowiek, który podejmuje się jej odszukać, pośpieszył co tchu do domu Petroniusza i za ledwie się z nim powitawszy, począł o owego człowieka wypytywać.

— Zaraz go zobaczymy — rzekł Petroniusz. — Jest to znajomy Eunice, która w tej chwili nadejdzie ułożyć fałdy mojej togi, i która da nam o nim bliższą wiadomość.

Jakoż *vestiplica* nadeszła, prawie zanim skończył mówić, i wzięwszy togę, złożoną na krześle, wykładanem kością słoniową, rozwinęła ją, by zarzucić na ramiona Petroniusza.

— Eunice — rzekł — czy jest ten człowiek, o którym wspomniałaś wczoraj Tejrezyaszowi?

— Jest, panie.

— Jak się zowie?

— Chilon Chilonides, panie.

— Kto on jest?

— Lekarz, mędrzec i wróżbita, który umie czytać w losach ludzkich i przepowiadać przyszłość.

Petroniusz z Winicyuszem przeszli do atrium, gdzie czekał na nich Chilon Chilonides, który ujrzawszy ich, oddał głęboki pokłon. Petroniuszowi na myśl o przypuszczeniu, które uczynił wczoraj, że może to być kochanek Eunice, uśmiech wybiegł na usta. Człowiek, który stał przed nim, nie mógł być niczym kochankiem. W tej dziwnej figurze było coś i plugawego i śmiesznego. Nie był stary: w jego niechlujnej brodzie i kręconej czuprynie ledwie gdzieniegdzie przeświecał włos siwy. Brzuch miał

zapadły, plecy zgarbione, tak, że na pierwszy rzut oka wydawał się garbatym, nad owym garbem zaś wznosiła się głowa wielka, o twarzy małpiej i zarazem lisiej, i przenikliwym wejrzeniu. Żółtawa jego cera popstrzona była pryszczami, a pokryty nimi całkowicie nos, mógł wskazywać zbyt nie zamilowanie do butelki. Zaniedbany ubiór, składający się z ciemnej tuniki, utkanej z koziej wełny, i takiegoż dziurawego płaszcza, dowodził prawdziwej lub udanej nędzy. Petroniuszowi, na jego widok, przyszedł na myśl homerowy Terzytes, więc też odpowiedziałwszy skinnieniem ręki na jego ukłon, rzekł:

— Witaj, boski Terzytesie! Jak się miewają twoje guzy, których ci nabił pod Troją Ulisses i co on sam porabia na polach Elizejskich?

— Szlachetny panie — odpowiedział Chilon Chilonides — najmędrszy z umarłych, Ulisses, zasyła przeze mnie najmędrszemu z żyjących, Petroniuszowi, pozdrowienie i prośbę, by okrył nowym płaszczem moje guzy.

— Na Hekate — zawołał Petroniusz — odpowiedź warta płaszcza...

Lecz dalszą rozmowę przerwał niecierpliwy Winicyusz, który spytał wręcz:

— Czy wiesz dokładnie, czego się podejmujesz?

— Gdy dwie „familie“, w dwóch wspaniałych domach, nie mówią o niczem innem, a za nimi powtarza wiadomość połowa Rzymu, nietrudno wiedzieć — odparł Chilon. — Wczorajszej nocy odbito dziewicę, wychowaną w domu Aula Plaucyusza, imieniem Ligia, albo właściwie: Kallina, którą twoi niewolnicy, o panie, przeprowadzali z pałacu Cezara do twej „insuli“, ja zaś podejmuję się odnaleźć ją w mieście, lub jeśli, co jest mało prawdopodobnem, opuściła miasto, wskazać ci szlachetny trybunie, dokąd uciekła i gdzie się ukryła.

— Dobrze — rzekł Winicyusz, któremu podobała się ścisłość odpowiedzi — jakie masz do tego środki?

Chilo uśmiechnął się chytrze:



Chilo Chilonides.

— Środki ty posiadasz, panie: ja mam tylko rozum.

Petroniusz uśmiechnął się także, albowiem był zupełnie zadowolony ze swego gościa.

— Ten człowiek może odnaleźć dziewczynę — pomyślał.

Tymczasem Winicyusz zmarszczył swe zrosnięte brwi i rzekł:

— Nędzarzu, jeśli mnie zwodzisz dla zysku, każę cię zabić pod kijami.

— Filozofem jestem, panie, a filozof nie może być chciwym na zysk, zwłaszcza na taki, jaki wspaniałomyślnie obiecujesz.

— Ach, jesteś filozofem? — spytał Petroniusz. — Eunice mówiła mi, że jesteś lekarzem i wróżbitą. Skąd znasz Eunice?

— Przychodziła do mnie po radę, gdyż sława moja obita się o jej uszy.

— Jakiejże chciała rady?

— Na miłość, panie. Chciała się wyleczyć z bezwzajemnej miłości.

— I wyleczyłeś ją?

— Uczyniłem więcej, panie, dałem jej bowiem amulet, który zapewnia wzajemność. W Pafos, na Cyprze, jest świątynia, o panie, w której chowają przepaskę Wenery. Dałem jej dwie nitki z tej przepaski, zamknięte w skorupie migdała.

— I kazałeś sobie dobrze zapłacić?

— Za wzajemność nigdy nie można dość zapłacić, ja zaś, nie mając dwóch palców u prawej ręki, zbieram na niewolnika-skrybę, któryby spisywał moje myśli i zachował moją naukę dla świata.

Jednakże Winicyusz zniecierpliwił się znowu. Wobec nadziei, jaka mu zabłysła, chciałby, by Chilo natychmiast wyruszył na wyprawę, i cała rozmowa wydała mu się tylko marną stratą czasu, o którą zły był na Petroniusza.

— Kiedy rozpoczniesz poszukiwania? — rzekł, zwracając się do Greka.

— Już je rozpocząłem — odpowiedział Chilon. — I gdy tu jestem, gdy odpowiadam na twe uprzejme pytania, szukam także. Miej tylko ufność, eny trybunie, i wiedz, że gdyby ci zginęła zawiązka od obuwia, potrafiłbym odszukać zawiązkę, lub tego, który ją na ulicy podjął.

— Czy byłeś już używany do podobnych posług? — spytał Petroniusz.

Greki podniósł w górę oczy:

— Zbyt nisko dziś cenią cnotę i mądrość, by nawet filozof nie był zmuszony szukać innych do życia sposobów.

— Jakież są twoje?

— Wiedzieć wszystko i służyć nowinami tym, którzy ich pragną.

— I którzy za nie płacą?

— Ach, panie, potrzebuję kupić pisarza. Inaczej moja mądrość umrze wraz ze mną.

— Jeśliś nie zebrał dotąd nawet na cały płaszcz, zaśługi twe nie muszą być znakomite.

— Skromność przeszkadza mi je wynosić. Lecz pomyśl, panie, że niema dziś takich dobroczyńców, jakich było pełno dawniej, i którym obsypać złotem zasługę było tak miło, jak połknąć ostrygę z Puteoli. Nie zaśługi moje są małe, lecz wdzięczność ludzka jest mała. Czasem, gdy ucieknie cenny niewolnik, kto go wynajdzie, jeśli nie jedyny syn mego ojca? Gdy na murach zjawią się napisy na boską Poppeę, kto wskaże sprawców? Kto wyszpera u księgarzy wiersz na Cezara? Kto doniesie, co mówią w domach senatorów i rycerzy? Kto nosi listy, których nie chcą powierzyć niewolnikom, kto nasłuchuje nowin przy drzwiach balwierzy, dla kogo nie mają tajemnic winiarze i piekarczycy, komu ufają niewolnicy, kto umie przejrzeć na wylot każdy dom od atrium do ogrodu? Kto zna wszystkie ulice, zaułki, kryjówki, kto wie, co mówią

w termach, w cyrku, na targach, w szkołach lanistów, w szopach u handlarzy niewolników i nawet w arenaryach?...

— Na bogi! dosyć, szlachetny mędrze! - zawołał Petroniusz - bo utoniemy w twych zasługach, enocie, mądrości i wymowie. Dosyć! chcieliśmy wiedzieć, kim jesteś i wiemy!

Lecz Winicyusz rad był, pomyślał bowiem, że człowiek ten, podobnie jak pies gończy, raz puszczoney na trop, nie ustanie, póki nie odnajdzie kryjówki.

— Dobrze — rzekł — czy potrzebujesz wskazówek?

— Potrzebuję broni.

— Jakiej? — spytał ze zdziwieniem Winicyusz.

Greki nadstawił jedną dłoń, drugą zaś uczynił gest liczenia pieniędzmi.

— Takie dziś czasy, panie — rzekł z westchnieniem.

— Będziesz więc osłem — rzekł Petroniusz — który zdobywa fortecę zapomocą worków złota.

— Jestem tylko biednym filozofem, panie - odrzekł z pokorą Chilon — złoto, macie wy.

Winicyusz cisnął mu kieskę, którą Grek chwycił w powietrzu, jakkolwiek istotnie nie miał dwóch palców u prawej ręki.

Poczem podniósł głowę i rzekł:

— Panie, wiem już więcej, niż się spodziewasz. Nie przyszedłem tu z próżnymi rękoma. Wiem, że dziewicy nie porwali Aulusowie, gdyż mówiłem już z ich sługami. Wiem, że jej niema na Palatynie, gdzie wszyscy zajęci są chorą małą Augustą i może nawet domyślałem się, dlaczego wolicie szukać dziewicy z moją pomocą, niż z pomocą wigilów i żołnierzy Cezara. Wiem, że ułatwił jej ucieczkę sługa, pochodzący z tegoż samego, co i ona kraju. Nie mógł on znaleźć pomocy u niewolników, bo niewolnicy, którzy się wszyscy razem trzymają, nie pomogliby mu przeciw twoim. Mogli mu pomóc tylko współwyznawcy...

— Słuchaj, Winicyuszu — przerwał Petroniusz —
czym ci tego samego słowo w słowo nie mówił.

— Honor to dla mnie — rzekł Chilon. — Dziewica,
panie — mówił, zwracając się znów do Winicyusza —
niechybnie czci jednakże bóstwo z tą najenotliwszą z Rzy-
mianek, z tą prawdziwą matroną stolatą¹⁾, Pomponią. Sły-
szałem i to, że Pomponia była sądzona w domu za wy-
znawanie jakichś obcych bóstw, nie mogłem się jednak
od jej sług dowiedzieć, jakie jest owo bóstwo, i jak się
zowią jego wyznawcy. Gdybym mógł o tem wiedzieć,
udałbym się do nich, stałbym się najpobożniejszym mię-
dzy nimi i zyskał ich ufność. Lecz ty, panie, który, jak
wiem także, spędziłeś kilkanaście dni w domu szlachetnego
Aulusa, czy możesz dać mi jaką o tem wiadomość?

— Nie mogę — rzekł Winicyusz.

— Pytaliście mnie długo o różne rzeczy, szlachetni
panowie, i ja odpowiadałem na pytania, pozwólcie, bym
je teraz zadawał. Czy nie widziałeś, eny trybunie, żadnych
posążków, żadnych ofiar, żadnych oznak, żadnych amule-
tów na Pomponii lub na twej boskiej Ligii? Czy nie wi-
działeś, aby kreśliły między sobą jakieś znaki, zrozumiałe
dla nich tylko?

Znaki?... Czekaj!... Tak! Widziałem raz, jak Ligia
nakreśliła na piasku rybę.

— Rybę? Aa! Ooo! Czy uczyniła to raz, czy kilka-
krotnie?

— Raz jeden.

— I jesteś, panie, pewien, że nakreśliła... Rybę? Oo!..

— Tak jest! — odrzekł zaciekawiony Winicyusz. —
Czy odgadujesz, co to znaczy?

— Czy odgaduję! — zawołał Chilon.

I skłoniwszy się na znak pożegnania, dodał:

¹⁾ Stola, była to suknia długa i faldzista, którą wkładano na tunikę. M. stolata t. z. poważna.

— Niechaj Fortuna rozsypuje na was porównie wszystkie dary, dostojni panowie.

— Każ sobie dać płaszcz! — rzekł mu na drogę Petroniusz.

— Ulisses składa ci dzięki za Terzytesa — odpowiedział Grek.

I skłoniwszy się powtórnie, wyszedł.

— Cóż powiesz o tym szlachetnym mędrca? — spytał Winicyusza Petroniusz.

— Powiem, że on odnajdzie Ligię! — zawołał z radością Winicyusz — ale powiem także, że gdyby istniało państwo lotrów, on mógłby być królem w tem państwie.

— Niewątpliwie. Muszę z tym stoikiem zabrać bliższą znajomość, ale tymczasem każę wykadzić po nim atrium.

A Chilon Chilonides, okręciwszy się swym nowym płaszczem, podrzucał na dłoni pod jego fałdami otrzymaną od Winicyusza kieskę i lubował się zarówno jej ciężarem, jak dźwiękiem. Idąc zwolna i oglądając się, czy z domu Petroniusza za nim nie patrzą, skręcił na Suburę.

— Trzeba pójść do Sporusa — mówił sobie — i ułać trochę wina Fortunie. Znalazłem wreszcie, czegom od dawna szukał. Młody jest, zapalczywy, hojny, jak kopalnie Cypru i za tę ligijską makolągwę gotówby oddać pół mienia. Tak, takiego właśnie szukałem od dawna. Trzeba jednak być z nim ostrożnym, bo jego zmarszczenie brwi nie zapowiada nic dobrego. Ach! szczenięta wilcze panują dziś nad światem!... Mniejbym się bał tego Petroniusza. O bogowie! przecz stręczycielstwo lepiej dziś popłaca, niż enota? Ha! nakreśliła ci rybę na piasku? Jeśli wiem, co to znaczy, niech się udławię kawałkiem koziego sera! Ale będę wiedział! Ponieważ jednak ryby żyją pod wodą, a poszukiwanie pod wodą trudniejsze jest, niż na lądzie, ergo: zapłaci mi za rybę osobno. Jeszcze jedna taka kieska, a mógłbym porzucić dziadowskie biesagi i kupić sobie niewolnika... Lecz cobyś powiedział Chilonie, gdybym ci doradził kupić nie niewolnika, ale niewolnicę?... Znam

cię! Wiem, że się zgodzisz!... Gdyby była piękna, jak na przykład Eunice, sambyś przy niej odmłodził, a zarazem miałbyś z niej uczciwy i pewny dochód. Sprzedałem tej biednej Eunice dwie nitki z mego własnego starego płaszcza... Głupia jest, ale gdyby mi ją Petroniusz darował, to bym ją wziął... Tak, tak, Chilonie, synu Chilona... Straciłeś ojca i matkę!... Jesteś sierotą, więc kup sobie na pociechę choć niewolnicę. Musi ona wprawdzie gdzie mieszkać, więc Winicyusz najmie jej mieszkanie, w którym i ty się przytulisz; musi się ubrać, więc Winicyusz zapłaci za jej ubiór, i musi jeść, więc będzie ją żywił. Och, jakie życie ciężkie! Gdzie te czasy, w których za obola można było dostać tyle bobu ze słoniną, ile można było w obie dłonie objąć, lub kawał koziej kiszki, nalanej krwią, tak długi, jak ramię dwunastoletniego pacholęcia!... Ale oto i ten złodziej, Sporus! W winiarni najłatwiej czegoś się dowiedzieć.

Tak mówiąc, wszedł do winiarni i kazał sobie podać dzbaniec „ciemnego“, widząc zaś nieufne spojrzenie gospodarza, wydłubał złoty pieniądz z kieski położywszy go na stole, rzekł:

— Sporusie, pracowałem dziś z Seneką od świtu do południa, i oto, czem mój przyjaciel obdarzył mnie na drogę.

Okrągłe oczy Sporusa uczyniły się na ten widok jeszcze okrągłejsze i wino wnet znalazło się przed Chilonem, ten zaś, umoczywszy w niem palec, nakreślił rybę na stole i rzekł:

— Wiesz, co to znaczy?

— Ryba? No, ryba, to ryba!

— Głupis, choć dolewasz tyle wody do wina, że mogłaby się w niem znaleźć i ryba. To jest symbol, który w języku filozofów znaczy: Uśmiech Fortuny. Gdybyś go był odgadł, byłbyś i ty może zrobił fortunę. Szanuj filozofię, mówię ci, bo inaczej zmienię winiarnię, do czego mój osobisty przyjaciel, Petroniusz, od dawna mnie namawia.

XII.

„R y b a“.

Przez kilka dni następnych Chilon nie pokazywał się nigdzie. Winicyusz, który od czasu, jak dowiedział się od Akte, że Ligia go kochała, stokroć jeszcze więcej pragnął ją odnaleźć, rozpoczął poszukiwania na własną rękę, nie chcąc, a zarazem i nie mogąc udać się o pomoc do Cezara, pogrążonego w trwodze z powodu zdrowia małej Augusty.

Jakoż nie pomogły ofiary, składane w świątyniach, modły i wota, jak również sztuka lekarska i wszelkie czarodziejskie środki, jakich się w ostateczności chwytano. Po tygodniu dziecko umarło. Żałoba padła na dwór i na Rzym. Cezar, który przy urodzeniu dziecka szalał z radości, szalał teraz z rozpacz i zamknąwszy się u siebie, przez dwa dni nie przyjmował pokarmu. Senat zebrał się na nadzwyczajne posiedzenie, na którym zmarłe dziecko ogłoszone zostało boginią; uchwalono wznieść jej świątynię i ustanowić osobnego przy niej kapłana.

Petroniusza zaniepokoiła ta śmierć. Wiadomem już było w całym Rzymie, że Poppea przypisuje ją czarom. Powtarzali to za nią i lekarze, którzy w ten sposób mogli usprawiedliwić bezskuteczność swych wysiłków, i kapłani, których ofiary okazały się bezsilne, i zamawiacze, którzy drżeli o swoje życie i lud. Petroniusz rad był te-

raz, że Ligia uciekła; ponieważ jednak nie życzył źle Aulusum, a życzył dobrze i sobie, i Winicyuszowi, przeto gdy zdjęto cyprys, zatknięty na znak żałoby przed Pałacem, udał się na przyjęcie, zgotowane dla senatorów i augustyanów, by się przekonać, o ile Nero podał ucho wieści o czarach i zapobiedz następstwom, jakieby mogły z tego wyniknąć.

Przypuszczał też, znając Nerona, że ten, choćby w czary nie uwierzył, będzie udawał, że wierzy, i dlatego, by oszukać własny ból, i dlatego, by się na kimkolwiek pomścić, i wreszcie, by zapobiedz przypuszczeniom, że bogowie poczynają go karać za zbrodnie. Petroniusz nie sądził, by Cezar mógł nawet własne dziecko kochać prawdziwie i głęboko, jakkolwiek kochał je zapalczywie, był jednak pewien, że będzie przesadzał w boleści. Jakoż nie omylił się. Nero słuchał pociech senatorów i rycerzy z kamienną twarzą, z oczyma utkwionemi w jeden punkt i widać było, że jeśli nawet cierpi istotnie, to zarazem myśli o tem, jakie wrażenie czyni jego ból na obecnych, zarazem pozuje na Niobe, i daje przedstawienie rodzicielskiego żalu, tak jakby je dawał komedyant na scenie. Nie umiał nawet przytem wytrwać w mileżącej i niby skamieniałej boleści, albowiem chwilami czynił gesta, jak gdyby posypywał głowę prochem ziemi, a chwilami jęczał głucho, ujrawszy zaś Petroniusza, zerwał się i tragicznym głosem począł wołać, tak, aby go wszyscy mogli dosłyszeć:

— Eheu!.. I tyś winien jej śmierci! Za twoją to radą wszedł w te mury zły duch, który jednym spojrzeniem wyssał życie z jej piersi.. Biada mi! i wolejby oczy moje nie patrzyły na światło Heliosa... Biada mi! eheu! eheu!..

I podnosząc coraz głos, przeszedł w krzyk rozpaczliwy, lecz Petroniusz w tejże samej chwili postanowił stawić wszystko na jeden rzut kości, zaczem, wyciągnąwszy rękę, zerwał szybko jedwabną chustkę, którą Nero zawsze nosił na szyi i położył mu ją na ustach.

— Panie! — rzekł z powagą — spal Rzym i świat z boleści, lecz zachowaj nam swój głos!

Zdumieli się obecni, zdumiał się na chwilę sam Nero, jeden tylko Petroniusz pozostał niewzruszony. Wiedział on nadto dobrze, co robi. Pamiętał przecie, że Terpnos i Dyodor mieli wprost rozkaz zatykać usta Cezarowi, gdyby podnosząc zbyt głos, narażał go na szwank jakikolwiek.

— Cezarze — mówił dalej z tą samą powagą i smutkiem — ponieśliśmy stratę niezmierną, niech nam choć ten skarb pociechy zostanie!

Twarz Nerona zadrgała i po chwili z oczu puściły mu się łzy, nagle wsparł dłonie na ramionach Petroniusza i złożywszy głowę na jego piersiach, jął powtarzać wśród łkań:

— Tyś jeden ze wszystkich o tem pomyślał, ty jeden! Petroniuszu! ty jeden!

Tygellinus poźółkł z zazdrości — Petroniusz zaś mówił:

— Jedź do Ancyum! tam ona przyszła na świat, tam spłynęła na cię radość, tam spłynie ukojenie. Niech morskie powietrze odświeży twe boskie gardło; niechaj pierś twoja odetchnie słoną wilgocią. My, wierni, pójdziemy wszędy za tobą i gdy twój ból będziemy koili przyjaźnią, ty ukoisz nas pieśnią.

— Tak! — odrzekł żałośnie Nero — napiszę hymn na jej cześć i ułożę do niego muzykę.

— A potem poszukasz ciepłego słońca w Bajae.

— A potem, zapomnienia w Grecyi.

— W ojczyźnie poezyi i pieśni!

I kamienny, ponury nastrój mijał stopniowo, jak mijają chmury, pokrywające słońce, a natomiast poczęła się rozmowa, niby pełna jeszcze smutku, lecz pełna i układów na przyszłość, dotyczących podróży, artystycznych występień, a nawet i przyjęć, jakich wymagało zapowiedziane przybycie Tyrydata, króla Armenii. Tygellinus próbował

wprawdzie jeszcze wspomnieć o czarach, lecz Petroniusz, pewny już wygranej, podjął wprost wyzwanie.

— Tygellinie — rzekł — czy sądzisz, że czary mogą szkodzić bogom?

— Sam Cezar o nich mówił — odpowiedział dworak.

— Bolesć mówiła, nie Cezar, lecz ty co o tem mniemasz?

— Bogowie zbyt są potężni, by mogli podlegać urokom.

— Miałżebyś zaś odmawiać boskości Cezarowi i jego rodzinie?

— *Peractum est!* — mruknął stojący obok Epryus Marcellus, powtarzając okrzyk, jaki wydawał lud, gdy gladyator w arenie ugodzony został od razu tak, że nie potrzebował dobiecia.

Tygellinus zgryzł w sobie gniew. Między nim i Petroniuszem z dawna istniało współzawodnictwo wobec Nerona i Tygellinus miał tę wyższość, że Nero mniej, albo raczej wcale się wobec niego nie krępował, aż dotąd jednak Petroniusz, ilekroć się zetknęli, pokonywał go rozumem i dowcipem.

Tak się stało i teraz. Tygellinus umilkł i tylko zapisywał sobie w pamięci tych senatorów i rycerzy, którzy w chwili, gdy Petroniusz cofnął się w głąb sali, otoczyli go zaraz, mniemając, że po tem co zaszło, on będzie stanowczo pierwszym ulubieńcem Cezara.

Petroniusz zaś, wyszedłszy z pałacu, udał się do Winicyusza i opowiedziawszy mu zajście z Cezarem i Tygellinem, rzekł:

— Nietylko odwróciłem niebezpieczeństwo od Aulusa Plaucyusza i Pomponii, a zarazem od nas obydwóch, ale nawet od Ligii, której nie będą poszukiwali, choćby dlatego, że namówiłem tamtą miedzianobrodą małpę, by pojechała do Ancyum, a stamtąd do Neapolis lub Bajae. I pojedzie, w Rzymie bowiem nie śmiał dotąd wystąpić publicznie w teatrze, wiem zaś, że od dawna ma zamiar

wystąpić w Neapolis. Potem marzy o Grecyi, gdzie chce mu się śpiewać we wszystkich znaczniejszych miastach, a potem wraz ze wszystkimi wieńcami, które mu ofiarują „Graeculi“, odprawić tryumfalny wjazd do Rzymu. Przez ten czas będziemy mogli szukać Ligii swobodnie i ukryć ją bezpiecznie. A cóż? Czy nasz szlachetny filozof nie był dotąd?

— Twój szlachetny filozof jest oszust. Nie! nie był, nie pokazał się i nie pokaże się więcej!

— A ja lepsze mam pojęcie, jeśli nie o jego uczciwości, to o rozumie. Upuścił już raz krwi twemu workowi i przyjdzie, choćby po to, żeby jej upuścić po raz drugi.

— Niech się strzeże, bym ja mu krwi nie upuścił.

— Nie czynń tego; miej z nim cierpliwość, póki się dowodnie o oszustwie nie przekonasz. Nie dawaj mu więcej pieniędzy, a natomiast obiecuj hojną nagrodę, jeśli ci przyniesie wiadomość pewną. Czy przedsięwiesz coś także na własną rękę?

— Dwaj moi wyzwolenicy, Nimfidyusz i Demas, szukają jej na czele sześćdziesięciu ludzi. Ten z niewolników, który ją odnajdzie, ma obiecaną wolność. Wysłałem prócz tego umyślonych na wszystkie drogi, wiodące z Rzymu, by w gospodach wypytywali o Liga i dziewczęcę. Sam przebiegam miasto dniem i nocą, licząc na traf szczęśliwy.

— Cokolwiek będziesz wiedział, daj mi znać, bo muszę jechać do Ancyum.

— Dobrze.

— A jeśli któregokolwiek rana, obudziwszy się, powiesz sobie, że dla jednej dziewczyny nie warto się dręczyć i czynić dla niej tylu zabiegów, to przyjeżdżaj do Ancyum. Tam nie zbraknie ni kobiet, ni uciech.

Winicyusz począł chodzić szybkimi krokami, Petroniusz zaś spoglądał czas jakiś za nim, wreszcie rzekł:

— Powiedz mi szczerze — nie jak zapalenie, który coś w siebie wmawia i sam się podnieca, ale jak człowiek

rozsądny, który odpowiada przyjacielowi: czy tobie zawsze jednakowo chodzi o tę Ligię?

Winicyusz zatrzymał się na chwilę i spojrzął tak na Petroniusza, jak gdyby go przedtem nie widział, poczem znów począł chodzić. Widocznem było, że hamuje w sobie wybuch. Wreszcie w oczach, z poczucia własnej bezsilności, z żalu, gniewu i niepokonanej tęsknoty, zebrały mu się dwie łzy, które przemówiły silniej do Petroniusza, niż najwymowniejsze słowa.

Więc, zamyśliwszy się przez chwilę, rzekł:

— Świat dźwiga na barkach nie Atlas, ale kobieta, i czasem igra nim, jak piłką.

— Tak! — rzekł Winicyusz.

I poczęli się żegnać. Lecz w tej chwili niewolnik dał znać, że Chilon Chilonides czeka w przedsionku i prosi, aby mógł być dopuszczony przed oblicze pana.

Winicyusz kazał wpuścić go natychmiast, Petroniusz zaś rzekł:

— Ha! nie mówiłem ci! Na Herkulesa! zachowaj tylko spokój; inaczej on tobą owładnie, nie ty nim.

— Pozdrowienie i cześć szlachetnemu wojskowemu trybunowi i tobie, panie! — mówił, wchodząc, Chilon. — Niech szczęście wasze równe będzie waszej sławie, a sława niech obiegnie świat cały.

— Witaj, prawodawco enoty i mądrości! — odpowiedział Petroniusz.

Lecz Winicyusz spytał z udanym spokojem:

— Co przynosisz?

— Za pierwszym razem przyniosłem ci, panie, nadzieję, obecnie przynoszę pewność, że dziewica zostanie odnaleziona.

— To znaczy, żeś jej nie odnalazł dotąd?

— Tak, panie, alem odnalazł, co znaczy znak, który ci uczyniła: wiem, kto są ludzie, którzy ją odbili, i wiem, między jakiego bóstwa wyznawcami szukać jej należy.

Winicyusz chciał się zerwać z krzesła, na którym sie-

dział, lecz Petroniusz położył mu dłoń na ramieniu i zwracając się do Chilona, rzekł:

— Mów dalej!

— Czy jesteś zupełnie pewny, panie, że dziewica nakreśliła ci rybę na piasku?

— Tak jest! — wybuchnął Winicyusz.

— A zatem jest chrześcijanką i odbili ją chrześcijanie.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Słuchaj, Chilonie — rzekł wreszcie Petroniusz. — Krewny mój przeznaczył ci za odszukanie dziewczyny znaczną ilość pieniędzy, ale niemniej znaczną ilość różeg, jeśli go zechcesz oszukiwać. W pierwszym razie kupisz nie jednego, ale trzech skrybów, w drugim filozofia wszystkich siedmiu mędrców, z dodatkiem twojej własnej, nie stanie ci za maść gojącą.

— Dziewica jest chrześcijanką, panie! — zawołał Grek.

— Zastanów się, Chilonie. Tysz człek niegłupi! Czy chciałbyś w nas wmówić, że Pomponia, a z nią razem i Ligia mogą należeć do nieprzyjaciół rodu ludzkiego, do zatruwaczy fontan i studzien, do czcicieli osłej głowy, do ludzi, którzy mordują dzieci i oddają się najplugawszej rozpuście? Pomyśl, Chilonie, czy ta teza, którą nam głosisz, nie odbije się jako antyteza, na twoim grzbiecie.

Chilon rozłożył ręce na znak, że to nie jego wina, poczem rzekł:

— Panie! wymów po grecku następujące zdanie: Jezus Chrystus, Boga Syn, Zbawiciel.

— Dobrze. Oto mówię!... Cóż z tego?

— A teraz weź pierwsze litery każdego z tych wyrazów i złóż je tak, aby stworzyły jeden wyraz.

— Ryba! — rzekł ze zdziwieniem Petroniusz ¹⁾.

¹⁾ ἰχθύς.

— Oto, dlaczego ryba stała się godłem chrześcijan — odpowiedział z dumą Chilon.

Nastąpiła chwila milczenia. W wywodach Greka było jednak coś tak uderzającego, że obaj przyjaciele nie mogli się oprzeć zdumieniu.

— Winicyuszu — spytał Petroniusz — czy się nie mylisz i czy istotnie Ligia nakreśliła ci rybę?

— Na wszystkich bogów podziemnych, można oszałeć! — zawołał z uniesieniem młody człowiek — gdyby mi nakreśliła ptaka, powiedziałbym, że ptaka!

— A więc jest chrześcijanką! — powtórzył Chilon.

— To znaczy — rzekł Petroniusz — że Pomponia i Ligia zatruwają studnie, mordują schwyte na ulicy dzieci i oddają się rozpucie! Głupstwo!! Ty, Winicyuszu, byłeś dłużej w ich domu, ja byłem krótko, ale znam dość i Aulusa i Pomponię, dość nawet znam Ligię, żeby powiedzieć: potwarz i głupstwo!! Jeśli ryba jest godłem chrześcijan, czemu istotnie zaprzeczyć trudno i jeśli one są chrześcijankami, to na Prozerpinę! widocznie chrześcijanie nie są tem, za co ich mamy.

— Mówisz, jak Sokrates, panie — odpowiedział Chilon. — Kto kiedy badał chrześcijanina? Kto poznał ich naukę? Gdym wędrował przed trzema laty z Neapolis tu, do Rzymu (o, czemuż tam nie zostałem!), przyłączył się do mnie człowiek, lekarz, imieniem Glaukos, o którym mówiono, że był chrześcijaninem, a mimo tego, przekonałem się, że był to dobry i enotliwy człowiek.

— Czy nie od tego enotliwego człowieka dowiedziałeś się teraz, co znaczy ryba?

— Niestety, panie! Po drodze w jednej gospodzie pechnął ktoś poczciwego starca nożem, a żonę i dziecko jego uprowadzili handlarze niewolników, ja zaś w obronie ich straciłem te oto dwa palce. Ale, że między chrześcijanami nie brak, jak mówią, cudów, więc mam nadzieję, że mi odrosną.

— Jakto? zali zostałeś chrześcijaninem?

— Od wczoraj, panie! od wczoraj! Uczyniła mnie nim ta ryba. Patrz, jaka jednak w niej siła! I za kilka dni będę najgorliwszym z gorliwych, aby mnie przypuścili do wszystkich swych tajemnic, a gdy mnie przypuszczą do wszystkich tajemnic, będę wiedział, gdzie się ukrywa dziewica. Wówczas, może moje chrześcijaństwo lepiej mi się opłaci od mojej filozofii. Uczyniłem też Merkuremu ślub, że jeśli mi pomoże do odszukania dziewicy, ofiaruję mu dwie jałówki jednych lat i jednakiej miary, którym każę pozłocić rogi.

— Więc twoje wczorajsze chrześcijaństwo i twoja dawniejsza filozofia pozwalają ci wierzyć w Merkurego?

— Wierzę zawsze w to, w co mi wierzyć potrzeba, i to jest moja filozofia, która zwłaszcza Merkuremu powinna przypaść do smaku. Na nieszczęście, wiecie, dostojni panowie, jaki to jest bóg podejrzliwy. Nie ufa on obietnicom nawet nieskazitelnych filozofów i wolałby może naprzód dostać jałówki, a tymczasem to jest wydatek ogromny. Nie każdy jest Seneką i mnie na to nie stać, gdyby jednak szlachetny Winicyusz chciał na rachunek tej sumy, którą mi obiecał... cośkolwiek...

— Ani obola, Chilonie! — rzekł Petroniusz — ani obola! Hojność Winicyusza przewyższy twoje nadzieje, ale dopiero wówczas, gdy Ligia zostanie odnaleziona, to jest, gdy nam wskażesz jej kryjówkę. Merkury musi ci zakredytować dwie jałówki, chociaż nie dziwię mu się, że nie ma do tego ochoty, i poznaję w tem jego rozum.

— Posłuchajcie mnie, dostojni panowie. Odkrycie, jakie uczyniłem, jest wielkie, albowiem, chociaż nie odnalazłem dotąd dziewicy, odnalazłem drogę, na której jej szukać należy. Oto rozesłaliście wyzwoleńców i niewolników na całe miasto i prowincję, a czyż który dał wam jakąś wskazówkę? Nie! Ja jeden dałem. I powiem wam więcej. Między waszymi niewolnikami mogą być chrześcijanie, o których nie wiecie, gdyż zabobon ten rozszerzył się już wszędzie, i ci, zamiast pomagać, będą was

zdradzali. Złe nawet jest, że mnie tu widzą i dlatego ty, szlachetny Petroniuszu, nakaz milczenie Eunice, ty zaś, równie szlachetny Winicyuszu, rozgłoś, iż ci sprzedają maść, która posmarowanym nią koniom zapewnia zwycięstwo w cyrku... Ja jeden będę szukał, i ja jeden zbiegów odnajdę, wy zaś ufajcie mi i wiedzcie, że cokolwiekbym dostał naprzód, będzie to tylko dla mnie zachętą, gdyż zawsze będę się spodziewał więcej i tem większą miał pewność, że przyobiecana nagroda mnie nie minie. Ach, tak! Jako filozof, pogardzam pieniędzmi, chociaż nie pogardzają nimi ani Seneka, ani Muzoniusz, którzy jednak nie stracili palców w niczyjej obronie i którzy sami pisać i imiona swe potomności przekazać mogą. Ale, prócz niewolnika, którego kupić zamierzam i prócz Merkurego, któremu obiecałem jałówki (a wiecie, jak bydło podróżowało), samo poszukiwanie pociąga mnóstwo wydatków. Posłuchajcie tylko cierpliwie. Oto, od tych kilku dni, na nogach poczyły mi się rany od ciągłego chodzenia. Zachodziłem do winiarni, by gadać z ludźmi, do piekarzy, rzeźników, do sprzedających oliwę i do rybaków. Przebiegłem wszystkie ulice i zaułki; byłem w kryjówkach zbiegłych niewolników; przegrałem blisko sto asów w morę; byłem w pralniach, suszarniach i garkuchniach, widziałem mulników i rzeźbiarzy; widziałem ludzi, którzy leczą na pęcherz i wyrwają zęby, gadałem z przekupniami suszonych fig, byłem na cmentarzach, a wiecie po co? Oto, aby kreslić wszędzie rybę, patrzeć ludziom w oczy i słuchać, co na ów znak powiedzą. Długi czas nie mogłem dostrzedz nic, aż raz spostrzegłem starego niewolnika przy fontannie, który czerpał wiadrami wodę i płakał. Zbliżywszy się wówczas do niego, spytałem o przyczynę łez. Na to, gdyśmy siedli na stopniach fontanny, odrzekł mi, że zbierał całe życie sestercyę do sestercyi, by wykupić umiłowanego syna, ale pan jego, niejaki Pansa, gdy zoczył pieniądze, zabrał mu je, syna zaś zatrzymał nadal w niewoli. „I tak płaczę — mówił stary — bo choć powtarzam: dziej

się wola boska! nie mogę, biedny grzesznik, leż powstrzymać“. Wówczas, jakby tknięty przecuciem, umoczywszy palec w wiadrze, nakreślił mu rybę, on zaś odrzekł: „I moja nadzieja w Chrystusie“. A jam spytał: „Poznałeś mnie po znaku!“ On rzekł: „Tak jest i pokój niech będzie z tobą“. Wtedy począłem go ciągnąć za język i pocziwina wygadał wszystko. Jego pan, ów Pansa, sam jest wyzwolencem wielkiego Pansy i dostawia kamienie Tybrem do Rzymu, które niewolnicy i ludzie najemni wyladowują z tratw i dźwigają do budujących się domów nocami, by we dnie nie tamować ruchu na ulicach. Pracuje między nimi wielu chrześcijan i jego syn, lecz że to robota nad siły, więc dlatego chciał go wykupić. Lecz Pansa wolał zatrzymać i pieniądze i niewolnika. Tak mówiąc, znów począł płakać, ja zaś pomieszałem z jego łzami moje, co mi przyszło łatwo z powodu dobroci serca i strzykania w nogach, którego ze zbytniego chodzenia dostałem. Począłem też przytem narzekać, że przyszedłszy przed kilku dniami z Neapolis, nie znam nikogo z braci, nie wiem, gdzie się zbierają, by modlić się razem. On zdziwił się, że mi chrześcijanie z Neapolis nie dali listów do rzymskich braci, alem mu powiedział, że mi je ukradziono w drodze. Wówczas rzekł mi, bym przyszedł w nocy nad rzekę, a on mnie z braćmi pozna, ci zaś doprowadzą mnie do domów modlitwy i do starszych, którzy rządzą gminą chrześcijańską. Co usłyszawszy, ucieszyłem się tak, iż dałem mu sumę, potrzebną na wykupienie syna, w tej nadziei, że wspaniały Winicyusz w dwójnasób mi ją powróci...

— Chilonie — przerwał Petroniusz — w twojem opowiadaniu kłamstwo pływa po powierzchni prawdy, jak oliwa po wodzie. Przyniosłeś wiadomości ważne, temu nie przeczę. Twierdzę nawet, że na drodze do odszukania Ligii wielki krok został uczyniony, lecz ty nie omaszczaj kłamstwem swych nowin. Jak się nazywa ów starzec, cd

którego dowiedziałeś się, że chrześcijanie poznają się za pomocą znaku ryby?

— Eurycyusz, panie. Biedny, nieszczęśliwy starzec! Przypomniał mi Glauka lekarza, którego bronilem od zbójców i tem mnie głównie wzruszył.

— Wierzę, że go poznałeś i że potrafisz skorzystać z tej znajomości, aleś mu pieniędzy nie dał. Nie dałeś mu ani asa, rozumiesz mnie! Nie dałeś nic!

— Alem mu pomógł dźwigać wiadra i o jego synu mówiłem z największym współczuciem. Tak, panie! cóż się może ukryć przed przenikliwością Petroniusza? A więc, nie dałem mu pieniędzy, a raczej dałem mu je, ale tylko w duszy, w umyśle, co, gdyby był prawdziwym filozofem, powinno mu było wystarczyć... Dałem zaś dlatego, żem uznał taki postępek za niezbędną i pożyteczną, albowiem pomyśl, panie, jakby on mi zjednał od razu wszystkich chrześcijan, jaki do nich przystęp otworzył i jaką wzbudził w nich ufność.

— Prawda — rzekł Petroniusz — i powinienes to być uczynić.

— Właśnie dlatego tu przychodzę, abym mógł to uczynić.

Petroniusz zwrócił się do Winicyusza:

— Każ mu wyliczyć pięć tysięcy sestercyi, ale w duszy, w umyśle...

Lecz Winicyusz rzekł:

— Dam ci pachołka, który poniesie sumę potrzebną, ty zaś powiesz Eurycyuszowi, że pachołek jest twoim niewolnikiem i wyliczysz staremu przy nim pieniądze. Ponieważ jednak przyniosłeś wiadomość ważną, otrzymasz drugie tyle dla siebie. Przyjdź po pachołka i po pieniądze dziś wieczór.

— Oto prawdziwy Cezar! — rzekł Chilon. — Pozwolisz panie, że ci zadedykuję moje dzieło, ale pozwolisz także, że dziś wieczór przyjdę tylko po pieniądze, albowiem Eurycyusz powiedział mi, że wyładowano już wszyst-

kie! tratwy, a nowe przyholują z Ostyi dopiero za dni kilka. Pokój niech będzie z wami! Tak się żegnają chrześcijanie... Kupię sobie niewolnicę, to jest, chciałem powiedzieć: niewolnika. Ryby łapiają się na wędkę, a chrześcijanie na rybę. *Pax vobiscum! pax!... pax!... pax!...*

* * *

Gdy w kilka dni potem Petroniusz wyjechał z Cezarem do Ancyum, Winicyusz chcąc sprawdzić, czy Chilon go nie oszukuje, tej nocy, której przyszedł po pieniądze dla Eurycyusza, okrył się płaszczem wojskowym i poszedł niepostrzeżenie za nim i za chłopcem, którego mu dodał. Gdy przyszli na miejsce, śledził ich z daleka, ukryty za słupem portowym, i przekonał się, że Eurycyusz nie był zmyśloną postacią. W dole, przy rzece, kilkudziesięciu ludzi wyładowywało, przy pochodniach, kamienie z wielkiej komiegi i układało je przy brzegu. Widział, jak Chilo zbliżył się ku nim i począł rozmawiać z jakimś starcem, który po chwili upadł mu do nóg. Inni otoczyli ich w koło, wydając okrzyki podziwu. Pacholek oddał worek Eurycyuszowi, który, chwyciwszy go, jał się modlić ze wzniesionemi w górę rękoma, a przy nim klęknął ktoś drugi... widocznie jego syn. Chilon mówił coś jeszcze, czego Winicyusz nie mógł dosłyszeć, i błogosławił zarówno tych dwóch klęczących, jak i innych, czyniąc w powietrzu znaki nakształt krzyża, a wszyscy zginali kolana. Brała go ochota zejść między nich i obiecać trzy takie worki temu, któryby mu wydał Ligię, ale bał się popsuć Chilonowi robotę i, po chwili zastanowienia, odszedł.

Działo się to w dni przynajmniej dwanaście od wyjazdu Petroniusza. Od tej pory był Chilon u Winicyusza kilkakrotnie. Opowiadał mu, że nabrał między chrześcijanami wielkiego znaczenia. Kilku już poznał i próbował

ich badać, ale ostrożnie, by przez pośpiech nie wzbudzić podejrzeń i nie utrudnić dzieła.

Dowiedział się także, że na modlitwy mają wspólne miejsca, często za bramami miasta, w pustych domach, a nawet w arenaryach. Tamże czczą Chrystusa, śpiewają i uczują. Miejsce takich jest wiele. Chilon przypuszczał, iż Ligia chodzi umyślnie do innych, niż Pomponia, dlatego by ta, w razie sądu i badania, śmiało mogła zaprzysiądz, że o jej schronieniu nie wie. Być może, że prezbyterowie doradzili jej tę ostrożność. Gdy Chilon pozna już te miejsca, Winicyusz pójdzie z nim razem i, jeśli ujrzy Ligię, tym razem z rąk jego nie ujdzie.

XIII.

Glaukus.

Chilon nie pokazywał się jednak dość długo, tak, że Winicyusz nie wiedział w końcu, co o tem sądzić. Próżno powtarzał sobie, że poszukiwania, jeśli mają doprowadzić do wyników pomyślnych i pewnych, muszą być powolne. Zarówno jego krew, jak i porywczą naturą, burzyły się przeciw głosowi rozsądku. Nie czynić nic, czekać, siedzieć z założonemi rękoma, było czemś tak przeciwnem jego usposobieniu, że w żaden sposób nie umiał się z tem pogodzić. Przebieganie zaułków miasta w ciemnym, niewolniczym płaszczu, przez to samo, że było daremnem, wydało mu się tylko oszukiwaniem własnej bezczynności i nie mogło go zaspokoić. Wyzwolenicy jego, ludzie przebiegli, którym kazał czynić poszukiwania na własną rękę, okazywali się stokroć mniej zręcznymi od Chilona. Tymczasem obok miłości, jaką czuł dla Ligii, rodziła się w nim jeszcze zawziętość gracza, który chce wygrać. Winicyusz takim był zawsze. Od najmłodszych lat przeprowadzał, co chciał, z namiętnością człowieka, który nie rozumie, że może się coś nie udać, i że trzeba się czegoś wyrzec. Karność wojskowa ujęła wprawdzie na czas w karby jego samowolę, ale wszczepiła weń zarazem przekonanie, że każdy rozkaz, który wydawał niższym od siebie, musi być spełniony, dłuższy zaś pobyt na Wschodzie, wśród ludzi

giętkich i do niewolniczego posłuchu przywykłych, utwierdził go tylko w wierze, że dla jego „chęć“ niema granic. Obecnie więc krwawiła ciężko i jego miłość własna. Było przytem w tych przeciwnościach, w tym oporze i w samej ucieczce Ligii coś dla niego niezrozumiałego, jakaś zagadka, nad której rozwiązaniem męczył śmiertelnie głowę. Czuł, że Akte powiedziała prawdę, i że nie był dla Ligii obojętnym. Ale jeśli tak, to dlaczego przełożyła tułactwo i nędzę nad jego miłość? Na to pytanie nie umiał znaleźć odpowiedzi, a natomiast dochodził tylko do pewnego niejasnego poczucia, że między nim a Ligią i między ich pojęciami, i między światem jego i Petroniusza a światem Ligii i Pomponii Grecyny, istnieje jakaś różnica i jakieś nieporozumienie, głębokie jak przepaść, której nie zdoła zapełnić i wyrównać. Wówczas zdawało mu się, że musi Ligię stracić, i na tę myśl stracił tę resztę równowagi, którą chciał w nim utrzymać Petroniusz.

W tej rozterce, w zmęczeniu, niepewności i zgryzocie, tracił zdrowie, a nawet i piękność. Stał się też panem niewyrozumiałym i okrutnym. Niewolnicy, a nawet wyzwolenicy, zbliżali się do niego ze drżeniem, a gdy kary spadały na nich bez żadnego powodu, zarówno niemilośmierne, jak niesłuszne, poczęli go skrycie nienawidzić. On zaś, czując to i czując swoje osamotnienie, mścił się na nich tembardziej. Hamował się teraz z jednym tylko Chilonem, z obawy, żeby nie zaprzestał poszukiwań, ów zaś, zamiarkowawszy to, począł go opanowywać i stawać się coraz bardziej wymagającym. Z początku, za każdą bytnością upewniał Winicyusza, że sprawa pójdzie łatwo i prędko, teraz jał sam wynajdywać trudności i, nie przestając wprawdzie zaręczać za niezawodny skutek poszukiwań, nie ukrywał jednak, że muszą one trwać jeszcze długo.

Przyszedł wreszcie, po długich dniach oczekiwania, z twarzą tak posępną, że młody człowiek zbladł na jego widok i, skoczywszy ku niemu, zaledwie miał siłę zapytać:

— Niema jej między chrześcijanami?

— Owszem, panie — odpowiedział Chilon — ale znalazłem między nimi Glauka, lekarza.

— O czym mówisz, i co to za jeden?

— Zapomniałeś więc, panie, o starcu, z którym wędrowałem z Neapolis do Rzymu, i w którego obronie straciłem te oto dwa palce, których strata nie pozwala mi utrzymać pióra w dłoni. Rozbójnicy, którzy porwali jego żonę i dzieci, pchnęli go nożem. Zostawiłem go konającego w gospodzie pod Minturnae i oplakiwałem go długo! Niestety! przekonałem się, że żyje dotąd i należy do gminy chrześcijańskiej w Rzymie.

Winicyusz, który nie mógł pojąć, o co chodzi, zrozumiał tylko, że ów Glaukus stanowi jakąś przeszkodę w odnalezieniu Ligii, więc potłumił gniew, który w nim wzbierał i rzekł:

— Jeśliś go obronił, to powinien być ci wdzięcznym i pomagać.

— Ach, dostojny trybunie! nawet bogowie nie zawsze bywają wdzięczni, a cóż dopiero ludzie. Tak! powinien mi być wdzięczny. Na nieszczęście jednak jest to starzec słabego umysłu, przyćmionego przez wiek i zmartwienia, z którego to powodu, nie tylko nie jest mi wdzięczny, ale jak dowiedziałem się właśnie od jego współwyznawców, oskarża mnie, że się zmówił z rozbójnikami, i że to ja jestem powodem jego nieszczęść. Oto mi nagroda za dwa palce!

— Jestem pewny, łotrze, że tak było, jak on mówi! — rzekł Winicyusz.

— Tedy wiesz więcej od niego, panie — odpowiedział z godnością Chilon — on bowiem tylko przypuszcza, że tak było, co jednak nie przeszkadzałoby mu wezwac chrześcijan i pomścić się na mnie okrutnie. Uczyniłby to niechybnie, inni zaś również niechybnieby mu pomogli. Szczyściem, nie wie mego imienia, w domu zaś modlitwy, w którym spotkał się, nie dostrzegł mnie. Ja jednak

poznałem go od razu i w pierwszej chwili chciałem się mu rzucić na szyję. Wstrzymała mnie tylko roztropność i zwyczaj zastanawiania się nad każdym krokiem, który zamierzam uczynić. Począłem się więc po wyjściu z domu modlitwy o niego wypytywać i ci, którzy go znają, powiedzieli mi, że jest to człowiek, którego zdradził towarzysz podróży z Neapolis... Inaczej nie wiedziałbym przecie, że on tak opowiada.

— Co mnie to obchodzi! Mów, coś widział w domu modlitwy.

— Ciebie nie obchodzi, panie, ale mnie obchodzi zupełnie tyle, ile własna moja skóra. Ponieważ zaś chcę, by nauka moja mnie przeżyła, wolę się wyrzec nagrody, jaką mi obiecałeś, niż narażać życie dla marnej mamony, bez której, jako prawdziwy filozof, żyć i szukać boskiej prawdy potrafię.

Lecz Winicyusz zbliżył się ku niemu z twarzą złowrogą i począł mówić stłumionym głosem:

— A kto ci powiedział, że z ręki Glauka prędzej cię śmierć spotka, niż z mojej? Skąd wiesz, psie, czy cię zaraz nie zakopią w moim ogrodzie?

Chilon, który był tchórzem, spojrział na Winicyusza i mgnieniu oka zrozumiał, że jeszcze jedno niebaczne słowo, a zginie bez ratunku.

— Będę jej szukał panie, i znajdę ją! — zawołał pośpiesznie.

Nastało milczenie, w czasie którego słyhać było tylko szybki oddech Winicyusza i odległy śpiew niewolników, którzy pracowali w ogrodzie.

Po chwili dopiero Grek, spostrzegłszy, że młody patrycyusz uspokoił się już nieco, począł mówić:

— Śmierć przeszła koło mnie, ale ja patrzyłem na nią z takim spokojem, jak Sokrates. Nie, panie! nie powiedziałem, że wyrzekam się szukania dziewicy, i chciałem ci tylko powiedzieć, że szukanie jej połączone jest teraz z wielkim dla mnie niebezpieczeństwem. Wątpiłeś

w swoim czasie, czy jest na świecie jaki Eurycyusz, a chociaż na własne oczy przekonałeś się, że syn mojego ojca mówił ci prawdę, posądzasz teraz, że ci wymyślił Glaukusa. Niestety! gdyby to on był tylko wymysłem, gdybym mógł z zupełnem bezpieczeństwem chodzić między chrześcijan, tak, jak chodziłem dawniej, odstąpiłbym za to tę biedną, starą niewolnicę, którą kupiłem trzy dni temu, aby miała pieczę nad moim wiekiem i kalectwem. Lecz Glaukus żyje panie, i gdyby mnie raz ujrzał, tybyś nie ujrzał mnie więcej, a w takim razie ktoby ci odnalazł dziewczinę?

Tu umilkł znów i począł obcierać łzy, poczem mówił dalej:

— Lecz póki Glaukus żyje, jakże mi jej szukać, gdy w każdej chwili mogę go napotkać, a gdy go napotkam, zginę i wraz ze mną przepadną moje poszukiwania.

— Do czego zmierzasz? jaka jest rada? i co chcesz przedsięwziąć? — spytał Winicyusz.

— Arystoteles uczy nas, panie, że mniejsze rzeczy trzeba poświęcać dla większych, a król Pryam mawiał często, że starość jest ciężkiem brzemieniem. Owóż brzemieństwo starości i nieszczęść przygniata Glauka od dawna i tak ciężko, że śmierć byłaby dla niego dobrodziejstwem. czemuż bowiem wedle Seneki jest śmierć, jeśli nie wyzwoleniem?...

— Błaznuj z Petroniuszem, nie ze mną i mów, czego chcesz?

— Jeśli cnota jest błazeństwem, niech mi bogowie pozwolą zostać błaznem na zawsze. Chcę, panie, usunąć Glauka, albowiem póki on żyje, i życie moje, i poszukiwania w ciąglem są niebezpieczeństwie.

— Najmij więc ludzi, którzy go zatłuką kijami, ja ich zapłacę.

— Zedrą cię, panie, i będą później wyzyskiwali tajemnicę. Łotrów w Rzymie tylu jest, ile ziarn piasku

w arenie, nie uwierzysz jednak, jak się drożą, gdy ucziwy człowiek potrzebuje wynająć ich łotrstwo. Nie! dostojny trybunie! A nużby wigilowie schwyтали zbójców na zabójstwie? ci niewątpliwie wyznaliby, kto ich najał, i miałbyś kłopot. Mnie zaś nie wskażą, bo im imienia swego nie powiem. Źle zrobisz, że mi nie ufasz, albowiem, pomijając nawet moją rzetelność, pomnij, że tu chodzi o dwie inne rzeczy: o moją własną skórę i o nagrodę, jaką mi przyrzekłeś.

— Ile ci potrzeba?

— Potrzeba mi tysiąc sestercyi, albowiem zwróc, panie, uwagę, że muszę znaleźć łotrów ucziwych, takich, którzyby, wzięwszy zadatek, nie zniknęli z nim razem bez wieści. Za dobrą robotę, dobra zapłata! Przydałoby się też coś i dla mnie na obtarcie łez, które wyleję z żalu nad Glaukiem. Bogów biorę na świadectwo, jakem go kochał. Jeśli dziś dostanę tysiąc sestercyi, za dwa dni dusza jego będzie w Hadesie, i tam dopiero, jeśli dusze zachowują pamięć i dar myśli, pozna, jakem go kochał. Ludzi znajdę dziś jeszcze i zapowiem im, że od jutra wieczór, za każdy dzień życia Glauka strącam po sto sestercyi. Mam też pewien pomysł, który mi się wydaje niechybnym.

Winicyusz raz jeszcze przyobiegał mu żadaną sumę, lecz zabronił mówić więcej o Glauku, a natomiast pytał, jakie inne przynosi nowiny, gdzie przez ten czas był, co widział i co odkrył. Lecz Hilon niewiele nowego mógł mu powiedzieć. Był w dwóch jeszcze domach modlitwy i uważał pilnie na wszystkich, a osobliwie na kobiety, ale nie spostrzegł żadnej, któraby była podobną do Ligii. Chrześcijanie jednak uważają go za swego, a od czasu, gdy dał na wykupno syna Eurycyusza, czczą go, jako człowieka, który wstępuje w ślady „Chrestusa“. Dowiedział się też od nich, że jeden wielki prawodawca, niejaki Paweł z Tarzu, znajduje się w Rzymie, uwięziony skutkiem skargi, podanej przez Żydów i postanowił się z nim

poznać. Ale najbardziej ucieszyła go inna wiadomość, mianowicie, że najwyższy kapłan całej sekty, który był uczniem Chrystusa, i któremu tenże powierzył zarząd chrześcijan całego świata, ma także lada chwila przyjechać do Rzymu. Wszyscy chrześcijanie zechcą go oczywiście widzieć i słuchać jego nauk. Nastąpią jakieś wielkie zebrania, na których i on, Chilon, będzie obecny, a co więcej, ponieważ w tłumie ukryć się łatwo, więc wprowadzi na nie i Winicyusza. Wówczas odnajdą Ligię napewno. Gdy Glauka raz się usunie, nie będzie to połączone nawet z wielkiem niebezpieczeństwem. Zemścić, zemściliby się oczywiście i chrześcijanie, ale wogóle są to ludzie spokojni.

Tu Chilon począł opowiadać z pewnem zdziwieniem że nie dostrzegł nigdy, by oddawali się rozpuście, zatruli studnie i fontanny, by byli nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego, czcili osła lub karmili się mięsem dzieci. Nie! tego nie widział. Zapewne, że znajdzie między nimi i takich, którzy za pieniądze sprzątają Glauka, ale nauka ich, o ile mu wiadomo, do żadnych zbrodni nie zachęca, owszem, każe urazy przebaczać.

Winicyusz zaś przypomniał sobie, co mu u Akte powiedziała Pomponia Grecyna, i wogóle słów Chilona słuchał z radością. Jakkolwiek uczucie jego dla Ligii przybierało pozory nienawiści, doznawał ulgi, słysząc, że nauka, którą i ona, i Pomponia wyznawały, nie była ani zbrodniczą, ani plugawą. Powstawało w nim jednak jakieś niejasne poczucie, że to ona właśnie, że to ta nieznaną mu i tajemniczą cześć dla Chrystusa stworzyła rozdział między nim i Ligią, więc począł zarazem bać się tej nauki i nie nawidzić jej.

XIV.

Judasz.

Chilonowi zaś istotnie chodziło o usunięcie Glauka, który jakkolwiek podeszły w latach, nie był wcale nie-dołężnym starcem. W tem, co Chilon opowiadał Winicyuszowi, była znaczna część prawdy. Znał on w swoim czasie Glauka, zdradził go, zaprzedał rozbójnikom, pozbawił rodziny, mienia i wydał na mord. Pamięć tych zdarzeń znosił jednak lekko, albowiem porzucił go konającego nie w gospodzie, ale w polu pod Minturnae, i nie przewidział tej jednej tylko rzeczy, że Glaukus wyleczy się z ran i przybędzie do Rzymu. To też, gdy ujrzał go w domu modlitwy, przeraził się rzeczywiście i w pierwszej chwili chciał naprawdę rzec się poszukiwania Ligii. Lecz z drugiej strony Winicyusz przeraził go jeszcze więcej. Zrozumiał, że musi wybrać między obawą Glauka a pościgiem i zemstą potężnego patrycyusza, któremu niechybnie przyszedłby w pomoc drugi, jeszcze większy, Petroniusz. Wobec tego Chilon przestał się wahać. Pomyślał, że lepiej jest mieć nieprzyjaciół małych, niż wielkich, i jakkolwiek tchórzliwa jego natura wzdragala się nieco przed krwawymi sposobami, uznał jednak za konieczność zamordowanie Glauka za pomocą obcych rąk.

Obecnie chodziło mu tylko o wybór ludzi i do nich to właśnie odnosił się jego pomysł, o którym Winicyu-

szowi wspominał. Spędzając najczęściej noce w winiarniach i nocując w nich między ludźmi bez dachu, bez czci i wiary, łatwo mógł znaleźć takich, którzyby podjęli się każdej roboty, ale jeszcze łatwiej takich, którzy, zwierzywszy u niego pieniądze, zaczęliby od niego robotę, lub, wzięwszy zadatek, wymusili z niego całą sumę postrachem wydania go w ręce wigilów. Zresztą od pewnego czasu, Chilon czuł wstręt do hołoty, do plugawych a zarazem strasznych figur, które gnieździły się w podejrzanych domach na Suburze, lub na Zatybrzu. Mierząc wszystko własną miarą i nie zgłębiwszy dostatecznie chrześcijan, ani ich nauki, sądził, że i między nimi znajdzie powolne narzędzia, że zaś wydawali mu się rzetelniejsi od innych, do nich postanowił się udać i sprawę przedstawić w ten sposób, aby podjęli się jej nietylko dla pieniędzy, ale i przez gorliwość.

W tym celu poszedł wieczorem do Eurycyusza, o którym wiedział, że jest mu oddanym całą duszą, i że uczyni wszystko, by mu pomódz. Będąc jednak z natury ostrożnym, ani myślał zwierzyć mu się ze swych prawdziwych zamiarów, które zresztą stałyby w jawnem przeciwieństwie z wiarą starca w jego enotę i bogobożność. Chciał mieć gotowych na wszystko ludzi i z nimi dopiero ułożyć się o sprawę w ten sposób, by ze względu na samych siebie, zachowali ją w wieczystej tajemnicy.

Starzec Eurycyusz, wykupiwszy syna, wynajął jeden z takich małych kramików, jakie mrowiły się przy Circus Maximus, aby sprzedawać w nim oliwki, bób, praśne ciasto i osłodzoną miodem wodę widzom, przybywającym na wyścigi. Chilon zastał go w domu, urządzającego kramik i, powitawszy w imię Chrystusa, począł mówić o sprawie, która go do niego przywiodła. Oto, oddawszy im usługę, liczył, że mu się wypłacą wdzięcznością. Potrzeba mu dwóch lub trzech ludzi, silnych i odważnych, dla odwrócenia niebezpieczeństwa, grożącego nietylko jemu, ale wszystkim chrześcijanom. Jest wprawdzie biedny, gdyż

niemał wszystko, co miał oddał Eurycyuszowi, jednakże ludziom takim zapłaciłby za ich usługi, pod warunkiem, aby mu ufali i spełnili wiernie, co im spełnić nakaze.

Eurycyusz i syn jego, Kwartus, słuchali go, jako swego dobroczyńcy, niemał na kolanach. Obaj oświadczyli też, że sami gotowi są wykonać wszystko, czego od nich zażąda, wierząc, że mąż, tak święty, nie może żądać uczynków, któreby nie były zgodne z nauką Chrystusa.

Chilon zapewnił ich, że tak jest i podniósłszy oczy w górę, zdawał się modlić, w rzeczywistości zaś namyślał się, czy nie będzie dobrze przyjąć ich ofiary, która mogłaby mu zaoszczędzić tysiąc sestercyi. Lecz po chwili namysłu, odrzucił ją. Eurycyusz był starcem, może nietyle przyciśnięty przez wiek, ile wycieńczony przez troski i chorobę, Kwartus liczył lat szesnaście, Chilonowi zaś trzeba było ludzi sprawnych, a przedewszystkiem silnych. Co do tysiąca sestercyi, spodziewał się, że, dzięki pomysłowi, na jaki wpadł, potrafi w każdym razie znaczną ich część oszczędzić.

Oni napierali się czas jakiś, lecz, gdy odmówił stanowczo, ustąpili. Kwartus rzekł wówczas:

— Znam piekarza Demasa, panie, u którego przy żarnach pracują niewolnicy i ludzie najemni. Jeden z tych najemników jest tak silny, że starczyłby nie za dwóch, ale za czterech, sam bowiem widziałem, jak podnosił kamienie, których czterech ludzi ruszyć z miejsca nie mogło.

— Jeśli to jest człowiek bogobojny i zdolny poświęcić się za braci, poznaj mnie z nim — rzekł Chilon.

— Jest chrześcijaninem, panie — odpowiedział Kwartus — gdyż u Demasa pracują po większej części chrześcijanie. Są tam robotnicy nocni i dzienni, ów zaś należy do nocnych. Gdybyśmy teraz poszli, trafilibyśmy na ich wieczerzę i mógłbyś się z nim swobodnie rozmówić. Demas mieszka koło Emporyum ¹⁾.

¹⁾ Skład towarów nad Tybrem.

Chilon zgodził się najchętniej. Emporyum leżało u stóp wzgórza Awentyńskiego, zatem niezbyt od Wielkiego cyrku daleko. Można było, nie obchodząc wzgórz, udać się wzdłuż rzeki, przez Porticus Aemilia, co jeszcze znacznie skracало drogę.

— Stary jestem — rzekł Chilon, gdy weszli pod kolumnadę, i czasem miewam zaćmienia pamięci. Tak! wszakże nasz Chrystus wydany został przez jednego ze swoich uczniów! Ale imienia zdrajcy nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć...

— Judasz, panie, który się powiesił — odpowiedział Kwartus, dziwiąc się nieco w duszy, jak można było tego imienia nie pamiętać.

— A tak! Judasz! Dziękuję ci — powiedział Chilon.

I czas jakiś szli w milczeniu. Doszedłszy do Emporyum, które było już zamknięte, minęli je i, obszedłszy śpichlerze, w których wydawano ludowi zboże, skręcili na lewo, ku domom, które ciągnęły się wzdłuż *via Ostiensis*, aż do wzgórka *Testacius* i *Forum Pistorium*. Tam zatrzymali się przed drewnianym budynkiem, z którego wnętrza dochodził huk żaren. Kwartus wszedł do środka, Chilon zaś, który nie lubił pokazywać się wielkiej ilości ludzi, i który w ciągłej był obawie, że jakieś fatum może go zetknąć z Glaukiem, lekarzem, pozostał na zewnątrz.

— Ciekawym tego Herkulesa, który służy za młynarczyka — mówił sobie, spoglądając na jasno świecący księżyc — jeśli to jest łotr i człowiek mądry, będzie mnie trochę kosztował, jeśli zaś cnotliwy chrześcijanin a głupi, zrobi zadarmo wszystko, czego od niego zażądam.

Dalsze rozmyślania przerwał mu powrót Kwartusa, który wyszedł z budynku z drugim człowiekiem, przybranym tylko w tunikę, zwaną *exomis*, skrajaną w ten sposób, że prawe ramię i prawa pierś pozostawały nagie. Odzieży podobnej, jako pozostawiającej zupełną swobodę ruchów, używali szczególnie robotnicy. Chilon, spojrzawszy

na przybysza, odetchnął z zadowoleniem, w życiu bowiem nie widział dotąd takiego ramienia i takiej piersi.

— Oto jest, panie — rzekł Kwartus — brat którego chciałeś zobaczyć.

— Niech spokój Chrystusów będzie z tobą — ozwał się Chilon — ty zaś, Kwartusie, powiedz temu bratu, czy zasługuję na wiarę i ufność, a potem wracaj w imię boże, albowiem nie trzeba, abyś sędziwego ojca zostawiał w samotności.

— Jest to święty człowiek — rzekł Kwartus — który oddał całe mienie, aby mnie, nieznanego sobie, wykupić z niewoli. Niechaj mu Pan nasz, Zbawiciel, zgotuje za to niebieską nagrodę.

Olbrzymi robotnik, usłyszawszy to, schylił się i ucałował rękę Chilona

— Jak ci imię, bracie? — spytał Grek.

— Na chrzcie świętym dano mi, ojcze, imię Urbana.

— Urbanie, bracie mój, masz-li czas, aby pomówić ze mną swobodnie?

— Robota nasza poczyna się o północy, a teraz gotują nam dopiero wieczerzę.

— Czasu więc jest dość — pójdziemy nad rzekę, a tam wysłuchasz słów moich.

Poszli i siedli na kamiennej brzeźnicy, w ciszy, przerywanej tylko przez odległy huk żaren i belkotanie płynącej w dole fali. Tam Chilon wpatrzył się w twarz robotnika, która mimo nieco groźnego i smutnego wyrazu, jaki miewały zazwyczaj twarze barbarzyńców, zamieszkałych w Rzymie, wydała mu się jednak dobrotliwą i szczerą.

— Tak jest! — rzekł sobie w duchu. — To jest człowiek dobry i głupi, który darmo zabije Glauka.

Poczem spytał:

— Urbanie, miłujesz ty Chrystusa?

— Miłuję z duszy serca — odpowiedział robotnik.

— A braci swoich, a siostry, a tych, którzy nauczyli cię prawdy i wiary w Chrystusa?

— Miłuję ich także, ojcze.

— Tedy niech pokój będzie z tobą.

— I z tobą, ojcze.

Nastała znów cisza — tylko w oddaleniu huczały żarna, a w dole belkotała rzeka.

Chilon wpatrzył się w jasny blask miesięczny i wolnym, stłumionym głosem począł mówić o śmierci Chrystusa. Mówił jakby nie do Urbana, ale jakby sam dla siebie rozpamiętywał ową śmierć, lub jakby jej tajemnicę zwierzał temu uszpienemu miastu. Było w tem coś wzruszającego i zarazem uroczystego. Robotnik płakał, a gdy Chilon począł jęczeć i ubolewać nad tem, że w chwili śmierci Zbawiciela nie było nikogo, ktoby go bronił, jeśli nie od ukrzyżowania, to przynajmniej od zniewag żołnierzy i Żydów, olbrzymie pięści barbarzyńcy poczęły zaciśkać się z żalu i tłumionej wściekłości. Śmierć wzruszała go tylko, lecz na myśl o tej tłuszczy, szydzącej z przybitego na krzyżu Baranka, burzyła się w nim prostacza dusza i ogarniała go dzika chęć zemsty.

A Chilon spytał nagle:

— Urbanie, zali wiesz, kto był Judasz?

— Wiem, wiem! ale on się powiesił! — zawołał robotnik.

I w głosie jego był jakby żal, że zdrajca sam już wymierzył sobie karę, i że nie może wpaść w jego ręce.

A Chilon mówił dalej:

— Gdyby się jednak nie był powiesił, i gdyby który z chrześcijan spotkał go na lądzie i na morzu, czyby nie powinien się pomścić za mękę, krew i śmierć Zbawiciela?

— Ktoby się nie pomścił, ojcze!

— Pokój z tobą, wierny sługo Baranka. Tak! Wolno swoje krzywdy odpuszczać, któż jednakże ma prawo odpuścić krzywdę Boga? Ale jako wąż płodzi węży, jako

złość złość i jako zdrada zdradę, tak z jadu Judasza zrodził się drugi zdrajca, a jako tamten wydał Żydom i żołnierzom rzymskim Zbawiciela, tak ów, który żyje między nami, chce wydać wilkom owieczki jego i, jeśli nikt nie zapobieży zdradzie, jeśli nikt nie zetrze przed czasem głowy węża, wszystkich nas czeka zguba, a z nami razem zginie i cześć Baranka.

Robotnik patrzył na niego z ogromnym niepokojem, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co słyszał, Grek zaś, okrywszy głowę rogiem płaszcza, począł powtarzać głosem, jakby z pod ziemi wychodzącym:

— Biada wam, słudzy prawdziwego Boga, biada wam, chrześcijanie i chrześcijanki!

I znów nastąpiło milczenie, znów było słychać tylko huk żaren, głuchy śpiew młynarczyków i szum rzeki.

— Ojcie — spytał wreszcie robotnik — co to za zdrajca?

Chilon opuścił głowę. Co to za zdrajca? Syn Judasza, syn jego jadu, który udaje chrześcijanina i chodzi do domów modlitwy dlatego tylko, by oskarżać braci przed Cezarem, że Cezara nie chcą uznawać za Boga, że zatrują fontanny, mordują dzieci i chcą zniszczyć to miasto tak, żeby kamień na kamieniu nie został. Oto za kilka dni będzie wydany rozkaz pretoryanom, by uwięzili starców, niewiasty i dzieci i powiedli ich na stracenie, tak, jak posłano na śmierć niewolników Pedaniasza Sekunda. I wszystko to uczynił ów drugi Judasz. Ale jeśli pierwszego nikt nie skarał, jeśli nikt się nad nim nie pomścił, jeśli nikt nie bronił Chrystusa w godzinę męki, któż zechce tego ukarać, kto zetrze węża, zanim go Cezar wysłucha, kto go zgładzi, kto obroni przed zgubą braci i wiarę w Chrystusa?

A Urban, który siedział dotąd na kamiennej cembrowinie, powstał nagle i rzekł:

— Ja to uczynię, ojcie.

Chilon powstał również, przez chwilę patrzył na

twarz robotnika, oświeconą blaskiem księżyca, poczem, wyciągnąwszy ramię, położył zwolna dłoń na jego głowie.

— Idź między chrześcijan — rzekł uroczyście — idź do domów modlitwy i pytaj braci o Glauka, lekarza, a gdy ci go wskażą, wówczas, w imię Chrystusa, zabij!...

— O Glauka?... — powtórzył robotnik, jakby chcąc utwierdzić sobie w pamięci to imię.

— Znasz-li go?

— Nie, nie znam. Chrześcijan jest tysiące w całym Rzymie i nie wszyscy się znają. Ale jutro w Ostryanum zbiorą się w nocy bracia i siostry, co do jednej duszy, albowiem przybył wielki Apostoł Chrystusowy, który tam będzie nauczał, i tam bracia wskażą mi Glauka.

— W Ostryanum? — spytał Chilon. — Wszak to za bramami miasta. Bracia i wszystkie siostry? w nocy? za bramami w Ostryanum?

— Tak, ojcze. To jest nasz cmentarz, między via Salaria a Nomentana. Zali ci niewiadomo, że tam będzie nauczał Wielki Apostoł?

— Nie byłem dwa dni w domu, przetom nie odebrał jego listu, a nie wiedziałem, gdzie jest Ostryanum, ponieważ niedawno przybyłem tu z Koryntu, gdzie zarządzam gminą chrześcijańską... Ale tak jest! i skoro Chrystus tak cię natchnął, pójdziesz w nocy, mój synu, do Ostryanum, tam wynajdziesz między braćmi Glauka i zabijesz go w drodze powrotnej do miasta, za co będą ci odpuszczone wszystkie grzechy. A teraz pokój niech będzie z tobą...

— Ojcze...

— Słucham cię, sługo Baranka.

Na twarzy robotnika odbiło się zakłopotanie. Oto niedawno zabił człowieka, a może i dwóch, a nauka Chrystusa zabrania zabijać. Nie zabił ich wszelako w swojej obronie, bo i tego niewolno! Nie zabił, Chryste uchowaj, dla zysku... Biskup sam mu dał braci do pomocy, ale zabijać nie pozwolił, on zaś niechcący zabił, bo Bóg poka-

rał go siłą zbyt wielką... I teraz ciężko pokutuje... Inni śpiewają przy żarnach, a on nieszczęśliwy myśli o swoim grzechu, o obrazie Baranka... Ile się już namodlił, napłakał! ile Baranka naprzepaszał! i czuje dotąd, że nie odpokutował dosyć... A teraz znów przyrzekł zabić zdrajcę... I dobrze! Własne tylko krzywdy wolno przebaczać, więc zabije go, choćby w oczach wszystkich braci i sióstr, które jutro będą w Ostryanum. Ale niech Glaukus będzie wprzód skazany przez starszych między bracią, przez biskupa albo przez Apostoła. Zabić niewielka rzecz, a zabić zdrajcę to nawet i miło, jak zabić wilka lub niedźwiedzia, ale nużby Glaukus zgiął niewinnie? Jakże brać na sumienie nowe zabójstwo, nowy grzech i nową obrazę Baranka?

— Na sąd niema czasu, mój synu — odrzekł Chilon — albowiem zdrajca prosto z Ostryanum podąży do Cezara do Ancyum, lub schroni się w domu pewnego patrycyusza, na którego jest usługach, ale oto dam ci znak, który, gdy pokażesz po zabiciu Glaukusa, i biskup, i Wielki Apostoł pobłogosławią twój uczynek.

To rzekłszy, wydobyl pieniązek, poczem jął szukać za pasem noża, a znalazłszy go, wyskrobał na sesterceyi ostrzem znak krzyża i podał ją robotnikowi.

— Oto wyrok na Glauka i znak dla ciebie. Gdy go, po zgładzeniu Glauka, pokażesz biskupowi, odpuści ci i tamto zabójstwo, któregoś się niechający dopuścił.

Robotnik wyciągnął mimowoli rękę po pieniądz, ale, mając właśnie zbyt świeżo w pamięci pierwsze zabójstwo, doznał jakby uczucia przestachu.

— Ojcie — rzekł prawie błagalnym głosem — zali bierzesz na sumienie ten uczynek i zali sam słyszałeś Glauka zaprzędającego braci?

Chilon zrozumiał, że trzeba dać jakieś dowody, wymienić jakieś nazwiska, albowiem inaczej w serce olbrzyma może się wkraść wątpliwość. I nagle szczęśliwa myśl zaświtała mu w głowie.

— Słuchaj, Urbanie — rzekł — mieszkam w Koryncie, ale pochodzę z Kos i tu, w Rzymie, uczę nauki Chrystusa pewną służebną dziewczynę z mojego kraju, której imię jest Eunice. Służy ona, jako „vestiplica“, w domu przyjaciela Cezara, niejakiego Petroniusza. Otóż w tym domu słyszałem, jak Glaukus podejmował się wydać wszystkich chrześcijan, a oprócz tego obiecywał innemu zausznikowi cesarskiemu, Winicyuszowi, że odnajdzie mu między chrześcijanami dziewczinę...

Tu przerwał i spojrział ze zdumieniem na robotnika, którego oczy zaświeciły nagle, jak oczy zwierza, a twarz przybrała wyraz dzikiego gniewu i groźby.

— Co tobie jest? — zapytał prawie z przestraczem.

— Nic, ojcze. Zabiję jutro Glauka!...

Lecz Grek umilkł; po chwili, wzięwszy za ramiona robotnika, zwrócił go tak, aby światło księżyca padało wprost na jego twarz i począł mu się przypatrywać uważnie. Widocznem było, że w duszy wahał się, czy go pytać dalej i wydobyć wszystko na jaw, czy tu na razie poprzestać na tem, czego się dowiedział lub domyślił.

W końcu jednak wrodzona mu ostrożność przemogła. Odetchnął głęboko raz i drugi, poczem, położywszy znów dłoń na głowie robotnika, spytał uroczystym, dobitnym głosem:

— Wszakże na chrzcie świętym dano ci imię Urbana?

— Tak jest, ojcze.

— A zatem niech pokój będzie z tobą, Urbanie!

XV.

Pomyślna wiadomość.

Następnego dnia wsunął się do biblioteki Winicyusza cicho niezapowiedziany przez nikogo Chilon, służba bowiem miała rozkaz puszczać go o każdej godzinie dnia i nocy.

— Niech boska matka twego wielkodusznego przodka Eneasza — rzekł — będzie na cię tak łaskawą, panie, jako na mnie był łaskawym boski syn Mai¹⁾.

— To się znaczy?... — spytał Winicyusz, zrywając się od stołu, przy którym siedział.

A Chilon podniósł głowę i rzekł:

— Eureka!²⁾

Młody patrycyusz wzruszył się tak, że przez dłuższy czas nie mógł słowa przemówić.

— Widziałeś ją? — spytał nareszcie.

— Widziałem Urzusa, panie i mówiłem z nim.

— I wiesz, gdzie się skryli?

— Nie, panie. Inny byłby przez samą miłość własną dał poznać Ligowi, że odgadł, kto on jest, inny starałby się wybadać go, gdzie mieszka i byłby albo otrzymał uderzenie pięścią, po którym wszystkie ziemskie sprawy stałyby się mu obojętne, albo wzbudziłby nieufność olbrzyma

¹⁾ Merkury. ²⁾ Znalazłem.

i sprawił to, że dla dziewicy poszukanoby może jeszcze tej nocy innej kryjówki. Jam tego nie uczynił, panie. Dość mi wiedzieć, że Urzus pracuje u młynarza koło Emporyum, który zowie się Demas, a dość mi, dlatego, że teraz pierwszy lepszy zaufany twój niewolnik może rano pójść jego śladem i wysledzić ich kryjówkę. Ja przynoszę ci tylko pewność, panie, że skoro Urzus się tu znajduje, to i boska Ligia jest w Rzymie i drugą wiadomość, że dzisiejszej nocy będzie niemal na pewno w Ostryanum...

— W Ostryanum? Gdzie to jest? — przerwał Winicyusz, chcąc widocznie biedz zaraz na wskazane miejsce.

— Stare hypogeum ¹⁾ między via Salaria a Nomentana. Ów pontifex maximus ²⁾ chrześcijan, o którym wspominałem ci panie, a którego spodziewano się znacznie później, przyjechał już i dziś w nocy będzie chrzczył i nauczał na tym cmentarzu. Oni kryją się ze swoją nauką, bo jakkolwiek niema dotąd żadnych edyktów, któreby jej wzbraniały, ludność ich nienawidzi, więc muszą być ostrożni. Sam Urzus mówił mi, że wszyscy, co do jednej duszy, zgromadzą się dziś w Ostryanum, każdy bowiem chce widzieć i słyszeć tego, który był pierwszym uczniem Chrystusa i którego oni zowią Wysłannikiem. Że zaś u nich niewiasty na równi z mężami słuchają nauk, przeto z niewiast nie będzie może jedna Pomponia, ta bowiem nie mogłaby się usprawiedliwić przed Aulusem, czeicielem dawnych bogów, dlaczego nocą opuszcza dom, Ligia jednak, o panie, która zostaje pod opieką Urzusa i starszych gminy, pójdzie wraz z innemi niewiastami niewątpliwie.

Winicyusz, który żył dotąd jakby w gorączce, podtrzymywany jedynie nadzieją, teraz, gdy ta nadzieja zdawała się spełniać, uczuł nagle takie osłabienie, jakie odczuwa człowiek po podróży nad siły, u celu. Chilon zauważył to i postanowił z tego korzystać:

— Bramy są wprawdzie strzeżone przez twoich lu-

¹⁾ Podziemie. ²⁾ Najwyższy kapłan.

dzi, panie, i chrześcijanie muszą o tem wiedzieć. Ale oni nie potrzebują bram. Tyber także ich nie potrzebuje, a choć od rzeki do tamtych dróg daleko, warto nadłożyć drogi dla widzenia „Wielkiego Apostoła“. Zresztą oni mieć mogą tysiączne sposoby wydostania się za mury i wiem, że je mają. W Ostryanum znajdziesz, panie, Ligię, a gdyby nawet, czego nie przypuszczam, jej nie było, będzie Urzus, albowiem ten przyrzekł mi zamordować Glauka. Sam mi mówił, że będzie i tam go zamorduje, słyszysz, szlachetny trybunie? Otóż, albo pójdiesz w ślad za nim i dowiesz się, gdzie Ligia mieszka, albo każesz go schwytać swoim ludziom jako mordercę i mając go w ręku, wydobędziesz z niego wyznanie, gdzie ukrył Ligię. Ja swoje zrobiłem! Inny, o panie, powiedziałby ci, że wypił z Urzusem dzień się kantarów najprzedniejszego wina, zanim tajemnicę z niego wydobył; inny powiedziałby ci, że przegrał do niego tysiąc sestercyi, lub że za dwa tysiące kupił wiadomość... Wiem, że wróciłbyś mi to podwójnie, ale mimo tego, raz w życiu... to jest, chciałem powiedzieć: jak zawsze w życiu, będę uczciwym, tuszę bowiem, że jak mówił wielkoduszny Petroniusz, wszelkie moje wydatki i nadzieje twoja wspaniałomyślność przewyższy.

Lecz Winicyusz, który był żołnierzem i przywykł nie tylko radzić sobie wobec wszelkich zdarzeń, ale i działać, wnet opanował chwilową słabość i rzekł:

— Nie zawiedziesz się na mojej wspaniałomyślności, pierwszej jednak pójdiesz ze mną do Ostryanum.

— Ja, do Ostryanum? — pytał Chilon, który nie miał najmniejszej chęci tam iść. Ja, szlachetny trybunie, obiecałem ci wskazać Ligię, ale nie przyrzekłem jej porywać... Pomyśl, panie, co by się ze mną stało, gdyby ten niedźwiedź ligijski, rozdarłszy Glauka, przekonał się jednocześnie, że nie całkiem słusznie go rozdarł? Czy nie poczytałby mnie (zresztą niesłusznie) za sprawcę spełnionego morderstwa? Pamiętaj, panie, że im kto większym jest filozofem, tem mu trudniej odpowiadać na głupie pytania prostaków, cóż-

bym mu więc odpowiedział, gdyby mnie spytał, dlaczego oskarżył Glauka, lekarza? Jeśli jednak posądzasz mnie, że cię zwodzę, tedy ci powiem: zapłać mi wówczas dopiero, gdy ci wskażę dom, w którym mieszka Ligia, dziś okaż mi zaś tylko cząstkę twej szczodroblewości, abym, gdybyś i ty, o panie (czego niech wszystkie bogi bronią), miał uleż jakiemu wypadkowi, nie pozostał całkiem bez nagrody. Serce twoje nie zniosłoby tego nigdy.

Winicyusz poszedł do skrzyni, stojącej na marmurówym podnóżu, zwanej „arca“ i wydobywszy z niej kieskę, cisnął ją Chilonowi.

— To są „scrupula“ — rzekł — gdy Ligia będzie u mnie w domu, dostaniesz taką samą, napełnioną aureusami ¹⁾.

— Jowiszu!! — zawołał Chilon.

Lecz Winicyusz zmarszczył brwi.

— Tu dostaniesz jeść, poczem możesz odpocząć. Do wieczora nie ruszysz się stąd, gdy zaś noc zapadnie, będziesz mi towarzyszył do Ostryanum.

Na twarzy Greka odbiły się przez chwilę strach i wahanie, poczem jednak uspokoił się i rzekł:

— Któż ci się oprze, panie! Przyjmij te słowa za dobrą wróżbę, tak jak przyjął podobne wielki nasz bohater w świątyni Ammona. Co do mnie, te „skrupuły“ (tu potrząsnął kieską) przeważyły moje, nie mówiąc już o twem towarzystwie, które dla mnie jest szczęściem i rozkoszą...

Lecz Winicyusz przerwał mu niecierpliwie i począł wypytywać o szczegóły rozmowy z Urzusem. Jedna rzecz wykazywała się z nich jasno: to jest, że albo schronienie Ligii zostanie jeszcze tej nocy wykrytem, albo ją samą można będzie porwać w czasie drogi powrotnej z Ostryanum. I na tę myśl Winicyusza porywała szalona radość.

¹⁾ Scripulum lub scrupulum, mała złota moneta, równająca się trzeciej części złotego denara, czyli aureusa.

Teraz, gdy miał niemal pewność, że Ligię odzyska i gniew przeciw niej i uraza, jaką dla niej żywił, znikły. Za tę właśnie radość darowywał jej wszystkie winy. Myślał tylko o niej, jak o drogiej i pożądanej istocie, i miał takie wrażenie, jakby po długiej podróży miała wrócić. Brała go ochota zwołać niewolników i kazać im przybrać dom w girlandy. Nie miał w tej chwili żalu nawet do Urzusa. Gotów był wszystko wszystkim przebaczyć. Czuł też w sobie energię bez granic i był przekonany, że gdy tylko zobaczy Ligię własnymi oczyma, wówczas nie odbiorą mu już jej wszyscy chrześcijanie całego świata, ani nawet sam Cezar.

Chilon jednakże, ośmielony jego radością, zabrał głos i począł dawać rady. Według niego, należało sprawy nie uważać jeszcze za wygraną i zachować jak największą ostrożność, bez której całe dzieło może pójść na nic. Zaklinał też Winicyusza, by nie porywał Ligii z Ostryanum. Powinni tam pójść w kapturach na głowach, z twarzami przysłoniętymi i poprzestać na przypatrywaniu się z jakiego mrocznego kąta wszystkim obecnym. Dopiero gdy ujrzą Ligię, najbezpieczniej będzie pójść za nią z daleka, obaczyć, do którego domu wchodzi, a nazajutrz, o świcie, otoczyć go wielką siłą niewolników i zabrać ją w biały dzień. Ponieważ jest ona zakładniczką i należy właściwie do Cezara, zatem można to uczynić bez obawy prawa. W razie, gdyby jej nie znaleźli w Ostryanum, pójdą za Urzusem i skutek będzie ten sam. Na cmentarz z wielką liczbą ludzi udawać się nie można, łatwo bowiem mogliby zwrócić na siebie uwagę, a wówczas chrześcijanie potrzebowaliby tylko pogasić wszystkie światła, tak, jak to uczynili przy pierwszym porwaniu i rozproszyć się lub pochować w ciemnościach, w kryjówkach, im tylko znanych. Natomiast trzeba się uzbroić, a jeszcze lepiej wziąć ze sobą ze dwóch ludzi pewnych i silnych, aby w danym razie mieć w nich obronę.

Winicyusz przyznawał mu słuszność zupełną i wydał

rozkaz niewolnikom, aby sprowadzili do niego Krotona. Chilon, który wszystkich znał w Rzymie, uspokoił się znacznie, słysząc nazwisko znanego atlety, którego nadludzką siłę podziwiał niejednokrotnie na arenie i oświadczył, że do Ostryanum pójdzie. Kieska, napełniona wielkimi aureusami, wydawała mu się przy pomocy Krotona o wiele łatwiejszą do zdobycia.

Zasiadł więc z dobrą myślą do stołu, do którego wezwał go po jakimś czasie położony nad atrium i w czasie jedzenia opowiadał niewolnikom, jako dostarczał ich panu cudownej maści, którą dość posmarować kopyta najlichszym koniom, aby pozostawiły daleko za sobą wszystkie inne. Nauczył go przyrządzać tę maść pewien chrześcijanin, albowiem starsi chrześcijańscy daleko lepiej rozumieją się na czarach i cudach, niż nawet Tesalczycy, chociaż Tesalia słynie ze swoich czarownic. Chrześcijanie mają do niego ufność ogromną, dlatego zaś ją mają, domyśli się łatwo każdy, kto wie, co znaczy ryba. Tak rozmawiając, patrzył pilnie w twarze niewolników, w nadziei, że może odkryje między nimi chrześcijanina i doniesie o nim Winicyuszowi. Gdy jednak ta nadzieja go zawiodła, począł jeść i pić nadzwyczaj obficie, nie szczędząc pochwał kucharzowi i zapewniając, że postara się go od Winicyusza odkupić. Wesołość jego mąciła jedynie myśl, że nocą trzeba będzie pójść do Ostryanum, pocieszał się jednak, że to będzie w przebraniu, po ciemku i w towarzystwie dwóch ludzi, z których jeden jest, jako siłacz, bożyszczem całego Rzymu, drugi patrycyuszem i wysokim urzędnikiem wojskowym. „Choćby Winicyusza i odkryli — mówił sobie — nie ośmielą się podnieść na niego ręki, co do mnie zaś, będą mądrzy, jeśli zobaczą choć koniec mego nosa“.

Poczem jął sobie przypominać rozmowę z robotnikiem i rozpamiętywanie to nową napełniło go otuchą. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że ów robotnik był Urzusem. Wiedział z opowiadań Winicyusza i tych, którzy

przeprowadzali Ligię z pałacu Cezara, o niezwyklej sile tego człowieka. Otóż, ponieważ u Eurycyusza wypytywał o ludzi wyjątkowo silnych, nie było nic dziwnego, że wskazano mu Urzusa. Potem zmieszanie i wzburzenie robotnika na wzmiankę o Winicyuszu i Ligii nie pozwalało wątpić, że osoby te szczególnie go obchodzą; robotnik wspomniał także o pokucie za zabicie człowieka, Urzus zaś zabił Atacyna; nakoniec rysopis robotnika odpowiadał zupełnie temu, co Winicyusz opowiadał o Ligu. Jedno tylko zmienne imię mogło wzbudzać wątpliwość, lecz Chilon już wiedział, że chrześcijanie często przy chrzcie przyjmują nowe imiona.

— Jeśli Urzus zabije Glauka — mówił sobie Chilon — to będzie jeszcze lepiej, jeśli zaś nie zabije, to także będzie dobry znak, pokaże się bowiem, z jaką trudnością przychodzi chrześcijanom zabójstwo. Przedstawiłem przecie tego Glauka, jako rodzzonego syna Judasza i zdrajcę wszystkich chrześcijan; byłem tak wymowny, że kamieńby się wzruszył i obiecałby spaść na głowę Glaukowi, a jednak ledwie nakłonił tego ligijskiego niedźwiezia, by mi przyrzekł położyć na nim łapę... Wahał się, nie chciał, opowiadał o swoim żalu i pokucie. Widocznie między nimi to nie uchodzi... Swoje krzywdy trzeba przebaczać, za cudze niebardzo wolno się mścić, ergo, zastanów się, Chilonie, cóż ci może grozić? Glaukusowi niewolno się nad tobą pomścić... Urzus, jeśli nie zabije Glauka za tak wielką winę, jak zdrada wszystkich chrześcijan, to tembardziej nie zabije ciebie za tak małą, jak zdrada jednego chrześcijanina. Zresztą, gdy raz wskażę temu jurnemu grzywaczowi gniazdo tamtej turkawki, umyвам ręce od wszystkiego i przenoszę się napowrót do Neapolis. Tymczasem chwała ci, Hermesie, żeś mi pomógł odnaleźć tego borsuka... Ale jeśliś to uczynił dla dwóch jałówek, białych jednolatek z pozłożonymi rogami, to cię nie poznaję. Wstydź się, Argobójco! taki mądry bóg, żeby też z góry nie przewidział, że nie dostanie!

Tak rozmawiając ze sobą i z Hermesem, wyciągnął się na ławie, podłożył sobie płaszcz pod głowę i gdy niewolnicy sprzątnęli naczynia, zasnął. Zbudził się dopiero, a raczej zbudzono go, gdy nadszedł Kroto. Wówczas udał się do atrium i z przyjemnością począł przyglądać się potężnej postaci lanisty, eks-gladyatora, która swym ogromem zdawała się wypełniać całe atrium. Kroto już był się ułożył o cenę wyprawy i mówił właśnie Winicyuszowi:

— Na Herkulesa! dobrze, panie, żeś się dziś do mnie zgłosił, albowiem jutro udaję się do Benewentu, dokąd wezwał mnie szlachetny Watyniusz, abym się tam wobec Cezara próbował z niejakim Syfaxem, najsilniejszym Negrzem, jakiego wydała kiedykolwiek Afryka. Czy wyobrazasz sobie, panie, jak jego kość pacierzowa chrupnie w moich ramionach, ale prócz tego strzaskam mu pięścią jego czarną szczękę.

— Na Polluxa! — odpowiedział Winicyusz. — Jestem pewien, że tak uczynisz, Krotonie.

— I wyśmienicie postąpisz — dodał Chilon. — Tak!... Prócz tego, strzaskaj mu szczękę! To dobra myśl i godny ciebie czyn. Gotów jestem założyć się, że mu strzaskasz szczękę. Posmaruj jednak tymczasem członki oliwą, mój Herkulesie i przepasz się, albowiem człowiek, co strzeże tej dziewicy, o którą chodzi dostojnemu Winicyuszowi, posiada podobno wyjątkową siłę.

Chilon mówił tak tylko dla podniecenia ambicyi Krotona, lecz Winicyusz rzekł:

— Tak jest, nie widziałem tego, ale mówiono mi o nim, że byka chwyciwszy za rogi, może go zawlec, dokąd chce.

— Oj! — zawołał Chilo, który nie wyobrażał sobie, by Urzus był tak silnym.

Lecz Kroto uśmiechnął się pogardliwie.

— Podejmuję się, dostojny panie — rzekł — porwać tą oto ręką, kogo mi każesz, a tą drugą obronić się prze-

ciw siedmiu takim Ligom i przynieść ci dziewicę do domu, choćby wszyscy chrześcijanie z Rzymu gonili za mną, jak kalabryjskie wilki. Jeśli tego nie dokażę, pozwolę sobie dać batogi na tem impluvium.

— Nie pozwól mu na to, panie! — zawołał Chilon. — Poczną w nas godzić kamieniami, a wówczas co jego siła pomoże? Czyż nie lepiej zabrać dziewicę z domu i nie narażać ani jej, ani siebie na zgubę?

— Tak ma być, Krotonie — rzekł Winicyusz.

— Twoje pieniądze, twoja wola! Pamiętaj tylko, panie, że jutro jadę do Benewentu.

— Mam pięciuset niewolników w samym mieście — odpowiedział Winicyusz.

Poczem dał im znak, by odeszli, sam zaś udał się do biblioteki i siadłszy, napisał do Petroniusza następujące słowa:

„Chilon odnalazł Ligię. Dziś wieczór udaję się z nią i z Krotonem do Ostryanum i porwę ją zaraz lub jutro z domu. Niech bogowie zleją na cię wszelkie pomyslności. Bądź zdrów, carissime, gdyż radość nie pozwala mi pisać dłużej“.

I złożywszy trzcinę, począł przechadzać się szybkim krokiem, albowiem prócz radości, która zalewała mu duszę, trawiła go gorączka. Mówił sobie, że nazajutrz Ligia będzie w tym domu. Przypomniał sobie upewnienia Akte, że był kochanym i wzruszał się do głębi.

Lecz wejście Chilona przerwało mu bieg tych błogich myśli.

— Panie — rzekł Grek — oto co mi jeszcze przyszło do głowy: nuż chrześcijanie mają jakoweś znaki, jakoweś „tessery“, bez których nikt nie będzie dopuszczony do Ostryanum? Wiem, że w domach modlitwy tak bywa i że takową tesserę dostałem od Eurycyusza; pozwól mi więc pójść do niego, panie, rozpytać dokładnie i zaopatrzyć się w owe znaki, jeśli okażą się konieczne.

— Dobrze, szlachetny mędrze — odpowiedział we-

soło Winicyusz — mówisz, jak człek przezorny i należy ci się za to pochwała. Pójdiesz więc do Eurycyusza, lub gdzie ci się podoba, ale dla pewności zostawisz na tym oto stole tę sakiewkę, którą dostałeś.

Chilon, który zawsze niechętnie rozstawał się z pieniędzmi, skrzywił się, jednakże uczynił zadość rozkazowi i wyszedł. Z Karyn do Cyrku, przy którym leżał sklepik Eurycyusza, nie było zbyt daleko, dlatego też wrócił znacznie jeszcze przed wieczorem.

— Oto są znaki, panie. Bez nich nie wpuszczonoby nas. Rozpytałem się też dobrze o drogę, a zarazem powiedziałem Eurycyuszowi, że potrzebuję znaków tylko dla moich przyjaciół, sam zaś nie pójdę, bo to dla mnie starego zadaleko i wreszcie, że jutro zobaczę Wielkiego Apostoła, który mi powtórzy najpiękniejsze ustępy ze swego przemówienia.

— Jakto: nie będziesz? Musisz iść! — rzekł Winicyusz.

— Wiem, że muszę, ale pójdę dobrze zakapturzony, i wam radzę toż samo uczynić, inaczej możemy spłoszyć ptaki.

Jakoż niebawem poczęli się zbierać, albowiem mrok czynił się na świecie. Wzięli gallijskie płaszcze z kapturami, wzięli latarki; Winicyusz uzbroił nadto siebie i towarzyszów w krótkie zakrzywione noże, Chilon zaś wdział perukę, w którą się po drodze od Eurycyusza zaopatrzył i wyszli, śpiesząc się, by do odległej bramy Nomentańskiej dojść przed jej zamknięciem.

XVI.

O s t r y a n u m.

Szli koło płaszczyny, na której Dyoklecyan wznosił później wspaniałe łaźnie. Minęli resztki muru Serwiusza Tuliusza i przez bardziej już puste miejsca doszli do drogi Nomentańskiej, tam zaś, skręciwszy na lewo, ku Salaria, znaleźli się wśród wzgórz, pełnych kopalni piasku, a gdzieniegdzie i cmentarzy. Ściemniło się tymczasem już zupełnie, że zaś księżyc jeszcze nie wszedł, więc drogę dość trudno przyszłoby im znaleźć, gdyby nie to, że jak przewidział Chilon, wskazywali ją sami chrześcijanie. Jakoż na prawo, na lewo i na przodzie widać było ciemne postaci, zdążające ostrożnie ku piaszczystym wądom. Niektórzy z owych ludzi nieśli latarki, okrywając je jednak ile możności płaszczami, inni znający lepiej drogę, szli po ciemku. Wprawne żołnierskie oczy Winicyusza odróżniały po ruchach młodszych mężczyzn od starców, wlokących się na kijach, i od kobiet, poobwijanych starannie w długie stole. Rzadcy przechodnie i wieśniacy, wyjeżdżający z miasta, brali widocznie tych nocnych wędrowców za robotników, zdążających do arenaryów, lub za bractwa pogrzebowe, których członkowie wyprawiali sobie czasami obrzędowe agapy¹⁾ w nocy. W miarę jednak, jak młody

¹⁾ Uczty.

patrycyusz i jego towarzysze posuwali się naprzód, naokół migają coraz więcej latarek i zwiększała się liczba osób. Niektóre z nich śpiewały przyciszonymi głosami pieśni, które Winicyuszowi wydawały się jakby pełne tęsknoty. Chwilami ucho jego chwyciło urwane słowa lub zdania pieśni, jak na przykład: „Wstań, który śpisz“ lub: „Powstań z martwych“, czasem znów imię Chrystusa powtarzało się w ustach mężczyzn i kobiet. Lecz Winicyusz mało zwracał uwagi na słowa, albowiem przez głowę przechodziło mu, że może która z owych ciemnych postaci jest Ligią. Niektóre, przechodząc blisko, mówiły: „Pokój z wami!“ lub „Chwała Chrystusowi!“ jego zaś ogarniał niepokój i serce poczynało mu bić żywiej, albowiem wydawało mu się, że słyszy głos Ligii. Podobne kształty lub podobne ruchy zwodziły go w ciemnościach co chwila i dopiero sprawdzwszy kilkakrotnie swą omyłkę, począł nie ufać oczom.

Droga wydała mu się jednak długą. Okolicę znał dobrze, ale po ciemku nie umiał się w niej rozeznac. Co chwila trafiały się to jakieś wązkie przejścia, to części murów, to jakieś budynki, których sobie koło miasta nie przypominał. Wreszcie brzeg księżycy ukazał się z ponad nagromadzonych chmur i oświecił okolicę lepiej od mdłych latarek. Coś zdala poczęło wreszcie błyszczeć, jakby ognisko lub płomień pochodni. Winicyusz pochylił się ku Chilonowi i spytał, czy to Ostryanum.

Chilon, na którym noc, odległość od miasta i te postaci, do widm podobne, czyniły widocznie silne wrażenie, odrzekł, nieco niepewnym głosem:

— Nie wiem, panie, nie byłem nigdy w Ostryanum. Ale mogliby chwalić Chrystusa gdzieś bliżej miasta.

Po chwili zaś, czując potrzebę rozmowy i pokrzepienia odwagi, dodał:

— Schodzą się, jak zbójcy, a przecie niewolno im zabijać, chyba że mnie ów Lig zwiódł niegodnie.

Lecz Winicyusza, który myślał o Ligii, zdziwiła także

ta ostrożność i tajemniczość, z jaką jej współwyznawcy zbierali się dla słuchania swego najwyższego kapłana, więc rzekł:

— Jak wszystkie religie, tak i ta ma między nami swych zwolenników, ale chrześcijanie, to sekta żydowska. Czemuż zbierają się tu, gdy na Zatybrzu stoją świątynie żydowskie, w których w biały dzień Żydzi składają ofiary?

— Nie, panie. Żydzi właśnie są ich najzaciętszymi nieprzyjaciółmi. Mówiono mi, że już przed dzisiejszym Cezarem przyszło niemal do wojny między Żydami a nimi. Cezara Klaudyusza znudziły tak te rozruchy, że wygnął wszystkich Żydów, dziś jednak edykt ten jest zniesiony. Lecz chrześcijanie kryją się przed Żydami i przed ludnością, która, jak ci wiadomo, posądza ich o zbrodnie i nieprawdę.

Czas jakiś szli w milczeniu, poczem Chilon, którego strach zwiększał się w miarę odległości od bram, rzekł:

— Wracając od Eurycyusza, pożyczyłem od jednego balwierza peruki i w nozdrza wsadziłem sobie dwa ziarenka bobu. Nie powinni mnie poznać. Ale gdyby i poznali, to nie zabiją. To niezły ludzie! to nawet bardzo uczciwi ludzie, których kocham i cenię.

— Nie ujmuj ich sobie pochwałami przedwcześnie — odpowiedział Winicyusz.

Weszli teraz w wązki wądół, zamknięty z boku jakby dwoma okopami, nad którymi przerzucał się w jednym miejscu akwedukt. Księżyc tymczasem wychylił się z za chmur i na końcu wąwozu ujrzeni mur, pokryty obficie srebrzącymi się w świetle miesięcznym bluszczami. Było to Ostryanum.

Winicyuszowi zaczęło bić serce żywiej.

Przy bramie dwaj fossorowie¹⁾ odbierali znaki. Po chwili Winicyusz i jego towarzysze znaleźli się w miejscu

¹⁾ Kamieniarz.

dość obszernem, zamkniętem ze wszystkich stron murem. Gdzieniedzie stały tu osobne pomniki, w środku zaś widać było właściwe hypogeum, czyli kryptę, leżącą w niższej swej części pod powierzchnią gruntu, w której były grobowce; przed wejściem do krypty szumiała fontanna. Widocznem jednak było, że zbyt wielka liczba osób nie zdołałaby się w samym hypogeum pomieścić, Winicyusz więc domyślił się łatwo, że obrządek będzie się odbywał pod gołym niebem na dziedzińcu, na którym wkrótce zgromadził się tłum bardzo liczny. Jak okiem dojrzeć, latarka migotała przy latarce, wielu zaś z przybyłych nie miało wcale światła. Z wyjątkiem kilku głów, który się odkryły, wszystkie, z obawy zdrajców, czy też chłodu, pozostali zakapturzeni i młody patrycyusz z trwogą pomyślał, że jeśli tak pozostaną do końca, to w tym tłumie, przy mdłym świetle, niepodobna mu będzie Ligii rozeznąć.

Lecz nagle przy krypcie zapalono kilka smolnych pochodni, które ułożono w mały stos. Stało się jaśniej. Tłum począł po chwili śpiewać, z początku cicho, potem coraz głośniejszy, jakiś dziwny hymn. Winicyusz nigdy w życiu nie słyszał podobnej pieśni. Ta sama tęsknota, która już uderzyła go w śpiewach, nuconych półgłosem przez pojedynczych ludzi w czasie drogi na cmentarz, odezwała się i teraz w tym hymnie, tylko daleko wyraźniej i silniej, a w końcu stała się tak przejmującą i ogromną, jakby wraz z ludźmi począł tęsknić cały ten cmentarz, wzgórze, wądoły i okolica. Zdawać się przytem mogło, iż jest w tem jakieś wołanie po nocy, jakaś pokorna prośba o ratunek w zabłąkaniu i ciemności. Głowy, podniesione ku górze, zdawały się widzieć kogoś, hen, wysoko, a ręce wzywać go, by zstąpił. Gdy pieśń cichła, następowała jakby chwila oczekiwania, tak przejmująca, że i Winicyusz, i jego towarzysze mimowoli spoglądali ku gwiazdom, jakby w obawie, że stanie się coś niezwykłego i że ktoś naprawdę zstąpi. Winicyusz w Azyi Mniejszej, w Egipcie i w samym Rzymie widział mnóstwo przeróżnych świątyń, po-

znał mnóstwo wyznań i słyszał mnóstwo pieśni, tu jednak dopiero po raz pierwszy ujrzał ludzi, wzywających bóstwo pieśnią nie dlatego, że chcieli wypełnić jakiś ustalony rytuał, ale z pod serca, z takiej prawdziwej za niem tęsknoty, jaką mogą mieć dzieci za ojcem lub matką. Trzeba było być ślepym, by nie dostrzedz, że ci ludzie nietylko czcili swego Boga, ale go z całej duszy kochali, tego zaś Winicyusz nie widział dotąd w żadnej ziemi, w żadnych obrzędach, w żadnej świątyni, w Rzymie bowiem i w Grecyi ci, którzy jeszcze oddawali cześć bogom, czynili to dla zjednania sobie ich pomocy lub z bojaźni, ale nikomu nie przychodziło nawet do głowy, by ich kochać.

Jakkolwiek też miał myśl zajętą Ligią, a uwagę wypatrywaniem jej wśród tłumów, nie mógł jednak nie widzieć tych rzeczy dziwnych i nadzwyczajnych, które się koło niego działy. Tymczasem dorzucono kilka pochodni na ognisko, które oblało czerwonym światłem cmentarz i przyćmiło blask latarek, w tej samej zaś chwili z hypogeum wyszedł starzec, przybrany w płaszcz z kapturem, ale z odkrytą głową, i wstąpił na kamień, leżący w pobliżu stosu.

Tłum zakołysał się na jego widok. Głosy obok Winicyusza poczęły szeptać: „Petrus! Petrus!...” Niektórzy pokłękali, inni wyciągali ku niemu ręce. Nastąpiła cisza tak głęboka, że słychać było każdy opadający z pochodni węgielek, oddalony turkot kół na Nomentańskiej drodze i szmer wiatru w kilku piniach, rosnących obok cmentarza.

Chilon pochylił się ku Winicyuszowi i szepnął:

— To ten! pierwszy uczeń Chrestusa, rybak!

Starzec zaś wznosił do góry dłoń i znakiem krzyża przeżegnał zgromadzonych, którzy tym razem padli na kolana. Towarzysze Winicyusza i on sam, nie chcąc się zdradzić, poszli za przykładem innych. Młody człowiek nie umiał na razie pochwycić swych wrażeń, albowiem wydało mu się, że owa postać, którą przed sobą widział, jest i dość prostaczą i nadzwyczajną, a co więcej, że ta

nadzwyczajność wypływa właśnie z jej prostoty. Starzec nie miał ani mitry na głowie, ani dębowego wieńca na skroniach, ani palmy w ręku, ani złotej tablicy na piersiach, ani szat, usianych w gwiazdy lub białych, słowem żadnych takich oznak, jakie nosili kapłani wschodni, egipscy, greccy lub flaminowie rzymscy. I znów uderzyła Winicyusza też sama różnica, którą odczuł, słuchając pieśni chrześcijańskich, albowiem i ten „rybak“ wydał mu się nie jakimś arcykapłanem, biegłym w ceremoniach, ale jakby prostym, wiekowym i niezmiernie czcigodnym świadkiem, który przychodzi z daleka, by opowiedzieć jakąś prawdę, którą widział, której dotykał, w którą uwierzył, jak wierzy się w oczywistość i ukochał właśnie dlatego, że uwierzył. Była też w jego twarzy taka siła przekonania, jaką posiada prawda sama. I Winicyusz, który będąc sceptykiem, nie chciał się poddać jego urokowi, poddał się jednakże jakiejś gorączkowej ciekawości, co też wypłynie z ust tego towarzysza tajemniczego „Chrestusa“ i jaką jest ta nauka, którą wyznają Ligia i Pomponia Grecyna.

Tymczasem Piotr począł mówić i mówił z początku, jak ojciec, który upomina dzieci i uczy je, jak mają żyć. Nakazywał im, by wyrzekli się zbytków i rozkoszy, miłowali zaś ubóstwo, czystość obyczajów, prawdę, by znosili cierpliwie krzywdy i prześladowania, słuchali przełożonych i władzy, wystrzegali się zdrady, obłudy i obmówiska, a w końcu, żeby dawali przykład i jedni drugim między sobą i nawet poganom. Winicyusza, dla którego dobrem było to tylko, co mogło mu wrócić Ligię, a złem wszystko, co stawało między nimi jako przeszkoda, dotknęły i rozgniewały niektóre z tych rad, albowiem wydało mu się, że zalecając czystość i walkę z żądzami, starzec śmie tem samem nietylko potępiać jego miłość, ale zraża Ligię do niego i utwierdza ją w oporze. Zrozumiał, że jeśli ona jest między zebranymi i słucha tych słów, a bierze je do serca, to w tej chwili musi myśleć o nim, jako o wrogu tej nauki i niegodziwcu. Na tę myśl porwała go złość:

„Cóżem nowego usłyszał, mówił sobie. Toż ma być owa nieznana nauka? każdy to wie, każdy to słyszał. Wszak ubóstwo i ograniczenie potrzeb zalecają i cynicy, wszak cnotę polecał i Sokrates, jako rzecz starą, a dobrą; wszak pierwszy lepszy stoik, nawet taki Seneka, który ma pięćset stołów cytrynowych, sławi umiarkowanie, zaleca prawdę, cierpliwość w przeciwnościach, stałość w nieszczęściu i to wszystko jest jakoby zleżałe zboże, które myszy jedzą, ludzie zaś już jeść nie chcą, dlatego, że ze starości zatechło“. I obok gniewu doznał jakby uczucia zawodu, spodziewał się bowiem odkrycia jakichś nieznanych, czarodziejskich tajemnic, a przynajmniej mniemał, że usłyszy jakiegoś zadziwiającego swą wymową retora, tymczasem słyszał jeno słowa ogromnie proste, pozbawione wszelkich ozdób. Dziwiła go tylko ta cisza i to skupienie, z jakim tłum słuchał. Lecz starzec mówił dalej do tych zasłuchanych ludzi, że mają być dobrzy, cisi, sprawiedliwi, ubodzy i czysti, nie dlatego, by za życia mieć spokój, ale by po śmierci żyć wiecznie w Chrystusie, w takim weselu, w takiej chwale, rozkwicie i radości, jakich nikt na ziemi nigdy nie dostąpił. I tu Winicyusz, jakkolwiek uprzedzony przed chwilą niechętnie, nie mógł nie zauważyć, że jednak jest różnica między nauką starca, a tem, co mówili cynicy, stoicy lub inni filozofowie, ci bowiem dobro i cnotę zalecali jako rzecz rozumną i jedynie w życiu praktyczną, on zaś obiecywał za nią nieśmiertelność i to nie jakąś lichą nieśmiertelność pod ziemią, w nudzie, czezości, pustkowiu, ale wspaniałą, równą niemal bytowi bogów. Mówił przytem o niej, jak o rzeczy zupełnie pewnej, więc wobec takiej wiary cnota nabierała ceny po prostu bez granic, a klęski życia stawały się czemś niesłychanie błahem, albowiem cierpieć chwilowo, dla nieprzebranego szczęścia, jest rzeczą zupełnie inną, niż cierpieć dlatego tylko, że taki jest porządek natury. Lecz starzec mówił dalej, że cnotę i prawdę należy miłować dla nich samych, albowiem najwyższem, przedwiecznem dobrem i przedwieczną

cnotą jest Bóg, kto więc je miłuje, ten miłuje Boga i przez to sam staje się jego umiłowaniem dzieckiem. Winicyusz nie rozumiał tego dobrze, wiedział jednak już dawniej ze słów, które Pomponia Grecyna powiedziała do Petroniusza, że ten Bóg jest wedle mniemania chrześcijan jeden i wszechmocny, gdy więc teraz usłyszał jeszcze, że jest on wszechdobrem i wszechprawdą, mimowoli pomyślał, że wobec takiego Demiurga ¹⁾ Jowisz, Saturn, Apollo, Juno, Westa i Wenus wyglądałoby jak jakaś marna i hałaśliwa zgraja, w której broją wszyscy razem i każdy na swoją rękę. Ale największe zdumienie ogarnęło młodego człowieka, gdy starzec począł nauczać, że Bóg jest również wszechmiłością, kto więc kocha ludzi, ten spełnia najwyższe jego przykazanie. Lecz niedość jest kochać ludzi ze swego narodu, albowiem Bóg-człowiek za wszystkich krew przelał i między poganami znalazł już takich swoich wybranych, jak Korneliusz centuryon ²⁾, i niedość jest kochać tych, którzy nam dobrze czynią, albowiem Chrystus przebaczył i Żydom, którzy go wydali na śmierć, i żołnierzom rzymskim, którzy go do krzyża przybili, należy więc tym, którzy krzywdy nam czynią, nietylko przebaczać, ale kochać ich i płacić im dobrem za złe; i niedość kochać dobrych, ale trzeba kochać i złych, gdyż tylko miłością można z nich złość wypłenić. Chilon przy tych słowach pomyślał sobie, że jego robota poszła na marne i że Urzus nigdy w świecie nie odważy się zabić Glauka, ani tej nocy, ani żadnej innej. Pocieszył się jednak natychmiast drugim wnioskiem, wyprowadzonym z nauki starca: mianowicie że i Glaukus nie zabije jego, choćby go odkrył i poznał. Winicyusz nie myślał już jednak, że w słowach starca niemasz niczego nowego, ale ze zdumieniem zadawał sobie pytanie: co to za Bóg? co to za nauka? i co to za lud? Wszystko, co słyszał, nie mieściło się wprost

¹⁾ Bóstwo. ²⁾ Znany z dziejów apostołskich rotmistrz kołorty rzymskiej w Cezarei, nawrócony i ochrzczony z całym domem przez św. Piotra.

w jego głowie. Był to dla niego jakiś niesłychany ów pojęć. Czuł, że gdyby naprzykład chciał pójść za tą nauką, musiałby złożyć na stos swoje myślenie, zwyczaję, charakter, całą dotychczasową naturę i wszystko to spalić na popiół, a wypełnić się jakimś zgoła innym życiem i całkowicie nową duszą. Nauka, która mu nakazywała kochać Partów, Syryjczyków, Greków, Egipcyan, Gallów i Brytonów, przebaczać nieprzyjaciołom, płacić im dobrem za złe i kochać ich, wydała mu się szaloną, jednocześnie zaś miał poczucie, że jednak w samem jej szaleństwie jest coś potężniejszego, niż we wszelkich dotychczasowych filozofiach. Mniemał, że z powodu jej szaleństwa jest niewykonalną, a z powodu niewykonalności, boską. Odrzucał ją w duszy, a czuł, że rozchodzi się od niej, jakby od łąki, pełnej kwiatów, jakaś woń upajająca, którą gdy ktoś raz odetchnął, musi, jako w kraju Lotofagów, zapomnieć o wszystkim innym i tylko do niej tęsknić. Zdawało mu się, że niema w niej nic rzeczywistego i zarazem, że rzeczywistość wobec niej jest czemś tak lichem, że niewarto zatrzymywać nad nią myśli. Otoczyły go jakieś przestwory, których się ani domyślał, jakieś ogromy, jakieś chmury. Ów cmentarz począł czynić na nim wrażenie zbiorowiska szaleńców, lecz także i miejsca tajemniczego i strasznego, na którym, jakby na jakimś mistycznym łożu, rodzi się coś, czego nie było dotąd na świecie. Uprzytomniał sobie wszystko, co od pierwszej chwili starzec mówił o życiu, prawdzie, miłości, Bogu i myśli jego olśniewały od blasku, jak olśniewają oczy od błyskawic, nieustannie po sobie następujących. Jak zwykle ludzie, którym życie zmieniło się w jedną namiętność, myślał o tem wszystkim przez swoją miłość do Ligii.

Po raz też pierwszy od czasu, jak ją u Aulusów poznał, Winicyusz poczuł, że choćby ją teraz odzyskał, to i tak jej nie odzyska. Nic podobnego nie przyszło mu dotąd do głowy, a i obecnie nie umiał sobie z tego zdać sprawy, gdyż było to nietyle wyraźne zrozumienie, ile ra-

czej mętne poczucie jakowejś niepowetowanej straty i jakowegoś nieszczęścia. Wstał w nim niepokój, który wnet zmienił się w burzę gniewu, przeciw chrześcijanom wogóle, a przeciw starcowi w szczególności. Ów rybak, którego na pierwszy rzut oka poczytał za prostaka, przejmował go teraz niemal bojaźnią i zdawał mu się być jakimś tajemniczym fatum, rozstrzygającym nieubłaganie, a zarazem tragicznie jego losy.

Fossor przyłożył znów nieznacznie kilka pochodni na ogień, wiatr przestał szumieć w piniach, płomień wznosił się równo, wysmukłem ostrzem, ku skrzącym się na wypogodzonym niebie gwiazdom, starzec zaś, wspomniawszy o śmierci Chrystusa, począł już tylko o Nim mówić. Wszyscy zatrzymali dech w piersiach i cisza zrobiła się jeszcze większa, niż poprzednio, taka, że słyszeć można było niemal bicie serc. Ten człowiek widział! i opowiadał, jako ten, któremu każda chwila wyrzyła się tak w pamięci, że gdy przymknie oczy, to jeszcze widzi. Mówił więc, jak wróciwszy od Krzyża, przesiedzieli z Janem dwa dni i dwie noce w wieczorniku, nie śpiąc, nie jedząc, w zękananiu, żalu, trwodze, w zwątpieniu, głowy trzymając w rękach i rozmyślając, że On umarł. Oj, ach! jak było ciężko! jak ciężko! Już wstał dzień trzeci i świt pobielił mury, a oni obaj z Janem siedzieli tak pod ścianą bez rady i nadziei. Co ich sen zmorzył (bo i noc przed męką spędzili bezsennie), to budzili się i poczynali biadać nanowo. Aż ledwo weszło słońce, wpadła Marya z Magdali, bez tchu, z rozwiązanym włosom i z krzykiem: „Wzięli Pana!“ Oni zaś, posłyszawszy, zerwali się i poczęli biedz na miejsce. Lecz Jan, człek młodszy, przybieżał pierwszy, obaczył grób pusty i nie śmiał wejść. Dopiero, gdy było ich troje u wejścia, on który im to mówi, wszedł, ujrzał na kamieniu gieźło i zawijacze, ale ciała nie znalazł.

Więc spadł na nich strach, bo myśleli, że porwali Chrystusa kapłani i obaj wrócili do domu w większem jeszcze udręczeniu. Potem nadeszli inni uczniowie i pod-

nosili lament, to wszyscy razem, by ich usłyszał łaenniej Pan Zastępów, to kolejno. Zamarł w nich duch, bo się spodziewali, że mistrz miał odkupić Izraela, a oto był trzeci dzień, jak umarł, więc nie rozumieli, dlaczego Ojciec opuścił Syna, i woleliby nie oglądać dnia i pomrzeć, tak ciężkie było to brzemię.

Wspomnienie tych strasznych chwil jeszcze teraz wy-cisnęło dwie łzy z oczu starca, które widać było dobrze przy blasku ognia, ściekające po siwej brodzie. Stara, obnażona z włosów, głowa poczęła mu się trząść i głos zamarł mu w piersi. Winicyusz rzekł w duchu: „Ten człowiek mówi prawdę i płacze nad nią!“ a słuchaczów o prostych sercach żał chwycił także za gardła. Słyszeli już nieraz o męce Chrystusa i wiadomo im było, że radość nastąpi po smutku, ale, że to opowiadał apostoł, który widział, więc pod wrażeniem załamywali ręce, łkając, lub bili się po piersiach.

Lecz zwolna uspokoili się, bo chęć dalszego słuchania przemogła. Starzec przymknął oczy, jakby chcąc widzieć lepiej w duszy rzeczy odległe i mówił dalej:

„Gdy tak czynili lament, wpadła znów Marya z Magdali, wołając, że widziała Pana. Nie mogąc go dla wielkiego blasku rozeznąć, myślała, że ogrodnik, ale on rzekł: „Maryo!“ Wówczas krzyknęła: „Rabboni!“ i padła mu do nóg, on zaś kazał jej iść do uczniów, a potem znikł. Ale oni, uczniowie, nie wierzyli jej, a gdy płakała od radości, jedni przyganiiali jej, inni myśleli, że żał pomieszał jej zmysły, bo mówiła także, że w grobie widziała aniołów. Oni zaś, przybieżawszy raz wtóry, widzieli grób pusty. Potem wieczorem przyszedł Kleofas, który chodził z innym do Emmaus i wrócili co żywo, mówiąc: „Prawdziwie zmartwychwstał Pan“. I poczęli się spierać przy drzwiach zamkniętych dla bojaźni Żydów. Wtem On stanął między nimi, choć nie skrzypiały drzwi, a gdy struchleli, rzekł im: „Pokój z wami“.

*

„I widziałem Go, jako widzieli wszyscy, a On był jako światłość i jako szczęśliwość serc naszych, bośmy uwierzyli, że zmartwychwstał i że morza wyschną, góry się w proch obróca, a Jego chwała nie przeminie“.

„A po ośmi dniach Tomasz Dydymus wkładał palce w Jego rany i dotykał boku Jego, a potem padł Mu do nóg i wołał: „Pan mój i Bóg mój!“ Który mu odpowiedział: „Iżes mnie ujrzał, uwierzyłeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli“. I te słowa słyszeliśmy i oczy nasze patrzyły na Niego, albowiem był między nami“.

Winicyusz słuchał i działo się z nim coś dziwnego. Zapomniał na chwilę, gdzie jest, począł tracić czucie rzeczywistości, miarę, sąd. Stał wobec dwóch niepodobieństw. Nie mógł uwierzyć w to, co starzec mówił, a czuł, że trzeba być chyba ślepym i zaprzecić się własnego rozumu by przypuścić, że ów człowiek, który mówił: „Widziałem“, kłamał. Było coś w jego wzruszeniu, w jego łzach, w jego całej postaci i w szczegółach zdarzeń, które opowiadał, co czyniło niemożliwem wszelkie posądzenie. Winicyuszowi wydawało się chwilami, że śni. Lecz naokół widział uciszony tłum; kopeć latarek dolatywał do jego nozdrzy; opodal płonęły pochodnie, a obok na kamieniu stał człowiek stary, blizki grobu, z drżącą nieco głową, który, dając świadectwo, powtarzał: „Widziałem!“

I opowiedział im wszystko dalej, aż do Wniebowstąpienia. Chwilami wypoczywał, bo mówił bardzo szczegółowo, ale czuć było, że każdy najmniejszy szczegół tak wyrzył się w jego pamięci, jak na kamieniu. Tych, którzy go słuchali, ogarnęło upojenie. Pozrzucali z głów kaptury, by słyszeć lepiej i by nie uronić żadnego z tych słów, które były dla nich bez ceny. Zdawało im się, że jakaś moc nadludzka przenosi ich do Galilei, że chodzą razem z uczniami po tamtejszych gajach i nad wodami, że ten cmentarz zmienia się w Tyberyadzkie jezioro, a na brzegu, w porannym tumanie, stoi Chrystus, tak, jak stał wówczas,

gdy Jan, patrząc z łódki, rzekł: „Pan jest!“ a Piotr rzucał się w pław, by prędzej przypaść do nóg umiłowanych. W twarzach znać było zachwyty bez granic i zapomnienie życia i szczęście i niezmierną miłość. Widocznem było, że w czasie długiego opowiadania Piotra niektórzy mieli widzenia, gdy zaś począł mówić, jak w chwili Wniebowstąpienia obłoki poczęły zaszuwać się pod stopy Zbawiciela i przesłaniać Go i zakrywać przed oczyma apostołów, wszystkie głowy podniosły się mimowoli ku niebu i nastąpiła chwila jakby oczekiwania, jakby owi ludzie mieli nadzieję dojrzeć Go jeszcze, lub jakby się spodziewali, że zstąpi znów z pól niebieskich, by zobaczyć, jak stary apostoł pasie powierzone mu owce, i pobłogosławić jego i stado.

I dla tych ludzi nie było w tej chwili Rzymu, nie było szalonego Cezara, nie było świątyń, bogów, pogan, był tylko Chrystus, który wypełniał ziemię, morze, niebo, świat.

W odległych domach, porozrzucanych wzdłuż *via Nomentana*, koguty poczęły pisać, oznajmując północ. W tej chwili Chilon pociągnął Winicyusza za róg płaszcza i szepnął:

— Panie, tam, niedaleko starca, widzę Urbana, a przy nim jakąś dziewczę.

Winicyusz otrząsnął się, jak ze snu i zwróciwszy się w kierunku, wskazywanym przez Greka, ujrzał Ligię.

XVII.

Na Zatybrzu.

Każda kropla krwi zadrgała w młodym patrycyuszu na jej widok. Zapomniał o tłumach, o starcu, o własnem zdumieniu wobec tych niepojętych rzeczy, jakie słyszał, i widział przed sobą tylko ją jedną. Oto wreszcie po wszystkich wysiłkach, po długich dniach niepokoju, szarpania się, zmartwień, odnalazł ją! Po raz pierwszy w życiu doświadczył, że radość może się rzucić na piersi, jak dziki zwierz, i przygnieść je, aż do utraty oddechu. On, który dotąd sądził, że „Fortuna“ ma niejako obowiązek spełniać wszelkie jego życzenia, teraz zaledwie wierzył własnym oczom i własnemu szczęściu. Gdyby nie to niedowierzanie, jego zapalczywa natura mogła go była popchnąć do jakiego nierozważnego kroku, ale chciał się pierwej przekonać, czy to nie dalszy ciąg tych cudów, którymi miał przepełnioną głowę, i czy nie śni. Ale nie było wątpliwości: widział Ligię i dzieliła go od niej odległość zaledwie kilkunastu kroków. Stała w pełnem świetle, więc mógł napawać się jej widokiem, ile sam chciał. Kaptur zesunął się z jej głowy i rozrzucił włosy; usta miała nieco otwarte, oczy wzniesione ku apostołowi, twarz zasłuchaną i zachwyconą. W płaszczu z ciemnej wełny, ubrana była, jak dziewczyna z ludu, Winicyusz jednak nigdy nie widział jej piękniejszą i mimo całego zamętu,

jaki w nim powstał, uderzyła go w przeciwstawieniu do tego niewolniczego niemal ubioru szlachetność tej cudnej patrycyuszowskiej głowy. Czuł rozkosz, jaką sprawia mu sam jej widok, i napawał się nią, jakby ożywczą wodą po długim pragnieniu. Stojąc przy olbrzymim Ligu, wydawała mu się mniejszą, niż była przedtem, niemal dzieckiem; spostrzegł także, iż wyszczuplała. Płeć jej była prawie przeźroczą; czyniła na nim wrażenie kwiatu i duszy.

Byłby się zapatrzył i zapamiętał zupełnie, gdyby nie Chilon, który ciągnął go za róg płaszcza, w strachu, aby nie uczynił czegoś, co mogło podać ich na niebezpieczeństwo. Chrześcijanie tymczasem zaczęli się modlić i śpiewać. Za chwilę zagrzmiało „Maranatha“¹⁾, a potem Wielki Apostoł poczęł chrzcić wodą z fontanny tych, których prezbyterowie przedstawiali, jako do przyjęcia chrztu przygotowanych. Winicyuszowi zdawało się, że ta noc nigdy się nie skończy. Chciał teraz iść jak najprędzej za Ligią i pochwycić ją w drodze lub w jej mieszkaniu.

Wreszcie niektórzy poczęli opuszczać cmentarz. Chilon wówczas szepnął:

— Wyjdźmy, panie, przed bramę, albowiem nie zdjęliśmy kapturów i ludzie patrzą na nas.

Tak było rzeczywiście. Gdy podczas słów apostoła wszyscy odrzucili kaptury, ażeby lepiej słyszeć, oni nie poszli za ogólnym przykładem. Rada Chilona wydała się też roztropną. Stojąc przy bramie, mogli uważać na wszystkich wychodzących, Urzusa zaś nietrudno było rozpoznać po wzroście i postawie.

— Pójdziemy za nimi — rzekł Chilon — zobaczymy, do jakiego domu wchodzi, jutro zaś, a raczej dziś jeszcze, otoczysz, panie, wszystkie wejścia do domu niewolnikami i zabierzesz ją.

¹⁾ Jest to wyraz hebrajski, oznaczający: Pan nasz niech przyjdzie, t. j. Sędzia i Mściciel, aby tego, kto nie miłuje Chrystusa, wyklął, potępił i ukarał. (Objaśnienie ks. J. Wujka).

— Nie! — rzekł Winicyusz.

— Co chcesz uczynić, panie?

— Wejździemy za nią do domu i porwiemy ją natychmiast: wszak podjąłeś się tego, Krotonie?

— Tak jest — rzekł lanista — i oddaję ci się, panie, jako niewolnik, jeśli nie złamię krzyża temu bawołowi, który jej strzeże.

Lecz Chilon począł odradzać i zaklinać ich na wszystkich bogów, ażeby tego nie czynili. Przecie Kroto miał być wzięty tylko dla ochrony, na wypadek, gdyby ich poznano, nie dla porwania dziewicy. Biorąc ją we dwóch tylko, sami narażają się na śmierć i, co więcej, mogą ją wypuścić z rąk, a wówczas ona skryje się w innem miejscu lub opuści Rzym. I co uczynią? Dlaczego nie działać napewno, po co narażać siebie na zgubę i całe przedsięwzięcie na los niepewny?

Winicyusz, mimo, że z największym wysiłkiem wstrzymywał się, by zaraz na cmentarzu nie pochwycić Ligii w ramiona, czuł jednak, że Grek ma słuszość, i byłby może podał ucho jego radom, gdyby nie Kroto, któremu chodziło o nagrodę.

— Każ, panie, milczeć temu staremu capowi — rzekł — albo pozwól mi spuścić pięść na jego głowę. Raz w Buxentum, dokąd mnie na igrzyska sprowadził Lucyusz Saturninus, napadło na mnie w gospodzie siedmiu pijanych gladyatorów i żaden nie wyszedł z całemi żebrami. Nie mówię, żeby dziewicę porywać teraz, z pośród tłumu, bo mogliby nam rzucać pod nogi kamienie, ale gdy raz będzie w domu, porwę ci ją i zaniosę, dokąd chcesz.

Winicyusz ucieszył się, słuchając tych słów i odrzekł:

— Tak się stanie, na Herkulesa! Jutro moglibyśmy jej nie znaleźć wypadkiem w domu, gdybyśmy zaś rzucili między nich popłoch, uprowadziliby ją niechybnie.

— Ten Lig wydaje mi się strasznie silny! — jęknął Chilon.

— Nie tobie każą trzymać mu ręce — odpowiedział Kroto.

Musieli jednak czekać jeszcze długo i kury poczęły pisać na przedświt, nim ujrzeni wychodzącego z bramy Urzusa, a z nim Ligię. Towarzyszyło im kilka innych osób. Chilonowi wydało się, że rozpoznaje między nimi Wielkiego Apostoła, obok niego siedł drugi starzec, znacznie niższy wzrostem, dwie niemłode niewiasty i pachole, które świeciło latarnią. Za tą garstką siedł tłum, liczący ze dwieście osób. Winicyusz, Chilon i Kroto pomieszczyli się z owym tłumem.

— Tak, panie — rzekł Chilon — twoja dziewica znajduje się pod możną opieką. To on z nią jest, Wielki Apostoł! bo patrz, jak ludzie klękają przed nim na przodzie.

Ludzie rzeczywiście klękali, ale Winicyusz nie patrzył na nich. Nie tracąc ani na chwilę z oczu Ligii, myślał tylko o jej porwaniu i, przywyklszy w wojnach do wszelkiego rodzaju podstępów, układał sobie w głowie z żołnierską ścisłością cały plan porwania. Czuł, że krok, na który się ważył, był zuchwały, ale wiedział dobrze, że zuchwałe napady kończą się powodzeniem.

Droga była jednak długa, więc chwilami myślał także o przepaściach, jakie wykopała między nim a Ligią ta dziwna nauka, którą ona wyznawała. Rozumiał teraz wszystko, co się w przeszłości stało i rozumiał, dlaczego się stało. Był na to dość przenikliwym. Oto on dotąd Ligii nie znał. Widział w niej cudną nad wszystkie dziewczynę, teraz zaś poznał, że ta nauka czyniła z niej jakąś różną od innych kobiet istotę. Pojął nareszcie to, czego obaj z Petroniuszem nie rozumieli, że owa nowa religia wszczepiała w duszę coś nieznanego temu światu, w którym żył, i że Ligia, gdyby go nawet kochała, nie ze swych chrześcijańskich prawd dla niego nie poświęci.

Gdy zaś o tem myślał, w głowie jego powstawał chaos.

Lecz z owego zamętu wyprowadziły go narzekania

Chilona, który począł biadać na swoje losy: był przecie zgodzony do odszukania Ligii, którą też z niebezpieczeństwem życia odszukał i wskazał ją. Ale czegoż od niego chcą więcej? Czy się podejmował ją porywać i kto mógł nawet wymagać czegoś podobnego od kaleki, pozbawionego dwóch palców, od człowieka starego, oddanego rozmyślaniom, nauce i enocie? Co się stanie, jeśli pan tak dostojny, jak Winicyusz, poniesie jakowy szwank przy porywaniu dziewicy? Zapewne, że bogowie powinni czuwać nad wybranymi, ale czyż nie trafiają się nieraz takie rzeczy, jakby bogowie grywali w bierki, zamiast patrzeć, co się na świecie dzieje? Fortuna, jak wiadomo, ma związane oczy, więc nie widzi nawet we dnie, a cóż dopiero w nocy. Niechże się coś stanie, niechże ten niedźwiedź ligijski rzuci na szlachetnego Winicyusza kamieniem od żaren, beczką wina, albo co gorzej, wody, któż zaręczy, czy na biednego Chilona zamiast nagrody nie spadnie odpowiedzialność? On, biedny mędrzec, przywiązał się też do szlachetnego Winicyusza, jak Arystoteles do Aleksandra Macedońskiego, i gdyby przynajmniej szlachetny Winicyusz oddał mu tę kieskę, którą w jego oczach zatknął za pas, wychodząc z domu, byłoby za co, w razie nieszczęścia, wezwać natychmiast pomocy lub przejednać samych chrześcijan. O! dlaczego nie chcą słuchać rad starca, które dyktuje roztropność i doświadczenie?

Winicyusz, usłyszawszy to, wydobyl kieskę z pasa i rzucił ją między palce Chilonowi.

— Masz i milcz.

Greki poczuł, że była niezwykle ciężka, i nabrał odwagi.

— Cała moja nadzieja w tem — rzekł — że Herkules lub Tezeusz trudniejszych jeszcze dokonywali czynów, czemuż zaś jest mój osobisty, najbliższy przyjaciel, Kroto, jeśli nie Herkulesem? Ciebie zaś, dostojny panie, nie nazwę półbogiem, albowiem jesteś całym bogiem i nadal nie zapomnisz o słudze ubogim a wiernym, którego potrzeby

trzeba od czasu do czasu opatrywać, albowiem sam on, gdy raz zagłębi się w księgi, nie dba o nic zupełnie... Jakieś kilka staj ogrodu i domek, choćby z najmniejszym portykiem dla chłodu w lecie, byłoby czemś godnem takiego dawcy. Tymczasem będę podziwiał zdala wasze bohaterские czyny, wzywał Jowisza, aby wam sprzyjał, w razie czego zaś narobię takiego hałasu, że pół Rzymu rozbudzi się i przyjdzie wam w pomoc. Co za zła i nierówna droga! Oliwa wypaliła się mi w latarce i gdyby Kroto, który równie jest szlachetny, jak silny, chciał mnie wziąć na ręce i donieść aż do bramy, naprzód poznałby, czy łatwo uniesie dziewicę, powtóre, postąpiłby, jak Eneasz, a w końcu zjednałby sobie wszystkich uczciwszych bogów w takim stopniu, że o wynik przedsięwzięcia byłbym zupełnie spokojny.

— Wolalbym nieść padlinę owcy, zdechłej na krosty przed miesiącem — odparł lanista — ale jeśli oddasz mi tę kiesę, którą ci rzucił dostojny trybun, to poniosę cię aż do bramy.

— Obyś wybił wielki palec u nogi! — odpowiedział Grek — takżeś to skorzystał z nauk tego czcigodnego starca, który przedstawiał ubóstwo i litość, jako dwie najprzedniejsze cnoty?... Czyż ci nie nakazał wyraźnie miłować mnie? Widzę, że nigdy nie zrobię z ciebie nawet ladajakiego chrześcijanina, i że łatwiej słońcu przeniknąć przez mury mamertyńskiego więzienia, niż prawdzie przez twoją czaszkę hipopotama.

Kroto zaś, który posiadał zwierzęcą siłę, ale natomiast nie posiadał żadnych ludzkich uczuć, rzekł:

— Nie bój się! chrześcijaninem nie zostanę! nie chcę tracić kawałka chleba!

— Tak, ale gdybyś miał choć początkowe wiadomości z filozofii, wiedziałbyś, że złoto jest marnością!

— Pójdź do mnie z filozofią, a ja dam ci tylko jedno uderzenie głową w brzuch i zobaczymy, kto wygra.

— To samo mógł powiedzieć wół do Arystotelesa — odparł Chilo.

Na świecie szarzało. Brzask powłóczył bladą barwą zręby murów. Przydrożne drzewa, budynki i rozrzucone tu i owdzie pomniki grobowe poczęły się wychylać z cienia. Droga nie była już zupełnie pusta. Przekupnie jarzyn zdążali na otwarcie bram, prowadząc osły i muły obładowane warzywem; gdzieniegdzie skrzypiały wozy, na których wieziono zwierzynę. Na drodze i po obu stronach leżała przy samej ziemi lekka mgła, zwiastująca pogodę. Ludzie, widziani z nieco większej odległości, wyglądali w tej mgle, jak duchy. Winicyusz wpatrywał się w wysmukłą postać Ligii, która, w miarę jak brzask się powiększał, czyniła się coraz bardziej srebrzystą.

Zbliżyli się do bramy, przy której dziwny widok uderzył ich oczy. Oto dwóch żołnierzy kłękło, gdy przechodził Apostoła, on zaś trzymał przez chwilę ręce na ich żelaznych szyszakach, a potem uczynił nad nimi znak krzyża. Młodemu patrycyuszowi nigdy nie przyszło dotąd na myśl, że już i między żołnierzami mogą być chrześcijanie i ze zdumieniem pomyślał, że jak w pałacem się mieście pożar ogarnia coraz nowe domy, tak ta nauka z każdym dniem obejmuje widocznie coraz nowe dusze i szerzy się nad wszelkie ludzkie pojęcie. Uderzyło go też to i ze względu na Ligię, przekonał się bowiem, że gdyby była chciała uciec z miasta, znaleźliby się strażnicy, którzy sami ułatwiliby jej potajemnie wyjście. Błogosławił też w tej chwili wszystkim bogom, że się tak nie stało.

Przebywszy niezabudowane miejsca, znajdujące się za murem gromadki chrześcijan poczęły się rozpraszać. Trzeba było teraz iść za Ligią dalej i ostrożniej, by nie zwrócić na się uwagi. Chilo począł też narzekać na rany i na strzykanie w nogach i pozostawał coraz bardziej w tyle, czemu Winicyusz nie sprzeciwiał się, sądząc, że obecnie tchórzliwy, a niedołężny Grek nie będzie mu już potrzebny. Byłby mu nawet pozwolił ruszyć, gdzieby

choiał, jednakże zacnego mędrca wstrzymywała przezorność, ale parła widocznie ciekawość, szedł bowiem ciągle za nimi, a nawet chwilami przybliżał się, powtarzając swoje poprzednie rady, oraz czyniąc przypuszczenia, że starzec, towarzyszący Apostołowi, gdyby nie wzrost nieco za niski, mógłby być Glaukiem.

Szli jednak jeszcze długo aż na Zatybrze i słońce było już blizkie wschodu, gdy gromadka, w której była Ligia, rozdzieliła się. Apostoł, stara kobieta i pacholę udali się wzdłuż i w górę rzeki, starzec zaś niższego wzrostu, Urzus i Ligia wsunęli się w wązki vicus ¹⁾ i, uszedłszy jeszcze ze sto kroków, weszli do sieni domu, w którym były dwa sklepy, jeden oliwny, drugi ptasznika.

Chilo, który szedł o jakie pięćdziesiąt kroków za Winicyuszem i Krotonem, stanął zaraz, jak wryty, i przycisnąwszy się do muru, począł na nich psykać, aby do niego wrócili.

Oni zaś uczynili to, bo należało się naradzić.

— Idź — rzekł mu Winicyusz — i obacz, czy ten dom nie wychodzi drugą stroną na inną ulicę.

Chilo, mimo, iż poprzednio narzekał na rany w nogach, skoczył tak żywo, jakby przy kostkach miał skrzydełka Merkurego i za chwilę powrócił.

— Nie — rzekł — wyjście jest jedno.

Poczem złożył ręce:

— Na Jowisza, Apollina, Westę, Kibelę, Izys i Ozyrysa, na Mitrę, Baala i wszystkie bogi ze Wschodu i Zachodu, zaklinam cię, panie, zaniechaj tego zamiaru... Posłuchaj mnie...

Lecz nagle urwał, gdyż spostrzegł, że twarz Winicyusza pobladła ze wzruszenia, oczy zaś jego skrzyły się, jak źrenice wilka. Dość było na niego spojrzeć, by zrozumieć, iż nic w świecie nie powstrzyma go od przedsięwzięcia. Kroto począł nabierać oddechu w swą herkule-

¹⁾ Uliczka.

sową pierś i kiwać swą nierozwiniętą czaszką w obie strony, jak czynią niedźwiedzie zamknięte w klatce. Zresztą nie znać było na jego twarzy najmniejszego niepokoju.

— Ja wejdę pierwszy! — rzekł.

— Pójdiesz za mną! — rzekł rozkazującym głosem

Winicyusz.

I po chwili zniknęli obaj w ciemnej sieni.

Chilo skoczył do rogu najbliższej uliczki i jął wyzierać z za węgła, czekając, co się stanie.

XVIII.

K r o t o n.

Winicyusz dopiero w sieni zrozumiał całą trudność przedsięwzięcia. Dom był duży, kilkopiętrowy, jeden z takich, jakich tysiące budowano w Rzymie w widokach zysku z najmu mieszkań, zwykle zaś budowano tak pośpiesznie i lichy, że nie było niemal roku, aby kilka z nich nie zapadło się na głowy mieszkańców. Były to prawdziwe ule, zbyt wysokie i zbyt wąskie, pełne komórek i zakamarków, w których gnieździła się ludność uboga, a zarazem nader liczna. W mieście, w którym wiele ulic nie miało nazw, domy owe nie miały numerów; właściciele powierzali pobór komornego niewolnikom, ci jednak, nie obowiązani przez władzę miejską do podawania imion mieszkańców, częstokroć nie znali ich sami. Dopytać się o kogoś w takim domu, bywało nieraz niezmiernie trudno, zwłaszcza, gdy przy bramie nie było odźwiernego.

Winicyusz z Krotonem przez długą, podobną do kurytarza sien dostali się na wąskie, zabudowane z czterech stron podwórko, stanowiące rodzaj wspólnego dla całego domu atrium, z fontanną w środku, której strumień spadał w kamienną misę, wmurowaną w ziemię. Przy wszystkich ścianach biegły w górę zewnętrzne schody, częścią kamienne, częścią drewniane, prowadzące do galeryi, z których wchodziło się do mieszkań. Na dole były również

mieszkania, niektóre zaopatrzone w drewniane drzwi, inne oddzielone od podwórza tylko za pomocą wełnianych, po większej części wystrzępionych i podartych lub połatanych zasłon.

Godzina była wczesna i na podwórku nie było żywej duszy. Widocznie w całym domu spali jeszcze wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy wrócili z Ostryanum.

— Co uczynimy, panie? — spytał Kroton, zatrzymując się.

— Czekajmy tu; może się ktoś zjawi — odrzekł Winicyusz. — Nie trzeba, by nas widziano na podwórzu.

Lecz zarazem myślał, że rada Chilona była praktyczną. Gdyby się miało kilkudziesięciu niewolników, można by obsadzić bramę, która zdawała się być jedynym wyjściem i przetrząsnąć wszystkie mieszkania, tak zaś należało od razu trafić do mieszkania Ligii, inaczej bowiem chrześcijanie, których zapewne w tym domu nie brakło, mogli ją ostrzedz, że jej szukają. Z tego względu było niebezpiecznem i rozpytywanie się obcych osób. Winicyusz przez chwilę namyślał się, czy nie wrócić się po niewolników, gdy wtem z pod jednej z zasłon, zamykających dalsze mieszkania, wyszedł człowiek z sitem w rękę i zbliżył się do fontanny.

Młody człowiek na pierwszy rzut oka poznał Urzusa.

— To Lig! — szepnął Winicyusz.

— Czy mam zaraz połamać mu kości?

— Czekaj.

Urzus nie dostrzegł ich, albowiem stali w mroku sieni, i począł spokojnie opłukiwać w wodzie jarzyny, napełniające sito. Widocznie było, że po całej nocy, spędzonej na cmentarzu, zamierzał przygotować z nich śniadanie. Po chwili, ukończywszy swą czynność, wziął mokre sito i zniknął z niem razem za zasłoną. Kroton i Winicyusz ruszyli za nim, sądząc, że wpadną wprost do mieszkania Ligii.

Więc zdziwienie ich było niepomierne, gdy spostrze-

gli, że zasłona oddzielała od podwórza nie mieszkanie, ale drugi ciemny kurytarz, na końcu którego widać było ogródek, złożony z kilku cyprysów, kilku mirtowych krzaków i mały domek, przylepiony do ślepej tylnej ściany innej kamienicy.

Obaj zrozumieli natychmiast, że jest to dla nich okoliczność pomyślna. Na podwórzu mogło powstać zbiegowisko wszystkich mieszkańców, ustronność zaś domku ułatwiała przedsięwzięcie. Prędko uwiną się z obrońcami, a raczej z Urzusem, poczem z porwaną Ligią również prędko dostaną się na ulicę, a tam już dadzą sobie rady. Prawdopodobnie nikt ich nie zaczepi, gdyby ich zaczepiono, powiedzą, że chodzi o zbiegłą zakładniczkę Cezara, w ostatnim zaś razie Winicyusz da się poznać wigilom i wezwie ich pomocy.

Urzus wchodził już prawie do domku, gdy szelest kroków zwrócił jego uwagę, więc przystanął, a ujrzawszy dwóch ludzi, złożył sito na balustradzie i zawrócił ku nim.

— A czego tu szukacie? — spytał.

— Ciebie! — odparł Winicyusz.

Poczem, zwróciwszy się do Krotona, zawołał przedkim, cichym głosem:

— Zabij!

Kroton rzucił się jak tygrys i w jednej chwili, zanim Lig zdołał się opamiętać lub rozpoznać nieprzyjaciół, chwycił go w swoje stalowe ramiona.

Lecz Winicyusz zbyt był pewien jego nadludzkiej siły, by czekać na koniec walki, więc, pominąwszy ich, skoczył ku drzwiom domku, pchnął je i znalazł się w ciemnej nieco izbie, rozświetlonej jednak przez ogień palący się na kominie. Blask tego płomienia padał wprost na twarz Ligii. Drugą osobą, siedzącą przy ognisku, był ów starzec, który towarzyszył dziewczynie i Urzusowi w drodze z Ostryanum.

Winicyusz wpadł tak nagle, że, zanim Ligia mogła go rozpoznać, chwycił ją wpół i, uniósłszy w górę, rzucił

się znów ku drzwiom. Starzec zdołał mu je wprawdzie zastąpić, lecz on, przycisnąwszy dziewczynę jednym ramieniem do piersi, odtrącił go drugą wolną ręką. Kaptur spadł mu z głowy i wówczas na widok tej znanej sobie, a straszliwej w tej chwili twarzy, krew ścięła się w Ligii z przerażenia, a głos zamarł jej w gardle. Chciała wołać o pomoc i nie mogła. Również napróżno chciała uchwycić za ramę drzwi, by dać opór. Palce jej zesunęły się po kamieniu i byłaby straciła przytomność, gdy nie okropny obraz, który uderzył jej oczy, gdy Winicyusz wypadł z nią do ogrodu.

Oto Urzus trzymał w ramionach jakiegoś człowieka, całkiem przegiętego w tył, z przechyloną głową i z ustami we krwi. Ujrawszy ich, raz jeszcze uderzył pięścią w tę głowę i w jednym mgnieniu oka skoczył, jak rozjuszony zwierz, ku Winicyuszowi.

— Śmierć! — pomyślał młody patrycyusz.

A potem usłyszał, jakby przez sen, okrzyk Ligii: „nie zabijaj!“ następnie uczuł, że coś, jakby piorun, rozwiązało jego ręce, któremi ją obejmował, wreszcie ziemia zakręciła się z nim i światło dnia zgasło w jego oczach.

Chilon jednakże, ukryty za węglem narożnika, czekał, co się stanie, albowiem ciekawość walczyła w nim ze strachem. Myślał również, że jeśli im się uda porwać Ligię, to dobrze będzie być przy Winicyuszu. Urbana nie obawiał się już, był bowiem także pewny, że Kroton go zabije. Natomiast liczył, że w razie, gdyby na pustych dotąd ulicach zaczęło się tworzyć zbiegowisko, gdyby chrześcijanie lub jacykolwiek ludzie chcieli stawić opór Winicyuszowi, tedy on przemówi do nich jako przedstawiciel władzy, jako wykonawca woli Cezara, a w ostatnim razie wezwie wigilów na pomoc młodemu patrycyuszowi przeciw ulicznej hołocie i tem zaskarbi sobie nowe łaski. W duszy sądził zawsze, że postępek Winicyusza jest nieroztropny, bacząc jednak na straszliwą siłę Krotona, przy-

puszczał, że może się udać. „Gdyby było z nimi źle, sam trybun będzie niósł dziewczynę, a Kroton utoruje mu drogę“. Czas jednakże dłużył mu się; niepokoila go cisza sieni, na którą z daleka spoglądał:

— Jeśli nie trafią do jej kryjówki, a naczynią hałas, to ją spłoszą.

I myśl o tem nie była mu zresztą przykrą, rozumiał bowiem, że w takim razie będzie znów potrzebny Winicyuszowi i znów potrafi z niego wycisnąć pokaźną ilość sestercyi.

— Cokolwiek uczynią — mówił sobie — dla mnie uczynią, choć żaden się tego nie domyśla... Bogowie, bogowie, pozwólcie mi tylko...

I nagle urwał, zdawało mu się bowiem, że coś wychyliło się z sieni, więc, przycisnąwszy się do muru, począł patrzeć, tamując dech w piersiach.

I nie mylił się, z sieni bowiem wysunęła się do wpół jakaś głowa i począła się rozglądać dookoła.

Po chwili jednak znikła.

— To Winicyusz albo Kroton — pomyślał Chilon — ale jeśli porwali dziewczkę, dlaczego ona nie krzyczy i po co wyglądają na ulicę? Ludzi i tak muszą napotkać, bo, nim dojdą do Karynów, ruch się zrobi na mieście. Co to!? na wszystkich bogów nieśmiertelnych!...

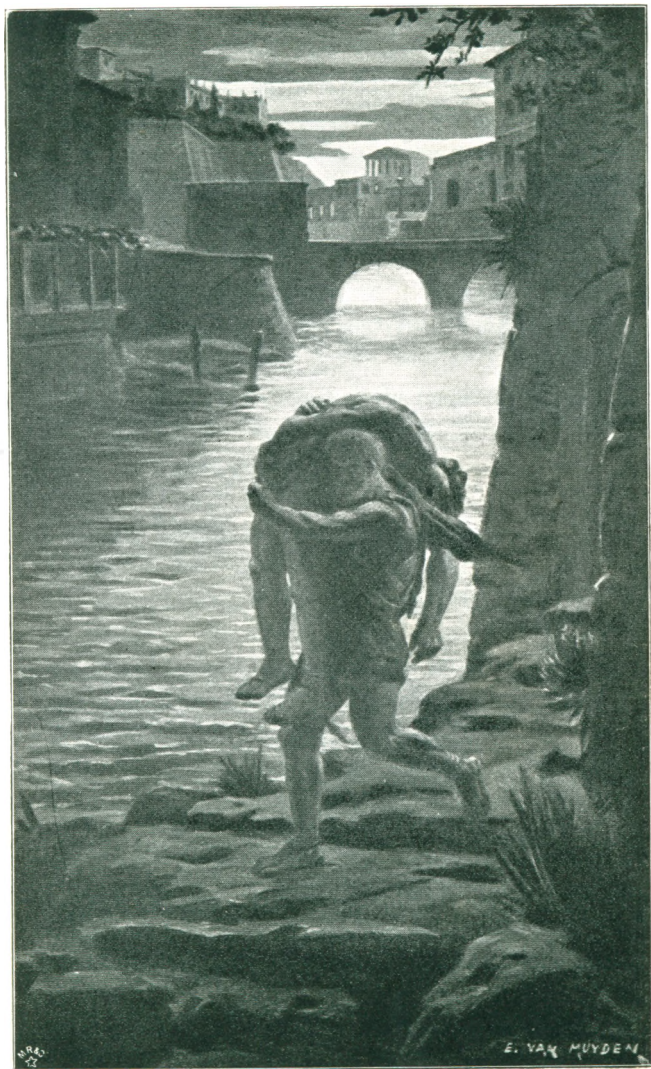
I nagle resztki włosów zjeżyły mu się na głowie.

We drzwiach pokazał się Urzus z przewieszonym przez ramię ciałem Krotona i, rozejrzawszy się raz jeszcze, począł z niem biedz pustą ulicą ku rzece.

Chilon uczynił się przy murze tak płaski, jak kawał tynku.

— Zginałem, jeśli mnie dojrzy! — pomyślał.

Lecz Urzus przebiegł szybko koło narożnika i zniknął za następnym domem, Chilon zaś, nie czekając dłużej, począł biedz w głąb poprzecznej uliczki, dzwoniąc zębami z przerażenia i z chyżością, któraby nawet w młodzieńcu mogła dziwić.



Ursus z ciałem Krotona.

— Jeśli, wracając, dojrzy mnie z daleka, to dogna i zabije — mówił sobie. — Ratuj mnie, Zeusie, ratuj Apollinie, ratuj Hermesie, ratuj Boże chrześcijan! Opuszczę Rzym, ale ocalcie mnie z rąk tego demona.

I ten Lig, który zabił Krotona, wydawał mu się w tej chwili rzeczywiście jakąś nadludzką istotą. Biegając, myślał, że to może być jaki bóg, który wziął na siebie postać barbarzyńcy. W tej chwili wierzył we wszystkich bogów świata i we wszystkie mity, z których drwił zwykłego czasu. Przelatywało mu także przez głowę, że Krotona mógł zabić Bóg chrześcijan i włosy zjeżały mu się znów na głowie na myśl, że zadarł z taką potęgą.

Dopiero przebiegłszy kilka zaułków i spostrzegłszy jakichś robotników idących z dala naprzeciw, uspokoił się nieco. W piersiach brakło mu już tchu, siadł więc na progu domu i począł rogiem płaszcz obcierać pokryte potem czoło.

— Stary jestem i potrzebuję spokoju — rzekł.

Ludzie, idący naprzeciw, skręcili na jakąś boczną uliczkę i znów ogarnęła go pustka. Miasto spało jeszcze. Rankami ruch czynił się wcześniej właśnie w zamożniejszych dzielnicach, gdzie niewolnicy bogatych domów zmuszeni byli wstawać do dnia, w tych zaś, które zamieszkiwała ludność wolna, żywiona kosztem państwa, zatem próżniacza, budzono się, zwłaszcza w zimie, dość późno. Chilon, przesiadziawszy czas jakiś na progu, uczuł dojmujący chłód, więc powstał i, przekonawszy się, że nie zgubił kieski, którą dostał od Winicyusza, wolniejszym już krokiem skierował się ku rzece.

— Może obaczę gdzie ciało Krotona — mówił sobie. — Bogowie! Ten Lig, jeśli jest człowiekiem, mógłby w ciągu jednego roku zarobić miliony sestercyi, albowiem, jeśli Krotona udusił jak szczenię, to któż mu się oprze? Za każde wystąpienie na arenie, danoby mu złota tyle, ile sam waży. Lepiej on strzeże tej dziewczki, niż Cerber piekła. Ale niech go też to piekło pochłonie! Nie chcę

mieć z nim do czynienia. Zanadto jest kościsty. Co tu jednak począć? Stała się rzecz straszna. Jeśli on takiemu Krotonowi połamał kości, to pewno i dusza Winicyusza kwili tam nad tym przeklętym domem, czekając pogrzebu. Na Kastora! to przecie patrycyusz, przyjaciel Cezara, krewny Petroniusza, pan znany w całym Rzymie i trybun wojskowy. Śmierć jego nie ujdzie im na sucho... Gdybym też naprzykład udał się do obozu pretoryanów, albo do wigilów?...

Tu zamilkł i począł się namyślać, lecz po chwili rzekł:

— Biada mi! Któż wprowadził go do tego domu, jeśli nie ja?... Jego wyzwoleńcy i niewolnicy wiedzą, żem do niego przychodził, a niektórzy wiedzą, w jakim celu. Co będzie, gdy posądzą mnie, żem umyślnie wskazał mu dom, w którym spotkała go śmierć? Choćby pokazało się potem w sądzie, żem jej nie chciał, i tak powiedzą, żem ja jej przyczyną... A to przecie patrycyusz, więc w żadnym razie nie ujdzie mi bezkarnie. Ale gdybym milczkiem opuścił Rzym i przeniósł się gdzieś daleko, to podałbym się w tem większe podejrzenie.

I tak i tak było źle. Chodziło tylko o to, by wybrać złe mniejsze. Rzym był ogromnem miastem, a jednak Chilon uczuł, że może mu być w niem zaciasno. Bo każdy inny mógłby pójść wprost do prefekta wigilów, opowiedzieć, co się stało i choćby padło na niego jakoweś podejrzenie, czekać spokojnie na śledztwo. Ale cała przeszłość Chilona była tego rodzaju, że wszelka bliższa znajomość, bądź z prefektem miasta, bądź z prefektem wigilów, musiałaby nań sprowadzić nader poważne kłopoty, a zarazem uzasadnić wszelkie podejrzenia, jakieby przyszły mogły do głowy urzędnikom.

Z drugiej strony, uciec, było to utwierdzić Petroniusza w mniemaniu, że Winicyusz został zdradzony i zamordowany skutkiem zmywy. Owóż Petroniusz był człowiek potężny, który mógł mieć na rozkazy policję w ca-

łem państwie i który niechybnie postarałby się odnaleźć winowajców choćby na krańcach świata. Jednakże Chilonowi przyszło do głowy, czyby nie udać się wprost do niego i nie opowiedzieć mu, co się zdarzyło. Tak! Był to najlepszy sposób. Petroniusz był człowiekiem spokojnym i Chilon mógł być pewnym przynajmniej tego, że go wysłucha do końca. Petroniusz, który znał sprawę od początku, łatwiej też uwierzyłby w niewinność Chilona, niż prefekci.

Żeby jednak udać się do niego, trzeba było wiedzieć napewno, co się stało z Winicyuszem, Chilon zaś tego nie wiedział. Widział wprawdzie Liga, skradającego się do rzeki z ciałem Krotona, ale nie więcej. Winicyusz mógł być zabitym, ale mógł też być rannym lub schwytanym. Teraz dopiero przyszło Chilonowi do głowy, że chrześcijanie zapewne nie ośmieliliby się zabić człowieka tak potężnego, augustyanina i wysokiego urzędnika wojskowego, albowiem tego rodzaju postępek mógł ściągnąć na nich ogólne prześladowanie. Prawdopodobniejszem było, że zatrzymali go przemocą, aby dać czas Ligii do ponownego ukrycia się w innem miejscu.

Myśl ta napełniła Chilona otuchą.

— Jeśli ten ligijski smok nie rozdarł go w pierwszym zapędzie, tedy jest żywy, a jeśli jest żywy, tedy sam da świadectwo, że go nie zdradził, a wówczas nietylko nic mi nie grozi, ale (o Hermesie, licz znów na dwie jałówki!) otwiera się przedemną nowe pole... Mogę dać znać jednemu z wyzwolenców, gdzie ma szukać pana, a czy on uda się do prefekta, czy nie, to jego rzecz, bylebym ja się do niego nie udawał... Mogę także pójść do Petroniusza i liczyć na nagrodę... Szukałem Ligii, teraz będę szukał Winicyusza, a potem znów Ligii... Trzeba jednak naprzód wiedzieć, czy żyw, czy zabit.

Tu przeszło mu przez głowę, że mógłby nocą udać się do piekarza Demasa i spytać o to Urzusa. Ale myśl tę porzucił natychmiast. Wolał nie mieć nic do czynienia

z Urzusem. Mógł słusznie przypuszczać, że jeśli Urzus nie zabił Glauka, to widocznie został przestrzeżony przez kogoś ze starszych chrześcijańskich, któremu wyznał swój zamiar, że to sprawa nieczysta i że chciał go do niej namówić jakiś zdrajca. Zresztą na samo wspomnienie Urzusa, Chilona przebiegał dreszcz po całym ciele. Natomiast pomyślał, że wieczorem wysła Eurycyusza po wieści do tego domu, w którym wypadek się zdarzył. Tymczasem potrzebował pożywić się, wykapać i wypocząć. Niespana noc, droga do Ostryanum i ucieczka z Zatybrza strudziły go istotnie nad wszelką miarę.

Jedna rzecz pocieszała go stale: oto, że miał przy sobie dwie kieski: tę, którą Winicyusz dał mu w domu, i tę, którą mu rzucił w powrotnej drodze z cmentarza. Ze względu też na tę szczęśliwą okoliczność, jak również ze względu na wielkie wzruszenia, przez jakie przeszedł, postanowił zjeść obficie i napić się lepszego wina, niż zwykle.

I gdy wreszcie nadeszła godzina otwarcia winiarni, uczynił to w mierze tak znacznej, iż zapomniał o kąpieli. Chciało mu się przedewszystkiem spać i senność odjęła mu siły do tego stopnia, że wrócił zupełnie chwiejnym krokiem do swego mieszkania na Suburze, gdzie czekała go, zakupiona za Winicyuszowe pieniądze, niewolnica.

Tam, wszedłszy do ciemnego, jak lisia jama, kubikulum, rzucił się na posłanie i zasnął w jednej chwili.

Zbudził się dopiero wieczorem, a raczej zbudziła go niewolnica, wzywając go, by wstawał, albowiem ktoś szuka go i chce się z nim widzieć w pilnej sprawie.

Czujny Chilon oprzytomniał w jednej chwili, zarzucił naprędce płaszcz z kapturem i, kazawszy się niewolnicy usunąć na bok, wyjrzał naprzód ostrożnie na zewnątrz.

I zmartwia! albowiem przez drzwi kubikulum ujrzał olbrzymią postać Urzusa.

Na ów widok uczuł, że nogi i głowa jego stają się zimne jak lód, serce przestaje bić w piersiach, po krzyżu

chodzą roje mrówek... Czas jakiś nie mógł przemówić, następnie jednak, szcękając zębami, rzekł, a raczej wyjęczał:

— Syro! niema mnie... nie znam... tego... dobrego człowieka...

— Powiedziałaś mu, że jesteś i że śpisz, panie — odrzekła dziewczyna — on zaś żądał, by cię rozbudzić...

— O bogi!... każe cię...

Lecz Urzus, jakby zniecierpliwiony zwłoką, zbliżył się do drzwi kubikulum i, schyliwszy się, wsadził do wnętrza głowę.

— Chilonie Chilonidesie! — rzekł.

— *Pax tecum! pax, pax!* — odpowiedział Chilon. — O, najlepszy z chrześcijan! Tak jestem Chilonem, ale to omyłka... Nie znam cię!

— Chilonie Chilonidesie — powtórzył Urzus — pan twój, Winicyusz, wzywa cię, abys się do niego udał wraz ze mną.

XIX.

U Chrześcijan.

Winicyusza obudził dotkliwy ból. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, gdzie jest i co się z nim dzieje. W głowie czuł szum i oczy jego były zakryte jakby mgłą. Stopniowo jednak wracała mu przytomność i wreszcie przez ową mgłę dojrzał trzech schylonych nad sobą ludzi. Dwóch rozpoznał: jeden był Urzus, drugi — ten starzec, którego obalił, unosząc Ligię. Trzeci, zupełnie obcy, trzymał jego lewą rękę i, dotykając jej wzdłuż łokcia aż do ramienia i obojczyka, zadawał mu właśnie ból tak straszny, iż Winicyusz, sądząc, że to jest jakiś rodzaj dokonywanej nad nim zemsty, rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Zabijcie mnie.

Lecz oni nie zdawali się uważać na jego słowa, jakby nie słyszeli ich, lub jakby je poczytali za zwykły jęk cierpienia. Urzus, ze swoją zatroskaną a zarazem groźną twarzą barbarzyńcy, trzymał pęki białych szmat, podartych na długie pasy, starzec zaś mówił do człowieka, który naciskał ramię Winicyusza:

— Glauku, jesteś pewny, że ta rana w głowie nie jest śmiertelna?

— Tak jest, eny Kryspie — odpowiedział Glaukus — służąc, jako niewolnik, na flocie, a potem mieszkając w Neapolis, opatrywałem wiele ran i zysków, jakie mi przyno-

siło to zajęcie, wykupiłem wreszcie siebie i swoich... Rana w głowie jest lekka. Gdy ten człowiek (tu wskazał głową na Urzusa) odebrał młodzieńcowi dziewczynę i pchnął go na mur, ów widocznie, padając, zasłonił się ręką, którą wybił i złamał, ale przez to ocalił głowę — i życie.

— Niejednego już z braci miałeś w swej opiece — odpowiedział Kryspus — i słyniesz jako biegły lekarz... Dlatego to posłałem po ciebie Urzusa.

— Który po drodze wyznał mi, iż jeszcze wczoraj gotów był mnie zabić.

— Ale pierwaj, niż tobie, wyznał swój zamiar mnie — ja zaś, który znam ciebie i twoją miłość dla Chrystusa, wytłómaczyłem mu, że nie ty jesteś zdrajcą, ale ów nieznamy, który go do zabójstwa chciał namówić.

— To był zły duch, ale ja wziąłem go za anioła — odrzekł z westchnieniem Urzus.

— Kiedyindziej opowiesz mi to — rzekł Glaukus — ale teraz musimy myśleć o rannym.

I to rzekłszy, począł nastawiać ramię Winicyusza, który, mimo iż Kryspus skrapiał mu twarz wodą, mdlał ciągle z bólu. Była to zresztą szczęśliwa dla niego okoliczność, nie czuł bowiem nastawiania nogi, ani opasywania złamanego ramienia, które Glaukus ujął w dwie wklęsłe deseczki, a następnie obwiązał szybko i silnie, aby je unieruchomić.

Lecz po dokonanej operacyi rozbudził się znowu — i ujrzał nad sobą Ligię.

Stała tuż przy jego łóżku, trzymając przed sobą miedziane wiaderko z wodą, w której Glaukus zanurzał ••• czasu do czasu gąbkę i zwilżał nią jego głowę.

Winicyusz patrzył i oczom nie wierzył. Zdawało mu się, że to sen albo gorączka stawia przed nim drogie widmo — i po długiej dopiero chwili zdołał wyszeptać:

— Ligio...

Na jego głos wiaderko zadrżało w jej rękę, lecz zwróciła na niego oczy, pełne smutku.

— Pokój z tobą! — odrzekła z cicha.

I stała z wyciągniętymi przed się rękoma, z twarzą pełną litości i żalu.

On zaś patrzył na nią, jakby chcąc nappełnić nią źrenice tak, aby po zamknięciu powiek obraz jej został mu pod niemi. Patrzył na jej twarz, bledszą i szczuplejszą niż dawniej, na skręty ciemnych włosów, na ubogi ubiór robotnicy; patrzył tak uporeczywie, że aż pod wpływem jego wzroku jej śnieżne czoło poczęło różowieć — i naprzód pomyślał, że ją kocha zawsze, a powtóre, że ta jej bladeść i to jej ubóstwo są jego dziełem, że on to wypędził ją z domu, gdzie ją kochano i gdzie ją otaczał dostatek i wygodę, a wtrącił do tej mizernej izby i odział w ten nędzny płaszcz z ciemnej wełny.

Ponieważ zaś pragnąłby ją odziać w najdroższe złoto-głowy i we wszystkie klejnoty świata, więc zdjęło go zdumienie, trwoga, litość — i żal tak wielki, że byłby jej do nóg padł, gdyby mógł się poruszyć.

— Ligio — rzekł — nie pozwolilaś mnie zabić.

A ona odpowiedziała ze słodyczą:

— Niech Bóg wróci ci zdrowie.

Dla Winicyusza, który miał poczucie i tych krzywd, które jej dawniej wyrządził, i tej, którą chciał wyrządzić świeżo, był w słowach Ligii prawdziwy balsam.

Tymczasem Glaukus skończył obmywać ranę w jego głowie i przyłożył do niej maść gojącą. Urzus zabrał miednik z rąk Ligii, ona zaś wzięwszy przygotowaną na stole czarę z wodą, pomieszaną z winem, przyłożyła ją do ust rannego. Winicyusz wypił chętnie, poczem doznał ogromnej ulgi. Po dokonanym opatrunku ból prawie minął. Rany i stłuczenia poczęły tężeć. Wróciła mu zupełna przytomność.

— Daj mi pić jeszcze — rzekł.

Ligia odeszła z prózną czarą do drugiej izby, natomiast Kryspus, po krótkich słowach, zamienionych z Glaukiem, zbliżył się do łóżka i rzekł:

— Winicyuszu, Bóg nie pozwolił ci popełnić złego uczynku, ale zachował cię przy życiu, byś opamiętał się w duszy. Ten, wobec którego człowiek jest tylko prochem — podał cię bezbronnego w ręce nasze, lecz Chrystus, w którego wierzymy, kazał nam miłować nawet nieprzyjaciół. Więc opatrzyliśmy twoje rany i, jako rzekła Ligia, będziemy modlić się, aby Bóg wrócił ci zdrowie; ale dłużej nad tobą czuwać nie możemy. Zostań więc w spokoju i pomyśl, czyli godziłoby ci się prześladować dłużej Ligię, którą pozbawiłeś opiekunów, dachu — i nas, którzyśmy ci dobrem za złe wypłacili?

— Chcecie mnie opuścić? — spytał Winicyusz.

— Chcemy opuścić ten dom, w którym może nas dosięgnąć prześladowanie prefekta miasta. Towarzysz twój został zabity, ty zaś, który jesteś możliwym między swymi, leżysz ranny. Nie z naszej to winy się stało, ale na nas musiałby spaść gniew prawa...

— Prześladowania się nie bójcie — rzekł Winicyusz. — Ja was osłonię.

Krypus nie chciał mu odpowiedzieć, że chodzi im nietylko o prefekta i policję, ale, że nie mając zaufania i do niego także, chcą zabezpieczyć Ligię przed dalszym jego pościgiem.

— Panie — rzekł — prawa twoja ręka jest zdrowa — więc oto tabliczki i styl: napisz do sług, aby przyszli do ciebie dziś wieczór z lektyką i odnieśli cię do twego domu, w którym ci będzie wygodniej, niż wśród naszego ubóstwa. — My tu mieszkamy u biednej wdowy, która wkrótce nadejdzie z synem swoim — i owo pacholę odniesie twój list, my zaś musimy wszyscy szukać innego schronienia.

Winicyusz pobladł, pojął bowiem, że chcą go rozłączyć z Ligią, i że gdy straci ją ponownie, to może nigdy w życiu jej nie ujrzeć... Rozumiał, że cokolwiekby powiedział tym ludziom — choćby im zaprzysiągł, że wróci Ligię Pomponii Grecynie, to mu mają prawo nie uwierzyć i nie uwierzą.

Pragnął jednak rozpaczliwie przejednać i Ligię, i tych jej opiekunów — jakimkolwiek sposobem, na to zaś potrzebował czasu.

Więc, zebrawszy myśli, rzekł:

— Posłuchajcie mnie, chrześcijanie. Wczoraj byłem wraz z wami na Ostryanum i słuchałem waszej nauki, ale choćbym jej nie znał, wasze uczynki przekonałyby mnie, iż jesteście ludzie uczciwi i dobrzy. Powiedzcie owej wdowie, która zamieszkuje ten dom, aby została w nim, wy zostańcie także i mnie pozwólcie zostać. Niech ten człowiek (tu zwrócił wzrok na Glauka), który jest lekarzem lub przynajmniej zna się na opatrywaniu ran, powie, czy można mnie dziś przenosić. Jestem chory i mam złamane ramię, które musi choć kilka dni zostać nieruchome — i dlatego oświadczam wam, iż nie ruszę się stąd, chyba mnie przemocą wyniesiecie.

Tu przerwał, bo w rozbitej jego piersi zbrakło oddechu, Kryspus zaś rzekł:

— Nikt, panie, nie użyje przeciw tobie przemocy, my tylko uniesiemy stąd nasze głowy.

Na to nieprzywykły do oporu młody człowiek, zmarszczył brwi i rzekł:

— Pozwól mi odetchnąć.

Po chwili zaś począł znów mówić:

— O Krotona, którego zdusił Urzus, nikt nie zapyta; miał dziś jechać do Benewentu, dokąd wezwał go Watyniusz, wszyscy więc będą myśleli, że wyjechał. Gdyśmy weszli z Krotonem do tego domu, nie widział nas nikt, prócz jednego Greka, który był z nami w Ostryanum. Powiem wam, gdzie mieszka, sprowadźcie mi go — ja zaś nakazę mu milczenie, albowiem jest to człowiek przeze mnie płatny. Do domu mego napiszę list, żem wyjechał także do Benewentu. Gdyby Grek już dał znać prefektowi, oświadczę mu, żem Krotona sam zabił, i że on to złamał mi rękę. Tak uczynię, na cienie ojca i matki mojej! — a więc możecie tu pozostać bezpiecznie, gdyż włos nie

spadnie z żadnej głowy. — Sprowadźcie mi prędko Greka, który zwie się Chilo Chilonides!

— Więc Glaukus zostanie przy tobie, panie — rzekł Kryspus — i wraz z wdową będzie miał pieczę nad tobą.

Winicyusz zmarszczył brwi jeszcze silniej.

— Uważ, stary człowieku, co powiem: — rzekł — winienem ci wdzięczność i wydajesz się dobrym i uczciwym człowiekiem, ale nie mówisz mi tego, co masz na dnie duszy. Ty się obawiasz, bym nie wezwał moich niewolników i nie kazał im zabrać Ligii? — Zali tak nie jest?

— Tak jest! — odrzekł z pewną surowością Kryspus.

— Tedy zważ, że z Chilonem będę rozmawiał przy was, i że przy was napiszę list do domu, iżem wyjechał — i że innych posłańców, jak wy, później nie znajdę... Rozważ to sam i nie drażnij mnie dłużej.

Tu wzburzył się i twarz skureczyła mu się z gniewu, poczem jął mówić w uniesieniu:

— Zaliś ty myślał, że ja się zaprę, iż chcę pozostać dlatego, by ją widzieć?... Głupiby odgadł, choćbym się zaparł. Ale przemocą nie będę jej więcej brał... Tobie zaś powiem co innego. Jeśli ona tu nie zostanie, to tą zdrową ręką pozrywam wiązania z ramienia, nie przyjmę jadła ni napoju — i niech śmierć moja spadnie na ciebie i na twoich braci. Czemuś mnie opatrywał, czemuś nie kazał mnie zabić?

I pobladł z gniewu i osłabienia. Lecz Ligia, która z drugiej izby słyszała całą rozmowę, i która była pewna, że Winicyusz spełni to, co zapowiada, zlekła się jego słów. Nie chciała za nic jego śmierci. Raniony i bezbronny, budził w niej tylko litość, nie strach. Od czasu ucieczki, żyjąc wśród ludzi, pogrążonych w ciągłym upojeniu religijnym, rozmyślających tylko o ofiarach, poświęceniach i miłosierdziu bez granic, sama upoiła się tem nowem technieniem do tego stopnia, że zastąpiło ono dla niej dom, rodzinę, stracone szczęście i zarazem uczyniło z niej jedną z takich dziewic chrześcijanek, które zmieniły później starą

duszę świata. Winicyusz zbyt zaważył w jej losach i zbyt się jej narzucił, by mogła o nim zapomnieć. Myślała o nim nieraz po całych dniach i nieraz prosiła Boga o taką chwilę, w której, idąc za technieniem nauki, mogłaby mu wypłacić się dobrem za złe, miłosierdziem za prześladowanie, złamać go, zdobyć dla Chrystusa i zbawić. A teraz zdawało się jej właśnie, że taka chwila nadeszła, i że modlitwy jej zostały wysłuchane.

Zbliżyła się więc do Kryspusa z twarzą jakby natchnioną i czeła mówić tak, jakby przez nią mówił głos jakiś inny:

— Kryspie, niech on zostanie między nami i my pozostaniemy z nim, dopóki Chrystus go nie uzdrowi.

A stary prezbiter, przywykły szukać we wszystkim technień Bożych, widząc jej egzaltację, pomyślał zaraz, że może mówi przez nią moc wyższa, i uląkłszy się w sercu, pochylił swą głowę.

— Niech się stanie, jak mówisz — rzekł.

Na Winicyuszu, który przez cały czas nie spuszczał jej z oczu, to szybkie posłuszeństwo Kryspa uczyniło dziwne i przejmujące wrażenie. Wydało mu się, że Ligia jest między chrześcijanami jakąś Sybillą czy kapłanką, którą otacza cześć i posłuch.

I chciał jej dziękować — z wdzięcznością i jeszcze z jakimś uczuciem, tak dalece mu nieznanem, że go nawet nazwać nie umiał, ponieważ było po prostu pokorą. Lecz poprzednie uniesienie wyczerpało go tak, że nie mógł mówić i dziękował jej tylko oczyma, w których świeciła radość, że zostaje przy niej, i że będzie mógł na nią patrzeć jutro, pojutrze, może długo.

XX.

„Odpuść mu!“

Lecz począł się również obawiać, by jakaś niewczesna pomoc z zewnątrz nie zburzyła mu radości. Chilon mógł dać znać o jego zniknięciu prefektowi miasta lub wyzwolencom w domu — a w takim razie wtargnięcie wigilów było prawdopodobne. Przez głowę przeleciała mu wprawdzie myśl, że wówczas mógłby kazać pochwycić Ligię i zamknąć ją w swoim domu, lecz czuł, że tego uczynić nie powinien — i nie zdoła. Był człowiekiem samowolnym, zuchwałym i dość zepsutym, a w potrzebie nieubłaganym, nie był jednakże ni Tygellinem, ni Neronem. Życie wojskowe pozostawiło mu pewne poczucie sprawiedliwości, wiary i tyle sumienia, iż rozumiał, że taki postępek byłby czemś potwornie podłym. Byłby może wreszcie zdolny dopuścić się go w napadzie złości i w pełni sił, ale w tej chwili był zarazem rozczulony i chory, więc chodziło mu o to tylko, by nikt nie stanął między nim a Ligią.

Zauważył zaś ze zdziwieniem, że od chwili, gdy Ligia stanęła po jego stronie, ani ona sama, ani Kryspus nie żądają od niego żadnych zapewnień, tak jak gdyby byli pewni, że w razie potrzeby obroni ich jakaś moc nadprzyrodzona. Winicyusz, w którego głowie — od czasu jak słyszał w Ostryanum naukę i opowiadanie Apostoła — po-

częła się płatać i zacierać różnica między rzeczami możliwymi a niemożliwymi, nie był także zbyt daleki od przypuszczenia, że takby być mogło. Jednakże, biorąc rzeczy trzeźwiej, sam przypomniał im, co mówił o Greku i znów zażądał, by sprowadzono mu Chilona.

Kryspus zgodził się na to i postanowiono wysłać Urzusa. Winicyusz, który w ostatnich dniach przed Ostryanum często, lubo bez skutku, wysyłał był niewolników swych do Chilona, wskazał Ligowi dokładnie jego mieszkanie, poczem skreśliwszy kilka słów na tabliczce, rzekł zwróciwszy się do Kryspa:

— Daję tabliczkę, gdyż to jest człowiek podejrzliwy i chytry, który często, wzywany przeze mnie, kazał odpowiadać ludziom moim, że niema go w domu, czynił to zaś zawsze, gdy, nie mając dla mnie dobrych nowin, obawiał się mojego gniewu.

— Bylem go znalazł, to go przyprowadzę, czy będzie chciał, czy nie — odpowiedział Urzus.

Poczem, wzięwszy płaszcz, wyszedł śpiesznie.

Odnaleźć kogoś w Rzymie nie było łatwo, nawet przy najlepszych wskazówkach, ale Urzusowi pomagał w takich razach instynkt człowieka leśnego, a zarazem i wielka znajomość miasta, tak, że po niejakiem czasie znalazł się w mieszkaniu Chilona.

Nie poznał go jednak. Poprzednio widział go tylko raz w życiu i do tego w nocy. Wreszcie tamten wyniosły i pewny siebie starzec, który go namawiał do zamordowania Glauka, tak był niepodobny do tego zgiętego we dwoje ze strachu Greka, że nikt nie mógł przypuścić, iż obaj stanowią jedną osobę. Chilon też, pomiarkowawszy, że Urzus patrzy na niego, jak na człowieka zupełnie obcego, ochłonął z pierwszego przerażenia. Widok tabliczki z piśmem Winicyusza uspokoił go jeszcze bardziej. Nie groziło mu przynajmniej podejrzenie, że wprowadził go umyślnie w zasadzkę. Pomyślał przytem, że chrześcijanie nie

zabili Winicyusza widocznie dlatego, że nie ośmielili się podnieść ręki na osobę tak znakomitą.

— A zatem Winicyusz osłoni i mnie w potrzebie — rzekł sobie w duchu — albowiem nie wzywa mnie przecie po to, by mnie dać zabić.

Nabrawszy więc nieco ducha, spytał:

— Dobry człowieku, zali przyjaciel mój, szlachetny Winicyusz, nie przysłał po mnie lektyki? — nogi mam popuchnięte i iść tak daleko nie mogę.

— Nie — odrzekł Urzus — pójdziemy piechotą.

— A jeśli odmówię?

— Nie czyn tego, gdyż pójść musisz.

— I pójdę, ale z własnej chęci. Inaczej niktby mnie nie zmusił, albowiem jestem człowiekiem wolnym i przyjacielem prefekta miasta. Jako mędrzec, posiadam również sposoby na przemoc — i umiem zamieniać ludzi w drzewa i zwierzęta. Ale pójdę — pójdę! Wdzieję tylko płaszcz jeszcze nieco cieplejszy i kaptur, aby mnie nie poznali niewolnicy tej dzielnicy — inaczej bowiem zatrzymywaliby nas ustawicznie, aby całować moje ręce.

To rzekłszy, nawdział inny płaszcz, na głowę zaś spuścił gallicki obszerny kaptur, z obawy, by Urzus nie przypomniał sobie jego rysów, gdy wyjdą na większe światło.

— Gdzie mnie prowadzisz? — spytał po drodze Urzusa.

— Na Zatybrze.

— Niedawno jestem w Rzymie i nigdy tam nie byłem, ale i tam żyją zapewne ludzie, którzy kochają cnotę.

Ale Urzus, który był człowiekiem naiwnym, i który słyszał Winicyusza, mówiącego, iż Grek był z nim na cmentarzu Ostryanum, a potem widział, gdy wchodzili z Krotonem do domu, w którym mieszkała Ligia, zatrzymał się na chwilę i rzekł:

— Nie kłam, stary człowieku, albowiem dziś byłeś z Winicyuszem na Ostryanum i pod naszą bramą.

— Ach — rzekł Chilon — więc to wasz dom stoi na Zatybrzu? Od niedawna jestem w Rzymie i nie wiem dobrze, jak się zwą różne dzielnice. Tak jest, przyjacielu! Byłem pod waszą bramą i zaklinałem pod nią w imię cnoty Winicyusza, by nie wchodził. Byłem i w Ostryanum, a wiesz dlaczego? oto od pewnego czasu pracuję nad nawróceniem Winicyusza i chciałem, aby posłuchał najstarszego z apostołów. Niech światło przeniknie do jego duszy i do twojej! Wszakże jesteś chrześcijaninem i wszak pragniesz, aby prawda zapanowała nad fałszem?

— Tak jest — odrzekł z pokorą Urzus.

Chilonowi wróciła zupełna odwaga.

— Winicyusz jest to pan możny — rzekł — i przyjaciel Cezara. Często on jeszcze słucha podszeptów złego ducha, ale gdyby choć włos spadł z jego głowy, Cezar pomściłby się na wszystkich chrześcijanach.

— Nas większa moc strzeże.

— Słusznie! słusznie! ale co zamierzacie uczynić z Winicyuszem? — spytał z nowym niepokojem Chilon.

— Nie wiem. Chrystus nakazuje miłosierdzie.

— Toś wyśmienicie powiedział. Pamiętaj o tem zawsze, inaczej będziesz się skwarzył w piekle, jak kiszka na patelni.

Urzus westchnął, Chilon zaś pomyślał, że z tym straszliwym w chwili pierwszego porywu człowiekiem, zrobiłby zawsze, coby chciał.

Więc pragnąc wiedzieć, jak rzeczy odbyły się przy porywaniu Ligii, pytał dalej głosem surowego sędziego:

— Jak postąpiliście z Krotonem? Mów i nie zmyślaj.

Urzus westchnął po raz drugi:

— Powie ci to Winicyusz.

— To się znaczy, że pchnąłeś go nożem lub zabiłeś pałką?

— Byłem bezbronny.

Greki nie mogli jednak oprzeć się podziwowi nad nadludzką siłą barbarzyńcy.

— Niech cię Pluto!... To jest chciałem powiedzieć: niech ci Chrystus przebaczy!

Czas jakiś szli w milczeniu, poczem Chilo rzekł:

— Nie ja cię zdradzę, ale strzeż się wigilów.

— Ja boję się Chrystusa, nie wigilów.

— I to słusznie. Niemasz cięższej winy nad zabójstwo. Będę się za ciebie modlił, ale nie wiem, czy nawet moja modlitwa co wskóra — chyba, że uczynisz ślub, iż nigdy w życiu nikogo nie tkniesz palcem.

— Ja i tak nie zabijałem rozmyślnie — odpowiedział Urzus.

Chilon jednak, który pragnął się na wszelki przypadek zabezpieczyć, nie przestawał obrzydzać w dalszym ciągu zabójstwa Urzusowi i zachęcać go do wykonania ślubu. Wypytywał też i o Winicyusza, lecz Lig odpowiadał na jego pytania niechętnie, powtarzając, że z ust samego Winicyusza usłyszy to, co usłyszeć powinien. Rozmawiając w ten sposób, przebyli wreszcie daleką drogę, dzielącą mieszkanie Greka od Zatybrza, i znaleźli się przed domem. Przebywszy sień i pierwsze podwórze, znaleźli się w korytarzu, prowadzącym do ogródka domku, z którego poczęły dochodzić uszu jego śpiewy.

-- Co to jest? — spytał.

— Mówisz, żeś chrześcijaninem, a nie wiesz, że między nami jest zwyczaj po każdym posiłku wielbić Zbawiciela naszego śpiewaniem — odpowiedział Urzus. — Myryam z synem musiała już wrócić — a może i Apostoł jest z nimi, codziennie bowiem nawiedza wdowę i Kryspa.

— Prowadź mnie wprost do Winicyusza.

— Winicyusz jest w tej izbie, gdzie i wszyscy, bo ta jedna jest większa, a zresztą same ciemne kubicula, do których tylko spać chodzimy. — Wejdzmy już — tam odpoczniiesz.

I weszli. W izbie było ciemnawo, wieczór był chmurny, zimowy, a płomień kilku kaganków niezupełnie rozpraszał mrok. — Winicyusz raczej domyślił się, niż rozeznał, w za-

kapturzonym człowieku Chilona, ten zaś, ujrawszy łożę w rogu izby i na niem Winicyusza, ruszył, na patrząc na innych, wprost ku niemu — jakby w przekonaniu, że przy nim będzie mu najbezpieczniej.

— O panie! czemuś nie słuchał moich rad! — zawołał, składając ręce.

— Milcz — rzekł Winicyusz — i słuchaj!

Tu począł patrzeć bystro w oczy Chilona i mówić zwolna a dobitnie, jakby chciał, by każde jego słowo zrozumiane było jako rozkaz i zostało raz na zawsze w Chilonowej pamięci:

— Kroto rzucił się na mnie, by mnie zamordować i ograbić — rozumiesz! Wówczas zabiłem go, ci zaś ludzie opatrzyli rany, jakie otrzymałem w walce z nim.

Chilon odrazu zrozumiał, że, jeśli Winicyusz tak mówi, to chyba na mocy jakiegoś układu z chrześcijanami, a w takim razie chce, by mu wierzone. Poznał też to z jego twarzy, więc w jednej chwili, nie okazawszy ni powątpiewania, ni zdziwienia, podniósł oczy w górę i zawołał:

— Łotr to był wierutny, panie! Wszakżem cię ostrzegał, byś mu nie ufał. Wszystkie moje nauki obijały się o jego głowę, jak groch o ścianę. W całym Hadesie niema dla niego mąk dostatecznych. O bogowie!...

Tu jednak wspomniał, że w czasie drogi przedstawiał się Urzusowi jako chrześcijanin — i umilkł.

Winicyusz rzekł:

— Gdyby nie „sica“ ¹⁾, którą miałem ze sobą, byłby mnie zabił.

— Błogosławię tę chwilę, w której doradziłem ci wziąć choć nóż.

Lecz Winicyusz zwrócił na Greka badawcze spojrzenie i spytał:

— Coś czynił dziś?

¹⁾ Krótki miecz rzymski.

— Jakto? Czym ci, panie, nie powiedział, żem czy-
nił śluby za twoje zdrowie?

— I nie więcej?

— I wybierałem się właśnie odwiedzić cię, gdy tam-
ten dobry człowiek nadszedł i powiedział mi, że mnie
wzywasz.

— Oto jest tabliczka. Pójdiesz z nią do mego domu,
odnajdziesz mego wyzwolenca i oddasz mu ją. Napisano
jest na niej, żem wyjechał do Benewentu. — Powiesz De-
masowi od siebie, żem to uczynił dziś rano, wezwany pil-
nym listem przez Petroniusza.

Tu powtórzył z naciskiem:

— Wyjechałem do Benewentu — rozumiesz!

— Wyjechałeś, panie! Rano żegnałem cię przecie
przy Porta Capena — i od czasu twego wyjazdu taka
ogarnia mnie tęsknota, że, jeśli twa wspaniałomyślność jej
nie utuli, zakwilę się na śmierć, jak nieszczęsna żona Ze-
thosa¹⁾ z żalu po Itylu.

Winicyusz, lubo chory i nawykły do giętkości Greka,
nie mógł jednak wstrzymać uśmiechu. Rad był przytem,
że Chilo w lot go zrozumiał, więc rzekł:

— Zatem dopiszę, by ci lży obtarto. Daj mi kaganek.

Chilo, uspokojony już zupełnie, wstał i, uczyniwszy
kilka kroków w stronę komina, zdjął jeden z palących się
na murku kaganków.

Lecz, gdy kaptur zesunął się przy tej czynności
z jego głowy i światło padło wprost na jego twarz, Glau-
kus zerwał się z ławy i, zbliżywszy się szybko, stanął
przed nim.

— Nie poznajesz mnie, Cefasie? — spytał.

I w głosie jego było coś tak straszego, że dreszcz
przebiegł wszystkich obecnych.

Chilon podniósł kaganek i upuścił go prawie w tej

¹⁾ Aedon, zamieniona w słowika.

chwili na ziemię — poczem zgiął się we dwoje i począł jęczeć:

— Nie jestem... nie jestem!... litości!

Glaukus zaś zwrócił się w stronę wieczerzających i rzekł:

— Oto jest człowiek, który zaprzedał i zgubił mnie i rodzinę moją!...

Historia jego była znaną i wszystkim chrześcijanom, i Winicyuszowi, który dlatego nie domyślił się, kim jest ów Glaukus, że, mdlejąc ustawicznie z bólu przy opatunku, nazwiska jego nie słyszał. Lecz dla Urzusa krótka ta chwila, w połączeniu ze słowami Glauka, była jakby błyskawicą w ciemności. Rozpoznawszy Chiloną, jednym skokiem znalazł się przy nim, chwycił go za ramiona i, wygiąwszy je w tył, zawołał:

— On to namówił mnie, bym zamordował Glauka!

— Litości! — jęczał Chilon — oddam wam... Panie! — zawołał, zwracając głowę do Winicyusza — ratuj mnie! tobiem zaufał, wstaw się za mną... Twój list... odniosę, Panie! panie!...

Lecz Winicyusz, który najobojętniej ze wszystkich patrzył na to, co zaszło, raz dlatego, że wszystkie sprawy Greka były mu znane, a powtóre, że serce jego nie znało, co to litość, rzekł:

— Zakopcie go w ogrodzie: list poniesie kto inny.

Chilonowi wydało się, że słowa te są ostatecznym wyrokiem. Kości jego poczęły trzeszczeć w strasznych rękach Urzusa, oczy zachodziły łzami z bólu.

— Na waszego Boga! litości — wołał — jestem chrześcijaninem!... Pax vobiscum! jestem chrześcijaninem, a jeśli mi nie wierzycie, ochrzczycie mnie jeszcze raz, jeszcze dwa, jeszcze dziesięć razy! Glauku, to pomyłka! Pozwólcie mi mówić! uczynicie mnie niewolnikiem... Nie zabijajcie mnie! litości!...

I głos jego, dławiony bólem, słabł coraz bardziej, gdy wtem za stołem podniósł się Apostoł Piotr; przez

chwile chwiał swą białą głową, zniżając ją ku piersiom, i oczy miał zamknięte, ale następnie otworzył je i rzekł wśród ciszy:

— A oto powiedział nam Zbawiciel: „Jeśliby twój brat zgrzeszył przeciw tobie, strofuj go; a jeśliby żałował, odpuść mu. A jeśliby siedmkroć na dzień zgrzeszył przeciw tobie i siedmkroć nawrócił się k'tobie, mówiąc: Żal ci mi! odpuść mu!“

Poczem zapadła cisza jeszcze większa.

Głaukus stał długi czas z twarzą nakrytą dłońmi, wreszcie odjął je i rzekł:

— Cefasie, niech ci tak Bóg odpuści krzywdy moje, jako ja ci je w imię Chrystusa odpuszczam.

A Urzus, uwolniwszy ramiona Greka, dodał zaraz:

— Niech mi tak Zbawiciel będzie miłościwy, jako i ja ci odpuszczam.

Ów upadł na ziemię i, wsparty na niej rękoma, kręcił głową, jak zwierz schwyty w sidła, rozglądając się naokół i czekając, skąd śmierć przyjdzie. Oczom i uszom jeszcze nie wierzył, i nie śmiał spodziewać się przebaczenia.

Lecz zwolna wracała mu przytomność, tylko zsiniałe wargi trzęsły mu się jeszcze z przerażenia. Tymczasem Apostoł rzekł:

— Odejdź w spokoju!

Chilon powstał, lecz nie mógł jeszcze przemówić. Mimowoli zbliżył się do łoża Winicyusza, jakby jeszcze szukając u niego opieki, albowiem nie miał dotąd czasu pomyśleć, że ów, jakkolwiek korzystał z jego usług i był poniekąd jego współnikiem, potępił go, gdy tymczasem ci właśnie, przeciw którym służył, przebaczyli. Myśl ta miała mu przyjść później. Obecnie we wzroku jego widać było tylko zdumienie i niedowierzanie. Jakkolwiek zmiarkował już, że mu przebaczone, chciał jednak jak najprędzej wynieść głowę z pośród tych niepojętych ludzi, których dobroć przerażała go prawie równie, jak przerażałoby okru-

cieństwo. Zdawało mu się, że gdyby dłużej został, zaszłoby znowu coś niespodzianego, więc, stanąwszy nad Winicyuszem, począł mówić przerywanym głosem:

— Daj, panie, list! daj list!

I, porwawszy tabliczkę, którą mu podał Winicyusz, wybił jeden pokłon chrześcijanom, drugi choremu i chyłkiem, sunąc przy samej ścianie, wypadł za drzwi.

W ogródku, gdy ogarnęła go ciemność, strach jeżył mu znów włosy na głowie, był bowiem pewny, że Urzus wypadnie za nim i zabije go wśród nocy. Byłby uciekał ze wszystkich sił, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, po chwili zaś uczyniły się zupełnie bezwładne, albowiem Urzus istotnie stanął przy nim.

Chilon upadł twarzą na ziemię i począł jęczeć:

— Urbanie... w imię Chrystusa...

Lecz Urban rzekł:

— Nie bój się. Apostoł kazał mi wywieść cię za bramę, abyś nie zablądził w ciemności, a jeśli ci sił brak, to odprowadzę cię do domu.

Chilon podniósł twarz.

— Co mówisz? co?... Nie zabijesz mnie?

— Nie! nie zabiję cię, a jeśli chwycił cię zbyt silnie i nadwerżył ci kości, to mi odpuść.

— Pomóż mi wstać — rzekł Grek. — Nie zabijesz mnie? co? Wyprowadź mnie na ulicę, dalej sam pójdę.

Urzus podniósł go z ziemi, jak piórko, i postawił na nogach, potem zaś prowadził przez ciemne przejście na drugie podwórze, z którego wychodziło się do sieni i na ulicę. W korytarzu Chilon powtarzał znów w duszy: „już po mnie!“ i dopiero gdy znaleźli się na ulicy, ochłonął i rzekł:

— Dalej sam pójdę.

— Pokój niech będzie z tobą!

— I z tobą! i z tobą!... Daj mi odetchnąć.

I po odejściu Urzusa odetchnął całą pierśią. Rękoma

macnął się po pasie i biodrach, jakby chcąc się przekonać, że żyje, i ruszył śpiesznym krokiem przed siebie.

Lecz, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, stanął i rzekł:

— Czemu jednak oni mnie nie zabili?

I pomimo, iż już z Eurycyuszem rozmawiał o nauce chrześcijańskiej, pomimo rozmowy nad rzeką z Urbanem i pomimo wszystkiego, co słyszał na Ostryanum, nie umiał znaleźć na to pytanie odpowiedzi.

XXI.

Ziarno kielkuje.

Winicyusz również nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co zaszło, i na dnie duszy prawie niemniej zdumiony był od Chilona. Bo że z nim samym ludzie ci obeszli się tak, jak się obeszli, i zamiast pomścić się nad nim za napaść, opatrzyli troskliwie jego rany, przypisywał to w części nauce, którą wyznawali, bardziej Ligii, a potrochu i swemu wielkiemu znaczeniu. Ale postąpienie ich z Chilonem przechodziło wprost jego pojęcia o ludzkiej zdolności przebaczenia. I jemu mimowoli nasuwało się na myśl pytanie, dlaczego oni nie zabili Greka? Wszakże mogli to uczynić bezkarnie. Urzus byłby go zakopał w ogrodzie lub nocą wyniósł do Tybru, który w owych czasach nocnych rozbojów, dokonywanych przez samego Cezara, tak często wyrzucał rankami ciała ludzkie, iż nikt nawet nie dochodził, skąd się brały. Przytem, wedle Winicyusza, chrześcijanie nie tylko mogli, ale powinni byli zabić Chilona. Litość nie była wprawdzie całkiem obcą temu światu, do którego należał młody patrycyusz. Ateńczycy wzniesli przecie jej ołtarz i długi czas opierali się wprowadzeniu do Aten walk gladyatorów. Bywało, że i w Rzymie zwyciężeni otrzymywali przebaczenie, jak naprzykład Kalikraty, król Bretonów, który, wzięty w niewolę za Klaudyu-

sza i opatrzony przez tegoż suto, mieszkał swobodnie w mieście. Ale zemsta za krzywdy osobiste wydawała się Winicyuszowi, tak jak i wszystkim, słuszną i usprawiedliwioną. Niechanie jej było zgoła przeciwne jego duszy. Słyszał wprawdzie i on w Ostryanum, że należy miłować nawet nieprzyjaciół, uważał to jednak za jakąś teorię, nie mającą w życiu znaczenia. I teraz jeszcze przechodziło mu przez głowę, że może nie zabito Chilona dlatego tylko, że była jakaś pora świąt lub jakaś kwadra księżyca, podczas której chrześcijanom nie godziło się zabijać. Słyszał, że bywają takie terminy, w których różnym narodom nie wolno nawet i wojny poczynać. Lecz dlaczego w takim razie nie oddano Greka w ręce sprawiedliwości, dlaczego Apostoł mówił, że gdyby ktoś siedemkroć zawinił, to siedemkroć należy mu przebaczyć, i dlaczego Glaukus powiedział Chilonowi: „Niech ci tak Bóg odpuści, jako ja ci odpuszczam?“ A przecie Chilo wyrządził mu najstraszliwszą krzywdę, jaką człowiek człowiekowi może wyrządzić, i w Winicyuszu na samą myśl o tem, jakby postąpił z takim, ktoby naprzykład zabił Ligię, zawrzało serce, jak ukrop: nie byłoby takich mąk, któremiby jej nie pomścił! A tamten przebaczył! Jedna była tylko na te wszystkie pytania odpowiedź. Oto oni nie zabijali przez jakąś dobroć, tak wielką, że podobnej nie było dotąd na świecie, i przez miłość do ludzi bezgraniczną, która nakazywała zapominać o sobie, o swoich krzywdach, o swoim szczęściu i swej niedoli — i żyć dla innych. Jaką zapłatę mieli ludzie ci za to odebrać, Winicyusz słyszał w Ostryanum, lecz nie mieściło mu się to w głowie. Czuł natomiast, że to życie ziemskie, połączone z obowiązkiem wyrzekania się wszystkiego, co jest dobrem i rozkoszą, na korzyść innych, musiałyby być nędzne. To też w tem, co o chrześcijanach w tej chwili myślał, obok największego zdumienia była i litość, i jakby odcień pogardy. Wydało mu się, że to są owce, które muszą prędzej czy później być zjedzone przez wilki, jego zaś rzymska natura nie była

zdolną zdobyć się na uznanie dla tych, którzy pozwalają się zjadać. Uderzyła go wszelako jedna rzecz. Oto po wyjściu Chilona, jakaś głęboka radość rozjaśniła wszystkie twarze. Apostoł zbliżył się do Glauka i, położywszy dłoń na jego głowie rzekł:

— Chrystus w tobie zwyciężył!

Ów zaś wznosił oczy ku górze, tak ufne i pełne wesela, jakby zlało się na niego jakieś wielkie, niespodziane szczęście. Winicyusz, który byłby zrozumiał tylko radość z dokonanej zemsty, patrzył na niego rozszerzonemi przez gorączkę oczyma, trochę tak, jak patrzyłby na obłąkanego. Widział jednak i widział nie bez wewnętrznego oburzenia, jak następnie Ligia przycisnęła swoje usta królowny do ręki tego człowieka, który z pozoru wyglądał na niewolnika, i zdawało mu się, że porządek tego świata odwraca się zupełnie. Potem nadszedł Urzus i jął opowiadać, jak wyprowadził Chilona na ulicę i jak prosił go o przebaczenie za krzywdę, jaką mógł wyrządzić jego kościom, za co Apostoł pobłogosławił i jego, a Kryspus oświadczył, że to jest dzień wielkiego zwycięstwa. Posłyszawszy o tem zwycięstwie, Winicyusz stracił całkiem wątek myśli.

Lecz, gdy Ligia podała mu znów po chwili napój chłodzący, zatrzymał na chwilę jej rękę i spytał:

— To i ty mi przebaczyłaś?

— My chrześcijanie. Nam nie wolno chować w sercu gniewu.

— Ligio — rzekł wówczas — kimkolwiek jest twój Bóg, uczczę go stuwołem, dlatego tylko, że jest twoim.

Ona zaś odrzekła:

— Uczcesz go w sercu, gdy go pokochasz.

— Dlatego tylko, że jest twoim... — powtórzył słabszym głosem Winicyusz.

I przymknął powieki, albowiem opanowało go znów osłabienie.

Ligia odeszła, ale po chwili wróciła i, stanąwszy blisko, pochyliła się nad nim, by się przekonać, czy śpi. Winicyusz odczuł jej bliskość i, otworzywszy oczy, uśmiechnął się, ona zaś położyła mu na nich lekko rękę, jakby chcąc go do snu nakłonić. Wówczas ogarnęła go wielka słodycz, ale zarazem czuł się mocniej chorym. I tak było w istocie. Noc już zrobiła się zupełna, a wraz z nią przyszła i silniejsza gorączka — i zasnął.

Gdy się obudził, otrzeźwiał i począł patrzeć przed siebie. Ognisko na wysokim trzonie żarzyło się już słabiej, ale rzucało blask jeszcze dość żywy, oni zaś siedzieli wszyscy przed ogniem, grzejąc się, ponieważ noc była chłodna, a izba dość zimna. Winicyusz widział ich oddechy, wychodzące z ust w kształcie pary. W środku siedział Apostoł, u jego kolan na niskim podnóżku Ligia, dalej Glaukus, Kryspus, Myryam, a na krańcach z jednej strony Urzus, z drugiej Nazaryusz, syn Myryam, młode pachole z o ślicznej twarzy i długich, czarnych włosach, które spadały mu aż na ramiona.

Ligia słuchała, z oczyma wzniesionemi ku Apostołowi, i wszystkie głowy były zwrócone ku niemu, on zaś mówił coś półgłosem. Winicyusz począł patrzeć na niego z pewną zabobonną bojaźnią. Przeszło mu przez myśl, że starzec o nim mówi, a może radzi, jak rozłączyć go z nią, zdawało mu się bowiem rzeczą niepodobną, by ktoś mógł mówić o czem innem, więc, zebrawszy całą przytomność, począł nasłuchiwać słów Piotra.

Lecz omylił się najzupełniej, Apostoł bowiem mówił znów o Chrystusie.

— Oni tem imieniem tylko żyją! — pomyślał Winicyusz.

Starzec zaś opowiadał o pochwyceniu Chrystusa. Przyszła rota i słudzy kapłańscy, aby Go chwycili. Gdy Zbawiciel spytał ich, kogo szukają, odpowiedzieli: „Jezusa Nazareńskiego!“ Lecz gdy im rzekł: „Jam jest!“ — padli

na ziemię i nie śmieli na Niego podnieść ręki, i aż dopiero po powtórnem pytaniu chwycili Go.

Tu Apostoł przerwał i wyciągnawszy ręce do ognia, rzekł:

— Noc była chłodna, jak dziś, ale zawrzało we mnie serce, więc wydobyłem miecz, by Go bronić, i uciałem ucho sługi arcykapłana. I byłbym Go bronił, więcej niż żywota własnego, gdyby mi nie był rzekł: „Włóż twój miecz w pochwy. Zali kielicha, który mi dał Ojciec, pie nie będę?“... Wówczas Go pojмали i związali...

To rzekłszy, przyłożył dłonie do czoła i umilkł, chcąc przed dalszem opowiadaniem moc wspomnień pokonać. Lecz Urzus, nie mogąc wytrzymać, zerwał się, żeleźcem poprawił ogień na trzonie, aż iskry sypnęły się złotym deszczem i płomień strzelił żywiej, poczem siadł i zawołał:

— A niechby się stało, co chciało — hej!...

Lecz urwał nagle, gdyż Ligia położyła palec na ustach. Oddychał tylko rozgłosnie i znać było, że burzy się w duszy i że choć zawsze gotów całować stopy Apostoła, przecie tego jednego postępku uznać w duszy nie może, bo gdyby tak, ot. przy nim podniósł kto rękę na Zbawiciela, gdyby on był z Nim tej nocy, oj, poleciałyżby wióry i z żołnierzy i ze sług kapłańskich i ze służebników... I aż oczy zaszczyły mu łzami na samą myśl o tem, zarazem z żalu i z dusznej rozterki, bo z jednej strony pomyślał, że nie tylko samby Zbawiciela bronił, ale jeszcze skrzyknąłby mu w pomoc Ligów, chłopów na schwał, a z drugiej, że gdyby to uczynił, to okazałby nieposłuszeństwo Zbawicielowi i przeszkodził odkupieniu świata.

Więc dlatego nie mógł powstrzymać łez.

Po chwili Piotr, odjąwszy dłonie z czoła, począł opowiadać dalej, lecz Winicyusza opanował znów pół-sen gorączkowy. To, co teraz słyszał, pomieszało mu się z tem, co Apostoł opowiadał poprzedniej nocy w Ostryanum o owym dniu, w którym Chrystus ukazał się na brzegu

Tyberyadzkiego morza. Widział więc szeroko rozlaną toń, na niej łódź rybaczą, a w łodzi Piotra i Ligię. On sam płynął ze wszystkich sił za nimi, lecz ból w złamanem ramieniu przeszkadzał mu ich doścignąć. Burza jeła mu rzucać fale w oczy i począł tonąć, wołając błagalnym głosem o ratunek. Wówczas Ligia uknęła przed Apostołem, on zaś zwrócił łódź i wyciągnął ku niemu wiosło, które on schwyciwszy, wydostał się przy ich pomocy na łódź i upadł na jej dno.

Lecz następnie zdawało mu się, że powstawszy ujrzął mnóstwo ludzi, płynących za łodzią. Fale nakrywały pianą ich głowy; niektórym widać było już z oddechu tylko ręce, ale Piotr raz po raz ratował tonących i zabierał ich do łodzi, która rozszerzała się jakby cudem. Wkrótce wypełniły ją całe tłumy, tak wielkie, jak te, które były zebrane w Ostryanum, a potem jeszcze większe. Winicyusz dziwił się, jak się mogły w niej pomieścić, i wziął go strach, że pójdą na dno. Lecz Ligia poczęła go uspakajać i pokazywała mu jakieś światło na dalekiem brzegu, do którego płynęli. Tu marzenia Winicyusza pomieszały się znów z tem, co słyszał w Ostryanum z ust Apostoła, jako się Chrystus objawił nad jeziorem. Więc teraz widział w owem nadbrzeżnem świetle jakąś postać, ku której Piotr sterował. I w miarę jak zbliżali się ku niej, pogoda czyniła się cichsza, toń gładsza, a światłość większa. Tłumy poczęły śpiewać hymn słodki, powietrze wypełniło się zapachem nardu; woda grała tęczą, jakby z dna przeglądały lilie i róże, a wreszcie łódź uderzyła łagodnie piersią o piasek. Wówczas Ligia wzięła go za rękę i rzekła: „Pójdź, zaprowadzę cię!“ I wiodła go w światłość.

.

Winicyusz rozbudził się znowu, lecz marzenia jego rozpraszają się z wolna i nieodrazu odzyskał poczucie rzeczywistości. Przez czas jakiś zdawało mu się jeszcze, że

jest nad jeziorem i że otaczają go tłumy, wśród których, sam nie wiedząc dlaczego, począł szukać Petroniusza i zdziwił się, że go nie może odnaleźć. Żywe światło od komina, przy którym nie było już nikogo, otrzeźwiło go jednak zupełnie. Pieńki oliwne żarzyły się leniwie pod różowym popiołem, lecz za to szczapy pinii, których widocznie świeżo dorzucano na żarzewie, strzelały jasnym płomieniem i w blasku tym Winicyusz ujrzał Ligię, siedzącą nieopodal od jego łóżka.

Widok jej wzruszył go do głębi duszy. Pamiętał, że zeszłą noc spędziła w Ostryanum a cały dzień krzątała się przy opatrunku, teraz zaś, gdy wszyscy udali się na spoczynek, ona jedna czuwała u jego łoża. Łatwo było zgadnąć, że musi być jednak zmęczona, albowiem, siedząc nieruchomie, oczy miała zamknięte. Winicyusz nie wiedział, czy śpi, czy pogrążona jest w myślach. Patrzył na jej profil, na spuszczone rzęsy, na ręce złożone na kolanach i w pogańskiej głowie jego poczęło się z trudem wykluwać pojęcie, że obok nagiej, pewnej siebie i dumnej ze swych kształtów piękności greckiej i rzymskiej, jest na świecie jakaś inna, nowa, ogromnie czysta, w której tkwi dusza.

Nie umiał zdobyć się na to, by ją nazwać chrześcijańską, myśląc jednak o Ligii, nie mógł już oddzielić jej od nauki, którą wyznawała. Pojmował nawet, że jeśli wszyscy inni udali się na spoczynek, a Ligia jedna, ona, którą pokrzywdził, czuwała nad nim, to właśnie dlatego, że ta nauka tak nakazuje. Lecz myśl ta, przejmująca go podziwem dla nauki, była mu zarazem i przykrą. Wolałby był, by Ligia czyniła tak z miłości dla niego.

Nagle jednak poczuł, że gdyby ona była taka, jak inne kobiety, toby mu już w niej czegoś nie dostawało. Wówczas zdumiał się i sam nie wiedział, co się z nim dzieje, albowiem spostrzegł, że i w nim poczynają powstawać jakieś nowe uczucia i nowe upodobania, obce światu, w którym żył dotąd.

Tymczasem ona otworzyła oczy i widząc, że Wini-
cysz na nią patrzy, zbliżyła się ku niemu i rzekła:

— Jestem przy tobie.

A on odpowiedział:

— Widziałem we śnie twoją duszę.

XXII.

Niepokój duszy.

Nazajutrz ocknął się osłabiony, ale z głową chłodną i bez gorączki. Zdawało mu się, iż rozbudził go szept rozmowy, ale gdy otworzył oczy, Ligii nie było przy nim. Urzus tylko, pochylony przed kominem, rozgrzebywał siwy popiół i szukał pod nim żaru, który znalazłszy, począł rozdmuchiwać węgle, tak, jakby to czynił nie ustami, ale miechem kowalskim. Winicyusz, przypomniawszy sobie, że człowiek ów zgniółł wczoraj Krotona, przypatrywał się z zajęciem, godnem lubownika areny, jego olbrzymiemu grzbietowi, podobnemu do grzbietu cyklopa, i potężnym, jak kolumny, udom.

— Dzięki Merkuremu, że mi karku nie skręcił -- pomyślał w duszy. — Na Polluxa! jeśli inni Ligowie do niego podobni, legie danubijskie mogą mieć z nimi kiedyś ciężką robotę!

Głośno zaś ozwał się:

— Hej, niewolniku!

Urzus usunął głowę z komina i uśmiechnąwszy się niemal przyjaźnie, rzekł.

— Bóg ci daj, panie, dobry dzień i dobre zdrowie, ale ja człek wolny, nie niewolnik.

Winicyuszowi, który miał ochotę rozpytać Urzusa o ojczysty kraj Ligii, słowa te sprawiły pewną przyjem-

ność, albowiem rozmowa z człowiekiem wolnym, jakkolwiek prostym, mniejszą przynosiła ujmę jego rzymskiej i patrycyuszowskiej godności, niż rozmowa z niewolnikiem, w którym ni prawo, ni obyczaj nie uznawały ludzkiej istoty.

— Toś ty nie Aulusów? — spytał.

— Nie, panie. Ja służę Kallinie, jako służyłem jej matce, ale po dobrej woli.

Tu schował znów głowę w komin, by podmuchać na węgle, na które narzucił poprzednio drew, poczem wyjął ją i rzekł:

— U nas niema niewolników.

Lecz Winicyusz spytał:

— Gdzie jest Ligia?

— Dopiero co odeszła, a ja mam uwarzyć śniadanie dla ciebie, panie. Czuwała nad tobą całą noc.

— Czemuś jej nie wyręczył?

— Bo tak chciała, a moja rzecz słuchać.

Tu oczy zasępiły mu się i po chwili dodał:

— Gdybym ja jej nie słuchał, to tybyś, panie, nie żył.

— Zali żałujesz, żeś mnie nie zabił?

— Nie, panie. Chrystus nie kazał zabijać.

— A Atacynus? a Kroto?

— Nie mogłem inaczej — mruknął Urzus.

I począł patrzeć jakby z żalem na swe ręce, które widocznie zostały pogańskie, mimo, iż dusza chrzest przyjęła.

Następnie postawił garnek na trzonie i kucnąwszy przed kominem, utkwił zamyślane oczy w płomień.

— To twoja wina, panie — rzekł wreszcie — pocós podnosił rękę na nią, na córkę królewską?

W Winicyuszu zawrzała w pierwszej chwili duma, że prostak i barbarzyńiec śmie nietylko przemawiać do niego tak poufale, ale jeszcze przyganiać mu. Do tych nadzwyczajnych i nieprawdopodobnych rzeczy, które spotkały go onegdajszej nocy, przybyła jeszcze jedna. Lecz, będąc słabym i nie mając pod ręką swych niewolników,

pohamował się, zwłaszcza, że i chęć dowiedzenia się jakichś szczegółów z życia Ligii przemogła.

Więc, uspokoiwszy się, począł wypytywać o wojnę Ligów przeciw Waniuszowi i Swewom. Urzus rad opowiadał, lecz nie mógł dodać wiele nowego do tego, co Winicyuszowi opowiadał w swoim czasie Aulus Plaucyusz. Urzus w bitwie nie był, towarzyszył bowiem zakładniczkom do obozu Ateliusza Histra. Wiedział tylko, że Ligowie zbili Swewów i Jazygów, ale wódz ich i król poległ od strzały Jazyga. Zaraz potem odebrali wieści, że Semnonowie zapalili lasy na ich granicach i wrócili w lot, by pomścić krzywdę, a zakładniczki zostały u Ateliusza, który z początku kazał im oddawać honory królewskie. Później matka Ligii zmarła. Wódz rzymski nie wiedział, co robić z dzieckiem. Urzus chciał wracać z niem do kraju, ale droga to była niebezpieczna z powodu zwierza i dzikich plemion; gdy więc przysła wieść, że jakieś poselstwo Ligów znajduje się u Pomponiusza, ofiarując mu pomoc przeciw Markomanom, Hister odesłał ich do Pomponiusza. Przybywszy do niego, dowiedzieli się jednak, że posłów żadnych nie było — i w ten sposób zostali w obozie, skąd Pomponiusz przywiózł ich do Rzymu, a po odbytem tryumfie oddał królewskie dziecko Pomponii Grecynie.

Winicyusz, jakkolwiek w tem opowiadaniu drobne tylko szczegóły były mu nieznane, słuchał z przyjemnością, albowiem niezmierną jego pychę rodową łechtało mile to, że naoczny świadek stwierdzał królewskie pochodzenie Ligii. Jako córka królewska, mogła ona była zająć na dworze Cezara stanowisko, równe córkom najpierwszych rodów, tembardziej, że naród, którego władcą był jej ojciec, nigdy dotąd nie wojował z Rzymem, a jakkolwiek barbarzyński, mógł się okazać groźnym, gdyż, wedle świadectwa samego Ateliusza Histra, posiadał „niezliczoną moc“ wojowników.

Urzus zresztą potwierdził w zupełności owo świadectwo, albowiem na pytanie Winicyusza o Ligów, odrzekł:

— My siedzimy w lasach, ale ziemi u nas tyle, że nikt nie wie, gdzie koniec puszczy i ludu w niej dużo. Są też w puszczy i grody drewniane, w których dostatek wielki, bo co Semnony, Markomany, Wandale i Kwady złupią po świecie, to my im odbieramy. Oni zaś nie śmiają do nas iść, jeno gdy wiatr od nich, to palą nam lasy. I nie boimy się ni ich, ni rzymskiego Cezara.

— Bogowie dali Rzymianom zwierzchnictwo nad ziemią — rzekł surowo Winicyusz.

— Bogowie, to złe duchy — odpowiedział z prostotą Urzus — a gdzie niema Rzymian, tam niema i zwierzchnictwa.

Tu poprawił ogień i mówił jakby sam do siebie:

— Gdy Kallinę wziął Cezar na dwór, a ja myślałem, że może ją spotkać krzywda, to chciałem iść aż hen do lasów i sprowadzić Ligów na pomoc królownie. I Ligowie ruszyliby ku Dunajowi, bo to lud dobry, choć pogąński. Ot! zaniósłbym im „dobrą nowinę“. Ale ja i tak kiedy, jak Kallina wróci do Pomponii, pokłonię się jej, by pozwoliła mi iść do nich, bo Chrystus narodził się daleko i oni nawet nie słyszeli o Nim... Wiedział On lepiej ode mnie, gdzie Mu się trzeba narodzić, ale gdyby tak u nas, w puszczy przyszedł na świat, pewniebyśmy Go nie umęczyli, ale hodowalibyśmy Dzieciątko i dbali, by Mu nigdy nie zabrakło ni zwierzyny, ni grzybów, ni skór bobrowych, ni bursztynu. A cobyśmy na Swewach albo Markomanach złupili, tobyśmy Mu oddali, by zaś miało dostatek i wygodę.

Tak mówiąc, przystawił do ognia naczynie z polewką, przeznaczoną dla Winicyusza, i umilkł. Myśl jego widocznie błądziła czas jakiś po puszczech ligijskich, aż dopiero gdy płyn począł syczeć, wylał go w płaską misę i ostudziwszy należycie, rzekł:

— Glaukus radzi, byś jak najmniej poruszał, panie, nawet tą ręką, która została zdrowa, więc Kallina rozkazała mi cię karmić.

Ligia rozkazała! na to nie było odpowiedzi. Winicyuszowi nie przyszło nawet na myśl sprzeciwić się jej woli. jakby była córką Cezara lub boginią, nie odpowiedział przeto ani słowem, Urzus zaś, siadłszy koło jego łóżka, począł czerpać polewkę z misy małym kubkiem i podawać mu ją do ust. Czynił to tak troskliwie, z takim dobrym uśmiechem w swoich błękitnych oczach, iż Winicyusz oczom swoim nie wierzył, by to mógł być ten sam straszliwy tytan, który w dniu wczorajszym, zgniółszy Krotona, rzucił się na niego samego, jak burza, i byłby go rozniósł, gdyby nie litość Ligii. Młody patrycyusz po raz pierwszy w życiu począł się zastanawiać nad tem, co też może dziać się w piersi prostaka, sługi barbarzyńcy.

Lecz Urzus okazał się niańką, o tyle niezgrabną, o ile troskliwą. Kubek ginął całkowicie w jego herkulesowych palcach, tak, że nie pozostawało nic miejsca dla ust Winicyusza. Po kilku nieudanych próbach olbrzym zatroskał się wielce i rzekł:

— Ej, łatwiej żubra z ostępu wywieść...

Winicyusza zabawiło zakłopotanie Liga, lecz niemniej zajęła go jego uwaga. Widywał on w cyrkach straszliwe „ury“, sprowadzone z puszczy północnych, na które najdzielniejsi *bestiarii* polowali z obawą, i które jednym tylko słoniom ustępowały w wielkości i sile.

— Zaliś próbował brać takie bestye za rogi? — spytał ze zdumieniem.

— Póki nie przeszło nade mną dwadzieścia zim, tom się bał — odrzekł Urzus — ale potem bywało!

I jął znów karmić Winicyusza, jeszcze niezgrabniej, niż przedtem.

— Muszę poprosić Myryam lub Nazaryusza — rzekł.

Lecz tymczasem blada główka Ligii wychyliła się z poza zasłony.

— Zaraz pomogę — rzekła.

I wyszła po chwili z kubikulum, w którym gotowała się widocznie do snu, gdyż przybrana była tylko w obci-

słą tunikę, zwaną u starożytnych *capitium*, zakrywającą szczelnie piersi, i włosy miała rozwiązane. Winicyusz, którego serce zabiło żywiej na jej widok, począł jej wymawiać, że dotąd nie pomyślała o śnie, lecz ona odrzekła wesoło:

— Właśnie chciałam to zrobić, ale pierwej zastąpię Urzusa.

I wzięwszy kubek, siadła na krawędzi łóżka i poczęła karmić Winicyusza, który czuł się zarazem upokorzony i szczęśliwy.

Po chwili odmówił dalszego posiłku i, choć w patrzaniu na nią i w jej obecności znajdował nieprzebraną rozkosz, rzekł:

— Dosyć. Idź spocząć, boska moja.

— Nie nazywaj mnie tak — odpowiedziała — mnie się tego słuchać nie godzi.

Jednakże uśmiechała się do niego, a następnie rzekła mu, że sen ją odbiegł, że trudu nie czuje, i że nie uda się na spoczynek, póki nie przyjdzie Glaukus. On słuchał jej słów jak muzyki, a zarazem serce wzbierało mu coraz większem wzruszeniem, coraz większym zachwytem, coraz większą wdzięcznością, a myśl biedziła się, jakby jej tę wdzięczność okazać.

— Ligio — rzekł po chwili milczenia — jam cię poprzednio nie znał. Ale teraz wiem, żem chciał dojść do ciebie błędną drogą, więc ci powiadam: wróć do Pomponii Grecyny i bądź pewna, że odtąd nikt nie podniesie na ciebie ręki.

A jej twarz posmutniała nagle.

— Byłabym szczęśliwa — odrzekła — gdybym ją choć z daleka mogła zobaczyć, ale wrócić do niej już nie mogę.

— Dlaczego? — zapytał ze zdziwieniem Winicyusz.

— My, chrześcijanie, wiemy przez Akte, co się na Palatynie dzieje. Zaliś nie słyszał, że Cezar wkrótce po mojej ucieczce, a przed swym wyjazdem do Neapolis, we-

zwał Aulusa i Pomponię — i, mniemając, że mi pomogli, groził im swym gniewem. Szczęściem, Aulus mógł mu odzecz: „Wiesz, panie, iż nigdy kłamstwo nie przeszło mi przez usta; otóż przysięgam ci, żeśmy jej nie pomogli do ucieczki, i że równie, jak ty, nie wiemy, co się z nią stało“. I Cezar uwierzył, a potem zapomniał — ja zaś z porady starszych nigdy nie pisałam do matki, gdzie jestem, by zawsze śmiało mogła zaprzysiędź, że nic o mnie nie wie. Ty może tego nie pojdziesz, Winicyuszu, ale nam kłamać nie wolno, nawet gdyby o życie chodziło. Taka jest nasza nauka, do której chcemy stosować serca, więc nie widziałam Pomponii od czasu, gdy opuściła jej dom, ją zaś zaledwie od czasu do czasu dolatywały dalekie echa, że żyję i że jestem bezpieczna.

Tu porwała ją tęsknota, bo oczy jej zrosiły się łzami, lecz wkrótce uspokoiła się i rzekła:

— Wiem, że i Pomponia tęskni za mną, my jednak mamy nasze pociechy, których nie mają inni.

— Tak — odrzekł Winicyusz — waszą pociechą Chrystus, ale ja tego nie rozumiem.

— Patrz na nas: niema dla nas rozłączeń, niema bóleści i cierpień, a jeśli przyjdą, to zmieniają się w radość. I śmierć sama, która dla was jest końcem życia, dla nas jest tylko jego początkiem i zmianą gorszego szczęścia na lepsze, mniej spokojnego na spokojniejsze i wieczyste. Zważ, jaką musi być nauka, która nakazuje nam miłosierdzie nawet względem nieprzyjaciół, broni kłamstwa, oczyszcza dusze nasze od złości, i obiecuje po śmierci szczęście nieprzebrane.

— Słyszałem to w Ostryanum i widziałem, jak postąpiliście ze mną i z Chilonem, a gdy o tem myślę, dotychczas zdaje mi się, że to sen, i że ni uszom, ni oczom nie powinienem wierzyć. Lecz ty mi odpowiedz na inne pytanie: jestżeś szczęśliwa?

— Tak! — odrzekła Ligia. — Wyznając Chrystusa, nie mogę być nieszczęśliwą.

Winicyusz spojrział na nią, jak gdyby to, co mówiła, przechodziło całkiem miarę ludzkiego rozumowania.

— I nie chciałabyś wrócić do Pomponii?

— Chciałabym z całej duszy i wrócę, jeśli taka będzie wola Boga.

Więc ci mówię: wróc, a ja ci przysięgnę na moje lary, że nie podniosę na ciebie ręki.

Ligia zamyśliła się przez chwilę, poczem odrzekła:

— Nie. Nie mogę blizkich moich podać na niebezpieczeństwo. Cezar nie kocha rodu Plaucyuszów. Gdybym wróciła — ty wiesz, jak przez niewolników rozchodzi się każda wiadomość po Rzymie — więc i mój powrót stałby się rozgłosny w mieście i Nero dowiedziałby się o nim przez swoich niewolników niewątpliwie. Wówczas skarałby Aulusów, a co najmniej odebrałby mnie im znowu.

— Tak — rzekł, marszcząc brwi Winicyusz — toby być mogło. Uczyniłby to, choćby dlatego, by okazać, że woli jego musi się stać zadosyć. Prawda jest, że on tylko zapomniał o tobie lub nie chciał myśleć, mniemając, że nie jemu, ale mnie stała się ujma. Lecz może... odjąwszy cię Aulusom... oddałby mnie, a ja, wróciłbym cię Pomponii.

Lecz ona zapytała ze smutkiem:

— Winicyuszu, czy chciałbyś mnie widzieć znów na Palatynie?

On zaś zacisnął zęby i odrzekł:

— Nie. Masz słuszność. Mówilem jak głupiec! Nie!

I nagle ujrzał przed sobą jakby przepaść bez dna. Był patrycyuszem, był trybunem wojskowym, był człowiekiem potężnym, ale nad wszystkimi potęgami tego świata, do którego należał, stał przecie szalencie, którego ni woli, ni złośliwości niepodobna było przewidzieć. Nie liczyć się z nim, nie bać się go, mogli chyba tacy ludzie, jak chrześcijanie, dla których cały ten świat, jego rozłąki, cierpienia i śmierć sama była niczem. Wszyscy inni musieli drzeć przed nim. Groza czasów, w których żyli, ukazała się Winicyuszowi w całej swej potwornej rozciągłości. Nie mógł

oto oddać Ligii Aulusom, z obawy, by potwór nie przypomniał sobie jej, i nie zwrócił na nią swego gniewu; z tego samego powodu, gdyby ją teraz wziął za żonę, mógł narazić ją, siebie i Aulusów. Chwila złego humoru wystarczała, by zgubić wszystkich. Winicyusz po raz pierwszy w życiu poczuł, że albo świat musi się zmienić i przedzić, albo życie stanie się zgoła niemożliwe. Zrozumiał również to, co przed chwilą jeszcze było dla niego ciemne, że w takich czasach jedni tylko chrześcijanie mogli być szczęśliwi.

Lecz przedewszystkiem chwycił go żal, gdyż zrozumiał i to, że to on sam tak poplątał życie sobie i Ligii, iż z tej plątaniny nie było prawie wyjścia. I pod wpływem tego żalu począł mówić:

— Czy ty wiesz, żeś ty szczęśliwsza ode mnie? Ty w ubóstwie i w tej jednej izbie wśród prostaków miałaś swoją naukę i swego Chrystusa, ja zaś mam tylko ciebie, i gdy mi cię zabrakło, byłem jak nędzarz, który nie ma ni dachu nad sobą, ni chleba. Tyś mi droższa, niż świat cały. Szukałem cię, bom nie mógł żyć bez ciebie. Nie chciałem ni uczt, ni snu. Gdyby nie nadzieja, że cię znajdę, byłbym się rzucił na miecz. Ale boję się śmierci, bo nie mógłbym na ciebie patrzeć. Mówię ci szczerą prawdę, iż nie potrafię bez ciebie żyć i dotąd żyłem tylko nadzieją, że cię znajdę i zobaczę. Dla mnie tyś bóstwem.

Tak mówiąc, pociągnął ręką po pobladłym czole i przymknął oczy. Natura jego nie знаła nigdy tamy, tak w gniewie, jak i w miłości. Mówił z uniesieniem, jak człowiek, który, przestawszy nad sobą panować, nie chce liczyć się z żadną miarą ni w słowa, ni w czei. Lecz mówił z głębi duszy i szczerze.

Ligii słowa jego wydały się bluźniercze, a jednak serce jej poczęło bić, jakby chciało rozerwać krępującą piersi tunikę. Nie mogła oprzeć się litości nad nim i nad jego męką. Wzruszyła ją cześć, z jaką do niej mówił, Czuła się kochaną i ubóstwianą bez granic, czuła, że ten

nieugięty i niebezpieczny człowiek należy teraz do niej duszą i ciałem, jak niewolnik, i to poczucie jego pokory, własnej potęgi napełniło ją szczęściem.

I nagle zrozumiała, że może przyjść chwila, w której jego miłość ogarnie i porwie ją, jak wichur, a poczuwszy to, doznała wrażenia, że stoi nad brzegiem przepaści. Wydało się jej, że sama myśl o jakiegokolwiek innej miłości, niż miłość do Chrystusa, jest już grzechem przeciw Niemu i przeciw nauce, gdy więc spostrzegła, że na dnie jej duszy mogą się zbudzić inne uczucia i pragnienia, chwyciła ją trwoga przed własną przyszłością i własnym sercem.

Na tę chwilę wewnętrznej rozterki trafił Glaukus, który przyszedł opatrzyć chorego i zbadać jego zdrowie. Na twarzy Winicyusza w mgnieniu oka odbił się gniew i zniecierpliwienie. Zły był, iż mu przerwano rozmowę z Ligią i gdy Glaukus począł zadawać mu pytania, odpowiadał niemal z pogardą. Wprawdzie pomiarkował się wkrótce, lecz, jeśli Ligia miała jakiegokolwiek złudzenia, że to, co słyszał na Ostryanum, mogło podziałać na jego nieużytą naturę; to złudzenia owe musiały pierzchnąć. Zmienił się tylko dla niej, lecz poza tem jednym uczuciem pozostało mu w piersi dawne surowe i samolubne, prawdziwie rzymskie i zarazem wilcze serce, niezdolne, nietylko do uczucia słodkiej nauki chrześcijańskiej, ale nawet i wdzięczności.

Odeszła wreszcie, pełna wewnętrznej troski i niepokoju. Niegdyś w modlitwie ofiarowała Chrystusowi serce pogodne i istotnie czyste, jak łąza. Teraz pogoda ta była zmacona. Do wnętrza kwiatu dostał się jadowity robak i począł w nim huczeć. Nawet sen, mimo nieprzespanych dwóch nocy, nie przyniósł jej ukojenia.

XXIII.

Piotr Apostół.

Od tej chwili rzadziej pokazywała się we wspólnej izbie i rzadziej zbliżała się do jego łóżka. Lecz spokój jej nie wracał. Widziała, że Winicyusz wodzi za nią błagalnym wzrokiem, że czeka na każde jej słowo, jak na łaskę, że cierpi i nie śmie się skarżyć, by jej do siebie nie zrazić, że ona jedna jest mu zdrowiem i radością, i wówczas serce wzbierało w niej politowaniem. Wkrótce też spostrzegła, że im bardziej stara się go unikać, tem większy jej go żal, a tem samem tem tkliwsze rodzą się w niej dla niego uczucia. Opuściła ją spokojność. Czasem mówiła sobie, że właśnie powinna być ciągle przy nim, raz dlatego, że Boska nauka nakazuje dobrem za złe płacić, a powtóre, że rozmawiając z nim, mogłaby go do tej nauki pociągnąć. Lecz zaraz sumienie mówiło jej, że oszukuje sama siebie, i że ciągnie ją ku niemu nie co innego, tylko jego miłość i jego urok. W ten sposób żyła w ciągłej rozterce, która powiększała się z dniem każdym.

On zaś był cierpliwy, jakby sobie cierpliwość poprzysiągł. W rozmowach jego z Glaukiem mniej było dumy. Często przychodziło mu do głowy, że i ten biedny lekarz niewolnik i cudzoziemka, stara Myryam, która otaczała go troskliwością, i Kryspus, którego widywał pogrążonego ciągle w modlitwie, to jednak są ludzie. Dziwił

się podobnym myślom — jednakże je miewał. Urzusa polubił z czasem, i rozmawiał z nim teraz całymi dniami, albowiem mógł z nim mówić o Ligii, olbrzym zaś był niewyczerpany w opowiadaniach i spełniając przy chorym najprostsze usługi, począł mu również okazywać pewien rodzaj przywiązania. Ligia była zawsze dla Winicyusza istotą, jakby do innego gatunku należąca, wyższą stokrotnie od tych, którzy ją otaczali; niemniej jednak począł przypatrywać się ludziom prostym i ubogim, czego nie czynił nigdy w życiu, i począł odkrywać w nich różne godne uwagi strony, których istnienie nigdy przedtem nie przychodziło mu do głowy.

Większe walki musiał ze sobą staczać młody trybun, by poddać się, choćby w milezeniu, tej czci, jaką wśród tych ludzi było otoczone imię Chrystusa i Jego nauka. Pod tym względem działały się w Winicyuszu rzeczy dziwne. Była to, bądź co bądź, nauka, w którą wierzyła Ligia, więc dlatego samego gotów był ją uznać. Następnie, im bardziej przychodził do zdrowia, im lepiej przypominał sobie cały szereg zdarzeń, które zaszły od owej nocy na Ostryanum, i cały szereg pojęć, które napłynęły od tego czasu do jego głowy, tem bardziej zdumiewał się nad nadludzką siłą tej nauki, która przeradzała tak do gruntu dusze ludzkie. Rozumiał, że jest w niej coś nadzwyczajnego, coś, czego nie było dotąd na świecie, i czuł, że gdyby ona ogarnęła świat cały, gdyby wszczepiła weń swoją miłość i swoje miłosierdzie, to chyba nastalaby jakaś epoka, przypominająca ową, w której jeszcze nie Jowisz, ale Saturn rządził światem. Nie śmiał też wątpić, ani o nadprzyrodzonym pochodzeniu Chrystusa, ani o Jego zmartwychwstaniu, ani o innych cudach. Naoczni świadkowie, którzy o tem mówili, zbyt byli wiarogodni i zbyt brzydzili się kłamstwem, by mógł przypuścić, że opowiadają rzeczy niebywałe. Wreszcie sceptycyzm rzymski pozwalał sobie na niewiarę w bogów, ale wierzył w cuda. Winicyusz stał wobec jakiejś dziwnej zagadki, której nie umiał

rozplątać. Z drugiej strony jednak cała ta nauka wydawała mu się tak przeciwną istniejącemu porządkowi rzeczy, tak niepodobną do przeprowadzenia w praktyce i tak szaloną, jak żadna inna. Według niego, ludzie i w Rzymie i na całym świecie mogli być źli, ale porządek rzeczy był dobry. Gdyby Cezar był naprzykład uczciwym człowiekiem, gdyby senat składał się nie ze znikczemniałych rozpusztników, ale z ludzi takich, jakim był Trazeasz, czegożby więcej można sobie życzyć? Wszak pokój rzymski i zwierzchność rzymska były rzeczą dobrą, rozdział między ludźmi słusznym i sprawiedliwym. A tymczasem ta nauka, wedle rozumienia Winicyusza, musiałaby zburzyć wszelki porządek, wszelką zwierzchność i znieść wszelkie różnice. I co wówczas stałoby się choćby z władztwem i państwem rzymskim? Zali Rzymianie mogli przestać panować, lub uznać całą trzodę podbitych narodów za równą sobie? To już nie mieściło się w głowie patrycyusza. A przytem osobiście nauka ta była przeciwną wszelkim jego wyobrażeniom, przyzwyczajeniu, charakterowi i pojęciom o życiu. Nie mógł sobie wyobrazić, jakby mógł istnieć, gdyby ją naprzykład przyjął. Obawiał się jej i podziwiał ją, ale przed przyjęciem wzdrygała się po prostu jego natura. Rozumiał nakoniec, że nic innego, tylko ona rozdzieliła go z Ligią, i gdy o tem myślał, nienawidził jej ze wszystkich sił duszy.

Jednakże zdawał sobie już sprawę, że to ona ubrała Ligię w tę jakąś wyjątkową, niewysłowioną piękność, która w jego sercu zrodziła prócz miłości cześć i z samej Ligii uczyniła drogą mu nad wszystko w świecie istotę. A wówczas chciało mu się znów kochać Chrystusa. I pojmował jasno, że albo Go musi pokochać, albo znienawidzić, obojętnym zaś zostać nie może. Tymczasem parły go jakby dwie przeciwne fale, wahał się w myślach, wahał się w uczuciach, nie umiał wybrać, skłaniał jednak głowę i okazywał milczącą cześć temu niepojętemu dla siebie Bogu, dlatego tylko, że był to Bóg Ligii.

Ligia zaś widziała co się w nim działo, jak się przełamywał, jak natura jego odrzucała tę naukę, i jeśli z jednej strony martwiło ją to śmiertelnie, z drugiej strony żal, litość i wdzięczność za owo milczące poszanowanie, jakie dla Chrystusa okazywał, skłaniały ku niemu z nieprzepartą siłą jej serce. Przypomniała sobie Pomponię Grecynę i Aulusa. Dla Pomponii źródłem nieustannego smutku i nigdy nieosychających łez, była myśl, że za grobem nie odnajdzie Aulusa. Ligia poczęła teraz lepiej rozumieć tę gorycz i ten ból. I ona znalazła drogą istotę, z którą groził jej wiekuisty rozdział. Czasem łudziła się wprawdzie, że jego dusza otworzy się jeszcze na Chrystusowe prawdy, ale złudzenia te nie mogły się ostać. Znała i rozumiała go już zbyt dobrze. Winicyusz — chrześcijaninem! Te dwa pojęcia, nawet w jej niedoświadczonej głowie, nie mogły się obok siebie pomieścić. Jeśli rozważny i pełen stateczności Aulus nie został nim pod wpływem mądrej i doskonałej Pomponii, jakże mógł nim zostać Winicyusz? Na to nie było odpowiedzi, a raczej istniała tylko jedna: że niemasz dla niego ni nadziei, ni ratunku.

Lecz Ligia spostrzegła z przestraczem, że ten wyrok zatraty, który na nim wisi, zamiast ją zrażać do niego, przez samo politowanie czyni go jej jeszcze droższym, zrozumiała, że teraz ona sama potrzebuje ratunku. Wywoławszy więc Kryspa do ogrodowego letnika, pokrytego bluszczem i zwiędłymi powojami, otworzyła mu całą duszę, błagając go zarazem, by pozwolił jej porzucić dom Myryam, albowiem nie ufa już sobie i nie może przemódcz w sercu miłości dla Winicyusza.

Kryspus, który był człowiekiem starym, surowym i pogrążonym w ciągłym uniesieniu, zgodził się na zamiar opuszczenia domu Myryam, lecz nie znalazł słów przebaczenia dla grzesznej, wedle jego pojęć, miłości. Serce wezbrało mu oburzeniem na samą myśl, że owa Ligia, którą opiekował się od chwili ucieczki, którą pokochał, utwierdził w wierze i na którą patrzył dotychczas, jakby na

białą lilię, wyrosłą na gruncie nauki chrześcijańskiej i nieskażoną żadnem tchnieniem ziemskim, mogła znaleźć w duszy miejsce na inną miłość, niż niebieską. Wierzył dotąd, że nigdzie, w całym świecie nie było czystsze serce na chwałę Chrystusa. Chciał ją Mu ofiarować, jak perłę, jak klejnot i drogie dzieło rąk własnych, więc doznany zawód napełnił go zdumieniem i goryczą.

— Idź i błagaj Boga, by ci przebaczył winy — rzekł jej posepnie. — Uciekaj, póki zły duch, który cię oplątał, nie przywiedzie cię do zupełnego upadku i póki nie zaprzesz się Zbawiciela. Któż on jest? — Przyjaciel i sługa Antychrysta, współnik rozpusty i zbrodni. Gdzież on cię zawiedzie, jeśli nie do tej oteklani i do tej Sodomy, w której sam żyje, a którą Bóg zniszczy płomieniem swego gniewu? Niechaj ci Bóg przebaczy i niechaj zmiłuje się nad tobą, gdyż ja, póki nie wyrzucisz węża... ja, który miałem cię za wybraną...

I nagle przestał mówić, albowiem spostrzegł, że nie byli sami.

Przez zwiędłe powoje i przez bluszcze, zieleniące się jednako latem i zimą, ujrzał dwóch ludzi, z których jeden był Piotr Apostoł. Drugiego nie mógł zrazu rozpoznać, albowiem płaszcz z grubej włosianej tkaniny, zwanej *cilicium*, zasłaniał mu część twarzy. Kryspowi wydawało się przez chwilę, iż to był Chilon.

Oni zaś, usłyszawszy podniesiony głos Kryspa, weszli do letnika i siedli na kamiennej ławce. Towarzysz Piotra odsłonił wówczas twarz chudą, z łysiejącą czaszką, pokrytą po bokach kędzierzawym włosem, z zaczerwienionemi powiekami i z zakrzywionym nosem — brzydką i zarazem natchnioną, w której Kryspus rozpoznał rysy Pawła z Tarzu.

Lecz Ligia, rzuciwszy się na kolana, objęła ramionami jakby z rozpaczą nogi Piotra i przytuliwszy swą znękaną główkę do fałd jego płaszcza, pozostała tak w milczeniu.

A Piotr rzekł:

— Pokój duszom waszym.

I widząc dziecko u swych nóg, zapytał, co się stało. Wówczas Kryspus począł opowiadać wszystko, co mu wyznała Ligia, jej grzeszną miłość, jej chęć ucieczki z domu Myryam i swój żal, że dusza, którą chciał ofiarować Chrystusowi czystą, jak łza, zbrudziła się ziemskim uczuciem dla uczestnika wszystkich zbrodni, w których grzęznął świat pogański, i które wołały o pomstę Bożą.

Ligia w czasie jego słów obejmowała coraz silniej nogi Apostoła, jakby chcąc przy nich szukać ucieczki i wyzobrać choć trochę litości.

Apostoł zaś, wysłuchawszy do końca, pochylił się i położył zgrzybiałą rękę na jej głowie, poczem podniósł oczy na starego kapłana i rzekł:

— Kryspie, zaliś nie słyszał, że Mistrz nasz ukochany był w Kanie na godach i błogosławił miłości między niewiastą i mężem?

Kryspowi opadły ręce i spojrział ze zdumieniem na mówiącego, nie mogąc słowa przemówić.

A ów, pomilezawszy chwilę, spytał znowu:

— Kryspie, zali mniemasz, że Chrystus, który dopuszczał Maryi z Magdali leżeć u nóg swoich i który przebaczył jawnogrzesznicy, odwróciłby się od tego dziecka, czystego jak lilie polne?

Ligia ze łkaniem przytuliła się jeszcze silniej do nóg Piotrowych, zrozumiawszy, że niepróżno szukała przy nich ucieczki. Apostoł, podniósłszy jej łzami zalaną twarz, mówił do niej:

— Póki oczy tego, którego miłujesz nie otworzą się na światło prawdy, póty unikaj go, lecz módl się za niego i wiedz, że nie masz winy w miłości twojej. A iż chcesz się chronić pokusy, przeto ta zasługa policzona ci będzie. Nie martw się i nie płacz, albowiem powiadam ci, że łaska Zbawiciela nie opuściła cię, i że modlitwy twoje zostaną wysłuchane, po smutkach zaś poczną się dni wesela.

To rzekłszy, położył obie dłonie na jej włosach, i wzniosłszy w górę oczy, błogosławił jej. Z twarzy świeciła mu nadziemska dobroć.

Lecz skruszony Kryspus począł się z pokorą usprawiedliwiać:

— Zgrzeszyłem przeciw miłosierdziu — rzekł — alem mniemał, że dopuszczając do serca miłość ziemską, zaparła się Chrystusa...

Piotr zaś odpowiedział:

— Po trzykroć się Go zaparłem, a jednak przebaczył mi i kazał paść baranki swoje.

— ...I dlatego — kończył Kryspus — że Winicyusz jest augustyaninem...

— Chrystus kruszył twardsze jeszcze serca — odrzekł Piotr.

Na to Paweł z Tarzu, który milczał dotąd, przyłożył palce do swej piersi i wskazując na siebie rzekł:

— Jam jest, którym prześladował i porywał na śmierć sługi Chrystusa. Jam podczas kamienowania Szczepana pilnował szat tych, którzy go kamienowali; jam chciał wypełnić prawdę po wszystkiej ziemi, którą zamieszkują ludzie, a jednak — mnie to przeznaczył Pan, abym ją po wszystkiej ziemi opowiadał. I opowiadałem ją w Judei, w Grecyi, na wyspach i w tem bezbożnem mieście, gdym po raz pierwszy, jako więzień, w niem mieszkał. A teraz, gdy mnie wezwał Piotr, mój zwierzchnik, wstąpię do domu tego, aby ugiąć tę dumną głowę do nóg Chrystusowych i rzucić ziarno w tę kamienistą rolę, którą użyżni Pan, aby wydała plon obfity.

I powstał — Kryspowi zaś ten mały, zgarbiony człowiek wydał się w tej chwili tem, czem był w istocie, to jest olbrzymem, który wzruszy świat z posad i zagarnie ludy i ziemie.

XXIV.

Skutki nowej nauki.

Winicyusz, wróciwszy z Zatybrza do swej rozkosznej *insuli* na Karynach, był jeszcze osłabiony, wyczerpany i przez pierwsze dni doznawał pewnego zadowolenia z wypoczynku, wygod i dostatku, jaki go otaczał. Lecz zadowolenie to trwało krótko. Wkrótce uczuł, że żyje w próżni, że to wszystko, co stanowiło dla niego dotychczas interes życia, albo zupełnie dla niego nie istnieje, albo zmniejszyło się do zaledwie dostrzegalnych rozmiarów. Miał takie uczucie, jakoby podcięto w jego duszy te struny, które dotychczas łączyły go z życiem, a nie nawiązano żadnych nowych. Na myśl, że mógłby pojechać do Benewentu, a następnie do Achai i zanurzyć się w życiu rozkoszy i szalonych wybryków, doznał uczucia czczości. „Poco? co mi z tego przyjdzie?“ Oto były pierwsze pytania, które przesunęły mu się przez głowę. Również po raz pierwszy w życiu pomyślał, że gdyby pojechał, to rozmowa Petroniusza, jego dowcip, błyskotliwość, jego wykwintne określanie myśli i dobieranie trafnych słów dla każdej idei, mogłyby go obecnie nużyć.

Z drugiej strony jednak poczęła go nużyć także i samotność. Wszyscy jego znajomi bawili z Cezarem w Benewencie, musiał więc siedzieć w domu sam, z głową pełną myśli i sercem pełnem poczuć, z których nie umiał

sobie zdać sprawy. Miewał jednak chwile, w których sądził, że gdyby mógł z kim porozmawiać o tem wszystkim, co się w nim dzieje, to może sam zdołałby to wszystko jakoś uchwycić, uporządkować i rozpoznać lepiej. Pod wpływem tej nadziei, po kilku dniach wahania, wysłał do Petroniusza list, w którym opisał znane nam zdarzenia, tak pisze dalej: „Nie byłem jej obojętny i dziś jeszcze wydaje mi się niepodobieństwem myśleć inaczej. A jednak taż sama Ligia opuściła potajemnie przede mną mieszkanie Myryam. Dlaczego? Nie jej już nie groziło. Jeśli mnie nie kochała, mogła mnie odrzucić. Na dzień przedtem poznałem dziwnego człowieka, niejakiego Pawła z Tarzu, który rozmawiał ze mną o Chrystusie i Jego nauce i rozmawiał tak potężnie, że mi się wydało, iż każde jego słowo, mimo jego woli, obraca w perzynę wszystkie podstawy naszego świata. Ten sam człowiek odwiedzał mnie po jej ucieczce i rzekł mi: „Gdy Bóg otworzy oczy twoje na światło i zdejmie z nich bielmo, jak zdjął z moich, wówczas odczujesz, że postąpiła słusznie, i wówczas może ją odnajdziesz“. I oto łamię głowę nad temi słowy, jakbym je usłyszał z ust Pityi w Delfach. Chwilami zdaje mi się, że już coś rozumiem. Oni, kochając ludzi, są nieprzyjaciółmi naszego życia, naszych bogów i... naszych zbrodni, więc ona uciekła ode mnie, jako od człowieka, który do tego świata należy i z którym musiałyby podzielić życie, uważane przez chrześcijan za występne. Powiesz, że skoro mogła mnie odrzucić, więc nie potrzebowała się oddalać. A jeśli i ona mnie kocha? W takim razie chciała uciec przed miłością. Na samą myśl o tem chce mi się wysłać niewolników we wszystkie zaułki Rzymu i nakazać im, aby krzyczeli po domach: „wróć Ligio!“ Ale przestaję rozumieć, dlaczego ona to uczyniła. Jaby jej przecie nie bronił wierzyć w jej Chrystusa i sam wznosiłbym mu ołtarz w atrium. Co jeden nowy Bóg więcej mógłby mi szkodzić i dlaczego nie miałbym w Niego uwierzyć, ja, który nie bardzo wierzę w starych? Ale zdaje się, że to

wszystko chrześcijanom jeszcze nie wystarcza. Nie dość uczcić Chrystusa, trzeba jeszcze żyć wedle nauki; i tu dopiero stajesz jakby nad brzegiem morza, które ci każą przebrnąć piechotę. Gdybym to im obiecał, sami czuliby, że to jest pusty dźwięk słów w moich ustach. Paweł powiedział mi to otwarcie. Dla nich, niedość się zgodzić w słowach, trzeba jeszcze czuć, że tak jest dobrze i nie mieć w duszy niczego innego. A ja, bogowie mi świadkami! — nie mogę. Czy rozumiesz, co to znaczy? Jest coś w mojej naturze, co się wzdryga na tę naukę, i choćby usta moje ją sławiły, choćbym się do jej przepisów stosował, rozum i dusza mówiłyby mi, że to czynię dla miłości, dla Ligii, i że gdyby nie ona, to nic w świecie nie byłoby dla mnie przeciwniejszego. I rzecz dziwna, że taki Paweł z Tarzu to rozumie, i że rozumie, mimo całej swej prostoty i niskiego pochodzenia, ów stary theurgus¹⁾ największy między nimi, Piotr, który był uczniem Chrystusa. I czy wiesz, co czynią? oto modlą się za mnie i proszą dla mnie o coś, co nazywają łaską, a na mnie zstępuje tylko niepokój i coraz większa tęsknota za Ligią.

„Wszakżem ci pisał, że ona odeszła tajemnie, ale odchodząc, zostawiła mi krzyż, który sama powięzała z gałązek bukszpanu. Zbudziwszy się, znalazłem go przy łóżku. Mam go teraz w lararium i sam nie umiem zdać sobie sprawy, dlaczego zbliżam się jednak do niego tak, jakby w nim było coś boskiego, to jest ze czcią i obawą. Kocham go, bo jej ręce go wiązały, a nienawidzę, bo on nas dzieli. Czasem mi się zdaje, że są w tem wszystkim jakieś czary i że theurgus Piotr, choć się powiada być prostym rybakiem, jest większy i od Apoloniusza²⁾ i od wszystkich, jacy przed nim byli, i że on to opętał ich tam wszystkich, Ligię, Pomponię, i mnie samego.

„Szczерze ci mówię, że nic przeciwniejszego mej na-

¹⁾ Człowiek mający stosunek z wyższymi istotami. ²⁾ Apoloniusz z Tyany, głośny mag i cudotwórca.

turze, jak ta nauka, a jednak od czasu, jakem się z nią zetknął, nie mogę się poznać. Czary, czy miłość?... Kirka zmieniała dotknięciem ciała ludzkie, a mnie zmieniono duszę. Chyba Ligia jedna mogła to uczynić, albo raczej Ligia przez tę dziwną naukę, którą wyznaje. Gdym od nich wrócił do siebie, nikt się mnie nie spodziewał. Mniemano, że jestem w Benewencie i że nie prędko wrócę, więc w domu zastałem nieład, pijanych niewolników i ucztę, którą sobie wydawali w mojem tryklinium. Śmierci raczej spodziewali się, niż mnie, i mniejby się jej przerazili. Ty wiesz, jak silną ręką trzymam mój dom, wszystko więc, co żyło, rzuciło się na kolana, a niektórzy poomdlewali ze strachu. A ja, wiesz, jak postąpiłem? Oto w pierwszej chwili chciałem wołać o różgi i rozpalone żelazo, ale zaraz potem chwycił mnie jakiś wstyd i, dasz wiarę? — jakiś żal tych nędzników; są między nimi i starzy niewolnicy, których jeszcze mój dziad, M. Winicyusz, przywiódł za czasów Augusta z nad Renu. Zamknąłem się samotny w bibliotece i tam przyszły mi jeszcze dziwniejsze myśli do głowy, mianowicie, że po tem co słyszałem i widziałem między chrześcijanami, nie godzi mi się postępować z niewolnikami tak, jak postępowałem dotąd, i że to są także ludzie. Oni przez kilka dni chodzili w trwodze śmiertelnej, sądząc, że zwłóczę dlatego, by tem okrutniejszą karę obmyślić, a ja nie karałem i nie ukarałem, bo, nie mogłem! Zwoławszy ich trzeciego dnia, rzekłem: przebaczam wam, wy zaś pilną służbą starajcie się winy naprawić! Na to padli na kolana, zalewając się łzami, wyciągając z jękiem ręce i zowiąc mnie panem i ojcem, ja zaś — ze wstydem ci to mówię — byłem również wzruszony. Wydało mi się, że w tej chwili widzę słodką twarz Ligii i jej oczy zalane łzami, dziękujące mi za ten postępek. I, *proh pudor!*¹⁾ czułem, że i mnie zwilgotniały źrenice.... Wiesz, co ci wyznam: oto, że nie mogę sobie dać rady

¹⁾ O wstydzie!

bez niej, że mi źle jest samemu, że jest po prostu nie-
szczęśliwy i że mój smutek większy jest, niż przypuszczasz...
Lecz co do moich niewolników, zastanowiła mnie jedna
rzecz. Przebaczenie, jakie otrzymali, nietylko nie rozzu-
chwalilo ich, nietylko nie rozluźniło karności, ale nigdy
strach nie pobudzał ich do tak skwapliwej służby, do ja-
kiej pobudziła wdzięczność. Nietylko służą, ale zdają się
na wyścigi zgadywać moje myśli, ja zaś wspominam ci
o tem dlatego, że, gdym na dzień przed opuszczeniem
chrześcijan powiedział Pawłowi, że świat rozleciałby się
na skutek jego nauki, jak beczka bez obręczy, ów odrzekł
mi: „Silniejszą obręczą jest miłość, niż groza“. A teraz
widzę, że w pewnych wypadkach zdanie to może być słu-
szne. Sprawdziłem je również i w stosunku do klientów,
którzy, zwiedziawszy się o moim powrocie, zbiegli się, by
mnie przywitać. Wiesz, że nie byłem nigdy dla nich zbyt
skąpy, ale jeszcze ojciec mój postępował z zasady z nimi
wyniośle, i mnie do podobnego postępowania przyuczył.
Otóż teraz, widząc te wytarte płaszcze i wygłodniałe twa-
rze, znów doznałem jakby uczucia litości. Kazałem im dać
jeść, a nadto mówiłem z nimi; nazwałem kilku po imie-
niu, kilku spytałem o ich żony i dzieci, i znów widziałem
łzy w oczach, a nadto znów wydało mi się, że Ligia to
widzi, że cieszy się i pochwala... Czy mój umysł poczyna
się błąkać, czy miłość miesza mi zmysły, nie wiem, wiem
jednak, iż mam ciągle uczucie, że ona na mnie z dala pa-
trzy, i boję się uczynić coś takiego, coby ją mogło za-
smucić i obrazić. Tak, Kaju! zmieniono mi jednak duszę.
Zmieniono mi duszę, i czasem dobrze mi z tem, cza-
sem znów dręcę się tą myślą, albowiem obawiam się, że
zabrano mi dawne męstwo, dawną energię i że może nie-
zdatny już jestem nietylko do rady, sądu, uczt, ale nawet
i do wojny. To są niechybnie czary! Z Rzymu nie wy-
jadę. Nie mógłbym znieść towarzystwa augustyanów,
a przytem jedyną ulgą w moim smutku i niepokoju jest
mi myśl, że jestem blisko Ligii, że przez Glauka lekarza,

który obiecał mnie odwiedzić, albo przez Pawła z Tarzu może się czasem czegoś o niej dowiem. Nie! nie opuściłbym Rzymu, choćbyście mi ofiarowali zarząd Egiptu. Wiedz także, że kazałem rzeźbiarzowi obrobić kamień grobowy dla Gula, którego zabiłem w gniewie. Zapóźno przyszło mi na myśl, że on jednak na rękę mnie nosił i pierwszy uczył, jak strzałę na łuk nakładać. Nie wiem, dlaczego zbudziła się teraz we mnie pamięć o nim, podobna do żalu i do wyrzutu... Jeśli cię zdziwi to, co piszę, odpowiem ci, że mnie to niemniej dziwi, ale piszę ci szczerą prawdę. Żegnaj⁴.

XXV.

Z wątpienie.

Na list ten Winicyusz nie miał już odpowiedzi, gdyż Petroniusz nie odpisywał spodziewając się widocznie, że Cezar lada dzień nakaże powrót do Rzymu. Jakoż wieść o tem rozeszła się w mieście i wzbudziła radość wielką w sercach tłuszczy, tęskniącej do igrzysk i rozdawnictwa zboża i oliwy, których wielkie zapasy nagromadzone były w Ostyi. Helius, wyzwoleniec Nerona, zapowiedział wreszcie jego powrót w senacie. Lecz Nero, wsiadłszy wraz z dworem na statki u przyładka Mizenum, wracał zwolna, wstępując do miast nadbrzeżnych dla wypoczynku, lub dla występów w teatrach. W Minturnae, gdzie znów śpiewał publicznie, zabawił dni kilkanaście, a nawet znów się namyslał, czy nie wrócić do Neapolu i nie czekać tam na nadejście wiosny, która zresztą czyniła się wcześniej-sza, niż zwykle i ciepła. Przez cały ten czas Winicyusz żył zamknięty w swym domu, z myślą o Ligii i o tych wszystkich nowych rzeczach, które zajmowały mu duszę i wnosiły do niej obce jej dotąd pojęcia i uczucia. Widywał tylko od czasu do czasu Glauka lekarza, którego każde odwiedziny napełniały go wewnętrzną radością, albowiem mógł z nim rozmawiać o Ligii. Glaukus nie wiedział wprawdzie, gdzie znalazła schronienie, zapewniał go jednak, że starsi otoczyli ją troskliwą opieką. Raz też,

wzruszony smutkiem Winicyusza, powiedział mu, że Piotr Apostoł zganił Kryspa za to, iż wyrzucał Ligii jej ziemską miłość. Młody patrycyusz, usłyszawszy to, pobladł ze wzruszenia. I jemu zdawało się niejednokrotnie, że nie jest obojętnym dla Ligii, ale również często wpadał w zwątpienie i niepewność, teraz zaś po raz pierwszy usłyszał potwierdzenie swych pragnień i nadziei z ust obcych a do tego chrześcijańskich. W pierwszej chwili wdzięczności chciał biedz do Piotra, dowiedziawszy się zaś, że niemasz go w mieście, i że naucza w okolicy, zaklinał Glauka, by go do niego przyprowadził, obiecując obdarzyć za to hojnie ubogich gminy. Zdawało mu się też, że jeśli Ligia go kocha, to tem samem wszystkie przeszkody są usunięte, gdyż gotów był w każdej chwili uczyć Chrystusa. Lecz Glaukus, jakkolwiek namawiał go usilnie do przyjęcia chrztu, nie śmiał mu ręczyć, czy zyszcze przez to od razu Ligię i mówił mu, że chrztu należy żądać dla chrztu samego i dla miłości Chrystusa, nie zaś dla innych celów. „Trzeba mieć i duszę chrześcijańską“ — rzekł mu — a Winicyusz, lubo każda przeszkoda wzburzała go, poczynął już rozumieć, że Glaukus, jako chrześcijanin, mówi to, co mówić powinien. Sam on nie zdawał sobie dokładnie sprawy, że jedną z najgłębszych zmian w jego naturze stanowiło to, iż dawniej mierzył ludzi i rzeczy tylko przez własny egoizm, obecnie zaś zwolna przyuczał się do myśli, że inne oczy mogą inaczej patrzeć, inne serce inaczej czuć, i że słusność nie zawsze toż samo znaczy, co osobista korzyść.

Brała go też często chęć zobaczenia Pawła z Tarzu, którego słowa rozciekawiały go i niepokoiły. Układał sobie w duszy dowody, którymi będzie zwalczał jego naukę, opierał mu się w myśli, chciał go jednakże widzieć i słyszeć. Lecz Paweł wyjechał do Arycyi, gdy zaś i odwiedziny Glauka stawały się coraz rzadsze, Winicyusza otoczyła zupełna samotność. Wówczas począł znów przebiegać zaułki przyległe do Subury i wązkie uliczki Zatybrza

w nadziei, że choć z daleka ujrzy Ligię, lecz gdy i ta nadzieja go zawiodła, w sercu poczęła mu wzbierać nuda i zniecierpliwienie. Wreszcie stracił swobodę, pewność siebie i wpadł w zupełne odrętwienie, z którego nie mogła go rozbudzić nawet wieść o powrocie Cezara. Nic go już teraz nie obchodziło i nawet do Petroniusza nie wybrał się dopóty, dopóki ten nie przysłał mu wezwania i swojej własnej lektyki.

Ujrzawszy go, lubo powitany radośnie, odpowiadał na jego pytania niechętnie, lecz wreszcie długo tłumione uczucia i myśli wybuchły i popłynęły mu z ust obfitym potokiem słów. Raz jeszcze opowiedział szczegółowo historię swych poszukiwań za Ligią i pobytu między chrześcijanami, wszystko, co tam widział i słyszał, wszystko co mu przechodziło przez głowę i serce, i wreszcie począł narzekać, że wpadł w chaos, w którym stracił spokojność, dar rozróżniania rzeczy i sąd o nich. Nie go oto nie nęci, nie mu nie smakuje, nie wie, czego się trzymać i jak postępować. Gotów jest czcić Chrystusa i prześladować Go, rozumie wzniosłość Jego nauki i zarazem czuje do niej wstręt nieprzewyciężony. Rozumie, że choćby posiadał Ligię, to jej nie posiędzie zupełnie, bo się musi nią dzielić z Chrystusem. Nakoniec żyje, jakby nie żył: bez nadziei, bez jutra, bez wiary w szczęście, a naokół otacza go ciemność, z której szuka po omacku wyjścia i nie może znaleźć.

Po chwili mileżenia Petroniusz rzekł:

— Niech Hades pochłonie twoich chrześcijan! Napełnili cię niepokojem i zniszczyli zmysł życia. Niech ich Hades pochłonie! Mylisz się, mniemając, że to jest nauka dobroczynna, bo dobroczynnem jest to, co ludziom daje szczęście, to jest piękność, miłość i moc, oni zaś nazywają to marnością. Mylisz się, że są sprawiedliwi, bo jeśli za złe będziemy płacili dobrem, to czemu będziemy płacić za dobro? A przytem jeśli za to i za to jednaka zapłata, to pocóż ludzie mają być dobrzy?

— Nie: zapłata nie jest jednaka, ale się zaczyna wedle ich nauki, w życiu przyszłym, które nie jest do-
czesne.

— W to się nie wdaję, bo to dopiero zobaczymy, jeśli coś można zobaczyć... bez oczu. Tymczasem są to po prostu niedołęgi. Urzus zadusił Krotona, bo ma członki ze spiżu, ale to są mazgaje, przyszłość zaś nie może do mazgajów należeć.

— Życie dla nich zaczyna się wraz ze śmiercią.

— To jakby ktoś powiedział: dzień zaczyna się razem z nocą. Czy ty masz zamiar porwać Ligię?

— Nie. Nie mogę jej złem za dobre płacić i przysiągłem, że tego nie uczynię.

— Czy masz zamiar przyjąć naukę Chrystusa?

— Chcę, ale moja natura jej nie znosi.

— A potrafisz zapomnieć o Ligii?

— Nie.

— To podróżuj.

Niewolnicy dali w tej chwili znać, że śniadanie gotowe, lecz Petroniusz, któremu zdawało się, że wpadł na dobrą myśl, mówił dalej w drodze do tryklinium.

— Zjeździłeś kawał świata, ale tylko jako żołnierz, który śpieszy na miejsce przeznaczenia i nie zatrzymuje się po drodze. Wybierz się z nami do Achai. Cezar nie zarzucił dotąd zamiaru podróży. Będzie się zatrzymywał wszędzie po drodze, śpiewał, zbierał wieńce, łupił świątynie i wreszcie wróci, jako tryumfator, do Italii. Będzie to coś, jakby pochod Bachusa i Apollina w jednej osobie. Augustyanie, augustyanki, tysiące cytr — na Kastora! Warto to widzieć, bo świat nie widział dotąd niczego podobnego.

Tu położył się na ławce przed stołem, a gdy niewolnik kładł mu na głowę wieniec z anemonów, mówił dalej:

— Coś ty widział w służbie Korbulona? Nic! Czyś zwiedzał porządnie świątynie greckie, tak jak ja, który przeszło dwa lata przechodziłem z rąk jednego przewo-

dnika do rąk drugiego? Czyś był na Rodos oglądać miejsce, gdzie stał kolos? Czyś widział w Panopie, w Focydzie glinę, z której Prometeusz lepił ludzi, albo w Sparcie jaje, które zniosła Leda, albo w Atenach sławny pancerz sarmacki, zrobiony z kopyt końskich, albo na Eubei okręt Agamemnona? Czyś widział Alexandryę, Memfis, Piramidy, włos Izydy, który sobie wyrwała z żalu za Ozyrysem? Czyś słyszał jęk Memnona? Świat jest szeroki i nie wszystko się kończy na Zatybrzu! Ja będę towarzyszył Cezarowi, a potem, gdy będzie wracał, opuszczę go i pojedę na Cypr.

— Jedź ze mną na Cypr. Przedtem jednak pamiętaj, że musisz widzieć się z Cezarem. Żle, żeś dotąd u niego nie był; Tygellinus gotów wyzyskać to na twoją niekorzyść. Nie ma on wprawdzie do ciebie osobistej nienawiści, jednakże nie może cię kochać choćby dlatego, że jesteś moim siostrzeńcem... Powiemy, że byłeś chory. Musimy się namysleć, co masz mu odpowiedzieć, jeśli spyta cię o Ligię. Najlepiej machnij ręką i powiedz mu, że ci się znudziła. On to rozumie. Powiedz mu również, że choroba zatrzymała cię w domu, że gorączkę powiększyło zmartwienie, iż nie mogłeś być w Neapolu i słuchać jego śpiewu, a do zdrowia pomogła ci jedynie nadzieja, że go usłyszysz. Nie lękaj się przesadzić. Tygellinus zapowiada, że wymyśli dla Cezara coś nietylko wielkiego, ale i grubego... Boję się jednak by mnie nie podkopał. Boję się także twego usposobienia...

— Czy wiesz — rzekł Winicyusz — że są ludzie, którzy się Cezara nie boją i żyją tak spokojnie, jakby go na świecie nie było?

— Wiem, kogo wymienisz: chrześcijan.

— Tak. Oni jedni... Nasze zaś życie czemże jest, jeśli nie ciągłym strachem?

— Daj mi pokój z twoimi chrześcijanami. Nie boją się Cezara, bo on może o nich i nie słyszał, a w każdym razie nic o nich nie wie i tyle go oni obchodzą, ile zwię-

dłe liście. A ja ci powiadam, że to są niedołęgi, że sam to czujesz, i że jeśli twoja natura otrząsa się na ich naukę, to właśnie dlatego, że czujesz ich niedołość. Tyś człowiek z innej gliny i dlatego daj sobie i mnie z nimi spokój. Potrafimy żyć i umrzeć, a co oni potrafią, to niewiadomo.

Winicyusza uderzyły te słowa i wróciwszy do siebie, począł rozmyślać, że może w istocie owa dobrotliwość i miłosierdzie chrześcijan dowodzi niedołości ich dusz. Zdawało mu się, że ludzie, mający tęgość i hart, nie umieliby tak przebaczać. Przyszło mu do głowy, że istotnie to może być powodem wstrętu, jaki jego rzymska dusza odczuwa do tej nauki. „Potrafimy żyć i umrzeć!“ — mówił Petroniusz. A oni? Oni umieją tylko przebaczać, ale nie rozumieją ni prawdziwej miłości, ni prawdziwej nienawiści.

XXVI.

C h ł o s t a.

Cezar, wróciwszy do Rzymu, zły był, że wrócił, i po kilku dniach już zapłonął na nowo chęcią wyjazdu do Achai. Wydał nawet edykt, w którym oświadczył, że nieobecność jego nie potrwa długo i że rzeczy publiczne na żadną szkodę z tego powodu nie będą narażone. Zaczem, w towarzystwie augustyanów, między którymi znajdował się i Winicyusz, udał się na Kapitol, by złożyć bogom ofiary za pomyślną podróż. Lecz na drugi dzień, gdy z kolei odwiedził przybytek Westy, zaszedł wypadek, który wpłynął na zmianę wszystkich zamiarów. Nero nie wierzył w bogów, ale bał się ich, zwłaszcza zaś tajemnicza Westa taką przejmowała go obawą, że na widok bóstwa i świętego ognia włosy podniosły mu się nagle z przerażenia, zwarły się zęby, drżenie przebiegło po wszystkich członkach i osunął się na ręce Winicyusza, który wypadkiem znajdował się tuż za nim. Wyniesiono go natychmiast ze świątyni i przeprowadzono na Palatyn, gdzie, lubo niebawem przyszedł zupełnie do siebie, nie opuszczał jednak łoża przez cały dzień. Oświadczył też, ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, że zamiar wyjazdu odkłada stanowczo do czasów późniejszych, gdyż bóstwo ostrzegło go tajemnie przed pośpiechem. W godzinę później głoszone już publicznie ludowi po całym Rzymie, że Cezar, widząc

zasmucone twarze obywateli, powodowany miłością ku nim, jako ojciec ku dzieciom, zostaje z nimi, by dzielić ich uciechy i dolę. Lud, uradowany z postanowienia, a zarazem pewien, że nie chybią igrzyska i rozdawnictwo zboża, zebrał się tłumnie przed bramą Palatyńską, wydając okrzyki na cześć boskiego Cezara, ów zaś przerwał grę w kości, w którą się zabawiał z augustyanami, i rzekł:

— Tak! trzeba było odłożyć; Egipt i władztwo nad Wschodem, wedle przepowiedni, nie może mnie minąć, więc i Achaja mi nie przepadnie. Każę przekopać istm koryncki, a w Egipcie wzniesiem takie pomniki, przy których piramidy wydadzą się igraszka dziecinna. Każę zbudować Sfinxa, większego siedem razy od tego, który koło Memfis patrzy w pustynię, ale każę mu dać twarz moją. Wieki potomne będą mówiły tylko o tym pomniku i o mnie.

— Zbudowałeś sobie już pomnik swymi wierszami, większy nie siedem, ale trzy razy po siedem od piramidy Cheopsa — rzekł Petroniusz.

— A śpiewem? — spytał Nero.

— Niestety! gdyby to umiano zbudować ci taki posąg, jak posąg Memnona, któryby odzywał się twoim głosem o wschodzie słońca! Morza przyległe Egiptowi roiłyby się po wiek wieków od okrętów, na których tłumy z trzech części świata wsłuchiwałyby się w pieśń twoją.

— Niestety, któż to potrafi? — rzekł Nero.

— Ale możesz kazać wyciąć z bazaltu siebie, powołającego kwadrygę.

— Prawda! uczynię to!

— Uczynisz podarek ludzkości.

— W Egipcie zaślubię też Lunę, która jest wdową, i będę naprawdę bogiem.

— A nam dasz za żony gwiazdy, my zaś utworzymy nową konstelację, która będzie się zwała konstelacją Nerona. Witeliusza jednak ożeń z Nilem, aby płodził hipopotamy. Tygellinowi podaruj pustynię, będzie wówczas królem szakalów...

— A mnie co przeznaczasz? — spytał Watyniusz.

— Niech cię Apis błogosławi! Wyprawileś nam tak wspaniale igrzyska w Benewencie, że nie mogę ci źle życzyć: zrób parę butów Sfinxowi, któremu łapy drętwią w czasie ros nocnych, a potem będziesz robił obuwie dla kolosów, tworzących aleje przed świątyniami. Każdy tam znajdzie odpowiednie zajęcie. Domicyusz Afer naprzykład zostanie skarbnikiem, jako znany z uczciwości. Lubię, Cezarze, gdy marzysz o Egipcie i smuci mnie to, żeś odłożył zamiar wyjazdu.

Nero zaś rzekł:

— Wasze śmiertelne oczy nic nie widziały, bo bóstwo czyni się niewidzialnem, dla kogo zechce. Wiedziecie, że gdym był w świątyni Westy, ona sama stanęła koło mnie i rzekła mi w same ucho: „Odłóż wyjazd“. Stało się to tak niespodziewanie, żeś się przeraził, choć za taką widoczną opiekę bogów nade mną powinienbym im być wdzięczny.

— Wszyscyśmy się przerazili — rzekł Tygellinus — a westalka Rubrya zemdląła.

— Powiedzcie mi, dlaczego Westy ludzie się więcej boją, niż innych bogów? Co w tem jest? Ot mnie samego lęk ogarnął, chociaż jestem najwyższym kapłanem. Pamiętam tylko, że padłem na wznak i byłbym runął na ziemię, gdyby mnie ktoś nie podtrzymał. Kto mnie podtrzymał?

— Ja — odrzekł Winicyusz.

— Ach, ty „srogi Aresie?“ Czemu nie byłeś w Benewencie? Mówiono mi, żeś chory, i istotnie twarz masz zmienioną. Ale! słyszałem, że Kroto chciał cię zamordować? Czy to prawda?

— Ta jest — i złamał mi ramię, ale się obroniłem.

— Dziękuję ci, żeś mnie podtrzymał. Mogłem, padłszy, rozbić głowę. Niegdyś dobry był z ciebie towarzysz, ale od czasu wojny i służby pod Korbulonem, zdziczałeś jakoś i rzadko cię widuję.

Poczem, pomilczawszy chwilę, rzekł:

— Jak się ma owa dziewczyna... za wążka w biodrach... w której się kochałeś i którą odebrałem Aulusom dla ciebie?..

Winicyusz zmieszał się, lecz Petroniusz w tej chwili przyszedł mu z pomocą:

— Założę się, panie — rzekł — że zapomniał. Czy widzisz jego zmieszanie? Pytaj go o to, ile ich było od tego czasu, a nie ręczę, czy i na to potrafi odpowiedzieć.

Lecz Nero rzekł:

— Nuda mnie dręczy! zostałem z woli bogini w Rzymie, ale go nie mogę znosić. Wyjadę do Ancyum. Duszę się w tych ciasnych ulicach, wśród tych walących się domów, wśród tych plugawych zaułków. Smrodliwe powietrze zalatuje aż tu, do mego domu i do moich ogrodów. Ach, gdyby trzęsienie ziemi zniszczyło Rzym, gdyby jaki rozgniewany bóg zrównał go z ziemią, dopiero pokazałbym wam, jak powinno się budować miasto, które jest głową świata i moją stolicą.

— Cezarze — odpowiedział Tygellinus — mówisz: „gdyby jaki rozgniewany bóg zniszczył miasto“ — czy tak?

— Tak! Więc cóż?

— Alboż nie jesteś bogiem?

Nero machnął ręką z wyrazem znużenia, poczem rzekł:

— Wy wszyscy jesteście mali, więc nie rozumiecie, że mi potrzeba rzeczy wielkich.

To powiedziawszy, przymknął oczy, dając w ten sposób znać, że potrzebuje spoczynku. Jakoż augustyanie poczuli się rozehodzić.

* * *

Winicyusza zajmowała tylko jedna myśl: zobaczenia się z Ligią, więc zaczął rozmyślać nad sposobami.

Tymczasem zdarzyła się okoliczność, która mogła

usunąć wszystkie trudności. Oto nazajutrz przyszedł niespodzianie do niego Chilo.

Przyszedł nędzny i obdarty, z oznakami głodu w twarzy i w podartym łachmanie, służba jednak, która miała dawniej rozkaz puszczenia go o każdej porze dnia i nocy, nie śmiała go wstrzymywać, tak, że wszedł prosto do atrium i, stanąwszy przed Winicyuszem, rzekł:

— Niech ci bogowie dadzą nieśmiertelność i podzielą się z tobą władzą nad światem.

Winicyusz w pierwszej chwili miał ochotę kazać wyrzucić go za drzwi. Lecz przyszła mu myśl, że może Grek wie coś o Ligii, i ciekawość przemogła obrzydzenie.

— To ty? — spytał. — Co się z tobą dzieje?

— Źle, synu Jowisza — odpowiedział Chilon. — Prawdziwa enota, to towar, o który nikt dziś nie zapyta, i prawdziwy mędrzec musi być rad i z tego, jeśli raz na pięć dni ma za co kupić baranią głowę u rzeźnika, którą ogryza na poddaszu, popijając łzami. Ach, panie! Wszystko coś mi dał, wydałem na księgi u Atraktusa, a potem okradziono mnie, zniszczono; niewolnica, która miała spisywać moją naukę, uciekła, zabrawszy resztę tego, czem twoja wspaniałomyślność mnie obdarzyła. Nędzarz jestem, alem pomyślał sobie: do kogóż mam się udać, jeśli nie do ciebie, Serapisie, którego kocham, ubóstwiam i za którego narażałem życie moje!

— Po coś przyszedł i co przynosisz?

— Wiem, gdzie mieszka boska Ligia, wskażę ci, panie, dom i zaulek.

Winicyusz potłumił wzruszenie, jakim przejęła go ta wiadomość, i rzekł:

— Gdzie ona jest?

— U Linusa, starszego kapłana chrześcijan. Ona tam jest wraz z Urzusem, a ten po dawnemu chodzi do młynarza, który zwie się tak, jak twój dyspensator, panie, Demas... Tak, Demas!... Urzus pracuje nocami, więc, otoczywszy dom w nocy, nie znajdzie się go.... Linus jest

stary... a w domu, prócz niego, są tylko jeszcze starsze dwie niewiasty.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Pamiętasz, panie, że chrześcijanie mieli mnie w swym ręku i oszczędzili. Glaukus myli się wprawdzie, mniemając, że ja przyczyną jego nieszczęść, ale uwierzył w to nieborak i wierzy dotąd, a jednak, oszczędzili mnie! Więc nie dziw się, panie, że wdzięczność napełniła mi serce. Jam człowiek z dawnych, lepszych czasów. Zatem myślałem: mamże zaniechać moich przyjaciół i dobroczyńców? Zali nie byłoby zatwardziałością nie zapytać o nich, nie wywiedzieć się, co się z nimi dzieje, jak im służy zdrowie i gdzie mieszkają? Na Cybelę! nie ja jestem do tego zdolny. Wstrzymywała mnie z początku obawa, żeby źle nie zrozumieli mych zamiarów. Ale miłość, jaką do nich miałem, okazała się większą od obawy, a zwłaszcza dodała mi otuchy ta łatwość, z jaką oni przebaczą wszelkie krzywdy. Przedewszystkiem jednak myślałem o tobie, panie. Ostatnia nasza wyprawa zakończyła się porażką, a czyż taki syn Fortuny może pogodzić się z tą myślą? Więc przygotowałem ci zwycięstwo. Dom stoi osobno. Możesz go kazać otoczyć niewolnikom tak, że i mysz się nie wysłiznie. O panie, panie! od ciebie zależy tylko, by jeszcze dzisiejszej nocy ta wielkoduszna królowna znalazła się w domu twoim. Ale jeśli się to stanie, pomyśl, że przyczynił się do tego bardzo biedny i zgłodniały syn mojego ojca.

Winicyuszowi krew napłynęła do głowy. Pokusa raz jeszcze wstrząsnęła całym jego jestestwem. Tak jest! to był sposób, i tym razem sposób pewny. Gdy raz będzie miał Ligię u siebie, któż zdoła mu ją odjąć? Przypomniał sobie wprawdzie, że przyrzekł jej, iż nie wzniesie na nią ręki. Ale na cóż przysięgał? Nie na bogów, bo w nich już nie wierzył, nie na Chrystusa, bo w niego jeszcze nie wierzył. Zresztą, zaślubi ją. Tak! do tego czuje się zobowiązany, bo przecież zawdzięcza jej życie. Tu przypomniał

mu się ów dzień, w którym wraz z Krotonem wpadł do jej schronienia; przypomniał sobie wzniesioną nad sobą pięść Urzusa i wszystko, co nastąpiło potem. Ujrzał ją znów schyloną nad jego łóżem, przebraną w strój niewolnicy, piękną, jak bóstwo, dobroczynną i uwielbioną. Oczy jego mimowoli przeniosły się na lararium i na ów krzyżyk, który zostawiła mu, odchodząc. Zali jej za to wszystko zapłaci nowym zamachem? Błogosławiony ten dach, jeśli ona wejdzie pod niego dobrowolnie, błogosławiona chwila, błogosławiony dzień, błogosławione życie. Wówczas szczęście obojga będzie jako morze nieprzebrane, i jako słońce. Ale porwać ją przemocą, byłoby to zabić na wieki takie szczęście, a zarazem zniszczyć, splugawić i zohydzić to, co jest najdroższe i jedynie ukochane w życiu.

Zgroza przejęła go teraz na samą myśl o tem. Spojrzał na Chilona, który, wpatrując się w niego, zasunął rękę pod łachman i drapał się niespokojnie, poczem przejęło go niewypowiedziane obrzydzenie i chęć zdeptania tego dawnego pomocnika, tak, jak depce się plugawe robactwo lub jadowitego węża. Po chwili wiedział już, co ma uczynić. Lecz, nie znając w niczem miary, a idąc za popędem swej srogiej rzymskiej natury, zwrócił się do Chilona i rzekł:

— Nie uczynię tego, co mi radzisz, byś jednak nie odszedł bez nagrody, na jaką zasługujesz, każę ci dać trzysta różeg w domowem ergastulum.

Chilo zbladł. W pięknej twarzy Winicyusza tyle było zimnej zawziętości, iż ani chwili nie mógł się ludzi nadzieją, by obiecana zapłata była tylko okrutnym żartem.

Więc rzucił się w jednej chwili na kolana i zgiąwszy się, począł jęczeć przerywanym głosem:

— Jakto, królu perski? za co?... Piramido łaski! kolosie miłosierdzia! za co?... Jam stary, głodny, nędzny... Służyłem ci... Także się odwdzięczasz?..

— Jak ty chrześcijanom — odparł Winicyusz i zawołał dyspensatora.

Lecz Chilo skoczył do jego nóg i, objawwszy je konwulsyjnie, wołał jeszcze, z twarzą pokrytą śmiertelną bledością!

— Panie, panie!... Jam stary! pięćdziesiąt, nie trzy-sta... Pięćdziesiąt dosyć!... Sto, nie trzysta!... Litości!... litości!...

Winicyusz odtrącił go nogą i wydał rozkaz. W mgnieniu oka za dyspensatorem¹⁾ wbiegło dwóch silnych Kwadów, którzy, porwawszy Chilona za resztki włosów, okręcili mu głowę jego własnym łachmanem i powlekli go do ergastulum.

— W imię Chrystusa!... — zawołał Grek we drzwiach do korytarza.

Winicyusz został sam. Wydany rozkaz podniecił go i ożywił. Tymczasem starał się zebrać rozpierchłe myśli, i przyprowadzić je do ładu. Czuł wielką ulgę i zwycięstwo, jakie nad sobą odniósł, napełniało go otuchą. Zdało mu się, że uczynił jakiś wielki krok ku Ligii, i że powinna go spotkać za to jakaś nagroda. W pierwszej chwili nie przyszło mu nawet na myśl, jak ciężkiej dopuścił się niesprawiedliwości względem Chilona, i że kazał go smagać za to samo, za co przedtem nagradzał. Nadto był jeszcze Rzymianinem, by go miał boleć cudzy ból i by miał zaprzętać swą uwagę jednym nędznym Grekiem. Gdyby nawet był pomyślał o tem, sądziłby, iż postąpił słusznie, rozkazawszy ukarać nikezemnika. Lecz on myślał o Ligii i mówił jej: nie zapłacę ci złem za dobre, a gdy się kiedyś dowiesz, jak postąpiłem z tym, który chciał mnie namówić do podniesienia na ciebie ręki, będziesz mi za to wdzięczna. Tu jednak zastanowił się, czy Ligia pochwaliłaby jego postępek z Chilonem? Wszakże nauka, którą ona wyznaje, każe przebaczać; wszak chrześcijanie przebaczyli nędznikowi, chociaż większe mieli do zemsty powody. Wówczas dopiero ozwał mu się w duszy

¹⁾ Marszałek dworu.

krzyk: „w imię Chrystusa!“ Przypomniał sobie, że podobnym okrzykiem Chilo wykupił się z rąk Liga, i postanowił darować mu resztę kary.

W tym celu miał właśnie zawołać dyspensatora, gdy ten sam stanął przed nim i rzekł:

— Panie, ów starzec omdlał, a może i umarł. Czy mam kazać go ćwiczyć dalej?

— Ocucić go i stawić przede mną.

Rządecą atrium znikł za zasłoną, lecz cucenie nie musiało iść łatwo, albowiem Winicyusz czekał jeszcze czas długi, i poczynął się już niecierpliwić, gdy wreszcie niewolnicy wprowadzili Chilona i na znak dany sami cofnęły się natychmiast.

Chilo blady był, jak płótno, i wzdłuż nóg jego spływały na mozaikę atrium nitki krwi. Był jednak przytomny i, padłszy na kolana, począł mówić z wyciągniętymi rękoma:

— Dzięki ci, panie! Jesteś miłosierny i wielki.

— Psie — rzekł Winicyusz — wiedz, żem ci przebaczył dla tego Chrystusa, któremu i sam życie zawdzięczam.

— Będę służył, panie, Jemu i tobie.

— Milcz i słuchaj. Wstań! Pójdiesz ze mną i pokażesz mi dom, w którym mieszka Ligia.

Chilo zerwał się, lecz zaledwie stanął na nogach, pobladł jeszcze śmiertelniej i rzekł mdlejącym głosem:

— Panie, jam naprawdę głodny... Pójdę, panie pójdę! lecz nie mam sił... Każ mi dać choć resztki z misy twego psa, a pójdę!...

Winicyusz kazał mu dać jeść, sztukę złota i płaszcz. Lecz Chilo, którego osłabiły razy i głód, nie mógł iść nawet po posiłku, choć strach podnosił mu włosy na głowie, by Winicyusz nie wziął jego osłabienia za opór i nie kazał go smagać na nowo.

— Niech jeno wino mnie rozgrzeje — powtarzał,

szezękając zębami — będę mógł iść zaraz, choćby do Wielkiej Grecyi.

Jakoż po pewnym czasie odzyskał trochę sił i wyszli. Droga była długa, Linus bowiem mieszkał, jak większa część chrześcijan, na Zatybrzu, niedaleko od domu Myryam. Chilo pokazał wreszcie Winicyuszowi osobny mały domek, otoczony murem, pokrytym całkiem przez bluszcze, i rzekł:

— To tu, panie.

— Dobrze — rzekł Winicyusz — idź teraz precz, ale pierwej posłuchaj, co ci powiem: zapomnij, żeś mi służył; zapomnij, gdzie mieszka Myryam, Piotr i Glaukus; zapomnij również o tym domu i o wszystkich chrześcijanach. Przyjdiesz każdego miesiąca do mego domu, gdzie Demas wyzwoleniec będzie ci wypłacał po dwie sztuki złota. Lecz gdybyś dalej szpiegował chrześcijan, każę cię zaćwiczyć lub oddam w ręce prefekta miasta.

Chilo skłonił się i rzekł:

- Zapomnę.

Lecz gdy Winicyusz znikł na zakręcie uliczki, wyciągnął za nim ręce i, grożąc pięściami, zawołał:

— Na Ate i na Furye! nie zapomnę!

Poczem znów osłabł.

XXVII.

Apostolskie błogosławieństwo.

Winicyusz udał się wprost do domu, w którym zamieszkiwała Myryam. Przed bramą spotkał Nazaryusza, który zmieszał się na jego widok, ale on pozdrowił go uprzejmie i kazał się prowadzić do mieszkania matki.

W mieszkaniu, prócz Myryamy, zastał Piotra, Glauka, Kryspa, a nadto i Pawła z Tarzu, który świeżo był wrócił z Fregellae. Na widok młodego trybuna, zdziwienie odbiło się na wszystkich twarzach, on zaś rzekł:

— Pozdrawiam was w imię Chrystusa, którego czcicie.

— Niech imię Jego będzie wysławiane na wieki.

— Widziałem waszą cnotę i doświadczyłem dobroci, więc przychodzę jako przyjaciel.

— I pozdrawiamy cię, jako przyjaciela — odpowiedział Piotr. — Siądź, panie, i podziel z nami posiłek, jako gość nasz.

— Siądę i podzielę z wami posiłek, jeno pierwej wysłuchajcie mnie: ty Piotrze i ty Pawle z Tarzu, abyście poznali szczerłość moją. Wiem, gdzie jest Ligia; wracam z przed domu Linusa, który leży blisko tego mieszkania. Mam prawo do niej, dane mi przez Cezara, mam w mieście, w domach moich, blisko pięćset niewolników; mógłbym otoczyć jej schronienie i pochwycić ją, a jednak nie uczyniłem tego i nie uczynię.

— Przeto błogosławieństwo Pana będzie nad tobą i będzie oczyszczone serce twoje — rzekł Piotr.

— Dziękuję ci, ale posłuchajcie mnie jeszcze: nie uczyniłem tego, choć żyję w męce i tęsknocie. Przedtem, nim byłem z wami, byłbym niechybnie wziął ją i zatrzymał przemocą, ale wasza cnota i wasza nauka, chociaż jej nie wyznawam, zmieniła coś i w mojej duszy, tak, że nie ważę się już na przemoc. Sam nie wiem, dlaczego się tak stało, ale tak jest! Zaczem przychodzę do was, bo wy Ligii zastępujecie ojca i matkę, i mówię wam: dajcie mi ją za żonę, a ja przysięgnę wam, że nietylko jej nie wzbrownię wyznawać Chrystusa, ale i sam pocznę się uczyć Jego nauki.

Mówił z podniesioną głową, głosem stanowczym, ale był jednak wzruszony i nogi drżały mu pod pasiastym płaszczem, gdy zaś po słowach jego nastąpiło milczenie, począł mówić dalej, jakby chcąc uprzedzić niepomysłną odpowiedź:

— Wiem, jakie są przeszkody, ale miłuję ją, jak oczy własne, i chociaż nie jestem jeszcze chrześcijaninem, nie jestem nieprzyjacielem ni waszym, ni Chrystusa. Chcę przed wami być w prawdzie, abyście mogli mi ufać. Idzie w tej chwili o życie moje, a jednak mówię wam prawdę. Inny rzekłby wam może: ochrzczycie mnie! — ja mówię: oświećcie mnie! Wierzę, że Chrystus zmartwychwstał, bo to prawią ludzie prawdą żyjący, którzy Go widzieli po śmierci. Wierzę, bom sam widział, że wasza nauka płodzi cnotę, sprawiedliwość i miłosierdzie, nie zaś zbrodnie, o które was posądzają. Niewielem jej dotąd poznał. Tyle, co od was, z waszych uczynków, tyle, co od Ligii, tyle, co z rozmów z wami. A przecie, powtarzam wam, że i we mnie coś się już przez nią zmieniło. Trzymałem dawniej żelazną ręką sługi moje, teraz — nie mogę. Nie znałem litości, teraz znam. Dawniej wierzyłem w przemoc, dziś się jej wyrzekłem. Wiedźcie, że sam siebie nie poznaję, ale zbrzydły mi uczyty, zbrzydło wino, śpiewanie, cytry

i wieńce, zbrzydł dwór Cezara i wszystkie zbrodnie. A gdy myślę, że Ligia jest jako śnieg w górach, to miłuję ją tembardziej; a gdy pomyślę, że jest taka przez waszą naukę, to miłuję i tę naukę i chcę jej! Ale że jej nie rozumiem, że nie wiem, czy w niej żyć potrafię i czy znieście ją natura moja, przeto żyję w niepewności i męce, jakobym żył w ciemnicy.

Tu brwi na czole zbiegły mu się w bolesną fałdę i rumieniec wystąpił na policzki, poczem znów mówił coraz śpieszniej i z coraz większem wzruszeniem:

— Widzicie! męczę się i z miłości i od mroku. Mówili mi, że w waszej nauce nie ostoi się ni życie, ni radość ludzka, ni szczęście, ni prawo, ni porządek, ni zwierzchność, ni władztwo rzymskie. Zali tak jest? Mówili mi, żeście ludzie szaleni; powiedzcie, co przynosicie? Czy grzech miłować? czy grzech czuć radość? czy grzech chcieć szczęścia? czy wyście nieprzyjaciółmi życia? Czy trzeba chrześcijaninowi być nędzarzem? czy miałbym się wyrzec Ligii? Jaka jest wasza prawda? Wasze uczynki i wasze słowa są jako woda przejrzysta, ale jakie dno tej wody? Widzicie, żem szczerzy. Rozproście ciemności! Bo mnie powiedzieli jeszcze i to: Grecya stworzyła mądrość i piękność, Rzym moc, a oni co przynoszą? Więc powiedzcie, co przynosicie? Jeśli za drzwiami waszemi jest jasność, to mi otwórzcie!

— Przynosim miłość — rzekł Piotr.

A Paweł z Tarzu dodał:

— Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, byłbym jako miedź brząkająca...

Lecz serce starego Apostoła wzruszyło się tą duszą w męce, która jak ptak zamknięty w klatce rwała się do powietrza i słońca, więc wyciągnął ku Winicyuszowi ręce i rzekł:

— Kto puka, będzie mu otworzono i łaska Pana jest nad tobą, przeto błogosławię tobie, twojej duszy i twojej miłości w imię Zbawiciela świata.

Winicyusz, który i tak mówił w uniesieniu usłyszawszy błogosławieństwo, skoczył ku Piotrowi i wówczas stała się rzecz nadzwyczajna. Oto ten potomek Kwiryków, który do niedawna nie uznawał w obcym człowieka, chwycił ręce starego Galilejczyka i począł je z wdzięcznością do ust przyciskać.

A Piotr ucieszył się, albowiem rozumiał, że siejba znów padła na jedną więcej rolę i że jego sieć rybacza ogarnęła jedną więcej duszę.

Obecni zaś, niemniej ucieszeni tym jawnym znakiem czci dla Bożego Apostoła, zawołali jednym głosem:

— Chwała na wysokościach Panu!

Winicyusz powstał z rozjaśnioną twarzą i począł mówić:

— Widzę, że szczęście może między wami mieszkać, bo czuję się szczęśliwy i mniemam, że tak samo w innych mnie przekonacie rzeczach. Ale to wam jeszcze powiem, że nie stanie się to w Rzymie; Cezar jedzie do Ancyum, a ja z nim muszę, gdyż mam rozkaz. Wiecie, że nie posłuchać, to śmierć. Ale jeśli znalazł łaskę w waszych oczach, jedźcie ze mną, abyście mnie nauczali prawdy waszej. Bezpieczniej wam tam będzie, niż mnie samemu, w tym wielkim natłoku ludzi będziecie mogli opowiadać waszą prawdę na samym dworze Cezara. Mówią, że Akte jest chrześcijanką, a i między pretoryanami są chrześcijanie, bom sam widział, jak żołnierze klękali przed tobą, Piotrze, u bramy Nomentańskiej. W Ancyum mam wille, w której zbierać się będziemy, aby pod boki Nerona słuchać nauk waszych. Mówił mi Glaukus, że wy dla jednej duszy gotowicie na krańce świata wędrować, więc uczynicie to dla mnie, coście uczynili dla tych, dla których przyszliście tu aż z Judei, uczynicie i nie opuszczajcie duszy mojej!

Oni, usłyszawszy to, poczęli się naradzać, myśląc z radością o zwycięstwie swej nauki i o znaczeniu, jakie dla pogańskiego świata mieć będzie nawrócenie się augu-

styanina i potomka jednego z najstarszych rodów rzymskich. Gotowi byli istotnie wędrować na krańce świata dla jednej duszy ludzkiej i od śmierci Mistrza nic przecie innego nie czynili, więc odpowiedź odmowna nie przeszła im nawet przez myśl. Ale Piotr był w tej chwili pasterczem całej rzeszy, więc jechać nie mógł, natomiast Paweł z Tarzu, który niedawno był w Arycy i we Fregellae, a wybierał się znów w długą podróż na Wschód, aby odwiedzić tamtejsze kościoły i ożywić je nowym duchem gorliwości, zgodził się towarzyszyć młodemu trybunowi do Ancyum, łatwo mu bowiem było znaleźć tam statek, idący na morza greckie.

Winicyusz, jakkolwiek zasmucił się, że Piotr, któremu był tyle obowiązany, nie będzie mu towarzyszył, podziękował jednak z wdzięcznością, a następnie zwrócił się do starego Apostoła z ostatnią prośbą.

— Wiedząc mieszkanie Ligii — rzekł — mógłbym sam pójść do niej i spytać, jako jest rzecz słuszna, czyli zechce mnie za męża, jeśli dusza moja stanie się chrześcijańską, ale wolę cię prosić, Apostole: pozwól mi ją widzieć, albo wprowadź mnie sam do niej. Nie wiem, jak długo przyjdzie mi zabawić w Ancyum, i pamiętajcie, że przy Cezarze nikt nie jest pewny swego jutra. Niechże ją ujrzę przedtem, niech nasycę nią oczy i niech ją zapytam, czy mi złe zapomni i czy dobre ze mną podzieli.

A Piotr Apostoł uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— A któżby ci słusznej radości miał odmawiać, synu mój.

Winicyusz znów pochylił się do jego rąk, albowiem całkiem już nie mógł wezbranego serca pohamować, Apostoł zaś wziął go za skronie i rzekł:

— Ale ty się Cezara nie bój, bo to ci powiadam, że włos nie spadnie ci z głowy.

Poczem wysłał Myryam po Ligię, przykazując, by nie mówiła jej, kogo między nimi znajdzie, by i dziewczynie tem większą sprawić radość.

Było niedaleko, więc po krótkim czasie zgromadzeni w izbie ujrzeni wśród mirtów ogródka Myryam, prowadzącą za rękę Ligię.

Winicyusz chciał biedz naprzeciw, lecz na widok tej umiłowanej postaci szczęście odjęło mu siły — i stał z bijącym sercem, bez tehu, zaledwie mogąc się utrzymać na nogach, stokroć więcej wzruszony, niż wówczas, kiedy po raz pierwszy w życiu usłyszał strzały Partów, warczące koło swej głowy.

Ona wbiegła, nie spodziewając się niczego, i na jego widok, stanęła również, jak wryta. Twarz jej zaczerwieniła się i wraz pobladła bardzo, poczem ją spoglądać zdumionemi a zarazem przełękłemi oczyma na obecnych.

Lecz naokół widziała jasne, pełne dobroci spojrzenia, Apostoł zaś Piotr zbliżył się do niej i rzekł:

— Ligio, miłujeszże ty go zawsze?

Nastała chwila milczenia. Usta poczęły jej drżeć, jak u dziecka, któremu zbiera się na płacz i które, czując się winnem, widzi jednak, że trzeba przyznać się do winy.

— Odpowiedz — rzekł Apostoł.

Wówczas z pokorą i lękiem w głosie wyszeptala, obuwając się do kolan Piotra:

— Tak jest..

Lecz Winicyusz w jednej chwili klęknął przy niej, Piotr zaś położył ręce na ich głowach i rzekł:

— Miłujcie się w Panu i na chwałę Jego, albowiem niemasz grzechu w miłości waszej.



Winieyusz i Lygia.

XXVIII.

Nieprzyjaciele życia.

Chodząc po ogródku, Winicyusz opowiadał jej w krótkich, wyrwanych z głębi serca słowach, to, co przed chwilą wyznał Apostołom: więc niepokój swej duszy, zmiany, jakie w nim zaszły, i wreszcie tę niezmierną tęsknotę, która przesłoniła mu życie od czasu, jak opuścił mieszkanie Myryam. Przyznał się Ligii, że chciał o niej zapomnieć, ale nie mógł. Myślał o niej po całych dniach i nocach. Przypominał mu ją ów krzyżyk, związany z gałązek bukszpanu, który mu zostawiła, a który umieścił w lararium i mimo woli czcił, jak coś boskiego. I tęsknił coraz mocniej, bo kochanie było od niego silniejsze i już u Aulusów objęło całkiem jego duszę... Innym przedą nić życia Parki, a jemu przedła ją miłość, tęsknota i smutek. Złe były jego postęпки, ale płynęły z miłości. Kochał ją u Aulusów i na Palatynie, i gdy ją widział na Ostryanum, słuchającą słów Piotra, i gdy szedł ją porwać z Krotonem, i gdy czuwała przy jego łożu, i gdy go opuściła. Przyszedł oto Chilo, który odkrył jej mieszkanie i radził ją porwać, ale on wołał ukarać Chilona i pójść do Apostołów prosić o prawdę i o nią... I niech będzie błogosławiona ta chwila, w której taka myśl przyszła mu do głowy, bo oto jest przy niej, a wszakże już ona nie będzie więcej uciekała

przed nim, tak jak ostatnim razem uciekła z mieszkania Myryam?

— Ja nie przed tobą uciekłam — rzekła Ligia.

— Więc czemuś to uczyniła?

A ona podniosła na niego swe oczy koloru irysów, poczem, schyliwszy zawstydzoną głowę, odrzekła:

— Ty wiesz...

Winicyusz umilkł na chwilę z nadmiaru szczęścia, poczem znów jął mówić, jak powoli otwierały mu się oczy, że ona jest całkiem różna od Rzymianek i chyba do jednej Pomponii podobna. Nie umiał jej zresztą dobrze wypowiedzieć, albowiem sam nie zdawał sobie sprawy z tego, co czuł, że w niej przychodzi na świat jakaś zupełnie inna piękność, której dotąd na świecie nie bywało, a która nietylko jest posągiem, ale i duszą. Powiedział jej natomiast to, co nappełniło ją radością, że ją pokochał nawet za to, iż uciekała przed nim i że będzie mu świętą przy ognisku.

Poczem, chwyciwszy jej rękę, nie mógł więcej mówić, patrzył tylko na nią z zachwytem, jak na odzyskane szczęście życia i powtarzał jej imię, jakby chcąc się upewnić, że ją odnalazł i że jest przy niej:

— O Ligio! o Ligio!...

Wreszcie jął ją rozpytywać, co się działo w jej duszy, a ona przyznała mu się, że go pokochała jeszcze w domu Aulusów, i że gdyby ją był odprowadził do nich z Palatynu, byłaby wyznała im swoją miłość i starała się przebłagać ich gniew na niego.

— Ja ci przysięgam — rzekł Winicyusz — że mnie w myśli nawet nie powstało odbierać cię Aulusom. Petroniusz powie ci kiedyś, że już wówczas mówił mi, że cię kocham i że pragnę cię zaślubić. Powiedziałem mu: niech omaści drzwi moje wilczym tłuszczem i niech zasiądzie przy mojem ognisku! Ale on mnie wyśmiał i podał Cezarowi myśl, by cię zażądał jako zakładniczki i oddał mnie. Ileż razy przeklinałem go w moim żalu, ale może to po-

myślny los tak zrządził, bo inaczejbym nie poznał chrześcijan i nie zrozumiał ciebie...

— Wierz mi, Marku, — odrzekła Ligia — że to Chrystus umyślnie prowadził cię ku sobie.

Winicyusz podniósł głowę z pewnem zdziwieniem.

— Prawda! — odpowiedział z żywością — wszystko składało się tak dziwnie, żem, szukając ciebie, spotkał się z chrześcijanami.. W Ostryanum ze zdumieniem słuchałem Apostoła, bom takich rzeczy nigdy nie słyszał. To tyś modliła się za mnie.

— Tak! — odpowiedziała Ligia.

Przeszli koło letnika, pokrytego gęstwą bluszczu, i zbliżyli się do miejsca, w którym Urzus, zdławiwszy Krotona, rzucił się na Winicyusza.

— Tu, — rzekł młody człowiek — gdyby nie ty, byłbym zginął.

— Nie przypominaj! — odpowiedziała Ligia — i nie pamiętaj tego Urzusowi.

— Mógłżebyś mścić się nad nim za to, że cię bronil? Gdyby był niewolnikiem, zaraz darowałbym mu wolność.

— Gdyby był niewolnikiem, Aulusowie dawnoby go wyzwolili.

— Pamiętasz, — rzekł Winicyusz — żem cię chciał wrócić Aulusom? aleś ty mi odrzekła, że Cezar mógłby się o tem dowiedzieć i mścić się nad nimi. Patrzże: teraz będziesz ich mogła widywać, ilekroć zechcesz.

— Dlaczego, Marku?

— Mówię: „teraz“, a myślę, że będziesz ich mogła widywać bezpiecznie wówczas, gdy będziesz moją. Tak!... Bo gdyby Cezar, dowiedziawszy się o tem, zapytał, com uczynił z zakładniczką, którą mi powierzył, rzeknę: zaślubiłem ją i do Aulusów chodzi z mojej woli. On długo w Ancyum nie zabawi, bo mu się chce do Achai, a choćby i zabawił, nie potrzebuję widywać go codziennie. Gdy Paweł z Tarzu nauczył mnie waszej Prawdy, zaraz chrzest

przyjmę i wrócę tu, odzyskam przyjaźń Aulusów, którzy w tych dniach wracają do miasta, i nie będzie już przeszkód, a wówczas zabiorę cię i posadzę przy mojem ognisku. *O carissima! carissima!*

To rzekłszy, wyciągnął ręce, jakby niebo biorąc na świadka swej miłości, a Ligia, podniósłszy na niego świetliste oczy, rzekła:

— I wówczas powiem: „Gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja“.

— Nie, Ligio! — zawołał Winicyusz — przysięgam ci, że nigdy żadna kobieta nie była tak czczona w domu męża, jak ty będziesz w moim.

Przez chwilę szli w milczeniu, nie mogąc objąć pierściami szczęścia, rozkochani w sobie, podobni do dwojga bóstw i tak piękni, jakby ich wraz z kwiatami wydała na świat wiosna.

Lecz Myryam ukazała się we drzwiach i zaprosiła ich na południowy posiłek. Zasiedli wówczas wśród Apostołów, ci zaś patrzyli na nich z uciechą, jako na młode pokolenie, które po ich śmierci miało zachować i siać dalej ziarno nowej nauki. Piotr łamał i błogosławił chleb; na wszystkich twarzach był spokój i jakieś ogromne szczęście zdawało przepelniać całą tę izbę.

— Patrzże, — rzekł wreszcie Paweł, zwracając się do Winicyusza — zaliśmy nieprzyjaciółmi życia i radości?

Ów zaś odpowiedział:

— Wiem, jako jest, bom nigdy nie był tak szczęśliwy, jak między wami.

XXIX.

Do Ancyum.

Wieczorem dnia tego Winicyusz, przechodząc przez Forum do domu, spostrzegł przy wejściu na vicus Tuscus złoconą lektykę Petroniusza, niesioną przez ośmiu Bityńczyków i zatrzymawszy ich znakiem ręki, zbliżył się do firanek.

— Obyś miał sen przyjemny i błogi! — zawołał, śmiejąc się, na widok uspionego Petroniusza.

— Ach, to ty! — rzekł, ocknąwszy się, Petroniusz. — Tak! zdrzemnąłem się, bom noc spędził na Palatynie. Teraz wybrałem się, by sobie kupić coś do czytania do Ancyum... Co słychać?

— Chodzisz po księgarniach? — spytał Winicyusz.

— Tak. Nie chcę wprowadzić nieładu w bibliotecę, więc na drogę czynię osobne zapasy. Podobno wyszły nowe rzeczy Muzoniusza i Seneki. Szukam także Persyusza¹⁾ i pewnego wydania eklog Wergilego, którego nie mam. Och, jakiż jestem zmęczony i jak ręce mnie bołą od zdejmowania zwojów z kołków... Bo gdy się jest raz w księgarni, ciekawość bierze to i owo zobaczyć. Na Kastora! jak mi się spać chce!...

— Byłeś na Palatynie, więc ja ciebie spytam, co sły-

¹⁾ Satyryk rzymski z czasów Nerona.

chać? Albo wiesz co? odeślij lektykę i puszki z książkami, a pójdź do mnie. Pomówimy o Ancyum i o czemś jeszcze.

— Dobrze — odrzekł Petroniusz, wysuwając się z lektyki. — Musisz przecie wiedzieć, że pojutrze wybieramy się do Ancyum.

— Skądżebyś miał wiedzieć?

— Na jakim ty świecie żyjesz? A więc ja pierwszy zwiastuję ci nowinę? Tak! Bądź gotów na pojutrze rano. Groch na oliwie nie pomógł, chustka na grubym karku nie pomogła i Miedzianobrody ochrypl. Wobec tego niema mowy o zwłoce. Przeklina Rzym i jego powietrze, na czem świat stoi, radby go z ziemią zrównać, albo zniszczyć ogniem, i chce mu się morza jak najprędzej. Powiada, że te zapachy, które wiatr niesie z wązkich uliczek, wtrąca go do grobu. Dziś czyniono wielkie ofiary we wszystkich świątyniach, by mu wrócił głos — i biada Rzymowi, a zwłaszcza senatowi, jeśli prędko nie wróci.

— Nie byłoby po co jechać wówczas do Achai.

— Alboż nasz boski Cezar ten jeden tylko talent posiada? — odrzekł, śmiejąc się, Petroniusz — wystąpiłby na igrzyskach olimpijskich jako poeta, ze swoim pożarem Troi, jako woźnica, jako muzyk, jako atleta, ba, nawet jako tancerz, i zabrałby w każdym razie wszystkie korony, przeznaczone dla zwycięzców. Czy wiesz, dlaczego ta małpa ochrypla? Oto wczoraj zachciało mu się dorównać w tańcu naszemu Parysowi i tańczył, przyczem spotał i zaziębił się. Cały był mokry i klejki, jak węgorz świeżo wyjęty z wody. Zmieniał maski jedna po drugiej, kręcił się jak wrzeciono, machał rękami jak spity majtek, i aż obrzydliwość brała patrzeć na ten wielki brzuch i na te cienkie nogi. Ale on chce publicznie wystąpić naprzód w Ancyum, a potem w Rzymie.

— Gorszono się już tem, że śpiewał publicznie, ale pomyśleć sobie, że Cezar rzymski wystąpi jako mima, nie! tego chyba Rzym nie zniesie!

— Mój drogi! Rzym wszystko zniesie, a senat uchwali
dziękczynienie „ojcu ojczyzny“.

Po chwili zaś dodał:

— A gawiedź dumna jeszcze z tego, że Cezar jest
jej błaznem.

— Powiedz sam, czy można było więcej spodlec?

Petroniusz ruszył ramionami.

Tak rozmawiając, weszli do domu Winicyusza, który
wesolo zawołał o wieczerzę, a następnie zwrócił się do
Petroniusza i rzekł:

— Nie, mój drogi, świat musi się odrodzić.

— My go nie odrodzimy — odpowiedział Petroniusz —
choćby dlatego, że w czasach Nerona człowiek jest jako
motyl: żyje w słońcu łaski, a przy pierwszym chłodnym
powiewie, ginie... choćby nie chciał! Na syna Mai: nieraz
zadaję sobie pytanie, jakim cudem taki Lucjusz Saturni-
nus mógł dożyć dziewięćdziesięciu trzech lat, przeżyć Ty-
beryusza, Kaligulę, Klaudyusza?... Ale mniejsza z tem.
Każ na wieczerzę przyjść cytarzyscie, a potem pogadamy
o Ancyum. Trzeba o tem pomyśleć, a zwłaszcza tobie.

Winicyusz wydał rozkaz, ale oświadczył, że nad po-
bytem w Ancyum nie myśli sobie łamać głowy. Niech ją
łamią ci, którzy nie umieją żyć inaczej, jak w promieniach
łaski Cezara. Świat nie kończy się na Palatynie, zwłaszcza
dla tych, którzy co innego mają w sercu i w duszy.

I mówił to tak niedbale, z takim ożywieniem i tak
wesolo, że wszystko to uderzyło Petroniusza, więc popa-
trzywszy na niego przez chwilę, rzekł:

— Co się z tobą dzieje? Tyś dziś taki, jak byłeś
wówczas, gdyś jeszcze nosił złotą bullę na szyi.

— Jestem szczęśliwy — odrzekł Winicyusz. — Za-
prosiłem cię do siebie umyślnie, by ci to powiedzieć.

— Co ci się zdarzyło?

— Coś takiego, czegobym nie odstąpił za imperyum
rzymskie.

To rzekłszy, siadł, wsparł ramię na poręczu krzesła,

głowę na ramieniu i począł mówić z twarzą pełną uśmiechów i z jaśniejącym wzrokiem:

— Czy pamiętasz, jak byliśmy razem u Aulusa Plaucjusza i tam po raz pierwszy widziałeś boską dziewczynę, którą sam nazwał jutrzenką i wiosną? Pamiętasz tę Psyche, tę nieporównaną, tę najpiękniejszą z dziewic i z wazszych bogiń?

Petroniusz patrzył na niego z takim zdziwieniem, jakby chciał sprawdzić, czy głowa jego jest w porządku.

— Po jakimu ty mówisz? — rzekł wreszcie. — Oczywiście, że pamiętam Ligię.

A Winicyusz rzekł:

— Jestem jej narzeczonym.

— Co?...

Lecz Winicyusz zerwał się i zawołał dyspenzatora.

— Niech niewolnicy staną tu przede mną co do jednej duszy! żywo!

— Jesteś jej narzeczonym? — powtórzył Petroniusz.

Lecz nim ochłonął ze zdziwienia, ogromne atrium Winicyuszowego domu zaroilo się od ludzi. Biegli zadyuszani starcy, mężczyźni w sile wieku, kobiety, chłopięta i dziewczyny. Z każdą chwilą atrium napełniało się coraz szczelniej; na korytarzach, zwanych *fauces*, słyhać było głosy nawołujące się w rozmaitych językach. Wreszcie ustawili się wszyscy murem pod ścianami i wśród kolumn, Winicyusz zaś, stanąwszy koło impluvium, zwrócił się do Demasa, wyzwolenca, i rzekł:

— Którzy wysłużyli w domu lat dwadzieścia, mają się stawić jutro u pretora, gdzie otrzymają wolność; którzy nie wysłużyli, otrzymają po trzy sztuki złota i podwójną porcję przez tydzień. Do ergastulów wiejskich posłać rozkaz, by odpuszczono kary, zdjęto kajdany z nóg ludziom i karmiono ich dostatnio. Wiedziecie, że nastał dla mnie szczęśliwy dzień i chcę, by radość była w domu.

Oni przez chwilę stali w milczeniu, jakby uszom wła-

sny m nie wierząc, poczem wszystkie ręce podniosły się do góry i wszystkie usta zawołały:

— Aa! panie! aaa!...

Winicyusz odprawił ich znakiem ręki, więc choć mieli ochotę dziękować i padać mu do nóg, odeszli śpiesznie, napełniając dom szczęściem od podziemi do dachu.

— Jutro — rzekł Winicyusz — każę im jeszcze zejść się w ogrodzie i kreślić przed sobą znaki, jakie chcą. Tych, którzy nakreślą rybę, wyzwoli Ligia.

Lecz Petroniusz, który nie dziwił się nigdy długo niczemu, ochłódl już i zapytał:

— Rybę? Aha! pamiętam, co mówił Chilon: to znak chrześcijan.

Poczem wyciągnął rękę do Winicyusza i rzekł:

— Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek widzi. Niech Flora sypie wam kwiaty pod nogi przez długie lata. Życzę ci wszystkiego, czego sam sobie życzysz.

— To ci dziękuję, bom myślał, że będziesz odradzał, a to, widzisz, byłby stracony czas.

— Ja, odradzać? Bynajmniej. Owszem, mówię ci, że dobrze robisz.

— Ha, zmienniku! — odrzekł wesoło Winicyusz — zaliś zapomniał, coś mi niegdyś mówił, gdyśmy wychodzili z domu Grecyny?

Lecz Petroniusz odpowiedział z zimną krwią:

— Nie! ale zmieniłem zdanie.

Po chwili zaś dodał:

— Mój kochany! w Rzymie wszystko się zmienia. Mężowie zmieniają żony, żony zmieniają mężów, dlategoż jaby m nie miał zmienić zdania? Niewiele brakło, a Nero byłby zaślubił Akte, którą umyślnie dla niego wywiedli z królewskiego rodu. I cóż! Miałby ucziwą żonę, a my ucziwą Augustę. Na Proteusza¹⁾ i jego morskie pustkowia! zawsze będę zmieniał zdanie, ilekroć uznam to

¹⁾ Podrządne bóstwo morskie, zmieniające swą postać.

za stosowne lub wygodne. Co do Ligii, jej królewskie pochodzenie pewniejsze jest, niż pergamscy przodkowie Akte. Ale ty się strzeż w Ancyum Poppei, która jest mściwa.

— Ani myślę! włos mi nie spadnie z głowy w Ancyum.

— Jeśli sądzisz, że mnie jeszcze raz zadziwisz, to się mylisz, ale skąd masz tę pewność?

— Powiedział mi to Piotr Apostoł.

— A! powiedział ci to Piotr Apostoł! Na to niema argumentu, pozwól jednak, bym ja przedsięwziął pewne środki ostrożności, choćby dlatego, by Piotr Apostoł nie okazał się fałszywym prorokiem, bo gdyby Piotr Apostoł wypadkiem się omylił, mógłby stracić twoją ufność, która i nadal zapewne Piotrowi Apostołowi się przyda.

— Czyń co chcesz, ale ja mu wierzę. I jeśli myślisz, że mnie do niego zrazisz, powtarzając z przekąsem w kółko jego imię, to się mylisz.

— Więc jeszcze jedno pytanie: czyś został już chrześcijaninem?

— Dotąd nie, ale Paweł z Tarzu jedzie ze mną, aby mi tłómaczyć naukę Chrystusa, a potem przyjmę chrzest, bo to, coś mówił, że oni są nieprzyjaciółmi życia i radości, to nieprawda.

— To tem lepiej dla ciebie i dla Ligii — odpowiedział Petroniusz.

Poczem wzruszywszy ramionami, rzekł jakby sam do siebie:

— Zadziwiająca jednak rzecz, jak ci ludzie umieją zdobywać wyznawców i jak ta sekta się szerzy.

A Winicyusz odpowiedział z takim zapalem, jakby i sam był ochrzczony:

— Tak! tysiące i dziesiątki tysięcy są w Rzymie, w miastach Italii, w Grecyi i Azyi. Są chrześcijanie wśród legii i wśród pretoryanów, są w samym pałacu Cezara. Wyznają tę naukę niewolnicy i obywatele, ubodzy i bogaci, plebs i patrycyat. Zali wiesz, że niektórzy Korneliu-

sze są chrześcijanami, że jest chrześcijanką Pomponia Grecyna, że była nią podobno Oktawia, a jest Akte? Tak, ta nauka ogarnia świat i ona jedna może go odrodzić. Nie wzruszaj ramionami, bo kto wie, czy za miesiąc lub za rok sam jej nie przyjmiesz.

— Ja? — rzekł Petroniusz. — Nie, na syna Lety! ja jej nie przyjmę, choćby w niej tkwiła prawda i mądrość zarówno ludzka, jak boska... To wymagałoby trudu, a ja nią lubię się trudzić... To wymagałoby zrzeczeń się, a ja się nie lubię niczego w życiu zrzekać. Z twoją naturą, podobną do ognia i ukropu, zawsze mogło się coś podobnego przytrafić, ale ja? W Olimp nie wierzę, ale go sobie urządzam na ziemi i będę kwitnął, póki mnie nie przeszyją strzały boskiego łucznika, lub póki mi Cezar nie każe otworzyć sobie żył. Ja nadto lubię woń fiołków i wygodne tryklinium. Lubię nawet naszych bogów... jako figury retoryczne i Achaję, do której wybieram się z naszym otyłym, cienkonogim, nieporównanym, boskim Cezarem, Augustem, Herkulesem, Neronem!...

To rzekłszy, rozweselił się na samo przypuszczenie, że mógłby przyjąć naukę rybaków galilejskich i począł półgłosem śpiewać:

W zieleń mirtową owinę jasny miecz mój.

W ślad Harmodyosa i Arystogitona ¹⁾...

Podano wieczerzę, w czasie której, po kilku pieśniach odśpiewanych przez cytrzystę, Winicyusz opowiadał Petroniuszowi o odwiedzinach Chilona i o tem, jak te odwiedziny podały mu myśl udania się wprost do Apostołów, która przyszła mu właśnie podczas chłosty Chilona.

Na to Petroniusz, którego znów poczęła ogarniać senność, przyłożył rękę do czoła i rzekł:

— Myśl była dobra, skoro skutek dobry. A co do Chilona, ja kazałbym mu dać pięć sztuk złota, ale skoro

¹⁾ Oswobodzili Ateny od tyrańca Hipparcha.

kazałeś go ćwiczyć, to już lepiej było i zaćwiczyć, bo kto wie, czy z czasem nie będą mu się jeszcze senatorowie kłaniali, jak dziś kłaniają się naszemu rycerzowi-Dratewce-Watyniuszowi. Dobranoc.

* * *

Trzeciego dnia po owych zdarzeniach, Cezar z całym zastępem augustyanów, straży pretoryańskiej, służby i niewolników, wyruszył do Ancyum. Tłumy ludu przypatrywały się temu pochodowi.

W ciżbie znajdował się i Piotr Apostoł, który raz w życiu chciał ujrzeć Cezara. Towarzyszyła mu Ligia, mając twarz ukrytą pod gęstą zasłoną i Urzus, którego siła stanowiła najpewniejszą dla dziewczyny opiekę pośród niesfornych i rozpasanych tłumów. Lig wziął w ręce jeden z głazów, przeznaczonych pod budowę świątyni, i przyniósł go Apostołowi, aby ten, wstąpiwszy na niego, mógł lepiej widzieć od innych.

Winicyusz, jadąc na końcu orszaku, na widok Apostoła i Ligii, której nie spodziewał się widzieć, wyskoczył z wozu i powitawszy ich z rozpromienioną twarzą, począł mówić przyspieszonym głosem, jak człowiek, który niema czasu do stracenia:

— Przyszłaś? Nie wiem, jak ci mam dziękować, o Ligio!... Bóg nie mógł mi zesłać lepszej wróżby. Pozdrawiam cię jeszcze, żegnając, ale nie żegnając na długo. Po drodze rozstawię konie partyjskie i w każdy dzień wolny będę przy tobie, póki powrotu sobie nie wyproszę. Bądź zdrowa!

— Bądź zdrow, Marku — odrzekła Ligia i potem dała ciszej:

— Niech cię Chrystus prowadzi i otworzy ci duszę na słowa Pawła.

Jakoż Winicyusz skorzystał z pierwszej sposobności, kiedy Cezar zajęty swojemi pieśniami nie zwracał uwagi na otoczenie, i wymknąwszy się z Ancyum, rozstawnymi

końmi przybył do Rzymu. Ligia przywitała go u progu domu.

— Wiedziałam, że przyjedziesz. Dwa razy Urzus wybiegał na moją prośbę na Karyny i pytał o ciebie w twoim domu. Linus śmiał się ze mnie i Urzus także.

Winicyusz przycisnął usta do jej ręki, poczem siedli na kamiennej ławce wśród dzikiego wina i, wsparłszy się o siebie ramionami, milczeli, poglądając ku zorzom, których ostatnie blaski odbijały się w ich oczach.

Urok cichego wieczora opanowywał ich z wolna.

— Jak tu cicho i jaki świat śliczny — rzekł zniżonym głosem Winicyusz. Noc idzie ogromnie pogodna. Czuję się tak szczęśliwy, jak nigdy w życiu nie byłem. Teraz dopiero rozumiem, że może być szczęście, o jakim ludzie dotąd nie wiedzieli. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego i ty, i Pomponia Grecyna jesteście takie pogodne... Tak!... To daje Chrystus... Ligio! niech będzie błogosławiona chwila, w której pierwszy raz usłyszałem Jego imię.

Ona zaś odpowiedziała cicho:

— Kocham cię, Marku.

Poczem umilkli znów oboje, nie mogąc słów dobyć z wezbranych piersi. Na cyprysach zgasły ostatnie liliowe odblaski i ogród począł się srebrzyć od księżycowego sierpa.

Po chwili Winicyusz począł mówić:

— Ja wiem... Ledwie tu wszedł, ledwie ucałował twoje drogie ręce, wyczytałem w twoich oczach pytanie, czym pojął tę Boską naukę, którą ty wyznajesz, i czym został ochrzczony? Nie! ochrzczony jeszcze nie jestem, ale czy wiesz, kwiecie, dlaczego? Oto Paweł mi rzekł: „Jam cię przekonał, że Bóg przyszedł na świat i dał się ukrzyżować dla zbawienia świata, ale niech w zdroju łaski obmyje cię Piotr, który pierwszy wyciągnął nad tobą ręce i pierwszy cię błogosławił“. A i ja także chciałem, byś ty, najdroższa, patrzyła na mój chrzest, i by mi matką była Pomponia. Więc dlatego nie jestem dotąd ochrzczony

choć wierzę w Zbawiciela i w Jego słodką naukę. Paweł mnie przekonał, nawrócił, i zali mogło być inaczej? Jakżebym mógł nie wierzyć, że Chrystus przyszedł na świat, skoro tak mówi Piotr, który był Jego uczniem, i Paweł, któremu się objawił? Jakże mógłbym nie wierzyć, że był Bogiem, skoro zmartwychwstał? Widzieli Go przecie i w mieście, i nad jeziorem, i na górze, i widzieli ludzie, których usta kłamstwa nie zaznały. Jam już w to wierzył od czasu, gdym słyszał Piotra w Ostryanum, bom sobie już wówczas powiedział: na całym świecie prędejszy każdy inny człowiek mógł skłamać, niż ten, który powiada: „Widziałem!“ Ale nauki waszej się bałem. Zdawało mi się, że ona odbiera mi ciebie. Mniemałem, że niemasz w niej ani mądrości, ani piękności, ani szczęścia. Dziś jednak, gdym ją poznał, cóżbym był za człowiek, gdybym nie chciał, by na świecie panowała prawda, a nie kłamstwo, miłość, a nie nienawiść, dobro, nie zbrodnia, wierność, nie zaś niewierność, litość, nie zemsta? Któżby taki był, któryby tego nie wolał i nie chciał? A przecie tego uczy wasza nauka. Inne chcą także sprawiedliwości, ale ta jedna czyni serce ludzkie sprawiedliwym. I prócz tego czyni je czystym, jak twoje i Pomponii, i czyni je wiernym, jak twoje i Pomponii. Słepymby był, gdybym tego nie widział. A jeśli przytem Chrystus Bóg obiecał życie wieczne i szczęście tak nieprzebrane, jakie tylko wszechmoc Boska dać może, to czegoż człowiek może chcieć więcej? Gdybym spytał Seneki, z jakich powodów zaleca cnotę, skoro przewrotność więcej szczęścia przynosi, nie umiałby mi naprawdę nie rozsądnego odpowiedzieć. Ale ja wiem teraz, dlaczego mam być cnotliwy. Oto dlatego, że dobro i miłość płynie z Chrystusa, i dlatego, aby, gdy śmierć mi zamknie oczy, odnaleźć życie, odnaleźć szczęście, odnaleźć siebie samego i ciebie, najdroższa moja... Jakże nie pokochać i nie przyjąć nauki, która zarazem mówi prawdę i znosi śmierć? Ktoby nie przełożył dobra nad zło? Ja myślałem, że ta nauka przeciwi się szczęściu, a tymczasem

Paweł przekonał mnie, że ona nietylko nie odbiera, ale jeszcze dodaje. Wszystko to załedwie mi się w głowie chce pomieścić, ale czuję, że tak jest, bom nigdy nie był równie szczęśliwy i nie mogłem być, choćbym cię był zabrał przemocą i miał w domu swoim. Stokroć cię więcej kocham za to, żeś uciekła przede mną z domu Cezara. Nie chcę go już i ja. Nie chcę jego rozkoszy i muzyki, tylko ciebie jednej. Powiedz słowo, a opuścimy Rzym, by osiąść gdzieś daleko.

Ona zaś, nie odrywając głowy od jego ramienia, podniosła oczy, jakby w zamyśleniu, na osrebrzone wierzchołki cyprysów i odrzekła:

— Dobrze, Marku. Tyś pisał mi o Sycylii, gdzie i Aulusowie chcą osiąść na stare lata...

A Winicyusz przerwał z radością:

— Tak, droga moja! Ziemie nasze znajdują się w pobliżu. Cudny to brzeg, gdzie klimat jeszcze słodszy, a noce jeszcze pogodniejsze od rzymskich, wonne i widne... Tam życie i szczęście, to prawie jedno i to samo.

— Pozwolisz mi widywać Pomponię? — spytała Ligia.

— Tak, droga. Będziemy ich zapraszali w dom nasz, lub sami jeździli do nich. Czy chcesz, byśmy zabrali ze sobą Piotra Apostoła? On przyciśnięty wiekiem i pracą. Paweł będzie nas także odwiedzał, nawróci Aulusa Plaucyusza i jako żołnierze zakładają kolonie w odległych krajach, tak my założymy kolonię chrześcijan.

Nagle ciszę przerwał grzmot niespodziany, głęboki i jakby wychodzący z pod ziemi. Dreszcz przebiegł przez ciało Ligii, Winicyusz zaś powstawszy, rzekł:

— To lwy ryczą w wiwaryach...

I poczęli oboje nasłuchiwać. Tymczasem pierwszemu grzmotowi odpowiedział drugi, trzeci, dziesiąty, ze wszystkich stron i dzielnic. W mieście bywało czasem po kilka tysięcy lwów, pomieszczonych przy różnych arenach, i nieraz nocami, zbliżając się do krat i opierając o nie olbrzymie głowy, głosiły w ten sposób swą tęsknotę za wolno-

ścią i pustynią. Tak poczęły tęsknić i teraz, i podając jeden drugiemu głos w ciszy nocnej, napełniły rykiem całe miasto. Było w tem coś niewypowiedzianie groźnego i posępnego, to też Ligia, której owe głosy spłoszyły jasne i spokojne widzenia przyszłości, słuchała ich z sercem ściśniętem jakąś dziwną trwogą i smutkiem.

Lecz Winicyusz otoczył ją ramieniem i rzekł:

— Nie bój się, droga. Igrzyska blisko, więc wszystkie wiwarya przepelnione.

Poczem weszli oboje do domku Linusa, przeprowadzeni coraz potężniejszym grzmotem lwich głosów.

XXX.

Igranie z ogniem.

W Ancyum tymczasem Petroniusz odnosił niemal każdego dnia nowe zwycięstwa nad augustyanami, współubiegającymi się z nim o łaskę Cezara. Wpływ Tygellina upadł zupełnie. W Rzymie, gdy trzeba było usuwać ludzi, którzy wydawali się niebezpieczni, łupić ich mienie, załatwiać sprawy polityczne, dawać widowiska, zdumiewające przepychem i złym smakiem, a wreszcie zaspakajać potworne zachcenia Cezara, Tygellinus, zarówno przebiegły, jak gotów na wszystko, okazał się niezbędnym. Ale w Ancyum, wśród pałaców przegładających się w lazurach morza, Cezar był życiem helleńskim. Od rana do wieczora czytywano wiersze, rozprawiano nad ich budową i doskonałością, zachwycano się szczęśliwymi zwrotami, zajmowano się muzyką, teatrem, słowem wyłącznie tem, co wynalazł i czem przyozdobił życie geniusz grecki. Lecz w takich warunkach, niezrównanie więcej wykształcony od Tygellina i innych augustyanów, Petroniusz, dowcipny, wymowny, pełen subtelnych poczuć i smaku, musiał uzyskać przewagę. Cezar szukał jego towarzystwa, zasięgał jego zdania, pytał o radę, gdy sam tworzył, i okazywał przyjaźń żywszą niż kiedykolwiek. Otaczającym wydawało się, że wpływ jego odniósł wreszcie ostateczne zwycięstwo, że przyjaźń między nim i Cezarem weszła już

w okres stały i że przetrwa lata. Ci nawet, którzy dawniej okazywali niechęć wykwiśnemu epikurejczykowi, poczęli go teraz otaczać i ubiegać się o jego łaski. Niejeden rad był nawet szczerze w duszy, że przewagę uzyskał człowiek, który wiedział wprawdzie co o kim ma myśleć i przyjmował ze sceptycznym uśmiechem pochlebstwa wczorajszych wrogów, lecz czy to przez lenistwo, czy przez wytworność, nie był mściwym i potęgi swej nie używał na cudzą zgubę lub szkodę. Bywały chwile, że mógł zgubić nawet i Tygellina, ale on wolał go wyśmiewać i wyprowadzać na jaw jego brak wykształcenia i pospolitość. Senat w Rzymie odetchnął, gdyż od półtora miesiąca żaden wyrok śmierci nie został wydany.

Petroniusz zaś, ze zwykłą sobie niedbałością, zdawał się nie przywiązywać żadnej wagi do swego stanowiska. Bywał, jak zwykle, opieszale, leniwy, dowcipny i sceptyczny. Często kroć czynił na ludzi wrażenie człowieka, który drwi z nich, z siebie, z Cezara i z całego świata. Chwilami ośmielał się przyganiać w oczy Cezarowi, i gdy inni sądzili, iż posuwa się zadaleko lub wprost gotuje sobie zgubę, on umiał przyganę przyprowadzić nagle w taki sposób, że wychodziła na jego korzyść, w obecnych zaś, budziła podziw i przekonanie, że niemasz położenia, z którego nie wyszedłby z tryumfem. Raz, mniej więcej w tydzień po powrocie Winicyusza z Rzymu, Cezar czytał w małym kółku ustęp ze swej Troiki, gdy zaś skończył i gdy przebrzmiały okrzyki zachwyty, Petroniusz, zapytywany wzrokiem przez Cezara, rzekł:

— Niegodziwe wiersze, godne rzucenia w ogień.

Obecnym serca przestały bić z przerażenia, Nero bowiem od dzieciennych lat nie usłyszał nigdy z nieczyich ust podobnego wyroku; tylko twarz Tygellina zaświeciła radością. Winicyusz natomiast poblądł, sądząc, że Petroniusz, który nie upijał się nigdy, upił się tym razem.

A Nero począł pytać miódowym głosem, w którym drgała wszelako głęboko zraniona miłość własna:

— Co znajdujesz w nich niedobrego?

Petroniusz zaś napadł na niego.

— Nie wierz im — rzekł, wskazując ręką na obecnych — oni się na niczem nie znają. Pytasz, co niedobrego w twych wierszach? Jeśli chcesz prawdy, to ci powiem: Dobre są dla Wergiliusza, dobre dla Owidyusza, dobre nawet dla Homera, ale nie dla ciebie. Tobie nie wolno takich pisać. Ten pożar, który opisujesz, nie dość płonie, twój ogień nie dość parzy. Nie słuchaj pochlebstw Lukana. Jemu za takie same wiersze przyznałbym geniusz, ale nie tobie. A wiesz dlaczego? Boś większy od nich. Komu bogowie dali tyle, co tobie, od tego więcej można wymagać. Ale ty się lenisz. Wolisz sypiać po prandium ¹⁾, niż przysiedzieć fałdów. Ty możesz stworzyć dzieło, o jakim świat dotąd nie słyszał, i dlatego w oczy ci powiadam: napisz lepsze!

I mówił to od niechcenia, jakby drwiąc, a zarazem zrzędząc, lecz oczy Cezara zaszyły mgłą rozkoszy i rzekł:

— Bogowie dali mi trochę talentu, ale dali prócz tego więcej, bo prawdziwego znawcę i przyjaciela, który jeden umie mówić prawdę w oczy.

To rzekłszy, wyciągnął swą tłustą, pokrytą rdzawym włosem rękę do złotego kandelabru, złupionego w Delfach, by spalić wiersze.

Lecz Petroniusz odebrał mu je, nim płomień dotknął papirusu.

— Nie, nie! — rzekł — nawet tak niegodziwe należą do ludzkości. Zostaw mi je.

— Pozwól mi w takim razie odesłać ci je w puszcze mego pomysłu — odpowiedział, ściskając go Nero.

I po chwili mówić począł:

— Tak jest, masz słusność. Mój pożar Troi nie dość świeci, mój ogień nie dość parzy. Myślałem jednak, że gdy wyrównam Homerowi, to wystarczy. Pewna nieśmia-

¹⁾ Śniadanie, które podawano o południowej godzinie.

łość i małe rozumienie o sobie przeszkadzały mi zawsze. Tyś mi otworzył oczy. Ale czy wiesz, dlaczego jest tak, jak mówisz? Oto, gdy rzeźbiarz chce stworzyć postać boga, szuka sobie wzoru, jam zaś nie miał wzoru. Nie widziałem nigdy płonącego miasta i dlatego w opisie moim brak prawdy.

— Więc ci powiem, że trzeba jednak być wielkim artystą, by to rozumieć.

Nero zamyślił się, po chwili zaś rzekł:

— Odpowiedz mi, Petroniuszu, na jedno pytanie: czy ty żałujesz, że Troja się spaliła?

— Czy żałuję?... Na chromego małżonka Wenery¹⁾, bynajmniej! I powiem ci, dlaczego! Oto Troja nie spaliłaby się, gdyby Prometeusz nie podarował ludziom ognia i gdyby Grecy nie wypowiedzieli Pryamowi wojny; gdyby zaś nie było ognia, Eschilos nie napisałby swego Prometeusza, równie jak bez wojny, Homer nie napisałby Iliady, a ja wolę, że istnieje Prometeusz i Iliada, niż żeby zachowała się mieścina, prawdopodobnie licha i brudna, w którejby teraz co najmniej siedział jakiś zakazany prokurator i nudził cię zatargami z miejscowym areopagiem.

— Oto co się nazywa mówić rozumnie — odpowiedział Cezar. — Dla poezyi i sztuki wolno i należy wszystko poświęcić. Szczęśliwi Achaje, którzy dostarczyli Homerowi treści do Iliady i szczęśliwy Pryam, który oglądał zgubę ojczyzny. A ja? ja nie widziałem płonącego miasta.

Nastała chwila milczenia, którą przerwał wreszcie Tygellinus.

— Wszakżem ci już mówił, Cezarze — rzekł — rozkaż, a spalę Ancyum. Albo wiesz co? jeśli ci żal tych willi i pałaców, każę spalić okręty w Ostyi lub zbuduję ci na podgórzu albańskiem drewniane miasto, w które sam rzucisz płomień. Czy chcesz?

¹⁾ Wulkan, bóg ognia.

Lecz Nero rzucił mu spojrzenie pełne pogardy.

— Ja mam patrzeć na płonące drewniane budy? Twój umysł zupełnie wyjałowiał, Tygellinie! I widzę przytem, że nie bardzo cenisz mój talent i moją Troikę, skoro sądzisz, że jakaś inna ofiara byłaby dla niej za wielka.

Tygellinus zmieszał się, Nero zaś po chwili, jakby chcąc zmienić rozmowę, dodał:

— Lato idzie... O, jak ten Rzym musi teraz cuchnąć!... A jednak na letnie igrzyska trzeba tam będzie wrócić.

Wtem Tygellinus rzekł:

— Gdy odprawisz augustyanów, Cezarze, pozwól mi na chwilę zostać ze sobą...

W godzinę później Winicyusz, wracając z Petroniuszem z cesarskiej willi, mówił:

— Miałem przez ciebie chwilę trwogi. Sądziłem, żeś się po pijanemu zgubił bez ratunku. Pamiętaj, że igrasz ze śmiercią.

— To jest moja arena — odrzekł niedbale Petroniusz — i bawi mnie poczucie, że jestem na niej najlepszym z gladyatorów. Patrząc, jak się skończyło. Wpływ mój urósł jeszcze tego wieczoru. Odeśle mi swoje wiersze w puszcę, która (chcesz się założyć?) będzie ogromnie bogata i ogromnie w złym smaku. Każę memu lekarzowi trzymać w niej środki czyszczące. Ja uczyniłem to i dlatego jeszcze, że Tygellinus widząc, jak takie rzeczy się udają, zechce mnie niechybnie naśladować, i wyobrażam sobie, co się stanie, skoro ruszy konceptem. To będzie, jak gdyby pirenejski niedźwiedź chciał chodzić po linie. Będę się śmiał jak Demokryt ¹⁾. Gdybym koniecznie chciał, potrafiłbym może zgubić Tygellina i zostać na jego miejscu prefektem pretoryanów. Wówczas miałbym w ręku samego Ahenobarba. Ale się lenię. Wolę od biedy takie życie, jakie prowadzę, i nawet wiersze Cezara.

¹⁾ Filozof grecki żyjący w V w. przed Chr.

— Co za zręczność, która nawet z nagany potrafi zrobić pochlebstwo!

* * *

Nero grał i śpiewał hymn na cześć „Pani Cypru“, do którego sam ułożył wiersze i muzykę. Był tego dnia przy głosie i czuł, że muzyka jego naprawdę porywa obecnych, a poczucie to tyle dodało siły dźwiękom, które z siebie wydobywał, i tak rozkołysało jego własną duszę, że wydawał się być natchniony. W końcu pobladł sam ze szczerego wzruszenia. Pierwszy też zapewne raz w życiu nie chciał słuchać pochwał obecnych. Przez chwilę siedział z rękoma wspartemi na cytrze i z pochyloną głową, poczem powstał nagle i rzekł:

— Zmęczony jestem i potrzeba mi powietrza. Nastrójcie tymczasem cytry.

To powiedziawszy, obwinął gardło jedwabną chustką.

— Wy pójdźcie za mną — rzekł, zwracając się do Petroniusza i Winicyusza, siedzących w kącie sali. — Ty, Winicyuszu, podaj mi rękę, bo mi sił brak, Petroniusz zaś będzie mi mówił o muzyce.

Poczem wyszli razem na wyłożony alabastrem i posypany szafranem taras pałacowy.

— Tu się oddycha swobodniej — rzekł Nero. — Dużę mam wzruszoną i smutną, choć widzę, że z tem, co wam na próbę zaśpiewałem, mogę wystąpić publicznie i że to będzie tryumf, jakiego nigdy jeszcze żaden Rzymianin nie odniósł.

— Możesz wystąpić tu, w Rzymie i w Achai. Podziwiałem cię całym sercem i umysłem, boski! — odpowiedział Petroniusz.

— Wiem. Jesteś zbyt leniwy, byś się miał zmuszać do pochwał. I szczerzy jesteś, jak Tulusz Senecyo, ale się lepiej znasz od niego. Powiedz mi, co ty sądzisz o muzyce?

— Gdy słucham poezji, gdy patrzę na kwadrygę, którą powozisz w cyrku, na piękny posąg, piękną świątynię lub obraz, czuję, że ogarniam to, co widzę, w całości, i że w moim zachwycie mieści się wszystko, co te rzeczy dać mogą. Ale gdy słucham muzyki, zwłaszcza twojej, otwierają się przede mną coraz nowe piękności i rozkosze. Biegnę za niemi, chwytam je, lecz zanim przyjmę je w siebie, napływają znów nowe i nowe, zupełnie fale morskie, które idą z nieskończoności. Więc oto powiem ci, że muzyka jest jak morze. Stoimy na jednym brzegu i widzimy dal, ale drugiego brzegu dojrzyć niepodobna.

— Ach, jakim ty jesteś głębokim znawcą! — rzekł Nero.

I przez chwilę chodzili w milczeniu, tylko szafran szeleścił cicho pod ich stopami.

— Wypowiedziałeś moją myśl — rzekł wreszcie Nero — i dlatego powiadam zawsze, że w całym Rzymie ty jeden potrafisz mnie zrozumieć. Tak jest. To samo i ja sędzę o muzyce. Gdy gram i śpiewam, widzę takie rzeczy, o których nie wiedziałem, że istnieją w państwie mojem lub na świecie. Oto jestem Cezarem i świat należy do mnie, mogę wszystko. A jednak muzyka odkrywa mi nowe królestwa, nowe góry i morza i nowe rozkosze, których nie znałem dotąd. Najczęściej nie umiem ich nazwać, ni pojąć umysłem — czuję je tylko. Czuję bogów, widzę Olimp. Jakiś wiatr zaziemski wieje na mnie; spostrzegam, jak we mgle, jakieś wielkości niezmierzone a spokojne i tak jasne, jak wschód słońca... Sferos cały gra wokół mnie i powiem ci... (tu głos Nerona zadrgał rzeczywistym zdziwieniem), że ja, Cezar i bóg, czuję się wówczas małym, jak proch. Dasz temu wiarę?

— Tak. Tylko wielcy artyści mogą się czuć wobec sztuki małymi..

— Ale widzisz, ja właśnie jestem we wszystkim artystą i ponieważ muzyka otwiera przede mną przestwory, których nie domyślałem się istnienia, krainy, które mi nie

władam, rozkosz i szczęście, których nie zaznałem, więc ja nie mogę żyć życiem zwyczajnem. Ona mi mówi, że nadzwyczajność istnieje, przeto jej szukam całą potęgą władzy, którą bogowie złożyli w moje ręce. Czasem wydaje mi się, że aby się dostać do tych olimpijskich świątów, trzeba zrobić coś takiego, czego żaden człowiek dotąd nigdy nie uczynił, trzeba przewyższyć ludzkie pogłowie w dobrem lub w złem. Wiem także, że ludzie posądzają mnie, iż szaleję. Ale ja nie szaleję, tylko szukam! a jeśli szaleję, to z nudy i niecierpliwości, że znaleźć nie mogę. Ja szukam! rozumiesz mnie, i dlatego chcę być większym, niż człowiek, bo tylko w ten sposób mogę być największy, jako artysta.

Tu zniżył głos, tak aby Winicyusz nie mógł go słyszeć, i przyłożywszy usta do ucha Petroniusza, począł szeptać:

— Czy wiesz, że ja głównie dlatego skazałem na śmierć matkę i żonę? U bram nieznanego świata chciałem złożyć największą ofiarę, jaką człowiek mógł złożyć. Mnie-małem, że się potem coś stanie i że jakieś drzwi się otwórzają, za którymi dojrzę coś nieznanego. Niechby to było cudniejsze lub straszliwsze nad ludzkie pojęcie, byle było nadzwyczajne i wielkie... Ale tej ofiary nie było dość. Dla otwarcia empirejskich drzwi potrzeba widocznie większej — i niech się tak stanie, jak chcą wyroki.

— Co zamierzasz uczynić?

— Zobaczysz, zobaczysz prędzej, niż myślisz. Tymczasem wiedz, że jest dwóch Neronów: jeden taki, jakim go ludzie znają, drugi artysta, którego znasz tylko ty jeden i który, jeśli zabija jak śmierć, lub szaleje jak Bachus, to właśnie dlatego, że go dławi płaskość i lichota zwykłego życia i chciałby je wyplenić, choćby przyszło użyć ognia lub żelaza... O! jaki ten świat będzie płaski, gdy mnie nie stanie!... Nikt się jeszcze nie domyśla, nawet ty, drogi, jakim ja jestem artystą. Ale właśnie dlatego cierpię i szczerze ci mówię, że dusza bywa we mnie cza-

sami tak smutna, jak te cyprysy, które tam czernią się przed nami. Ciężko człowiekowi dźwigać naraz brzemię najwyższej władzy i największego talentu...

— Współczuję ci, Cezarze, z całego serca, a ze mną ziemia i morze, nie licząc Winicyusza, który cię w duszy ubóstwia.

— Był mi też i on zawsze miłym — rzekł Nero — choć służy Marsowi nie muzom.

— On przedewszystkiem służy Afrodycie — odrzekł Petroniusz.

I nagle postanowił za jednym zamachem załatwić sprawę siostrzeńca, a zarazem usunąć wszelkie niebezpieczeństwa, jakie mogły mu grozić.

— On jest zakochany, jak Troilus w Kressydzie — rzekł. — Pozwól mu, panie, odjechać do Rzymu, bo mi uschnie. Czy wiesz, że owa zakładniczka ligijska, którą mu podarowałaś, odnalazła się i Winicyusz, wyjeżdżając do Ancyum, zostawił ją pod opieką niejakiego Linusa? Nie wspominałem ci o tem, gdyż układałeś swój hymn, a to jest rzecz ważniejsza od wszystkiego. Winicyusz pragnie ją poślubić. Jest to królewska córka, więc ujmy mu nie przyniesie, ale on, to prawdziwy żołnierz: wzdycha, schnie, jęczy, lecz czeka na pozwolenie swego imperatora.

— Imperator nie wybiera żon żołnierzom. Po co mu moje pozwolenie?

— Mówiłem ci, panie, że on cię ubóstwia.

— Tem bardziej może być pewny pozwolenia. To ładna dziewczyna, ale za wążka w biodrach. Augusta Poppea skarżyła się na nią przede mną, że urzekła nasze dziecko w ogrodach Palatynu...

— Ale powiedziałem Tygellinowi, że bóstwa nie podlegają złym urokom. Pamiętasz, boski, jak się zmieszał i jak sam krzyczałeś: *habet!*

— Pamiętam.

Tu zwrócił się do Winicyusza:

— Kochaszże ją tak, jak mówi Petroniusz?

— Kocham ją, panie! — odpowiedział Winicyusz.

— A więc rozkazuję ci jechać zaraz jutro do Rzymu, zaślubić ją i nie pokazywać mi się na oczy bez ślubnego pierścienia.

— Dzięki ci, panie, z serca i duszy.

— O, jak miło jest uszczęśliwiać ludzi — rzekł Cezar. — Chciałbym nic innego przez całe życie nie czynić.

— Uczyni nam jeszcze jedną łaskę, boski, — rzekł Petroniusz — i oświadczyć tę swoją wolę wobec Augusty. Winicyusz nie ośmieliłby się nigdy zaślubić istoty, do której Augusta żywi niechęć, ale ty, panie, rozproszysz jednym słowem jej uprzedzenia, oznajmiając, żeś sam tak rozkazał.

— Dobrze — rzekł Cezar — tobie i Winicyuszowi nie umiałbym niczego odmówić.

I zawrócił do willi, a oni poszli z nim razem, pełni w sercach radości ze zwycięstwa. Winicyusz musiał się powstrzymywać, by nie rzucić się na szyję Petroniusza, teraz bowiem wszelkie niebezpieczeństwa i przeszkody zdawały się być usunięte.

W atrium willi młody Nerwa i Tulusz Senecyo zabawiali Augustę rozmową, Terpnos zaś i Dyodor stroili cytry. Nero, wszedłszy, siadł na wykładanym szyldkretem krześle i szepnąwszy coś do ucha przybocznemu greckiemu pacholęciu, czekał.

Pacholę wróciło niebawem ze złotą skrzynką — Nero otworzył ją i wybrawszy naszyjnik z wielkich opalów, rzekł:

— Oto są klejnoty, godne dzisiejszego wieczora.

— Mieni się na nich jutrzienka — odpowiedziała Poppea, w przekonaniu, że naszyjnik dla niej jest przeznaczony.

Cezar przez chwilę to podnosił, to zniżał różowe kamienie i wreszcie rzekł:

— Winicyuszu, podarujesz ode mnie ten naszyjnik młodej królownie ligijskiej, którą nakazuję ci zaślubić.

Pełen gniewu i nagłego zdziwienia wzrok Poppei począł przenosić się z Cezara na Winicyusza, w końcu zaś spoczął na Petroniuszu.

Lecz ów, przechylony niedbale przez poręcz krzesła, wodził ręką po gryfie harfy, jakby chcąc dokładnie kształt jego zapamiętać.

Tymczasem Winicyusz, złożywszy dzięki za podarek, zbliżył się do Petroniusza i rzekł:

— Czem ja ci się odwdzięczę za to, coś dziś dla mnie uczynił?

— Ofiaruj Euterpie ¹⁾ parę łabędzi, — odpowiedział Petroniusz. — Ale teraz uważaj, bo Cezar bierze znów formingę ²⁾. Zatrzymaj oddech, słuchaj i roń lzy.

Jakoż Cezar wziął rzeczywiście formingę do ręki i podniósł oczy w górę. W sali ustały rozmowy i ludzie siedzieli nieruchomie, jakby skamieniali. Tylko Terpnos i Dyodor, którzy mieli akompaniować Cezarowi, spoglądali, kręcąc głowami, to na siebie, to na jego usta, w oczekiwaniu pierwszych tonów pieśni.

Wtem w przedsionku wszczął się ruch i hałas, a po chwili z za zasłony wychylił się naprzód wyzwoleniec cesarski, Faon, a tuż za nim konsul Lekaniusz.

Nero zmarszczył brwi.

— Wybacz, boski imperatorze — rzekł zdyszonym głosem Faon — w Rzymie pożar! większa część miasta w płomieniach!...

Na tę wiadomość wszyscy zerwali się z miejsc, Nero złożył formingę i rzekł:

— Bogowie!... Ujrzę płonące miasto i skończę Troikę. Poczem zwrócił się do konsula:

— Czy, wyjechawszy natychmiast, zdążę jeszcze zobaczyć pożar?

— Panie! — odpowiedział blady jak ściana konsul — nad miastem jedno morze płomieni: dym dusi mieszkań-

¹⁾ Muza lirycznej poezji. ²⁾ Rodzaj liry.

ców i ludzie mdleją lub z szaleństwa rzucają się w ogień...
Rzym ginie, panie!

Nastała chwila ciszy, którą przerwał okrzyk Wini-
cyusza:

— *Vae misero mihi!*¹⁾...

I młody człowiek, zrzuciwszy togę, w samej tunice
wybiegł z pałacu.

Nero zaś podniósł ręce ku niebu i zawołał:

— Biada ci, święty grodzie Pryama!...

¹⁾ „Biada mi, nędznemu!”

XXXI.

Pożar Rzymu.

Winicyusz zaledwie miał czas rozkazać kilku niewolnikom, by jechali za nim, poczem wskoczywszy na konia, popędził wśród głębokiej nocy przez puste ulice Ancyum, w kierunku Laurentum. Wpadłszy pod wpływem straszliwej wieści w stan jakby szału i umysłowego zdzieczenia, chwilami nie zdawał sobie dokładnie sprawy, co się z nim dzieje, miał tylko poczucie, że na tym samym koniu siedzi za jego plecami nieszczęście i krzyżąc mu do uszu: „Rzym się pali!“ — smaga jego samego, konia i pędzi ich w ten ogień. Położywszy swą odkrytą głowę na karku końskim, biegł w samej tunice, na oślep, nie patrząc przed siebie i nie zważając na przeszkody, o które mógł się roztrzaskać. Wśród ciszy i wśród nocy, spokojnej i gwiaździstej, jeździec i koń, oblani blaskiem księżyca, czynili wrażenie sennych widziadeł. Idumejski ogier, stuliwszy uszy i wyciągnąwszy szyję, mknął jak strzała, mijając nieruchome cyprysy i białe, pochowane wśród nich, wille. Tętent kopyt o płyty kamienne budził tu i owdzie psy, które szczekaniem przeprowadzały dziwne zjawisko, potem zaś, zaniepokojone jego nagłością, poczynaly wyć, podnosząc paszcze do księżyca. Niewolnicy, biegnący za Winicyuszem, mając konie o wiele gorsze, wkrótce pozostali w tyle. On sam, przebiegłszy jak burza śpiące Laurentum,

zawrócił ku Ardei, w której również jak w Arycyi, w Bowili i Ustrinum, trzymał od czasu przyjazdu do Ancyum rozstawne konie, aby módcz w jak najkrótszym czasie przebiegać przestrzeń dzielącą go od Rzymu. Pamiętając o tem, wydobywał ostatki sił z konia. Za Ardeą wydało mu się, że niebo w północno-wschodniej stronie powleka się różowym odblaskiem. Mogła to być i zorza ranna, gdyż godzina była późna, dzień zaś czynił się wcześniej w lipcu. Lecz Winicyusz nie mógł powstrzymać okrzyku rozpacz i wściekłości, wydało mu się bowiem, że to jest luna pożogi. Przypomniały mu się słowa Lekaniusza: „miasto całe jednym morzem płomieni“ — i przez chwilę czuł, że grozi mu naprawdę szaleństwo, stracił bowiem całkowicie nadzieję, by mógł uratować Ligię, a nawet dobiec, zanim miasto nie zmieni się w jeden stos popiołu. Myśli jego stały się teraz jeszcze szybsze, niż pęd konia, i gnały przed nim, jako stado czarnego ptactwa — rozpaczliwe i potworne. Nie wiedział wprawdzie, która część miasta zaczęła płonąć, przypuszczał jednak, że dzielnica zatybrzańska, pełna skupionych domów, składów drzewa i drewnianych bud, w których sprzedawano niewolników, pierwsza mogła stać się pastwą płomienia. W Rzymie pożary zdarzały się dość często, przy których równie często przychodziło do gwałtów i rabunków, zwłaszcza w dzielnicach zamieszkałych przez ludność ubogą i nawpół barbarzyńską — cóż więc mogło dziać się na takim Zatybrzu, które było gniazdem hałasty, pochodzącej ze wszystkich stron świata? Tu Urzus ze swą nadludzką siłą mignął się w głowie Winicyusza, lecz cóż mógł poradzić choćby nie człowiek, ale tytan, przeciw niszczącej sile ognia? Obawa buntu niewolników była również zmorą, która dusiła Rzym od lat całych. Mówiono, iż setki tysięcy tych ludzi marzy o czasach Spartakusa ¹⁾ i czeka tylko na sposobną chwilę, by

¹⁾ Gładyator, który stanął na czele powstania niewolników za pierwszego Tryumviratu.

chwycić za broń przeciw ciemierzcom i miastu. A oto chwila nadeszła! Być może, że tam w mieście, obok pożogi, wre rzeź i wojna. Może nawet pretoryanie rzucili się na miasto i mordują z rozkazu Cezara. I włosy powstały nagle z przerażenia na głowie Winicyusza. Przypomniał sobie wszystkie rozmowy o pożarach miast, które od pewnego czasu z dziwną uporczywością prowadzono na dworze Cezara, przypomniał sobie jego skargi, że musi opisywać płonące miasto, nie widząc nigdy prawdziwego pożaru, jego pogardliwą odpowiedź Tygellinowi, który podejmował się podpalić Ancyum lub sztuczne drewniane miasto, wreszcie jego narzekania na Rzym i smrodliwe zaułki Subury. Tak! to Cezar kazał spalić miasto! On jeden mógł się na to ważyć, tak jak jeden Tygellinus mógł się podjąć wykonania podobnego rozkazu. A jeśli Rzym płonie z rozkazu Cezara, to któż może zaręczyć, że i ludność nie zostanie z jego rozkazu wymordowana?

W tej chwili jakiś jeździec, pędzący również, jak wicher, ale ze strony przeciwnej, do Ancyum, krzyknął, przebiegając koło niego: „Roma ginie!“ i popędził dalej. Do uszu Winicyusza doszedł tylko jeszcze wyraz: „bogowie“, resztę zgłuszył tętent kopyt. Lecz ów wyraz wytrzeźwił go. Bogowie!... Winicyusz podniósł nagle głowę i, wyciągnąwszy ramiona ku niebu, nabitemu gwiazdami, począł się modlić: „Nie was wzywam, których świątynie płoną, ale Ciebie!... Tyś sam cierpiał, Tyś jeden miłosierny! Tyś jeden rozumiał ludzki ból! Tyś przyszedł na świat, by ludzi nauczyć litości, więc ją teraz okaż. Jeśliś jest taki, jak mówią Piotr i Paweł, to mi uratuj Ligię. Weź ją na rękę i wynieś z płomieni. Ty to możesz! Oddaj mi ją, a ja Ci oddam krew. A jeśli dla mnie nie chcesz tego uczynić, to uczyn dla niej. Ona Cię kocha i ufa Ci. Obiecujesz życie po śmierci i szczęście, ale szczęście po śmierci nie minie, a ona nie chce jeszcze umierać. Daj jej żyć. Weź ją na rękę i wynieś z Rzymu. Ty możesz, chybabyś nie chciał!...“

I przerwał, czuł bowiem, że dalsza modlitwa mogła się zmienić w groźbę, bał się obrazić Bóstwo w chwili, gdy najbardziej potrzebował Jego litości i łaski. Zląkł się na samą myśl o tem i, by nie dopuścić do głowy ani cienia groźby, począł znów smagać konia, tembardziej, że białe mury Arycyi, która leżała na połowie drogi do Rzymu, zaświeciły już przed nim w blasku księżyca. Po pewnym czasie przebiegł w całym pędzie koło świątyni Merkurego, która leżała w gaju przed miastem. Wiedziano już tu widocznie o nieszczęściu, albowiem przed świątynią panował ruch niezwykły. Winicyusz dojrzał w przelocie na schodach i między kolumnami roje ludzi, świecących sobie pochodniami, którzy cisnęli się pod opiekę bóstwa. Droga nie była też już ani tak pusta, ani tak wolna, jak za Ardeą. Tłumy dążyły wprawdzie do gaju bocznemi ścieżkami, ale i na głównym gościńcu stały gromadki, które usuwały się pośpiesznie przed pędzącym jeźdźcem. Z miasta dochodził gwar głosów. Winicyusz wpadł w nie, jak wichher, przewróciwszy i stratowawszy kilku ludzi po drodze. Naokół teraz otoczyły go okrzyki: „Rzym płonie! miasto w ogniu! Bogowie, ratujcie Rzym!“

Koń potknął się i ściągnięty silną ręką, osiadł na zadzie przed gospodą, w której Winicyusz trzymał innego do zmiany. Niewielnicy, jakby spodziewając się przybycia pana, stali przed gospodą i na jego rozkaz ruszyli na wyścigi, by przyprowadzić nowego konia, Winicyusz zaś, widząc oddział, złożony z dziesięciu konnych pretoryanów, którzy widocznie jechali z wieścią z miasta do Ancyum, skoczył ku nim i począł pytać:

— Która część miasta w ogniu?

— Ktoś jest? — spytał dziesiętnik.

— Winicyusz, trybun wojskowy i augustyanin! Odpowiadaj, na głowę twoją!

— Pożar, panie, wybuchł w kramach przy Wielkim cyrku. Gdy nas wysłano, środek miasta był w ogniu.

— Zatybrze?

— Płomień tam dotychczas nie doszedł, lecz z niepowstrzymaną siłą ogarnia coraz nowe dzielnice. Ludzie giną od żaru i dymu i wszelki ratunek niemożliwy.

W tej chwili podano Winicyuszowi nowego konia. Młody trybun skoczył na niego i popędził dalej.

Jechał teraz ku Albanum, pozostawiając na prawo Albalongę i jej wspaniałe jezioro. Gościniec do Arycyi szedł pod górę, która zasłaniała całkowicie widnokraż i leżące po drugiej stronie Albanum. Winicyusz jednakże wiedział, że wydostawszy się na szczyt, obaczy nie tylko Bowilę i Ustrynum, w którym czekały na niego nowe konie, ale i Rzym, za Albanum bowiem ciągnęła się po obu bokach Appijskiej drogi równa, niska Kampania, po której biegły ku miastu tylko arkady akweduktów i nie już nie zasłaniało widoku.

— Ze szczytu zobaczę płomienie — mówił sobie.

I poczynął znów smagać konia.

Lecz, zanim dobiegł do szczytu góry, uczył na twarzy powiew wiatru i wraz z nim zapach dymu doszedł do jego nozdrzy.

A wtem i wierzchołek wzgórza zaczął się złocić.

— Łuna! — pomyślał Winicyusz.

Noc jednak bladła już od dawna, brzask przechodził w świt i na wszystkich pobliskich wzgórzach świeciły również złote i różowe blaski, mogące pochodzić zarazem od pożogi i od jutrzni. Winicyusz dobiegł do szczytu i wówczas straszliwy widok uderzył jego oczy.

Cała nizina pokryta była dymami, tworzącymi jakby jedną olbrzymią, leżącą tuż przy ziemi chmurę, w której znikły miasta, akwedukty, wille, drzewa, na końcu zaś tej szarej, okropnej płaszczyzny gorzało na wzgórzach miasto.

Pożar jednakże nie miał kształtu ognistego słupa, jak bywa wówczas, gdy się pali pojedynczy, choćby największy budynek. Była to raczej długa, podobna do zorzy, wstęga.

Nad tą wstęgą unosił się wał dymu, miejscami zu-

pełnie czarny, miejscami mieniający się różowo i krwawo, zbity w sobie, wydęty, gęsty i kłębiący się, jak wąż, który się kurczy i wydłuża. Potworny ów wał chwilami zdawał się przykrywać nawet wstęgę ognistą, tak, iż czyła się wążka jak taśma, lecz chwilami ona rozświecała go od dołu, zmieniając jego dolne kłęby w fale płomienne. Oboje ciągnęły się od krańca do krańca widnokręgu, zamykając go tak, jak czasem zamyka go pasmo leśne. Gór Sabińskich nie było wcale widać.

Winicyuszowi na pierwszy rzut oka wydało się, że to nietylko płonie miasto, ale świat cały, i żadna żywa istota nie może się uratować z tego oceanu ognia i dymów.

Wiatr wiał coraz silniejszy od strony pożaru, niosąc zapach spalenizny i sreżogę, która poczyniała przesłaniać nawet bliższe przedmioty. Dzień uczynił się zupełny i słońce oświeciło szczyty, otaczające jezioro Albańskie. Lecz jasno-złote poranne promienie wydawały się przez sreżogę jakby rude i chore. Winicyusz, spuszczać się ku Albanum, wjeżdżał w dymy coraz gęstsze i coraz mniej przenikliwe. Samo miasteczko było zupełnie w nich pograżone. Zaniepokojeni mieszkańcy wylegli na ulice i strach było pomyśleć, co się musi dziać w Rzymie, gdy tu już trudno było oddychać.

Rozpacz ogarnęła zuów Winicyusza i przerażenie poczęło mu podnosić włosy na głowie. Lecz próbował się pokrzepiać, jak mógł. „Niepodobna, myślał, by całe miasto poczęło naraz płonąć. Wiatr wieje z północy i zwiewa dymy w tę tylko stronę. Po drugiej stronie niema ich. Zatybrze, przedzielone rzeką, może całkiem ocalało, a w każdym razi dość będzie Urzusowi przedostać się wraz z Ligią przez bramę Janikulską, by uchronić się od niebezpieczeństwa. Również niepodobna, by zginęła cała ludność i by miasto, które włada światem, starte było wraz z mieszkańcami z powierzchni ziemi. Nawet w zdobywanych miastach, gdy rzeź i ogień srożą się naraz, pewna liczba ludzi zostaje zawsze przy życiu, dlaczego więc miałyby ko-

niecznie zginąć Ligia? Wszak czuwa nad nią Bóg, który sam zwyciężył śmierć?" Tak rozumując, począł znów modlić się i wedle obyczaju, do którego przywykł, czynić Chrystusowi wielkie śluby, wraz z obietnicami darów i ofiar. Przebiegłszy Albanum, którego cała niemal ludność siedziała na dachach i drzewach, by spoglądać na Rzym, uspokoił się cokolwiek i odzyskał zimną krew. Pomyślał też, że Ligią opiekuje się nietylko Urzus i Linus, ale i Piotr Apostoł. Na samo wspomnienie o tem nowa otucha wstąpiła mu do serca. Piotr był zawsze dla niego istotą niepojętą, prawie nadludzką. Od chwili, gdy słyszał go w Ostryanum, zostało mu dziwne wrażenie, o którym na początku pobytu w Ancyum pisał do Ligii: że każde słowo tego starca jest prawdą, lub musi się stać prawdą. Piotr wiedział przytem rzeczy przyszłe, więc niechybnie przewidywał i klęskę pożaru, a w takim razie jakżeby mógł nie ostrzedz i nie wyprowadzić z miasta chrześcijan, a między nimi i Ligii, którą kochał jak dziecko własne. I coraz silniejsza nadzieja zaczęła wstępować w serce Winicyusza. Pomyślał, że jeśli oni uciekają z miasta, to może ich znaleźć w Bowili lub napotkać w drodze. Może oto lada chwila kochana twarz wychyli się z tych dymów, rozpościerających się coraz szerzej po całej Kampanii.

Wydało mu się to tem prawdopodobniejszym, że na drodze począł napotykać coraz więcej ludzi, którzy, opuściwszy miasto, jechali do gór Albańskich, by, ocaliwszy się od ognia, wydostać się następnie i poza granice dymów. Nie dojechawszy do Ustrynum, musiał zwolnić z powodu zatłoczenia drogi. Obok pieszych, z manatkami na plecach, napotykał objuczone konie, muły, wozy naładowane dobytkiem, a wreszcie i lektyki, w których niewolnicy nieśli zamożniejszych mieszkańców. Ustrynum tak już było nabite zbiegami z Rzymu, że przez tłum trudno się było przecisnąć. Na rynku, pod kolumnami świątyń i na ulicach rojło się od zbiegów. Tu i owdzie poczęto rozbijać już namioty, pod którymi miały szukać schronienia całe

rodziny. Inni obozowali pod gołem niebem, krzycząc, wzywając bogów, lub przeklinając losy. W powszechnem przerażeniu trudno się było o coś dopytać. Ludzie, do których zwracał się Winicyusz, albo nie odpowiadali mu wcale, lub podnosili na niego wpół obłąkane z przerażenia oczy, odpowiadając, że ginie miasto i świat. Od strony Rzymu napływały z każdą chwilą nowe tłumy, złożone z mężczyzn, kobiet i dzieci, które wznosiły zamieszanie i lament. Niektórzy, pogubiwszy się w ścisłości, szukali rozpaczliwie zaginionych. Inni bili się o obozowiska. Gromady nawpół dzikich pasterzy z Kampanii przyciągnęły do miasteczka, szukając nowin lub zysków z kradzieży, którą ułatwiała zamieszanie. Tu i owdzie tłum, złożony z niewolników wszelkiej narodowości i z gladyatorów, począł grabić domy i wille w mieście i bić się z żołnierzami, występującymi w obronie mieszkańców.

Senator Juniusz, którego Winicyusz spostrzegł przy gospodzie, otoczonego zastępem batawskich niewolników, pierwszy dał mu nieco dokładniejszą wiadomość o pożarze. Ogień wszczął się rzeczywiście przy Wielkim cyrku, w miejscu, które dotyka Palatynu i wzgórza Caelius, lecz rozszerzył się z niepojętą szybkością, tak, iż ogarnął cały środek miasta. Nigdy jeszcze od czasów Brennusa nie spotkała miasta tak straszna klęska. „Cyrk zgorzał cały, również jak otaczające go kramy i domy — mówił Juniusz — Awentyn i Caelius w ogniu. Płomień, otoczywszy Palatyn, dostał się na Karyny...”⁴

Tu Juniusz, który na Karynach posiadał wspaniałą *insulę*¹⁾, pełną dzieł sztuki, w których się kochał, porwał garść brudnego pyłu i posypawszy nim głowę, począł przez chwilę jęczeć rozpaczliwie.

Lecz Winicyusz potrząsnął go za ramiona.

— I mój dom na Karynach — rzekł — lecz, gdy wszystko ginie, niech i on ginie.

¹⁾ Dom, otoczony ze wszystkich stron ulicami.

Poczem, przypomniawszy sobie, że Ligia, idąc za jego radą, mogła się przenieść do domu Aulusów, spytał:

— A Vicus Patricius?

— W ogniu! — odpowiedział Juniusz.

— A Zatybrze?

Juniusz spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Mniejsza o Zatybrze — rzekł, ściskając dłońmi zbolale skronie.

— Mnie więcej chodzi o Zatybrze, niż o cały Rzym — zawołał gwałtownie Winicyusz.

— To się tam dostaniesz chyba przez via Portuensis, bo obok Awentynu żar cię udusi... Zatybrze?... Nie wiem. Ogień nie mógł tam chyba jeszcze dojść, lecz czy już w tej chwili nie doszedł, jedni bogowie wiedzą...

Tu Juniusz zawahał się przez chwilę, następnie rzekł niższym głosem:

— Wiem, że mnie nie zdradzisz, więc ci powiem, że to nie jest zwykły pożar. Cyrku nie dawano ratować... Sam słyszałem... Gdy domy poczęły wkoło płonąć, tysiące głosów wołało: „Śmierć ratującym!“ Jacys ludzie przebiegają miasto i ciskają w domy płonące pochodnie... Z drugiej strony lud się burzy i woła, że miasto płonie z rozkazu. Nic więcej nie powiem. Biada miastu, biada nam wszystkim i mnie! Co się tam dzieje, tego ludzki język nie wyrazi. Ludność ginie w ogniu, lub morduje się wzajemnie w ścisku... To koniec Rzymu!..

I znów począł powtarzać: „Biada! Biada miastu i nam!“ — lecz Winicyusz wskoczył na konia i ruszył przed siebie dalej drogą Appijską.

Lecz było to obecnie raczej przepychanie się wśród rzeki ludzi i wozów, która płynęła z miasta. — Miasto leżało teraz przed Winicyuszem, jak na dłoni, objęte potwornym pożarem... Od morza ognia i dymu bił żar straszliwy, a wrzaski ludzkie nie mogły stłumić syczenia i huku płomieni.

* * *

W miarę jak Winicyusz zbliżał się do murów, okazywało się, że łatwiej było przyjechać do Rzymu, niż dostać się do środka miasta. Przez drogę Appijską trudno było się przecisnąć z powodu natłoku ludzi. Domy, pola, cmentarze, ogrody i świątynie, leżące po obu jej stronach, zmienione były w obozowiska. W świątyni Marsa, leżącej tuż koło Porta Appia, tłum odbił drzwi, aby w jej wnętrzu znaleźć przytułek na noc. Na cmentarzach brano w posiadanie większe grobowce i toczono o nie walki, które dochodziły do rozlewu krwi. Ustrinum ze swoim nieładem dawało zaledwie lekki przedsmak tego, co działo się pod murami samego miasta. Ustał wszelki wzgląd na powagę prawa, na urząd, na węzły rodzinne, na różnice stanu. Widziano niewolników okładających kijami obywateli. Gladyatorowie pijani winem złupionem w Emporyum, połączywszy się w duże gromady, przebiegali z dzikimi okrzykami place przydrożne, rozpędzając ludzi, tratując, łupiąc. Mnóstwo barbarzyńców, wystawionych na sprzedaż w mieście, puciekowało z bud sprzedażnych. Pożar i zaguba miasta były dla nich zarazem końcem niewoli i godziną pomsty, to też gdy osiadła ludność, która w ogniu straciła całe mienie, wyciągała z rozpaczą ręce do bogów, wołając o ratunek, oni z wyciem radości rozbijali tłumy, ściągając ludziom odzież z ramion.

Młody trybun, z największem wysileniem, narażając co chwila życie, dotarł wreszcie do bramy Appijskiej, lecz tu spostrzegł, że przez dzielnicę Porta Capena nie będzie mógł dostać się do miasta nietylko z powodu ciżby, lecz i dla straszliwego żaru, od którego tuż za bramą drżało całe powietrze. Winicyusz zrozumiał, że musi wrócić w kierunku Ustrinum, tam skrócić z drogi Appijskiej, przejechać rzekę poniżej miasta i dostać się na via Portuensis, która wiodła wprost na Zatybrze. Nie było i to rzeczą łatwą z powodu coraz większego zamętu, panującego w drodze Appijskiej. Trzeba tam było torować sobie drogę chyba mieczem. Winicyusz zaś nie miał bronii, wyjechał

bowiem z Ancyum tak, jak wieść o pożarze zastała go w willi Cezara. Lecz przy Źródle Merkurego ujrzał znajomego centuryona pretoryanów, który na czele kilkudziesięciu ludzi bronił przystępu do obrębu świątyni, i kazał mu jechać za sobą, ten zaś poznavszy trybuna i augustyanina, nie śmiał się rozkazowi sprzeciwić.

Winicyusz sam objął dowództwo oddziału i przypomniał na tę chwilę nauk Pawła o miłości bliźniego, parł i rozcinał przed sobą tłum z pośpiechem, zgubnym dla wielu, którzy na czas nie potrafili się usunąć. Ścigały ich przekleństwa i grad kamieni, lecz on nie zważał na to, pragnąc prędzej wydostać się na miejsca wolniejsze.

Okrażając wille, ogrody, ementarze i świątynie. Winicyusz dotarł w końcu do miasteczka, zwanego Vicus Alexandri, za którem przeprowił się przez Tyber. Było tam już luźniej i mniej dymu. Od zbiegów, których jednak i tu nie brakło, dowiedział się, że tylko niektóre zaułki Zatybrza zostały objęte pożarem, ale że zapewne nie się nie ostoi przed potęgą ognia, ponieważ są ludzie, którzy podkładają go umyślnie i nie pozwalają ratować, krzycząc, iż czynią to z rozkazu.

Zatybrze pełne było także dymu i uciekających tłumów, przez które trudniej było się w głąb przedostać, dlatego, że ludzie mając więcej czasu, wynosili i ratowali więcej rzeczy. Ciśniejsze zaułki, w których nagromadziły się gęściej dymy, były wprost nieprzystępne. Mieszkańcy uciekali z nich tysiącami. Chwilami z za rzeki przytaczały się nowe bałwany dymów czarnych i tak ciężkich, iż toczyły się tuż przy ziemi, zakrywając tak domy, ludzi i wszystkie przedmioty, jak je zakrywa noc. Lecz wiatr spowodowany pożarem, rozwiewał je i wówczas Winicyusz mógł posuwać się dalej ku zaułkowi, na którym stał dom Linusa. Upał lipcowego dnia, zwiększony żarem, bijącym od płonących dzielnic, stał się nieznośnym. Dym gryzł w oczy, piersiom brakło tchu. Pretoryanie towarzyszący Winicyuszowi, pozostali w tyle. W tłoku zranił ktoś mło-

tem jego konia, który począł rzucać zakrwawionym łbem, wspinać się i odmawiać posłuszeństwa jeźdźcowi. Poznano też po bogatej tunice augustyanina i natychmiast rozległy się wokół okrzyki: „Śmierć Neronowi i jego podpalaczom!“ Nadeszła chwila groźnego niebezpieczeństwa, albowiem setki rąk wyciągnęły się ku Winicyuszowi, lecz spłoszony koń uniósł go, tratując ludzi, a zarazem nadpłynęła nowa fala czarnego dymu i pogrzyżyła w mroku ulicę. Winicyusz widząc, że nie przejedzie, zeskoczył wreszcie na ziemię i począł biedz piechotą, prześlizgując się koło murów, a czasami czekając, by uciekający tłum minął go. W duszy mówił sobie, że to są próżne wysilenia. Ligia mogła nie być już w mieście, mogła w tej chwili ratować się ucieczką: łatwiej było odnaleźć szpilkę nad brzegiem morza, niż ją w tym natłoku i chaosie. Chciał jednak choćby za cenę życia dotrzeć do domu Linusa.

Winicyusz pamiętał, że dom Linusa otoczony był ogrodem, za którym od strony Tybru było niezbyt rozległe, niezabudowane pole. Ta myśl dodała mu otuchy. Ogień mógł zatrzymać się na pustem miejscu. W tej nadziei biegł dalej, jakkolwiek każdy powiew przynosił już nietylko dymy, ale tysiące iskier, które mogły wzniecić pożar z drugiego końca zaułka i przeciąć odwrót.

Nakoniec ujrzał jednak przez dymną zasłonę cyprysy w ogrodzie Linusa. Domy, leżące za niezabudowanym polem, paliły się już, jak stosy drzewa, ale mała „insula“ Linusowa stała jeszcze nietknięta. Winicyusz spojrział z wdzięcznością w niebo i skoczył ku niej, jakkolwiek samo powietrze poczęło go parzyć. Drzwi były przytknięte, lecz on pchnął je i wpadł do środka.

W ogródku nie było żywej duszy i dom zdawał się być również zupełnie pusty.

— Może pomdleli od dymu i żarów — pomyślał Winicyusz.

I począł wołać:

— Ligio! Ligio!

Odpowiedziało mu milczenie. W ciszy słychać było tylko huk dalekiego ognia.

— Ligio!

Nagle do uszu jego doszedł ów posepny głos, który słyszał już raz w tym ogródku. Na poblizkiej wyspie zapaliło się widocznie wiwaryum, leżące niedaleko świątyni Eskulapa, w którym wszelkiego rodzaju zwierzęta, a między niemi lwy, poczęły ryczeć z przerażenia. Winicyusza dreszcz przebiegł od stóp do głowy. Oto drugi już raz, w chwili, gdy cała jego istota była skupiona w myśli o Ligii, te straszliwe głosy odzywały się, jak zapowiedź nieszczęścia, jak dziwna wróżba złowrogiej przyszłości.

Było to jednak krótkie, chwilowe wrażenie, albowiem jeszcze straszliwszy od ryku dzikich zwierząt huk pożaru nakazywał myśleć o czem innym. Ligia nie odpowiedziała wprawdzie na wołanie, lecz mogła znajdować się w tym zagrożonym budynku zemdląła lub zduszona dymem. Winicyusz skoczył do środka domu.

Domek był mały, więc w krótkim przeciągu czasu zwiedził wszystkie izby, a nawet i piwnice. Lecz nigdzie nie znalazł żywej duszy. Było rzeczą aż nadto widoczną, że Ligia, Linus i Urzus musieli wraz z innymi mieszkańcami dzielnicy szukać w ucieczce ocalenia przed pożarem. „Trzeba ich szukać między tłumem, za bramami miasta“ — pomyślał Winicyusz.

Nie zdziwiło go też zbytnio, że nie napotkał ich na *via Portuensis*, mogli bowiem wyjść z Zatybrza ze strony przeciwnej, w kierunku wzgórza Watykańskiego. W każdym razie ocaleli, przynajmniej od ognia. Winicyuszowi kamień spadł z piersi. Widział wprawdzie, z jak strasznemi niebezpieczeństwami była połączona ucieczka, ale myśl o nadludzkiej sile Urzusa dodawała mu otuchy. „Trzeba mi teraz (mówił sobie) uciekać stąd i przez ogrody Domicyi przedostać się do ogrodów Agrypiny. Tam ich znajdę. Dymy tam nie straszne, bo wiatr wieje od gór Sabińskich“.

Przyszedł jednak najwyższy czas, w którym musiał

myśleć o własnem ocaleniu, albowiem fala ognia napływała coraz bliżej od strony wyspy i kłęby dymu przysłoniły niemal zupełnie zaulek. Winicyusz, wypadłszy na ulicę, biegł teraz całym pędem ku via Portuensis, w tę samą stronę, z której przyszedł, a pożar zdawał się go gonić swym ognistym oddechem, to otaczając go coraz nowemi chmurami dymu, to obsypując iskrami, które padały mu na włosy, na szyję i odzież. Tunika poczęła się na nim tlić w kilku miejscach, lecz on nie zważał na to i biegł dalej, w obawie, że dym może go zadusić. Jakoż w ustach miał smak spalenizny i sadzy, gardło i płuca paliły go, jak ogień. Krew napływała mu do głowy, tak, iż chwilami widział wszystko czerwono i same dymy wydawały mu się również czerwone. Stopniowo opuszczała go świadomość, pamiętał tylko, że musi uciekać, albowiem na otwartem polu czeka go Ligia, którą przyobiecał mu Piotr Apostoł.

Na końcu ulicy dojrzał znów jakby chmurę, która przesłaniała wyjście. „Jeśli to są dymy — pomyślał — to już nie przejdę“. Biegł resztą sił. Dobięglszy bliżej, rozpoznał, że to, co brał za dym, było kurzawą, z której nadomiar dochodziły głosy i krzyki ludzkie.

— Tłuszcza rabuje domy — rzekł sobie.

Lecz biegł w kierunku głosów. Zawsze byli tam ludzie, którzy mogli dać mu pomoc. W tej nadziei, zanim jeszcze dobiegł, począł krzyczeć całą siłą głosu o ratunek. Lecz było to jego ostatnie wysilenie: w oczach poczerwieniało mu jeszcze bardziej, w płucach zbrakło oddechu, w kościach siły i padł.

Dosłyszano go jednak, a raczej spostrzeżono, i dwóch ludzi ruszyło mu na pomoc, z gurdami pełnemi wody. Winicyusz, który padł z wyczerpania, ale nie stracił przytomności, chwycił obu rękoma naczynie i wychylił je do połowy.

— Dzięki — rzekł — postawcie mnie na nogi, dalej sam pójdę!

Drugi robotnik oblał mu głowę wodą, obaj zaś nie tylko postawili go na nogi, ale podjęli z ziemi i ponieśli do gromady innych, którzy otoczyli go wkoło, badając troskliwie, czy nie poniósł zbytniego szwanku. Troskliwość ta zdziwiła Winicyusza.

— Ludzie — zapytał — coście za jedni?

— Burzymy domy, aby pożar nie mógł dojść do drogi Portowej — odpowiedział jeden z robotników.

— Przyszliście mi na pomoc, gdym już padł. Dzięki wam.

— Nam niewolno odmówić pomocy — ozwało się kilka głosów.

Wówczas Winicyusz, który poprzednio od rana patrzył na rozbestwione tłumy, na bójki i grabież, spojrzął uważniej na otaczające go twarze i rzekł:

— Niech wam wynagrodzi... Chrystus.

— Chwała imieniowi Jego! — zawołał cały chór głosów.

— Linus?... — spytał Winicyusz.

Lecz nie mógł pytać dłużej i nie dosłyszał odpowiedzi, gdyż ze wzruszenia i przebytych wysień, zemdłał. Obudził się dopiero na polu Kodetańskim, w ogrodzie, otoczony przez kilka kobiet i mężczyzn, i pierwsze słowa, na jakie znowu się zdobył, były:

— Gdzie Linus?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, poczem jakiś znajomy Winicyuszowi głos rzekł nagle:

— Za bramą Nomentańską; wyszedł do Ostryanum... od dwóch dni... Pokój ci, królu perski!

Winicyusz podniósł się, i siadł, ujrzawszy niespodzianie nad sobą Chilona.

Greki zaś mówił:

— Dom twój, panie, zapewne spłonął, bo Karyny w płomieniu, ale ty zawsze będziesz bogaty, jak Midas. O, co za nieszczęście! Chrześcijanie, synu Serapisa, przepowiadali od dawna, że ogień zniszczy to miasto... A Li-

nus wraz z córką Jowisza jest na Ostryanum... O! co za nieszczęście na to miasto!..

Winicyuszowi znów uczyniło się słabo.

— Widziałeś ich? — spytał.

— Widziałem, panie!.. Niech będą dzięki Chrystusowi i wszystkim bogom, żem ci mógł dobrą wieścią odplacić za twoje dobrodziejstwa. Ale ja ci, Ozyrysie, jeszcze odplacę, przysięgam na ten pałacy się Rzym.

Na dworze czynił się wieczór, ale w ogrodzie widno było, jak w dzień, gdyż pożar wzmógł się jeszcze. Zdawało się, że płoną już nie pojedyncze dzielnice, ale całe miasto, jak długie i szerokie. Niebo było czerwone, jak okiem sięgnąć, i na świecie czyniła się noc czerwona.

XXXII.

W p o d z i e m i u.

Łuna od palącego się miasta zalała niebo tak szeroko, jak wzrok ludzki mógł sięgnąć. Z za wzgórz wytoczył się księżyc wielki i pełny, który rozgorzał wnet od odblasku i, przybrawszy barwę rozpalonej miedzi, zdawał się ze zdumieniem spoglądać na ginący gród światłowladny. W zaróżowionych przepaściach nieba świeciły również różowe gwiazdy, lecz, w przeciwieństwie do zwykłych nocy, ziemia jaśniejsza była od niebios.

Straszny żywioł obejmował coraz nowe dzielnice. Nie można było wątpić, że jakieś zbrodnicze ręce podpalają miasto, gdy coraz nowe pożary wybuchały w miejscach, od głównego ogniska odległych. Ze wzgórz, na których Rzym był zbudowany, płomienie spływały nakształt fal morskich na doliny, szczelnie zabudowane domami, liczącymi po pięć i sześć pięter, pełne bud, kramów, drewnianych ruchomych amfiteatrów, zbudowanych przygodnie na rozmaite widowiska, i wreszcie składów drzewa, oliwy, zboża, orzechów, szyszek pinii, których ziarnem żywiła się uboga ludność, i odzieży, którą czasem z łaski Cezarów rozdawano hałastrze, gnieżdżącej się po ciasnych zaułkach. Tam pożar, znajdując dostatek palnych materyałów, zmienił się niemal w szereg wybuchów i z niesłychaną szybkością ogarniał całe ulice. Ludzie, obozujący za miastem

lub stojący na wodociągach, odgadywali z barwy płomienia, co się pali. Szalony pęd powietrza wynosił chwilami z ognistej toni tysiące i miliony rozżarzonych skorup od orzechów i migdałów, które wzbijały się nagle w górę, jak nieprzeliczone stada jaśniejących motyli, — i pękały z trzaskiem w powietrzu, lub gnane wiatrem, spadały na nowe dzielnice, na wodociągi i na pola, otaczające miasto. Wszelka myśl o ratunku wydawała się niedorzeczną, zamieszanie zaś wzrastało coraz bardziej, gdy bowiem z jednej strony ludność miejska uciekała wszystkimi bramami za mury, z drugiej pożar przywabił tysiące ludzi z okolicy, tak mieszkańców małych miast, jak chłopstwa i nawet dzikich pasterzy z Kampanii, których znęciła także nadzieja rabunku.

Okrzyk: „Rzym ginie!“ nie schodził z ust tłumu. Najpowszechniej powtarzano, iż Cezar kazał spalić Rzym dlatego, by się uwolnić od zapachów, zalatujących od Sumbury, i by wybudować nowe miasto, pod nazwiskiem Neronii. Na tę myśl wściekłość ogarniała ludzi, i gdyby znalazł się przywódca, któryby chciał skorzystać z tego wybuchu nienawiści, godzina Nerona byłaby wybiła o całe lata wcześniej.

Mówiono również, że Cezar oszalał, że każe preto-ryanom i gladyatorom uderzyć na lud i sprawić rzeź ogólną. Niektórzy przysięgali na bogi, że zwierzęta ze wszystkich wiwaryów zostały z polecenia Miedzianobrodego wypuszczone. Widziano na ulicy lwy z płonącymi grzywami, i rozszalałe słonie, i tury, tratujące gromadami ludzi. Była w tem nawet część prawdy, gdyż w kilku miejscach słonie, na widok zbliżającego się pożaru, rozwalily wiwarya i, wydostawszy się na wolność, gnały w dzikim popłochu w stronę od ognia przeciwną, niszcząc wszystko przed sobą, jak burza. Wieść publiczna podawała na dziesiątki tysięcy liczbę osób, które zginęły w ogniu. Jakoż zginęło mnóstwo. Byli tacy, którzy, straciwszy całe mienie lub najdroższe sercu istoty, dobrowol-

nie rzucali się z rozpaczy w płomienie. Innych udusiły dymy.

W przestkach, zamięcie i obłąkaniu nie wiedziano wreszcie, gdzie uciekać. Drogi były zawałone rzeczami, a w wielu ciasnych miejscach wprost zamknięte. W miejscach, do których płomień nie doszedł, poznajdowano później setki ciał, spieczonych na węgiel, choć tu i owdzie nieszczęśliwi wyrwali płyty kamienne i dla ochrony przed żarem zagrzebywali się do połowy w ziemię. Żadna prawie z rodzin, zamieszkujących środek miasta, nie ocalała w zupełności, dlatego wzdłuż murów, i u wszystkich bram, i na wszystkich drogach słychać było wycia rozpaczliwe kobiet, wywołujących drogie imiona zaginionych w tłoku lub w ogniu.

I tak, gdy jedni zebrali u bogów miłosierdzia, drudzy bluźnili im wobec tej straszliwej klęski. Widziano starców, zwróconych w stronę świątyni Jowisza Liberatora, którzy, wyciągając ręce, wołali: „Jesteś wybawcą, wybaw twój ołtarz i miasto!“

Lecz nic nie pomagała ni rozpacz, ni bluźnierstwa. Klęska zdawała się nieprzepartą, zupełną i nieubłaganą, jak Przeznaczenie. Koło Amfiteatru Pompejusza zapaliły się składy konopi i lin, których potrzebowano mnóstwo do cyrków, aren i do wszelkiego rodzaju machin, używanych przy igrzyskach, a zarazem przyległe budynki, zawierające beczki smoły, którą smarowano liny. Przez kilka godzin cała ta część miasta, za którą leżało pole Marsowe, świeciła tak jasno-żółtym płomieniem, że nawpół przytomnym z przerażenia widzom wydawało się przez czas jakiś, iż przy powszechnej zagubie porządek dnia i nocy został również pomieszany i że widzą blask słoneczny. Lecz potem krwawy jednolity blask pokonał wszystkie inne barwy płomieni. Z morza ognia strzelały ku rozgorzałemu niebu jakby olbrzymie fontanny i słupy płomienia, rozwiewając się w górze w ogniste kiście i pióra, wiatr zaś porywał je, zmieniał w złote nici i włosy skier

i niósł, hen nad Kampanią, aż ku góróm Albańskim. Noc stawała się coraz widniejsza; samo powietrze zdawało się być przesiąknięte nietylko blaskiem, ale i płomieniem. Tyber płynął żywym ogniem. Nieszczęsne miasto zmieniło się w jedno piekło. Pożar ogarniał coraz większe przestrzenie, brał szturmem wzgórze, rozlewał się po równinach, zatapiał doliny, szalał, huczał, grzmiał.

* * *

Makrynus, tkacz, do którego domu przyniesiono Winicyusza, obmył go, zaopatrzył w odzież i posilił, poczem młody trybun, odzyskawszy zupełnie siły, oświadczył, że teje jeszcze nocy rozpocznie dalsze poszukiwania za Linusem. Makryn, który był chrześcijaninem, potwierdził słowa Chilona, że Linus, wraz ze starszym kapłanem, Klemensem, udali się do Ostryanum, gdzie Piotr miał chrzcic całe gromady zwolenników nowej nauki. W dzielnicy wiadomo było chrześcijanom, że Linus pieczę nad domem swym powierzył od dwóch dni niejakiemu Gajusowi. Dla Winicyusza stanowiło to dowód, że ani Ligia, ani Urzus nie pozostali w domu i że musieli udać się również do Ostryanum.

Myśl ta sprawiła mu wielką ulgę. Linus był człowiek stary, któremu trudno było chodzić codziennie z Zatybrza aż za odległą bramę Nomentańską i wracać znów stamtąd na Zatybrze, prawdopodobnie więc zamieszkał na te kilka dni u którego ze współwyznawców za murami, a wraz z nim i Ligia i Urzus. W ten sposób uniknęli pożaru, który wogóle nie przedostał się na drugi stok Eskwilinu. Winicyusz widział w tem wszystkiem zrządzenie Chrystusa; poczuł nad sobą Jego opiekę i z sercem wezbranem większą, niż kiedykolwiek, miłością poprzysięgał Mu w duszy wypłacić się całym życiem za te widome znaki łaski.

Tembardziej jednak śpieszno mu było do Ostryanum.

Odnajdzie Ligię, odnajdzie Linusa, Piotra i zabierze ich gdzie daleko, do którejkolwiek ze swoich ziem, choćby aż do Sycylii. Rzym oto płonie i za kilka dni zostanie po nim tylko kupa zgliszczy, po co więc mają tu zostawać wobec klęski i rozhukanej ludności? Tam otoczą ich zastępy karnych niewolników, otoczy ich cisza wsi i będą żyli spokojnie, pod skrzydłami Chrystusa, pobłogosławieni przez Piotra. Byle ich tylko teraz odnaleźć!

Makryn musiał pozostać na straży domu, lecz wystarał się o dwa muły, które mogły posłużyć i do dalszej podróży dla Ligii. Chciał również dodać niewolnika, lecz Winicyusz odmówił, sądząc, że jak to już zdarzyło się poprzednio, pierwszy lepszy oddział pretoryanów, napotkany w drodze, podda się pod jego rozkazy.

I po chwili obaj z Chilonem ruszyli przez Pagus Janiculensis ku drodze Tryumfalnej.

Czas jakiś jechali w milczeniu, wsłuchując się w huk pożogi i w szum skrzydeł ptasich. Gołębie, których mnóstwo gnieździło się przy willach i po miasteczkach Kampanii, a zarazem i wszelkiego rodzaju polne ptaki z nad morza i z gór okolicznych, biorąc widocznie blask pożaru za światło słoneczne, leciały całemi stadami na oślep w ogień.

Winicyusz pierwszy przerwał milczenie:

— Gdzie byłeś, gdy pożar wybuchnął?

— Szedłem do mego przyjaciela, Eurycyusza, panie, który trzymał kram przy Wielkim cyrku i rozmyślałem właśnie nad nauką Chrystusa, gdy poczęto wołać: „Ogień!“ Ludzie gromadzili się koło cyrku dla ratunku i przez ciekawość, ale gdy płomienie ogarnęły cały cyrk, a prócz tego poczęły się okazywać naraz i w innych miejscach, trzeba było myśleć o własnem ocaleniu.

— Czy widziałeś ludzi, rzucających pochodnie do domów?

— Czego ja nie widziałem, wnuku Eneasza! Widziałem ludzi, torujących sobie w tłoku drogę mieczami; wi-

działem bitwy i rozdeptane na bruku wnętrzości ludzkie. Ach, panie, gdybyś na to patrzył, sądziłbyś, że barbarzyńcy zdobyli miasto i wyprawiają rzeź. Ludzie naokół wołali, że nadszedł koniec świata. Niektórzy stracili zupełnie głowy i, zaniechawszy ucieczki, czekali bezmyślnie, póki ich nie ogarną płomienie. Inni wpadli w obłęd, inni wyli z rozpacz, ale widziałem i takich, którzy wyli z radości, albowiem, o panie, dużo jest na świecie złych ludzi, którzy nie umieją ocenić dobrodziejstw waszego łagodnego panowania i tych słusznych praw, na mocy których odbieracie wszystkim to, co mają, i przywłaszczacie sobie. Ludzie nie umieją się pogodzić z wolą bogów.

Winicyusz zbyt był zajęty własnymi myślami, by zauważyć ironię, drgającą w słowach Chilona. Dreszcz przeżycia chwycił go na samą myśl, że Ligia mogła się znaleźć wśród tego zamętu, na tych strasznych ulicach, na których rozdeptywano wnętrzości ludzkie. Więc, jakkolwiek mało dziesięć razy wypytywał już Chilona o wszystko, co ten mógł wiedzieć, zwrócił się do niego raz jeszcze:

— A ich widziałeś na Ostryanum własnymi oczyma?

— Widziałem, synu Wenery, widziałem dziewicę, dobrego Liga, świętego Linusa i Piotra Apostoła.

— Przed pożarem?

— Przed pożarem, Mitro!

Lecz w duszy Winicyusza zrodziła się wątpliwość, czy Chilo nie kłamie, więc, powstrzymawszy muła, spojrział groźnie na starego Greka i spytał:

— Coś ty tam robił?

Chilo zmieszał się. Wprawdzie jak wielu ludziom, tak i jemu wydawało się, że razem z zagubą Rzymu nadchodzi kres i rzymskiego władztwa, ale tymczasem był sam na sam z Winicyuszem, przypomniał zaś sobie, że tenże zakazał mu pod straszliwą groźbą podpatrywać chrześcijan, a zwłaszcza Linusa i Ligię.

— Panie — rzekł — czemu mi nie wierzysz, że ich miluję? Tak jest! byłem na Ostryanum, albowiem jestem

nawpół chrześcijaninem. A przytem, o panie, jestem ubogim, i gdy ty, Jowiszu, bawiłeś w Ancyum, często przy-
mierałem głodem nad księgami, więc siadałem przy murze
Ostryanum, albowiem chrześcijanie, jakkolwiek sami ubo-
dzy, więcej rozdają jałmużn, niż wszyscy inni, razem
wzięci, mieszkańcy Rzymu.

Powód ten wydał się Winicyuszowi wystarczającym,
więc zapytał mniej groźnie:

— I nie wiesz, gdzie na ten czas zamieszkał Linus?

— Ukarales mnie raz za ciekawość, panie, okrutnie—
odpowiedział Grek.

Winicyusz umilkł i jechali dalej.

— Panie — rzekł po chwili Chilo — nie odnalazł-
byś dziewicy, gdyby nie ja, ale jeśli ją odnajdziemy, nie
zapomnisz o ubogim mędreu?

— Dostaniesz dom z winnicą pod Ameryolą — od-
powiedział Winicyusz.

— Dzięki ci, Herkulesie! Z winnicą?... Dzięki ci!
O, tak! z winnicą!

Mijali teraz wzgórze Watykanu, które świeciły czer-
wono od pożaru, lecz za Naumachią¹⁾ skręcili w prawo,
by po przebyciu pola Watykańskiego zbliżyć się do rzeki
i, przeprawiwszy się przez nią, dotrzeć do Porta Flami-
nia. Nagle Chilo powstrzymał muła i rzekł:

— Panie! przyszła mi do głowy dobra myśl.

— Mów — odpowiedział Winicyusz.

— Między wzgórzem Janikulskiem a Watykanem, za
ogrodami Agrypiny, są podziemia, z których wybierano
kamienie i piasek pod budowę cyrku Nerona. Posłuchaj
mnie, panie! W ostatnich czasach Żydzi, których, jak
wiesz, mnóstwo jest na Zatybrzu, poczęli okrutnie prze-
śladować chrześcijan. Pamiętasz, że już za boskiego Klau-
dyusza takie tam były rozruchy, iż Cezar zmuszony był
wygnać ich z Rzymu. Dziś, gdy wrócili i gdy, dzięki

¹⁾ Sztuczny staw, na którym odbywały się igrzyska wodne.

opiece Augusty, czują się bezpieczni, tem zuchwalej pomiatają chrześcijanami. Ja to wiem! jam widział. Żaden edykt przeciw chrześcijanom nie został wydany, ale Żydzi oskarżają ich przed prefektem miasta, iż mordują dzieci, czczą osła i opowiadają naukę, nie uznaną przez senat, a sami biją ich i napadają na domy modlitwy tak zawzięcie, że chrześcijanie kryć się przed nimi muszą.

— Co więc chcesz powiedzieć? — spytał Winicyusz.

— To, panie, że synagogi istnieją otwarcie na Zatybrzu, ale chrześcijanie, chcąc uniknąć prześladowań, muszą się modlić w ukryciu i zbierają się w opustoszałych szopach za miastem lub w arenaryach¹⁾. Ci, którzy mieszkają na Zatybrzu, wybrali sobie to właśnie, które powstało z przyczyny budowy cyrku i różnych domów wzdłuż Tybru. Teraz, gdy ginie miasto, niechybnie wyznawcy Chrystusa modlą się. Znajdziemy ich nieprzeliczone mnóstwo w podziemiach, dlatego radzę ci, panie, abysmy tam wstąpili po drodze.

— Wszakżeś mówił, że Linus udał się do Ostryanum! — zawołał niecierpliwie Winicyusz.

— A ty mi przyrzekłeś dom z winnicą pod Ameryolą — odpowiedział Chilo — więc chcę szukać dziewicy wszędzie, gdzie mam nadzieję ją znaleźć. Po wybuchu pożaru mogli powrócić na Zatybrze... Mogli okrażyć miasto, tak jak my okrażamy je w tej chwili. Linus ma dom, może chciał być bliżej domu, by obaczyć, czy pożar nie ogarnie i tej dzielnicy. Jeśli wrócili, tedy przysięgam ci, panie, na Persefonę, że znajdziemy ich na modlitwie w podziemiu, a w najgorszym razie zasięgniemy o nich wiadomości.

— Masz słuszność, a zatem prowadź! — rzekł trybun.

Chilo bez namysłu skręcił na lewo, ku wzgórzu. Na chwilę zbocze owego wzgórza przesłoniło im pożar tak, że, jakkolwiek pobliskie wzniesienia były w świetle, oni

¹⁾ Doły, skąd wybierano piasek.

sami znaleźli się w cieniu. Minawszy cyrk, skrzyli jeszcze na lewo i weszli w rodzaj wąwozu, w którym było zupełnie ciemno. Ale w ciemnościach owych Winicyusz dojrzał roje migających latarek.

— Oto oni! — rzekł Chilo. — Będzie ich dziś więcej, niż kiedykolwiek, bo inne domy modlitwy spłonęły lub pełne są dymu, jak całe Zatybrze.

— Tak! słyszę śpiewy — rzekł Winicyusz.

Jakoż z ciemnego otworu w górze dochodziły śpiewające głosy ludzkie, latarki zaś ginęły w nim jedna za drugą. Lecz z bocznych wąwozów wysuwały się coraz nowe postacie, tak, że po jakimś czasie Winicyusz i Chilo znaleźli się wśród całej gromady ludzi.

Chilo zsunął się z muła i, skinąwszy na wyrostka, który szedł obok, rzekł mu:

— Jestem kapłanem Chrystusa i biskupem. Potrzymaj nam muły, a dostaniesz moje błogosławieństwo i odpuszczenie grzechów.

Potem, nie czekając odpowiedzi, wsunął mu w rękę cugle, sam zaś przyłączył się wraz z Winicyuszem do idącej gromady.

Po chwili weszli do podziemia i posuwali się przy mdłym blasku latarek ciemnym korytarzem, póki nie dotarli do obszernej jaskini, z której widocznie wybierano poprzednio kamień, albowiem ściany utworzone były z świeżych jego odłamów.

Było tam widniej, niż w korytarzu, gdyż prócz kaganków i latarek płonęły pochodnie. Przy ich świetle ujrzał Winicyusz cały tłum ludzi klęczących, z rękoma wyciągniętymi do góry. Ligii, Piotra Apostoła, ni Linusa nie mógł nigdzie dojrzeć, natomiast naokół otaczały go twarze uroczyście i wzruszone. W niektórych widoczne było oczekiwanie, trwoga, nadzieja. Blask odbijał się w białkach wzniesionych oczu, pot spływał po bladych, jak kreda, czołach; niektórzy śpiewali pieśni, inni powtarzali gorączkowo imię Jezus, niektórzy bili się w piersi. Po wszyst-

kich znać było, iż lada chwila oczekują czegoś nadzwyczajnego.

Wtem pieśni umilkły i nad zgromadzeniem, we framudze, powstałej po wyjęciu ogromnego głazu, ukazał się znajomy Winicyuszowi Kryspus, z twarzą jakby nawpół przytomną, bladą, fanatyczną i surową. Oczy zwróciły się ku niemu, jakby w oczekiwaniu słów pokrzepienia i nadziei, on zaś, przeżegnawszy zgromadzenie, począł mówić głosem śpiesznym i prawie do krzyku zbliżonym:

— Żałujcie za grzechy wasze, albowiem chwila nadeszła. Oto na miasto zbrodni i rozpusty, oto na nowy Babilon Pan spuścił płomień niszczący. Wybiła godzina sądu, gniewu i klęski... Pan zapowiedział przyście i wraz ujrzycie Go! ale nie przyjdzie już jako Baranek, który ofiarował krew za grzechy wasze, jeno jako sędzia straszliwy, który w sprawiedliwości swej pograży w otchłań grzesznych i niewiernych... Biada światu i biada grzesznym, albowiem nie będzie już dla nich miłosierdzia!... Widzę Cię, Chryste! Gwiazdy spadają deszczem na ziemię! słońce się zaćmiewa, ziemia otwiera się w przepaści i zmarli powstają, a Ty idziesz wśród dźwięku trąb i zastępów aniołów, wśród gromów i grzmotów. Widzę i słyszę cię, o Chryste!

Tu umilkł i, podniósłszy twarz, zdawał się wpatrywać w coś dalekiego i straszego. A wtem w podziemiu ozwał się głuchy grzmot, jeden, drugi i dziesiąty. To w płonącem mieście całe ulice przepalonych domów jęły się walić z łoskotem. Lecz większość chrześcijan wzięła owe odgłosy za widomą oznakę, iż straszliwa godzina nastaje, albowiem wiara w rychłe powtórne przyście Chrystusa i w koniec świata była i tak między nimi rozpowszechniona, teraz zaś wzmocnił ją jeszcze pożar miasta. To też trwoga Boża ogarnęła zgromadzenie. Liczne głosy poczęły powtarzać: „Dzień sądu!... Oto idzie!“ Niektórzy zakrywali dłońmi twarze, w przekonaniu, że wnet ziemia zatrząse się w posadach i z jej czeluści wyjdą bestye pie-

kielne, by rzucić się na grzesznych. Inni wołali: „Chryste, zmiłuj się! Odkupicielu, bądź miłościw!...“ — inni wyznawali głośno grzechy, inni nakoniec rzucali się sobie w objęcia, by w przerażającej chwili mieć jakieś blizkie serca przy sobie.

Chwilami jednak zapadało milczenie, jak gdyby wszyscy, zatrzymując dech w piersiach, czekali na to, co się stanie. A wówczas słyhać było daleki grzmot zapadających się w gruzy dzielnic, po którym odzywały się znów jęki, modlitwy i wołania: „Odkupicielu, zmiłuj się!“ Chwilami Kryspus zabierał głos i krzyczał: „Wyrzeczcie się dobra ziemskiego, albowiem wkrótce nie stanie wam ziemi pod nogami! wyrzeczcie się ziemskich miłości, albowiem Pan zatraci tych, którzy więcej, niż Jego, miłowali żony i dzieci. Biada temu, kto umiłował stworzenie więcej, niż Stworzyciela! biada możnym! biada zbytkownikom! biada rozpustnym! biada mężowi, niewieście i dziecku!...“

Nagle silniejszy od poprzednich huk wstrząsnął kamieniołomem. Wszyscy padli na ziemię, wyciągając ramiona w krzyż, aby kształtem tym bronić się od złych duchów. Nastąpiła cisza, w której słyhać było tylko przyspieszone oddechy, pełne przerażenia szepty: „Jezus, Jezus, Jezus!“ i gdzieniegdzie płacz dzieci. A wtem ponad tą leżącą czernią ludzką jakiś spokojny głos rzekł:

— Pokój z wami!

Był to głos Piotra Apostoła, który przed chwilą wszedł do pieczary. Na dźwięk jego słów strach przeszedł w jednej chwili, jak przechodzi strach trzody, między którą zjawił się pasterz. Ludzie popodnosili się z ziemi, bliżsi poczęli garnać się do jego kolan, jakby szukając pod jego skrzydłami opieki, on zaś wyciągnął nad nimi ręce i mówił:

— Czemu trwożycie się w sercach? Kto z was odgadnie, co go może spotkać, zanim godzina nadejdzie? Pan pokarał ogniem Babilon, ale nad wami, których obmył chrzest i których grzechy odkupiła krew Baranka, bę-

dzie miłosierdzie Jego i pomrzecie z imieniem Jego na ustach waszych. Pokój z wami!

Po groźnych i niemiłosiernych słowach Kryspa słowa Piotrowe spadły, jak balsam, na obecnych. Zamiast trwogi Bożej, o władnęła dusze miłość Boża. Ludzie ci odnaleźli takiego Chrystusa, jakiego pokochali z opowiadań apostołskich, a zatem nie bezlitosnego sędziego, ale słodkiego i cierpliwego Baranka, którego miłosierdzie stokroć przewyższało złość ludzką. Uczucie ulgi ogarnęło całe zgromadzenie i otucha w połączeniu z wdzięcznością dla Apostoła przepełniła serca. Głosy z różnych stron poczęły wołać: „My owce twoje, paś nas!“ Bliżsi zaś mówili: „Nie opuszczaj nas w dniu klęski!“ I klękali u jego kolan, co widząc Winicyusz, zbliżył się, chwycił kraj jego płaszcza i, pochyliwszy głowę, rzekł:

— Panie, poratuj mnie! Szukałem jej w dymie pożaru i w tłoku ludzkim, a nigdzie znaleźć nie mogłem, ale wierzę, że ty możesz mi ją wrócić.

Piotr zaś położył mu rękę na głowie.

— Ufaj — rzekł — i pójdź ze mną.

XXXIII.

Pieśń Nerona.

Tygellinus słał gońca za gońcem do zbliżającego się Cezara z oznajmieniem, że nie straci ze wspaniałości widowiska, albowiem pożoga wzmogła się jeszcze. Lecz Nero chciał przybyć w nocy, aby tem lepiej nasycić się obrazem ginącego miasta. W tym celu zatrzymał się w okolicach Aqua Albana i wezwawszy do namiotu tragika Alitursa, układał z pomocą jego postawę, twarz, wejrzenie i uczył się odpowiednich ruchów, spierając się z nim zawzięcie, czy przy słowach: „o święty grodzie, któryś się wydawał trwalszym od Idy“, ma podnieść do góry obie ręce, czy też, trzymając w jednej formingę, opuścić ją wzdłuż ciała, a podnieść tylko drugą. I pytanie to wydawało mu się w tej chwili ważniejszym od wszystkich innych. Wyruszywszy wreszcie o zmierzchu, zasięgał jeszcze rady Petroniusza, czyby w wierszu, poświęconym klęsce, nie umieścić kilku wspaniałych bluźnierstw przeciw bogom i czyby takowe, biorąc ze stanowiska sztuki, nie musiały same przez się wyrwać z ust w podobnem położeniu człowiekowi, tracącemu ojczyznę.

Koło północy zbliżył się wreszcie do murów, wraz ze swym potężnym dworem, złożonym z całych zastępów dworzan, senatorów, rycerzy, wyzwolenców, niewolników, kobiet i dzieci. Szesnaście tysięcy pretoryanów, ustawio-

nych w szyku bojowym po drodze, czuwało nad spokojem i bezpieczeństwem jego wjazdu, utrzymując zarazem w odpowiedniej odległości wzburzony lud. Lud przeklinał wprawdzie, krzyczał i gwizdał na widok orszaku, ale nie śmiał na niego uderzyć. W wielu miejscach ozwały się jednak i oklaski, dawane przez hałastrę, która, nie posiadając nic, nie też nie utraciła w pożarze, a spodziewała się hojniejszego, niż zwykle, rozdawnictwa zboża, oliwy, odzieży i pieniędzy. Wreszcie zarówno okrzyki i gwizdania, jak i oklaski, zgłuszył odgłos trąb i rogów, w które kazał dać Tygellin. Nero po przebyciu bramy Ostyjskiej, zatrzymał się na chwilę i rzekł: „bezdomny władca bezdomnego ludu, gdzież złożę na noc nieszczęsną swą głowę!“ poczem wstąpił po przygotowanych dla siebie schodach na wodociąg Appijski, a za nim augustyanie i chór śpiewaków, niosących cytry, lutnie i inne narzędzia muzyczne.

I wszyscy zatrzymali dech w piersiach, czekając, czy nie wypowie jakich wielkich słów, które dla własnego bezpieczeństwa należało zapamiętać. Lecz on stał uroczysty, niemy, przybrany w purpurowy płaszcz i wieniec ze złotych laurów, wpatrując się w rozszalałą potęgę płomieni. Gdy Terpnos podał mu złotą lutnię, wzniosł oczy ku oblanemu łuną niebu, jakby czekając natchnienia.

Lud wskazywał go zdala rękoma, oblanego krwawym blaskiem. W oddali syczały węże płomieni i płonęły odwieczne, najświętsze zabytki: płonęła świątynia Herkulesa, którą wzniosł Ewander, i świątynia Jowisza Statora, i świątynia Luny, zbudowana jeszcze przez Serwiusza Tulliusza, i dom Numy Pompiliusza, i przybytek Westy z penatami ludu rzymskiego, w grzywach płomieni ukazywał się czasem Kapitol, płonęła przeszłość i dusza Rzymu, on zaś, Cezar, stał z lutnią w ręku, z twarzą tragicznego aktora i z myślą nie o ginącej ojczyźnie, ale o postawie i patetycznych słowach, któremiby najlepiej wielkość klęski mógł oddać, obudzić największy podziw i najgorętsze zyskać oklaski.



Neron opiewający pożar Troi.

Nienawidził tego miasta, nienawidził jego mieszkańców, kochał tylko swe pieśni i wiersze, więc radował się w sercu, że wreszcie ujrzał tragedję, podobną do tej, którą opisywał. Wierszorób czuł się szczęśliwy, deklamator czuł się natchniony, poszukiwacz wzruszeń poił się straszliwym widowiskiem i z rozkoszą myślał, że nawet zagłada Troi niezem była w porównaniu z zagładą tego olbrzymiego grodu. Czegóż mógł jeszcze żądać? Oto Rzym, Rzym światowładny, płonie, a on stoi na łukach wodociągu, ze złotą lutnią w ręku, widny, purpurowy, podziwiany, wspaniały i poetyczny. Gdzieś tam, poniżej, w mroku, szemrze i burzy się lud! Ale niech szemrze. Wieki upłyną, tysiące lat przejdą, a ludzie będą pamiętali i sławili tego poetę, który w taką noc śpiewał upadek i pożar Troi. Czemże wobec niego Homer? czem sam Apollo ze swoją drażoną formingą?

Tu podniósł ręce i uderzywszy w struny, ozwał się słowy Pryama:

— O gniazdo ojców moich, o kolebko droga!...

Głos jego na otwartem powietrzu, przy huku pożaru i przy dalekim gwarze tysięcznych tłumów, wydawał się dziwnie nikły, drżący i słaby, a dźwięk wtóru brzmiał, jak brzęczenie muchy. Lecz senatorowie, urzędnicy i augustyanie, zebrani na wodociągu, pochylili głowy, słuchając w milczącym zachwycie. On zaś śpiewał długo i nastrojał się coraz żałośniej. W chwilach, gdy przestawał dla nabrania tchu, chór śpiewaków powtarzał ostatnie wiersze, poczem znów Nero, uderzał w struny i śpiewał dalej. Skończywszy wreszcie ułożoną poprzednio pieśń, począł improwizować, szukając wielkich porównań w widoku, który się przed nim roztaczał. I twarz poczęła mu się mienić. Nie wzruszyła go wprawdzie zagłada ojczyzno miasta, ale upoił się i wzruszył patosem własnych słów do tego stopnia, że nagle upuścił z brzękiem lutnię pod stopy i pozostał jak skamieniały, podobny do jednego

z tych posągów Niobidów, które zdobiły dziedziniec Pałatynu.

Po krótkiej chwili milczenia, zawrzała burza okłasków. Lecz w oddali odpowiedziało mu wycie tłumów. Teraz nikt już tam nie wątpił, że to Cezar rozkazał spalić miasto, by sobie wyprawić widowisko i śpiewać przy niem pieśni. Nero, usłyszawszy ów krzyk setek tysięcy głosów, zwrócił się do augustyanów ze smutnym, pełnym rezygnacji uśmiechem człowieka, którego krzywdzą, i rzekł:

— Oto, jak Kwiryeci umieją cenić mnie i poezję.

— Łotry! — odpowiedział Watyniusz — każ, panie, uderzyć na nich pretoryanom.

Nero zwrócił się do Tygellina:

— Czy mogę liczyć na wierność żołnierzy?

— Tak, boski! — odpowiedział prefekt.

Lecz Petroniusz wzruszył ramionami.

— Na ich wierność, lecz nie na ich liczbę — rzekł. — Zostań tymczasem tu, gdzie jesteś, bo tu najbezpieczniej, a ten lud trzeba uspokoić.

Tegoż zdania był i Seneka, i konsul Licyniusz. Tymczasem w dole wzburzenie rosło. Lud zbroił się w kamienie, w drągi od namiotów, w deski z wozów i tacek i w rozmaite żelaziwo. Po niejakiem czasie kilku z przywódców kohort przyszło z oznajmieniem, że pretoryanie, napierani przez tłumy, zachowują z największem wysiłeniem linię bojową i nie mając rozkazu uderzenia, nie wiedzą, co czynić.

— Bogowie! — rzekł Nero — co za noc! Z jednej strony pożar, z drugiej rozhukane morze ludu.

I począł szukać dalej wyrażań, któreby najwspanialej mogły określić niebezpieczeństwo chwili, lecz widząc naokół twarze blade i niespokojne spojrzenia, zląkł się także.

— Dajcie mi ciemny płaszcz z kapturem! — zawołał — czyby naprawdę miało przyjść do bitwy?

— Panie -- odpowiedział niepewnym głosem Tygellin — ja zrobiłem wszystko, co mogłem, ale niebezpieczeństwo jest groźne... Przemów, panie, do ludu i poczyń mu obietnice.

— Cezar miałby przemawiać do tłuszczy? Niech to uczyni inny w mojem imieniu. Kto się tego podejmie?

— Ja! -- odrzekł spokojnie Petroniusz.

— Idź, przyjacielu! tyś mi najwierniejszy w każdej potrzebie... Idź i nie szczędź obietnic.

Petroniusz zwrócił się do orszaku z twarzą niedbałą i szyderczą.

-- Senatorowie tu obecni — rzekł — a oprócz nich Pizo, Nerwa i Senecyo pojada za mną.

Poczem zszedł zwolna z wodociągu, owi zaś, których wezwał, szli za nim, nie bez wahania, ale z pewną otuchą, którą napełniał ich jego spokój. Petroniusz, stanąwszy u stóp arkad, kazał sobie podać białego konia i siadłszy na niego, pojechał na czele towarzyszy przez głębokie szeregi pretoryańskie, ku czarnej, wyjącej tłuszczy, bezbronny, mając w ręku cienką laskę z kości słoniowej, którą się zwykle podpierał.

I przyjechawszy tuż, wparł konia w tłumy. Naokół, przy świetle pożogi, widać było wzniesione ręce, zbrojne we wszelakiego rodzaju broń, rozpalone oczy, spotniałe twarze i ryczące, zapienione wargi. Rozszalała fala wnet otoczyła jego i orszak, za nią widać było istotnie jakby morze głów, ruchome, kotłujące się, straszne.

Wrzaski wzmogły się jeszcze i zmieniły się w nieludzki ryk; drągi, widły, a nawet i miecze chwiały się nad głową Petroniusza, drapieżne ręce wyciągały się ku cugłom jego konia i ku niemu, lecz on wjeżdżał coraz głębiej, zimny, obojętny, pogardliwy. Chwilami uderzał laską po głowach najzuchwalszych, tak jakby torował sobie drogę w zwykłym ścisku, i ta jego pewność, ten spokój, zdumiewały jednakże rozhukaną tłuszcze. Poznano go wreszcie i liczne głosy poczęły wołać:

— Potroniusz! *Arbiter elegantiarum!* Petroniusz!...

— Petroniusz! — zabrzmiało ze wszystkich stron.

I w miarę, jak powtarzano to imię, twarze naokół stawały się mniej groźne, a wrzaski mniej wściekle, albowiem ów wykwintny patrycyusz, jakkolwiek nigdy nie zabiegał o łaski ludu, był jednak jego ulubieńcem. Uchodził za człowieka ludzkiego i hojnego, a popularność jego wzrosła zwłaszcza od czasu sprawy Pedanusza Sekunda, w której przemawiał za złagodzeniem okrutnego wyroku, skazującego na śmierć wszystkich niewolników prefekta. Szczególniej tłumy niewolników kochały go odtąd taką niepohamowaną miłością, jaką ludzie pogiębieni i nieszczęśliwi zwykli miłować tych, którzy okazują im trochę współczucia. Prócz tego w chwili obecnej dołączyła się i ciekawość, co powie wysłannik Cezara, nikt bowiem nie wątpił, że Cezar wysłał go umyślnie.

On zaś, zdjąwszy z siebie swą białą, obramowaną szkarłatnym szlakiem togę, podniósł ją w górę i począł nią wywijać nad głową, na znak, że chce przemówić.

— Milczeć! milczeć! — wołano ze wszystkich stron.

Po chwili uciszyło się istotnie. Wówczas wyprostował się na koniu i począł mówić donośnym, spokojnym głosem:

— Obywatele! niech ci, którzy mnie usłyszą, powtórzą słowa moje tym, którzy stoją dalej, wszyscy zaś niechaj się zachowają, jak ludzie, nie jak zwierzęta w arenach.

— Słuchamy! słuchamy!...

— Zatem słuchajcie. Miasto zostanie odbudowane. Ogrody Lukulla, Mecenasa, Cezara i Agrypiny będą dla was otwarte! Od jutra rozpocznie się rozdawnictwo zboża, wina i oliwy, tak, aby każdy mógł napełnić brzuch, aż do gardła! Potem Cezar wyprawi wam igrzyska, jakich świat nie widział dotąd, przy których czekają was uczyty i dary. Bogatsi będziecie po pożarze, niż przed pożarem!

Odpowiedział mu pomruk, który rozchodził się tak od środka na wszystkie strony, jak rozchodzą się fale na

wodzie, w którą wrzucił ktoś kamień: to bliżsi powtarzali dalszym jego słowa. Potem tu i owdzie ozwały się okrzyki, gniewne lub potakujące, które zmieniły się wreszcie w jeden powszechny olbrzymi wrzask:

— *Panem et circenses!*... (celebs, igrzyska!)

Petroniusz owinął się w togę i przez czas jakiś słuchał nieruchomy, podobny w swej białej odzieży do marmurowego posągu. Wrzask wzrastał, głośzył odgłosy pożaru, odzywał się ze wszystkich stron i z coraz większych głębin, lecz wysłannik widocznie miał jeszcze coś do powiedzenia, albowiem czekał.

I wreszcie, nakazawszy znów wzniesioną ręką milczenie, zawołał:

— Obiecuję wam *panem et circenses*, a teraz wydajcie okrzyk na cześć Cezara, który was karmi, odziewa, poczem idź spać hołoto, albowiem niedługo świtać zacznie.

To rzekłszy, zwrócił konia i uderzając z lekka laską po głowach i twarzach tych, którzy mu stali na drodze, odjechał zwolna do pretoryańskich szeregów.

Po chwili był pod wodociągiem. Na górze zastał niemal popłoch. Nie zrozumiano tam okrzyku: *panem et circenses*, i sądzono, że to jest nowy wybuch wściekłości. Nie spodziewano się nawet, by Petroniusz mógł się uratować, to też Nero, ujrzawszy go, przybiegł aż do schodów i z twarzą, pobladłą ze wzruszenia, począł pytać:

— I cóż? co się tam dzieje? Czy już bitwa?

Petroniusz nabrał powietra w płuca, odetchnął głęboko i odrzekł:

-- Na Polluxa! poca się i cuchną!

Poczem zwrócił się do Cezara.

— Obiecałem im — rzekł — zboże, oliwę, otwarcie ogrodów i igrzyska. Ubóstwiają cię znowu i wrzeszczą spierzchłemi wargami na twoją cześć. Bogowie, jaki ten plebs ma nieprzyjemny zapach!

— Pretoryanów miałem gotowych — zawołał Tygel-

lin — i gdybyś ich nie uspokoił, krzykacze umilkliby na wieki. Szkoda, Cezarze, iż mi nie pozwoliłeś użyć siły.

Petroniusz popatrzył na mówiącego, wzruszył ramionami i rzekł:

— To jeszcze nie stracone. Może będziesz jej musiał użyć jutro.

— Nie, nie! — rzekł Cezar. — Każę im otworzyć ogrody i rozdawać zboże. Dzięki ci, Petroniuszu! Igrzyska wyprawię, a tę pieśń, którą wam śpiewałem dzisiaj, odśpiewam publicznie.

To rzekłszy, położył rękę na ramieniu Petroniusza, chwilę milczał, a nakoniec, ochłonawszy, zapytał:

— Powiedz szczerze: jak ci się wydałem, gdym śpiewał?

— Byłeś godnym widoku, jak widok był godnym ciebie — odpowiedział Petroniusz.

Poczem zwrócił się do pożaru.

— Ale przypatrzmy się jeszcze — rzekł i pożegnajmy się ze starym Rzymem.

XXXIV.

C h r z e s t.

Słowa Apostoła wlały ufność w dusze chrześcijan. Koniec świata wydawał im się zawsze blizkim, poczęli jednak wierzyć, że straszliwy sąd nie nastąpi natychmiast i że przedtem jeszcze zobaczą może koniec panowania Nerona, które uważali za panowanie Antychrysta i karę Bożą na wołające o pomstę jego zbrodnie. Pokrzepieni więc w sercach, poczęli rozchodzić się po ukończeniu modłów z podziemia i wracać do swoich tymczasowych schronisk, a nawet i na Zatybrze, gdyż przysły wieści, że ogień, podłożony w kilkunastu miejscach, zwrócił się wraz ze zmianą wiatru znów ku rzece i strawiwszy tu i owdzie, co mógł strawić, przestał się szerzyć.

Apostoł, w towarzystwie Winicyusza i idącego za nimi Chilona, opuścił również podziemie. Młody trybun nie śmiał przerywać mu modlitwy, więc czas jakiś szedł w milczeniu, oczyma tylko błagając litości i drżąc z niepokoju. Lecz wiele osób przychodziło jeszcze całować ręce i kraj odzieży Apostoła, matki wyciągały ku niemu dzieci, inni klękali w ciemnym, długim przejściu i podnosząc w górę kaganki, prosili o błogosławieństwo, inni wreszcie, idąc obok, śpiewali, tak, że nie było chwili sposobnej ni na zapytanie, ni na odpowiedź. Tak było i w wąwozie. Dopiero gdy wyszli na wolniejszą przestrzeń, z której wi-

dać już było płonące miasto, Apostoł, przeżegnawszy je trzykrotnie, zwrócił się do Winicyusza i rzekł:

— Nie trwoż się. Blisko stąd jest chata fossora, w której znajdziemy Ligię z Linusem i z wiernym jej sługą. Chrystus, który ci ją przeznaczył, zachował ją dla ciebie.

A Winicyusz zachwiał się i wsparł ręką o skałę. Droga z Ancyum, wypadki pod murami, poszukiwanie Ligii wśród gorących dymów, bezsenność i straszny niepokój o nią wyczerpały jego siły, a reszty ich pozbawiła go wiadomość, że ta najdroższa mu w świecie głowa jest blisko i że za chwilę ją ujrzy. Ogarnęło go nagle osłabienie tak wielkie, że osunął się do nóg Apostoła i objąwszy jego kolana, pozostał tak, nie mogąc słowa przemówić.

Apostoł zaś, broniąc się od podzięki i czci, rzekł:

— Nie mnie, nie mnie, lecz Chrystusowi!

— Co za walne bóstwo!! — ozwał się z tyłu głos Chilona. — Ale nie wiem, co mam czynić z mułami, które tu czekają opodal.

— Wstań i pójdz ze mną — rzekł Piotr, biorąc za rękę młodego człowieka.

Winicyusz wstał. Przy świetle łuny widać było łzy, ściekające mu po pobladłej ze wzruszenia twarzy. Usta trzęsły mu się, jakby się modlił.

— Pójdźmy — rzekł.

Lecz Chilo znów powtórzył:

— Panie, co mam robić z mułami, które czekają? Możeby ten godny prorok wolał jechać, niż iść.

Winicyusz sam nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz usłyszawszy od Piotra, że chata kopacza leży tuż, odrzekł:

— Odprowadź muły do Makryna.

— Wybacz, panie, że ci przypomnę dom w Ameryoli. Wobec tego okropnego pożaru, łatwo zapomnieć o rzeczy tak drobnej.

— Dostaniesz go.

— O! wnuku Numy Pompiliusza, byłem zawsze pewny, ale teraz, gdy obietnicę usłyszał i ten wielkoduszny Apostoł, nie przypominam ci nawet tego, że przyrzekłeś mi i winnicę. *Pax vobiscum*. Ja cię odnajdę, panie. *Pax vobiscum*.

Oni zaś odpowiedzieli:

— I z tobą.

Poczem zawrócili obaj na prawo ku wzgórzom. Po drodze Winicyusz rzekł:

— Panie! obmyj mnie wodą chrztu, abym mógł się nazwać prawdziwym wyznawcą Chrystusa, gdyż miłuję Go ze wszystkich sił duszy mojej. Obmyj mnie prędko, bom w sercu już gotów. I co mi przykaże, to uczynię, ale ty mi powiedz, cobym mógł nadto uczynić.

— Miłuj ludzi jak braci swoich — odpowiedział Apostoł — bo tylko miłością możesz Mu służyć.

— Tak! Ja to już rozumiem i czuję. Dzieckiem będąc, wierzyłem w bogów rzymskich, alem ich nie kochał, a tego Jedynego kocham tak, że oddałbym za Niego z radością życie.

I począł patrzeć w niebo, powtarzając z uniesieniem:

— Bo On jeden jest! bo On jeden dobry i miłosierny! więc niechby nietylko ginęło to miasto, ale świat cały, Jemu jednemu będę świadczył i jego wyznawał!

— A on będzie błogosławił tobie i twemu domowi — zakończył Apostoł.

Tymczasem skęcili w inny wąwóz, na którego końcu widać było mdłe światelko. Piotr ukazał na nie ręką i rzekł:

— Oto chata kopacza, który dał nam schronienie, gdy wróciwszy z chorym Linusem z Ostryanum, nie mogliśmy się przedostać na Zatybrze.

Po chwili doszli. Chata była raczej jaskinią, wydrążoną w załomie góry, którą od zewnątrz zamknięto ścianą, ulepioną z gliny i trzcin. Drzwi były zamknięte, ale przez

otwór, który zastępował okno, widać było oświecone ogniskiem wewnątrz.

Jakaś ciemna olbrzymia postać podniosła się na spotkanie przybyłych i poczęła pytać:

— Kto jesteście?

— Słudzy Chrystusa — odrzekł Piotr. — Pokój z tobą, Urzusie.

Urzus pochylił się do nóg Apostoła, poczem, poznawszy Winicyusza, chwycił w kostce jego rękę i podniósł ją do ust.

— I ty, panie? rzekł. — Błogosławione niech będzie imię Baranka za radość, jaką sprawisz Kallinie.

To rzekłszy, otworzył drzwi i weszli. Chory Linus leżał na pęku słomy z twarzą wychudłą i żółtem, jak kość słoniowa, czołem. Obok ogniska siedziała Ligia, trzymając w ręku pęczek małych ryb, nanizanych na sznurek i przeznaczonych widocznie na wieczerzę.

Zajęta zdejmowaniem ryb ze sznurka i w przekonaniu, że to wchodzi Urzus, nie podniosła wcale oczu. Lecz Winicyusz zbliżył się i wymówiwszy jej imię, wyciągnął ku niej rękę. Wówczas podniosła się szybko: błyskawica zdumienia i radości przemknęła po jej twarzy i bez słowa, jak dziecko, które po dniach trwogi i klęski odzyskuje ojca lub matkę, rzuciła się w jego otwarte ramiona.

On zaś objął ją i czas jakiś przyciskał do piersi, również z takim uniesieniem, jakby cudownie uratowaną. Radość jego nie miała wprost granic, jak jego miłość i szczęście.

Wreszcie począł jej opowiadać, jak przyleciał z Ancyum, jak szukał jej pod murami i wśród dymów, w domu Linusa, ile się namartwił i natrwożył i ile wycierpiał, zanim Apostoł wskazał mu jej schronienie.

— Lecz teraz — mówił — gdym cię odnalazł, ja cię tu nie zostawię wobec tego ognia i rozszalałych tłumów. Ludzie tu mordują się pod murami, burzą się i łupią niewolnicy, Bóg jeden wie, jakie jeszcze klęski mogą spaść

na Rzym. Ale ja ocalę ciebie i was wszystkich. O droga moja!... Czy chcecie jechać ze mną do Ancyum? Tam siądziemy na statek i popłyniemy do Sycylii. Ziemia moje, to wasze ziemia, domy moje, to wasze domy. Słuchaj mnie! W Sycylii odnajdziem Aulusów, wrócę cię Pomponii i wezmę cię potem z jej rąk. Wszak ty, o carissima, nie lękasz się już mnie więcej. Chrzest jeszcze mnie nie obmył, ale oto zapytaj Piotra, czym mu przed chwilą, idąc do ciebie, nie rzekł, że chcę być prawdziwym wyznawcą Chrystusa i czym go nie prosił, by mnie ochrzcił, choćby w tej chacie fossora. Zaufaj mi i zaufajcie mi wszyscy.

Ligia słuchała z rozjaśnioną twarzą tych słów. Wszyscy tu, przedtem z powodu prześladowań ze strony Żydów, a obecnie z powodu pożaru i zamętu, wywołanego przez klęskę, żyli istotnie w ciągłej niepewności i trwodze. Wyjazd do spokojnej Sycylii położyłby koniec wszystkim niepokojom, a zarazem otworzył nową epokę szczęścia w ich życiu. Gdyby Winicyusz chciał przytem zabrać tylko samą Ligię, zapewne oparłaby się pokusie, nie chcąc porzucać Piotra Apostoła i Linusa, ale Winicyusz mówił przecie im: „Jedźcie ze mną! ziemia moje, to wasze ziemia, domy moje, to wasze domy!“

Więc, pochyliwszy się do jego ręki, by ją ucałować na znak posłuszeństwa, rzekła.

— Twoje ognisko, mojem.

Poczem, zawstydzona, że wymówiła słowa, które wedle rzymskiego zwyczaju powtarzała tylko oblubienice przy ślubie, oblała się rumieńcem i stała w blasku ognia, ze spuszczoną głową, niepewna, czy jej nie wezmą ich za złe.

Lecz we wzroku Winicyusza malowało się tylko bezgraniczne uwielbienie. Zwrócił się następnie do Piotra i począł znów mówić:

— Rzym płonie z rozkazu Cezara. Już w Ancyum skarżył się, że nie widział nigdy wielkiej pożogi. Ale jeśli

nie cofnął się przed taką zbrodnią, pomyślcie, co się jeszcze stać może. Kto wie, czy ściągnąwszy wojska, nie każe wymordować mieszkańców. Kto wie, jakie nastąpią proskrypcye, kto wie, czy po klęsce pożaru nie nastąpi klęska wojny domowej, mordów i głodu? Chronicie się więc i chrońmy Ligię. Tam przeczekacie burzę w spokoju, a gdy przeminie, wróćcie znowu siać ziarno wasze.

Na zewnątrz, od strony ager Vaticanus, jakby na potwierdzenie obaw Winicyusza, ozwały się jakieś odległe krzyki, pełne wściekłości i przerażenia. W tej chwili nadszedł także kamieniarz, właściciel chaty i zamknąwszy pośpiesznie drzwi, zawołał:

— Ludzie mordują się koło cyrku Nerona. Niewolnicy i gladyatorowie uderzyli na obywateli.

— Słyszycie? — rzekł Winicyusz.

— Dopełnia się miara — rzekł Apostoł — i klęski będą, jak morze nieprzebrane.

Poczem zwrócił się do Winicyusza i wskazując na Ligię, rzekł:

— Weź tę dziewczkę, którą ci Bóg przeznaczył, i ocal ją, a Linus, który jest chory i Urzus niechaj odjadą z wami.

Lecz Winicyusz, który pokochał Apostoła całą siłą swej niepohamowanej duszy, zawołał:

— Przysięgam ci nauczycielu, iż cię tu nie zostawię na zgubę.

— I pobłogosławi cię Pan za twoją chęć — odrzekł Apostoł — ale zali nie słyszałeś, że Chrystus trzykroć powtórzył mi nad jeziorem: „Paś baranki moje!“

Winicyusz umilkł.

— Więc jeśli ty, któremu nikt nie powierzył pieczy nade mną, mówisz, że mnie tu nie zostawisz na zgubę, jakże chcesz, abym ja odbieżał trzody mojej w dniu klęski? Gdy była burza na jeziorze i gdyśmy się trwożyli w sercach, On nie opuścił nas, jakoż więc ja, sługa, nie mam iść za przykładem Pana mojego?

Wtem Linus podniósł swą wychudłą twarz i zapytał:
— A jakoż ja, namiestniku Pański, nie mam iść za przykładem twoim?

Winicyusz począł wodzić ręką po głowie, jakby walczył ze sobą lub bił się z myślami, poczem chwyciwszy Ligię za rękę, rzekł głosem, w którym drgała energia rzymskiego żołnierza:

— Słuchajcie mnie, Piotrze, Linusie i ty, Ligio! Mówiłem, co mi nakazał mój ludzki rozum, ale wy macie inny, który nie własnego bezpieczeństwa patrzy, jeno przykazań Zbawiciela. Tak! jam tego nie zrozumiał i zbłądziłem, bo z oczu moich nie zdjęte jeszcze bielmo i dawna natura odzywa się we mnie. Ale że miłuję Chrystusa i chcę być Jego sługą, przeto, choć mi tu o coś więcej, niż o własną głowę chodzi, klękam oto przed wami i przysięgam, że i ja spełnię przykazanie miłości i nie opuszczę braci moich w dniu klęski.

To rzekłszy, klęknął i nagle ogarnęło go uniesienie: oczy i ręce wznosił w górę i począł wołać:

— Zali rozumiem Cię już, o Chryste? zalim Cię go-dzien?

Ręce drżały mu, oczy rozbłysły łzami, ciałem wstrząsał dreszcz wiary i miłości, Piotr zaś Apostoł wziął glinianą amforę z wodą i zbliżywszy się do niego, rzekł uroczyście:

— Oto cię chrzczę, w imię Ojca i Syna i Ducha, amen!

Wówczas uniesienie religijne ogarnęło wszystkich obecnych. Zdało im się, że izba napęlnia się jakimś światłem nadziemskim, że słyszą jakąś nadziemską muzykę, że skała jaskini otwiera się nad ich głowami, że z nieba spływają roje aniołów, a hen, w górze, widać krzyż i przebite ręce błogosławiące.

Tymczasem zewnątrz rozlegały się krzyki walczących ludzi i huk płomieni gorejącego miasta.

XXXV.

P o ż a r n i c y .

Obozowiska ludzkie rozłożyły się we wspaniałych ogrodach Cezara, dawnych Domicyi i Agrypiny, na polu Marsowem, w ogrodach Pompejusza, Sallustyusza i Mece-nasa. Pozajmowano portyki, budynki przeznaczone na grę w piłki, rozkoszne domy letnie i szopy, zbudowane dla zwierząt. Pawie, flamingi, łabędzie i strusie, gazelle i antylopy z Afryki, jelenie i sarny, służące za ozdobę ogrodów, poszły pod nóż tłuszczy. Żywność poczęto sprowadzać z Ostyi tak obficie, że po tratwach i różnorodnych statkach można było przechodzić z jednej strony Tybru na drugą, jak po moście. Rozdawano zboże po niesłychanie niskiej cenie trzech sestercyi, a uboższym całkiem darmo. Ściągnięto niezmierne zapasy wina, oliwy i kasztanów; z gór przypędzano codziennie stada wołów i owiec. Nędzarze, kryjący się przed pożarem w zaułkach Subury i przymierający w zwykłych czasach głodem, żyli obecnie lepiej, niż poprzednio. Groźba głodu została stanowczo usunięta, natomiast trudniej było zapobiedz rozbojom, grabieży i nadużyciom. Co noc zdarzały się bitwy, morderstwa, porywania kobiet i pacholąt. Co rano brzegi Tybru roiły się od utopionych ciał, których nikt nie grzebał, a które, gnijąc szybko wskutek upałów, zwiększonych jeszcze pożarem, napełniały powietrze smrodliwymi wy-

ziewami. W obozowiskach wszczęły się choroby i lękliwsi przewidywali wielką zarazę.

A miasto płonęło ciągle. Szóstego dopiero dnia pożar, trafiwszy na puste przestrzenie Eskwilinu, na których zburzono umyślnie ogromną ilość domów, począł słabnąć. Tylko przepalone domy zapadały się jeszcze tu i owdzie, wyrzucając w górę węże płomieni i słupy skier. Lecz zwolna żarzące się w głębi zgliszcza, poczęły czernieć po wierzchu. Niebo, po zachodzie słońca, przestało świecić krwawą luną i tylko podczas nocy na rozległym czarnym pustkowiu skakały błękitne języki, wydobywające się ze stosów węgla.

Z czternastu dzielnic Rzymu pozostały zaledwie cztery, licząc w to i Zatybrze. Resztę pożarły płomienie. Gdy wreszcie spopielaly stosy węgla, widać było, począwszy od Tybru aż do Eskwilinu, ogromną przestrzeń siwą, smutną, umarłą, na której sterczały szeregi kominów, nakształt kolumn grobowych na cmentarzu. Między temi kolumnami snuły się we dnie posępne gromady ludzi, poszukujących to drogich rzeczy, to kości drogich osób. Nocami psy wyły na popieliskach i zgliszczach dawnych domów.

Cała hojność i pomoc, jaką Cezar okazał ludowi, nie powstrzymała złorzeczeń i wzburzenia. Zadowolony był tylko tłum rzezimieszków, złodziei i bezdomnych nędzarczy, który mógł dowoli jeść, pić i rabować. Ale ludzie, którzy potracili najbliższe istoty i mienie, nie dali się zjednać ni otwarciem ogrodów, ni rozdawnictwem zboża, ni obietnicą igrzysk i darów. Nieszczęście było zbyt wielkie i zbyt niesłychane. Innych, w których tliła się jeszcze jakaś iskra miłości do miasta — ojczyzny, przywodziła do rozpaczyny wieść, że stara nazwa „Roma“ ma zniknąć z powierzchni ziemi, i że Cezar ma zamiar wznieść z popiołów nowe miasto pod nazwą Neropolis. Fala niechęci wzbierała i rosła z dniem każdym i mimo pochlebstw augustyanów, mimo kłamstw Tygellina, Nero wrażliwy, jak żaden z poprzednich cesarów, na łaskę tłumów, z trwogą

rozmyślał, że w głuchoj walce na śmierć i życie, jaką prowadził z patrycyuszami i senatem, może mu zbraknąć podpory. Sami augustyanie niemniej byli zaniepokojeni, gdyż każde jutro mogło im przynieść zagładę. Tygellin zamyslał o sprowadzeniu kilku legii z Azji Mniejszej. Watyniusz, który śmiał się nawet wówczas, gdy go policzkowano, stracił humor; Witeliusz stracił apetyt.

Inni naradzali się między sobą, jak odwrócić niebezpieczeństwo, nikomu bowiem nie było tajnym, że gdyby jaki wybuch zmiotł Cezara, to z wyjątkiem może Petroniusza, ani jeden z augustyanów nie uszedłby z życiem. Ich to przecie wpływom przypisywano szaleństwo Nerona, ich podszeptom wszystkie zbrodnie, jakie spełnił. Nienawiść przeciw nim była niemal silniejsza, niż przeciw niemu.

Poczęli więc wysilać głowy, jakby zrzucić z siebie odpowiedzialność za spalenie miasta. Ale chcąc ją zrzucić z siebie, należało oczyścić od posądzeń i Cezara, inaczej bowiem niktby nie uwierzył, że nie byli sprawcami klęski. Tygellin naradzał się w tym celu z Domicyuszem Afrem, a nawet i z Seneką, chociaż go nienawidził. Poppea, rozumiejąc również, że zguba Nerona byłaby wyrokiem i na nią, zasięgała zdania swych powierników i kapłanów hebrajskich, przypuszczano bowiem powszechnie, że od lat kilku wyznawała wiarę w Jehowę. Nero wynajdował sposoby na swoją rękę, często straszne, częściej jeszcze błazeńskie i naprzemian to wpadał w strach, to bawił się, jak dziecko, przedewszystkiem jednak wyrzekał.

Pewnego razu, w ocalonym z pożaru domu Tyberyusza, trwała długa i bezskuteczna narada. Petroniusz był zdania, żeby poniechawszy kłopotów, jechać do Grecyi, a następnie do Egiptu i Azji Mniejszej. Podróż była przecie zamierzona od dawna, po co więc ją odkładać, gdy w Rzymie i smutno i niebezpiecznie.

Cezar przyjął radę z zapalem, lecz Seneka pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Pojechać łatwo, ale wrócić byłoby potem trudniej.

— Na Herakla! — odpowiedział Petroniusz — wrócić możnaby na czele legii azyatyckich.

— Tak uczynię! — zawołał Nero.

Ale Tygellinus począł się sprzeciwiać. Nie umiał sam nic wynaleźć, i gdyby pomysł Petroniusza przyszedł mu do głowy, ogłosiłby go niewątpliwie jako zbawczy, chodziło mu jednak o to, by Petroniusz nie okazał się powtórnie jedynym człowiekiem, który w ciężkich chwilach potrafi wszystko i wszystkich ocalić.

— Słuchaj mnie, boski! — rzekł — rada jest zgubna! Zanim dojedziesz do Ostyi, rozpocznie się wojna domowa, kto wie, czy kto z żyjących jeszcze pobocznych potomków boskiego Augusta nie ogłosi się Cezarem, a wówczas co uczynimy, jeśli legie staną po jego stronie?

— Uczynimy to — odrzekł Nero — iż przedtem postaramy się, aby zbrakło potomków Augusta. Niewielu już ich jest, więc uwolnić się od nich łatwo.

— Uczynić to można, ale czy tylko o nich chodzi? Ludzie moi, nie dawniej, jak wczoraj, słyszeli w tłumie, że Cezarem powinien być taki mąż, jak Trazeasz.

Nero przygryzł wargi. Po chwili jednak wznosił oczy w górę i rzekł:

— Nienasyceni i niewdzięczni. Mają dość zboża i węgla, na których mogą piec placki, czegoż chcą więcej?

Na to Tygellinus rzekł:

— Zemsty.

Nastało milczenie. Nagle Cezar wstał, podniósł rękę do góry i począł deklamować:

„Serca zemsty wolają, a zemsta ofiary“.

Poczem, zapomniawszy o wszystkim, zawołał z rozjaśnioną twarzą:

— Niech mi podadzą tabliczki i styl, abym ten wiersz zapisał. Nigdy Lukau nie ułożył podobnego. Czyście uważali, żem znalazł go w mgnieniu oka?

— O, niezrównany! — ozwało się kilka głosów.

Nero zapisał wiersz i rzekł:

— Tak! zemsta chce ofiary.

Poczem powiódł wzrokiem po otaczających:

— A gdyby puścić wieść, że to Watyniusz kazał podpalić miasto i poświęcić go gniewowi ludu?

— O boski! Kimże ja jestem? — zawołał Watyniusz.

— Prawda! Trzeba kogoś większego od ciebie... Witeliusza?..

Witeliusz pobladł, lecz począł się śmiać.

— Mój tłuszc — odrzekł — mógłby chyba nanowo rozniecić pożar.

Ale Nero miał co innego na myśli, szukał bowiem w duszy ofiary, któraby naprawdę mogła zaspokoić gniew ludu i znalazł ją.

— Tygellinie — rzekł po chwili — ty spaliłeś Rzym!

Po zgromadzonych przebiegł dreszcz. Zrozumieli, że Cezar tym razem przestał żartować, i że nadchodzi chwila brzemiennea w wypadki.

A twarz Tygellina skurczyła się jak paszcza psa, gotowego kąsać.

— Spaliłem Rzym, z twego rozkazu — rzekł.

I zaczęli patrzeć na siebie, jak dwa demony. Nastąpiła taka cisza, że słycać było brzęk much, przelatujących przez atrjum.

— Tygellinie — ozwał się Nero — czy ty mnie kochasz?

— Ty wiesz, panie.

— Poświęć się dla mnie!

— Boski Cezarze — odrzekł Tygellinus — czemu mi podajesz słodki napój, którego mi niewolno do ust podnieść? Lud szemrze i burzy się, czy chcesz, by zaczęli burzyć się i pretoryanie?

Poczucie grozy ścisnęło serca obecnych. Tygellinus był prefektem pretoryi i słowa jego miały wprost znacze-

nie groźby. Sam Nero zrozumiał to i twarz jego oblekła się bladością.

Wtem wszedł Epafrodyt, wyzwoleniec Cezara, z oznajmieniem, że boska Augusta życzy sobie widzieć Tygellina, albowiem ma u siebie ludzi, których prefekt powinien wysłuchać.

Tygellin skłonił się Cezarowi i wyszedł z twarzą spokojną i pogardliwą. Oto, gdy chciano go uderzyć, pokazał zęby; dał do zrozumienia, kim jest i znając tehórzostwo Nerona, był pewien, że ów władca świata nigdy nie poważy się podnieść przeciw niemu ręki.

Nero zaś siedział przez chwilę w milczeniu, lecz widząc, że obecni oczekują od niego jakiegoś słowa, rzekł:

— Wyhodowałem węża na łonie.

Petroniusz wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że takiemu wężowi nietrudno urwać głowę.

— Co powiesz? mów, radź! — zawołał Nero, ujrawszy jego ruch — tobie jednemu ufam, bo ty masz więcej rozumu od nich wszystkich i kochasz mnie!

Petroniusz miał już na ustach: „Mianuj mnie prefektem pretoryi, a ja wydam ludowi Tygellina i uspokoję w jednym dniu miasto“. Lecz wrodzone mu lenistwo przemogło. Być prefektem, znaczyło właściwie dźwigać na barkach osobę Cezara i tysiące spraw publicznych. I po co mu ten trud? Zali nie lepiej czytywać w rozkosznej bibliotece wiersze, oglądać wazy i posągi.

Więc rzekł:

— Ja radzę jechać do Achai.

— Ach — odpowiedział Nero — czekałem od ciebie czegoś więcej. Senat mnie nienawidzi. Gdy wyjadę, któż mi zaręczy, czy nie zbuntują się przeciw mnie i nie ogłoszą kogo innego Cezarem? Lud mi był dawniej wierny, ale dziś pójdzie za nimi... Na Hades! gdyby ten senat i ten lud miał jedną głowę!...

— Pozwól powiedzieć sobie, o boski, że chcąc za-

chować Rzym, trzeba zachować choć kilku Rzymian — rzekł z uśmiechem Petroniusz.

Lecz Nero począł narzekać:

— Co mi po Rzymie i Rzymianach! Słuchanoby mnie w Achai. Tu otacza mnie tylko zdrada. Wszyscy mnie opuszczają! i wy gotowicie mnie zdradzić! Wiem to, wiem!... Wy ani pomyślicie, co powiedzą o was potomne wieki, gdy opuścicie takiego artystę, jak ja.

Tu nagle uderzył się w czoło i zawołał:

— Prawda!... Wśród tych trosk zapominam i ja, kim jestem.

To rzekłszy, zwrócił się do Petroniusza z twarzą całkiem już rozjaśnioną.

— Petroniuszu — rzekł — lud szemrze, ale gdybym wziął lutnię i wyszedł z nią na pole Marsowe, gdybym zaśpiewał mu tę pieśń, którą śpiewałem wam w czasie pożaru, czy sądzisz, że nie wzruszyłbym go mym śpiewem, jak niegdyś Orfeusz wzruszał dzikie zwierzęta?

Na to Tuliusz Senecyo, który niecierpliwiał się od dawna, rzekł:

— Bezwątpienia, Cezarze, gdyby ci pozwolili rozpocząć.

— Jedźmy do Hellady! — zawołał z niechęcią Nero.

Lecz w tej chwili weszła Poppea, a za nią Tygellinus. Oczy obecnych zwróciły się mimowoli ku niemu, ni gdy bowiem żaden tryumfator nie wjeżdżał z taką dumą na Kapitol, z jaką on stanął przed Cezarem.

Poczem jał mówić zwolna i dobitnie, głosem, w którym był jakby zgrzyt żelaza:

— Wysłuchaj mnie, Cezarze, albowiem mogę ci powiedzieć: znalazłem! Ludowi potrzeba zemsty i ofiary, ale nie jednej, lecz setek i tysięcy. Zaliś ty kiedy słyszał, panie, kto był Chrestos, ten przez Poncyusza Piłata ukrzyżowany? i czy wiesz, kto są chrześcijanie? Zalim ci nie mówił o ich zbrodniach i bezecnych obrzędach, o przepowiedniach, iż ogień przyniesie koniec światu? Lud niena-

widzi ich i podejrzewa. Nikt ich nie widział w świątyniach, albowiem bogów naszych poczytują za złe duchy; niemasz ich w Stadium, bo pogardzają gonitwami. Nigdy dłonie żadnego chrześcijanina nie uczeły cię oklaskiem. nigdy żaden nie uczył cię za boga. Nieprzyjaciółmi są rodu ludzkiego, nieprzyjaciółmi miasta i twymi. Lud szmerze przeciw tobie, ale nie tyś mi, Cezarze, kazał spalić Rzym i nie ja go spaliłem... Lud pragnie zemsty, niech ją ma. Lud pragnie krwi i igrzysk, niech je ma. Lud podejrzewa ciebie, niech jego podejrzzenia zwrócą się w inną stronę.

Nero słuchał z początku ze zdumieniem. Lecz w miarę słów Tygellina, aktorska twarz jego poczęła się zmieniać i przybierać naprzemian wyraz gniewu, żalu, współczucia, oburzenia. Nagle powstał i zrzuciwszy z siebie togę, która spłynęła mu do stóp, wyciągnął obie ręce w górę i przez chwilę pozostał tak w milczeniu.

Wreszcie ozwał się głosem tragika:

— Zeusie, Apollinie, Hero, Atene, Persefono i wy wszyscy nieśmiertelni bogowie, czemuście nie przyszli nam w pomoc? Co to nieszczęsne miasto uczyniło tym okrutnikom, że je tak nieludzko spalili?

— Nieprzyjaciółmi są rodu ludzkiego i twymi — rzekła Poppea.

A inni poczęli wołać:

— Uczyń sprawiedliwość! Ukarz podpalaczy! Sami bogowie chcą pomsty.

On zaś siadł, spuścił głowę na piersi i znów milczał, jakby niegodziwość, o której usłyszał, ogłuszyła go. Lecz po chwili potrzęsął rękoma i ozwał się:

— Jakież kary i jakież męki godne są takiej zbrodni?... Ale bogi mnie natchną i z pomocą potęg Tartaru dam biednemu ludowi memu takie widowisko, że przez wieki będzie mnie wspominał z wdzięcznością.

Czoło Petroniusza pokryło się nagle chmurą. Pomyślał o niebezpieczeństwie, jakie zawiśnie nad Ligią, nad Winicyuszem, którego kochał i nad wszystkimi tymi

ludźmi, których naukę odrzucał, ale o których niewinności był przekonany. Pomyślał również, że rozpocznie się jedna z takich krwawych orgii, jakich nie znosiły jego oczy estety. Lecz przedewszystkiem mówił sobie: „Muszę ratować Winicyusza, który oszaleje, jeśli tamta dziewczyna zginie“ i ten wzgląd przeważył wszystkie inne, Petroniusz rozumiał bowiem dobrze, że poczyna grę tak niebezpieczną, jak nigdy w życiu.

Począł wszelako mówić swobodnie i niedbale, jak mówił zwykle, gdy krytykował lub wyśmiewał niedość estetyczne pomysły Cezara i augustyanów:

— A więc znaleźliście ofiary! Dobrze! Możecie je posłać na areny lub przybrać w „bolesne tuniki“. Również dobrze! Ale posłuchajcie mnie: Macie władzę, macie pretoryanów, macie siłę, bądźcie zatem szczerzy, przynajmniej wówczas, gdy nikt was nie słyszy. Oszukujcie lud, ale nie siebie samych. Wydajcie ludowi chrześcijan, skażcie ich na jakie chcecie męki, miejcie jednak odwagę powiedzieć sobie, że nie oni spalili Rzym!.. Phy! Nazywacie mnie arbitrem elegancyi, więc oświadczam wam, że nie znoszę nędznych komedyi. Phy! Ach, jak to wszystko przypomina mi budy teatralne koło porta Asinaria, w których aktorowie grają dla uciechy przedmiejskiej gawiedzi bogów i królów, a po przedstawieniu popijają cebulę kwasnym winem lub dostają baty. Bądźcie naprawdę bogami i królami, bo mówię wam, że możecie sobie na to pozwolić. Co do ciebie, Cezarze, groziłeś nam sądem wieków potomnych, ale pomyśl, że one wydadzą wyrok i o tobie. Na boską Klio! Nero władca świata, Nero bóg, spalił Rzym, bo był tak potężnym na ziemi, jak Zeus w Olimpie. Nero poeta, kochał tak poezję, że poświęcił dla niej ojczyznę! Od początku świata nikt nie podobnego nie uczynił, na nie podobnego się nie ważył. Zaklinam cię w imię dziewięciu Libetryd, nie wyrzekaj się takiej sławy, bo oto pieśni o tobie będą brzmiały do skończenia wieków. Czemże przy tobie będzie Pryam? czem Aga-

memnon? czem Achilles? czem sami bogowie? Mniejsza, czy spalenie Rzymu jest rzeczą dobrą, ale jest wielką i niezwykłą! A przytem mówię ci, że lud nie podniesie na ciebie dłoni! To nieprawda! Miej odwagę! strzeż się postępków niegodnych ciebie, bo tobie grozi tylko to, że potomne wieki mogą powiedzieć: „Nero spalił Rzym, ale jako małoduszny Cezar i małoduszny poeta, wyparł się wielkiego czynu ze strachu i rzucił winę na niewinnych!“

Słowa Petroniusza czyniły zwykle silne na Neronie wrażenie, lecz tym razem sam Petroniusz nie łudził się, rozumiał bowiem, iż to, co mówi, jest środkiem ostatecznym, który może wprawdzie w szczęśliwym wypadku uratować chrześcijan, ale jeszcze łatwiej może zgubić jego samego. Nie zawahał się jednak, gdyż szło mu zarazem o Winicyusza, którego kochał i o hazard, którym się bawił. „Kości są rzucone, mówił sobie, i zobaczymy, o ile w małpie strach o własną skórę przeważy nad miłością dla sławy“.

I w duszy nie wątpił, że jednak przeważy strach.

Tymczasem po słowach jego zapadło milczenie. Poppea i wszyscy obecni patrzyli, jak w tęczę, w oczy Neroną, ów zaś począł podnosić wargi w górę, zbliżając je do samych nozdrzy, jak zwykł był czynić, gdy nie wiedział, co począć, wreszcie zakłopotanie i niechęć odbiły się widocznie na jego twarzy.

— Panie — zawołał, widząc to, Tygellinus — pozwól mi odejść, bo gdy chcę wystawić na zgubę twą osobę, a przytem zwać cię małoduszny Cezarem, małoduszny poetą, podpalaczem i komedyantem, uszy moje nie mogą znieść takich słów.

— Przegrałem — pomyślał Petroniusz.

Lecz zwróciwszy się do Tygellina, zmierzył go wzrokiem, w którym była pogarda wielkiego pana i wykwinętego człowieka dla nędznika, poczem rzekł:

— Tygellinie, ciebie to nazwałem komedyantem, albowiem jesteś nim nawet i teraz.

— Czy dlatego, że nie chcę słuchać twych obelg?

— Dlatego, że udajesz miłość bez granic dla Cezara, a przed chwilą groziłeś mu pretoryanami, co zrozumieliśmy my wszyscy i on także.

Tygellinus, który nie spodziewał się, aby Petroniusz ośmielił się rzucić na stół podobne kości, pobladł, stracił głowę i oniemiał. Ale było to ostatnie zwycięstwo arbitra elegancyi nad współzawodnikiem, gdyż w tej chwili Poppea rzekła:

— Panie, jak możesz pozwolić, by nawet myśl taka przeszła przez czyjąś głowę, a tembardziej, by ktoś ośmielił się wypowiedzieć ją głośno wobec ciebie.

— Ukarz zuchwalca! — zawołał Witeliusz.

Nero podniósł znów wargi do nozdrzy i zwróciwszy na Petroniusza swe szkliste oczy krótkowidza, rzekł:

— Także to wypłacasz mi się za przyjaźń, którą dla ciebie miałem?

— Jeśli się myślę, dowiedz mi tego — odpowiedział Petroniusz — lecz wiedz, że mówię to, co mi nakazuje miłość do ciebie.

— Ukarz zuchwalca! — powtórzył Witeliusz.

— Uczyni to! — ozwało się kilka głosów.

W atrium zrobił się szmer i ruch, albowiem ludzie poczęli się odsuwać od Petroniusza. Odsunął się nawet Tulusz Senecyo, jego stały towarzysz przy dworze i młody Nerwa, który okazywał mu dotychczas najżywszą przyjaźń. Po chwili Petroniusz został sam po lewej stronie atrium i z uśmiechem na ustach, rozgarniając dłonią fałdy togi, czekał jeszcze, co powie lub pocznie Cezar.

Cezar zaś rzekł:

— Chcecie, bym go ukarał, lecz to mój towarzysz i przyjaciel, więc chociaż zranił mi serce, niech wie, że to serce ma dla przyjaciół tylko... przebaczenie.

— Przegrałem i zginałem — pomyślał Petroniusz.

Tymczasem Cezar wstał, narada była skończona.

XXXVI.

Z d r a j c a.

Petroniusz udał się do siebie, Nero zaś z Tygellinem przeszli do atrium Poppei, gdzie czekali na nich ludzie, z którymi prefekt poprzednio rozmawiał.

Było tam dwóch „rabbieh“ z Zatybrza, przybranych w długie uroczyste szaty, z mitrami na głowach, młody pisarz, ich pomocnik, oraz Chilo. Na widok Cezara, kapłani pobledli ze wzruszenia i podniósłszy na wysokość ramion ręce, pochyłili głowy aż do dłoni.

— Witaj, monarcho monarchów i królu królów — rzekł starszy — witaj władco ziemi, opiekunie ludu wybranego i Cezarze, lwie między ludźmi, którego panowanie jest jako światłość słoneczna i jako cedr libański i jako źródło i jako palma i jako balsam jerychoński!...

— Nie nazywacie mnie bogiem? — spytał Cezar.

Kapłani pobledli jeszcze mocniej; starszy znów zabrał głos:

— Słowa twoje, panie, są słodkie, jako grono winnej macicy i jako figa dojrzała, albowiem Jehowa nappełnił dobrocią serce twoje. Lecz poprzednik ojca twego, cesarz Kajus, był okrutnikiem, a jednak wysłańcy nasi nie nazywali go bogiem, przekładając śmierć samą nad obrazę Zakonu.

— I Kaligula kazał ich rzucić lwom?

— Nie panie. Cezar Kajus uląkł się gniewu Jehowy. I podnieśli głowy, albowiem imię potężnego Jehowy dodało im odwagi. Ufni w moc jego, śmielej już patrzyli w oczy Nerona.

— Oskarżacie chrześcijan o spalenie Rzymu? — spytał Cezar.

— My, panie, oskarżamy ich tylko, że są nieprzyjaciółmi Zakonu, nieprzyjaciółmi rodu ludzkiego, nieprzyjaciółmi Rzymu i twymi i że od dawna grozili miastu i światu ogniem. Resztę dopowie ci ten człowiek, którego usta nie skalają się kłamstwem, albowiem w żyłach jego matki płynęła krew wybranego narodu.

Nero zwrócił się do Chilona:

— Kto jesteś?

— Twój czciciel, Ozyrysie, a przytem ubogi stoik....

— Nienawidzę stoików — rzekł Nero — wstrętna mi jest ich mowa, ich pogarda sztuki, ich dobrowolna nędba i niechlujstwo.

— Panie, twój mistrz Seneka ma tysiąc stołów cytrusowych. Zechciej tylko, a będę ich miał dwakroć więcej. Jestem stoikiem z potrzeby. Przybierz, o Promienisty, mój stoicyzm w wieniec z róż i postaw przed nim dzban wina, a będzie śpiewał Anakreonta tak, że zgłuszy wszystkich epikurejczyków.

Nero, któremu przypadł do smaku przydomek: „Promienisty“, uśmiechnął się i rzekł:

— Podobasz mi się!

— Ten człowiek wart tyle złota, ile sam waży — zawołał Tygellinus.

Chilo zaś odpowiedział:

— Dopełnij, panie, mojej wagi twoją hojnością, gdyż inaczej wiatr uniesie zapłatę.

— Zaiste, nie przeważyłbyś Witeliusza — wtrącił Cezar.

— Eheu, Srebrnoluki, mój dowcip nie jest z ołowiu

— Widzę, że twój Zakon nie zabrania ci zwać mnie bogiem?

— O, nieśmiertelny! mój Zakon jest w tobie: chrześcijanie bluźnili przeciw temu Zakonowi i dlatego go ich znienawidził.

— Co wiesz o chrześcijanach?

— Czy pozwolisz mi płakać, boski?

— Nie — rzekł Nero — to mnie nudzi.

— I potrzykroć masz słusność, albowiem oczy, które cię widziały, powinny raz na zawsze oschnąć z łez. Panie broń mnie od moich nieprzyjaciół!

— Mów o chrześcijanach — rzekła Poppea z odzieniem niecierpliwości.

— Będzie, jak ty każesz, Izydo — odpowiedział Chilo. — Oto od młodości poświęciłem się filozofii i szukałem prawdy. Szukałem jej i u dawnych boskich mędrców i w Akademii w Atenach i w Serapeum alexandryjskiem. Posłyszawszy o chrześcijanach, sądziłem, że to jest jakaś nowa szkoła, w której będę mógł znaleźć kilka ziarn prawdy i poznałem się z nimi, na moje nieszczęście! Pierwszym chrześcijaninem, do którego mnie zły los zbliżył, był Glaukos, lekarz w Neapolu. Od niego to dowiedziałem się z czasem, że oni oddają cześć niejakiemu Chrestosowi, który im obiecał wytepić wszystkich ludzi i zniszczyć wszystkie miasta na ziemi, ich zaś zostawić, jeżeli mu pomogą w wytepieniu deukalionowych dzieci. Dlatego to, o panie, oni nienawidzą ludzi, dlatego zatrują fontanny, dlatego na zebraniach swych miotają przekleństwa na Rzym i na wszystkie świątynie, w których cześć bywa oddawana naszym bogom. Chrestos był ukrzyżowany, ale obiecał im, że gdy Rzym będzie zniszczony ogniem, wówczas po raz drugi przyjdzie na świat — i odda im panowanie nad ziemią...

— Teraz lud zrozumie, dlaczego Rzym został spalony — przerwał Tygellinus.

— Wielu już rozumie, panie — odpowiedział Chilo —

albowiem chodzę po ogrodach, po polu Marsowem i nauczam. Lecz, jeśli mnie zechcecie wysłuchać do końca, zrozumiecie, jakie mam do zemsty powody. Glaukos-lekarz nie zdradzał się z początku przede mną, że ich nauka nakazuje nienawiść do ludzi. Owszem! mówił mi, że Chrestos jest dobrem bóstwem i że podstawą jego nauki jest miłość. Tkliwe moje serce nie mogło się oprzeć takim prawdom, więc pokochałem Glaukosa i zaufałem mu. Dzieliłem się z nim każdym kawałkiem chleba, każdym groszem i czy wiesz, panie, jak mi się wypłacił? Oto w drodze z Neapolu do Rzymu pchnął mnie nożem, moją zaś żonę, moją piękną i młodą Berenikę zaprzedał handlarzom niewolników. Gdyby Sofokles znał moje dzieje... ale, co mówię! słucha mnie ktoś lepszy, niż Sofokles.

— Biedny człowiek! — rzekła Poppea.

— Kto ujrzał oblicze Afrodyty, nie jest biednym, pani, a ja widzę je w tej chwili. Lecz wówczas szukałem pociechy w filozofii. Przybywszy do Rzymu, starałem się trafić do starszych chrześcijańskich, aby uzyskać sprawiedliwość na Glauku. Myślałem, że go zmuszą do oddania mi żony... Poznałem ich arcykapłana, poznałem drugiego, imieniem Paweł, który był tu uwięzion, ale potem został uwolniony, poznałem syna Zebedeusza, poznałem Lina i Kleta i wielu innych. Wiem, gdzie mieszkali przed pożarem, wiem, gdzie się schodzą, mogę wskazać jedno podziemie we wzgórzu Watykańskim i jeden cmentarz za bramą Nomentańską, na którym odprawują swoje bezecne obrzędy. Widziałem tam Piotra Apostoła, widziałem Glauka, jak mordował dzieci, aby Apostoł miał czem skrapiać głowy obecnych i widziałem Ligię, wychowanekę Pomponii Grecyny, która chęłpiła się, że nie mogąc przynieść krwi dziecięcej, przynosi jednak śmierć dziecka, albowiem urzekła małą Augustę, córkę twoją, o Ozyrysie! i twoją, o Izydo!

— Słyszysz, Cezarze! — rzekła Poppea.

— Byćże to może? — zawołał Nero.

— Mogłem odpuścić krzywdy własne — mówił dalej Chilo — lecz usłyszawszy o waszych, chciałem ją nożem pchnąć. Niestety, przeszkodził mi szlachetny Winicyusz, który ją miłuje.

— Winicyusz? wszakże ona od niego uciekła?

— Ona uciekła, ale on jej szukał, gdyż nie mógł bez niej żyć. Za nędzną zapłatę pomagałem mu jej szukać i ja to wskazałem mu dom, w którym mieszkała wśród chrześcijan na Zatybrzu. Udaliśmy się tam razem, a z nami i twój zapaśnik, Kroto, którego szlachetny Winicyusz najął dla bezpieczeństwa. Lecz Urzus, niewolnik Ligii, zdusił Krotona. Człowiek to strasznej siły, o panie, który bykom skręca głowy tak łatwo, jakby inny skręcał makówki. Aulus i Pomponia miłowali go za to.

— Na Herkulesa! — rzekł Nero — śmiertelnik, który zdusił Krotona, godzien jest mieć posąg na Forum. Ale mylisz się lub zmyślasz, starcze, albowiem Krotona zabił nożem Winicyusz.

— Tak to ludzie okłamują bogów. O panie, ja sam widziałem, jak żebra Krotona łamały się w rękach Urzusa, który następnie powalił i Winicyusza. Byłby go zabił, gdyby nie Ligia. Winicyusz długo potem chorował, lecz oni pielęgowali go, mając nadzieję, że z miłości stanie się chrześcijaninem. Jakoż stał się chrześcijaninem.

— Winicyusz?

— Tak jest.

— A może i Petroniusz? — spytał skwapliwie Tygellin.

Chilo począł więc się, trzeć ręce i rzekł:

— Podziwiam twą przenikliwość panie! O!... być może! bardzo być może!

— Teraz rozumiem, dlaczego tak bronił chrześcijan. Lecz Nero począł się śmiać.

— Petroniusz chrześcijaninem!... Petroniusz nieprzyjacielem życia i rozkoszy. Nie bądźcie głupcami i nie

chciejcie, abym w to wierzył, gdyż gotówem w nie nie uwierzyć.

— Lecz szlachetny Winicyusz został chrześcijaninem, panie. Przysięgam na ten blask, jaki od ciebie bije, że mówię prawdę i że nie nie przejmuję mnie takim obrzydzeniem, jak kłamstwo. Pomponia jest chrześcijanką, mały Aulus jest chrześcijaninem i Ligia i Winicyusz. Służyłem mu wiernie, on zaś w nagrodę na żądanie Glauka-lekarza kazał mnie schłostać, choć jestem stary, a byłem chory i głodny. I przysięgłem na Hades, że mu to zapamiętam. O panie, pomścij na nich moje krzywdy, a ja wam wydam Piotra Apostoła i Linusa i Kleta i Glauka i Kryspa, samych starszych i Ligię i Urzusa, wskażę wam ich setki, tysiące, wskażę domy modlitwy, cmentarze, wszystkie wasze więzienia nie obejmą ich!... Beze mnie nie potrafili byście ich znaleźć! Dotychczas w biedach moich szukałem pociechy tylko w filozofii, niechaj ją teraz! znajdę w łastkach, jakie na mnie spłyną... Stary jestem, a nie zaznałem życia, niech odpocznę!...

— Chcesz być stoikiem przed pełną misą — rzekł Nero.

— Kto oddaje przysługę tobie, tem samem ją napelnia.

— Nie mylisz się, filozofie.

Ale Poppea nie traciła z myśli swych nieprzyjaciół. Ligii nienawidziła od pierwszej chwili, w której zaniepokoiła ją piękność tej północnej lilii. I od tej chwili zaprzysięła jej zgubę.

— Panie — rzekła — pomścij nasze dziecko!

— Śpieszcie się! — zawołał Chilo — śpieszcie się! inaczej Winicyusz ją ukryje. Ja wskażę dom, do którego znów wrócili po pożarze.

— Dam ci dziesięciu ludzi i idź natychmiast — rzekł Tygellinus.

— Panie! tyś nie widział Krotona w rękach Urzusa: jeśli dasz pięćdziesięciu, pokażę tylko z daleka dom. Ale jeśli nie uwieźcie i Winicyusza, zginąłem.

Tygellin spojrział na Nerona.

— Czyby nie było dobrze, o boski, załatwić się razem z wujem i siostrzeńcem?

Nero pomyślał chwilę i odrzekł:

— Nie! nie teraz!... Ludzie nie uwierzyliby, gdyby chciano w nich wmówić, że Petroniusz, Winicyusz lub Pomponia Grecyna podpalili Rzym. Zbyt piękne mieli domy... Dziś trzeba innych ofiar, a tamtych kolej przyjdzie później.

— Więc daj mi, panie, żołnierzy, by mnie strzegli — rzekł Chilo.

— Tygellin pomyśli o tem.

— Zamieszkaż tymczasem u mnie — rzekł prefekt. Radość poczęła bić od twarzy Chilona.

— Wydam wszystkich! tylko się śpieszcie! Śpieszcie się! — wołał ochrypłym głosem.

XXXVII.

Z a p ó ź n o !

Petroniusz, wyszedłszy od Cezara, kazał się nieść do swego domu na Karynach, który, otoczony z trzech stron ogrodem i mając z przodu małe forum Cecyliów, wyjątkowo ocalał w czasie pożaru.

Z tego powodu inni augustyanie, którzy potracili domy, a w nich mnóstwo bogactw i dzieł sztuki, nazywali Petroniusza szczęśliwym. Mówiono zresztą o nim od dawna, że jest pierworodnym synem Fortuny, a coraz żywsza przyjaźń, jaką mu w ostatnich czasach okazywał Cezar, zdawała się potwierdzać słusność tego mniemania.

Lecz ów pierworodny syn Fortuny mógł rozmyślać teraz chyba nad zmiennością tej matki, a raczej nad podobieństwem jej z Chronosem, pożerającym własne dzieci.

Dzięki swej przenikliwości, zrozumiał, że zguba nie grozi mu natychmiast. Nero skorzystał przecie z odpowiedniej chwili, aby wypowiedzieć kilka pięknych, podniosłych słów o przyjaźni, o przebaczeniu i poniekąd związał się niemi. Będzie teraz musiał szukać pozorów, a nim je znajdzie, może upłynąć sporo czasu. Przedewszystkiem wyprawi igrzysko z chrześcijan — mówił sobie Petroniusz — potem dopiero pomyśli o mnie, a jeśli tak, to nie warto się tem kłopotać, ni zmieniać trybu życia. Bliższe niebezpieczeństwo grozi Winicyuszowi!...

I odtąd myślał już tylko o Winicyuszu, którego postanowił ratować.

Niewolnicy nieśli szybko lektykę wśród ruin, popielisk i kominów, jakimi były jeszcze zapełnione Karyny, lecz on rozkazał im biedz pędem, by jak najprędzej stanąć u siebie. Winicyusz, którego „insula“ spłonęła, mieszkał u niego i na szczęście był w domu.

— Widziałeś dziś Ligię? — spytał go na wstępie Petroniusz.

— Od niej wracam.

— Słuchajże, co ci powiem i nie trać czasu na pytania. Postanowiono dziś u Cezara złożyć na chrześcijan winę za podpalenie Rzymu. Grozi im prześladowanie i męki. Pościg rozpocznie się lada chwila. Bierz Ligię i uciekajcie natychmiast, choćby za Alpy lub do Afryki. I śpiesz się, bo z Palatynu bliżej na Zatybrze, niż stąd!

Winicyusz był istotnie nadto żołnierzem, by tracić czas na zbyteczne pytania. Słuchał z namarszczoną brwią, z twarzą skupioną i groźną, ale bez przerażenia. Widocznie pierwszym uczuciem, jakie budziło się w tej naturze wobec niebezpieczeństwa, była chęć walki i obrony.

— Idę — rzekł.

— Słowo jeszcze: weź „capsę“ ze złotem, weź broń i garść twoich ludzi chrześcijan. W razie potrzeby, odbij!

Winicyusz był już we drzwiach atrium.

— Przyślij mi wiadomość przez niewolnika — zawołał za odchodzącym Petroniusz.

I, pozostawszy sam, począł chodzić wzdłuż kolumn, zdobiących atrium, rozmyślając nad tem, co się stanie. Wiedział, że Ligia i Linus wrócili po pożarze do dawnego domu, który, jak większa część Zatybrza, ocalał, i to była okoliczność niepomysłna, inaczej bowiem niełatwo byłoby ich odnaleźć wśród tłumów. Spodziewał się jednak, że i tak nikt w Palatynie nie wie, gdzie mieszkają, a więc, że w każdym razie Winicyusz uprzedzi pretoryanów. Przyszło mu również na myśl, iż Tygellin, chcąc wyłowić za

jednym zamachem jak największą ilość chrześcijan, musi się rozciągnąć na cały Rzym, to jest podzielić pretoryanów na małe oddziały. Jeśli przysła po nią nie więcej, jak dziesięciu ludzi — myślał — to sam olbrzym ligijski połamie im kości, a cóż dopiero, gdy w pomoc przyjdzie mu Winicyusz. I myśląc o tem, nabrał otuchy. Wprawdzie postawić zbrojny opór pretoryanom, było to niemal toż samo, co rozpocząć wojnę z Cezarem. Petroniusz wiedział także, że jeżeli Winicyusz uchroni się przed zemstą Neronu, to zemsta ta może spaść na niego, ale niewiele o to dbał. Owszem, myśl pomieszczenia szyków Neronowi i Tygellinowi rozweseliła go. Postanowił nie pożalować na to ni pieniędzy, ni ludzi, że zaś Paweł z Tarzu nawrócił jeszcze w Ancyum większą część jego niewolników, przeto mógł być pewny, że w sprawie obrony chrześcijanki może liczyć na ich gotowość i poświęcenie.

W godzinę później spoczął przed stołem, zastawionym złotemi naczyniami. Popijając wino z bluszczowych kruży, słuchał hymnu do Apollina, śpiewanego przy dźwięku harf pod wodzą Antemia.

Lecz, zanim hymn był skończony, wszedł do sali niewolnik, przełożony nad atrium.

— Panie — rzekł głosem, w którym drgał niepokój — centuryon z oddziałem pretoryanów stoi przed bramą i z rozkazu Cezara pragnie widzieć się z tobą.

Śpiew i dźwięki harf ustały. Niepokój udzielił się wszystkim obecnym, albowiem Cezar w stosunkach z przyjaciółmi nie posługiwał się zwykle pretoryanami i przybycie ich nie wróżyło w owych czasach nic dobrego. Jeden tylko Pretoniusz nie okazał najmniejszego wzruszenia i rzekł, jakby mówił człowiek, którego nudzą ciągle wezwania:

— Mogliby też dać mi spokojnie zjeść obiad.

Poczem, zwróciwszy się do przełożonego nad atrium:

— Wpuść.

Niewolnik zniknął za kotarą; w chwilę później dały

się słyszeć ciężkie kroki i do sali wszedł znajomy Petroniuszowi setnik Aper, cały w zbroi i w żelaznym hełmie na głowie.

— Szlachetny panie — rzekł — oto pismo od Cezara.

Petroniusz wyciągnął leniwie swą białą rękę, wziął tabliczki i, rzuciwszy na nie okiem, oddał je z całym spokojem Eunice.

— Będzie czytał wieczór nową pieśń z Troiki — rzekł — i wzywa mnie, bym przyszedł.

— Mam tylko rozkaz oddać pismo — ozwał się setnik.

— Tak. Nie będzie odpowiedzi. Ale możebyś setniku, spoczął nieco przy nas i wychylił krater wina?

— Dzięki ci, szlachetny panie. Krater wina wypiję chętnie za twoje zdrowie, ale spocząć nie mogę, gdyż jestem na służbie.

— Czemu to tobie oddano pismo, zamiast wysłać je przez niewolnika?

— Nie wiem, panie. Może dlatego, że wysłano mnie w tę stronę w innej sprawie.

— Wiem — rzekł Petroniusz — przeciw chrześcijanom.

— Tak jest, panie.

— Czy pościg dawno rozpoczęty?

— Niektóre oddziały wysłano na Zatybrze jeszcze przed południem.

To rzekłszy, setnik strząsnął z czaszy nieco wina na cześć Marsa, następnie wychylił ją i rzekł:

— Niechaj bogowie dadzą ci, panie, czego zapragniesz.

— Weź i ten krater — rzekł Petroniusz.

Poczem dał znak Antemiosowi, by kończył hymn do Apollina.

— Miedzianobrody poczyna igrać ze mną i z Winiuszem — mówił sobie, gdy harfy ozwały się nanowo. Odgaduję zamiar! Chciał mnie przerazić, przysyłając we-

zwanie przez centuryona. Będą się wieczór wypytywali setnika, w jaki sposób go przyjąłem. Nie, nie! Nie ucieszysz się zbyt, złośliwa i okrutna kukło. Wiem, że urazy nie zapomnisz, wiem, że zguba mnie nie minie, ale jeśli myślisz, że będę ci patrzył błagalnie w oczy, że zobaczysz na mojej twarzy strach i pokorę, to się mylisz.

— Cezar pisze, panie: „Przyjdźcie, jeśli macie ochotę“ — rzekła Eunice — czy pójdziesz?

— Jestem w wyśmienitem usposobieniu i mogę słuchać nawet jego wierszy — odpowiedział Petroniusz — więc pójdę tembardziej, że Winicyusz pójść nie może.

Jakoż po skończonym obiedzie i po zwykłej przechadzce oddał się w ręce niewolnic, trefiących włosy i niewolnic, układających fałdy, a w godzinę później, piękny, jak bożek, kazał się zanieść na Palatyn. Godzina była późna, wieczór cichy, ciepły, księżyc świecił tak mocno, że „lampadarii“, idący przed lektyką, pogasili pochodnie. Po ulicach i wśród rumowisk snuły się podpite winem gromady ludzi, przybrane w bluszcze i wiciokrzew, niosące w ręku gałązki mirtu i lauru, których dostarczyły ogrody Cezara. Obfitość zboża i nadzieja wielkich igrzysk napełniała wesołością serca ludzi. Gdzieniedzie śpiewano pieśni, gdzieniedzie tańczono przy świetle księżyca; kilkakrotnie niewolnicy musieli wołać o miejsce dla lektyki „szlachetnego Petroniusza“ i wówczas tłum rozsuwał się, wydając okrzyki na cześć swego ulubieńca.

On zaś rozmyślał o Winicyuszu i dziwił się, że niema od niego żadnej wieści. Był epikurejczykiem i egoistą, ale przestając, to z Pawłem z Tarzu, to z Winicyuszem i słysząc codziennie o chrześcijanach, zmienił się nieco, choć sam o tem nie wiedział. Powiał na niego od nich jakiś wiatr, który rzucił w jego duszę nieznanne ziarenka. Poza własną osobą poczęli go zajmować inni ludzie, do Winicyusza był zresztą zawsze przywiązany, gdyż w dzieciństwie kochał mocno jego matkę, a swoją siostrę, obecnie zaś, wzięwszy udział w jego sprawach, patrzył na nie

jeszcze z takim zajęciem, jakby patrzył na jakąś tragedję.

Nie tracił nadziei, że Winicyusz uprzedził pretoryanów i uciekł z Ligią, lub w ostateczności, że ją odbił. Lecz wolałby być mieć pewność, gdyż przewidywał, że może przyjdzie odpowiadać mu na rozmaite pytania, na które lepiej było być przygotowanym.

Stanawszy przed domem Tyberyusza, wysiadł z lektyki i po chwili wszedł do atrium, napełnionego już augustyjanami. Wczorajsi przyjaciele, jakkolwiek dziwiło ich, że został zaproszony, odsuwali się jeszcze od niego, lecz on posuwał się wśród nich, piękny, swobodny, niedbały i tak pewny siebie, jakby sam mógł łaski rozdawać. Niektórzy też, widząc go, zaniepokoiili się w duszy, czy nie zawcześnie było okazywać mu obojętność.

Cezar udawał jednak, że go nie widzi, i nie odpowiedział mu na jego ukłon, udając zajętego rozmową. Natomiast Tygellin zbliżył się i rzekł:

— Dobry wieczór, arbitrze elegancyi. Czy zawsze jeszcze twierdzisz, że nie chrześcijanie Rzym spalili?

A Petroniusz wzruszył ramionami i, klepiąc go po łopacie, jak wyzwolenca, odpowiedział:

— Ty wiesz tak dobrze, jak ja, co o tem mniemać.

— Nie śmiem porównać się z twoją mądrością.

— I poniekąd masz słuszność, bo w takim razie, gdy oto Cezar przeczyta nam nową pieśń z Troiki, musiałbyś, zamiast krzyżeć, jak paw, wypowiedzieć jakieś zdanie niedorzeczne.

Tygellin zagryzł wargi. Nie był on zbyt rad, iż Cezar postanowił wygłosić dziś nową pieśń, albowiem otwierało to pole, na którym nie mógł współzawodniczyć z Petroniuszem. Jakoż, w czasie wygłaszania, Nero mimowoli, skutkiem dawnego przyzwyczajenia, zwracał oczy na Petroniusza, pilnie bacząc, co w jego twarzy wyczyta. Ów zaś słuchał, podnosząc w górę brwi, miejscami potakując, miejscami nateżając uwagę, jakby chciał sprawdzić, czy

dobrze słyszał. I następnie to chwalił, to przyganiał, wymagając poprawek lub wypolerowania niektórych wierszy. Sam Nero czuł, że innym w wygórowanych pochwałach chodzi tylko o własne osoby, ten jeden zaś tylko zajmuje się poezją dla samej poezyi, jeden się zna i jeśli co pochwali, to można być pewnym, że wiersze są godne pochwały. Powoli też począł z nim rozprawiać, spierać się, a gdy wreszcie Petroniusz podał w wątpliwość trafność pewnego wyrażenia, rzekł mu:

— Zobaczysz w ostatniej pieśni, dlaczegom go użył.

— Ach! — pomyślał Petroniusz — więc doczekam ostatniej pieśni.

Niejeden zaś, słysząc to, mówił sobie w duchu:

— Biada mi! Petroniusz, mając przed sobą czas, może wrócić do łask i obalić nawet Tygellina.

I poczęto znów zbliżać się do niego. Lecz koniec wieczoru mniej był szczęśliwy, Cezar bowiem, w chwili, gdy Petroniusz go żegnał, zapytał nagle ze zmrużonemi oczyma i twarzą zarazem złośliwą i uradowaną:

-- A Winicyusz czemu nie przyszedł?

Gdyby Petroniusz był pewien, że Winicyusz z Ligią są już za bramami miasta, byłby odrzekł: „Ożenił się z twego pozwolenia i wyjechał“. Lecz, widząc dziwny uśmiech Nerona, odrzekł:

— Twoje wezwanie, boski, nie znalazło go w domu.

— Powiedz mu, że rad go ujrzę — odpowiedział Nero — i powiedz mu ode mnie, by nie opuszczał igrzysk, na których wystąpią chrześcijanie.

Petroniusza zaniepokoiły te słowa, wydało mu się bowiem, że odnoszą się wprost do Ligii. Siadłszy w lekturę, kazał się nieść do domu jeszcze prędzej, niż rano. Nie było to jednak rzeczą łatwą. Przed domem Tyberyusza stał tłum gęsty i zgiełkliwy, pijany, jak poprzednio, lecz nie rozśpiewany i nie tańczący, ale jakby wzburzony. Zdalea dochodziły jakieś okrzyki, których Petroniusz nie

umiał od razu zrozumieć, ale które potężniały, rosły, aż wreszcie zmieniły się w jeden dziki wrzask:

— Chrześcijanie dla lwów!!

Świetne lektyki dworaków posuwały się wśród wyjącej tłuszczy. Z głębi spalonych ulic nadbiegały coraz nowe gromady, które zasłyszawszy okrzyk, poczynaly go powtarzać. Podawano sobie z ust do ust wieść, że pościg trwa już od południa, że schwytano już mnóstwo podpalaczy, i wkrótce po nowo wytkniętych i starych ulicach, po zaułkach, leżących w gruzach, naokół Pałatynu, po wszystkich wzgórzach i ogrodach, rozlegały się, jak długi i szeroki Rzym, coraz wścieklejsze wrzaski:

— Chrześcijanie dla lwów!!

— Trzoda! — powtarzał z pogardą Petroniusz — lud godny Cezara!

I począł myśleć, że taki świat, oparty na przemocy, na okrucieństwie, o którym nawet barbarzyńcy nie mieli żadnego pojęcia, na zbrodniach i szalonej rozpuście, nie może się jednak ostać. Rzym był panem świata, ale i wrzodem świata. Wiało od niego trupa wonią. Na zgniłe życie padał cień śmierci.

Rozumiał teraz, że jedni tylko chrześcijanie mają jakieś nowe podstawy życia, ale sądził, że wkrótce nie zostanie z chrześcijan ślad żaden. A wówczas co?

Błazeński korowód pójdzie dalej pod wodzą Nerona, a jeśli Nero minie, znajdzie się drugi, taki sam lub gorszy, bo wobec takiego ludu i takich patrycyuszów niema żadnego powodu, by znalazł się ktoś lepszy. Będzie nowa orgia, a w dodatku coraz plugawsza i szpetniejsza.

Lektyka zatrzymała się przed drzwiami domu, które czujny odźwierny w tej samej chwili otworzył.

— Czy szlachetny Winicyusz powrócił? — zapytał go Petroniusz.

— Przed chwilą, panie — odpowiedział niewolnik.

— A zatem jej nie odbił! — pomyślał Petroniusz.

I, rzuciwszy togę, wbiegł do atrium. Winicyusz sie-

dział na trójnogu, z głową pochyloną niemal do kolan i z rękami na głowie, lecz na odgłos kroków podniósł swą skamieniałą twarz, w której tylko oczy świeciły gorączkowo.

— Przybyłeś zapóźno? — spytał Petroniusz.

— Tak jest. Uwięziono ją przed południem.

Nastała chwila milczenia.

— Widziałeś ją?

— Tak.

— Gdzie jest?

— W więzieniu Mamertyńskim.

Petroniusz wzdrygnął się i począł patrzeć na Winicyusza pytającym wzrokiem.

Ten zaś zrozumiał.

— Nie! — rzekł. — Nie wtrącono jej do Tulianum ¹⁾, ani nawet do środkowego więzienia. Przepłaciłem stróża, aby odstąpił jej swą izbę. Urzus położył się w progu i czuwa nad nią.

— Czemu Urzus jej nie obronił?

— Przysłano pięćdziesięciu pretoryanów. Zresztą Linus mu zabronił.

— A Linus?

— Linus umiera. Dlatego nie wzięto go.

— Co zamierzasz?

— Uratować ją lub umrzeć z nią razem. I ja wierzę w Chrystusa.

Winicyusz mówił niby spokojnie, ale w jego głosie było coś tak rozdzierającego, że serce Petroniusza zadrgało szczerą litością.

— Ja cię pojmuje — rzekł — ale jak ją chcesz ratować?

— Przepłaciłem stróżów, naprzód dlatego, by rato-

¹⁾ Najniższa część więzienia, leżąca zupełnie pod ziemią, z jedynym otworem w pułapie. Tam umarł z głodu Jugurta.

wał ją od zniewag, a powtóre, by nie przeszkadzali jej w ucieczce.

— Kiedy to ma nastąpić?

— Odpowiedzieli, że nie mogą wydać mi jej natychmiast, albowiem boją się odpowiedzialności. Gdy więzienia napelnią się mnóstwem ludzi, i gdy straci się rachunek więźniów, wówczas mi ją oddadzą. Ale to ostateczność!! Pierwej ty ratuj ją i mnie! Jesteś przyjacielem Cezara. On sam mi ją oddał. Idź do niego i ratuj mnie!

Petroniusz, zamiast odpowiedzieć, zawołał niewolnika i, rozkazawszy mu przynieść dwa ciemne płaszcze i dwa miecze, zwrócił się do Winicyusza.

— Po drodze ci opowiem — rzekł. — Tymczasem weź płaszcz, weź broń i pójdźmy do więzienia. Tam daj stróżom sto tysięcy sestercyi, daj dwakroć i pięćkroć więcej, byle wypuścili Ligię natychmiast. Inaczej będzie zapóźno.

— Pójdźmy — rzekł Winicyusz.

I po chwili obaj znaleźli się na ulicy.

— A teraz słuchaj mnie — rzekł Petroniusz. — Nie chciałem tracić czasu. Jestem od dziś w niełasce. Moje własne życie wisi na włosku i dlatego nie mogę nic wskórać u Cezara. Gorzej! mam pewność, że postąpi wbrew mojej prośbie. Gdyby nie to, czyż byłbym ci radził, byś uciekał z Ligią lub odbił ją? Przecie, gdybyś ty zdołał ujsć, gniew Cezara zwróciłby się na mnie. Ale on prędzejby dziś uczynił coś na twoją prośbę niż na moją. Nie licz jednak na to. Wydobądź ją z więzienia i uciekaj! Nic więcej ci nie pozostaje. Gdy się to nie uda, wówczas będzie czas na inne sposoby. Tymczasem wiedz, że Ligię uwięziono nietylko za wiarę w Chrystusa. Ją ściga gniew Poppei. Wszakże już i poprzednio usiłowała ją zgubić, przypisując jej czarom śmierć swego dziecka. W tem, co się stało, jest ręka Poppei! Czemże wytłómaczysz, że Ligia została pierwsza uwięziona? Kto mógł wskazać dom Linusa? A ja ci mówię, że szpiegowano ją od dawna!

Wiem, że ci rozdieram duszę i odejmuję resztę nadziei, ale mówię ci to umyślnie dlatego, że, jeśli jej nie uwolnisz, zanim nie wpadną na myśl, iż będziesz próbował, to zginiecie oboje.

— Tak jest! rozumiem! — odrzekł głucho Winicyusz.

— Cezar rzekł mi dziś: „Powiedz ode mnie Winicyuszowi, żeby był na igrzyskach, na których wystąpią chrześcijanie“. Czy rozumiesz, co to znaczy? Oto chcą sobie wyprawić widowisko z twego bólu. To rzecz ułożona. Może dlatego nie uwięziono dotąd ciebie i mnie. Jeśli jej nie zdołasz natychmiast wydobyć, wówczas... nie wiem!... Może Akte wstawi się za tobą, lecz czy co wskóra?... Twoje ziemie sycylijskie mogłyby także skusić Tygellina. Próbuj.

— Oddam mu wszystko, co posiadam — odpowiedział Winicyusz.

Z Karyn na Forum nie było zbyt daleko, wkrótce więc doszli. Noc już poczęła blednąć i mury zamku wychylały się wyraźnie z cienia.

Nagle, gdy skręcili ku Mamertyńskiemu więzieniu, Petroniusz stanął i rzekł:

— Pretoryanie!... Zapóźno!

Jakoż więzienie otaczał podwójny szereg żołnierzy Brzask srebrzył żelazne ich hełmy i ostrza włóczni.

Twarz Winicyusza stała się blada, jak marmur.

— Pójdźmy — rzekł.

Po chwili stanęli przed szeregiem. Petroniusz, który, obdarzony niezwykłą pamięcią, znał nietylko starszyznę, ale wszystkich niemal żołnierzy pretoryi, wnet ujrzał znajomego sobie dowódcę kohorty i skinął na niego.

— A co to, Nigrze? — rzekł — kazano wam pilnować więzienia?

— Tak jest, szlachetny Petroniuszu. Prefekt obawiał się, by nie próbowano odbić podpalaczy.

— Czy macie rozkaz nie wpuszczać nikogo? — spytał Winicyusz.

— Nie, panie. Znajomi będą odwiedzali uwięzionych i w ten sposób wyłapiemy więcej chrześcijan.

— Zatem mnie wpuść — rzekł Winicyusz.

I, ścisnąwszy dłoń Petroniusza, rzekł mu:

— Zobacz Akte, a ja przyjdę dowiedzieć się, jaką ci dała odpowiedź...

— Przyjdź — odpowiedział Petroniusz.

W tej chwili pod ziemią i za grubymi murami ozwało się śpiewanie. Pieśń, zrazu głucha i stłumiona, rosła coraz bardziej. Głosy męskie, kobiece i dziecinne, łączyły się w jeden zgodny chór. Całe więzienie poczęło w ciszy świtania śpiewać, jak harfa. Lecz nie były to głosy żałości, ni rozpaczy. Owszem, brzmiała w nich radość i tryumf.

Żołnierze spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Na niebie zjawiły się pierwsze złote i różowe blaski jutrzni.

XXXVIII.

Chrześcijanie dla lwów!

Okrzyk: „Chrześcijanie dla lwów!“ rozlegał się ciągle we wszystkich dzielnicach miasta. W pierwszej chwili nie tylko nikt nie wątpił, że oni byli prawdziwymi sprawcami klęski, ale nikt nie chciał wątpić, albowiem kara ich miała być zarazem wspaniałą zabawą dla ludu. Zaraz po nara-dzie w domu Tyberyusza poszły rozkazy do prokonsulów, aby dostarczyli dzikich zwierząt. Tygellinus opustoszył wiwarya ¹⁾ wszystkich miast italskich, nie wyłączając pomniejszych. W Afryce urządzono z jego polecenia olbrzymie łowy, w których cała miejscowa ludność musiała brać udział. Sprowadzono słonie i tygrysy z Azji, krokodyle i hipopotamy z Nilu, lwy z Atlasu, wilki i niedźwiedzie z Pirenejów, zaciekle psy z Hibernii, psy molosy z Epiru, bawoły i olbrzymie srogie tury z Germanii. Z powodu ilości uwięzionych igrzyska miały przejść ogromem wszystko, co dotychczas widziano. Cezar zapragnął zatopić wspomnienia pożaru w krwi i upoić nią Rzym, więc nigdy rozlew jej nie zapowiadał się wspanialej.

Rozochocony lud pomagał „wigilom“ i pretoryanom w pościgu chrześcijan. Nie było to rzeczą trudną, gdyż

¹⁾ Rodzaj menażeryi.

całe ich gromady, obozując jeszcze wraz z inną ludnością wśród ogrodów — wyznawały głośno swą wiarę. Gdy ich otaczano, klękali i, śpiewając pieśni, pozwalali się porwać bez oporu. Lecz cierpliwość ich zwiększała tylko gniew ludu, który, nie rozumiejąc jej źródła, poczytywał ją za zaciekłość i zatwardziałość w zbrodni. Szał ogarnął prześladowców. Zdarzało się, że czerń wrywała chrześcijan z rąk pretoryanów i rozszarpywała ich rękoma; kobiety ciągnięto za włosy do więzień, dzieciom rozbijano głowy o kamienie. Tysiące ludzi dniem i nocą przebiegało z wyciem ulice. Szukano ofiar wśród zgliszcz, w kominach i w piwnicach. Przed więzieniami wyprawiano przy ogniskach, naokół beczek z winem, bachiczne uczty i tańce. Wieczorami słuchano z upojeniem podobnych do grzmotu ryków, którymi rozbrzmiewało całe miasto. Więzienia przepelnione były tysiącami ludzi, codzien zaś czerń i pretoryanie przypędzali nowe ofiary. Litość zgasła. Zdawało się, że ludzie zapomnieli mówić i w dzikim obłąkaniu zapamiętali tylko jeden okrzyk: „Chrześcijanie dla lwów!“ Przyszły dziwnie znojne dni i noce tak duszne, jakich nigdy przedtem nie było: samo powietrze było jakby nasiąknięte szalem, krwią, zbrodnią.

A owej przebranej mierze okrucieństw odpowiadała również przebrana miara żądzy męczeństwa. Wyznawcy Chrystusa szli dobrowolnie na śmierć lub nawet szukali jej, póki ich nie powstrzymały surowe rozkazy zwierzchników. Z polecenia ich poczęto zbierać się już tylko za miastem, w podziemiach na drodze Appijskiej i w winnicach podmiejskich, należących do patrycyuszów-chrześcijan, z pośród których nie uwięziono dotąd nikogo. Na Pałatynie wiedziano doskonale, że do wyznawców Chrystusa należą: i Flawiusz, i Domitylla, i Pomponia Grecyna, i Korneliusz Pudens, i Winicyusz; sam Cezar obawiał się jednak, że czerń nie da wmówić w siebie, by tacy ludzie podpalili Rzym, że zaś chodziło przedewszystkiem o przekonanie ludu, więc karę i zemstę odłożono na dni dalsze.

Inni mniemali, że owych patrycyuszów ocalił wpływ Akte. Mniemanie było błędne. Petroniusz po rozstaniu się z Winicyuszem, udał się wprawdzie do Akte o pomoc dla Ligii, lecz ona mogła mu ofiarować jeno łzy, żyła bowiem w zapomnieniu i w bólu, o tyle tylko cierpiana, o ile kryła się przed Poppeą i Cezarem.

Odwiedziła jednak Ligię w więzieniu, przyniosła jej odzież i żywność, a nadewszystko ochroniła ją tembardziej od zniewag ze strony i tak już przekupionych stróżów więziennych.

Wszelako Petroniusz, nie mogąc zapomnieć, że, gdyby nie on i nie jego pomysły odebrania Ligii z domu Aulusów, to prawdopodobnie nie byłaby obecnie w więzieniu, a prócz tego, pragnąc wygrać grę z Tygellinem, nie szczędził czasu, ni zabiegów.

Lecz wszystkie te usiłowania pozostały bez skutku.

Żał mu jednak było Winicyusza i brał go strach, czy on nie targnie się na własne życie. „Teraz — mówił sobie — podtrzymują go jeszcze zabiegi, które czyni dla jej ratunku, jej widok i sama męka, lecz gdy wszystkie sposoby zawiodą i zgaśnie ostatnia iskra nadziei, na Kastora! on jej nie przeżyje i rzuci się na miecz“. Petroniusz pojmował nawet lepiej, że można tak skończyć, niż że można tak pokochać i tak cierpieć. Tymczasem Winicyusz czynił jeszcze wszystko, na co mógł zdobyć się jego umysł, by uratować Ligię. Odwiedzał augustyanów i on, tak niegdyś dumny, żebrał teraz ich pomocy. Przez Witeliusza ofiarował Tygellinowi swoje ziemie sycylijskie i wszystko, czegoby zażądał, Tygellinus jednak, nie chcąc zapewne narazić się Augustcie, odmówił. Pójść do samego Cezara, objąć mu kolana i błagać, nie prowadziło do niczego, Winicyusz chciał wprawdzie i to uczynić, lecz Petroniusz, usłyszawszy o zamiarze, zapytał:

— A jeśli ci odmówi, jeśli odpowie żartem lub groźbą bezecną, co uczynisz?

Na to rysy Winicyusza ściągnęły się bólem i wściekłością, a ze zwartych szczęk począł się wydobywać zgrzyt.

— Tak! — rzekł Petroniusz — dlatego ci odradzam. Zamkniesz wszystkie drogi ocalenia!

Lecz Winicyusz pohamował się, i wodząc dłonią po czole, pokrytem zimnym potem, rzekł:

— Nie! nie! Jestem chrześcijaninem!...

— I zapomnisz o tem, jak zapomniałeś przed chwilą. Masz prawo zgubić siebie, ale nie ją.

I tak mówiąc, nie był zupełnie szczerym, chodziło mu bowiem więcej o Winicyusza niż o Ligię. Ale wiedział, że niezem nie powstrzyma go tak od niebezpiecznego kroku, jak przedstawiając mu, że mógłby on przynieść nieodwołalną zgubę Ligii. Zresztą, miał słuszność, gdyż na Palatynie przewidywano przyjście młodego trybuna i przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności.

Jednakże męka Winicyusza przeszła wszystko, co siły ludzkie znieść mogą. Od chwili, gdy Ligia była uwięziona i gdy padł na nią blask przyszłego męczeństwa, nietylko pokochał ją stokroć więcej, ale po prostu począł jej oddawać w duszy cześć niemal religijną, jakby nadziemskiej istocie. A teraz na myśl, że tę istotę i ukochaną i zarazem świętą, musi stracić i że prócz śmierci spaść mogą na nią męczarnie od samej śmierci straszniejsze, krew stygła mu w żyłach, dusza zmieniała się w jeden jęk, mieszały się zmysły. Chwilami zdawało mu się, że czaszkę wypełnia mu żywy ogień, który ją spali lub rozsadzi. Przestał rozumieć, co się dzieje, przestał rozumieć, dlaczego Chrystus, ów miłosierny! ów Bóg! nie przychodzi w pomoc swym wyznawcom, dlaczego okopcone mury Palatynu nie zapadają się pod ziemię, a z nimi razem Nero, augustyanie, obóz pretoryanów i całe to miasto zbrodni. Mniemał, że nie może i nie powinno być inaczej i że to wszystko, na co patrzą jego oczy, od czego łamie się dusza i skowyczy serce, to sen. Lecz ryk

zwierząt mówił mu, że to rzeczywistość; huk siekier, z pod których wyrastały areny, mówił mu, że to rzeczywistość, a potwierdzały ją wycie ludu i przepełnione więzienia. Wówczas przerażała się w nim wiara w Chrystusa i to przerażenie było nową męką, może ze wszystkich najstraszniejszą.

XXXIX.

Pokrzepienie.

I wszystko zawiodło. Winicyusz zniżył się do tego stopnia, że szukał poparcia u wyzwolenców i niewolnic, tak Cezara, jak i Poppei, przepłacał ich czcze obietnice, zjednywał sobie bogatymi podarkami ich względy. Odnalazł pierwszego męża Augusty, Rufiusa Kryspinusa i uzyskał od niego list; podarował willę w Ancyum synowi jej z pierwszego małżeństwa, Rufiusowi, lecz rozgniewał tem tylko Cezara, który pasierba nienawidził. Przez umyślnego gońca pisał do drugiego męża Poppei, Othona, do Hiszpanii, ofiarował całe swe mienie i siebie samego, aż wreszcie spostrzegł, że był tylko igraszką ludzi, i że, gdyby był udawał, iż więzienie Ligii mało go obchodzi, byłby ją prędszej uwolnił.

Toż samo spostrzegł i Petroniusz. Tymczasem płynął dzień za dniem. Amfiteatra były skończone. Rozdawano już „tessery“, to jest znaki wejścia na „ludus matutinus“. Lecz tym razem igrzysko „poranne“ z powodu niesłychanej ilości ofiar, miało się rozciągnąć na dnię, tygodnie i miesiące. Nie wiedziano już gdzie mieścić chrześcijan. Więzienia były natłoczone i srożyła się w nich gorączka. „Puticuli“, to jest wspólne doły, w których chowano niewolników, poczęły się przepelniać. Powstała obawa, by

choroby nie rozszerzyły się na całe miasto, więc postanowiono się śpieszyć.

A wszystkie owe wieści odbijały się o uszy Winicyusza, gasząc w nim ostatnie przebłyśki nadziei. Póki był czas, mógł się łudzić, że coś jeszcze wskóra, ale teraz nie było już i czasu. Widowiska miały się rozpocząć. Ligia lada dzień mogła się znaleźć w „cuniculum“¹⁾ cyrkowem, skąd wyjście było już tylko na arenę. Winicyusz, nie wiedząc, gdzie rzuci ją los i okrucieństwo przemocy, począł obchodzić wszystkie cyrki, przekupywać stróżów i „bestyaryów“²⁾, stawiając im żądania, których nie mogli spełnić. Czasem spostrzegał się, że już pracuje tylko nad tem, by jej uczynić śmierć mniej straszną i wówczas to właśnie czuł, że zamiast mózgu ma rozżarzone węgle pod czaszką.

Nie myślał zresztą jej przeżyć i postanowił zginąć z nią razem. Lecz sądził, że ból może wypali w nim życie, zanim straszliwy termin nadejdzie. Jego przyjaciele i Petroniusz mniemali również, iż lada dzień otworzy się przed nim królestwo cieniów. Twarz Winicyusza zczerniała i stała się podobną do owych woskowych masek, które trzymano w „lararyach“. W rysach zastygło mu zdumienie, jak gdyby nie rozumiał, co się stało i co się stać może. Gdy ktoś do niego mówił, podnosił mechanicznym ruchem ręce do głowy i ściskając dłońmi skronie, patrzył na mówiącego wzrokiem przerażonym i pytającym. Noce spędzał wraz z Urzusem pod drzwiami Ligii, w więzieniu, jeśli zaś kazała mu odejść i spocząć, wracał do Petroniusza i przechadzał się do rana po atrium. Niewolnicy znajdowali go też często klęczącego, ze wzniesionemi rękoma, lub leżącego twarzą do ziemi. Modlił się do Chrystusa, gdyż to była ostatnia nadzieja. Wszystko zawiodło. Ligię mógł ocalić tylko cud, więc Winicyusz bił czołem w kamienne płyty i prosił o cud.

¹⁾ Izba podziemna. ²⁾ Służba, mająca dozór nad zwierzętami.

Lecz pozostało mu jeszcze tyle świadomości, że rozumiał, iż modlitwa Piotra więcej znaczy niż jego. Piotr mu przyobiegał Ligię, Piotr go chrzczył, Piotr sam czynił cuda, niechże mu da ratunek i wspomnienie.

I pewnej nocy poszedł go szukać. Chrześcijanie, których niewiele już zostało, ukrywali go teraz starannie nawet jedni przed drugimi, aby ktoś ze słabszych duchem nie zdradził go mimowolnie lub umyślnie. Winicyusz wśród ogólnego zamieszania i pogromu, zajęty przytem całkiem zabiegami o wydobycie Ligii z więzienia, stracił Apostoła z oczu, tak, iż od czasu swego chrztu, spotkał go zaledwie raz jeden, jeszcze przed rozpoczęciem pościgu. Lecz udawszy się do owego fossora, w którego chacie został ochrzczony, dowiedział się od niego, że w winnicy leżącej za porta Salaria, należącej do Korneliusza Pudensa, odbędzie się zebranie chrześcijan. Fossor podejmował się wprowadzić na nie Winicyusza, upewniając go, że znajdą na niem Piotra. Jakoż o zmroku wyszli i przedostawszy się za mury, a następnie idąc wśród wądołów zarosłych trzcina, dostali się do winnicy, położonej dziko i ustronnie. Zgromadzenie odbywało się w szopie, w której zwykle wytłaczano wino. Do uszu Winicyusza doszedł na wstępie szmer modlitwy, wszedłszy zaś, ujrzał przy mdłym świetle laterek kilkadziesiąt postaci klęczących i pogrążonych w modlitwie. Odmawiały one rodzaj litanii, chór głosów, zarówno męskich jak kobiecych, powtarzał co chwila: „Chryście zmiłuj się“. Drgał w tych słowach głęboki, rozdzierający smutek i żal.

Piotr był obecny. Klęczał na przodzie, przed drewnianym krzyżem, przybitym do ściany szopy i modlił się. Winicyusz rozpoznał z dala jego białe włosy i wzniesione ręce. Pierwszą myślą młodego patrycyusza było przejść przez gromadę, rzucić się do nóg Apostoła i krzyknąć: „ratuj!“ lecz czy to uroczystość modlitwy, czy osłabienie ugięło pod nim kolana, więc klękawszy u wejścia, począł powtarzać z jękiem i z zaciśnionymi dłońmi: „Chry-

ste zmiłuj się!“ Gdyby był przytomny, byłby zrozumiał, że nietylko w jego prośbie brzmiał jęk, i że nie on tylko przyniósł tu swój ból, swój żal i swoją trwozę. Nie było w tem zebraniu jednej duszy ludzkiej, któraby nie straciła drogich sercu istot, a gdy najgorliwsi i najpełniejsi odwagi z wyznawców byli już uwięzieni, gdy z każdą chwilą rozchodziły się nowe wieści o zniewagach i mękach, jakie zadawano im w więzieniach, gdy ogrom klęski przerósł wszelkie przypuszczenia, gdy została już ta garść tylko, nie było wśród niej jednego serca, któreby nie przeraziło się w wierze i nie pytało w zwątpieniu: gdzie Chrystus? i czemu zezwala, by zło stało się potężniejsze od Boga?

Lecz tymczasem błagali Go jeszcze z rozpaczą o miłosierdzie, bo w każdej duszy tliła się dotąd iskra nadziei, że przyjdzie, zetrze zło, strąci w przepaść Nerona i zapakuje nad światem... Wtem Piotr wstał i zwróciwszy się do gromady rzekł:

— Dzieci, podnieście serca ku Zbawicielowi naszemu i ofiarujcie mu wasze łzy.

I umilkł.

Nagle wśród zgromadzonych ozwał się głos kobiecy, pełen żalostnej skargi i bólu bez granic:

— Ja, wdowa, jednego syna miałam, który mnie żywił... Wróc mi go, panie!

Nastąpiła powtórnie chwila ciszy. Piotr stał przed klęczącą gromadą, stary, stroskany i wydawał się im w tej chwili jakby uosobieniem zgrzybiałości i niemocy.

Wtem począł się skarżyć drugi głos:

— Zostałam sama z dziećmi, a gdy mnie porwą, kto da im chleba i wody?

Poczem trzeci:

— Linusa, którego zaniechali, wzięli znowu i położyli na męki, panie!

I tak w ciszy nocnej brzmiała skarga za skargą. Stary rybak przymknął oczy i trząsł swą białą głową nad

tym ludzkim bólem i trwogą. Zapadło znów milczenie, tylko strażnicy poświstywali z cicha za szopą.

Winicyusz zerwał się znowu, by przedrzeć się przez gromadę do Apostoła i zażądać od niego ratunku, lecz nagle ujrzał przed sobą jakby przepaść, której widok obezwładnił jego nogi. Co będzie, jeśli Apostoł wyzna swoją niemoc, jeśli stwierdzi, że Cezar rzymski potężniejszy jest, niż Chrystus Nazareński? I na tę myśl przerażenie podjęło mu włosy na głowie, gdyż czuł, że wówczas w tę przepaść wpadnie nietylko reszta jego nadziei, ale i on sam, i jego Ligia, i jego miłość do Chrystusa, i jego wiara, i wszystko, czem żył, a pozostanie tylko śmierć i noc, jak morze, bezbrzeżna.

A tymczasem Piotr począł mówić głosem z początku tak cichym, że ledwie można go było dosłyszeć:

— Dzieci moje! Na Golgocie widziałem, jak Boga przybijali do krzyża. Słyszałem młoty i widziałem, jak podnieśli krzyż do góry, aby rzesze patrzyły na śmierć Syna człowieczego...

...I widziałem, jak mu otworzyli bok i jak umarł. A wówczas, wracając od krzyża, wołałem w boleści, jako wy wołacie: „Biada! biada! Panie! Tyś Bóg! czemuż na to pozwolił, czemuś umarł i czemuś utrapił nam serca, którzyśmy wierzyli, że przyjdzie królestwo Twoje?“...

...A On, Pan nasz i Bóg nasz, trzeciego dnia zmartwychwstał i był między nami, póki w wielkiej światłości nie wstąpił do królestwa swego...

A my, poznavszy małą wiarę naszą, umocniliśmy się w sercach i odtąd siejemy ziarno Jego...

Tu, zwróciwszy się w stronę, skąd wyszła pierwsza skarga, począł mówić silniejszym już głosem:

— Czemu się skarżycie?... Bóg sam poddał się męce i śmierci, a wy chcecie, by was przed nią osłonił? Ludzie małej wiary! zaliście pojęli Jego naukę, zali On wam to

jedno życie obiecał? Oto przychodzi do was i mówi wam: „Pójdźcie drogą moją“, oto podnosi was ku sobie, a wy czepiacie się ziemi rękoma, wołając: „Panie ratuj!“ Ja proch przed Bogiem, lecz wobec was Apostoł Boży i namiestnik, mówię wam w imię Chrystusa: Nie śmierć przed wami, lecz życie, nie męki, lecz nieprzebrane rozkosze, nie łzy i jęki, lecz śpiewanie, nie niewola, lecz królowanie! Ja, Apostoł Boży, mówię tobie, wdowo: syn twój nie umrze, jeno narodzi się w chwale na życie wieczne i połączysz się z nim! Wam, matki, które porwą od sierót, wam, którzy straciecie ojców, wam, którzy się skarżycie, wam, którzy będziecie patrzeć na śmierć umiłowanych, wam, stroskani, nieszczęśliwi, trwożni, i wam, mający umrzeć, w imię Chrystusa, powiadam, iż zbudzicie się jako ze snu na szczęsne czuwanie i jako w nocy na świt boży. W imię Chrystusa, niech spadnie bielmo z oczu waszych i rozgoreją serca!

To rzekłszy, podniósł dłoń, jak gdyby rozkazywał, a oni uczuli nową krew w żyłach i zarazem dreszcz w kościach, bo stał już przed nimi nie starzec zgrzybiały i strapiiony, ale mocarz, który brał ich dusze i dźwigał je z prochu i trwogi.

— Amen! — zawołało kilka głosów.

Jemu zaś z oczu bił blask coraz większy i szła od niego siła, szedł majestat, szła świętość. Głowy chyliły się przed nim, a on, gdy umilkło „amen!“ mówił dalej:

— Siejcie w płakaniu, abyście zbierali w weselu. Czemu lękacie się mocy złego? Nad ziemią, nad Rzymem, nad murami miasta jest Pan, który zamieszkał w was. Kamienie zwilgną od łez, piasek przesiąknie krwią, pełne będą doły ciał waszych, a ja wam powiadam: wyście zwycięzcy! Pan idzie na podbój tego miasta zbrodni, ciemności i pychy, a wyście legia Jego! I jako sam odkupił męką i krwią grzechy świata, tak chce, abyście wy odkupili męką i krwią to gniazdo nieprawości!.. To wam oznajmia przez wargi moje!

I rozłożył ręce, a oczy utkwil w górze, im zaś serca przestały prawie bić w piersi, albowiem uczuli, że wzrok jego widzi coś, czego nie mogą dojrzeć ich śmiertelne źrenice.

Jakoż twarz mu się zmieniła i oblała się jasnością, i patrzył czas jakiś w milczeniu, jakby oniemiał z zachwytu, lecz po chwili usłyszano jego głos:

— Jesteś, Panie, i ukazujesz mi drogi swoje!... Jakto, o Chryste!... Nie w Jeruzalem, ale w tym grodzie szatana chcesz założyć stolicę Twoją? Tu, z tych łez i z tej krwi chcesz zbudować Kościół Twój? Tu, gdzie dziś władza Neron, ma stanąć wieczyste Królestwo Twoje? O, Panie, Panie! I każesz tym trwożnym, aby z kości swych zbudowali fundament pod Syon świata, a duchowi memu każesz objąć rząd nad nim i nad ludami ziemi?... I oto zlewasz zdroj mocy na słabych, aby się stali silni, i oto każesz mi paść stąd baranki Twoje, aż do spełnienia wieków... O, bądźże pochwalony w wyrokach Twoich, który każesz zwyciężać. Hosanna! Hosanna!...

Ci, którzy byli trwożni, powstali, w tych, którzy zwątpili, wpłynęły strumienie wiary. Jedne głosy zawołały naraz: „Hosanna!“ inne „pro Christo!“ poczem zapadła cisza. Jasne letnie błyskawice rozświecały wnętrze szopy i twarze poblądłe ze wzruszenia.

Piotr, zapatrzony w widzenie, modlił się jeszcze długo, lecz nakoniec zbudził się, zwrócił do gromady swą natehnią, pełną światła głowę i rzekł:

— Oto, jako Pan zwyciężył w was zwątpienie, tak i wy idźcie zwyciężać w imię Jego!

I chociaż wiedział już, że zwyciężą, choć wiedział, co wyrosnie z ich łez i krwi, jednak głos zadrgał mu wzruszeniem, gdy począł żegnać ich krzyżem i mówił:

— A teraz błogosławię was, dzieci moje, na mękę, na śmierć, na wieczność!

Lecz oni opadli go, wołając: „My już gotowi, ale ty święta głowo chroń się, albowiem tyś jest namiestnik,

który sprawuje rząd Chrystusów!“ I tak mówiąc, czepiali się jego szat, on zaś kładł ręce na ich głowach i żegnał każdego z osobna, równie jak ojciec żegna dzieci, które wysyła w podróż daleką.

I zaraz poczeli wychodzić z szopy, albowiem pilno już im było do domów, a z nich do więzień i na areny. Umysły ich oderwały się od ziemi, dusze wzięły lot ku wieczności i szli, jakby w śnie lub w zachwyceniu, przeciwstawiać tę siłę, która w nich była, sile i okrucieństwu „bestyi“.

Apostoła zaś wziął Nereusz, sługa Pudensa, i wiódł go ukrytą w winnicy ścieżką do swego domu. Lecz wśród jasnej nocy, postępował za nimi Winicyusz i gdy wreszcie doszli do Nereuszowej chaty, rzucił się nagle do nóg Apostoła.

Ów zaś, poznawszy go, zapytał:

— Czego żądasz, synu?

Ale Winicyusz, po tem, co słyszał w szopie, nie śmiał go już o nic błagać, tylko objawszy obiema rękami jego stopy, przyciskał do nich ze łkaniem czoło, wzywając w ten niemy sposób litości.

Ów zaś rzekł:

— Wiem. Wzięlić dziewczką, którą umiłowałeś. Módl się za nią.

— Panie! — jęknął Winicyusz, obejmując jeszcze silniej stopy Apostoła. — Panie! jam robak lichy, aleś ty znał Chrystusa, ty Go błagaj, ty wstaw się za nią.

I drżał z bólu, jak liść i bił czołem w ziemię, albowiem poznawszy moc Apostoła, wiedział, iż on jeden może mu ją powrócić.

A Piotr wzruszył się tą boleścią. Przypomniał sobie, jak niegdyś Ligia, zgromiona przez Kryspusa, leżała tak samo u jego nóg, żebrząc litości. Przypomniał sobie, że ją podniósł i pocieszył, więc teraz podniósł Winicyusza.

— Synaczku — rzekł — będę się modlił za nią, lecz

ty pomnij, com mówił tamtym wątpiącym: że sam Bóg przeszedł przez mękę krzyżową i pomnij, że po tem życiu zaczyna się inne, wieczyste.

— Ja wiem!... jam słyszał — odparł Winicyusz, łowiąc w poblądłe usta powietrze — ale, widzisz panie... nie mogę! Jeśli potrzeba krwi, prosz Chrystusa, aby wziął moją... Jam żołnierz. Niech mi podwoi, niech potroi mękę dla niej przeznaczoną, wytrzymam! ale niech ją ocali! To jeszcze dziecko, panie! a On mocniejszy od Cezara, wierzę! mocniejszy!... Tyś ją sam miłował. Tyś nam błogosławił! To jeszcze dziecko niewinne!...

Tu znów pochylił się i, przyłożywszy twarz do kolan Piotra, począł powtarzać:

— Tyś znał Chrystusa, panie! tyś znał, On ciebie wysłucha! Wstaw się za nią!

A Piotr przymknął powieki i modlił się żarliwie.

Letnie błyskawice poczęły znów rozświecać niebo. Winicyusz wpatrywał się przy ich blasku w usta Apostoła, czekając z nich wyroku życia lub śmierci. W ciszy słyhać było przepiórki nawołujące się po winnicach i głuchy, daleki odgłos deptaków, leżących przy via Salaria.

— Winicyuszu — zapytał wreszcie Apostoł — wierzysz-li ty?

— Panie, czyżbym inaczej tu przyszedł? — odpowiedział Winicyusz.

— Tedy wierz do końca, albowiem wiara góry porusza. Więc choćbyś widział onę dziewczkę pod mieczem kata, albo w paszczęce lwa, wierz jeszcze, że Chrystus może ją zbawić. Wierz i módl się do Niego, a ja będę się modlił wraz z tobą.

Poczem, podniósłszy twarz ku niebu, mówił głośno:

— Chryste miłosierny, spojrz na ono serce zbolale i pociesz je! Chryste miłosierny, pomiarkuj wiatr do welny jagnięcia! Chryste miłosierny, któryś prosił Ojca, aby od-

wrócił kielich goryczy od ust Twoich, odwróć go od ust
tego sługi Twego! Amen!

A Winicyusz, wyciągając ręce ku gwiazdom, mówił
jęcząc:

— O Chryste! jam twój! Weź mnie za nią!
Na wschodzie niebo poczęło bieleć.

XL.

„Miejsce dla szlachetnego Chilona Chilonidesa!“

Winicyusz, opuściwszy Apostoła, szedł do więzienia z odrodzonym przez nadzieję sercem. Gdzieś, w głębi duszy, krzyczała mu jeszcze rozpacz i przerażenie, lecz on tłumił w sobie te głosy. Wydało mu się niepodobieństwem, by wstawiennictwo Bożego namiestnika i potęga jego modlitwy miały pozostać bez skutku. Bał się nie mieć nadziei, bał się wątpić. „Będę wierzył w miłosierdzie Jego (mówił do siebie), choćbym ją ujrzał w paszczy lwa“. I na tę myśl, choć drżała w nim dusza i pot zimny oblewał mu skronie, wierzył. Każde uderzenie jego serca było teraz modlitwą. Poczynał rozumieć, że wiara góry porusza, albowiem poczuł w sobie jakąś dziwną siłę, której nie odczuwał przedtem. Zdawało mu się, że potrafi nią dokonać takich rzeczy, które jeszcze wczoraj nie były w jego mocy. Chwilami miał wrażenie, jakby złe już minęło. Gdy rozpacz odzywała się jeszcze jękiem w jego duszy, przypominał sobie tę noc i tę świętą sędziwą twarz, wzniesioną ku niebu w modlitwie. „Nie! Chrystus nie odmówi pierwszemu uczniowi swemu i pasterzowi trzody! Chrystus mu nie odmówi, a ja nie zwątpię“. I biegł do więzienia, jak zwiastun dobrej nowiny.

Lecz tu czekała go rzecz niespodziewana.

Straże pretoryańskie, zmieniające się przy Mamertyń-

skiem więzieniu, znały go już wszystkie i zwykle nie czyniono mu najmniejszych trudności, lecz tym razem łańcuch się nie otworzył, a natomiast setnik zbliżył się ku niemu i rzekł:

— Wybacz, szlachetny trybunie, mamy dziś rozkaz nie wpuszczać nikogo.

— Rozkaz? — powtórzył, błędąc, Winicyusz.

Żołnierz spojrział na niego ze współczuciem i odrzekł:

— Tak, panie. Rozkaz Cezara. W więzieniu dużo jest chorych i być może, iż obawiają się, aby przychodnie nie roznieśli zarazy po mieście.

— Lecz mówiłeś, że rozkaz na dziś tylko?

— W południe zmieniają się strażę.

Winicyusz zamilkł i odkrył głowę, albowiem zdawało mu się, że „pileolus“¹⁾, który miał na niej, jest z ołowiu.

Wtem żołnierz zbliżył się i rzekł przyciszonym głosem:

— Uspokój się, panie. Stróże i Urzus czuwają nad nią.

To rzekłszy, pochylił się i w mgnieniu oka nakreślił na kamiennej płycie swym długim gallijskim mieczem kształt ryby.

Winicyusz spojrział na niego bystro.

— ...I jesteś pretoryaninem?..

— Póki nie będę tam — odrzekł żołnierz, wskazując na więzienie.

— I ja czczę Chrystusa.

— Niech będzie pochwalone imię Jego! Wiem, panie. Nie mogę cię wpuszczać do więzienia, lecz jeśli napiszesz list, oddam go stróżom.

— Dzięki ci, bracie!..

I, ścisnąwszy rękę żołnierza, odszedł. „Pileolus“ przestał mu ciężać ołowiem. Słońce ranne podniosło się nad mury więzienia, a razem z jego jasnością poczęła znów wstępować otucha w serce Winicyusza. Ten żołnierz,

¹⁾ Kapelusz.

chrześcijanin, był dla niego jakby nowem świadectwem potęgi Chrystusa. Po chwili zatrzymał się i, utkwivszy wzrok w różowych obłokach, zwieszonych nad Kapitołem i świątynią Statora, rzekł:

— Nie widziałem jej dziś, Panie, ale wierzę w Twoje miłosierdzie.

W domu udał się do biblioteki i począł pisać list do Ligii.

Gdy skończył, odniósł go sam i wręczył chrześcijańskiemu setnikowi, który natychmiast poszedł z nim do więzienia. Po chwili wrócił z pozdrowieniem od Ligii i z obietnicą, że dziś jeszcze odniesie jej odpowiedź.

Winicyusz nie chciał jednak wracać i, siadłszy na głazie, czekał na list Ligii. Słońce wzbilo się już wysoko na niebo i przez Clivus Argentarius napływały na Forum, jak zwykle, tłumy ludzi. Przekupnie wywoływali swoje towary; wróżbici polecali przechodniom swe usługi; obywatele ciągnęli poważnym krokiem ku rostrom, by słuchać przygodnych mowców, lub rozповідаć sobie wzajemnie najświeższe nowiny. W miarę, jak upał dogrzewał coraz silniej, gromady próżniaków chroniły się pod portyki świątyń, z pod których wylatywały co chwila z wielkim łopotem skrzydeł całe stada gołębi, rozbłyskując białemi piórami w jasności słonecznej i błękicie.

Pod nadmiarem światła, pod wpływem gwaru, ciepła i niezmiernego znużenia, oczy Winicyusza poczęły się kleić. Monotonne okrzyki chłopców, grających obok w morę, i miarowe kroki żołnierzy kołysały go do snu. Kilkakroć podniósł jeszcze głowę i objął oczyma więzienie, poczem oparł ją o zrab skalny, westchnął jak dziecko, które usypia po długim płaczu, i usnął.

Z głębokiego snu zbudził go dopiero żar słoneczny i okrzyki, które rozległy się tuż obok miejsca, na którym siedział. Winicyusz przetarł oczy: ulica roiała się od ludzi, lecz dwaj biegacze, przybrani w żółte tuniki, rozsuwali długimi trzciniami tłum, krzycząc i czyniąc miejsce dla

wspaniałej lektyki, którą niosło czterech silnych niewolników egipskich.

W lektyce siedział jakiś człowiek, przybrany w białe szaty, którego twarzy nie było dobrze widać, albowiem tuż przy oczach trzymał zwój papiirusu i odczytywał coś pilnie.

— Miejsce dla szlachetnego augustyanina! — wołali biegacze.

Ulica jednak była tak natłoczona, że lektyka musiała się na chwilę zatrzymać. Wówczas augustyanin opuścił niecierpliwie zwój papieru i wychylił głowę, wołając:

— Rozpedzić mi tych nieponiów! Prędezej!

Nagle, spostrzegłszy Winicyusza, cofnął głowę i podniósł szybko do oczu zwój papieru.

A Winicyusz przeciągnął ręką po czole, sądząc, że śni jeszcze.

W lektyce siedział Chilo.

Tymczasem biegacze utorowali drogę i Egipcyanie mieli ruszyć naprzód, gdy nagle młody trybun, który w jednej chwili zrozumiał wiele rzeczy, przedtem dla niego niezrozumiałych, przybliżył się do lektyki.

— Pozdrowienie ci, Chilonie! — rzekł.

— Młodzieńcze — odpowiedział z godnością i dumą Grek, usiłując swej twarzy nadać wyraz spokoju, którego w duszy nie miał — witaj, ale mnie nie zatrzymuj, gdyż śpieszę do przyjaciela mego, szlachetnego Tygellina.

A Winicyusz, chwyciwszy za krawędź lektyki, pochylił się ku niemu i, patrząc mu wprost w oczy, rzekł zniżonym głosem:

— Tyś wydał Ligię?..

— Kolosie Memnona! — zawołał z przestraczem Chilo.

Lecz w oczach Winicyusza nie było groźby, więc strach starego Greka przeszedł szybko. Pomyślał, że jest pod opieką Tygellina i samego Cezara, to jest potęg, przed którymi drży wszystko, i że otaczają go silni niewolnicy,

a zaś Winicyusz stoi przed nim bezbronny, z wynędzniałą twarzą i postawą, zgiętą przez ból.

Na tę myśl wróciła mu **zuchwałość**. Utkwił w Winicyuszu swe oczy, okolone czerwonymi obwódkami, i odszepnął:

— A ty, gdym umierał z głodu, kazałeś mnie schłostać.

Na chwilę umilkli obaj, poczem ozwał się głuchy głos Winicyusza:

— Skrzywdziłem cię, Chilonie!...

Wówczas Grek podniósł głowę i, klasnąwszy w palce, co w Rzymie było oznaką lekceważenia i pogardy, odrzekł tak głośno, aby wszyscy mogli go słyszeć:

— Przyjacielu, jeśli masz do mnie prośbę, przyjdź do domu mego na Eskwilinie o rannej porze, w której po kąpieli przyjmuję gości i klientów.

I skinął ręką, a na ów znak Egipcyanie podnieśli lektykę, niewolnicy zaś, przybrani w żółte tuniki, poczęli wołać, machając trzcinią:

— Miejsce dla lektyki szlachetnego Chilona Chilonidesa! miejsce! miejsce!...

* * *

Ligia w długim, pośpiesznie pisanym liście zęgnąła na zawsze Winicyusza. Wiadomo jej było, że do więzienia niewolno już nikomu przychodzić i że będzie mogła widzieć Winicyusza dopiero z areny. To też prosiła go, by dowiedział się, kiedy przypadnie ich kolej, i by był na igrzysku, albowiem chciała raz jeszcze zobaczyć go za życia. W liście jej nie znać było bojaźni. Pisała, że i ona, i inni tęsknią już do areny, na której znajdą wyzwolenie z więzienia. Spodziewając się przyjazdu Pomponii i Aulusa, błagała, by przyszli i oni. W każdym jej słowie widać było uniesienie i to oderwanie się od życia, w którym żyli wszyscy uwięzieni, a zarazem niezachwianą wiarę, że obietnice spełnić się muszą za grobem. „Czy Chrystus (pi-

sała) teraz, czy po śmierci mnie wyzwoli, On ci obiecał mnie przez usta Apostoła, a więc ja twoja“. I zaklinała go, by jej nie żałował i nie dał się opanować bólowi. Śmierć nie była dla niej rozerwaniem ślubów. Z ufnością dziecka upewniała Winicyusza, że zaraz po męce w arenie powie Chrystusowi, iż w Rzymie został jej narzeczony, Marek, który tęskni po niej całym sercem. I myślała, że może Chrystus pozwoli wrócić na chwilę jej duszy do niego, aby mu powiedzieć, że żyje, że męki nie pamięta i że jest szczęśliwa. Cały jej list tchnął szczęściem i ogromną nadzieją. Była w nim tylko jedna prośba, związana ze sprawami ziemi: aby Winicyusz zabrał ze spoliarium jej ciało i pochował ją, jako swoją żonę, w grobowcu, w którym sam niegdyś miał spocząć.

On czytał ów list z rozdartą duszą, ale zarazem zdało mu się niepodobienstwem, aby Ligia mogła zginąć pod kłami dzikich zwierząt i aby Chrystus nie zlitował się nad nią. Jednakże w tem właśnie tkwiła nadzieja i ufność. Wróciwszy do domu, odpisał, że będzie przychodził codziennie pod mury Tulianum czekać, póki Chrystus nie skruszy murów i nie odda mu jej. Nakazał wierzyć jej, że On może mu ją oddać nawet z cyrku, że Wielki Apostoł błaga Go o to i że chwila wyzwolenia jest blizka. Nawrócony centuryon miał odnieść jej ów list nazajutrz.

Lecz gdy Winicyusz przyszedł następnego dnia pod więzienie, setnik, opuściwszy szereg, zbliżył się do niego pierwszy i rzekł:

— Posłuchaj mnie, panie. Chrystus, który cię doświadczył, okazał ci łaskę swoją. Dzisiejszej nocy wyzwolenicy Cezara i prefekta, pytali się o oblubienicę twoją, lecz Pan nasz zesłał na nią gorączkę, na którą umierają więźnie w Tulianum, i poniechali jej. Wczoraj wieczór była już nieprzytomna, i niech będzie błogosławione imię Zbawiciela, albowiem ta choroba, może ją ocalić od śmierci.

Winicyusz oparł dłoń na naramienniku żołnierza, aby nie upaść, ów zaś mówił dalej:

— Dziękuj miłosierdziu Pana. Linusa porwali i położyli na męki, ale widząc, że kona, oddali go. Może i tobie oddadzą ją teraz, a Chrystus wróci jej zdrowie.

Młody trybun chwilę jeszcze pozostał ze spuszczoną głową, poczem podniósł ją i rzekł cicho:

— Tak jest, setniku, Chrystus wybawi ją od śmierci.

I dosiedziawszy pod murem więzienia do wieczora, wrócił do domu aby wysłać swoich ludzi po Linusa i kazać go przenieść do jednej ze swoich willi podmiejskich.

XLI.

Ludus matutinus.

Zanim Flawiusze wzniesli Koloseum, amfiteatra w Rzymie budowano przeważnie z drzewa, to też wszystkie niemal spłonęły w czasie pożaru. Nero jednak, dla wyprawienia przyobiecanych igrzysk, kazał wzniesć kilka, a między nimi jeden olbrzymi, na który, zaraz po ugaszeniu ognia, poczęto sprowadzać morzem i Tybrem potężne pnie drzew, wyciętych na stokach Atlasu. Ponieważ igrzyska wspaniałością i liczbą ofiar miały przejść wszystkie poprzednie, dodano więc obszerne pomieszczenia dla ludzi i zwierząt. Tysiące rzemieślników pracowało nad budową dniem i nocą. Budowano i ozdabiano bez wytchnienia. Lud opowiadał sobie cuda o oparciach, wykładanych bronzem, bursztynem, kością słoniową, perłowcem i skorupnikiem zamorskich żółwiów. Biegące wzdłuż siedzeń kanały, napełnione lodowatą wodą z gór, miały utrzymywać w budynku chłód przyjemny nawet w czasie największych upałów. Olbrzymie purpurowe „velarium“ zabezpieczało od promieni słonecznych. Między rzędami siedzeń ustawiono kadzielnice do palenia wonności arabskich; w górze pomieszczono przyrządy do skrapiania widzów rosą szafranową i werweną. Słynni budowniczo wie: Sewerus i Celler wysilili całą swą wiedzę, by wzniesć amfiteatr niezrównany, a zarazem mogący pomieścić taką liczbę cie-

kawych, jakiej dotąd żaden ze znanych nie mógł pomieścić.

To też w dniu, w którym miał rozpocząć się *ludus matutinus*, tłumy gawiedzi czekały od świtu na otwarcie wrót, wsłuchując się z lubością w ryk lwów, chrapliwe beczenie panter i wycie psów. Zwierzętom nie dawano jeść od dwóch dni, a natomiast przesuwno przed nimi zakrwawione kawały mięsa, by tembardziej pobudzić w nich wściekłość i głód. Chwilami też zrywała się taka burza dzikich głosów, że ludzie, stojący przed cyrkiem, nie mogli rozmawiać, a wrażliwsi bledli ze strachu. Lecz wraz ze wschodem słońca zabrzmiały w obrębie cyrku pieśni donośne, ale spokojne, których słuchano ze zdziwieniem, powtarzając sobie wzajem: „Chrześcijanie! chrześcijanie!” Jakoż mnogie ich zastępy sprowadzono do amfiteatru jeszcze w nocy i nie z jednego tylko więzienia, jak był pierwotny zamiar, ale ze wszystkich potrochu. Wiedzano w tłumie, że widowiska pociągną się przez całe tygodnie i miesiące, ale spierano się, czy z tą częścią chrześcijan, która była przeznaczona na dziś, zdołają skończyć w ciągu jednego dnia. Głosy męskie, kobiece i dziecinne, śpiewające pieśń poranną, były tak liczne, iż znawcy utrzymywali, że choćby po sto i dwieście ciał wysyłano naraz, zwierzęta zmęczą się, nasycą i do wieczora nie potrafią wszystkich porozrywać. Inni twierdzili, że zbyt wielka liczba ofiar, występujących jednocześnie na arenie, rozrywa uwagę i nie pozwala lubować się, jak należy, widowiskiem. W miarę, jak zbliżała się chwila otwarcia korytarzy, prowadzących do wnętrza, zwanych womitoryami, lud ożywiał się, rozweselał i spierał o rozmaite, tyżące widowiska, rzeczy. Wczesnym rankiem większe lub mniejsze oddziały gladyatorów poczęły pod przywództwem mistrzów, zwanych lanistami, napływać do amfiteatru. Nie chcąc się utrudzać przed czasem, szli bez zbroi, często zupełnie nadzy, często z zielonemi gałęziami w rękę, lub uwieńczeni w kwiaty, młodzi, piękni w świetle porannem

i pełni życia. Ciała ich, błyszczące od oliwy, potężne, jakby wykowane w marmurze, wprawiały w zachwyt rozmiłowany w kształtach lud. Za gladyatorami szli mastygorowie, to jest ludzie, zbrojni w bicz, których obowiązkiem było smagać i podniecać walczących. Potem muły ciągnęły w stronę „spoliarium“ całe szeregi wozów, na których poukładane były stosy drewnianych trumien. Na ten widok cieszył się lud, wnioskując z ich liczby o ogromie widowiska. Zaczem ciągnęli ludzie, którzy mieli dobijać rannych, przebrani tak, aby każdy podobny był do Charona lub do Merkurego, zaczem ludzie, pilnujący porządku w cyrku, rozdający siedzenia, zaczem niewolnicy do roznoszenia potraw i chłodników, a wreszcie pretoryanie, których każdy Cezar zawsze miał w amfiteatrze pod ręką.

Otworzono wreszcie womitorya i tłumy runęły do środka. Lecz takie było mnóstwo zgromadzonych, że płynęli i płynęli przez całe godziny, aż dziwno było, że amfiteatr może tak nieprzeliczoną czerń pochłonać. Ryki zwierząt, czujących wzywy ludzkie, wzmogły się jeszcze. Lud huczał w cyrku przy zajmowaniu miejsc, jak fala w czasie burzy.

Przybył nakoniec prefekt miasta w otoczeniu „wigiłów“, a po nim nieprzerwanym już łańcuchem poczęły się zmieniać lektyki senatorów, konsulów, pretorów, edylów, urzędników publicznych i pałacowych, starszyny pretoryańskiej, patrycyuszów i wykwintnych kobiet. Niektóre lektyki poprzedzali liktorowie, niosący siekiery wśród pęku różg, inne tłumy niewolników. W słońcu migotały złocenia lektyk, białe i różnobarwne suknie, pióra, zausznie, klejnoty, stal toporów. Z cyrku dochodziły okrzyki jakimi lud witał potężnych dostojników. Od czasu do czasu przybywały jeszcze niewielkie oddziały pretoryanów.

Lecz kapłani z rozmaitych świątyń przybyli nieco później, a za nimi dopiero niesiono święte dziewice Westy, które poprzedzali liktorowie. Z rozpoczęciem widowi-

ska czekano już tylko na Cezara, który też nie chcąc narażać ludu na zbyt długie oczekiwanie i pragnąc ująć go sobie pośpiechem, przybył niebawem w towarzystwie Augusty i augustyanów.

Petroniusz przybył między augustyanami, mając w swej lektyce Winicyusza. On wiedział, że Ligia jest chora i bezprzytomna, ale ponieważ w ostatnich dniach dostęp do więzienia był jak najsurowiej strzeżony, ponieważ dawne stráže zastąpiono nowemi, którym niewolno było rozmawiać ze stróżami, jak również udzielać najmniejszych wiadomości tym, którzy przychodzili pytać o więźniów, nie był więc pewien, czy niema jej między ofiarami, przeznaczonemi na pierwszy dzień widowiska. Dla lwów mogli wysłać i chorą, choćby bezprzytomną. Ale ponieważ ofiary miały być poobszywane w skóry zwierząt i wysyłane całemi gromadami na arenę, przeto nikt z widzów nie mógł sprawdzić, czy jedna więcej lub mniej znajduje się między niemi, i nikt żadnej rozpoznać. Stróże i cała służba amfiteatru była przekupiona, z bestyaryuszami stanął zaś układ, że ukryją Ligię w jakimś ciemnym zakątku amfiteatru, a nocą wydadzą ją w ręce pewnego Winicyuszowego dzierżawcy, który natychmiast wywiezie ją w góry Albańskie. Petroniusz, przypuszczony do tajemnicy, radził Winicyuszowi, by otwarcie udał się z nim do amfiteatru i dopiero przy wejściu wymknął się w tłoku i pośpieszył do lochów, gdzie, dla uniknięcia możliwych pomyłek, osobiście miał wskazać stróżom Ligię.

Stróże puścili go małemi drzwiczkami, któremi wychodzili sami. Jeden z nich, imieniem Syrus, poprowadził go natychmiast do chrześcijan. Po drodze rzekł:

— Nie wiem, panie, czy znajdziesz, czego szukasz. My dopytywaliśmy się o dziewicę imieniem Ligia, nikt jednak nie dał nam odpowiedzi, ale być może, iż nie ufają nam.

— Dużo ich jest? — pytał Winicyusz.

— Wielu musi, panie, pozostać na jutro.

— Czy są chorzy między nimi?

— Takich, którzyby nie mogli ustać na nogach, nie masz.

To rzekłszy, Syrus otworzył drzwi i weszli jakby do ogromnej izby, ale niskiej i ciemnej, światło bowiem przychodziło do niej jedynie przez zakratowane otwory, oddzielające ją od areny. Winicyusz z początku nie mógł nic dojrzeć, słyszał tylko w izbie szmer głosów i okrzyki ludu, dochodzące z amfiteatru. Lecz po chwili, gdy oczy jego przywykły do zmroku, ujrzał całe gromady dziwacznych istot, podobnych do wilków i niedźwiedzi. Byli to chrześcijanie, poobszywani w skóry zwierząt. Jedni z nich stali, drudzy modlili się, klęcząc. Tu i owdzie z długich włosów, spływających po skórze, można było odgadnąć, że ofiara jest kobietą. Matki, podobne do wilezyc, nosiły na ręku również kosmato obszyte dzieci. Lecz z pod skór wychylały się twarze jasne, oczy w mroku połyskiwały radością i gorączką. Widocznem było, że większą część tych ludzi opanowała jedna myśl, wyłączna i zaziemska, która jeszcze za życia znieczuliła ich na wszystko, co się koło nich dziać i co ich spotkać mogło. Niektórzy, zapytywani o Ligię przez Winicyusza, patrzyli nań oczyma jakby zbudzonymi ze snu, nie odpowiadając na pytania; inni uśmiechali się do niego, kładąc palec na ustach lub wskazując na żelazne kraty, przez które wchodziły jasne snopy blasku. Dzieci tylko płakały gdzieniegdzie, przestraszone rykiem bestyi, wyciem psów, wrzaskiem ludu i podobnymi do zwierząt postaciami własnych rodziców. Winicyusz, idąc obok stróża Syrusa, patrzył w twarze, szukał, rozpytywał, chwilami potykał się o ciała tych, którzy pomdleli z natłoku, zaduchu i gorąca, i przeciskał się dalej w ciemną głąb izby, która zdawała się być tak obszernej, jak cały amfiteatr.

Pot zimny wystąpił mu na czoło. Chwyciła go obawa, że zemdleje, jak ci, o których ciała potykał się, czyniąc poszukiwania w głębi izby, więc gdy pomyślał jeszcze, że

lada chwila mogą otworzyć kraty, począł wołać głośno Ligii i Urzusa, w nadziei, że jeśli nie oni, to ktoś znający ich mu odpowie.

Jakoż natychmiast jakiś człowiek, przybrany za niedźwiedzia, pociągnął go za tokę i rzekł:

— Panie, zostali w więzieniu. Mnie ostatniego wyprowadzono i widziałem ją chorą na łożu.

— Kto jesteś? — spytał Winicyusz.

— Fossor, w którego chacie Apostoł chrzeił cię, panie. Uwięziono mnie przed trzema dniami, a dziś już umrę.

Winicyusz odetchnął. Wchodząc tu, życzył sobie znaleźć Ligię, obecnie zaś gotów był dziękować Chrystusowi, że jej tu niema i w tem widzieć znak Jego miłosierdzia.

Tymczasem fossor pociągnął go jeszcze raz za tokę i rzekł:

— Pamiętasz, panie, że to ja zaprowadziłem cię do Korneliuszowej winnicy, gdzie w szopie nauczał Apostoł?

— Pamiętam — odpowiedział Winicyusz.

— Widziałem go później na dzień przedtem, nim mnie uwięzili. Pobłogosławił mi i mówił, iż przyjdzie do amfiteatru przeżegnać ginących. Chciałbym na niego patrzeć w chwili śmierci i widzieć znak krzyża, bo wówczas łatwiej mi będzie umrzeć, więc jeśli wiesz, panie, gdzie on jest, to mi powiedz.

Winicyusz zniżył głos i odrzekł:

— Jest między ludźmi Petroniusza, przebrany za niewolnika. Nie wiem, gdzie wybrali miejsce, ale wrócę do cyrku i zobaczę. Ty patrz na mnie, gdy wyjdziecie na arenę, ja zaś podniosę się i zwrócę głowę w ich stronę. Wówczas go odnajdziesz oczyma.

— Dzięki ci, panie, i pokój z tobą.

— Niech ci Zbawiciel będzie miłościw.

— Amen.

Winicyusz wyszedł z „kunikulum“ i udał się do amfi-

teatru, gdzie miał miejsce obok Petroniusza, wśród innych augustyanów.

— Jest? — zapytał go Petroniusz.

— Niema jej. Została w więzieniu.

— Słuchaj, co mi jeszcze przyszło na myśl, ale słuchając, patrz na przykład na Nigidyę, aby się zdawało, że rozmawiamy o jej uczesaniu... Tygellinus i Chilo spoglądają na nas w tej chwili... Słuchaj więc: niech Ligię nocą włożą w trumnę i wyniosą z więzienia jako umarłą, reszty się domyślasz.

— Tak — odpowiedział Winicyusz.

Dalszą rozmowę przerwał im Tulusz Senecyo, który pochyliwszy się ku nim, rzekł:

— Nie wiecie, czy chrześcijanom dadzą broń?

— Nie wiemy — odpowiedział Petroniusz.

— Wolałbym, gdyby ją dali — mówił Tulusz — inaczey arena zbyt prędko staje się podobna do jatek rzeźniczych. Ale co za przepyszny amfiteatr!

Rzeczywiście, widok był wspaniały. Niższe siedzenia, nabite togami, białały, jak śnieg. W wyzłocconem „podium“ siedział Cezar w dyamentowym naszyjniku, ze złotym wieńcem na głowie, obok niego piękna i posępna Augusta, obok po obu stronach westalki, wielcy urzędnicy, senatorowie w bramowanych płaszczach, starszyzna wojskowa w błyszczących zbrojach, słowem wszystko, co w Rzymie było potężne, świetne i bogate. W dalszych rzędach siedzieli rycerze, a wyżej, czerniało kręgiem morze głów ludzkich, nad którymi od słupa do słupa zwieszały się girlandy, uwite z róż, lilii, sasanków, bluszczu i winogrodu.

Lud rozmawiał głośno, nawoływał się, śpiewał, chwilami wybuchał śmiechem nad jakimś dowcipnem słowem, które przesyłano sobie z rzędu do rzędu i tupał z niecierpliwości, by przyspieszyć widowisko.

Wreszcie tupanie stało się podobne do grzmotów i nieustające. Wówczas prefekt miasta, który poprzednio

już był ze świetnym orszakiem objechał arenę, dał znak chustką, na który w amfiteatrze odpowiedziało powszechnie: „aaa!...”⁴ wyrwane z tysięcy piersi.

Zwykle widowisko rozpoczynano od łowów na dzikiego zwierza, w których celowali rozmaici barbarzyńcy z północy i południa, tym razem jednak zwierząt miało być aż nadto, rozpoczęto więc od andabatów, to jest ludzi przybranych w hełmy bez otworów na oczy, a zatem bijących się na oślep. Kilkunastu ich, wyszedłszy naraz na arenę, poczęło machać mieczami w powietrzu, mastygoforowie za pomocą długich wideł posuwali jednych ku drugim, aby mogło przyjść do spotkania. Wykwintniejsi widzowie patrzyli obojętnie i z pogardą na podobne widowisko, lecz lud bawił się niezgrabnymi ruchami szermierzy, gdy zaś trafiało się, że spotykali się plecami, wybuchął głośnym śmiechem, wołając: „w prawo!” „w lewo!” „wprost!” i często myśląc umyślnie przeciwników. Kilka par zezepiło się jednak i walka poczyniała być krwawą. Zawzięci zapaśnicy, rzucali tarcze i podając sobie lewe ręce, aby nie rozłączyć się więcej, prawymi walczyli na zabój. Kto padł, podnosił palce do góry, błagając tym znakiem litości, lecz na początku widowiska lud zwykle domagał się śmierci ranionych, zwłaszcza gdy chodziło o andabatów, którzy mając twarze zakryte, pozostawali mu nieznanymi. Zwolna liczba walczących zmniejszała się coraz bardziej, a gdy wreszcie pozostało dwóch tylko, popehnięto ich ku sobie, tak że spotkawszy się, padli obaj na piasek i zakłuli się na nim wzajemnie. Wówczas, wśród okrzyków: „Peractum est!”¹⁾ posługacze uprzętnęli trupy, pacholeta zaś zagrabiły krwawe ślady na arenie i potrząsnęły ją listkami szafranu.

Teraz miała nastąpić poważniejsza walka, budząca zaciekawienie nie tylko motłochu, ale i ludzi wykwintnych,

¹⁾ Dokonano!

w czasie której młodzi patrycyusze czynili nieraz ogromne zakłady, zgrywając się częstokroć do nitki.

Jakoż, gdy ozwały się przeraźliwe odgłosy trąb, w amfiteatrze uczyniła się cisza oczekiwania. Tysiące oczu zwróciło się ku wielkim wrzeczadom, do których zbliżył się człowiek, przebrany za Charona i wśród ogólnego milczenia trzykrotnie zastukał w nie młotem, niby wywołując na śmierć tych, którzy byli za nimi ukryci. Poczem otworzyły się zwolna obie połowy bramy, ukazując czarną czeluść, z której poczęli wysypywać się na jasną arenę gladyatorowie. Szli oddziałami po dwudziestu pięciu ludzi, osobno Trakowie, Samnici, Gallowie, wszyscy ciężko zbrojni, a wreszcie „retiarri“, dzierżący w jednym ręku sieć, w drugim trójząb. Na ich widok tu i owdzie zerwały się po ławkach oklaski, które wkrótce zmieniły się w jedną ogromną i przeciągłą burzę. Od góry do dołu widać było rozpalone twarze, klaszczące dłonie i otwarte usta, z których wyrwały się okrzyki. Oni zaś okrążyli całą arenę krokiem równym i sprężystym, migocąc orężem i bogatemi zbrojami, poczem zatrzymali się przed cesarskim „podium“ dumni, spokojni i świetni. Przeraźliwy głos rogu uciszył oklaski, a wówczas zapaśnicy wyciągnęli w górę prawice i wznosząc oczy i głowy ku Cezarowi, poczęli wołać, a raczej śpiewać przeciągłymi głosami:

„Ave, caesar imperator!
Morituri te salutant!“

Zaczem rozsunęli się szybko, zajmując osobne miejsca na okręgu areny. Mieli na siebie uderzać całymi oddziałami, lecz pierwaj dozwolono słynniejszym szermierzom stoczyć ze sobą szereg pojedynczych walk, w których najlepiej okazywała się siła, zręczność i odwaga przeciwników. Jakoż wnet z pomiędzy „Gallów“ wysunął się zapaśnik, znany dobrze miłośnikom amfiteatru pod imieniem „Rzeźnika“ (Lanio), zwycięzca w wielu igrzyskach.

W wielkim hełmie na głowie i pancerzu, opinającym z przodu i z tyłu jego potężną pierś, wyglądał w blasku na żółtej arenie, jak olbrzymi błyszczący żuk. Niemniej słynny retiarius Kalendyo wystąpił przeciw niemu.

Między widzami poczęto się zakładać:

— Pięćset sestercyi za Gallem!

— Pięćset za Kalendyem!

— Na Herkulesa! tysiąc!

— Dwa tysiące!

Tymczasem Gall, doszedłszy do środka areny, począł się znów cofać z nastawionym mieczem i zniżając głowę, przypatrywał się uważnie przez otwory w przyłbicy przeciwnikowi, lekki zaś, o ślicznych posągowych kształtach retiarius, całkiem nagi, prócz przepaski w biodrach, okrążał szybko ciężkiego nieprzyjaciela, machając z wdziękiem siecią, pochylając lub podnosząc trójzęb i śpiewając zwykłą pieśń „sieciarzy“:

„Nie chcę ciebie, ryby szukam,
Czemu zmykasz Gallu“¹⁾.

Lecz Gall nie zmykał, po chwili bowiem zatrzymał się i stanawszy w miejscu, począł obracać się tylko nieznacznym ruchem, tak, aby zawsze mieć z przodu nieprzyjaciela. W jego postaci i potwornie wielkiej głowie było teraz coś strasznego. Widzowie rozumieli doskonale, że to ciężkie, zakute w miedź ciało zbiera się do nagłego rzutu, który może walkę rozstrzygnąć. Sieciarz tymczasem to przyskakiwał do niego, to odskakiwał, czyniąc swemi potrójnemi widłami ruchy tak szybkie, że wzrok ludzki z trudnością mógł za nimi podążyć. Dźwięk zębów o tarczę rozległ się kilkakrotnie, lecz Gall ani się zachwiał, dając tem świadectwo olbrzymiej swej siły. Cała jego

¹⁾ Non te peto, piscem peto,
Quid me fugis, Galle.

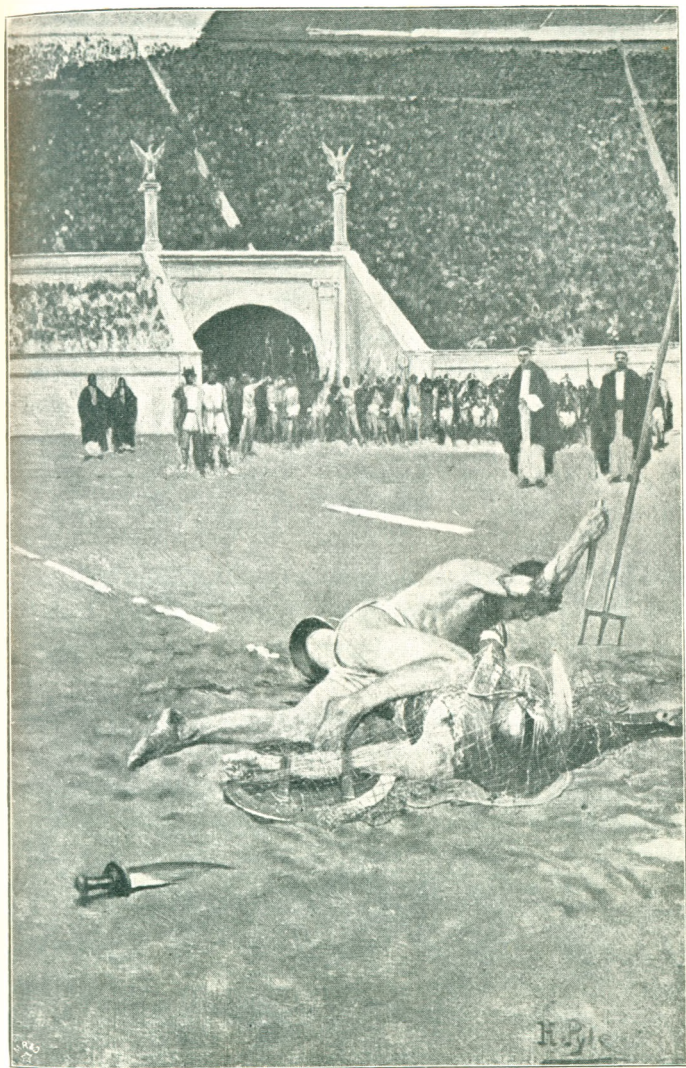
uwaga zdawała się być skupioną, nie na trójząb, ale na sieć, która krążyła ustawicznie nad jego głową, jak ptak złowrogi. Widzowie, zatrzymawszy oddech w piersi, śledzili mistrzowską grę gladiatorów. Lanio, upatrzawszy chwilę, runął wreszcie na przeciwnika, ów zaś z równą szybkością przemknął się pod jego mieczem i wzniesionem ramieniem, wyprostował się i rzucił siecią.

Gall, zwróciwszy się na miejscu, zatrzymał ją tarczą, poczem rozskoczyli się obaj. W amfiteatrze zagrzmiały okrzyki: „Macte!“ w niższych zaś rzędach poczęto robić nowe zakłady. Sam Cezar, który z początku rozmawiał z Westalką Rubryą i niebardzo dotąd zważał na widowisko, zwrócił głowę ku arenie.

Oni zaś poczęli znów walczyć tak wprawnie i z taką dokładnością w ruchach, iż chwilami wydawało się, że chodzi im nie o śmierć lub życie, ale o wykazanie swej zręczności. Lanio, dwukrotnie jeszcze wywinąwszy się z sieci, począł się na nowo cofać ku okręgowi areny. Wówczas jednak ci, którzy trzymali przeciw niemu, nie chcąc, by wypoczął, poczęli krzyczeć: „Nacieraj!“ Gall usłuchał i natarł. Ramię sieciarza oblało się nagle krwią i sieć mu zwisała. Lanio skurczył się i skoczył, chcąc zadać cios ostatni. Lecz w tej chwili Kalendyo, który umyślnie udał, że nie może już władać siecią, przegiął się w bok, uniknął pchnięcia i wsunąwszy trójząb między kolana przeciwnika, zwałił go na ziemię.

Ów chciał powstać, lecz w mgnieniu oka spowiły go fatalne sznury, w których każdym ruchem zaplątywał silniej ręce i nogi. Tymczasem razy trójzęba przygważdżały go raz po raz do ziemi. Raz jeszcze wysilił się, wsparł na rękę i wyprężył, by powstać, napróżno! Podniósł jeszcze ku głowie mdlejącą ręką, w której nie mógł już miecza utrzymać i padł na wznak. Kalendyo przycisnął mu zębami wideł szyję do ziemi i wsparłszy się obu rękoma na ich trzonie, zwrócił się w stronę cesarskiej łoży.

Cały cyrk począł się trząść od oklasków i ludzkiego



Na arenie.

ryku. Dla tych, którzy trzymali za Kalendyem, był on w tej chwili większy, niż Cezar, ale właśnie dlatego znikła w ich sercu zawziętość i przeciw Laniowi, który kosztę krwi własnej napełnił im kieszenie. Rozdwoiły się więc życzenia ludu. Na wszystkich ławach ukazały się w połowie znaki śmierci, w połowie politowania, lecz sieciarz patrzył tylko w łóżę Cezara i westalek, czekając, co oni postanowią.

Na nieszczęście, Nero nie lubił Lania, albowiem na ostatnich igrzyskach przed pożarem, zakładając się przeciw niemu, przegrał do Linicyusza znaczną sumę, wysunął więc rękę z podium i zwrócił wielki palec ku ziemi.

Westalki powtórzyły znak natychmiast. Wówczas Kalendyo przykląkł na piersiach Galla, wydobył krótki nóż, który nosił za pasem i odchyliwszy zbroi koło szyi przeciwnika, wbił mu po rękojęść w gardło trójkątne ostrze.

— *Peractum est!* — rozległy się głosy w amfiteatrze.

Lanio zaś drgał czas jakiś, jak zarznięty wół i kopał nogami piasek, poczem wyprężył się i pozostał nieruchomy.

Merkury nie potrzebował sprawdzać rozpalonem żelazem, czy żyje jeszcze. Wnet uprzątnięto go i wystąpiły inne pary, po których przejściu zawrzała dopiero walka całych oddziałów. Lud brał w niej udział duszą, sercem, oczyma: wył, ryczał, świstał, klaskał, śmiał się, podniecał walczących, szalał. Na arenie podzieleni na dwa zastępy gladyatorowie walczyli z wściekłością dzikich zwierząt: pierś uderzała o pierś, ciała splatały się w śmiertelnym uścisku, trzeszczały w stawach potężne członki, miecze topiły się w piersiach i brzuchach, pobladłe usta buchały krwią na piasek. Kilkunastu nowicyuszów chwyciła pod koniec trwoga tak straszna, że wyrwawszy się z zamętu, poczęli uciekać, lecz mastygoforowie zagnali ich wnet w bitwę batami, zakończonymi ołowiem. Na piasku potworzyły się wielkie ciemne plamy; coraz więcej nagich

i zbrojnych ciał leżało pokotem nakształt snopów. Żywi walczyli na trupach, potykali się o zbroje, o tarcze, krwawili nogi o połamany oręż i padali. Lud nie posiadał się z radości, upajał się śmiercią, dyszał nią, nasyczał oczy jej widokiem i z rozkoszą wciągał w płuca jej wyziewy.

Zwycięzeni legli wreszcie niemal wszyscy. Za ledwie kilku rannych klękło na środku areny i chwiejąc się, wyciągnęło ku widzom ręce z prośbą o zmiłowanie. Zwycięzcom rozdano nagrody, wieńce, gałązki oliwne i nastąpiła chwila odpoczynku, która z rozkazu wszechwładnego Cezara zmieniła się w ucztę. W wazach zapalono wonności. Skrapiacze zraszali lud deszczykiem szafrannym i fijołkowym. Roznoszono chłodniki, pieczone mięsiwa, słodkie ciasta, wino, oliwę i owoce. Lud pożerał, rozmawiał i wykrzykiwał na cześć Cezara, by skłonić go do tem większej hojności.

Augustyanie zaś zabawiali się widokiem Chilona i przedrwiwaniem z jego daremnych usiłowań, by pokazać ludziom, że na walkę i rozlew krwi może patrzeć tak dobrze, jak każdy inny. Próżno jednak nieszczęśliwy Grek marszczył brwi, zagryzał wargi i zaciskał pięści tak, że aż paznogie wpijały mu się w dłonie. Zarówno jego grecka natura, jak i jego osobiste tchórzostwo, nie znosiły takich widowisk. Twarz mu pobladła, czoło operliło się kroplami potu, wargi posiniały, oczy wpadły, zęby poczęły szczekać, a ciało chwyciła drżączka. Po ukończonej walce przyszedł nieco do siebie, lecz gdy wzięto go na języki, zdjął go nagły gniew i począł odgryzać się rozpaczliwie.

— Ha, Greku! nieznośny ci widok podartej ludzkiej skóry! — mówił, pociągając go za brodę, Watyniusz.

Chilon zaś wyszczerzył na niego swe dwa ostatnie żółte zęby i odrzekł:

— Mój ojciec nie był szewcem, więc nie umiem jej łątać.

— *Macte! habet!* — zawołało kilka głosów.

W ten sposób i inni napadali go, on zaś odgryzał

się zjadliwie wśród powszechnego śmiechu. Cezar klaskał w dłonie, powtarzał: „Macte!“ i podniecał ich. Po chwili jednak zbliżył się Petroniusz i dotknąwszy rzeźbioną w kości słoniowej laseczką ramienia Greka, rzekł zimno:

— To dobrze, filozofie, aleś w jednym tylko pobłądził: bogowie stworzyli cię rzezimieszkiem, tyś zaś został demonem i dlatego, nie wytrzymasz!

Starzec popatrzył na niego swemi zaczerwienionemi oczyma, wszelako tym razem nie znalazł jakoś gotowej obelgi. Na chwilę umilkł, poczem odpowiedział jakby z pewnem wysileniem:

— Wytrzymam!...

Ale tymczasem trąby dały znać, że przerwa w widowisku skończona. Ludzie poczęli opuszczać przedziały, w których gromadzili się dla wyprostowania nóg i dla rozmowy. Wszczął się ruch ogólny i zwykle kłótnie o zajmowane poprzednio siedzenia. Senatorowie i patrycyusze dążyli do swoich miejsc. Zwolna uciszał się gwar i amfiteatr przychodził do ładu. Na arenie pojawiła się gromada ludzi, aby tu i owdzie rozgrabić jeszcze pozlepiane zsiadłą krwią grudki piasku.

Nadchodziła kolej na chrześcijan. Ale, że było to nowe dla ludu widowisko i nikt nie wiedział, jak się zachowają, wszyscy oczekiwali ich z pewnem zaciekawieniem. Nastrój tłumu był skupiony, spodziewano się bowiem scen nadzwyczajnych, ale nieprzyjazny. Wszakże ci ludzie, którzy mieli się teraz pojawić, spalili Rzym i odwieczne jego skarby. Wszakże karmili się krwią niemowląt, zatruli wody, przeklinali cały rodzaj ludzki i dopuszczali się najbezpieczniejszych zbrodni. Rozbudzonej nienawiści niedość było najsroższych kar i jeśli jaka obawa przejmowała serca, to tylko obawa o to, czy męki dorównają występkom tych złowrogich skazańców.

Tymczasem słońce podniosło się wysoko i promienie jego, precedzone przez purpurowe „velarium“, napelniły amfiteatr krwawem światłem. Piasek przybrał barwę ogni-

stą i w tych blaskach, w twarzach ludzkich, zarówno jak i w pustce areny, która za chwilę miała się zapełnić męką ludzką i zwierzęcą wściekłością, było coś strasznego. Zdało się, iż w powietrzu unosi się groza i śmierć. Tłum, zwykle wesoły, zaciął się pod wpływem nienawiści w milczeniu. Twarze miały wyraz zawzięty.

Wtem prefekt dał znak: wówczas pojawił się ten sam starzec, przebrany za Charona, który wywoływał na śmierć gladyatorów i przeszedłszy wolnym krokiem przez całą arenę, wśród głuchej ciszy, zastukał znów trzykrotnie młotem we drzwi.

W całym amfiteatrze ozwał się pomruk:

— Chrześcijanie! chrześcijanie!...

Zgrzytnęły żelazne kraty; w ciemnych otworach rozległy się zwykle krzyki mastygoforów: „Na piasek!“ i w jednej chwili arena załadniła się gromadami jakby sylwanów pookrywanych skórami. Wszyscy biegli prędko nieco, gorączkowo i wypadłszy nieco na środek koliska, klękali jedni przy drugich, z wzniesionymi w górę rękoma. Lud sądził, że to jest prośba o litość i rozwścieczony takim tchórzostwem, począł tupać, gwizdać, rzucać próżnemi naczyniami od wina, poogryzanemi kośćmi i ryczeć: „Zwierząt! zwierząt!...“ Lecz nagle stało się coś nieoczekiwanego. Oto ze środka kosmatej gromady podniosły się śpiewające głosy i w tejże chwili zabrzmiała pieśń, którą po raz pierwszy usłyszano w rzymskim cyrku:

„Christus regnat!...“¹⁾

.

Wówczas zdumienie ogarnęło lud. Skazańcy śpiewali z oczyma wzniesionymi ku welarium. Widziano twarze pobladłe, lecz jakby natchnione. Wszyscy zrozumieli, że ludzie ci nie proszą o litość, i że zdają się nie widzieć ni cyrku, ni ludu, ni senatu, ni Cezara. *Christus regnat!* roz-

¹⁾ „Chrystus króluje!“

brzmiewało coraz donośniej, a w ławach, hen, aż do góry, między rzędami widzów, niejednen zadawał sobie pytanie: co to się dzieje i co to jest za *Christus*, który króluje w ustach tych ludzi, mających umrzeć? Ale tymczasem otwarto nową kratę i na arenę wypadły z dzikim pędem i szczekaniem całe stada psów: płowych olbrzymich molosów z Peloponezu, pręgowatych psów z Pirenejów i podobnych do wilków kundli z Hibernii, wygłodzonych umyślnie, o zapadłych bokach i krwawych oczach. Wycie i skomlenie nappełniło cały amfiteatr. Chrześcijanie, skończywszy pieśń, klęczeli nieruchomi, jakby skamienieli, powtarzając tylko jednym jękliwym chórem: *Pro Christo! pro Christo!*¹⁾ Psy, wyczuwszy ludzi pod skórą zwierząt i zdziwione ich nieruchomością, nie śmiały się na nich od razu rzucić. Jedne wspinały się na ściany łóż, jakby chciały dostać się do widzów, drugie biegały wokoło, szczekając zażarcie, jakby goniły jakiegoś niewidzialnego zwierza. Lud rozgniewał się. Zawrzały tysiące głosów: niektórzy z widzów udawali ryk zwierząt; inni szczekali, jak psy, inni szczuli we wszystkich językach. Amfiteatr zatrzęsł się od wrzasków. Rozdrażnione psy poczęły to dopadać do klęczących, to cofać się jeszcze, kłapiąc zębami, aż wreszcie jeden z molosów wpił kły w bark klęczącej na przodzie kobiety i pociągnął ją pod siebie.

Wówczas dziesiątki ich rzuciły się w środek, jakby przez wyłom. Tłum przestał ryczeć, by przypatrywać się z większą uwagą. Wśród wycia i charkotu słyhać jeszcze było żalodne głosy męskie i kobiece: *Pro Christo! pro Christo!* lecz na arenie potworzyły się drgające kłęby z ciał psów i ludzi. Krew płynęła teraz strumieniem z porozdzieranych ciał. Psy wydzierały sobie wzajem krwawe ludzkie członki. Zapach krwi i poszarpanych wnętrzości zgłuszył arabskie wonie i nappełnił cały cyrk. W końcu już tylko

¹⁾ Za Chrystusa!

gdzieniegdzie widać było pojedyncze klęczące postaci, które wnet pokrywały ruchome wyjące kupy.

Winicyusz, który w chwili, gdy chrześcijanie wbiegli, podniósł się i odwrócił, aby zgodnie z obietnicą wskazać fossorowi stronę, w której między ludźmi Petroniusza był ukryty Apostoł, siadł napowrót i siedział z twarzą człowieka umarłego, spoglądając szklanemi oczyma na okropne widowisko. Z początku obawa, że fossor mógł się omylić, i że Ligia może znajdować się między ofiarami, odrętwiała go zupełnie, lecz gdy usłyszał głosy: *Pro Christo!* gdy widział mękę tylu ofiar, które umierając, świadczyły swej prawdzie i swemu Bogu, ogarnęło go inne poczucie, dojmujące jak najstraszniejszy ból, a jednak nieprzeparte, że gdy Chrystus sam umarł w męce i gdy giną oto za niego tysiące, gdy wylewa się morze krwi, to jedna więcej kropla nic nie znaczy, i że grzechem jest nawet prosić o miłosierdzie. Ta myśl szła na niego z areny, przenikała go wraz z jękami umierających, wraz z zapachem ich krwi. A jednak modlił się i powtarzał zeszlęmi wargami: „Chryste! Chryste! i Twój Apostoł modli się za nią!” Poczem zapamiętał się, stracił świadomość, gdzie jest, zdawało mu się tylko, że krew na arenie wzbiera i wzbiera, że piętury się i wypłynie z cyrku na cały Rzym. Zresztą nie słyszał nic, ni wycia psów, ni wrzasków ludów, ni głosów augustyanów, które nagle poczęły wołać:

— Chilo zemdlał!!

— Chilo zemdlał! — powtórzył Petroniusz, zwracając się w stronę Greka.

A ów zemdlał rzeczywiście i siedział biały, jak płótno, z zadartą w tył głową i z otwartemi szeroko ustami, podobny do trupa.

W tej samej chwili poczęto wypychać nowe, obszyte w skóry, ofiary na arenę.

Te klękały natychmiast, jak i ich poprzednicy, lecz zmordowane psy nie chciały ich szarpać. Ledwie kilka ich

rzuciło się na najbliższej klęczących, inne zaś pokładłszy się i podniósłszy w górę okrwawione paszcze, poczęły robić bokami i ziajać ciężko.

Wówczas zaniepokojony w duszach, ale spity krwią i rozszalały lud począł krzyzczeć przeraźliwymi głosami:

— Lwów! lwów! wypuścić lwy!...

Lwy miały być zachowane na dzień następny, lecz w amfiteatrach lud narzucał swoją wolę wszystkim, a nawet i Cezarowi. Jeden tylko Kaligula, zuchwały i zmienny w swych zachceniach, ośmielał się sprzeciwiać, a nawet bywało, że przykazywał okładać tłumy kijami, lecz i on najczęściej ulegał. Nero, któremu oklaski droższe były nad wszystko w świecie, nie opierał się nigdy, tembardziej więc nie oparł się teraz, gdy chodziło o ukojenie rozdrażnionych po pożarze tłumów i o chrześcijan, na których chciał zwalić winę klęski.

Dał więc znak, by otworzono „kunikum“, co ujrawszy lud, uspokoił się natychmiast. Usłyszano skrzywienie krat, za którymi były lwy. Psy na ich widok, zbiły się w jedną kupę po przeciwległej stronie koła, skowycząc ze złości, one zaś poczęły jeden po drugim wytaczać się na arenę, ogromne, płowe, o wielkich kudłatych głowach. Sam Cezar zwrócił ku nim swą znudzoną twarz i przyłożył szmaragd do oka, aby przyglądać się lepiej. Augustyanie przywitali je oklaskiem; tłum liczył je na palcach, śledząc zarazem chciwie, jakie wrażenie czyni ich widok na klęczących w środku chrześcijan, którzy znów jęli powtarzać niezrozumiałe dla wielu, a drażniące wszystkich, słowa: *Pro Christo! pro Christo!...*

Lecz lwy, jakkolwiek wygłodniałe, nie śpieszyły się do ofiar. Czerwony blask na arenie raził je, więc mrużyły oczy, jakby olśnione; niektóre wyciągały leniwie swe złotawe cielska, niektóre rozwierając paszcze, ziewały, rzekłbyś, chcąc pokazać widzom kły straszliwe. Lecz następnie zapach krwi i podartych ciał, których mnóstwo leżało na arenie, począł na nie działać. Wkrótce ruchy ich stały się

niespokojne, grzywy jeżyły się, nozdrza wciągały chrapliwie powietrze. Jeden przypadł nagle do trupa kobiety z poszarpaną twarzą i ległszy przednimi łapami na ciele, jął zlizywać koleczastym językiem skrzepłe sople, drugi zbliżył się do chrześcijanina, trzymającego na ręku dziecko, obszyte w skórę jelonka.

Dziecko trzęsło się od krzyku i płaczu, obejmując konwulsyjnie szyję ojca, ów zaś, pragnąc mu przedłużyć choć na chwilę życie, starał się oderwać je od szyi, by podać dalej klęczącym. Lecz krzyk i ruch podrażnił lwa. Nagle wydał krótki, urwany ryk, zgniótł dziecko jednym uderzeniem łapy i chwyciwszy w paszczę czaszkę ojca, zgruchotał ją w mgnieniu oka.

Na ten widok wszystkie inne wpadły na gromadę chrześcijan. Kilka kobiet nie mogło wstrzymać okrzyków przerażenia, lecz lud zgłuszył je oklaskami, które wnet jednak uciszyły się, albowiem chęć patrzenia przemogła. Widziano wówczas rzeczy straszne: głowy znikające całkowicie w czeluściach paszcz, piersi otwierane na rozcież jednym uderzeniem kłów, wyrwane serca i płuca; słyszano trzask kości w zębach. Niektóre lwy, chwyciwszy ofiary za boki lub krzyże, latały w szalonych skokach po arenie, jakby szukając zakrytego miejsca, gdzieby mogły je pożreć; inne w walce wzajemnej, wspinały się na siebie, obejmując się łapami, jak zapaśnicy i napełniając amfiteatr grzmotem. Ludzie wstawali z miejsc. Inni opuszczając siedzenia, schodzili przedziałami niżej, by widzieć lepiej i tłoczyli się w nich na śmierć. Zdawało się, że uniesione tłumy rzucają się w końcu na samą arenę i poczną rozdzierać razem z lwami. Chwilami słychać było nieludzki wrzask, chwilami oklaski, chwilami ryk, pomruk, kłapanie kłów, wycie molosów, chwilami jęki tylko.

Cezar, trzymając szmaragd przy oku, patrzył teraz uważnie. Twarz Petroniusza przybrała wyraz niesmaku i pogardy. Chilona poprzednio już wyniesiono z cyrku.

A z kunikulów wpychano coraz nowe ofiary.

Z najwyższego rzędu w amfiteatrze spoglądał na nie Piotr Apostoł. Nikt na niego nie patrzył, wszystkie bowiem głowy zwrócone były ku arenie, więc wstał i jako niegdyś w Korneliuszowej winnicy błogosławił na śmierć i na wieczność tym, których miano pochwyć, tak teraz zegnał krzyżem ginących pod kłami zwierząt i ich krew i ich mękę i martwe ciała, zmienione w niekształtne bryły i dusze, ulatujące z krwawego piasku. Niektórzy podnosili ku niemu oczy, a wówczas rozjaśniały się im twarze i uśmiechali się, widząc nad sobą hen, w górze, znak krzyża. Jemu zaś rozdzierało się serce i mówił: O Panie, bądź wola Twoja, bo na chwałę Twoją! na świadectwo prawdy giną te owce moje! Tyś mi je paść rozkazał, więc zdaję Ci je, a Ty porachuj je, Panie, weź je, zagój ich rany, ukój ich boleść i daj im więcej jeszcze szczęścia, niżli tu męki doznali.

I zegnał jednych po drugich, gromadę po gromadzie, z miłością tak wielką, jak gdyby byli jego dziećmi, które oddawał wprost w ręce Chrystusa. Wtem Cezar, czy to z zapamiętania, czy chcąc, by igrzysko przeszło wszystko, co dotąd widziano w Rzymie, szepnął kilka słów prefektowi miasta, ów zaś, opuściwszy podium, udał się natychmiast do kunikulów. I nawet lud już zdumiał się, gdy po chwili ujrzał znów otwierające się kraty. Wypuszczono teraz zwierzęta wszelkiego rodzaju: tygrysy z nad Eufratu, numidyjskie pantery, niedźwiedzie, wilki, hyeny i szakale. Cała arena pokryła się jakby ruchomą falą skór pęgowanych, żółtych, płowych, ciemnych, brunatnych i centkowanych. Powstał zamęt, w którym oczy nie mogły już nic rozróżnić, prócz okropnego przewracania się i kłębienia grzbietów zwierzęcych. Widowisko straciło pozór rzeczywistości, a zmieniło się, jakby w orgię krwi, jakby w straszny sen, jakby w potworny majak obłąkanego umysłu. Miara była przebrana. Wśród ryków, wycia i skowyczenia, ozwały się tu i owdzie na ławach widzów przeraźliwe, spazmatyczne śmiechy kobiet, których siły wyczerpały się

wreszcie. Ludziom uczyniło się straszno. Twarze zmierzchły. Rozliczne głosy poczęły wołać: „dosyć! dosyć!”

Lecz zwierzęta łatwiej było wpuścić, niż je wypędzić. Cezar znalazł jednak sposób oczyszczenia z nich areny, połączony z nową dla ludu rozrywką. We wszystkich przedziałach wśród ław pojawiły się zastępy czarnych, strojnych w pióra i zausznice, Numidów z łukami w ręku. Lud odgadł, co nastąpi i przywitał ich okrzykiem zadowolenia, oni zaś zbliżyli się do obrębu i przyłożywszy strzały do cięciw, poczęli szyc z łuków w gromady zwierząt. Było to istotnie nowe widowisko. Smukłe, czarne ciała, przechylały się w tył, prężąc giętkie łuki i wysyłając grot za grot. Warkot cięciw i świst pierzastych bełtów mieszał się z wyciem zwierząt i okrzykami podziwu widzów. Wilki, niedźwiedzie, pantery i ludzie, którzy jeszcze zostali żywi, padali pokotem obok siebie. Tu i owdzie lew, poczuwszy grot w boku, zwracał nagłym ruchem zmarszczoną z wściekłości paszczę, by chwycić i zdruzgotać drzewce. Inne jęczały z bólu. Drobiazg zwierzęcy, wpadłszy w popłoch, przebiegał naoslep arenę, lub bił głowami w kraty, a tymczasem groty warczały i warczały ciągle, dopóki wszystko co żywe nie leżało w ostatnich drganiach konania.

Wówczas na arenę wpadły setki niewolników cyrkowych, zbrojnych w rydle, łopaty, miotły, taczki, kosze do wynoszenia wnętrzności i wory z piaskiem. Jedni napływali za drugimi i na całym kolisku zawrzała gorączkowa czynność. Wnet oczyszczono je z trupów, krwi i kału, przeryto, zrównano i potrząśnięto grubą warstwą świeżego piasku. Zaczem wbiegły amorki, rozrzucając listki róż, lilii i przeróżnego kwiecica. Zapalono nanowo kadzielnice i zdjęto velarium, bo już słońce zniżyło się znacznie.

Tłumy zaś, spoglądając po sobie ze zdziwieniem, zapypywały się wzajem, co za widowisko czeka je jeszcze w dniu dzisiejszym.

Jakoż czekało takie, którego nikt się nie spodziewał.

Oto Cezar, który od niejakiego czasu opuścił podium, ukazał się nagle na ukwiecionej arenie, przybrany w purpurowy płaszcz i złoty wieniec. Dwunastu śpiewaków, z cytrami w ręku, postępowało za nim, on zaś, dzierżąc srebrną lutnię, wystąpił uroczystym krokiem na środek i skłoniwszy się kilkakrotnie widzom, podniósł ku niebu oczy i czas jakiś stał tak, jakby oczekując na natchnienie.

Poczem uderzył w struny i zaczął śpiewać:

„O promienisty Lety synu,
Władco Tenedu, Killi, Chryzy,
Tyżeś to, mając w pieczy swej
Ilionu święty gród,
Mógł go gniewowi Achiwów zdać
I ścierpieć, by święte ołtarze,
Płonące wiecznie ku twej czci,
Zbryzgała Trojan krew?
Do ciebie starcy drżące dłonie,
O Srebrnołuki, w dal godzący,
Do ciebie matki z głębi łon
Wznosiły łzawy głos,
Byś nad ich dziećmi litość miał:
I gładzi skargi te wzruszyły,
A tyś mniej czuły był, niż gład,
Sminteju, na ludzki ból!!--

Pieśń przechodziła zwolna w żalospną, pełną bólu elegię. W cyrku uczyniła się cisza. Po chwili Cezar sam wzruszony, począł śpiewać dalej:

„Mógłżeś formingi boskiej brzmieniem
Zgłuszyć lamenty sere i krzyk,
Gdy oko jeszcze dziś
Zachodzi łzą, jak rosą kwiat,
Na dźwięk posepny pieśni tej,
Co wskrzesza z prochu i popiołów
Pożogi, klęski, zguby dzień...
— Sminteju, gdzieś wówczas był?—

Tu głos mu zadrgał i zwilgotniały oczy. Na rzęsach westalek ukazały się łzy, lud słuchał cicho, zanim wybuchnął długo nieustającą burzą oklasków.

Tymczasem z zewnątrz przez otwarte dla przewiewu vomitorya dochodziło skrzypienie wozów, na których składano krwawe szczątki chrześcijan, mężczyzn, kobiet i dzieci, aby je wywieźć do strasznych dołów, zwanych „puticuli“.

A Piotr Apostoł objął rękoma swą białą, drżącą głowę i wołał w duchu:

— Panie! Panie! komuś Ty oddał rząd nad światem?
i przecz chcesz założyć swoją stolicę w tem mieście?

XLII.

Z a w ó d.

Tymczasem słońce zniżyło się ku zachodowi i zdawało się roztopiać w zorzach wieczornych. Widowisko było skończone. Tłumy poczęły opuszczać amfiteatr i wylewać się przez wyjścia, zwane womitoryami, na miasto. Augustyianie tylko zwłóczyli, czekając, zanim przepłynie fala. Cała gromada ich, opuściwszy swe miejsca, zebrała się przy podium, w którym Cezar ukazał się znowu, by słuchać pochwał. Jakkolwiek widzowie nie szczędzili mu oklasków zaraz po ukończeniu pieśni, dla niego nie było to dosyć, spodziewał się bowiem zapalu, dochodzącego do szaleństwa. Napróżno też brzmiały teraz hymny pochwalne, próżno westalki całowały jego „boskie“ dłonie, a Rubrya schyliła się przytem tak, że aż rudawa jej głowa dotknęła jego piersi. Nero nie był zadowolony i nie umiał tego ukryć. Dziwiło go też i niepokoiło zarazem, że Petroniusz zachowuje milczenie. Jakieś pochwalne, a zarazem trafnie podnoszące zalety pieśni, słowo z jego ust byłoby mu w tej chwili wielką pociechą. Wreszcie, nie mogąc wytrzymać, skinął na niego, a gdy ów wszedł do podium, rzekł:

— Powiedz...

A Petroniusz odrzekł zimno:

— Milczę, bo nie mogę znaleźć słów. Przeszedłeś sam siebie.

— Tak i mnie się zdawało, a jednak ten lud?..

— Czy możesz żądać od mieszkańców, aby się znali na poezji?

— Więc zauważyłeś i ty, że nie podziękowano mi tak, jakem zasłużył?

— Boś obrał złą chwilę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mózgi, zacadzone zaduchem krwi, nie mogą słuchać uważnie.

Nero zaciskał pięści i odrzekł:

— Ach, ci chrześcijanie! Spalili Rzym, a teraz krzywdzą i mnie. Jakież jeszcze kary dla nich wymyślę?

Petroniusz spostrzegł, że idzie złą drogą, i że słowa jego odnoszą skutek, wprost przeciwny temu, jaki zamierzył osiągnąć, więc, chcąc odwrócić umysł Cezara w inną stronę, pochylił się ku niemu i szepnął:

— Pieśń twoja jest cudna, ale uczynię ci tylko jedną uwagę: w czwartym wierszu trzeciej strofy metryka pozostawia coś do życzenia.

A Nero oblał się rumieńcem wstydu, jakby schwytyany na haniebnym uczynku, spojrzął z przestraczem i odpowiedział również cicho:

— Ty wszystko zauważyłeś!.. Wiem!.. przerobię!.. Ale nikt więcej nie spostrzegł? prawda? Ty zaś, na miłość bogów, nie mów nikomu... jeśli... ci życie miłe...

Na to Petroniusz zmarszczył brwi i odpowiedział jakby z wybuchem nudy i zniechęcenia:

— Możesz mnie, boski, skazać na śmierć, jeśli ci zawadzam, ale mnie nią nie strasz, bo bogowie najlepiej wiedzą, czy się jej boję.

I tak mówiąc, począł patrzeć wprost w oczy Cezara, ów zaś po chwili odrzekł:

— Nie gniewaj się... Wiesz, że cię kocham...

— Zły znak! — pomyślał Petroniusz.

— Chciałem was prosić dziś na ucztę — mówił dalej Nero — ale się wolę zamknąć i polerować ów przekłętą wiersz trzeciej strofy.

To rzekłszy dał znak niewolnikom, trzymającym pochodnie i opuścił cyrk, a za nim westalki, senatorowie, urzędnicy i augustyanie.

Noc była jasna, ciepła. Przed cyrkiem snuły się jeszcze tłumy, ciekawe widzieć odjazd Cezara, ale jakies posępne i milczące. Tu i owdzie ozwał się poklask i scichł zaraz. Ze „spoliarium“ skrzypiące wozy wywoziły wciąż krwawe szczątki chrześcijan.

Petroniusz i Winicyusz odbywali drogę w milczeniu. Dopiero w pobliżu willi, Petroniusz spytał:

— Czy myślałeś o tem, com ci powiedział?

— Tak jest — odrzekł Winicyusz.

— Czy ty wierzysz, że teraz i dla mnie to jest sprawa największej wagi. Muszę ją uwolnić wbrew Cezarowi i Tygellinowi. To jest jakby walka, w której zawzięłem się zwyciężyć, to jest jakby gra, w której chcę wygrać, choćby kosztem własnej skóry... Dzisiejszy dzień utwierdził mnie jeszcze w przedsięwzięciu.

— Niech ci Chrystus zapłaci!

— Obaczysz.

Tak rozmawiając, stanęli przed drzwiami willi i wysiedli z lektyki. W tej chwili jakaś ciemna postać zbliżyła się do nich i spytała:

— Czy tu jest szlachetny Winicyusz?

— Tak — odrzekł trybun — czego chcesz?

— Jestem Nazaryusz, syn Miryamy: idę z więzienia i przynoszę ci wiadomość o Ligii.

Winicyusz oparł mu rękę na ramieniu i przy blasku pochodni począł mu patrzeć w oczy, nie mogąc przemówić ani słowa, ale Nazaryusz odgadł zamierające na jego wargach pytanie i odrzekł:

— Żyje dotąd. Urzus przysłała mnie do ciebie, pa-

nie, aby ci powiedzieć, że ona w gorączce modli się i powtarza imię twoje.

A Winicyusz odrzekł:

— Chwała Chrystusowi, który mi ją wrócić może.

Poczem, wzięwszy Nazaryusza, poprowadził go do biblioteki. Po chwili jednak nadszedł i Petroniusz, aby słyszeć ich rozmowę.

— Urzus i Glaukus lekarz — mówił młody chłopiec — czuwają nad nią dzień i noc.

— Czy stróże zostali ciż sami?

— Tak, panie, i ona jest w ich izbie. Ci więźniowie, którzy byli w dolnem więzieniu, pomarli wszyscy na gorączkę lub podusili się z zaduchu.

— Ktoś ty jest? — zapytał Petroniusz.

— Szlachetny Winicyusz mnie zna. Jestem synem wdowy, u której mieszkała Ligia.

— I chrześcijaninem?

Chłopiec spojrział pytającym wzrokiem na Winicyusza, ale widząc, że ów się modli w tej chwili, podniósł głowę i rzekł:

— Tak jest.

— Jakim sposobem możesz wchodzić swobodnie do więzienia?

— Najałem się, panie, do wynoszenia ciał zmarłych, a uczyniłem to umyślnie, aby przychodzić z pomocą braćiom moim i przynosić im wieści z miasta.

Petroniusz począł się przypatrywać uważniej ślicznej twarzy chłopca, jego błękitnym oczom i czarnym, bujnym włosom, poczem spytał:

— Z jakiego kraju jesteś, pachole?

— Jestem Galilejczykiem, panie.

— Czy chciałbyś, by Ligia była wolną?

Chłopiec podniósł oczy w górę:

— Choćbym sam miał potem umrzeć.

Wtem Winicyusz przestał się modlić i rzekł:

— Powiedz stróżom, by włożyli ją do trumny, jak

umarłą. Ty dobierz pomocników, którzy w nocy wyniosą ją razem z tobą. W pobliżu Cuchnących dołów znajdziecie czekających z lektyką ludzi, którym oddacie trumnę. Stróżom obiecaj ode mnie, że dam im tyle złota, ile każdy w płaszczu zdoła unieść.

I gdy tak mówił, twarz jego straciła zwykłą martwość, zbudził się w nim żołnierz, któremu nadzieja wróciła dawną energię.

Nazaryusz zaś spłonął z radości i wzniósłszy ręce zawołał:

— Niech Chrystus uzdrowi ją, albowiem będzie wolna.

— Mniemasz, że stróże się zgodzą? — spytał Petroniusz.

— Oni, panie? Byle wiedzieli, że nie spotka ich za to kara i męka!

— Tak jest! — rzekł Winicyusz. — Stróże chcieli się zgodzić nawet na jej ucieczkę, tembardziej pozwolą ją wynieść jako umarłą.

— Jest wprawdzie człowiek — rzekł Nazaryusz — który sprawdza rozpalonem żelazem, czy ciała, które wynosimy, są martwe. Ale ten bierze nawet po kilka sestercyi za to, by nie dotykał żelazem twarzy zmarłych. Za jeden aureus dotknie trumny, nie ciała.

— Powiedz mu, że dostanie pełną „kapsę“ aureusów — rzekł Petroniusz. — Ale czy potrafisz dobrać pewnych pomocników?

— Potrafię dobrać takich, którzyby za pieniądze sprzedali własne żony i dzieci.

— Gdzie ich znajdziesz?

— W samem więzieniu lub na mieście. Stróże, raz zapłaceni, wprowadzą, kogo zechcą.

— W takim razie wprowadzisz, jako najemnika, mnie — rzekł Winicyusz.

Lecz Petroniusz począł mu odradzać z całą stanowczością, aby tego nie czynił. Pretoryanie mogliby go poznać nawet w przebraniu i wszystko mogłoby przepaść.

„Ani w więzieniu, ani przy Cuchnących dołach (mówił). Trzeba, żeby wszyscy i Cezar i Tygellinus byli przekonani, że ona umarła, inaczej bowiem nakazaliby w tej chwili pościg. Podejrzenia możemy uspić tylko w ten sposób, że, gdy ją wywiozą w góry Albańskie lub dalej, do Sycylii, my zostaniemy w Rzymie. W tydzień lub dwa dopiero ty zachorujesz i wezwiesz Neronowego lekarza, który ci każe wyjechać w góry. Wówczas połączycie się, a potem...“

Tu zamyślił się na chwilę, a następnie machnąwszy dłonią, rzekł:

— Potem nadejdą może inne czasy.

— Niech Chrystus zmiłuje się nad nią — rzekł Winicyusz — bo ty mówisz o Sycylii, a ona jest chora i może umrzeć...

— Umieścimy ją tymczasem bliżej. Ją uleczy samo powietrze, byleśmy ją wyrwali z więzienia. Zali nie masz gdzie w górach jakiego dzierżawcy, któremu mógłbyś zaufać.

— Tak jest! Mam! tak! — odpowiedział śpiesznie Winicyusz. — Jest koło Koryoli w górach człowiek pewny, który mnie na ręku nosił, gdym był jeszcze dzieckiem, i który miłuje mnie dotychczas.

Petroniusz podał mu tabliczki.

— Napisz do niego, by tu przybył jutro. Gońca wysłę natychmiast.

To rzekłszy, zawołał przełożonego atrium i wydał mu odpowiednie rozkazy. W kilka chwil później konny niewolnik ruszył na noc do Koryoli.

— Chciałbym — rzekł Winicyusz — by Urzus towarzyszył jej w drodze... Byłbym spokojniejszy.

— Panie — rzekł Nazaryusz — człowiek to nadludzkiej siły, który wylamie kratę i pójdzie za nią. Jest jedno okno nad stromą, wysoką ścianą, pod którym straż nie stoi. Przyniosę Urzusowi sznur, a reszty on sam dokona.

— Na Herkulesa! — rzekł Petroniusz — niech się

wyrywa jak mu się podoba, ale nie razem z nią i nie w dwa lub trzy dni po niej, bo poszliby za nim i odkryli jej schronienie. Na Herkulesa! czy chcecie zgubić siebie i ją. Zakazuję wam wspominać mu o Koryoli, albo umyć wam ręce.

Oni obaj uznali słusność jego uwagi i umilkli. Poczem Nazaryusz począł się żegnać, obiecując przyjść na-
zajutrz o świcie.

Ze stróżami miał nadzieję ułożyć się jeszcze tej nocy, ale przedtem chciał wpaść do matki, która z powodu niepewnych i strasznych czasów, nie miała o niego chwili spokoju. Pomocnika postanowił po namyśle nie szukać na mieście, ale wynaleźć i przekupić jednego z pośród tych, którzy wraz z nim wynosili trupy z więzienia.

Na samem odchodnem jednak zatrzymał się jeszcze i wzięwszy na stronę Winicyusza, począł mu szeptać:

— Panie, nie wspomnę o naszym zamiarze nikomu, nawet matce, ale Piotr Apostoł obiecał przyjść do nas z amfiteatru i jemu powiem wszystko.

— Możesz w tym domu mówić głośno — odpowiedział Winicyusz. — Piotr Apostoł był w amfiteatrze z ludźmi Petroniusza. Zresztą sam pójdę z tobą.

I kazał podać sobie płaszcz niewolniczy, poczem wyszli.

O wschodzie słońca przybył z pod Koryoli dzierżawca Niger, przywiódłszy ze sobą zgodnie z zaleceniem Winicyusza muły, lektykę i czterech pewnych ludzi, wybranych z pomiędzy niewolników brytańskich, których zresztą zostawił przezornie w gospodzie na Suburze.

Winicyusz, który czuwał całą noc, wyszedł na jego spotkanie, ów zaś wzruszył się na widok młodego pana i całując jego ręce i oczy, rzekł:

— Drogi, czyś chory, czy też zmartwienia wyssały ci krew z oblicza, albowiem ledwie cię mógł na pierwsze wejście rozpoznać?

Winicyusz zabrał go do wewnętrznej kolumnady, zwanej ksystem i tam przypuścił go do tajemnicy. Niger słuchał ze skupioną uwagą i na jego czerstwej, ogorzałej twarzy, znać było wielkie wzruszenie, nad którym nie starał się nawet zapanować.

— Więc ona jest chrześcijanką? — zawołał.

I począł patrzeć badawczo w twarz Winicyusza, a ten odgadł widocznie, o co pyta go wzrok wieśniaka, albowiem odrzekł:

— I ja jestem chrześcijaninem...

Wówczas w oczach Nigra błysnęły łzy; przez chwilę milczał, następnie, wzniosłszy do góry ręce, rzekł:

— O, dzięki ci Chryste, iżśś zdjął bielmo z najdroższych mi w świecie oczu.

Poczem objął głowę Winicyusza i płacząc ze szczęścia, począł całować jego czoło.

W chwilę później nadszedł Petroniusz, prowadząc ze sobą Nazaryusza.

— Dobre wieści! — rzekł zdala.

Jakoż wieści były dobre. Naprzód Glaukus lekarz zaręczał za życie Ligii, jakkolwiek miała też samą gorączkę więzienną, na którą i w Tulianum i po innych więzieniach umierały codziennie setki ludzi. Co do stróżów i co do człowieka, który sprawdzał śmierć rozpalonem żelazem, nie było najmniejszej trudności. Pomocnik, Attys, był już również ugodzony.

— Poczyniliśmy otwory w trumnie, tak, aby chora mogła oddychać — mówił Nazaryusz. — Całe niebezpieczeństwo w tem, by nie jęknęła lub nie odezwała się w chwili, gdy będziemy przechodzili koło pretoryanów. Ale ona jest osłabiona bardzo i od rana leży z zamkniętymi oczyma. Zresztą Glaukus da jej napój usypiający, który sam urządzi z przyniesionych przeze mnie z miasta lekarstw. Wieko trumny nie będzie przybite. Podniesiecie je łatwo i zabierzecie chorą do lektyki, my zaś włożymy do trumny po długi wór z piaskiem, który miejcie gotowy.

Winicyusz, słuchając tych słów, blady był jak płótno, lecz słuchał z tak nateżoną uwagą, iż zdawał się na-przód odgadywać, co Nazaryusz ma powiedzieć.

— Czy innych jakich ciał nie będą wynosili z więzienia? — zapytał Petroniusz.

— Zmarło dzisiejszej nocy koło dwudziestu ludzi, a do wieczora umrze jeszcze kilkunastu — odrzekł chłopiec — my musimy iść wraz z całym orszakiem, ale będziemy się ociągali, by zostać w tyle. Na pierwszym skręcie towarzysz mój umyślnie zakuleje. W ten sposób pozostaniemy znacznie za innymi. Wy czekajcie nas koło małej świątynki Libityny. Oby Bóg dał noc jak najciemniejszą.

— Bóg da — rzekł Niger. — Wczoraj był wieczór jasny, a potem nagle zerwała się burza. Dziś niebo znów pogodne, ale parno od rana. Co noc teraz będą bywały dżdże i burze.

— Czy idziecie bez świateł? — spytał Winicyusz.

— Na przedzie tylko niosą pochodnie. Wy na wszelki wypadek bądźcie koło świątyni Libityny, jak tylko się ściemni, chociaż wynosimy zwykle trupy dopiero przed samą północą.

Umilkli, słychać było tylko śpieszny oddech Winicyusza.

Petroniusz zwrócił się do niego.

— Mówiłem wczoraj — rzekł — że najlepiejby było, gdybyśmy obaj pozostali w domu. Teraz jednak widzę, że mnie samemu niepodobna będzie usiedzieć... Zresztą, gdyby chodziło o ucieczkę, trzeba by zachowywać więcej ostrożności, ale skoro ją wyniosą jako umarłą, zdaje się, że nikomu najmniejsze podejrzenie nie przejdzie przez głowę.

— Tak! tak! — odpowiedział Winicyusz — ja muszę tam być. Sam ją wyjmę z trumny...

— Gdy raz będzie w moim domu pod Koryoli, odpowiadam za nią — rzekł Niger.

Na tem skończyła się rozmowa. Niger udał się do

gospody, do swoich ludzi. Nazaryusz, zabrawszy pod tunikę kiesę ze złotem, wrócił do więzienia. Dla Winicyusza rozpoczął się dzień, pełen niepokoju, gorączki, trwogi i oczekiwania.

— Sprawa powinna się udać, bo jest dobrze pomyślana — mówił mu Petroniusz. — Lepiej niepodobna było wszystkiego ułożyć. Ty musisz udawać strapionego i chodzić w ciemnej todze. Ale cyrków jednak nie opuszczaj. Niech cię widzą... Tak wszystko obmyślane, że nie może być zawodu. Ale! Wszakże jesteś zupełnie pewny twego dzierżawcy?

— To chrześcijanin — odrzekł Winicyusz.

Petroniusz spojrział na niego ze zdziwieniem, poczem jął ruszać ramionami i mówić jakby sam do siebie:

— Na Polluxa! jak się to jednak szerzy! i jak się trzyma dusz ludzkich!... Pod taką grozą ludzie wyrzekliby się od razu wszystkich bogów rzymskich, greckich i egipskich. To jednak dziwne... Na Polluxa!... Gdybym wierzył, że coś jeszcze na świecie od naszych bogów zależy, obiecałbym teraz każdemu po sześć białych byków, a kapitołińskiemu Jowiszowi dwanaście... Ale i ty nie szczędź obietnic twojemu Chrystusowi...

— Ja mu oddałem duszę — odparł Winicyusz.

I rozeszli się. Petroniusz wrócił do kubikulum. Winicyusz zaś poszedł spoglądać zdala na więzienie, stamtąd zaś udał się aż na stok Watykańskiego wzgórza, do owej chaty fossora, w której z rąk Apostoła otrzymał chrzest. Zdawało mu się, że w tej chacie Chrystus wysłucha go prędzej, niż gdziekolwiek indziej, więc odnalazłszy ją i rzuciwszy się na ziemię, wyteżył wszystkie siły zbolalej duszy w modlitwie o litość i zapamiętał się w niej tak, że zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Popołudniu już zbudził go odgłos trąb, dochodzący od strony Neronowego cyrku. Wyszedł wówczas z chaty i począł spoglądać naokół oczyma, jakby świeżo ockniętymi ze snu. Na świecie był upał i cisza, przerywana tylko

czasem przez dźwięk spiżu, a ciągle przez zapamiętałe ksykanie koników polnych. Powietrze uczyniło się parne; niebo nad miastem było jeszcze błękitne, ale w stronie gór Sabińskich zbierały się nisko u brzegu widnokregu ciemne chmury.

Winicyusz wrócił do domu. W atrium czekał na niego Petroniusz.

— Byłem na Palatynie — rzekł. — Pokazałem się tam umyślnie i zasiadłem nawet do kości. U Anicyusza jest wieczorem uczta; zapowiedziałem, że przyjdziemy, ale dopiero po północy, gdyż przedtem muszę się wyspać. Jakóż będę, a dobrzeby było, gdybyś i ty był.

— Czy nie było jakich wiadomości od Nigra, albo od Nazaryusza? — spytał Winicyusz.

— Nie. Zobaczymy ich dopiero o północy. Uważałeś, że zapowiada się burza?

— Tak.

— Jutro ma być widowisko z chrześcijan ukrzyżowanych, może jednak deszcz przeszkodzi.

To rzekłszy, zbliżył się i dotknąwszy ramienia Winicyusza, rzekł:

— Ale jej nie zobaczysz na krzyżu, tylko w Koryoli. Na Kastora! nie oddałbym tej chwili, w której ją uwolnimy, za wszystkie gemmy w Rzymie. Wieczór już blisko...

Jakoż wieczór się zbliżał, a ciemność poczęła ogarniać miasto wcześniej, niż zwykle, z powodu chmur, które zakryły cały widnokrąg. Z nadejściem wieczora, spadł deszcz duży, który parując na rozpalonych przez dzienny upał kamieniach, napełnił mgłą ulice miasta. Potem naprzemian to czyniło się cicho, to znów przechodziły krótkie ulewy.

— Śpieszmy się — rzekł wreszcie Winicyusz — z powodu burzy mogą wcześniej wywieźć ciała z więzienia.

— Czas! — odpowiedział Petroniusz.

I wzięwszy galijskie płaszcze z kapturami, wyszli przez drzwiczki od ogrodu na ulicę. Petroniusz uzbroił się także w krótki rzymski nóż, zwany: „sica“, który brał zawsze ze sobą na nocne wyprawy.

Miasto było z powodu burzy puste. Od czasu do czasu błyskawica rozdzierała chmury, oświecając jaskrawym blaskiem świeże ściany nowo wzniesionych lub budujących się dopiero domów i mokre płyty kamienne, któremi wyłożone były ulice. Przy takim świetle ujrzeli wreszcie, po dość długiej drodze, kopiec, na którym stała maleńka świątynka Libityny, a pod kopcem grupę złożoną z mułów i koni.

— Niger! — zawołał eicho Winicyusz.

— Jestem, panie! — ozwał się głos wśród dżdzu.

— Wszystko gotowe?

— Tak jest, drogi. Jak tylko ściemniło się, byliśmy na miejscu. Ale schrońcie się pod okop, bo przemokniecie nawskróś. Co za burza! Sądzę, że spadną grady.

Jakoż obawa Nigra sprawdziła się, gdyż niebawem począł sypać grad, z początku drobny, poczem coraz grubszy i gęstszy. Powietrze oziębiło się natychmiast.

Oni zaś, stojąc pod okopem, zakryci od wiatru i lodowych pocisków, rozmawiali zniżonymi głosami.

-- Choćby nas kto ujrział — mówił Niger — nie poźmie żadnych podejrzeń, wyglądamy bowiem na ludzi, którzy chcą przeczekać burzę. Ale boję się, żeby nie odłożono wynoszenia trupów do jutra.

— Grad nie będzie padał długo — rzekł Petroniusz. — Musimy czekać choćby do brzasku.

Jakoż czekali, nadsłuchując, czy nie doleci ich odgłos pochodu. Grad przeszedł istotnie, ale zaraz potem poczęła szumieć ulewa. Chwilami zrywał się wiatr i uiośl od strony Cuchnących dolów straszną woń rozkładających się ciał, które grzebano płytko i niedbale.

Wtem Niger rzekł:

— Widzę przez mgłę światelko.... jedno, dwa, trzy...
to pochodnie!

I zwrócił się do ludzi:

— Baczyć, by muły nie parskaly!...

— Idą! — rzekł Petroniusz.

Jakoż światła stawały się coraz wyraźniejsze. Po chwili można było już odróżnić chwiejące się pod powiewem płomienie pochodni.

Niger począł się żegnać znakiem krzyża i modlić. Tymczasem posępny korowód przyciągnął bliżej i wreszcie, zrównawszy się z świątynką Libityny, zatrzymał się. Petroniusz, Winicyusz i Niger przycisnęli się w milczeniu do kopca, nie rozumiejąc, co to znaczy. Lecz tamci zatrzymali się tylko dlatego, by poobwiązywać sobie twarze i usta szmatami, dla ochrony od duszącego smrodu, który przy samych „puticuli“ był wprost nie do zniesienia, poczem podnieśli nosze z trumnami i poszli dalej.

Jedna tylko trumna zatrzymała się naprzeciw świątynki.

Winicyusz skoczył ku niej, a za nim Petroniusz, Niger i dwaj niewolnicy brytańscy z lektyką.

Lecz nim dobiegli, w ciemności dał się słyszeć pełen bólu głos Nazaryusza:

— Panie, przenieśli ją wraz z Urzusem do Eskwilińskiego więzienia... My niesiem inne ciało! a ją porwali przed północą!!!...

Petroniusz, wróciwszy do domu, posępny był, jak burza i nie próbował nawet pocieszać Winicyusza. Rozumiał, że o wydobyciu Ligii z Eskwilińskich podziemi niema co i marzyć. Odgadywał, że prawdopodobnie dlatego przeniesiono ją z Tulianum, by nie umarła z gorączki i by nie uniknęła przeznaczonego jej amfiteatru. Ale to właśnie był dowód, że czuwano nad nią i strzeżono jej pilniej, niż innych. Petroniuszowi żal było do głębi duszy i jej i Wini-

cyusza, lecz prócz tego nurtowała go i ta myśl, że po raz pierwszy w życiu coś mu się nie udało i że po raz pierwszy został zwyciężony w walce.

— Fortuna zdaje się mnie opuszczać — mówił sobie — ale bogowie mylą się, jeśli sądzą, że zgodzę się na takie naprzykład życie, jak jego.

Tu spojrział na Winicyusza, który również patrzył na niego rozszerzonymi źrenicami.

— Co tobie? Ty masz gorączkę? — rzekł Petroniusz.

Ów zaś odpowiedział jakimś dziwnym złamanym i powolnym głosem, jakby chorego dziecka:

— A ja wierzę, że On może mi ją powrócić.

Nad miastem cichły ostatnie grzmoty burzy.

XLIII.

K r y s p u s.

Trzydniowy deszcz, zjawisko wyjątkowe w Rzymie podczas lata, i grady, padające wbrew przyrodzonemu porządkowi nie tylko w dzień i wieczorami, ale nawet wśród nocy, przerwały widowiska. Lud począł trwożyć się. Przepowiadano nieurodzaj na winograd, a gdy pewnego południa piorun stopił na Kapitolu brązowy posąg Cerery, nakazano ofiary w świątyni Jowisza Salvatora. Kapłani Cerery rozpuścili wieść, że gniew bogów zwrócił się na miasto z powodu zbyt opieszałego wymiaru kary na chrześcijan, tłumy więc jęły domagać się, by bez względu na pogodę przyspieszono dalszy ciąg igrzysk, i radość ogarnęła cały Rzym, gdy ogłoszono wreszcie, że po trzech dniach przerwy „ludus“ rozpocznie się na nowo.

Tymczasem wróciła i piękna pogoda. Amfiteatr od świtu do nocy napełnił się tysiącami ludu, Cezar zaś przybył również wcześniej z westalkami i dworem. Widowisko miało rozpocząć się od walki chrześcijan między sobą, których w tym celu przebierano za gladyatorów i dano im wszelką broń, jaka służyła szermierzom z zawodu do zaczepnego i obronnego boju. Lecz tu nastąpił zawód. Chrześcijanie porzucali na piasek sieci, widły, włócznie i miecze, a natomiast poczęli się obejmować wzajemnie i zachęcać do wytrwania wobec mąk i śmierci. Wówczas

głęboka uraza i oburzenie zawładnęły sercami tłumów. Jedni zarzucali im małoduszność i tchórzostwo, drudzy twierdzili, iż nie chcą się bić naumyślnie, przez nienawiść do ludu i dlatego, by go pozbawić radości, jaką widok męstwa zwykł sprawiać. Wreszcie z rozkazu Cezara wypuszczono na nich prawdziwych gladyatorów, którzy kłęzących i bezbronych wycięli w mgnieniu oka.

Lecz po uprzątnięciu trupów widowisko przestało być walką, a zmieniło się w szereg mitologicznych obrazów pomysłu samego Cezara. Ujrzano więc Herkulesa, płonącego żywym ogniem na górze Oeta. Winicyusz zadrżał na myśl, że na rolę Herkulesa przeznaczono może Urzusa, lecz widocznie kolej nie przyszła jeszcze na wiernego sługę Ligii, albowiem na stosie spłonął jakiś inny, zupełnie nieznan Winicyuszowi chrześcijanin. Natomiast w następnym obrazie Chilon, którego Cezar nie chciał uwolnić od bytności na przedstawieniu, ujrzał znajomych sobie ludzi. Przedstawiano śmierć Dedala¹⁾ i Ikarą. W roli Dedala występował Eurycyusz, ten sam starzec, który w swoim czasie dał Chilonowi znak ryby, w roli zaś Ikarą syn jego, Kwartus. Obydwoh podniesiono za pomocą umyślnej maszyneryi w górę, a następnie strącono nagle z ogromnej wysokości na arenę, przyczem młody Kwartus upadł tak blisko cesarskiego podium, iż obryzgał krwią nie tylko zewnętrzne ozdoby, ale i wysłane purpurą oparcie. Chilon nie widział upadku, albowiem przymknął oczy, słyszał tylko głucho uderzenie ciała, a gdy po chwili ujrzał krew tuż obok siebie, omal nie zemdlął po raz wtóry. Ale obrazy zmieniały się prędko. Widziano kapłanki Kibeli i Cerery, widziano Danaidy, widziano Dirce i Pasifae, widziano wreszcie dziewczątka niedorośle, rozrywane przez dzikie konie. Lud oklaskiwał coraz nowe pomysły Cezara,

¹⁾ Dedal, który, wedle innych podań, zdołał zalecieć z Krety do Sycylii, w amfiteatrach rzymskich ginął takąż samą śmiercią, jak Ikar.

który dumny z nich i uszczęśliwiony z oklasków, nie odej-
mował teraz ani na chwilę szmaragdu od oka, przypatru-
jąc się białym ciałom, rozdzieranym przez żelazo, i kon-
wulsyjnym drganiom ofiar. Dawano jednak obrazy z dzie-
jów miasta. Po dziewicach ujrzano Mucyusza Scewolę,
którego ręka, przymocowana do trójnoga z ogniem, na-
pełniała swędem spalonego mięsa amfiteatr, ale który, jak
prawdziwy Scewola, stał bez jęku, z oczyma wzniesionemi
w górę i z szeptem modlitwy na zczerniałych wargach.
Po dobiciu go i wywleczeniu ciała do spoliarium, nastą-
piła zwykła południowa przerwa w przedstawieniu. Cezar
wraz z westalkami i augustyanami opuścił amfiteatr i udał
się do wzniesionego umyślnie olbrzymiego szkarłatnego
namiotu, w którym przygotowano do niego i gości wspa-
niałe „prandium“. Tłumy po większej części poszły za
jego przykładem i, wylewając się nazewnątrz, rozkładały
się w malowniczych grupach obok namiotu, aby dać od-
poczynek znużonym przez długie siedzenie członkom i spo-
żyć potrawy, które z łaski Cezara obficie roznosili nie-
wolniicy. Najciekawszi tylko, po opuszczeniu siedzeń, zeszli
na samą arenę i, dotykając palcami lepkiego od krwi pia-
sku, rozprawiali jako znawcy i lubownicy o tem, co się
już odbyło i co jeszcze miało nastąpić. Wkrótce jednak
odeszli i rozprawiacze, aby nie spóźnić się na ucztę; zo-
stało tylko kilku ludzi, których zatrzymała nie ciekawość,
ale współczucie dla przyszłych ofiar.

Ci ukryli się w przedziałach lub na niższych miej-
scach, a tymczasem zrównano arenę i poczęto kopać w niej
doły, jeden przy drugim, rzędami, przez całe kolisko, od
brzegu do brzegu, tak, że ostatni ich szereg przypadał
o kilkanaście kroków od cesarskiego podium. Z zewnątrz
cyrku dochodził gwar ludu, krzyki i oklaski, a tu czynio-
niono z gorączkowym pośpiechem przygotowania do ja-
kichś nowych mąk. Naraz otwarły się cunicula i ze wszyst-
kich otworów prowadzących na arenę, poczęto wypędzać
gromady chrześcijan, nagich i dźwigających krzyże na ra-

mionach. Zaroił się od nich cały amfiteatr. Biegli starce pochyleni pod ciężarem drewnianych bierwion, obok nich mężczyźni w sile wieku, kobiety z rozpuszczonymi włosami, pod którymi starały się ukryć swą nagość, chłopięta niedorosłe i całkiem małe dzieci. Krzyże, w większej części, również jak ofiary, uwieńczone były kwiatami. Służba cyrkowa, ćwicząc nieszczęsnych batami, zmuszała ich, by układali krzyże wedle gotowych dołów i sami stawali przy nich szeregiem. W ten sposób mieli zginąć ci, których pierwszego dnia igrzysk nie zdążono wypchnąć na pastwę psom i dzikim zwierzętom. Teraz chwyтали ich czarni niewolnicy i kładnąc ofiary na wznak na drzewie, poczeli przybijać im ręce do przecznice gorliwie i szybko, tak, aby lud, wróciwszy po skończonej przerwie, zastał już wszystkie krzyże wzniesione. W całym amfiteatrze rozległ się teraz huk młotów, którego echa rozebrzmiały po wyższych rzędach i doszły aż na plac, otaczający amfiteatr, i pod namiot, w którym Cezar podejmował westalki i towarzyszków. Tam pito wino, żartowano z Chilona, na arenie zaś wrzała robota, gwoździe pogrążały się w ręce i nogi chrześcijan, warczały łopaty, zasypujące ziemią doły, w które wstawiano krzyże.

Lecz między ofiarami, na które dopiero za chwilę miała przyjść kolej, był Kryspus. Wyschłe ciało jego było obnażone zupełnie, tylko przepaska bluszczowa okrywała mu biodra, na głowie zaś miał wieniec z róż. Ale w oczach błyszczała mu zawsze też sama niepożyta energia i też sama twarz surowa i fanatyczna wychylała się z pod wieńca.

Coraz więcej krzyżów wznosiło się na arenie, on zaś zwracając się do gromady tych, którzy stali jeszcze, każdy przy swoim drzewie, mówił dalej:

— Widzę otwarte niebo, ale widzę otwartą i otchłań... Sam nie wiem, jako zdam sprawę Panu z żywota mego, chociażem wierzył i nienawidziłem złego i nie śmierci się

lękom, lecz zmartwychpowstania, nie męki, lecz sądu, albowiem nastaje dzień gniewu...

A wtem z pomiędzy bliższych rzędów ozwał się jakiś głos spokojny i uroczysty:

— Nie dzień gniewu, ale dzień miłosierdzia, dzień zbawienia i szczęśliwości, albowiem powiadam wam, że Chrystus przygarnie was, pocieszy i posadzi na prawicy swojej. Ufajcie, bo oto niebo otwiera się przed wami.

Na te słowa wszystkie oczy zwróciły się ku ławkom; nawet ci, którzy już wisieli na krzyżach, podnieśli blade, umęczone głowy i poczęli patrzeć w stronę mówiącego męża.

A on zbliżył się aż do przegrody, otaczającej arenę i począł ich żegnać znakiem krzyża.

Kryspus wyciągnął ku niemu ramię, jakby chcąc go zgromić, lecz, ujrawszy jego twarz, opuścił dłoń, poczem kolana zgięły się pod nim, a usta wyszeptaly:

— Apostoł Paweł!...

Ku wielkiemu zdziwieniu cyrkowej służby, poklękali wszyscy, których nie zdążono dotąd poprzybijać, zaś Paweł z Tarzu zwrócił się do Kryspa i rzekł:

— Kryspie, nie groź im, albowiem dziś jeszcze będą z tobą w raju. Ty mniemasz, że mogą być potępieni? Lecz któż je potępi? Zali uczyni to Bóg, który oddał za nie Syna swego? Zali Chrystus, który umarł dla ich zbawienia, jako oni umierają dla imienia Jego? I jakoż może potępić Ten, który miłuje? Kto będzie skarżył na wybrane Boże? Kto powie na tę krew: Przekłęta!?...

— Panie, nienawidziłem złego — odrzekł stary kapłan.

— Chrystus więcej jeszcze nakazał miłować ludzi, niż nienawidzić złego, albowiem nauka Jego miłością jest, nie nienawiścią...

— Zgrzeszyłem w godzinę śmierci — odrzekł Kryspus.

I począł się bić w piersi.

Wtem zarządca ławek zbliżył się ku Apostołowi i zapytał:

— Kto jesteś, który przemawiasz do skazanych?

— Obywatel rzymski — odparł spokojnie Paweł.

Poczem, zwróciwszy się do Kryspa, rzekł:

— Ufaj, gdyż dzień to jest łaski i umrzej w spokoju, słuگو Boży.

Dwaj murzyni zbliżyli się w tej chwili do Kryspa, aby położyć go na drzewie, lecz on spojrział raz jeszcze naokół i zawołał:

— Bracia moi, módlcie się za mnie!

I twarz jego straciła zwykłą surowość; kamienne rysy przybrały wyraz spokoju i słodczy. Sam rozciągnął ręce wzdłuż ramion krzyża, aby ułatwić robotę i, patrząc wprost w niebo, począł modlić się żarliwie. Zdawał się nie czuć, albowiem gdy gwoździe zagłębiały się w jego ręce, najmniejsze drgnienie nie wstrząsnęło jego ciałem, ani na obliczu nie pojawiła się żadna zmarszczka bólu: modlił się, gdy przybijano mu nogi, modlił się, gdy wznoszono krzyż i udeptywano naokół ziemię. Dopiero, gdy tłumy ze śmiechem i okrzykami poczęły napełniać amfiteatr, brwi starca ściągnęły się nieco, jakby się gniewał, że pogański lud miesza mu ciszę i spokój słodkiej śmierci.

Lecz przedtem jeszcze wzniesiono wszystkie krzyże tak, że na arenie stanął jakby las z wiszącymi na drzewach ludźmi. Na ramiona krzyżów i na głowy męczenników padał blask słońca, na arenę zaś grube cienie, tworzące jakby czarną poplątaną kratę, wśród której przeświecał żółty piasek. Było to widowisko, w którym dla ludu całą rozkosz stanowiło przypatrywanie się powolnemu konaniu. Lecz nigdy dotąd nie widziano takiej gęstwy krzyżów. Arena była nimi nabita tak szczelnie, że służba z trudnością mogła się między nimi przeciskać. Na obrębie wisiały przeważnie kobiety, lecz Kryspa, jako przywódcę, wzniesiono tuż prawie przed podium cesarskiem, na ogromnym krzyżu, spowitym u spodu w wiciokrzew.

Nikt z ofiar jeszcze nie skonał, ale niektórzy z tych, których poprzybijano najpierwej, pomdleli. Nikt nie jęczał i nie wolał o litość. Niektórzy wisieli z głowami pochylo-nemi na ramiona, lub pospuszczanemi na piersi, jakby ujęci snem; niektórzy jakby w zamyśleniu, niektórzy pa-trząc jeszcze ku niebu, poruszali zeicha ustami. W tym strasznym lesie krzyżów, w tych porozpinanych ciałach, w milezeniu ofiar było jednak coś złowrogiego. Lud, który po uczcie, syt i rozweselony, wchodził z okrzykami do cyrku, umilkł, nie wiedząc, na którym ciełe oczy zatrzy-mać i co myśleć. Zdawało się, że Cezar nudzi się także, albowiem, przekręciwszy głowę, poprawiał leniwym ruchem naszyjnik z twarzą ospałą i senną.

Wtem wiszący naprzeciw Kryspus, który przed chwilą oczy miał zamknięte, jak człowiek omdlały, lub konający, otworzył je i począł patrzeć na Cezara.

Twarz jego przybrała znów wyraz tak nieubłagany, a wzrok zapłonął takim ogniem, że augustyanie poczęli szeptać między sobą, ukazując go palcami, a w końcu sam Cezar zwrócił na niego uwagę i o ciężale przyłożył szma-ragd do oka.

Nastąpiła cisza zupełna. Oczy widzów utkwione były w Kryspa, który próbował poruszyć prawą ręką, jakby ją chciał oderwać od drzewa.

Po chwili pierś wzdęła mu się, żebra wystąpiły na wierzch i począł wołać:

— Matkobójco! — biada ci!!

Augustanie, posłyszawszy śmiertelną obelgę, rzuconą panu świata wobec tysięcznych tłumów, nie śmieli oddy-chać. Chilo zmartwiało. Cezar drgnął i wypuścił z palców szmaragd.

Lud zatrzymał również dech w piersiach. Głos Kryspusa rozlegał się coraz potężniej w całym amfiteatrze:

— Biada ci morderco żony i brata, biada ci Anty-chryście! Otchłań otwiera się pod tobą, śmierć wyciąga po ciebie ręce i grób cię czeka. Biada ci żywy trupie, albo-

wiem umrzesz w przerażeniu i potępiony będziesz na wieki!...

I nie mogąc oderwać przybitej dłoni od drzewa, rozciągnięty okropnie, straszny, za życia jeszcze do kościotrupa podobny, nieugięty jak przeznaczenie, trząsł białą brodą nad Neronowem podium, rozpraszając zarazem ruchami głowy liście róż z wieńca, który mu nałożono na czaszkę.

— Biada ci morderco! przebrana jest twoja miara i czas twój zbliża się!...

Tu wyteżył się raz jeszcze: zdawało się przez chwilę, że oderwie dłoń od krzyża i wyciągnie ją groźnie nad Cezarem, lecz nagle wychudłe jego ramiona wydłużyły się jeszcze bardziej, ciało obsunęło się ku dołowi, głowa opadła mu na piersi, i skonał.

Wśród krzyżowego lasu, słabsi poczęli też już zasypiać snem wiecznym.

XLIV.

Wyrzuty sumienia.

— Panie — mówił Chilo — teraz jest morze jak oliwa i fale zdają się spać... Jedźmy do Achai. Tam czeka cię sława Apollina, tam czekają cię wieńce, tryumfy, tam ludzie cię ubóstwią, a bogowie przyjmą, jak równego sobie gościa, tu zaś, panie...

I przerwał, albowiem dolna warga poczęła mu się trząść tak silnie, że jego słowa przeszły w niezrozumiałe dźwięki.

— Pojedziemy po skończonych igrzyskach — odrzekł Nero. — Wiem, że i tak już niektórzy nazywają chrześcijan „*innoxia corpora*“¹⁾. Gdybym odjechał, zaczęliby to powtarzać wszyscy. Czego się ty boisz, zmurszała bedlko?

To rzekłszy, zmarszczył brwi, lecz począł patrzeć pytającym wzrokiem na Chilona, jakby czekając od niego wyjaśnienia, albowiem udawał tylko zimną krew. Na ostatniem przedstawieniu sam zląkł się słów Kryspa i, wróciwszy do domu, nie mógł zasnąć z wściekłości i wstydu, ale zarazem ze strachu.

Wtem przesądny Westynus, który słuchał w milcze-

¹⁾ Nieszkodliwe ciała.

niu ich rozmowy, obejrzał się wkoło i rzekł tajemniczym głosem:

— Słuchaj, panie, tego starca, w tych chrześcijanach jest coś dziwnego... Ich bóstwo daje im śmierć lekką, ale może być mściwe.

Na to Nero rzekł prędko:

— To nie ja urządzam igrzyska. To Tygellin.

— Tak jest! to ja — odpowiedział Tygellin, który dosłyszał odpowiedź Cezara. — To ja, i drwię sobie ze wszystkich bogów chrześcijańskich. Westynus, panie, to pęcherz wydęty przesadami, a ten waleczny Grek gotów umrzeć ze strachu na widok kwoki, najeżonej w obronie kurcząt.

— To dobrze — rzekł Nero — ale każ odtąd chrześcijanom obcinać języki, albo kneblować usta.

— Zaknebluje im je ogień, o boski.

— Biada mi! — jęknął Chilo.

Lecz Cezar, któremu zuchwała pewność siebie Tygellina dodała otuchy, począł się śmiać i rzekł, pokazując na starego Greka:

— Patrzenie, jak wygląda potomek Achillesa!

Rzeczywiście Chilo wyglądał strasznie. Resztki włosów na czaszce pobieleły mu zupełnie, w twarzy zakrzepł mu wyraz jakiegoś niezmiernego niepokoju, trwogi i pogębienia. Wydawał się też chwilami, jakby odurzony i nawpół przytomny. Często nie odpowiadał na pytania, czasem znów wpadał w gniew i stawał się zuchwałym tak, że augustyianie woleli go nie zaczepiać.

Taka chwila przyszła nań i teraz.

— Róbcie ze mną, co chcecie, a ja na igrzyska więcej nie pójdę! — zawołał rozpaczliwie, klaszcząc w palce.

Nero popatrzył na niego przez chwilę i, zwróciwszy się do Tygellina, rzekł:

— Dopilnujesz, by w ogrodach ten stoik był blisko mnie. Chcę widzieć, jakie uczynią na nim wrażenie nasze pochodnie.

Chilo zląkł się jednak groźby, drgającej w głosie Cezara.

— Panie — rzekł — nie nie zobaczę, albowiem nie widzę w nocy.

A Cezar odpowiedział ze strasznym uśmiechem:

— Noc będzie jasna jak dzień.

Poczem zwrócił się do innych augustyanów, z którymi począł rozmawiać o wyścigach, jakie zamierzył wyprawić pod koniec igrzysk.

Do Chilona zbliżył się Petroniusz i, trąciwszy go w ramię, rzekł:

— Zalim ci nie mówił? Nie wytrzymasz.

Ów zaś odpowiedział:

— Chcę się upić...

I wyciągnął drżącą rękę po krater¹⁾ z winem, lecz nie mógł go donieść do ust, co widząc Westynus, odebrał mu naczynie, następnie zaś, przysunąwszy się blisko, spytał z twarzą zaciekawioną i przelęklą:

— Czy ścigają cię furye? Co?...

Starzec patrzył na niego jakiś czas z otwartymi ustami, jakby nie zrozumiał pytania i jął mrugać oczyma.

A Westynus powtórzył:

— Czy ścigają cię furye?

— Nie — odrzekł Chilo — ale noc jest przede mną.

— Jakto, noc?... Niech bogowie zmiłują się nad tobą!

Jakto, noc?

— Noc okropna i nieprzejrzana, w której się coś rusza i coś idzie do mnie. Ale ja nie wiem co i boję się.

— Zawszem był pewny, że to są czarownicy. Czy ci się co nie śni?

— Nie, bo nie zasypiam. Ja nie myślałem, że ich tak skarżą.

— Czy ci ich żal?

¹⁾ Puhar, właściwie rodzaj wazy do mieszania wina z wodą.

— Po co wy rozlewacie tyle krwi? Słyszałeś, co tamten mówił z krzyża? Biada nam!

— Słyszałem — odpowiedział cicho Westynus. — Ale to są podpalacze!

— Nieprawda!

— I nieprzyjaciele rodu ludzkiego.

— Nieprawda!

— I zatruwacze wód.

— Nieprawda!

— I mordercy dzieci.

— Nieprawda!...

— Jakże? — zapytał ze zdziwieniem Westynus. — Tyś sam to mówił i wydawałeś ich w ręce Tygellina!

— To też otoczyła mnie noc i śmierć idzie ku mnie... Czasem zdaje mi się, że już umarłem, i wy także.

— Nie! to oni umrą, a my jesteśmy żywi. Ale powiedz mi: co oni widzą, umierając?

— Chrystusa...

— To ich bóg? czy to możny bóg?

Lecz Chilo odpowiedział również pytaniem:

— Co to za pochodnie mają się palić w ogrodach? Słyszałeś, co mówił Cezar?

— Słyszałem i wiem. Takich zwań sarmentitii i semaxii... Przybiorą ich w bolesne tuniki, napojone żywicą, przywiążą do słupów i podpalą... Były tylko ich Bóg nie spuścił na miasto jakich klęsk... Semaxii!! to straszna kaźń.

— Wolę to, bo nie będzie krwi — odpowiedział Chilo. — Każ niewolnikowi podać mi krater do ust. Chcę pić, a rozlewam wino, bo mi ręka lata ze starości...

Inni rozmawiali przez ten czas także o chrześcijanach. Stary Domicyusz Afer drwił z nich.

— Mnóstwo ich takie — mówił — że mogliby wznieść wojnę domową, i pamiętacie, że były obawy, czy nie zechęcą się bronić. A oni umierają jak owce.

— Niechby spróbowali inaczej! — rzekł Tygellinus. Na to ozwał się Petroniusz:

— Mylicie się. Oni się bronią

— A to jakim sposobem?

— Cierpliwością.

— To nowy sposób.

— Zapewne. Ale czy możecie powiedzieć, że oni umierają tak, jak pospolicie zbrodniarze? Nie! Oni umierają tak, jakby zbrodniami byli ci, którzy ich na śmierć skazują, to jest my i cały lud rzymski.

— Co za brednie! — zawołał Tygellinus.

— *Hic Abdera!*¹⁾ — odpowiedział Petroniusz.

Lecz inni, uderzeni trafnością jego uwagi, poczęli spoglądać na się ze zdziwieniem i powtarzać:

— Prawda! jest coś odmiennego i osobliwego w ich śmierci.

— Mówię wam, że oni widzą swoje bóstwo! — zawołał z boku Westynus.

Wówczas kilku augustyanów zwróciło się do Chilona.

— Hej, stary, ty ich znasz dobrze: powiedz nam, co oni widzą?

A Grek wypluł wino na tunikę i odrzekł:

— Zmártwychwstanie!...

I począł się trząść tak, że siedzący bliżej goście wybuchli głośnym śmiechem.

¹⁾ Wyrażenie przysłowiowe, znaczy: oto najgłupszy z głupich.

W więzieniu Eskwilińskim.

Od kilku dni Winicyusz spędzał noce za domem. Petroniuszowi przychodziło do głowy, że on może znów ułożyć jakiś nowy plan i pracuje nad uwolnieniem Ligii z Eskwilińskiego więzienia, nie chciał go już jednak o nie pytać, by nie przynieść nieszczęścia robocie. Ten wykwinny sceptyk stał się także pod pewnym względem przesądnym, a raczej, od czasu, jak nie udało mu się wyrwać dziewczyny z Mamertyńskiego podziemia, przestał ufać swej gwieździe.

Nie liczył zresztą i teraz na dobry wynik zabiegów Winicyusza. Eskwilińskie więzienie, urządzone naprędce z piwnic domów, które zburzono dla położenia tamy pożarowi, nie było wprawdzie tak straszne, jak stare Tullianum obok Kapitolu, ale było natomiast stokroć bardziej strzeżone. Petroniusz rozumiał doskonale, że Ligię przeniesiono tam tylko dlatego, by nie umarła i nie uniknęła amfiteatru, łatwo mu więc było domyślić się, że właśnie z tego powodu muszą ją pilnować, jak oka w głowie.

— Widocznie — mówił sobie — Cezar wraz z Tygellinem przeznaczają ją na jakieś osobne, straszniejsze od wszystkich widowisko, i Winicyusz prędzej sam zginie, niż zdoła ją wydobyć.

Winicyusz jednak stracił także nadzieję, czy potrafi

ją wydobyć. Obecnie mógł to uczynić tylko Chrystus. Młodemu trybunowi chodziło już tylko o to, by mógł ją widywać w więzieniu.

Od niejakiego czasu nie dawała mu spokoju myśl, że Nazaryusz dostał się jednak do Mamertyńskiego więzienia, jako najemnik do wynoszenia trupów, postanowił więc spróbować tej drogi.

Przekupiony za ogromną sumę dozorca „Cuchnących dołów“, przyjął go wreszcie w poczet swej czeladzi, którą co noc wysyłał po trupy do więzień. Niebezpieczeństwo, by Winicyusz mógł być poznany, było istotnie małe. Chroniły od niego: noc, niewolniczy ubiór i złe oświetlenie więzień. Komuż zresztą mogło przyjść do głowy, by patrycyusz, wnuk i syn konsulów, mógł się znaleźć między czeladzią grabarską, narażoną na wyziewy więzień i „Cuchnących dołów“, i jał się pracy, do której zmuszała ludzi tylko niewola lub ostatnia nędza.

Lecz on, gdy nadszedł upragniony wieczór, z radością przewiązał biodra i okręcił głowę szmatą, napojoną terpentyną, i z bijącym sercem udał się wraz z gromadą innych na Eskwilin.

Straże pretoryańskie nie czyniły im trudności, wszyscy bowiem zaopatrzeni byli w odpowiednie „tessery“, które centuryon oglądał przy świetle latarni. Po chwili wielkie żelazne drzwi otworzyły się przed nimi i weszli.

Winicyusz ujrzał przed sobą obszerną sklepioną piwnicę, z której przechodziło się do szeregu innych. Młde kaganki oświecały wnętrze, napełnione ludźmi. Niektórzy z nich leżeli pod ścianami, pogrążeni w śnie lub może umarli. Inni okrążali wielkie naczynie z wodą, stojące w pośrodku, z którego pili, jak ludzie trawieni gorączką, inni siedzieli na ziemi z łokciami wspartymi o kolana i z głowami w dłoniach, gdzieniegdzie dzieci spały, poprzytulane do matek. Naokół słychać było to jęki i głośny przyspieszony oddech chorych, to płacz, to szepty modlitwy, to pieśni nucone półgłosem, to przekleństwa do-

zorców. W podziemiu panował trupi zaduch i tłok. W mrocznych głębiach roily się ciemne postaci, bliżej zaś, przy migotliwych płomykach, widać było twarze wybladłe, przeżone, zapadnięte i głodne, z oczyma zgasłemi, albo płonącemi gorączką, ze zsiniałemi ustami, ze strugami potu na czołach i pozlepianym włosom. Po kątach majaczyli głośno chorzy, inni wołali o wodę, inni, by ich wieść na śmierć. A było to jednak więzienie mniej straszne od starożytnego Tulianum. Pod Winicyuszem nogi zachwiały się na ten widok i w piersi zabrakło mu oddechu. Na myśl, że Ligia znajduje się wśród tej nędzy i niedoli, włosy powstały mu na głowie, a w piersiach zamarł krzyk rozpaczy. Amfiteatr, kły dzikich zwierząt, krzyże, wszystko było lepsze od tych straszliwych, pełnych trupiego zaduchu podziemi, w których błagalne głosy ludzie powtarzały ze wszystkich kątów:

— Wiedźcie nas na śmierć!

Winicyusz wpił w dłonie paznogie, czuł bowiem, że słabnie, i że opuszcza go przytomność. Wszystko, przez co przeszedł dotychczas, cała miłość i boleść, zmieniła się w nim w jedną żądzę śmierci.

Wtem, tuż obok, ozwał się głos dozorca „Cuchnących dołów“:

— A ile macie dziś trupów?

— Będzie z tuzin — odpowiedział strażnik więzienny — ale do rana będzie więcej, bo tam już niektórzy rzeżą pod ścianami.

I począł narzekać na kobiety, że ukrywają zmarłe dzieci, dlatego, by dłużej je mieć przy sobie i nie oddawać, póki można, do „Cuchnących dołów“. Trzeba trupy poznawać dopiero po zapachu, przez co powietrze, i tak straszne, psuje się jeszcze bardziej. „Wolałbym — mówił — być niewolnikiem w wiejskim ergastulum, niż pilnować tych gnijących za życia psów“. Dozorca „Dołów“ pocieszał go, twierdząc, że jego służba nie jest lżejsza. Przez ten czas Winicyuszowi wróciło poczucie rzeczywistości

i począł rozglądać się w podziemiu, w którym jednak na próżno szukał oczyma Ligii, myśląc przytem, że może jej wcale nie zobaczyć, dopóki będzie żywa. Piwnic było kilkanaście, połączonych ze sobą świeżymi przekopami, czeladź zaś grabarska wchodziła tylko do tych, z których trzeba było zabierać ciała zmarłych, zdjął go więc strach, że to, co kosztowało tyle trudów, może mu na nic nie posłużyć.

Na szczęście jego patron przyszedł mu z pomocą.

— Ciała trzeba zaraz wynosić — rzekł — bo zaraza najbardziej szerzy się przez trupy. Inaczej pomrzecie, i wy, i więźniowie.

— Na wszystkie piwnice jest nas dziesięciu — odszekł strażnik — i musimy przecie spać.

— To ja ci zostawię czterech moich ludzi, którzy w nocy będą chodzili po piwnicach i patrzyli, czy kto nie umarł.

— Wypijemy jutro, jeśli to uczynisz. Każdego trupa niech zaniosą do próby, bo przyszły rozkazy, by umarłym przekłuiwać szyje, a potem zaraz z nimi do Dołów!

— Dobrze, ale wypijemy! — ozwał się dozorca.

Poczem wyznaczył czterech ludzi, a między nimi Winicyusza, z pozostałymi zaś zabrał się do wkładania trupów na nosze.

Winicyusz odetchnął. Był pewien przynajmniej tego, że teraz odnajdzie Ligię.

I naprzód począł przeglądać starannie pierwsze podziemie. Zajrzał do wszystkich ciemnych kątów, do których prawie nie dochodził blask kaganka, obejrzał postaci śpiące pod ścianami, pod przykryciem płacht, obejrzał najciężej chorych, których pozaciągano w kąt osobny, Ligii jednakże nie mógł nigdzie odnaleźć. W drugiej i trzeciej piwnicy poszukiwania jego pozostały również bez skutku.

Tymczasem godzina uczyniła się późna: ciała powynoszono. Strażnicy ułożywszy się w korytarzach, łączących piwnice, posnęli, dzieci, znużone płaczem, umilkły, w pod-

ziemiach słychać było tylko oddech strudzonych piersi, i gdzieś jeszcze szeptał modlitw.

Winicyusz wszedł z kagankiem do czwartej z kolei piwnicy, znacznie mniejszej i podniósłszy światło w górę, począł się po niej rozglądać.

I nagle drgnął, zdawało mu się bowiem, że pod zakratowanym otworem w ścianie widzi olbrzymią postać Urzusa.

Więc, zdmuchnąwszy w tej chwili kaganek, zbliżył się do niego i spytał:

— Urzus, czy to ty?

Olbrzym odwrócił głowę:

— Ktoś ty jest?

— Nie poznajesz mnie? — zapytał młody człowiek.

— Zgasiłś kaganek, jakże mogę cię poznać?

Lecz Winicyusz dojrzał w tej chwili Ligię, leżącą na płaszczu przy ścianie, więc, nie mówiąc nic więcej, klęknął przy niej.

Urzus zaś poznał go i rzekł:

— Chwała Chrystusowi! ale nie budź jej, panie.

Winicyusz, klęcząc, wpatrywał się w nią przez łyż. Mimo mroku, mógł odróżnić jej twarz, która wydała mu się bladą, jak alabaster, i wychudzone ramiona. I na ten widok ogarnęła go miłość, podobna do rozdzierającego bólu, wstrząsająca duszą do ostatnich głębin, a zarazem tak pełna litości, czci i uwielbienia, że, padłszy na twarz, począł przyciskać do ust brzeg płaszcza, na którym spoczywała ta droga mu nad wszystko głowa.

Urzus przez długi czas patrzył na niego w milczeniu, nakoniec jednak pociągnął go za tunikę.

— Panie — spytał — jak się dostałeś — i czy przychodzisz ją ocalić?

Winicyusz podniósł się i przez chwilę jeszcze walczył ze wzruszeniem.

— Wskaż mi sposób! — rzekł.

— Myślałem, że ty go znajdziesz, panie. Mnie jeden tylko przychodził do głowy...

Tu zwrócił oczy ku okratowanemu otworowi, poczem, jakby odpowiadając sam sobie, ozwał się:

— Tak!... Ale tam są żołnierze...

— Setnia pretoryanów — odpowiedział Winicyusz.

— Więc nie przejdziemy!

— Nie!

Lig potarł czoło ręką i zapytał powtórnie:

— Jak tu wszedłeś?

— Mam tessere od dozorczy „Cuchnących dołów...”

I nagle urwał, jak gdyby jakaś myśl błysnęła mu w głowie.

— Na mękę Zbawiciela! — począł mówić prędkim głosem. — Ja tu zostanę, a ona niech weźmie moją tessere, niech owinie głowę szmatą, okryje ramiona płaszczem i wyjdzie. Wśród niewolników grabarskich jest kilku niedorosłych pacholków, więc pretoryanie nie poznają jej, a gdy raz dostanie się do domu Petroniusza, ten ją ocali!

Lecz Lig opuścił głowę na piersi i odrzekł:

— Ona nie zgodziłaby się na to, albowiem miłuje cię, a przytem jest chora i o własnej mocy stać nie może.

Po chwili zaś dodał:

— Jeśli ty, panie, i szlachetny Petroniusz nie mogliście jej z więzienia wydobyć, to któż zdoła ją ocalić?

— Jeden Chrystus!...

Poczem umilkli obaj. Lig w prostaczej swej głowie myślał sobie: „Onby mógł przecie wszystkich ocalić, ale skoro tego nie czyni, to widać przyszedł czas mąk i śmierci”. I zgadzał się na nią dla siebie, ale żał mu było do głębi duszy tego dziecka, które wyrosło na jego ręku, i które kochał nad życie.

Winicyusz klęknął znów przy Ligii. Przez zakratowany otwór wkradły się do podziemia promienie księżyca i oświeciły je lepiej od jedyne go kaganka, który migotał jeszcze nad drzwiami.

Wtem Ligia otworzyła oczy i, położywszy swe rozpalone dłonie na rękach Winicyusza, rzekła:

— Widzę cię — i wiedziałam, że przyjdiesz.

On zaś rzucił się do jej rąk i począł przykładać je do czoła i serca, potem uniósł je nieco z posłania i wsparł o własne piersi.

— Przeszedłem, droga — rzekł. — Niech cię Chrystus strzeże i ocali, o Ligio umiłowana!..

I nie mógł mówić więcej, albowiem serce poczęło mu skowyczeć w piersiach z bólu i miłości, a z bólem nie chciał się przed nią zdradzić.

— Chora jestem, Marku — odrzekła Ligia — i czy na arenie, czy tu, w więzieniu, muszę umrzeć... Ale modliłam się, bym cię przedtem mogła zobaczyć, i przyszedłeś: Chrystus mnie wysłuchał!!

A gdy jeszcze nie mógł zdobyć się na słowa i tylko przyciskał ją do piersi, mówiła dalej:

— Widywałam cię przez okno z Tulianów — i wiedziałam, żeś chciał przyjść. A teraz Zbawiciel dał mi chwilę przytomności, abyśmy się mogli pożegnać. Już ja idę do Niego, Marku, ale kocham cię i zawsze będę kochała.

Winicyusz przemógł się, zdusił w sobie ból i począł mówić głosem, który starał się uczynić spokojnym:

— Nie, droga! Ty nie umrzesz. Apostoł kazał wierzyć i przyrzekł modlić się za ciebie, a on Chrystusa znał, Chrystus go miłował i niczego mu nie odmówi... Gdybyś miała umrzeć, Piotr nie kazałby mi ufać, a on mi rzekł: „Ufaj!“ — Nie, Ligio! Chrystus zmiłuje się nade mną... On nie chce twojej śmierci, On jej nie dopuści... Przysięgam ci na imię Zbawiciela, że Piotr modli się za ciebie!

Nastąpiła cisza. Jedyńy kaganek wiszący nad drzwiami zgasł, ale za to światło księżyca wschodziło całym otworem. W przeciwnym kącie piwnicy zakwiliło dziecko i uciło. Z zewnątrz tylko dochodziły głosy pretoryanów.

— O Marku — odrzekła Ligia — Chrystus sam wołał

do ojca: „oddal ode mnie ten kielich goryczy“, a jednak go spełnił, Chrystus sam umarł na krzyżu, a teraz giną za niego tysiące, więc dlaczegóż mnie jedną miałby oszczędzać. Któż ja jestem, Marku? Słyszałam, jak Piotr mówił, że i on umrze umęczon, a któż ja jestem wobec niego? Gdy przyszli do nas pretoryanie, bałam się śmierci i męki, ale teraz się już nie boję. Patrz, jakie to straszne więzienie, a ja idę do nieba. Pomyśl, że tu jest Cezar, a tam jest Zbawiciel, dobry i miłosierny. I niema śmierci. Ty mnie kochasz, więc pomyśl, jaka będę szczęśliwa. O, Marku drogi, pomyśl, że ty tam przyjdiesz do mnie.

Tu umilkła, by nabrać tchu w swą chorą pierś, potem podniosła do ust jego rękę:

— Marku?

— Co, droga!

— Nie płacz za mną, i pamiętaj, że ty tam przyjdiesz do mnie. Krótco żyłam, ale Bóg dał mi duszę twoją. Więc chcę powiedzieć Chrystusowi, że choć umarłam, i choć patrzyłeś na śmierć moją, i choć zostałeś w żalu, jednak nie bluźniłeś przeciw Jego woli i miłujesz Go zawsze. A ty Go będziesz miłował i zniesiesz cierpliwie śmierć moją?... Bo wówczas On nas połączy, a ja cię kocham i chcę być z tobą...

Tu znów zbrakło jej oddechu i ledwie dosłyszalnym głosem skończyła:

— Przyrzec mi to Marku!...

Winicyusz objął ją drżącemi rękoma i odrzekł:

— Na twoją świętą głowę! — przyrzekam!...

XLVI.

R e z y g n a c y a.

Oboje mimowoli, w myślach i rozmowach, nawet w pragnieniach i nadziejach, oddalali się coraz bardziej od życia i tracili jego poczucie. Oboje zmieniali się stopniowo w duchy smutne, rozmiłowane w sobie i w Chrystusie i gotowe odlecieć. Czasem tylko w jego sercu zrywał się jeszcze ból, jak wichur, czasem błysnęła, jak błyskawica, nadzieja, zrodzona z miłości i wiary w miłosierdzie Ukrzyżowanego Boga, lecz codziennie więcej i on odrywał się od ziemi, a oddawał się śmierci. Przestała go przerażać nawet groza mąk, miał bowiem poczucie, że to jest rzecz, przez którą można przejść jakby w zamyśleniu, z oczyma utkwionemi w coś innego. Obojgu zdawało się, że poczyna ich już ogarniać wieczność. Rozmawiali o miłości, o tem, jak będą miłowali się i żyli razem, ale jedynie z tamtej strony grobu, i jeśli czasem myśl ich zwracała się jeszcze ku rzeczom ziemskim, to tylko jak myśl ludzi, którzy, gotując się w wielką drogę, rozmawiają o przygotowaniach podróży. Zresztą otaczała ich cisza taka, jaka otacza dwie kolumny, stojące gdzieś na pustkowiu i zapomniane. Chodziło im już tylko o to, by Chrystus ich nie rozdzielił; a gdy każda chwila wznosiła w nich tę pewność, rozkochali się w Nim, jak w ogniwie, które ich miało połączyć, jak w nieskończonem szczęściu

i w nieskończonym spokoju. Na ziemi jeszcze opadał z nich proch ziemi. Dusze stały się w nich czyste, jak łzy. Pod grozą śmierci, wśród nędzy i cierpień, na barłogu więziennym poczęło się dla nich niebo, albowiem ona brała go za rękę i prowadziła, jakby już zbawiona i święta, do wieczystego źródła życia.

A Petroniusz zdumiewał się, widząc w twarzy Winicyusza coraz większy spokój i jakieś dziwne blaski, których nie widywał dawniej. Chwilami nawet rodziły się w jego umyśle przypuszczenia, że Winicyusz znalazł jakowąś drogę ratunku, i było mu przykro, że go w swe nadzieje nie wtajemnicza.

Wreszcie, nie mogąc wytrzymać, rzekł mu:

— Teraz ty wyglądasz inaczej, więc nie czyn przedemną tajemnicy, bo chcę i mogę ci być pomocnym: czy ułożyłeś co?

— Ułożyłem — odpowiedział Winicyusz — ale ty nie możesz mi być już pomocny. Oto po jej śmierci wyznam, że jestem chrześcijaninem i pójdę za nią.

— Więc nie masz nadziei?

— Owszem, mam. Chrystus mi ją odda i nie rozłączę się z nią już nigdy.

Petroniusz począł chodzić po atrium z wyrazem rozczarowania i zniecierpliwienia w twarzy, poczem rzekł:

— Na to nie potrzeba waszego Chrystusa, albowiem tę samą usługę może ci oddać nasz Tanatos ¹⁾.

A Winicyusz uśmiechnął się smutno i rzekł:

— Nie drogi, ale ty tego nie chcesz zrozumieć.

— Nie chcę i nie mogę — odpowiedział Petroniusz. — Nie czas na rozprawę, ale pamiętasz, coś mówił, gdy nam się nie udało wyrwać jej z Tulianum. Ja straciłem wszelką nadzieję, a tyś rzekł, gdyśmy wrócili do domu: „A ja wierzę, że Chrystus może mi ją wrócić“. Niechże ci ją wróci. Gdy rzucę kosztowną czarę w morze, nie potrafi oddać

¹⁾ Geniusz śmierci.

mi jej żaden z naszych bogów, ale jeśli i wasz nie lepszy, to nie wiem, dlaczegobym miał go czcić więcej od dawnych.

— On też mi ją odda — odrzekł Winicyusz.

Petroniusz wzruszył ramionami.

— Czy wiesz — zapytał — że chrześcijanami mają jutro oświecić ogrody Cezara?

— Jutro? — powtórzył Winicyusz.

I wobec blizkiej strasznej rzeczywistości serce zadrgało w nim jednak bólem i przerażeniem. Pomyślał, że to może ostatnia noc, którą będzie mógł spędzić z Ligią, więc, pożegnawszy Petroniusza, udał się śpiesznie do dozorca „putykulów“ po swoją tesserę.

Lecz tu czekał go zawód, dozorca albowiem nie chciał mu dać znaku.

— Wybacz, panie — rzekł. — Uczyniłem dla ciebie com mógł, ale nie mogę narażać życia. Dziś w nocy mają wyprowadzać chrześcijan do ogrodów Cezara. W więzieniu pełno będzie żołnierzy i urzędników. Gdyby cię poznano, zginąłbym ja i moje dzieci.

Winicyusz zrozumiał, że próżno byłoby nalegać. Błysnęła mu jednak nadzieja, że żołnierze, którzy widywali go poprzednio, puszcza go może i bez znaku, więc za nadjeściem nocy, przebrawszy się jak zwykle w zgrzebną tunikę i obwiązawszy szmatą głowę, udał się do bram więzienia.

Lecz dnia tego, sprawdzano znaki z większą jeszcze ścisłością, niż zwykle, a co większa, setnik Scewinus, srogi i oddany duszą i ciałem Cezarowi żołnierz, poznał Winicyusza.

Lecz widocznie w jego okutej w żelazo piersi tliły się jakieś iskry litości dla ludzkiej niedoli, albowiem, zamiast uderzyć włócznią w tarczę na znak alarmu, odwiódł Winicyusza na bok i rzekł mu:

— Panie, wracaj do siebie. Poznałem cię, ale będę

milczał, nie chcąc cię gubić. Puścić cię nie mogę, ale wracaj i niech bogowie ześlą ci ukojenie.

— Puścić mnie nie możesz — rzekł Winicyusz — ale pozwól mi tu zostać i widzieć tych, których będą wyprawdzali.

— Mój rozkaz nie sprzeciwia się temu — odpowiedział Scewinus.

Winicyusz stanął przed bramą i czekał, póki nie poczną wyprowadzać skazańców. Wreszcie około północy rozwarły się szeroko bramy więzienia i ukazały się całe szeregi więźniów: mężczyzn, kobiet i dzieci, otoczone przez zbrojne oddziały pretoryanów. Noc była jasna bardzo — i pełnia, tak, że można było odróżnić nie tylko postaci, ale nawet i twarze nieszczęsnych. Szli parami, długim, posępnym korowodem, i wśród ciszy, przerywanej tylko brzękiem żołnierskich zbroi. Prowadzono ich tyłu, że zdawało się, iż wszystkie piwnice pozostaną próżne.

Przy końcu orszaku Winicyusz dostrzegł wyraźnie Glauka-lekarza, lecz ani Ligii, ani Urzusa nie było między skazanymi.

XLVII.

Pochodnie Nerona.

Mrok jeszcze nie zapadł, gdy już pierwsze fale ludu poczęły napływać do ogrodów Cezara. Tłumy, przybrane świątecznie, uwieńczone, ochocze i śpiewające, a w części pijane, szły patrzeć na nowe wspaniałe widowisko. Widowano już i poprzednio w Rzymie ludzi, palonych na słupach, lecz nigdy dotąd nie widziano takiej ilości skazanych. Cezar i Tygellin, chcąc skończyć z chrześcijanami, a zarazem zapobiedz zarazie, która z więzień rozchodziła się coraz bardziej po mieście, nakazali opróżnić wszystkie podziemia, tak, że zostało w nich zaledwie kilkudziesięciu ludzi, przeznaczonych na koniec igrzysk. To też tłumy, po przebyciu bram ogrodowych, oniemiały ze zdziwienia. Wszystkie aleje główne i boczne, biegnące wśród gęstwiny drzew, wokół łąk, kęp, stawów, sadzawek i poletków, obsianych kwieciami, nabite były smolnymi słupami, do których poprzywiązywano chrześcijan. Z wyższych miejsc, gdzie widoku nie zasłaniały drzewa, można było dostrzedz całe szeregi palów i ciał, przybranych w kwiaty, w liście mirtowe i w bluszcz, ciągnące się w głąb, po wyniosłościach i nizinach tak daleko, że, gdy bliższe wydawały się jak maszty naw, najdalsze przedstawiały się oczom, jak kolorowe, pozatykane w ziemię, tyrsy lub dzidy. Mnogość ich przeszła oczekiwania samego ludu. Można było pomyśleć,

że cały jakiś naród poprzywiązywano do słupów dla uciechy Rzymu i Cezara. Gromady widzów zatrzymywały się przed pojedynczymi masztami, w miarę jak zaciekawiały je postaci, wiek lub płeć ofiar, oglądały twarze, wieńce, girlandy bluszczu, poczem szły dalej i dalej, zadając sobie pełne zdumienia pytania: „Zali mogło być tylu winnych, lub jak mogły podpalić Rzym dzieci, zaledwie zdolne chodzić o własnej mocy?“ I zdumienie przechodziło z wolna w niepokój.

Tymczasem zapadł mrok i na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy. Wówczas przy każdym skazanym stanął niewolnik z płonąca pochodnią w ręku, a gdy odgłos trąb rozległ się w różnych częściach ogrodów, na znak rozpoczęcia widowiska, wszyscy przyłożyli płomień do spodu słupów.

Ukryta pod kwiatami i polana smołą słoma wnet zajęła się jasnym płomieniem, który, wzmagając się z każdą chwilą, rozkręcał zwoje bluszczów, wzbijał się ku górze i obejmował nogi ofiar. Lud umilkł, ogrody zabrzmiały jednym ogromnym jękiem i krzykami bóleści. Niektóre ofiary jednak, wznosząc głowy ku gwiazdzystemu niebu, poczęły śpiewać na cześć Chrystusa. Lud słuchał. Lecz najtwardsze serca napełniły się przerażeniem, gdy z mniejszych masztów rozdzierające dziecinne głosy poczęły wołać: „Mamo! mamó!“ i dreszcz przebiegł nawet pijanych widzów na widok owych główek i niewinnych twarzy, poprzekrzywianych bólem lub mdlejących w dymie, który począł dusić ofiary. A płomień szedł w górę i przepalał coraz nowe wieńce róż i bluszczów. Rozgorzały aleje główne i boczne, rozgorzały kępy drzew i łąki, i kwieciste poletki, rozbłysła woda w sadzawkach i stawach, poróżwiały drżące liście na drzewach i uczyniło się widno jak w dzień. Śwąd spalonych ciał napełnił ogrody, lecz w tej chwili niewolnicy poczęli sypać w przygotowane umyślnie między słupami kadzielnice myrrę i aloes. Między tłumem ozwały się tu i owdzie okrzyki, niewiadomo czy współ-

czucia, czy upojenia i radości, i wzmagały się z każdą chwilą wraz z ogniem, który obejmował słupy, wspinał się ku piersiom ofiar, skręcał palącym technieniem włosy na ich głowach, rzucał zasłonę na ich poczerniałe twarze, i wreszcie strzelał jeszcze wyżej, jakby na zwycięstwo i tryumf tej sile, która kazała go rozniecić.

Lecz jeszcze na początku widowiska zjawił się wśród ludu Cezar na wspaniałej cyrkowej kwadrydze, zaprzężonej w cztery białe rumaki, przybrany w ubiór woźnicy i barwę stronnictwa Zielonych, do którego i on, i jego dwór należał. Szły za nim inne wozy, pełne dworzan w świetnych strojach, senatorów, kapłanów i nagich bachantek z wieńcami na głowach i dzbanami wina w ręku, w części spitych i wydających dzikie okrzyki. Obok nich muzycy poprzebierani za faunów i satyrów, grali na cytrach, formingach, piszczałkach i rogach. Na innych wozach jechały matrony i dziewice rzymskie, również pijane i w pół nagie. Obok kwadryg skoczkowie potrząsali przybrane we wstążki tyrsy; inni bili w bębunki, inni sypali kwiaty. Cały ów świetny orszak posuwał się, wrzeszcząc: „evoe!“ najszerszą ogrodową drogą wśród dymów i wśród ludzkich pochodni. Cezar, mając przy sobie Tygellina i Chilona, którego przerażeniem pragnął się zabawić, sam powodował koźmi i, jadąc noga za nogą, spoglądał na płonące ciała, a zarazem słuchał okrzyków ludu. Stojąc na wysokiej złotej kwadrydze, otoczony falą ludzką, która kłaniała mu się do stóp, w blaskach ognia, w złotym wieńcu cyrkowego zwycięzcy, przerastał głową dworzan, tłumy, i wydawał się być olbrzymem. Potworne jego ramiona, wyciągnięte dla trzymania lejców, zdawały się błogosławić lud. W twarzy i przymrużonych oczach miał uśmiech, i jaśniał nad ludźmi, jak słońce, albo jak bóstwo, straszne, ale wspaniałe i potężne.

Chwilami kłaniał się ludowi, to znów, przeginając się w tył, ściągał złote lejce i rozmawiał z Tygellinem. Nakoniec, dojechawszy do wielkiej fontanny, stojącej w po-

środku dwóch krzyżujących się ulic, wysiadł z kwadrygi i skinąwszy na towarzyszków, zmieszał się z tłumem.

Przywitano go okrzykiem i oklaskami. Bachantki, nimfy, senatorowie, augustyanie, kapłani, fauny, satyry i żołnierze otoczyli go wraz szalonym kołem, on zaś mając po jednej stronie Tygellina, po drugiej Chilona, obchodził fontannę, naokół której płonęło kilkadziesiąt pochodni, zatrzymując się przed każdą, czyniąc uwagi nad ofiarą, lub drwiąc ze starego Greka, w którego twarzy malowała się bezbrzeżna rozpacz.

Nakoniec stanęli przed wysokim masztem, przybranym w mirty i okręconym w powój. Czerwone języki ognia dochodziły tu już do kolan ofiary, ale twarzy jej nie można było zrazu rozpoznać, gdyż świeże płonące gałązki przesłoniły ją dymem. Po chwili jednak lekki wiatr nocny zwiął dymy i odkrył głowę starca z siwą, spadającą na piersi brodą.

Na ten widok Chilo zwinął się nagle w kłęb, jak ranny gad, z ust zaś wyszedł mu okrzyk, raczej do krakania, niż do ludzkiego głosu, podobny:

— Glaukos! Glaukos!...

Jakoż istotnie z płonącego słupa patrzył na niego Glaukos-lekarz.

Żył jeszcze. Twarz miał zbolalą i pochyloną, jakby chciał po raz ostatni przypatrzeć się swemu katowi, który go zdradził, pozbawił go żony, dzieci, nasadził na niego zabójcę, a gdy to wszystko zostało mu w imię Chrystusa, odpuszczone, raz jeszcze wydał go w ręce oprawców. Nigdy człowiek nie wyrządził człowiekowi straszniejszych i bardziej krwawych krzywd. I oto ofiara płonęła teraz na smolnym słupie, a kat stał u jej stóp. Oczy Glauka nie odwracały się od twarzy Greka. Chwilami przesłaniał je dym, lecz gdy dmuchnął powiew, Chilo widział znów te utkwione w siebie źrenice. Podniósł się i chciał uciekać, lecz nie mógł. Nagle wydało mu się, że nogi jego są z ołowiu, i że jakaś niewidzialna ręka zatrzymuje go

z nadludzką siłą przed tym słupem. I skamieniał. Czuł tylko, że coś przepełnia się w nim, coś się zrywa, że dosyć ma mąk i krwi, że przychodzi koniec życia, i że wszystko znika naokół: i Cezar, i dwór, i tłumy, a otacza go tylko jakaś bezdenna, straszna i czarna pustka, w niej zaś widać tylko te oczy męczennika, które wzywają go na sąd. A tamten, schylając coraz niżej głowę, patrzył ciągle. Obecni odgadli, że między tymi ludźmi coś się dzieje, lecz śmiech zamarł im na ustach, w twarzy bowiem Chilona było coś straszego: wykrzywiła ją taka trwoga i taki ból, jak gdyby owe języki ognia paliły jego własne ciało. Nagle zachwiał się, i wyciągnąwszy w górę ramiona, zawołał okropnym, rozdzierającym głosem.

— Glauku! w imię Chrystusa! przebacz!!!

Uciszyło się naokół: dreszcz przebiegł obecnych i wszystkie oczy mimowoli podniosły się w górę.

A głowa męczennika poruszyła się lekko, poczem usłyszano z wierzchołka masztu podobny do jęku głos:

— Przebaczam!...

Chilo rzucił się na twarz, wyjąc, jak dziki zwierz, i nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę. Tymczasem płomienie strzeliły w górę, objęły piersi i twarz Glauka, rozplotły mirtową koronę na jego głowie i zajęły wstęgi na wierzchu słupa, który zajaśniał cały wielkiem, jaskrawem światłem.

Lecz Chilo podniósł się po chwili z twarzą tak zmienioną, iż augustyanom wydało się, że widzą innego człowieka. Oczy płonęły mu niezwykłym blaskiem, ze zmarszczonego czoła biło uniesienie: niedołączony przed chwilą Grek wyglądał teraz jak jakiś kapłan, który, nawiedzony przez bóstwo, chce odkryć prawdy nieznanne.

— Co z nim jest? oszalał! — ozwało się kilka głosów.

On zaś odwrócił się ku tłumom i, wyciągnąwszy w górę prawą rękę, począł wołać, a raczej krzyczeć tak donośnie, by nie tylko augustyanie, ale i tłuszcza mogła głos jego dosłyszeć:



Przebacz!

— Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten!!!..

I wskazał palcem na Nerona.

Nastąpiła chwila ciszy. Dworzanie zdrętwieli. Chilo stał ciągle z wyciągniętym, drżącym ramieniem i palcem zwróconym ku Cezarowi. Nagle uczyniło się zamieszanie. Lud naksztalt fali, pchniętej nagłym wichrem, rzucił się ku starcowi, chcąc mu się lepiej przypatrzeć. Tu i owdzie ozwały się krzyki: „Trzymaj!“ gdzieindziej: „Biada nam!“ W tłumie rozległ się świst i wrzaski: „Ahenobarbus! matkobójca! podpalacz!“ Bezład wzrastał z każdą chwilą. Bachantki, wrzeszcząc w niebogłose, poczęły się chronić na wozy. Nagle kilka przepalonych słupów przewróciło się, rozsypując wokół skry i powiększając zamęt. Ślepa, stłoczona fala ludu porwała Chilona i uniosła go w głąb ogrodu.

Wszędzie też słupy poczęły już przepalać się i padać w poprzek ulic, napełniając aleje dymem, skrami, swędem drzewa i swędem ludzkiego tłuszczu. Gasły światła dalsze i bliższe. W ogrodach pociemniało. Tłumy zaniepokojone, posępne i trwożne cisnęły się do bram. Wieść o tem, co zaszło, przechodziła z ust do ust, zmieniona i powiększona. Jedni opowiadali, że Cezar zemdłał, drudzy, że sam wyznał, iż kazał podpalić Rzym, trzeci, że zachorował ciężko, inni wreszcie, że wywieziono go, jak martwego na wozie. Tu i owdzie odzywały się głosy współczucia dla chrześcijan: „Nie oni spalili Rzym, po co więc tyle krwi, mąk i niesprawiedliwości? Czy bogowie nie będą się mścili za niewinnych, i jakież „piacula“ zdolają ich znów przebłagać?“ Słowa „innocentia corpora!“ powtarzały się coraz częściej. Kobiety litowały się głośno nad dziećmi, których tyle rzucono dzikim zwierzętom, poprzybijano na krzyże lub spalono w tych przeklętych ogrodach. I wreszcie politowanie zmieniało się w złorzeczenia Cezarowi i Tygellinowi. Lecz byli i tacy, którzy zatrzymując się nagle, zadawali sobie lub innym pytanie: „Cóż

to jest za bóstwo, które daje taką siłę wobec mąk i śmierci? I powracali do domów w zamyśleniu...

Chilo błąkał się zaś jeszcze po ogrodach, nie wiedząc, dokąd iść i gdzie się obrócić. Teraz uczuł się znów bezsilnym, niedołężnym i chorym starcem. Chwilami potykał się o niedopalone ciała, potraçał główne, które wysyłały w ślad za nim roje iskier, chwilami siadał, spoglądając naokół bezprzytomnym wzrokiem. Ogrody stały się już prawie całkiem ciemne; między drzewami poruszał się tylko błądy księżyc, rozświecając niepewnym światłem aleje, zczerniałe leżące w poprzek słupy i zmienione w bezkształtne bryły niedogarki ofiar. Lecz staremu Grekowi wydało się, że w księżycu widzi twarz Glauka, i że oczy jego patrzą nań jeszcze ciągle, i chował się przed światłem. Wreszcie jednak wyszedł z cienia i mimowoli, jakby party jakąś nieznaną siłą, począł kierować się ku fontannie, przy której oddał ducha Glaukos.

Wtem jakaś ręka dotknęła jego ramienia.

Starzec odwrócił się i, widząc przed sobą nieznaną postać, zawołał z przerażeniem:

— Kto tam! Ktoś ty jest?

— Apostoł, Paweł z Tarzu.

— Jam przeklęty!... Czego chcesz?

A Apostoł odrzekł:

— Chcę cię zbawić.

Chilo oparł się o drzewo.

Nogi chwiałały się pod nim i ramiona zwisły mu wzdłuż ciała.

— Dla mnie niemasz zbawienia! — rzekł głucho.

— Zali słyszałeś, że Bóg przebaczył żałującemu łotrowi na krzyżu? — zapytał Paweł.

— Zali wiesz, com ja uczynił?

— Widziałem boleść twoją i słyszałem, jakoś dał świadectwo prawdzie.

— O panie!!..

— I gdy sługa Chrystusów przebaczył ci w godzinie męki i śmierci, jakżeby ci Chrystus nie miał przebaczyć?

A Chilo chwycił rękoma głowę, jak w obłąkaniu:

— Przebaczenie! dla mnie przebaczenie!

— Bóg nasz, to Bóg Miłosierdzia — odpowiedział Apostoł.

— Dla mnie!? — powtórzył Chilo.

I począł jęczeć, jak człowiek, któremu zbrakło sił, by mógł opanować ból i mękę, Paweł zaś rzekł:

— Oprzyj się na mnie i pójdz ze mną.

I, wzięwszy go, szedł z nim ku krzyżującym się ulicom, kierując się głosem fontanny, która zdawała się płakać wśród nocnej ciszy nad ciałami pomęczonych.

— Bóg nasz, to Bóg Miłosierdzia — powtórzył Apostoł. — Gdybyś stanął nad morzem i rzucał w nie kamienie, czybyś mógł zarzucić nimi głębinę morską? A ja ci mówię, że miłosierdzie Chrystusa jest jako morze i że grzechy i winy ludzkie potoną w niem, jako kamienie w otchłani. I mówię ci, że jest jako niebo, które pokrywa góry, łądy i morza, albowiem jest wszędzie i niemasz mu granicy ni końca. Tyś cierpiał u stóp Glauka i Chrystus widział twoje cierpienie. Tyś rzekł, nie bacząc na to, coć jutro spotkać może: „Ten jest podpalaczem!“ i Chrystus spamiętał słowa twoje. Bowiem minęła twoja złość i kłamstwo, a w sercu został jeno żal nieprzebrany... Chodź ze mną i słuchaj, co ci powiadam: otom ja także nienawidził Go i prześladował Jego wybranych. Jam Go nie chciał i nie wierzył w Niego, póki mi się nie ukazał i nie powołał mnie. I odtąd On jest miłością moją. A teraz ciebie nawiedził zgryzotą, trwogą i boleścią, aby cię powołać ku sobie. Tyś Go nienawidził, a On kochał cię. Tyś wydawał na męki Jego wyznawców, a On chce Ci przebaczyć i zbawić cię.

Piersią nędzarza poczęło wstrząsać łkanie ogromne, od którego rozdzierała się w nim dusza do dna, a Paweł ogarniał go, opanowywał i wiódł, jak żołnierz wiedzie jeńca.

I po chwili znów mówić począł:

Pójdź za mną, a ja cię powiodę do Niego. Dla jakiejż innej przyczyny przychodziłbym do ciebie? Ale oto On rozkazał mi zbierać dusze ludzkie w imię miłości, więc spełniam służbę Jego. Ty mniemasz, żeś przeklęty, a ja ci mówię: uwierz w Niego, a czeka cię zbawienie. Ty myślisz, żeś znienawidzon, a ja ci powtarzam, że On miłuje cię. Patrz na mnie! Gdym Jego nie miał, nic nie miałem krom złości, która mieszkała w sercu mojem, a teraz Jego miłość starczy mi za ojca i matkę, za bogactwa i królowanie. W Nim jednym ucieczka, On jeden policzy twój żal, wejrzy na nędzę twoją, zdejmie z ciebie trwogę i podniesie cię do siebie.

Tak mówiąc, przywiódł go do fontanny, której srebrny strumień połyskiwał zdala w miesięcznem świetle. Naokół była cisza i pustka, albowiem służba niewolnicza uprzątneła już tu zwęglone słupy i ciała męczenników.

Chilo rzucił się z jękiem na kolana i, ukrywszy twarz w dłoniach, pozostał bez ruchu, Paweł zaś podniósł twarz ku gwiazdom i począł się modlić:

— Panie, spojrzij na tego nędzarza, na żal jego, na łzy i mękę! Panie Miłosierdzia, któryś przelał krew za winy nasze, przez Twoją mękę, przez śmierć i zmartwychwstanie odpuść mu!

Poczem umilkł, lecz długo jeszcze patrzył w gwiazdy i modlił się.

A wtem z pod jego stóp ozwało się podobne do jęku wołanie:

— Chryste!... Chryste!... odpuść mi!...

Naówczas Paweł zbliżył się do fontanny i, nabrawszy wody w dłonie, wrócił do klęczącego nędzarza:

— Chilonie! oto cię chrzczę w imię Ojca, i Syna, i Ducha! amen!

Chilo podniósł głowę, rozłożył ręce i pozostał tak bez ruchu. Księżyc oświecał pełnem światłem jego zbiełałe włosy i równie białą, nieruchomą, jakby umarłą lub

wykutą z kamienia twarz. Chwile płynęły jedna za drugą; z wielkich ptaszarni, umieszczonych w ogrodach Domicyi, poczęło dochodzić pianie kogutów, a on klęczał jeszcze podobny do nagrobno go posągu.

Wreszcie ocknął się, wstał i, zwróciwszy się do Apostoła, zapytał:

— Co mam czynić przed śmiercią, panie?

Paweł również rozbudził się z zadumy nad tą niezmierną potęgą, której nie mogły oprzeć się nawet takie duchy, jak tego Greka i odrzekł:

— Ufaj, i daj świadectwo prawdzie!

Poczem wyszli razem. U bram ogrodu Apostoła pobłogosławił raz jeszcze starca i rozstali się, albowiem wymagał tego sam Chilo, przewidując, że po tem, co zaszło, Cezar i Tygellinus każą go ścigać.

Jakoż nie mylił się. Wróciwszy do siebie, zastał już dom otoczony przez pretoryanów, którzy porwali go i pod wodzą Scewinusa zawiedli na Palatyn.

Cezar udał się już był na spoczynek, lecz Tygellin czekał, i ujrzawszy nieszczęsnego Greka, powitał go z twarzą spokojną, ale złowrogą.

— Popełniłeś zbrodnię obrazy majestatu — rzekł mu — i kara cię nie minie. Lecz jeśli jutro oświadczysz w amfiteatrze, żeś był pijany i szalony, i że sprawcami pożaru są chrześcijanie, kara twoja skończy się na chłóście i wygnaniu.

— Nie mogę, panie! — odpowiedział cicho Chilo.

A Tygellin zbliżył się do niego krokiem powolnym i głosem również przyciszonym, ale strasznym, zapytał:

— Jakto, nie możesz, psie grecki? Zaliś nie był pijany i zaliś nie rozumiesz, co cię czeka? Spójrz tam!

I to rzekłszy, wskazał na kąt atrium, w którym obok długiej drewnianej ławy stało w mroku czterech nieruchomych niewolników trackich z powrozami i obcęgami w ręku.

A Chilo odrzekł:

— Nie mogę, panie!

Tygellina poczęła ogarniać wściekłość, lecz pohamował się jeszcze.

— Widziałeś — zapytał — jak umierają chrześcijanie? Czy chcesz tak umrzeć?

Starzec wznosił w górę wybladłą twarz; czas jakiś wargi jego poruszały się cicho, poczem odrzekł:

— I ja wierzę w Chrystusa!...

Tygellin spojrział na niego ze zdumieniem:

— Psie, tyś oszalał naprawdę!

I nagle nagromadzona w jego piersi wściekłość zerwała tamę. Skoczywszy do Chilona, chwycił go obiema rękami za brodę, zwałił na ziemię i począł deptać, powtarzając z pianą na ustach:

— Odwołasz! odwołasz!...

— Nie mogę! — odpowiedział mu z ziemi Chilo.

— Na męki z nim!

Usłyszawszy ów rozkaz, Trakowie porwali starca i położyli go na ławę, poczem przytwierdziwszy go do niej za pomocą sznurów, poczęli cęgami ścisnąć jego wychudłe pizsczele. Lecz on, w czasie gdy go przywiązywano, całował z pokorą ich ręce, następnie zaś przymknął oczy i wydawał się jak umarły.

Żył jednak, gdy bowiem Tygellin pochylił się nad nim i raz jeszcze zapytał: „Odwołasz?” zbiele jego wargi poruszyły się lekko i wyszedł z nich zaledwie dosłyszalny szept:

— Nie... mogę!...

Tygellin kazał przerwać męki i jał chodzić po atrium z twarzą zmienioną przez gniew, lecz zarazem bezradną. Nakoniec widocznie przyszła mu do głowy jakaś nowa myśl, albowiem zwrócił się do Traków i rzekł:

— Wyrwać mu język!

XLVIII.

Śmierć Chilona.

Dramat „Aureolus“ dawano zwykle w teatrach lub amfiteatrach tak urządzonych, iż mogły otwierać się i tworzyć jakby dwie odrębne sceny. Lecz po widowisku w ogrodach Cezara zaniechano zwykłego sposobu, szło bowiem o to, by jak największa liczba ludzi mogła patrzeć na śmierć przybitego do krzyża niewolnika, którego w dramacie pożerał niedźwiedź. W teatrach rolę niedźwiedzia grywał obsyty w skórę aktor, tym razem jednak przedstawienie miało być „prawdziwe“. Był to nowy pomysł Tygellina. Cezar początkowo zapowiedział, że nie przybędzie, lecz z namowy faworyta zmienił zdanie. Tygellinus wytłómaczył mu, że po tem, co zaszło w ogrodach, tembardziej powinien pokazać się ludowi, i zarazem zaręczył, że ukrzyżowany niewolnik nie zelży go już, tak jak uczynił to Kryspus. Lud był już nieco przesycony i zmęczony przelewem krwi, zapowiedziano mu więc nowe rozdawnictwo biletów loteryjnych i podarków, a zarazem ucztę wieczorną, przedstawienie bowiem miało się odbywać wieczorem, w rześcisie oświetlonym amfiteatrze.

Jakoż o zmroku cały budynek nappełnił się szczelnie; augustyianie z Tygellinem na czele przybyli wszyscy, nie tyle dla samego widowiska jak dla okazania po ostatniem

zajściu Cezarowi swej wierności i porozmawiania o Chilonie, o którym mówił cały Rzym.

Opowiadano więc sobie na ucho, że Cezar wróciwszy z ogrodów, wpadł w wściekłość i nie mógł zasnąć, że opadały go strachy i dziwne widzenia, skutkiem których nazajutrz zapowiedział swój prędki wyjazd do Achai. Inni wszelako przeczyli temu, twierdząc, że teraz okaże się tembardziej nieubłaganym względem chrześcijan. Nie brakło jednak i tchórzów, którzy przewidywali, że oskarżenie, jakie Chilon rzucił w twarz Cezarowi wobec tłumów, może mieć najgorsze następstwa. Byli wreszcie i tacy, którzy przez ludzkość prosili Tygellina, by zaniechał dalszych prześladowań.

— Patrzcie, dokąd idziecie, — mówił Barkus Soranus. — Chcieliście zaspokoić zemstę ludu i wpoić w niego przekonanie, że kara spada na winnych, a skutek jest wprost przeciwny.

— Prawda! — dodał Antystyusz Werus — wszyscy szepczą sobie teraz, że oni niewinni. Jeśli to ma być zręczność, to Chilo miał słuszność, mówiąc, że wasze mózgi nie napełniłyby żołądźkowej miseczki.

Tygellin zaś zwrócił się do nich i rzekł:

— Ludzie szepczą sobie także, że twoja córka, Sęrwilia, Barku Soranusie, i twoja żona, Antystyuszu, poukrywały swych niewolników chrześcijan przed sprawiedliwością Cezara.

— To nieprawda! — zawołał z niepokojem Barkus.

— Żonę moją chcą zgubić wasze rozwódki, które zazdroszczą jej cnoty! — rzekł z niemniejszym niepokojem Antystyusz Werus.

Lecz inni rozmawiali o Chilonie.

— Co mu się stało? — mówił Epryus Marcellus. — Sam ich wydawał w ręce Tygellina; z nędzarza stał się bogaczem, mógł dożyć spokojnie swych dni, mieć piękny pogrzeb i nagrobek, tymczasem, nie!! Naraz wolał stracić wszystko i zgubić się; doprawdy: chyba oszalał!

— Nie oszalał, ale został chrześcijaninem — rzekł Tygellin.

— Chyba nie może być! — ozwał się Witeliusz.

— A czy ja nie mówiłem! — wtrącił Westynus. — Mordujcie sobie chrześcijan, ale, wierzajcie mi, nie wojujcie z ich bóstwem. Tu niema żartów!... Patrzcie, co się dzieje! Ja tam nie paliłem Rzymu, ale gdyby mi Cezar pozwolił, zarazbym dał hekatombę ich bóstwu. I wszyscy powinni to samo uczynić, bo powtarzam: z niem niema żartów! Pamiętajcie, żem wam to mówił.

— A ja mówiłem co innego — rzekł Petroniusz. — Tygellin śmiał się, gdym twierdził, że oni się bronią, a ja teraz powiem więcej: oni zdobywają!

— Jakto? jakto? — spytało kilka głosów.

— Na Polluxa!... Bo jeśli taki Chilo im się nie oparł, któż im się oprze! Jeśli myślicie, że po każdym widowisku nie przybywa chrześcijan, tedy z waszą znajomością Rzymu zostańcie kotlarzami, lub zacznijcie brody golić, wówczas bowiem będziecie lepiej wiedzieli, co lud myśli i co się w mieście dzieje.

— Mówi czystą prawdę, na święte peplum Dyany! — zawołał Westynus.

Lecz Barkus zwrócił się do Petroniusza:

— Do czego prowadzisz?

— Kończę na tem, od czegoście zaczęli: dość już krwi!

A Tygellin spojrział na niego szydersko i rzekł:

— Ej! jeszcze trochę!

— Jeśli nie starczy ci głowy, masz drugą w gałce od laski! — odparł Petroniusz.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie Cezara. Zaraz potem zaczęło się przedstawienie „Aureolusa“ na które nie bardzo zważano, myśli bowiem zajęte były Chilonem. Lud, przywykły do mąk i krwi, nudził się także, sykał, wydawał niepoehlebne dla dworu okrzyki i wołał o przyspieszenie sceny z niedźwiedziem, której jedynie był cie-

kawy. Gdyby nie nadzieja ujrzenia skazanego starca i podarków, samo widowisko nie zdołałoby zatrzymać tłumów.

Ale wreszcie nadeszła oczekiwana chwila. Pachołcy cyrkowi wnieśli naprzód drewniany krzyż, dość niski, by niedźwiedź, wspiąwszy się, mógł dosięgnąć do piersi męczennika, a następnie dwóch ludzi wprowadziło, a raczej przywlokło Chilona, albowiem sam, mając pokruszone kości u nóg, iść nie mógł. Położono go i przybito do drzewa tak prędko, że zaciekawieni augustyanie nie mogli mu się nawet dobrze przypatrzeć, i dopiero po umocowaniu krzyża, w przygotowanym umyślnie dole, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Lecz mało kto mógł poznać w tym nagim starcu dawnego Chilona. Po męczarniach, które kazał mu zadać Tygellin, w twarzy nie zostało mu ani kropli krwi i tylko na białej brodzie widać było czerwony ślad, który zostawiła krew po wyrwaniu języka. Przez przeźroczystą skórę nieledwie można było dojrzeć jego kości. Wydawał się też daleko starszym, niemal zgrzybiałym. Ale natomiast niegdyś oczy jego rzucały wiecznie pełne niepokoju i złości spojrzenia, czujne oblicze jego odbijało dawniej wieczną trwogę i niepewność, teraz zaś twarz miał bolesną, ale tak słodką i pogodną, jak miewają ludzie śpiący lub umarli. Może ufności dodawała mu pamięć o łotrze na krzyżu, któremu Chrystus przebaczył, a może też mówił w duchu miłosiernemu Bogu: „Panie, kąsałem, jak jadowity robak, ale oto byłem przez całe życie nędzarzem, przymierałem głodem, ludzie deptali po mnie, bili mnie i znęcali się nade mną. Byłem, Panie biedny i bardzo nieszczęśliwy, a oto teraz jeszcze położono mnie na męki i przybito na krzyż, więc Ty, Miłosierny, nie odepchniesz mnie w godzinie śmierci!“ I spokój zstąpił widocznie w jego skruszone serce. Nikt nie śmiał się, było bowiem w tym ukrzyżowanym coś tak cichego, wydawał się tak starym, bezbronnym, słabym, tak wołającym swą pokorą o litość, że mimowoli każdy zadawał sobie pytanie: jak można męczyć i przybijać na krzyż ludzi, którzy już i tak

konają? Tłum milczał. Między augustyanami Westynus, pochylając się na prawo i na lewo, szeptał przestraszonym głosem: „Patrzcie, jak oni umierają!“ inni czekali na niedźwiedzia, życząc sobie w duszy, by widowisko skończyło się jak najprędzej.

Niedźwiedź wtoczył się wreszcie na arenę i, chwiejąc nisko schyloną głową na obie strony, spoglądał naokół z podełba, jakby się nad czemś namyslał, lub czegoś szukał. Dostrzegłszy wreszcie krzyż, a na nim nagie ciało, zbliżył się ku niemu, podniósł się nawet, lecz po chwili opuścił się znów na przednie łapy, i siadłszy pod krzyżem, począł mruzczyć, jakby i w jego zwierzęcem sercu ozwała się litość nad tym szczątkiem człowieka.

Z ust służby cyrkowej ozwały się podniecające okrzyki, lecz lud milczał. Chilon tymczasem podniósł wolnym ruchem głowę i czas jakiś wodził oczyma po widowni. Na koniec wzrok jego zatrzymał się gdzieś na najwyższych rzędach amfiteatru, piersi poczęły mu grać żywiej i wówczas stało się coś, co wprawilo w podziw i zdumienie widzów. Oto twarz zajaśniała mu uśmiechem, czoło otoczyły mu jakby promienie, oczy podniosły się przed śmiercią ku górze, a po chwili, dwie wielkie łzy wezbrane pod powiekami, spłynęły mu zwolna po twarzy.

I umarł.

A wtem jakiś donośny, męski głos zawołał w górze pod welaryum:

— Pokój męczennikom!!

W amfiteatrze panowało głucho milczenie.

XLIX.

Ostatnia sławka.

Petroniusz postanowił spróbować ostatniego środka.

Jakoż na uczcie u Nerwy Cezar sam zażądał, by Petroniusz spoczął naprzeciw niego, chciał bowiem rozmawiać z nim o Achai i o miastach, w których mógłby z widokami największego powodzenia wystąpić. Chodziło mu najbardziej o Ateńczyków, których się bał. Inni augustykanie słuchali tej rozmowy ze skupieniem, aby, pochwytawszy okruszyny zdań Petroniusza, podawać je później za swoje własne.

— Zdaje mi się, żem dotąd nie żył — rzekł Nero — i że narodzę się dopiero w Grecyi.

— Narodzisz się dla nowej sławy i nieśmiertelności. — odrzekł Petroniusz.

— Ufam, że tak się stanie, i że Apollo nie okaże się zazdrosnym. Jeśli wrócę z tryumfem, ofiaruję mu hekatombę, jakiej żaden bóg nie miał dotąd.

Scewinus począł powtarzać wiersz Horacyusza:

„Sic te diva potens Cypri
sic fratres Helenae, lucida sidera,
ventorumque regat Pater...“¹⁾

¹⁾ Niech cię prowadzi potężna bogini Cypru i bracia Heleny, gwiazdy świetne i ojciec wichrów... (*Przyp. wyd.*)

— Okręt stoi już w Neapolis — rzekł Cezar. — Chciałbym wyjechać choćby jutro.

Na to Petroniusz podniósł się i, patrząc wprost w oczy Nerona, rzekł:

— Pozwolisz, boski, że wpierw wyprawię ucztę weselną, na którą ciebie przed innymi zaproszę.

— Ucztę weselną? jaką? — spytał Neron.

— Winicyusza z córką króla Ligów, a twoją zakładniczką. Ona wprawdzie jest obecnie w więzieniu, ale naprzód, jako zakładniczka, nie może być więziona, a powtóre, sam zezwoliłeś Winicyuszowi poślubić ją, że zaś wyroki twoje, jak wyroki Zeusa, są niecofnione, przeto każesz ją wypuścić z więzienia, a ja oddam ją oblubieńcowi.

Zimna krew i spokojna pewność siebie, z jaką mówił Petroniusz, stropiły Nerona, który tropił się zawsze, ilekroć ktoś mówił do niego w ten sposób.

— Wiem — odrzekł, spuszcżając oczy. — Myślałem o niej i o tym olbrzymie, który zadusił Krotona.

— W takim razie oboje są ocaleni — odpowiedział spokojnie Petroniusz.

Lecz Tygellinus przyszedł w pomoc swemu panu:

— Ona jest w więzieniu z woli Cezara, sam zaś rzekłeś Petroniuszu, że wyroki jego są niecofnione.

Wszyscy obecni, znając historię Winicyusza i Ligii, wiedzieli doskonale, o co chodzi, więc umilkli, zaciekawieni, jak skończy się rozmowa.

— Ona jest w więzieniu przez twoją pomyłkę i przez twoją nieznamość prawa narodów, wbrew woli Cezara — odrzekł z naciskiem Petroniusz. — Jesteś, Tygellinie, najwinnym człowiekiem, ale przecie i ty nie będziesz twierdził, że ona podpałiła Rzym, bo zresztą, gdybyś tak nawet twierdził, Cezar-by ci nie uwierzył.

Lecz Nero ochłonał już i począł przymrużać swe oczy krótkowidza z wyrazem nieopisanej złośliwości.

— Petroniusz ma słuszość — rzekł po chwili.

Tygellinus spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Petroniusz ma słuszość — powtórzył Nero — jutro otworzą jej bramy więzienia, a o uczcie weselnej pomówimy pojutrze, w amfiteatrze.

— Przegrałem znowu — pomyślał Petroniusz.

I, wróciwszy do domu, był już tak pewien, że nad-
szedł kres życia Ligii, iż nazajutrz wysłał do amfiteatru
zaufanego wyzwolenca, aby ułożył się z przełożonym spo-
liarium o wydanie jej ciała, chciał bowiem oddać je Wi-
nicyuszowi.

L.

Na głowie tura.

Za czasów Nerona weszły w zwyczaj, rzadkie dawniej i wyjątkowo tylko dawane, przedstawienia wieczorne, tak w cyrku, jak i w amfiteatrach. Augustyianie lubili je, często bowiem po nich następowały uczty i pijatyki, trwające aż do rana. Jakkolwiek lud przesycony był już przelewem krwi, jednakże, gdy rozeszła się wieść, że nadchodzi koniec igrzysk i że ostatni chrześcijanie mają umrzeć na wieczornem widowisku, nieprzeliczone tłumy ściągnęły do amfiteatru. Augustyianie stawili się, jak jeden człowiek, domyślali się bowiem, że nie będzie to zwykłe przedstawienie i że Cezar postanowił wyprawić sobie tragedję z boleści Winicyusza. Tygellin zachował tajemnicę, jaki rodzaj męki przeznaczony był dla narzeczonej młodego trybuna, ale to podniecało tylko powszechną ciekawość. Ci, którzy widywali niegdyś Ligię u Plaucyuszów, opowiadali teraz cuda o jej piękności. Innych zajmowało przede wszystkim pytanie, czy istotnie ujrzą ją dziś na arenie, wielu bowiem z pomiędzy tych, którzy słyszeli odpowiedź, jaką Cezar dał Petroniuszowi u Nerwy, tłómaczyło ją sobie podwójnie. Niektórzy przypuszczali wprost, że Nero odda lub może już oddał dziewicę Winicyuszowi: przypominano sobie, że była zakładniczką, której wolno

było zatem cześć takie bóstwa, jakie jej się podobały, i której prawo narodów nie pozwalało karać.

Niepewność, oczekiwanie i zaciekawienie opanowały wszystkich widzów. Cezar przybył wcześniej, niż zwykle, i wraz z jego przybyciem poczęto znów sobie szeptać, że jednak nastąpi zapewne coś nadzwyczajnego, gdyż Nero-nowi, prócz Tygellina i Watyniusza, towarzyszył Kassysz, centuryon olbrzymiej postawy i olbrzymiej siły, którego Cezar brał z sobą tylko wówczas, gdy chciał mieć przy boku obrońcę. Spostrzeżono także, że w samym amfitea-trze zostały przedsięwzięte pewne środki ostrożności. Straże pretoriańskie powiększono, komendę zaś nad nimi miał nie centuryon, ale trybun, Subryusz Flawiusz, znany do-tychczas ze ślepego przywiązania do Nerona. Zrozumiano wówczas, że Cezar pragnie się na wszelki wypadek ubez-pieczyc przed wybuchem rozpacz Winicyusza, i cieka-wość wzrosła jeszcze bardziej.

Wszystkie spojrzenia zwracały się z natężonem za-jęciem na miejsce, na którym siedział nieszczęsny oblubie-niec. On zaś, blady bardzo, z czołem pokrytem kroplami potu, niepewny był, jak i inni widzowie, ale zaniepokojony do ostatnich głębin duszy. Petroniusz, sam nie wie-dząc dokładnie, co nastąpi, nie powiedział mu nic, tylko zapytał go, wróciwszy od Nerwy, czy gotów jest na wszystko, a następnie, czy będzie na widowisku. Wini-cyusz odpowiedział na oba pytania: „Tak!“ ale przytem mrowie przeszło mu przez całe ciało, domyślił się bowiem, że Petroniusz nie pyta bez przyczyny. Sam on żył już od niejakiego czasu jakby tylko półżyciem, sam pogrążył się w śmierci i zgodził się na śmierć dla Ligii, miała ona bo-wiem być dla nich obojga zarazem wyzwoleniem i ślu-bem, ale teraz poznał, że inna rzecz jest myśleć z daleka o ostatniej chwili, jak o spokojnem zaśnięciu, a inna pójść patrzeć na męczarnie istoty, droższej nad życie. Wszyst-kie dawniej przebyte bóle odezwały się w nim na nowo. Uciszona rozpacz poczęła znów krzyczeć w duszy; ogar-

nęła go dawna chęć ratowania Ligii za wszelką cenę. Od rana chciał się dostać do kunikulów, by się przekonać, czy Ligia w nich się znajduje, ale strażę pretoryańskie pilnowały wszystkich wejść i rozkazy były tak surowe, że żołnierze, nawet znajomi, nie dali się zmiękczyć ni prośbą, ni złotem. Winicyuszowi wydawało się, że niepewność zabije go wprzód, nim ujrzy widowisko. Gdzieś na dnie serca kołatała mu się jeszcze nadzieja, że może Ligii niema w amfiteatrze i że wszystkie obawy są płonne. Chwilami czepiał się tej nadziei ze wszystkich sił. Mówił sobie, że Chrystus mógł ją przecie zabrać z więzienia, ale nie może pozwolić na jej mękę w cyrku. Dawniej zgodził się już był ze wszystkim na Jego wolę, teraz, gdy, odepchnięty od drzwi kunikulów, wrócił na swoje miejsce w amfiteatrze i gdy z zaciekawionych spojrzeń, jakie na niego zwracano, poznał, że najstraszniejsze przypuszczenia mogą być słuszne, począł Go błagać w duszy z namiętnością, podobną niemal do groźby, o ratunek. „Ty możesz!“ powtarzał, zaciskając konwulsyjnie ręce. „Ty możesz!“ Już nie prosił o jej życie, chciał tylko, by umarła, nim ją wywiodą na arenę, i z niezgłębionej otchłani bólu powtarzał w duszy: „Choć tego mi nie odmów, a ja Cię umiłuję bardziej jeszcze, niż miłowałem Cię dotąd“. W końcu myśli jego rozpełtały się, jak fale, targane wichrem. Budziła się w nim żądza zemsty i krwi. Porywała go szalona chęć rzucić się na Nerona i zdusić go wobec wszystkich widzów, a jednocześnie czuł, że tą żądzą obraża znowu Chrystusa i łamie Jego przykazania. Chwilami przelatywały mu przez głowę błyskawice nadziei, że to wszystko, przed czem drżała jego dusza, odwróci jeszcze wszechmocna i miłosierna ręka, lecz gasły natychmiast, jakby w niezmiernem rozżaleniu, że Ów, który mógł jednem słowem zburzyć ten cyrk i ocalić Ligię, opuścił ją jednak, chociaż ufała Mu i umiłowała Go ze wszystkich sił swego czystego serca. I myślał dalej, że to ona tam leży w ciemnym kunikulum, słaba, bezbronna, opuszczona,

goniąca może ostatnim tchem, on zaś musi czekać bezradnie w tym strasznym amfiteatrze, nie wiedząc, jaką obmyślano dla niej mękę i co za chwilę zobaczy. Wreszcie, jak człowiek, który, spadając w przepaść, chwytą się wszystkiego, co rośnie nad jej krawędzią, tak i on oburącz chwycił się myśli, że jednak tylko wiarą może ją ocalić. Wszak zostawał tylko ten jeden sposób! Wszak Piotr mówił, że wiarą ziemię można wzruszyć w posadach!

Więc skupił się, zgniótł w sobie zwątpienie, całą swą istotę zamknął w jedno słowo: wierzę, i czekał cudu.

Lecz, równie jak zbyt natężona struna musi pęknąć, tak i jego złamało wysilenie. Trupia bladeść pokryła mu twarz i ciało poczęło tężeć. Wówczas pomyślał, że błaganie jego zostało wysłuchane, bo oto umiera. Wydało mu się, że Ligia niezawodnie musiała już także umrzeć i że Chrystus bierze ich w ten sposób do siebie. Arena, białe togi nieprzeliczonych widzów, światło tysięcznych lamp i pochodni, wszystko razem znikło mu z oczu.

Ale owa niemoc nie trwała długo. Po chwili zbudził się, a raczej zbudziło go tupanie zniecierpliwionego ludu.

— Chory jesteś — rzekł mu Petroniusz — każ się odnieść do domu!

I, nie zważając, co powie na to Cezar, wstał, by podepnąć Winicyusza i wyjść z nim razem. Serce wezbrało mu litością, a przytem drażniło go do niewytrzymania to, że Cezar patrzył przez szmaragd na Winicyusza, studiując z zadowoleniem jego boleść, może dlatego, aby ją potem opisać w patetycznych strofach i zyskać poklask słuchaczy.

Winicyusz potrząsnął głową. Mógł umrzeć w tym amfiteatrze, ale nie mógł z niego wyjść. Wszakże przedstawienie miało się lada minuta rozpocząć.

Jakoż, w tej samej prawie chwili, prefekt miasta cisnął przed siebie czerwoną chustkę, a na ów znak zaskrzy-

biały wrzeczadze naprzeciwko cesarskiego podium i z ciemnej czeluści wyszedł na jasno oświetloną arenę Urzus.

Olbrzym mrugał powiekami, widocznie olśniony światłem areny, poczem wysunął się na jej środek, rozglądając się wkoło, jakby chcąc rozpoznać, z czem mu przyjdzie się spotkać. Wszystkim augustyanom i większości widzów wiadomo było, że to jest człowiek, który zadusił Krotona, więc na jego widok szmer rozległ się po wszystkich ławach. W Rzymie nie brakło gladyatorów, ogromniejszych o wiele nad zwykłą miarę ludzką, ale podobnego nie widziały jeszcze oczy Kwiryków. Kassysz, stojący w podium za Cezarem, wydawał się przy tym Ligu nikłym człowiekiem. Senatorowie, westalki, Cezar, augustyanie i lud patrzyli z zachwytem znawców i miłośników na jego potężne, grube, jak konary, uda, na piersi, podobne do dwóch połączonych tarcz, i na herkulesowe ramiona. Szmer wzrastał z każdą chwilą. Dla tych tłumów nie mogła wprost istnieć większa rozkosz, jak widzieć takie mięśnie w grze, w napięciu i w walce. Szmer zmieniał się w okrzyki i gorączkowe pytania, gdzie mieszka szczerp, który wydaje podobnych wielkoludów, ów zaś stał w środku amfiteatru, nagi, do kamiennego kolosu, niż do człowieka, podobniejszy, ze skupioną, a zarazem smutną twarzą barbarzyńcy, i, widząc pustą arenę, spoglądał ze zdziwieniem swemi niebieskimi oczyma dziecka, to na widzów, to na Cezara, to na kraty kunikulów, skąd oczekiwał katów.

W chwili, gdy wychodził na arenę, prostacze serce jego zakołatało po raz ostatni nadzieją, że może czeka go krzyż, lecz, gdy nie ujrzał ni krzyża, ni gotowego dołu, pomyślał, że niegodny jest tej łaski i że przyjdzie mu umrzeć inaczej, i zapewne od zwierząt. Był bezbronny i postanowił zginąć, jak przystało na wyznawcę „Baranka“, spokojnie i cierpliwie. Tymczasem chciał pomodlić się jeszcze do Zbawiciela, więc klękawszy na arenie, złożył

ręce i podniósł wzrok ku gwiazdom, migocącym przez górny otwór cyrku.

Postawa ta nie podobała się tłumom. Dostyc już miano tych chrześcijan, umierających jak owce. Zrozumiano, że jeśli olbrzym nie zechce się bronić, widowisko chybi. Tu i owdzie ozwały się sykania. Niektórzy poczęli wołać o mastygoforów, których zadaniem było chłostać szermierzy, nie chcących walczyć. Po chwili ucichło jednak wszystko, nikt bowiem nie wiedział, co czeka olbrzyma i czy nie zechce walczyć, gdy spotka się oko w oko ze śmiercią.

Jakoż nie czekano już długo. Nagle ozwał się przeraźliwy głos mosiężnych trąb, a na ów znak otworzyła się krata naprzeciw cesarskiego podium i na arenę wypadł wśród wrzasków bestyiarów potworny tur germański, niosący na głowie nagie ciało kobiece.

— Ligio! Ligio! — krzyknął Winicyusz.

Poczem chwycił rękoma włosy przy skroniach, zwinął się w lęk, jak człowiek, który uczuł w sobie ostrze włóczni, i chrapliwym, nieludzkim głosem począł powtarzać:

— Wierzę! wierzę!... Chryste! cudu!!

I nie czuł nawet, że w tej chwili Petroniusz zakrył mu głowę togą. Zdawało mu się, że to śmierć lub ból przesłania mu oczy. Nie patrzył, nie widział. Ogarnęło go uczucie jakiejś strasznej próżni. W głowie nie pozostała mu ani jedna myśl, usta tylko powtarzały jakby w obłąkaniu:

— Wierzę! wierzę! wierzę!...

Wtem amfiteatr umilkł. Augustyanie podnieśli się, jak jeden człowiek z miejsc, gdyż na arenie stało się coś nadzwyczajnego. Oto pokorny i gotowy na śmierć Lig, ujrawszy swą królowną na rogach dzikiej bestyi, zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem i, pochyliwszy grzbiet, począł biedz pod kątem ku rozszalałemu zwierzęciu.

Ze wszystkich piersi wyrwał się krótki okrzyk zdu-

mienia, po którym uczyniła się głucha cisza: Lig dopadł tymczasem w mgnieniu oka rozhukanego byka i chwycił go za rogi.

— Patrz! — zawołał Petroniusz, zrywając togę z głowy Winicyusza.

Ów zaś podniósł się, przechylił w tył swą bladą, jak płótno twarz i począł patrzeć na arenę szklistym, nieprzytomnym wzrokiem.

Wszystkie piersi przestały oddychać. W amfiteatrze można było usłyszeć przelatującą muchę. Ludzie nie chcieli wierzyć własnym oczom. Jak Rzym Rzymem, nie widziano nic podobnego.

Lig trzymał dzikie zwierzę za rogi. Stopy jego zaryły się wyżej kostek w piasek, grzbiet wygiął mu się, jak łuk napięty, głowa schowała się między barki, na ramionach mięśnie wystąpiły tak, iż skóra niemal pękała pod ich parciem, lecz osadził byka na miejscu. I człowiek, i zwierz trwali w takiej nieruchomości, iż patrzącym zdawało się, że widzą jakiś obraz, przedstawiający czyny Herkulesa lub Tezeusza, lub grupę wykutą z kamienia. Ale w tym pozornym spokoju znać było straszliwe natężenie dwóch zmagających się ze sobą sił. Tur zarył się, również jak człowiek, nogami w piasek, a ciemne, kosmate jego ciało skurczyło się tak, iż wydawał się do olbrzymiej kuli podobny. Kto pierwsi się wyczerpie, kto pierwszy padnie, oto było pytanie, które dla tych rozmiłowanych w walkach widzów, miało w tej chwili więcej znaczenia, niż los ich własny, niż cały Rzym i jego panowanie nad światem. Ów Lig był im teraz półbogiem, godnym czci i posągów. Sam Cezar wstał także. Oni z Tygellinem, słysząc o sile człowieka, umyślnie urządzili takie widowisko i drwiąc, mówili sobie: „Niechże ten Krotobójca pokona tura, którego mu wybierzem“, teraz zaś spoglądali w zdumieniu na obraz, jaki mieli przed sobą, jakby nie wierząc, żeby to być mogła rzeczywistość. W amfiteatrze można było widzieć ludzi, którzy, podniósłszy ręce, zostali w tej

postawie. Innym pot oblał czoła, jakby sami zmagali się ze zwierzęciem. W cyrku słyhać było tylko syczenie płomieni w lampach i szelest węgielków, opadających z pochodni. Głosy zamarły widzom w ustach, serca natomiast były w piersiach, jakby je chciały rozsadzić. Wszystkim wydało się, że walka trwa wieki.

A człowiek i zwierz stali ciągle, w okropnem wysileniu, rzekłbyś, wkopani w ziemię.

Wtem głuchy, podobny do jęku ryk ozwał się z areny, po którym ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk i znów zapadła cisza. Ludzie mniemali, że śnią: oto potworna głowa byka poczęła się przekręcać w żelaznych rękach barbarzyńcy.

A twarz Liga, kark i ramiona poczerwieniały, jak purpura, grzbiet wygiął się jeszcze silniej. Widać było, że zbiera resztę swych nadludzkich sił, ale że mu już ich nie na długo wystarczy.

Coraz głuchszy, chrapliwszy i coraz boleśniejszy ryk tura pomieszał się ze świszczącym oddechem piersi olbrzyma. Głowa zwierzęcia przekręcała się coraz bardziej, a z paszczy wysunął się długi spieniony język.

Chwila jeszcze i do uszu bliżej siedzących widzów doszedł jakby trzask łamanych kości, poczem zwierz zwałił się na ziemię ze skreconym śmiertelnie karkiem.

Wówczas olbrzym zsunął w mgnieniu oka powrozy z jego rogów i wzięwszy dziewicę na ręce, począł oddychać śpiesznie.

Twarz mu pobladła, włosy polepiły się od potu, barki i ramiona zdawały się być zlane wodą. Przez chwilę stał jakby nawpół przytomny, poczem jednakże podniósł oczy i począł patrzeć na widzów.

A amfiteatr oszalał.

Ściany budynku poczęły drżeć od wrzasku kilkudziesięciu tysięcy widzów. Od czasu rozpoczęcia widowisk nie pamiętano takiego uniesienia. Siedzący na wyższych rzędach poopuszczali je i poczęli zstępować na dół, tłocząc

się w przejściach między ławkami, aby bliżej przypatrzeć się siłaczowi. Zewsząd ozwały się głosy o łaskę, namiętne, uparte, które wkrótce zmieniły się w jeden powszechny okrzyk. Ów olbrzym stał się teraz drogim dla tego rozmiłowanego w sile fizycznej ludu i pierwszą w Rzymie osobą.

On zaś zrozumiał, że tłum domaga się, by darowano mu życie i zwrócono wolność, lecz widocznie nie chodziło mu tylko o siebie. Przez chwilę rozglądał się dokoła, poczem zbliżył się do cesarskiego podium i, kołysząc ciało dziewczyny na wyciągniętych ramionach, podniósł oczy z wyrazem błagalnej prośby, jakby chciał mówić:

— Nad nią się zmiłujcie! ją ocalcie! jam dla niej to uczynił!

Widzowie pojęli doskonale, czego żądał. Na widok zemdlonej dziewczyny, która przy ogromnem cieple Liga wydawała się małym dzieckiem, wzruszenie ogarnęło tłum, rycerzy i senatorów. Jej drobna postać, tak biała, jakby wycięta z alabastru, jej zemdleńie, okropne niebezpieczeństwo, z którego uwolnił ją olbrzym, a wreszcie jej piękność i jego przywiązanie, wstrząsnęły serca. Niektórzy mniemali, że to ojciec żebrze o zmiłowanie nad dzieckiem. Litość buchnęła nagle, jak płomień. Dość już miano krwi, dość śmierci, dość mąk. Zdławione łzami głosy poczęły wołać o łaskę dla obojga.

Urzus tymczasem posuwał się wokół areny i kołysząc wciąż dziewczynę na ramionach, ruchem i oczyma błagał dla niej o życie. A wtem Winicyusz zerwał się z miejsca, przeskoczył odgródzenie, dzielące pierwsze miejsca od areny, i przybiegłszy do Ligii, nakrył togą jej nagie ciało.

Poczem rozdarł tunikę na piersiach, odkrył blizny, pozostałe po ranach, otrzymanych w wojnie armeńskiej, i wyciągnął ręce do ludu.

Wówczas uniesienie tłumów przeszło wszelką widywaną w amfiteatrach miarę. Tłuszcza poczęła tupać i wyć.

Głosy, wołające o łaskę, stały się wprost groźne. Lud ujmował się już nietylko za atletą, ale stawał w obronie dziewicy, żołnierza i ich miłości. Tysiące widzów zwróciło się ku Cezarowi z połyskami gniewu w oczach i z zaciśniętymi pięściami. Ów wszelako ociągał się i wahał. Do Winicyusza nie miał wprawdzie nienawiści i na śmierci Ligii nie zależało mu nic, lecz wołałby widzieć ciało dziewczyny poprute rogami byka lub podarte kłami zwierząt. Zarówno jego okrucieństwo, jak jego zwyrodniała wyobraźnia, znajdowały jakąś rozkosz w podobnych widokach. A oto lud chciał go jej pozbawić. Na tę myśl gniew odbił się na jego roztyłej twarzy. Miłość własna nie pozwalała mu także poddać się woli tłumów, a jednocześnie nie śmiał się jej przez przyrodzone tchórzostwo sprzeciwić.

Więc począł patrzeć, czy przynajmniej między augustinianami nie dostrzeże zwróconych ku dołowi palców na znak śmierci. Lecz Petroniusz trzymał wzniesioną do góry dłoń, patrząc przytem niemal wyzywająco w jego twarz. Przesądny, ale skłonny do uniesień Westynus, który bał się duchów, ale nie bał się ludzi, dawał znak łaski. Toż samo czynił senator Scewinus, toż samo Nerwa, toż samo Tuliusz Senecyo, toż samo stary słynny wódz Ostoryusz Skapula, toż samo Antystyusz, toż samo Pizo i Wetus, i Crispinus, i Minucyusz Termus, i Poncyusz Telesynus, i najpoważniejszy, czczony przez lud, Trazeasz. Na ten widok, Cezar odjął szmaragd od oka z wyrazem pogardy i urazy, gdy wtem Tygellin, któremu chodziło o to, by na złość uczynić Petroniuszowi, pochylił się i rzekł:

— Nie ustępuj, boski: mamy pretoryanów.

Wówczas Nero zwrócił się w stronę, gdzie komendę nad pretoryanami trzymał srogi i oddany mu dotychczas całą duszą Subryusz Flawiusz i ujrzał rzecz nadzwyczajną. Twarz starego trybuna była groźna, ale zalana łzami, i rękę trzymał wzniesioną w górę na znak łaski.

Tymczasem tłumy poczęła ogarniać wściekłość. Kurzawa wzbiła się z pod tupiących nóg i przesłoniła amfi-

teatr. Wśród okrzyków odzywały się głosy: „Ahenobarbus! matkobójca! podpalacz!“.

Nero zląkł się. Lud był wszechwładnym panem w cyrku. Poprzedni Cezarowie, a zwłaszcza Kaligula, pozwalali sobie czasem iść wbrew jego woli, co zresztą wywoływało zawsze rozruchy, dochodzące nawet do przelewu krwi. Lecz Nero w odmiennem był położeniu. Naprzód, jako komedyant i śpiewak, potrzebował łaski ludu, powtóre, chciał go mieć po swej stronie przeciw senatowi i patrycyuszom, a wreszcie po pożarze Rzymu usiłował wszelkimi sposobami przejednać go sobie i zwrócić jego gniew na chrześcijan. Zrozumiał wreszcie, że sprzeciwić się dłużej było wprost niebezpiecznie. Rozruch, poczęty w cyrku, mógł ogarnąć całe miasto i mieć nieobliczone następstwa.

Spojrzał więc raz jeszcze na Subryusza Flawiusza, na centuryona Scewina, krewnego senatora, na żołnierzy i, widząc zmarszczone wszędzie brwi, wzruszone twarze i utkwione w siebie oczy, dał znak łaski.

Wówczas grzmot oklasków rozległ się od góry do dołu. Lud pewien już był życia skazanych, gdyż od tej chwili wchodzili oni pod jego opiekę i nawet Cezar nie ośmieliłby się ścigać ich dłużej swą zemstą.

Ocalona!

Czterech Bityńczyków niosło ostrożnie Ligię do domu Petroniusza, Winicyusz zaś i Urzus szli obok, śpiesząc się, by jak najprędzej oddać ją w ręce greckiego lekarza. Szli w milczeniu, gdyż po przejściach dnia tego nie mogli się zdobyć na rozmowę. Winicyusz był dotychczas jakby nawpół przytomny. Powtarzał sobie, że Ligia jest ocalona, że nie grozi jej już ni więzienie, ni śmierć w cyrku, że nieszczęścia ich skończyły się raz na zawsze, i że zabiera ją do domu, by nie rozłączyć się z nią więcej. I zdawało mu się, że to raczej początek jakiegoś innego życia, niż rzeczywistość. Od czasu do czasu pochylał się na otwartą lektykę, by patrzeć na tę kochaną twarz, która przy świetle księżyca wydawała się uśpioną i powtarzał w myśli: „To ona! Chrystus ocalił ją!“ Przypominał sobie także, że do spoliarium, dokąd obaj z Urzusem odnieśli Ligię, nadszedł jakiś nieznany mu lekarz i zapewnił go, że dziewczyna żyje i żyć będzie. Na myśl o tem radość rozpierała mu tak piersi, że chwilami słabł i wspierał się na ramieniu Urzusa, nie mogąc iść o własnej mocy. Urzus zaś patrzył w usiane gwiazdami niebo i modlił się.

Szli śpiesznie wśród ulic, na których świeżo wzniezione białe domy błyszczały mocno w miesięcznym blasku. Miasto było puste. Gdzieniegdzie tylko gromadki ludzi,

uwieńczonych bluszczem, śpiewały i tańczyły przed portykami przy odgłosie fletni, korzystając z cudnej nocy i świątecznej pory, która trwała od początku igrzysk. Dopiero gdy już byli niedaleko domu, Urzus przestał się modlić i począł mówić cicho, jakby się bał zbudzić Ligię:

— Panie, to Zbawiciel ocalił ją od śmierci. Gdym ujrzał ją na rogach tura, usłyszałem w duszy głos: „Broń jej!“ i to był niezawodnie głos Baranka. Więzienie wyżarło mi siły, ale On mi je wrócił na tę chwilę i On natęchnął ten srogi lud, że ujął się za nią. Bądź Jego wola!

A Winicyusz odrzekł:

— Uwielbione niech będzie imię Jego!...

Lecz nie mógł mówić więcej, gdyż nagle uczuł, że ogromny płacz wzbiera mu w piersi. Chwyciła go niepoohamowana chęć rzucić się na ziemię i dziękować Zbawicielowi za cud i miłosierdzie.

Tymczasem jednak doszli do domu: służba, uprzedzona przez wysłanego umyślnie naprzód niewolnika, wyroiła się na ich spotkanie, Paweł z Tarzu nawrócił jeszcze w Ancyum większą część tych ludzi. Nieszczęścia Winicyusza znane im były doskonale, więc radość ich na widok ofiar, wyrwanych złości Nerona, była ogromna, a zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy lekarz, Teokles, po obejrzeniu Ligii oświadczył, że nie poniosła żadnej ciężkiej obrazy i że po przejściu osłabienia, pozostałego po więziennej gorączce, wróci do zdrowia.

Przytomność wróciła jej jeszcze tejże nocy. Zbudziwszy się we wspaniałem kubikulum, oświetconem korynckimi lampami, wśród woni werweny, nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Pozostała jej pamięć chwili, w której przywiązywano ją do rogów skrępowanego łańcuchami byka, teraz zaś, widząc nad sobą twarz Winicyusza, oświetconą łagodnem kolorowem światłem, sądziła, że chyba już nie są na ziemi. Myśli mąciły się jeszcze w jej osłabionej głowie; wydało się jej rzeczą naturalną, że zatrzymali się gdzieś po drodze do nieba z powodu jej uciążliwej

czenia i słabości. Nie czując jednak żadnego bólu, uśmiechnęła się do Winicyusza i chciała go spytać, gdzie są, lecz z ust jej wyszedł tylko cichy szept, w którym Winicyusz mógł zaledwie odróżnić swoje imię.

Więc klęknął przy niej i położywszy lekko rękę na jej czole, rzekł:

— Chrystus cię ocalił i wrócił mi cię!

Jej usta poruszyły się znowu niezrozumiałym szep-tem, po chwili jednak powieki jej przymknęły się, piersi podniosły się lekkim westchnieniem i zapadła w sen głęboki, którego oczekiwał lekarz Teokles, i po którym przepowiadał powrót do zdrowia.

A Winicyusz pozostał przy niej klęczący i pogrążony w modlitwie. Dusza roztajała mu miłością tak ogromną, że zapamiętał się zupełnie. Teokles kilkakrotnie wchodził do kubikulum, kilka razy z za uchylonej zasłony ukazywała się złotowłosa głowa Eunice, wreszcie żórawie, hodowane po ogrodach, poczęły krzyczeć, zwiastując początek dnia, a on jeszcze obejmował w myśli stopy Chrystusa, nie widząc i nie słysząc, co się wokół niego dzieje, z sercem zmienionem w ofiarny dziękczynny płomień, pogrążony w zachwyceniu, za życia jeszcze nawpół wniebowzięty.

* * *

Petroniusz, po uwolnieniu Ligii, nie chcąc drażnić Cezara, udał się za nim wraz z innymi augustyanami na Palatyn. Pragnął posłuchać, o czym tam będą mówili, a zwłaszcza przekonać się, czy Tygellin nie obmyśli czegoś nowego na zgubę dziewczyny. I ona i Urzus wchodzili wprawdzie niejako pod opiekę ludu i bez wzniesienia rozruchów nikt teraz nie mógł podnieść na nich ręki, jednak Petroniusz, wiedząc o nienawiści, jaką płonął ku niemu wszechwładny prefekt pretoryi, przypuszczał, że prawdopodobnie ów, nie mogąc go wprost osiągnąć, będzie starał się jeszcze wyrzucić jakimkolwiek sposobem zemstę na jego siostrzeńcu.

Nero gniewny był i rozdrażniony, albowiem przedstawienie skończyło się zupełnie inaczej, niż sobie życzył. Na Petroniusza nie chciał z początku ani spojrzeć, lecz ten, nie tracąc zimnej krwi, zbliżył się do niego z całą swobodą „arbitra elegancyi“ i rzekł mu:

— Czy wiesz, boski, co mi przechodzi przez myśl? Napisz pieśń o dziewicy, którą rozkaz władcy świata uwalnia z rogów dzikiego tura i oddaje kochankowi. Grecy mają czułe serca i jestem pewny, że oczaruje ich pieśń taka.

Neronowi, mimo całego rozdrażnienia, myśl ta przypadła do smaku i przypadła podwójnie: naprzód, jako temat do pieśni, a powtóre, że mógł wysławić w niej siebie samego, jako wspaniałomyślnego władcę świata, więc popatrzył przez chwilę na Petroniusza, poczem rzekł:

— Tak jest! może masz słuszość! Ale czy wypada mi śpiewać własną dobroć?

— Nie potrzebujesz się wymieniać. Każdy w Rzymie odgadnie i tak, o co chodzi, a z Rzymu wieści rozchodzą się na cały świat.

— I jesteś pewien, że się to podoba w Achai?

— Na Polluxa! — zawołał Petroniusz.

I odszedł teraz zadowolony, był już teraz bowiem pewien, że Nero, którego całe życie było stosowaniem rzeczywistości do pomysłów literackich, nie zechce sobie popsuć tematu, a tem samem zwiąże ręce Tygellinowi. Nie zmieniło to jednakże jego zamiaru wyprawienia z Rzymu Winicyusza, jak tylko zdrowie Ligii przestanie stanowić przeszkodę. To też ujrzawszy go następnego dnia, rzekł mu:

— Wywieź ją do Sycylii. Zaszło coś takiego, że ze strony Cezara nic wam nie grozi, ale Tygellin gotów użyć nawet trucizny, jeśli nie z nienawiści ku wam, to ku mnie.

Winicyusz uśmiechnął się na to i odrzekł:

— Ona była na rogach dzikiego tura, a przecie Chrystus ją ocalił.

— To uczcij go stuwołem — odpowiedział z odcie-

niem zniecierpliwienia Petroniusz — ale nie każ mu ocalać jej po raz drugi... Czy pamiętasz, jak Eol przyjął Odysseusza, gdy wrócił prosić go powtórnie o pomyślny ładunek wiatrów? Bóstwa nie lubią się powtarzać.

— Gdy wróci jej zdrowie — odrzekł Winicyusz — odwiozę ją do Pomponii Grecyny.

— I uczynisz tem słuźniej, że Pomponia leży chora. Mówił mi o tem krewny Aulusów, Antystyusz. Tu zajdą tymczasem takie rzeczy, że ludzie o was zapomną, a w dzisiejszych czasach najszcześliwsi ci, o których zapomniano. Niech Fortuna będzie wam słońcem w zimie, a cieniem w lecie!

To rzekłszy, pozostawił Winicyusza jego szczęściu, sam zaś poszedł wybadać Teoklesa o zdrowie i życie Ligii.

Lecz jej nie groziło już niebezpieczeństwo. W podziemiach, przy wycieńczeniu, pozostałem po więziennej gorączce, byłoby ją dobiło zgniłe powietrze i niewygody, lecz teraz otaczała ją najtkliwsza opieka i nietylko dostatek, ale i przepych. Z rozkazu Teoklesa, po upływie dwóch dni poczęto ją wynosić do ogrodów, otaczających willę, w których pozostawała przez długie godziny. Winicyusz ubierał jej lektykę w anemony, a zwłaszcza w irysy, by jej przypomnieć atrium w domu Aulusów. Nieraz, ukryci w cieniu rozrosłych drzew, rozmawiali, trzymając się za ręce, o dawnych bólach i dawnych trwogach. Ligia mówiła mu, że Chrystus umyślnie przeprowadził go przez mękę, by zmienić duszę jego i podnieść ją ku sobie, on zaś czuł, że to prawda, i że nie pozostało w nim nic z dawnego patrycyusza.

LII.

Piotr Apostoł w niebezpieczeństwie.

Prześladowanie nie ustawało dotąd. Kogo tylko głos publiczny wskazał jako chrześcijanina, tego wigilowie miejscy porywali natychmiast do więzienia. Ofiar wprawdzie było już mniej, bo ogół wyznawców schwytano i wymęczono, pozostali zaś albo wyszli z Rzymu, by w odległych prowincjach przeczekać burzę, albo kryli się najstaranniej, nie odważając się zbierać na wspólne modlitwy inaczej, jak w arenaryach, leżących poza miastem. Jednakże śledzono ich jeszcze i pomimo, iż właściwe igrzyska były już ukończone, zachowywano ich na następne lub sądzono doraźnie. Jakkolwiek lud rzymski nie wierzył już, by chrześcijanie byli sprawcami pożaru miasta, jednakże ogłoszono ich za nieprzyjaciół ludzkości i państwa i edykt przeciw nim trwał ciągle w dawnej mocy.

Piotr Apostoł długo nie śmiał ukazać się w domu Petroniusza, wreszcie jednak pewnego wieczoru Nazaryusz oznajmił jego przybycie. Ligia, która chodziła już o swej mocy i Winicyusz wybiegli na jego spotkanie i poczęli obejmować jego nogi, on zaś witał ich ze wzruszeniem tem większem, że niewiele pozostało mu już owiec w tej trzodzie, nad którą rządy zdał mu Chrystus, a nad której losem płakało teraz jego wielkie serce. To też gdy Wini-

cyusz rzekł mu: „Panie! za twoją to przyczyną Zbawiciel powrócił mi ją“, on odrzekł: „Powrócił ci ją dla wiary twojej i dlatego, by nie zamilkły wszystkie usta, które wyznawały imię Jego“. I widocznie myślał wówczas o tych tysiącach dzieci swych, porozdzieranych przez dzikie zwierzęta, o tych krzyżach, którymi nabite były areny i o tych słupach ognistych w ogrodach „Bestyi“, albowiem mówił to z żalnością wielką. Winicyusz i Ligia zauważyli też, że włosy jego pobielały zupełnie, cała postać pochyliła się, a w twarzy tyle miał smutku i cierpienia, jakby przeszedł przez wszystkie te bóle i męki, przez które przeszły ofiary wściekłości i szału Nerona. Lecz oboje rozumieli już, że gdy Chrystus sam poddał się męce i śmierci, nie może uchylić się od niej nikt. Jednakże krajało się w nich serce na widok Apostoła, przygniecionego brzemieniem lat trudu i bólu. Więc Winicyusz, który za kilka już dni zamierzał odwieźć Ligię do Neapolis, gdzie mieli spotkać Pomponię i udać się dalej do Sycylii, począł go błagać, by wraz z nimi opuścił Rzym.

Lecz Apostoł położył rękę na jego głowie i odpowiedział:

— Słyszę oto w duszy słowa Pana, który nad jeziorem Tyberyadzkim rzekł mi: „Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, kędyś chciał, lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twe, a inny cię opasze i poprowadzi, gdzie ty nie chcesz“. Słuszna przeto, bym poszedł za trzodą moją.

A gdy umilkli, nie rozumiejąc, co mówi, dodał:

— Dobiega końca trud mój, ale gościnność i odpocznienie znajdę dopiero w domu Pana.

Poczem zwrócił się do nich, mówiąc: „Pamiętajcie mnie, bom was umiłował, jako ojciec miłuje dzieci swoje, a co w życiu czynić będziecie, czyńcie na chwałę Pana“.

Tak mówiąc, podniósł nad nimi swe stare drżące dłonie i błogosławił ich, oni zaś tulili się do niego, czując,

że to jest ostatnie może błogosławieństwo, jakie z jego rąk otrzymują.

Przeznaczonem im jednak było widzieć go raz jeszcze. W kilka dni później Petroniusz przyniósł groźne wieści z Palatynu. Odkryto tam, iż jeden z wyzwolenców Cezara był chrześcijaninem i znaleziono u niego listy Apostołów Piotra i Pawła z Tarzu, oraz listy Jakóba, Judy i Jana. Przebywanie Piotra w Rzymie było już poprzednio wiadomem Tygellinowi, sądził jednak, że ów zginął wraz z tysiącami innych wyznawców. Teraz wydało się, że dwaj naczelnicy nowej wiary są dotychczas przy życiu i znajdują się w stolicy, postanowiono więc odnaleźć ich i chwycić za wszelką cenę, gdyż spodziewano się, iż dopiero wraz z ich śmiercią ostatnie korzenie nienawistnej sekty zostaną wyrwane. Petroniusz słyszał od Westynusa, iż sam Cezar wydał rozkaz, by w ciągu trzech dni i Piotr i Paweł z Tarzu byli już w Mamertyńskim więzieniu i że całe oddziały pretoryanów wysłano dla przetrząśnięcia wszystkich domów na Zatybrzu.

Winicyusz, usłyszawszy o tem, postanowił pójść ostrzedz Apostoła. Wieczorem obaj z Urzusem, przywdzawszy galijskie płaszcze, osłaniające twarze, udali się do domu Miryamy, u której Piotr przebywał, położonego na samym krańcu zatybrzańskiej części miasta, u stóp Janikulskiego wzgórza. Po drodze widzieli domy, otoczone żołnierzami, których prowadzili jacyś nieznani ludzie. Dzielnica była zaniepokojona, a miejscami zbierały się gromady ciekawych. Tu i owdzie centuryonowie badali schwytanych więźniów, wypytujac ich o Piotra Symeona i o Pawła z Tarzu.

Urzus i Winicyusz, wyprzedziwszy żołnierzy, doszli jednak szczęśliwie do mieszkania Miryamy, w którym zastali Piotra, otoczonego garstką wiernych. Tymoteusz, pomocnik Pawła z Tarzu i Linus znajdowali się również przy boku Apostoła.

Na wieść o blizkiem niebezpieczeństwie, Nazaryusz

wyprowadził wszystkich ukrytem przejściem do furtki ogrodowej, a następnie do opuszczonych kamieniołomów, odległych o kilkaset kroków od bramy Janikulskiej. Urzus musiał przytem nieść Linusa, którego kości, połamane przez tortury, nie zrosły się dotychczas. Raz jednak znalazłszy się w podziemiu, uczuli się bezpieczni i przy świetle kaganka, który rozniecił Nazaryusz, poczęli cichą naradę, jak ratować drogie im życie Apostoła.

— Panie — rzekł mu Winicyusz — niech jutro świtanem Nazaryusz wyprowadzi cię z miasta ku góróm Albańskim. Tam cię odnajdziem i zabierzemy cię do Ancyum, gdzie czeka statek, który ma przewieźć nas oboje do Neapolis i Sycylii. Szczęśliwy będzie dzień i godzina, w której wstąpisz w dom mój i pobłogosławisz moje ognisko.

Inni słuchali go z radością i nastawali na Apostoła, mówiąc:

— Chronź się, pasterzu nasz, albowiem nie ostać ci się w Rzymie. Przechowaj żywą prawdę, aby nie zginęła wraz z nami i tobą. Wysłuchaj nas, którzy błagamy cię, jak ojca.

— Uczynź to w imię Chrystusa! — wołali inni czepiając się szat jego.

On zaś odpowiadał:

— Dzieci moje! Któż wie, kiedy mu Pan kres żywota naznaczy?

Lecz nie mówił, że nie opuści Rzymu i sam wahał się, co uczynić, gdyż już od dawna wkradła się w duszę jego niepewność, a nawet i trwoga. Ale trzoda jego była rozproszona, dzieło zburzone, kościół, który przed pożarem miasta wybuchał, jak drzewo wspaniałe, obróciła w proch moc „Bestyi“. Nie zostało nic, prócz łez, nic, prócz wspomnień mąk i śmierci. Siejba wydała plon obfity, ale szatan wdeptał go w ziemię.

Często wydawało mu się, iż jeśli sam opuści Rzym wierni pójdą za nim, a on zawiedzie ich wówczas aż hen,

do cienistych gajów Galilei, nad cichą toń Tyberyadzkiego morza, do pasterzy, spokojnych jak gołębie lub jako owce, które się tam pasą wśród cząbrów i nardu. I coraz większa chęć ciszy i wypoczynku, coraz większa tęsknota za jeziorem i Galileją ogarniała rybacze serce, coraz częstsze łzy napływały do oczu starca.

Lecz gdy na chwilę uczynił już wybór, ogarniał go nagły strach i niepokój. Jakoż mu opuścić to miasto, w którym tyle krwi męczeńskiej wsiąkło w ziemię i gdzie tyle ust konających dawało świadectwo prawdzie? Ma-li on jeden uchylić się od tego? I co odpowie Panu, gdy usłyszysz słowa: „Oto oni pomarli za wiarę swoją, a ty uciekłeś?”

Wszystkie te myśli przebiegały teraz przez jego stroskaną głowę, gdy słuchał próśb ostatniej garstki swych wiernych, oni zaś, otaczając go coraz ciasniejszym kołem, powtarzali błagalnymi głosami:

— Chronź się, Rabbi, i nas wyprowadź z pod mocy Bestyi.

Wreszcie i Linus pochylił przed nim swą umęczoną głowę.

— Panie! — mówił — tobie Zbawiciel kazał paść owce swoje, ale niema już tu ich, lub jutro ich nie będzie, więc idź tam, gdzie je odnaleźć jeszcze możesz. Oto żywie jeszcze słowo Boże i w Jeruzalem i w Antyochii i w Efezie i w innych miastach. Co wskórasz, zostawszy w Rzymie? Gdy legniesz, powiększysz tylko tryumf Bestyi. Janowi Pan nie oznaczył kresu życia. Paweł jest obywatelem rzymskim i bez sądu karać go nie mogą, lecz jeśli nad tobą, Nauczycielu, rozstroży się moc piekielna, wówczas ci, w których upadło już serce, pytać będą: Któż jest nad Nerona? Tyś jest opoką, na której zbudowany jest Kościół Boży. Daj nam umrzeć, ale nie pozwól na zwycięstwo Antychrysta nad Namiestnikiem Bożym i nie wracaj tu, póki Pan nie skruszy tego, który wytoczył krew niewinną.

— Patrz na łzy nasze! — powtarzali wszyscy obecni.

Łzy spływały i po twarzy Piotra. Po chwili jednak podniósł się i wyciągając nad klęczącymi dłonie, rzekł:

— Niech imię Pańskie będzie uwielbione i niech się stanie wola Jego!

LIII.

Quo vadis, Domine?

O brzasku następnego dnia dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanii.

Jedną z nich był Nazaryusz, drugą Piotr Apostoł, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców.

Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który zwolna, coraz wyraźniej bramował się u dołu barwą szafraną. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem. Zaczem wschód zaczął różowieć i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liliowe, jakby z samych tylko blasków złożone.

Świt odbijał się w drżących na liściach drzew kropłach rosy. Mgła rzedła, odkrywając coraz szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między którymi białą kolumny świątyń.

Droga była pusta. Wieśniacy, którzy zwozili jarzyny do miasta, nie zdążyli jeszcze widocznie pozaprzęgać do wózków. Od płyt kamiennych, którymi aż do gór wyło-

żony był gościniec, szedł w ciszy odgłos drewnianych postoi, jakie podróżni mieli na nogach.

Potem słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy Apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg, zamiast wznosić się wyżej i wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze.

Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł:

— Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam?

— Nie widzę nic — odpowiedział Nazaryusz.

Lecz Piotr po chwili ozwał się, przysłoniwszy oczy dłonią:

— Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym.

Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie, Nazaryusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrząsał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie.

I począł patrzeć ze zdziwieniem na Apostoła.

— Rabbi! co ci jest? — zawołał z niepokojem.

A z rąk Piotra kosztur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyt.

Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętymi przed się ramionami, a z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Chryste! Chryste!...

I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy.

Długo trwało milczenie, poczem w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca:

— *Quo vadis, Domine?*...

I nie słyszał odpowiedzi Nazaryusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry.



„Quo vadis, Domine?“

Apostoł leżał na ziemi, z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazaryuszowi wydało się już, że omdlał lub umarł, ale on powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi i nie nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta.

Pacholę zaś, widząc to, powtórzyło, jak echo:

-- *Quo vadis Domine?*...

— Do Rzymu — odrzekł cicho Apostoł.

I wrócił.

Paweł, Jan, Linus i wszyscy wierni przyjęli go ze zdumieniem i z trwogą tem większą, że właśnie o brzaśku, zaraz po jego wyjściu, pretoryanie otoczyli mieszkanie Miryamy i szukali w niem Apostoła. Lecz on na wszystkie pytania odpowiadał im tylko z radością i spokojem:

— Panam widział!

I tegoż jeszcze wieczora udał się na cmentarz Ostryański, aby nauczać i chrzczyć tych, którzy chcieli się skąpać w wodzie życia.

I odtąd przychodził tam codziennie, a za nim ciągnęły codzien liczniejsze tłumy. Zdawało się, że z każdej łązy męczeńskiej rodzą się nowi wyznawcy, i że każdy jęk na arenie odbija się echem w tysiącznych piersiach. Cesarz płał się we krwi, Rzym i cały świat pogański szalał. Ale ci, którym dość było zbrodni i szalu, ci, których deptano, ci, których życie było życiem niedoli i ucisku, wszyscy pogiębieni, wszyscy smutni, wszyscy nie-szczęśni przychodzili słuchać dziwnej powieści o Bogu, który z miłości dla ludzi dał się ukrzyżować i odkupić ich winy.

Odnajdując zaś Boga, którego mogli kochać, odnajdowali to, czego nie mógł dać dotychczas nikomu świat ówczesny, szczęście z miłości.

A Piotr zrozumiał, że ni Cezar, ni wszystkie jego legie nie zmogą prawdy żywej, że nie zaleją jej ni łzy, ni krew, i że teraz dopiero zaczyna się jej zwycięstwo. Zrozumiał również, dlaczego Pan Bóg zawrócił go z drogi: oto to miasto pychy, zbrodni, rozpusty i potęgi poczynało być jego miastem i podwójną stolicą, z której płynął na świat rząd ciał i dusz.

LIV.

Męczeństwo Apostołów.

Aż wreszcie spełnił się czas dla obu Apostołów. Ale, jakby na zakończenie służby, danem było Bożemu rybakowi ułović dwie dusze nawet i w więzieniu. Żołnierze Processus i Martynianus, którzy pilnowali go w więzieniu Mamertyńskim, przyjęli chrzest. Poczem nadeszła godzina męki. Nerona nie było wówczas w Rzymie. Wyrok wydali Helius i Politetes, dwaj wyzwoleńcy, którym Cezar powierzył na czas swej niebytności rządy nad Rzymem. Wiekowego Apostoła poddano naprzód przepisanej przez prawo chłóście, a następnego dnia wywiedziono za mury miasta, ku wzgórzom Watykańskim, gdzie miał ponieść przeznaczoną mu karę krzyża. Ze względu na jego sędziwe lata, nie kazano mu nieść krzyża, sądzono bowiem, że go udźwignąć nie zdoła, ani też nie założono wideł na szyję, by mu nie utrudniać pochodu. Szedł wolny i wierni mogli go widzieć doskonale. W chwili, gdy wśród żelaznych hełmów żołnierskich ukazała się jego biała głowa, płacz rozległ się w tłumie, lecz natychmiast prawie ustał, albowiem twarz starca miała w sobie tyle pogody i taką jaśniała radością, iż wszyscy pojęli, że to nie ofiara idzie ku straceni, ale zwycięzca odbywa pochód tryumfalny.

Jakcz tak było. Rybak, zwykle pokorny i pochylony, szedł teraz wyprostowany, wyższy wzrostem od żołnierzy,

pełen powagi. Nigdy nie widziano w postawie jego tyle majestatu. Zdawałoby się mogło, iż to monarcha posuwa się, otoczony przez lud i żołnierzy. Ze wszystkich stron podniosły się głosy: „Oto Piotr odchodzi do Pana“. — Wszyscy jakby zapomnieli, że czeka go męka i śmierć. Szli w uroczystem skupieniu, ale w spokoju, czując, że od śmierci na Golgocie nie stało się dotychczas nic równie wielkiego i że jako tamta odkupiła świat cały, tak ta ma odkupić to miasto.

Po drodze ludzie zatrzymywali się ze zdziwieniem na widok tego starca, wyznawcy zaś, kładąc im ręce na ramiona, mówili spokojnymi głosami: „Patrzcie, jako umiera sprawiedliwy, który znał Chrystusa i opowiadał miłość na świecie“. A owi wpadali w zadumę, poczem odchodzili, mówiąc sobie: „Zaprawdę, ten nie mógł być niesprawiedliwy!“

Po drodze milkły wrzaski i wołania uliczne. Orszak posuwał się wśród domów świeżo wzniesionych, wśród białych kolumn świątyń, nad których naczółkami wisiało niebo głębokie, ukojone i błękitne. Szli w ciszy; czasem tylko zabrzękły broje żołnierzy lub podniósł się szmer modlitw.

Żołnierze poprowadzili go przez most Tryumfalny ¹⁾, jakby mimowoli dając jego tryumfowi świadectwo i wiedli dalej, ku Naumachii i cyrkowi. Wierni z Zatybrza przyłączyli się do pochodu i uczyniła się gęstwa ludu tak wielka, iż centuryon, przywódzący pretoryanom, domyśliwszy się wreszcie, iż prowadzi jakowegoś arcykapłana, którego otaczają wierni, zaniepokoił się zbyt małą liczbą żołnierzy. Lecz ani jeden okrzyk oburzenia lub wściekłości nie ozwał się w tłumie. Twarze były przejęte wielkością chwili, uroczyste i zarazem pełne oczekiwania, niektórzy bowiem wyznawcy, przypominając sobie, iż przy śmierci Pana ziemia rozstępowała się z przerażenia,

¹⁾ Pons Triumphalis.

a umarli podnosili się z grobów, myśleli, że i teraz nastąpią może jakieś znaki widome, po których nie zatrze się przez wieki śmierć Apostoła. Inni mówili sobie nawet: „A nuż Pan wybierze godzinę Piotrową, aby zstąpić z nieba, jako był przyobiecał i uczynić sąd nad światem“. W tej zaś myśli polecali się miłosierdziu Zbawiciela.

Ale naokół było spokojnie. Wzgórza zdawały się wygrzewać i odpoczywać w słońcu. Pochód zatrzymał się wreszcie między cyrkiem a wzgórzem Watykańskim¹⁾. Żołnierze wzięli się teraz do kopania dołu, inni położyli na ziemi krzyż, młoty i gwoździe, czekając, póki przygotowania nie zostaną ukończone, tłum zaś, cichy zawsze i skupiony, klęknął naokół.

Apostoł, z głową w promieniach i złotych blaskach, zwrócił się po raz ostatni ku miastu. Zdała, nieco w dole, widać było Tyber świecący; po drugim brzegu mnóstwo portyków, świątyń, kolumn, spiętrzonych gmachów i wreszcie hen, w dali, wzgórza, oblepione domami olbrzymie rojowisko ludzkie, którego krańce niknęły w mgłę błękitnej, gniazdo zbrodni, ale i siły, szaleństwa, ale i ładu, które stało się głową świata, jego ciemnością, ale zarazem jego prawem i pokojem, wszechpotężne, nieprzemожone, wieczyste.

Piotr zaś, otoczony żołnierzami, spoglądał na nie tak, jakby spoglądał władca i król na swe dziedzictwo. I mówił mu: „Odkupioneś jest i moje“. A nikt, nietylko między żołnierzstwem, kopiącem dół, w który miano wstawić krzyż, ale nawet między wyznawcami, nie umiał odgadnąć, że istotnie stoi między nimi prawdziwy władca tego grodu i że miną cesarowie, przepłyną fale barbarzyńców, miną wieki, a ów starzec będzie tu panował nieprzerwanie.

Słońce chyliło się jeszcze bardziej ku Ostyi i stało się wielkie i czerwone. Cała zachodnia strona nieba po-

¹⁾ Na tem miejscu wznosi się dziś bazylika św. Piotra. (*Przyp. wyd.*)

częła płonąć blaskiem niezmiernym. Żołnierze zbliżyli się do Piotra, by go rozebrać.

Lecz on, modląc się, wyprostował się nagle i wyciągnął wysoko prawicę. Oprawcy zatrzymali się, jakby onieśmieleni jego postawą; wierni zatrzymali również oddech w piersiach, sądząc, że chce przemówić i nastąpiła cisza niezmacona.

On zaś, stojąc na wyniesieniu, począł wyciągniętą prawicą czynić znak krzyża, błogosławiąc w godzinie śmierci:

— *Urbi et orbi!*

* * *

W ten sam cudny wieczór inny oddział żołnierzy odprowadził Pawła z Tarzu na miejsce stracenia.

Arbiter elegantiae.

Długoletnia walka Petroniusza z Tygellinem miała się ku końcowi. Wiedział on już, że musi w niej paść, i rozumiał tego powody. W miarę, jak Cezar z każdym dniem spadał coraz niżej do roli komedyanta, błazna i woźnicy, w miarę, jak grzął coraz bardziej w chorobliwej, plugawej i zarazem grubej rozpuście, wykwintny „arbiter elegantiae“ stawał mu się tylko ciężarem. Gdy Petroniusz nawet milczał, Nero widział w jego milczeniu przyganę, nawet gdy pochwalał, widział szyderstwo. Świetny patrycyusz drażnił jego miłość własną i wzbudzał zazdrość. Jego bogactwa i wspaniałe dzieła sztuki stały się przedmiotem pożądlivosti i władcy i wszechwładnego ministra. Oszczędzano go dotąd ze względu na wyjazd do Achai, w której jego smak, jego znajomość rzeczy greckich mogły się przydać. Lecz zwolna Tygellin począł tłómaczyć Cezarowi, że Karynas przewyższa jeszcze smakiem i wiedzą Petroniusza, i że lepiej od niego potrafi urządzać w Achai igrzyska, przyjęcia i tryumfy. Od tej chwili Petroniusz był zgubiony. Nie śmiano jednak przesłać mu wyroku w Rzymie. I Cezar i Tygellin przypominali sobie, że ten niby zniewieściał esteta, „czyniący z nocy dzień“, zajęty tylko rozkoszą, sztuką i ucztami, gdy był prokonsulem w Bitynii, a potem konsulem w stolicy, okazał za-

dziwiającą pracowitość i energię. Uważano go jako zdolnego do wszystkiego, a wiedziano, że w Rzymie posiada miłość nie tylko ludu, lecz nawet pretoryanów. Nikt z pufnych Cezara nie umiał przewidzieć, jak w danym razie postąpi, zdawało się więc rzeczą roztropniejszą wywabić go z miasta i osiągnąć dopiero na prowincyi.

W tym celu otrzymał zaproszenie, by wraz z innymi augustyanami przybył do Cumae, on zaś, chociaż domyślał się podstępu, wyjechał, może dlatego, by nie wystąpić z jawnym oporem, może, by pokazać raz jeszcze Cezarowi i augustyanom wesołą, próżną wszelkich trosk twarz i odnieść ostatnie przedśmiertne nad Tygellinem zwycięstwo.

Tymczasem ów oskarżył go natychmiast o przyjaźń z senatorem Scewinusem, który był duszą spisku Pizona ¹⁾. Ludzi Petroniusza, pozostałych w Rzymie, uwięziono, dom obstawiono strażą pretoryańską. Lecz on, dowiedziawszy się o tem, nie okazał ni trwogi, ni nawet zakłopotania, i z uśmiechem rzekł do augustyanów, których podejmował we własnej wspaniałej willi w Cumae.

— Ahenobarbus nie lubi pytań wprost, więc zobaczycie, jak się zmiesza, gdy go zapytam, czy to on rozkazał uwięzić moją „rodzinę“ w stolicy.

Poczem zapowiedział im ucztę „przed dalszą podróżą“ i właśnie czynił do niej przygotowania, gdy nadszedł z Sy-cylii od Winicyusza list, w którym mu donosi o swoim szczęściu przy boku Ligii i zaprasza, aby przybył do nich, gdzie go czeka spokój, jakiego dawno nie zaznał, i serca, które go miłują prawdziwie. Ale już było za późno!

W dwa dni później młody Nerwa, zawsze mu życzliwy i oddany, przysłał do Cumae swego wyzwolenca z wiadomością, że zguba jego była już postanowiona. Nazajutrz

¹⁾ Pizo przyplacił spisek głową; za nim poszli Seneca i Lucan i Scewinus, i mnóstwo najznakomitszych i najbogatszych Rzymian. Nawet Poppea padła ofiarą chwilowego uniesienia Cezara. (*Przyp. wyd.*).

wieczór zamierzano wysłać do niego centuryona z rozkazem, aby zatrzymał się w Cumae i czekał tam dalszych rozporządzeń. Następny posłaniec, wyprawiony w kilka dni później, miał przynieść mu wyrok śmierci.

Petroniusz wysłuchał wieści wyzwolenca z niezmiąconą pogodą, poczem rzekł:

— Zaniesiesz swemu parfu jedną z waz moich, którą ci wręczą przed drogą. Powiedz mu też ode mnie, że mu dziękuję z całej duszy, gdyż w ten sposób będę mógł uprzędzić wyrok.

I nagle począł się śmiać, jak człowiek, który, wpadłszy na doskonałą myśl, cieszy się z góry jej wykonaniem.

A tegoż jeszcze wieczora jego niewolnicy rozbiegli się, zapraszając wszystkich bawiących w Cumae augustyanów i wszystkie augustyanki na ucztę do wspaniałej willi arbitra alegancyi.

On zaś sam pisał w godzinach popołudniowych w bibliotece, poczem wziął kąpiel, po której kazał się ubrać westyplikom, i świetny, strojny, podobny do bogów, zszedł do triclinium, by rzucić okiem znawcy na przygotowania, a następnie do ogrodów, gdzie pacholeta i młode Greczynki z wusp wiły z róż wieńce do wieczery.

Wieczorem goście, którzy bywali już nieraz na ucztach Petroniusza i wiedzieli, że w porównaniu z niemi nawet uczty Cezara wydają się nudne i barbarzyńskie, poczęli się schodzić tłumnie, nikomu zaś ani przez myśl nie przeszło, by to miał być „symposion“ ostatni.

We drzwiach triclinium pacholeta z włosami w złotych siatkach kładły wieńce z róż na głowy przybyłych, ostrzegając ich zarazem wedle zwyczaju, by przestępowali próg prawą nogą. W sali rozchodził się lekki zapach fijołków; światła płonęły w różnokolorowych szklach aleksandryjskich. Przy ławach stały greckie dziewczątka, mające zwilżać woniami stopy gości. Pod ścianami cytryści i śpiewacy ateńscy czekali znaku swego chorowoda.

Nakrycie stołu jaśniało przepychem, lecz przepych ów

nie raził, nie ciążył nikomu i zdawał się sam przez się wykwiąć. Wesołość i swoboda rozlewały się wraz z wonią fijołków po sali. Goście, wchodząc tu, czuli, że nie zaśwień nad nimi ni przymus, ni groźba, jak to bywało u Cezara, gdzie niedość górne lub nawet niedość trafne pochwały śpiewu lub wierszy można było życiem przypłacić. Wraz też na widok świeat, bluszczowych kruż, win lodowaciejących w śniegowej pościeli i wyszukanych potraw, rozochociły się serca biesiadników. Rozmowy poczęły brzęczeć raźnie, jak brzęczy rój pszczół nad okrytą kwiatami jabłonią.

Petroniusz, leżąc obok Eunice, rozmawiał o nowinach rzymskich, o najnowszych rozwodach, o wyścigach, o Spikulusie, który w ostatnich czasach wsławił się na arenie, i o najnowszych książkach, jakie ukazały się u Atraktusa i Sozyuszów.

Rozmowa jego była jak promień słońca, który coraz to inny przedmiot oświeca, lub jak letni powiew, który porusza kwiaty w ogrodzie. Wreszcie skinął na chorowoda i na ten znak zabrzękły lekko cytry, młode zaś głosy ozwały się do wtóru.

Lecz, gdy już zabaw mieli do syta, Petroniusz uniósł się nieco na swem syryjskiem wezglowiu i rzekł z niechęcia:

— Przyjaciele! wybaczcie mi, że na uczcie z prośbą do was wystąpię: oto niech każdy przyjmie ode mnie w darze tę czarę, z której najpierwej strząsnął na cześć bogów i na pomyślność moją.

Czary Petroniusza lśniły od złota, klejnotów i rzeźb mistrzowskich, więc, jakkolwiek rozdawanie podarków było rzeczą zwykłą w Rzymie, radość zalała serca biesiadników. Jedni poczęli mu dziękować i sławić go głośno; drudzy mówili, że nawet sam Jowisz nie uczcił nigdy bogów w Olimpie darem podobnym; byli nakoniec i tacy, którzy wahali się z przyjęciem, tak rzecz przechodziła miarę powszednią.

On zaś podniósł w górę krużę murreńską, do tęczy z blasku podobną i wprost bezcenną, poczem rzekł:

— A oto jest ta, z której ulałem na cześć pani Cypryjskiej. Niechaj jej odtąd niczyje usta nie dotkną i niechaj żadne ręce na cześć innej bogini z niej nie uleją.

I rzucił kosztowne naczynie na posypaną liliowymi kwiatami szafranu posadzkę, a gdy rozbiło się w drobne szczątki ¹⁾, rzekł widząc naokół zdumione spojrzenia:

— Drodzy, weselcie się, zamiast zdumiewać. Starość, bezsilność, smutni to towarzysze ostatnich lat życia. Ale ja wam dam dobry przykład i dobrą radę: można, widzicie, na nich nie czekać i nim nadejdą, odejść dobrowolnie, jak ja odchodzę.

— Co chcesz uczynić? — spytało z niepokojem kilka głosów.

— Chcę się weselić, pić wino, słuchać muzyki, patrzeć na te boskie kształty, a potem zasnąć z uwieńczoną głową. Już pożegnałem się z Cezarem, i czy chcecie posłuchać, com mu na pożegnanie napisał?

To rzekłszy, wydobył z pod purpurowego wezgłowia list i począł czytać, co następuje:

„Wiem, o Cezarze, że wyglądasz z niecierpliwością mego przybycia i że twoje wierne serce przyjaciela tęskni dniami i nocami za mną. Wiem, że obsypałbyś mnie darami, powierzył mi prefekturę pretoryi, a Tygellinowi kazał być tem, do czego stworzyli go bogowie, dozorcą mułów w tych twoich ziemiach, któreś po otruciu Domicyi odziedziczył. Wybacz mi jednak, bo oto przysięgam ci na Hades, a w nim na cienie twej matki, żony, brata i Seneki, że przybyć do ciebie nie mogę. Życie jest wielkim skarbem, mój drogi, jam zaś z owego skarbu umiał najcenniejsze wybierać klejnoty, lecz w życiu są także rze-

¹⁾ Historyczne. Za to naczynie, wykonane z szlachetniejszego gatunku flusspatu wschodniego, zapłacił Petroniusz 300.000 sestercyi (około 100.000 franków). (*Przyp. wyd.*)

czy, których już dłużej znieść nie potrafię. Och, nie myśl, proszę, że mnie zraziło to, iż się zabił matkę, i żonę, i brata, iż się spalił Rzym i wysłał do Erebu wszystkich uczciwych ludzi w twym państwie. Nie, mój prawnuku Chronosa. Śmierć jest udziałem ludzkiego pogłowia, po tobie zaś innych postępków nie było można się spodziewać. Ale kaleczyć sobie uszy jeszcze przez lata całe twoim śpiewem, widzieć twe domicyuszowskie cienkie nogi, miotane tańcem, słuchać twej gry, twej deklamacyi i twoich poematów, biedny poeto z przedmieścia, oto co przewyższyło moje siły i wzbudziło do śmierci ochotę. Rzym zatyka uszy, słuchając ciebie, świat cię wyśmiewa, ja zaś dłużej już za ciebie płonąć się nie chcę, nie mogę. Wycie Cerbera, mój miły, choćby do twego śpiewu podobne, mniej będzie dla mnie dotkliwe, bom nie był mu nigdy przyjacielem i za głos jego wstydzic się nie mam obowiązku. Bądź zdrów, lecz nie śpiewaj — zabijaj, lecz nie pisz wierszy — truj, lecz nie tańcz — podpalaj, lecz nie graj na cytrze: tego ci życzy i tę ostatnią przyjacielską radę posyła ci Arbiter elegantiae“.

Biesiadnicy struchleli, wiedzieli bowiem, że, gdyby Nero państwo utracił, cios byłby dla niego mniej okrutnym. Zrozumieli też, że człowiek, który taki list napisał, musi umrzeć, a przytem ich samych obleciał strach błądy, że takiego listu słuchali.

Lecz Petroniusz rozśmiał się tak szczerym i wesołym śmiechem, jakby o najniewinniejszy żart chodziło, poczem powiódł oczyma po obecnych i ozwał się:

— Weselcie się i odpędźcie daleko trwogę. Nikt nie potrzebuje się chwalić, że tego listu wysłuchał, ja zaś pochwałę się nim chyba Charonowi w chwili przeprawy.

Poczem skinął na Greka lekarza i wyciągnął doń ramię. Biegły Grek w mgnieniu oka przewiązał je złotą przepaską i otworzył żyłę na zgięciu ręki. Krew trysnęła na wezglowie i oblała Eunice, która podparłszy głowę Petroniusza, pochyliła się nad nim i rzekła:

— Panie, czyś ty myślał, że ja cię opuszczę? Gdyby bogowie chcieli mi dać nieśmiertelność, a Cezar władzę nad światem, poszłabym jeszcze za tobą.

Petroniusz uśmiechnął się, podniósł się nieco, dotknął ustami jej ust i odpowiedział:

— Pójdź ze mną.

Potem zaś dodał:

— Tyś mnie naprawdę kochała, boska moja!...

A ona wyciągnęła ku lekarzowi swe różane ramię i po chwili krew jej poczęła się zlewać i łączyć z jego krwią.

Śpiewacy na jego skinienie zanucili nową pieśń Anakreonta, a cytry towarzyszyły im cicho, tak, aby słów nie zagłuszać. Petroniusz bladł coraz bardziej, gdy jednak ostatnie dźwięki umilkły, zwrócił się raz jeszcze do biesiadników i rzekł:

— Przyjaciele, przyznajcie, że razem z nami ginie...

Lecz nie mógł dokończyć; ramię jego objęło ostatnim ruchem Eunice, poczem głowa opadła mu na wieszak — i umarł.

Biesiadnicy jednak, patrząc na te dwa białe ciała, podobne do cudnych posągów, zrozumieli dobrze, że z nimi razem ginie to, co jedynie jeszcze pozostało ich światu, to jest jego poezya i piękność.

EPILOG.

Początkowo bunt legii galijskich pod wodzą Windexa nie zdawał się być zbyt groźnym. Cezar miał dopiero trzydziesty pierwszy rok życia i nikt nie śmiał się spodziewać, by świat wnet już miał być wolny od duszącej go zmory. Wspomniano, że wśród legii nieraz już, jeszcze za dawniejszych panowań, przychodziło do rozruchów, które jednak mijały, nie pociągając za sobą zmiany panowań.

Sam Cezar, któremu bunt otwierał drogę do nowych łupiestw, niewiele się troszczył o zbuntowane legie i Windexa, a nawet często radość swoją z tego powodu wypowiadał. Z Achai nie chciał też wyjeżdżać i dopiero, gdy Helius doniósł mu, że dalsza zwłoka może go o utratę państwa przyprowadzić, wyruszył do Neapolu.

Tam znów grał i śpiewał, puszczejac mimo uszu wieści o coraz groźniejszym przebiegu zdarzeń. Próżno Tygellinus tłumaczył mu, że dawne bunty legionów nie miały wodza, teraz zaś stoi na czele mąż, z dawnych królów akwitańskich pochodzący, a przytem wojownik sławny i doświadczony.

Lecz, gdy wreszcie doszła go wieść, że Windex ogłosił go lichym artystą, zerwał się i wyjechał do Rzymu. Rany, zadane mu przez Petroniusza, które zagoił pobyt

w Grecyi, otwarły się w jego sercu na nowo i chciał u senatu szukać sprawiedliwości za krzywdę tak niesłychaną.

Wjazd jego do miasta zgasił wszystko, co dotąd widziano. Senat, rycerze i nieprzejrzane tłumy wyległy na jego spotkanie. Mury drżały od okrzyków: „Witaj Auguscie, witaj Herkulesie! witaj boski, jedyny, Olimpijski, Pityjski, nieśmiertelny!“ Za nim niesiono zdobyte wieńce, nazwy miast, w których tryumfował i wypisane na tablicach imiona mistrzów, których pokonał. Nero sam był upojony i pytał ze wzruszeniem otaczających go augustyanów: czem był tryumf Cezara przy jego tryumfie? Myśl, by ktokolwiek ze śmiertelnych śmiał podnieść rękę na takiego mistrza - półboga, nie chciała mu się w głowie pomieścić.

Gdy wieści o Galbie i przyłączeniu się Hiszpanii do buntu doszły do jego uszu, wpadł w wściekłość i szal. Ale już dni wszechmocy jego minęły i nawet wspólnicy dawnych zbrodni poczęli nań patrzeć, jak na szaleńca.

Śmierć Windexa i niezgoda zbuntowanych legii zdawały się jednak znów przechylać szalę na jego stronę, gdy pewnej nocy z obozu pretoryanów przybył na spienionym koniu goniec, donosząc, że w samym mieście żołnierze podnieśli chorągiew buntu i okrzyknęli Galbę Cezarem.

Cezar spał w chwili przybycia gońca, lecz zbudziwszy się, próżno wołał na straże przyboczne, czuwające nocami u drzwi komnat. W pałacu była już pustka. Niewolnicy tylko rabowali w odleglejszych zakątkach, co się naprędce zrabować dało. Lecz jego widok zestraszyl ich, on zaś błakał się samotny po domu, napelniając go okrzykami trwogi i rozpaczy.

Wreszcie jednak wyzwolenicy: Faon, Spiritus i Epafrodyt, przybyli mu na ratunek. Chcieli, by uciekał, mówiąc, że niema chwili do stracenia, lecz on łudził się jeszcze. A gdyby, ubrany w żałobę, przemówił do senatu,

czyż senat oparłby się jego łzom i wymowie? Czyby mu nie dano choć prefektury Egiptu?

A oni, przywykli do pochlebstw, nie śmieli jeszcze wprost zaprzeczyć, ostrzegli go tylko, że nim zdoła dojść do Forum, lud rozerwie go na szczątki i zagrozili, że jeśli natychmiast na koń nie siądzie i oni opuszczą go także.

Faon ofiarował mu schronienie w swej willi, leżącej za bramą Nomentańską. Po chwili siedli na koń i okrywszy głowy płaszczami, pomknęli ku krańcom miasta. Noc bladeła. Na ulicach panował już jednak ruch, zwiastujący nadzwyczajność chwili. Przejeżdżając koło obozu pretoryanów, usłyszeli grzmiące okrzyki na cześć Galby. Nero zrozumiał nakoniec, że zbliża się godzina śmierci. Opanował go przestach i wyrzuty sumienia. Mówił, że widzi przed sobą ciemność w kształcie czarnej chmury, z chmury zaś owej wychylają się ku niemu twarze, w których poznaje matkę, żonę i brata. Zęby jego kłapały z przerażenia, a jednak komedianka jego dusza znajdowała jakby jakiś urok w grozie chwili. Być wszechwładnym panem ziemi i stracić wszystko, wydawało mu się szczytem tragedyi. I wierny sobie, grał pierwszą w niej rolę do końca. Opanowała go gorączka cytat i namiętna chęć, by obecni zapamiętali je dla potomności. Chwilami mówił, że chce umrzeć i wołał o Spikulusa, który zabijał najzręczniejsze ze wszystkich gladyatorów. Chwilami deklamował. „Matka, małżonka, ojciec na śmierć mnie wzywają!“ Błyski nadziei budziły się w nim jednak od czasu do czasu, czeze i dziecinne. Wiedział, że idzie na śmierć i nie wierzył w nią zarazem.

Bramę Nomentańską zastali otwartą. Jadąc dalej, przesunęli się koło Ostryanum, gdzie nauczał i chrzcił Piotr. O świcie byli w willi Faona.

Tam wyzwolenicy nie ukrywali mu już dłużej, że czas umrzeć, więc kazał kopać dla siebie dół i legł na ziemi, by mogli wziąć miarę dokładną. Lecz na widok wyrzucanej ziemi, ogarnął go strach. Tłusta twarz jego

pobladła, a na czole osiadły mu, nakształt kropel rannej rosy, krople potu. Począł zwłóczyć. Głosem zarazem drżącym i aktorskim oświadczył, że chwila jeszcze nie nadeszła, poczem znów jął cytować. W końcu prosił, by go spalono. „Jakiż artysta ginie!“ powtarzał jakby ze zdumieniem.

Tymczasem przybył goniec Faona z doniesieniem, że senat wydał już wyrok, i że „parricida“ ma być ukarany wedle dawnego zwyczaju.

— Jakiż to zwyczaj? — spytał zbielełymi ustami Nero.

— Szyję ci chwycą w widły i zasmagają cię na śmierć, a ciało wrzucą w Tyber! — odrzekł szorstko Epafrodyt.

On zaś roztworzył płaszcz na piersiach.

— A więc czas! — rzekł, spojrzawszy w niebo.

I jeszcze raz powtórzył:

— Jakiż artysta ginie!

W tej chwili rozległ się tętent koni. To centuryon na czele żołnierzy przybywał po głowę Ahenobarda.

— Śpiesz się! — zawołali wyzwoleńcy.

Nero przyłożył nóż do szyi, lecz kłuł się tylko dłonią bojaźliwą i widać było, że nigdy nie ośmieli się zagłębić ostrza. Wówczas niespodzianie Epafrodyt popchnął mu rękę i nóż wszedł aż po głownię, a jemu oczy wyszły na wierzch, straszne, ogromne, przerażone.

— Przynoszę ci życie! — zawołał, wchodząc, centuryon.

— Zapóźno — odrzekł chrapliwym głosem Nero.

Poczem dodał:

— Oto jest wierność!

W mgnieniu oka śmierć zaczęła obejmować mu głowę. Krew z grubego karku bluzgała czarnym strumieniem na ogrodowe kwiaty. Nogi jego zaczęły kopać ziemię — i skończył.

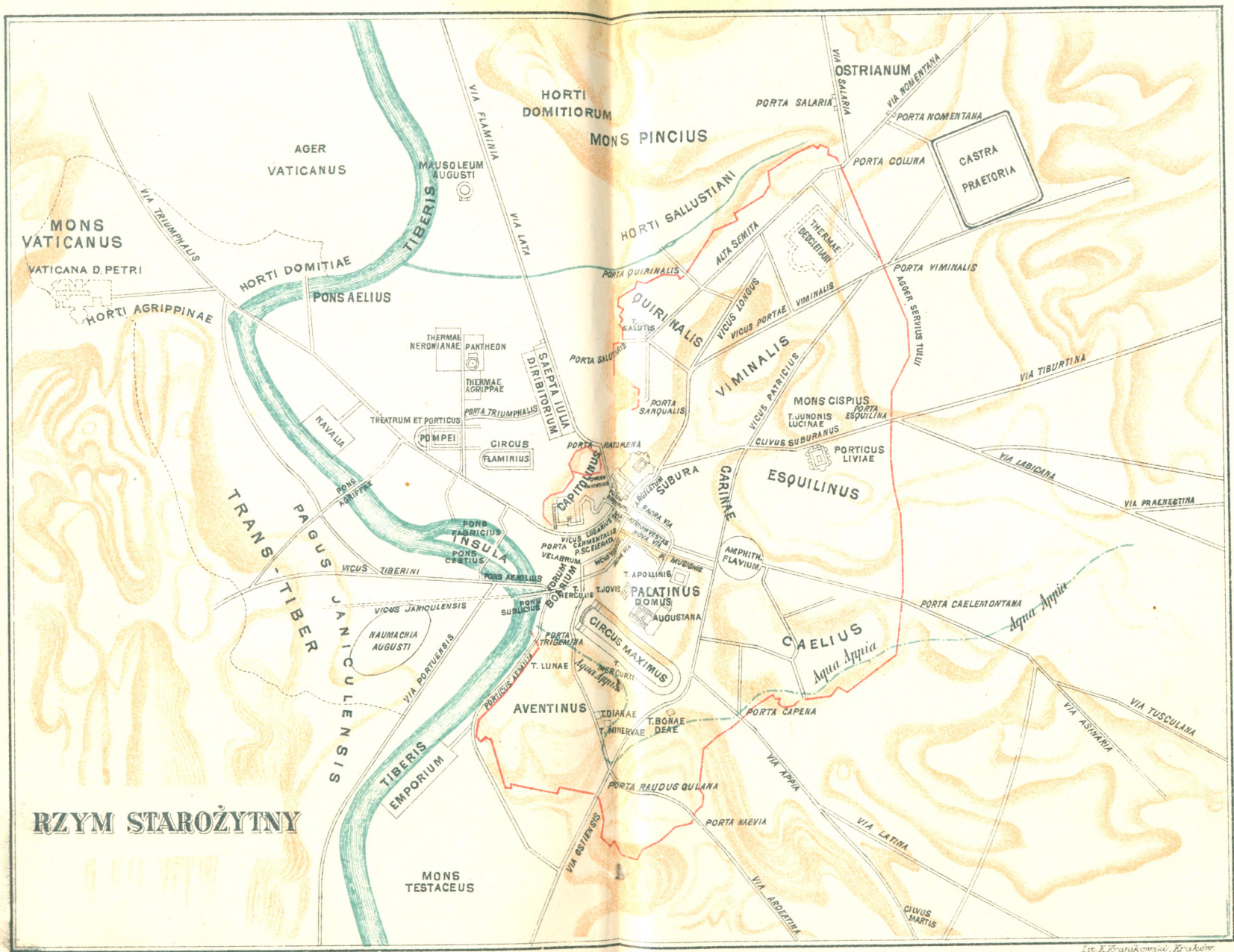
Wierna Akte obwinęła go nazajutrz w kosztowne tkaniny i spaliła na przepelnionym wonnościami stosie.

I tak minął Nero, jak mija wichher, burza, pożar, wojna lub mór, a bazylika Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu.

Wedle zaś dawnej bramy Kapeńskiej wznosi się dzisiaj maleńka kapliczka z zatartym nieco napisem: *Quo vadis, Domine?*

K O N I E C.





RZYM STAROŻYTNY



SPIS RZECZY.

	Str.
I. Winicyusz	1
II. Odwiedziny u Aulusów	11
III. Posłaniec Cezara	29
IV. Zabiegi	39
V. Wyjaśnienia	44
VI. Uczta na Palatynie	49
VII. Urzus	68
VIII. Sabina Poppea	75
IX. Porwanie	81
X. Uroki	86
XI. Chilo Chilonides	100
XII. „Ryba“	109
XIII. Glaukus	123
XIV. Judasz	130
XV. Pomyślna wiadomość	140
XVI. Ostryanum	150
XVII. Na Zatybrzu	163
XVIII. Kroton	172
XIX. U Chrześcijan	182
XX. „Odpuść mu!“	189
XXI. Ziarno kielkuje	200
XXII. Niepokój duszy	208
XXIII. Piotr Apostoł	218
XXIV. Skutki nowej nauki	225
XXV. Zwątpienie	231
XXVI. Chłosta	237
XXVII. Apostolskie błogosławieństwo	247

	Str.
XXVIII. Nieprzyjaciele życia	253
XXIX. Do Ancyum	257
XXX. Igranie z ogniem	269
XXXI. Pożar Rzymu	281
XXXII. W podziemia	297
XXXIII. Pieśń Nerona	309
XXXIV. Chrzest	317
XXXV. Pożarnicy	324
XXXVI. Zdrajca	335
XXXVII. Zapóźno!	342
XXXVIII. Chrześcijanie dla lwów	354
XXXIX. Pokrzepienie	359
XL. „Miejsce dla szlachetnego Chilona Chilomidesa!“	369
XLI. Ludus matutinus	376
XLII. Zawód	399
XLIII. Kryspus	413
XLIV. Wyrzuty sumienia	421
XLV. W więzieniu Eskwilińskim	426
XLVI. Rezygnacya	434
XLVII. Pochodnie Nerona	438
XLVIII. Śmierć Chilona	449
XLIX. Ostatnia stawka	454
L. Na głowie tura	457
L. Ocalona!	468
LII. Piotr Apostoł w niebezpieczeństwie	473
LIII. Quo vadis, Domine?	479
LIV. Męczeństwo Apostołów	483
XV. Arbiter elegantiae	487
Epilog	494



Biblioteka WSP Kielce



0167523